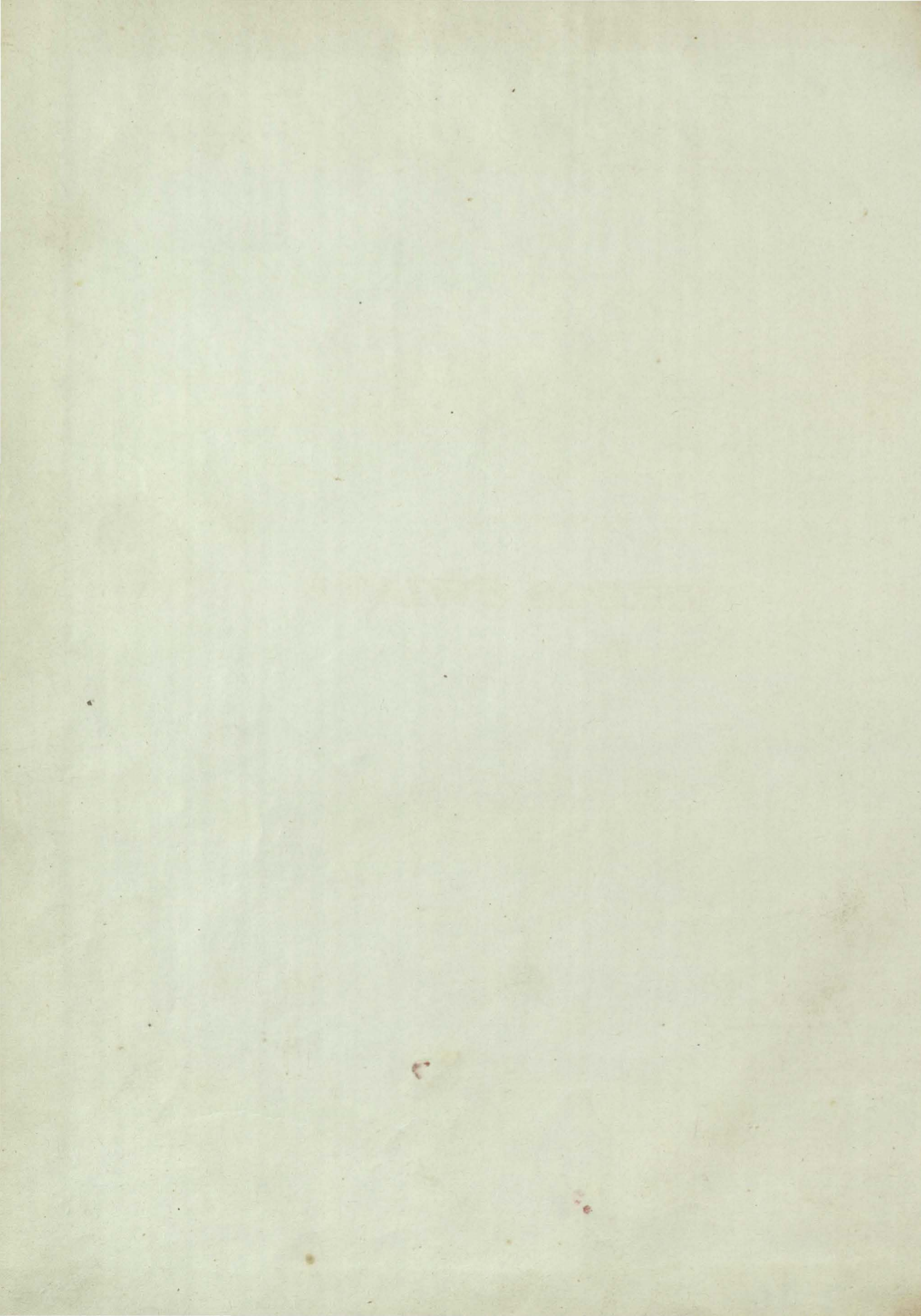


KSIĘGA ŚWIATA.

27. 27
455

P. 27 90

140 -
19 XI 521



KSIĘGA ŚWIATA.

WŁADYŚCIE

Z DZIEDZINY ARTY PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDÓW

ZYWOITY ZNAKOMITYCH LUDZI

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNYCH I KURORTÓW, WYDAJENIA

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE

OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE

RYCZYNIKI ZE STALI CZARNEJ, KOLOROWANEJ, OBARWIONEJ, OBARWIONEJ

KSIĘGA ŚWIATA.

WARSZAWA.

WYDAJENIE S. H. MERZBACHA KSIĘGARNIA

1917.

(Rok 6)

KSIĘGA ŚWIATA.

WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDÓW,

ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI,

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH, ODKRYCIA I WYNAŁAZKI,

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE,

i t. p.

RYCINAMI NA STALI CZARNEMI, KOLOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.



CZEŚĆ PIERWSZA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA KSIĘGARZA.

PRZY ULICY MIODOWEJ N. 486.

1857.

ATATA KSIĘGA

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
Nr. P. 2790

WIA DOMOSCI

WIEDZA I WOLNY IZOTWIE PRZYRODZONYCH, HISTORIA KRAJOW I LUDOW

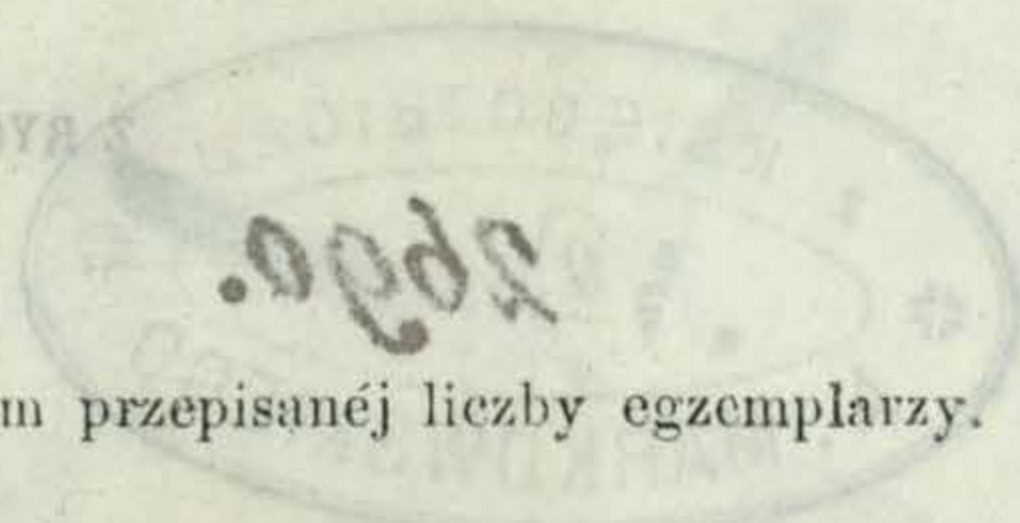
ZYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI

PODOBNE OPISY CIRKAWYCH MIEJSCOWOSCI, WOD SPYKNIERSZYCH, ODKRYCIA I WYKAZANKI

WAZNIEJSZE ZAJECIA PRZEMYSLOWE

OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE

RYCYNAMI NA STALI CZARNEMI, KOLOBRAWEM I, ORAZ DRZEWORYTAMI



Wolno drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 9 (21) Grudnia 1857 r.

Starszy Cenzor, Rada Honorowy, T. Hertz.

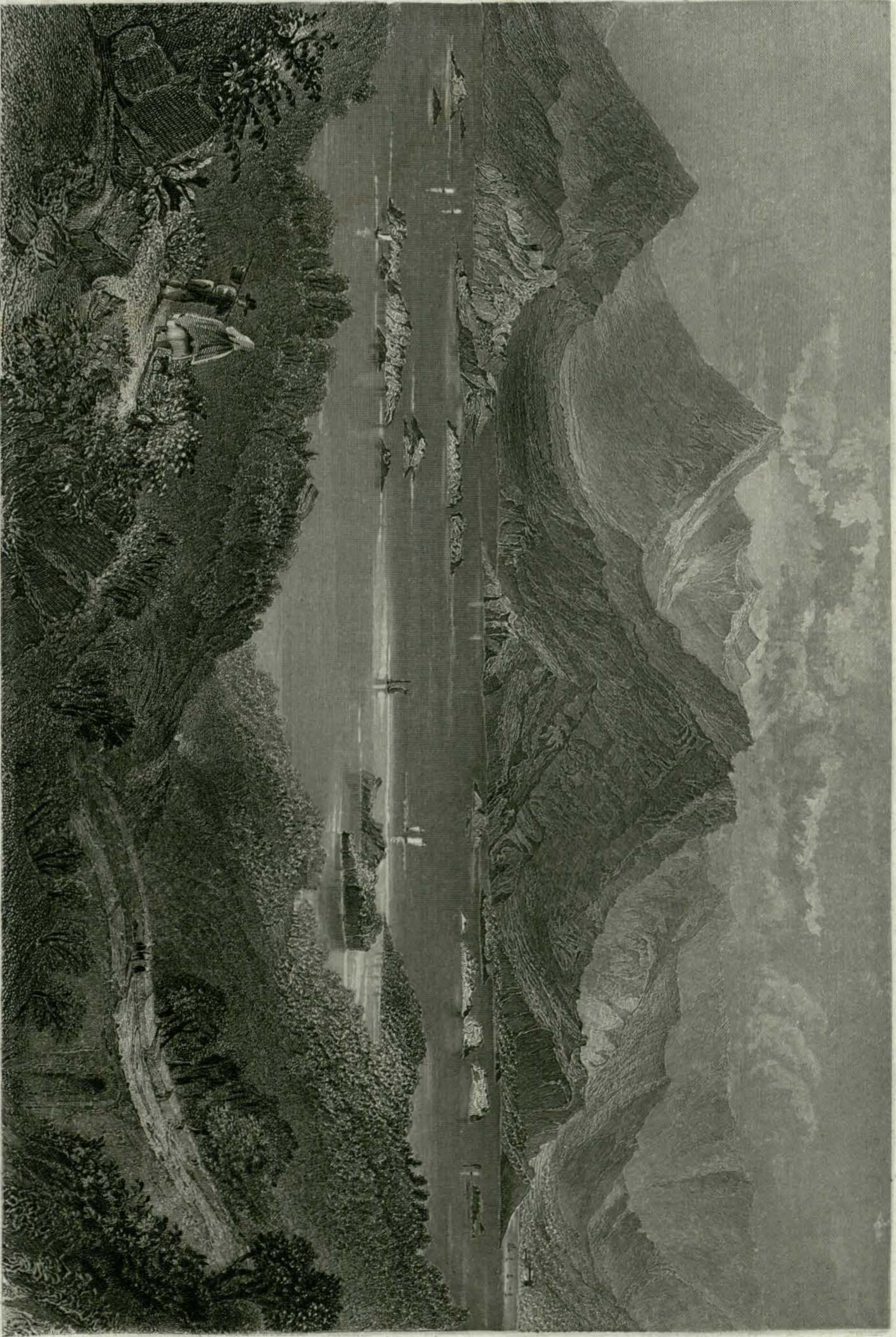


L. 140/52.

WARSZAWA
ZAKLADEN S. H. MERZBACHA KSIĘGARZAN

w Drukarni J. Jaworskiego.

1857



Sturmf.

A. W. Schmitt

ZATOKA BANTRY

W IRLANDYI.

Zatoka Bantry, w hrabstwie Cork, na południowo-zachodnim brzegu Irlandyi jest jedną z najdogodniejszych i najobszérniejszych téj wyspy. Północny kraniec zatoki tworzy port Glengariff, który przedstawia nasza rycina widziany z mostu Cromwell'a.

Zatoka Bantry znana jest z epizodu wojennego w czasie dyrektoryatu francuzkiego, którego tu krótki zarys, podług Thiers'a, podajemy.

Francya w połowie roku 1796, po zdobyciu Piemontu i Lombardyi przez jenerała Bonaparte i szczęśliwych działaniach wojennych jenerała Moreau nad Renem, była potężną na zewnątrz i poważaną. Anglia tylko, pomimo ścieśnienia swego handlu i kłopotów finansowych, groźną dla niéj została przeciwniczką. Dyrektoryat przemysliwał nad zadaniem jéj ciosu stanowczego.

Jenerał Hoche, dowódzca armii zachodniej, po uśmierzeniu powstania w Wandei i Bretanii palący żądzą zdobycia nowych tryumfów, podał rządowi projekt wyprawy do Irlandyi. Okoliczności rzeczywiście przedsięwzięciu temu sprzyjały: Irlandczycy bardziej niż kiedykolwiek oburzeni byli przeciw uciskowi angielskiemu; naród w trzech połączonych królestwach cierpiał niezmiernie z powodu wojny, a nowy napad mógł go doprowadzić do ostateczności. Finanse Pitt'a były zachwiane, handel Wielkiej Brytanii zewsząd zagrożony; wszystko słowem umyślonej wyprawie zdawało się zapowiadać powodzenie.

Dyrektoryat przyjął skwapliwie plan Hoche'a, a minister marynarki Truguet, zapalony republikańin i zdolny administrator, poparł go wszelkimi siłami. Zgromadzono eskadrę w porcie Brestu i uzbrojono ją według możliwości. Hoche zebrał wyborowe oddziały swéj armii i podsunął je ku Brestowi, gotowe w każdej chwili do wypłynięcia na morze. Dla niepoznaki starano się rozsiéwać pogłoski o zamierzonej wyprawie już na St. Domingo, już na Lizbonę, dla wyparcia Anglików z Portugalii.

Jednakże Anglia, nie dając się uwieść tym pozorom, przewidywała doskonale cel przygotowań

z tamtéj strony kanału, i wielce się niemi niepokoiła. Pitt kazał zaciągnąć milicyą, ufortyfikować i obsadzić brzegi, a w razie wylądowania Francuzów wszystkie siły wewnętrzne skoncentrować w punkcie zagrożonym. Rzeczywiście téż stan Irlandyi słuszne obudzać mógł obawy. Stronnicy reformy parlamentarnéj i katolicy tworzyli na téj wyspie masę dostateczną do wybuchu powstania. Mal-kontenci tamtejsi chętnie byliby przyjęli rząd republikański, pod gwarancją Francyi, i już nawet wysłali do Paryża tajnych agentów, dla porozumienia się w tym względzie z dyrektoryatem. Zdawało się więc prawie niezawodnym że wyprawa ta wstrząśnie całą Anglią i zmusi ją do przyjęcia wcale innych warunków pokoju niż te które teraz podawała.

Hoche, przepędziwszy dwa lata na uspokojeniu Wandei i widząc widownią wielkiej wojny zajętą przez jenerałów Bonaparte, Moreau i Jourdan, pragnął niecierpliwie otworzyć sobie pole działania choć w Irlandyi. Zresztą Anglia równie zaszczytną jak Austria była przeciwniczką, a zwalczanie jéj, lub w razie szczęśliwym pokonanie, nie-mniejszą téż zapewniało sławę. We Włoszech powstawała nowa rzeczpospolita; otóż Hoche'owi wydało się możliwym i roztroptym zrepublikanizować podobnie Irlandyą, dla przeciw-ważenia tym sposobem arystokracji angielskiej.

Przymierze zaczepne i odporne, zawarte świeżo z Hiszpanią w Saint-Ildefonse, podwajało siły Francyi i pozwalało jéj rozległe przedsiębrać działania. Połączywszy floty tulońską i hiszpańską, i wzmocniwszy je nadto posiłkami francuzkiej floty atlantyckiej, można było imponującą zgromadzić siłę, i albo zawładnąć morzem przez stoczenie walnej bitwy, lub przynajmniej rozniecić w Irlandyi pożogę wojny domowej i wstrzymać tym sposobem postępy Anglii w Indjach.

Admirał Truguet, czując konieczną potrzebę przesłania przedewszystkiém posiłków do Indyj, chciał żeby eskadra Brestu, nie czekając połączenia flot francuzkiej i hiszpańskiej w kanale la Manche, wypłynęła natychmiast, rzuciła armią Hoche'a

do Irlandyi, sama zaś, zostawiwszy na swym pokładzie kilka tysięcy wojska regularnego, zwróciła się na Ile-de-France, zabrała ztamtąd nowoutworzone bataliony czarnych i przewiozła siły te do Indyj, dla podtrzymania Tippoo-Saeb'a. Był to plan śmiało nakreślony, lecz mający tę ważną niedogodność że przeznaczal do Irlandyi część tylko armii ekspedycyjnej, narażając ją na los bardzo niepewny, zanimby eskadra admirała Villeneuve z Tuluonu, eskadra hiszpańska po różnych rozproszona portach i eskadra Richery powracająca z Ameryki zdołały się połączyć.

Dyrektoryat postanowił nie wystawiać się na tę niepewność, i czekając przybycia Richery z Ameryki, spieszenie tymczasem uzbrajał eskadrę Brestu. W miesiącu frimaire (grudniu) była ona gotową do rozwinięcia żagli; składała ją 15 okrętów wojennych kilkopakładowych, 20 fregat, 6 gabar i 50 statków transportowych, a mogła pomieścić około 20,000 ludzi. Ponieważ Hoche nie mógł się porozumieć z admirałem Villaret-Joyeuse, zastąpiono więc tego ostatniego przez admirała Morard-de-Galles. Wyprawa wylądować miała w zatoce Bantry. Każdemu kapitanowi okrętu w rozkazie opieczętowanym wskazano kierunek żeglugi i stanowisko jakie obrać miał w razie zdarzonego wypadku.

Wyprawa wypłynęła z Brestu 26 frimaire (16 grudnia). Hoche i Morard-de-Galles znajdowali się na jednej z fregat. Eskadra francuzka, pod zasłoną gęstej mgły, uniknęła szczęśliwie korsarzów angielskich i niespostrzeżona przebyła morze. Ale w nocy z 26 na 27 straszliwa burza rozproszyła ją i zatopiła jeden okręt. Jednakże kontr-admirał Bouvet, skutkiem dwudniowych starań i zabiegów,

zdołał ją zgromadzić napowrót, z wyjątkiem jednego tylko okrętu i trzech fregat. Nieszczęściem do liczby tych ostatnich należała właśnie fregata niosąca Hoche'a i Morard'a-de-Galles. Eskadra zwróciła się ku przylądkowi Clear, i krążyła tam przez dni kilka, czekając na swych dowódców. Nakoniec 5 nivôse (24 grudnia) wpłynęła do zatoki Bantry. Rada wojenna uchwaliła wylądowanie, które jednak, z powodu burzliwego morza, stało się niepodobnym; musiano znów oddalić się od brzegu irlandzkiego.

Kontr-admirał Bouvet, zrażony tylą przeciwnościami, lękając się nadto braku żywności i rozłączony z głównymi dowódcami, uważał za najwłaściwsze powrócić do Francyi. Po jego już odplynięciu Hoche i Morard-de-Galles zawinęli wreszcie do zatoki Bantry, i dowiedziawszy się o odrocie swjej eskadry, zmuszeni byli cofnąć się sami, wśród tysiąca niebezpieczeństw. Miotani burzą, ścigani przez Anglików, cudem tylko dosięgnęli brzegu ojczystego. Okręt *Prawa człowieka* (les Droits de l'Homme), kapitan La Crosse, odłączony od eskadry i napadnięty przez dwa okręty angielskie, broniąc się walecznie, zniszczył z nich jeden i uszedł pogoni drugiego; lecz sam, podziurawiony, pozbawiony masztów i żagli, uległ natarczywości rozhukanego żywiołu. Część osady zginęła w morzu, resztę z trudnością ocalono.

Tak się skończyła pamiętna ta wyprawa, która na Anglię rzuciła popłoch niezmierny, i tylko zrządzeniem Opatrzności została od niej odwróconą. Nieudanie się bowiem pierwszego zamachu spowodowało odroczenie całej tej sprawy, tém bardziej że wkrótce uwaga dyrektoryatu zwróciła się wyłącznie na wojnę przeciw Austryi.

DZIELNICA CHIŃSKA W JAWIE.

Nie każdemu z wędrowców po obcych a odległych stronach naszego świata zdarzy się zwidzieć i przez dłuższy czas zbadać wschodnie krainy Azji, tej najstarszej części ziemi, bo kolébki rodu ludzkiego. Jest to niewyczerpany skarbiec dla historyka, moralisty i badacza tak przyrody globu naszego, jako też człowieka, widownia która się zdumionemu wędrowcowi w coraz nowych, a zawsze

fantastycznych, przedstawia kształtach. Naród chiński, bliżej teraz przez Europejczyków studyowany, równie jest ciekawy we własnej siedzibie, jak i w krajach dokąd się wyojczyźnia, pędzony twardą koniecznością losu, bo dla utrzymania bytu swego, którego mu własna skiba, z powodu przedludnienia, odmówiła.

I mnie szczególne okoliczności zapędziły w te

strony, gdzie mogłem bliżej przypatrzeć się owemu ludowi, a częśćkę swych spostrzeżeń udzielając braciom w Europie, mniemam że dla nich bez interesu zarys ten nie pozostanie.

Postanowiłem nateraz mówić o Chińczykach na Jawie zamieszkałych, bo też największą część cudzoziemców tam osiedlonych oni rzeczywiście stanowią, a to tak dalece, że jedną dzielnicę miasta wyłącznie zajmują. Zwiedzając cyrkuł chiński, ujrzysz tych synów Niebieskiego państwa, już jako kramarzów siedzących na swoich skrzyniach przez całą długość ulic, już gorliwie zajętych różlicznymi rzemiosłami, już wreszcie zamożniejszych, jak rozpiérają się w swych karocach, w narodowych ubiorach. Tych ostatnich zwykle powozi Malajczyk, towarzyszy im zaś dwóch lub więcej służących z tegoż oliwkowatego plemienia.

Trzymanie się narodowego ubioru, którego główną cechą jest sążnisty warkocz, nie pochodzi z uporczywego zamiłowania w stroju swych współbraci, ale z rozkazu rządu holenderskiego, który, zapewne dla szczególnych jakich widoków, zmusza ich do tego. Przed kilką laty zamożni Chińczycy usiłowali zamienić swe długie kaftany na strój europejski; zmiana ta dozwoloną im została, pod tym jednakże warunkiem, ażeby obok fraka warkocz zatrzymali. Poważni Chińczycy mieli tyle zdrowego rozsądku, iż woleli zostać przy swym stroju, niż okryć się śmiesznością, jak nowocześni Turcy.

Chińczycy na Jawie są po całym mieście rozsypa- ni, z powodu swych różlicznych zatrudnień; zwykle jednak zamieszkują osobny cyrkuł, chińską dzielnicą zwany, gdzie, z przyczyny niezdrowego powietrza, żaden Europejczyk nie odważy się nocować, a bardzo mała liczba czasowo tam przebywa.

Skoro się przekroczy most na *Kali-besaar*, zaraz można napotkać chińskich kupców, tłumnie siedzących w ciasnych budach; każdą z nich stroją bożyszczka, przed którymi palą się nieustannie lampy i dymią kadzielnice. Szczegółowe części tego cyrkułu poświęcone też są szczegółowym rzemiosłom lub handlom. W jednej mieszkają sami farbiarze, w innej lakiernicy, tu koszykarze, owdzie kowale, gdzieindziej sami cieśle. Tylko szewcy i krawcy, jakoteż ognio-mistrze, którzy u Chińczyków bardzo znaczącą odgrywają rolę, zwykle po różnych ulicach są rozproszeni. Każdego Chińczyka nieodstępna towarzyszką jest skrzynka, bez której się

nigdzie nie ruszy, i za jój pomocą wszystkie swoje interesa załatwia.

W skrzynkach tych znajdziesz wszystko o czém tylko pomyśleć można, i Chińczycy są może jedynymi handlarzami w świecie sprzedającymi wszystko cząstkowo, jak: towary łokciowe, wyroby z żelaza, blachy, przedmioty mody, trzewiki, zasłony, tabakę, herbatę, materiały aptekarskie, korzenie i t. d., a wszystko to spoczywa bez ładu w skrzynkach, przedzielone tylko cienkimi przegródkami.

W ten sposób handlarze sadowią się na rogach ulic, zwykle brudnymi kanałami poprzerzynanych, i tak do siebie podobnych, że wędrowiec obcy w téj dzielnicy łatwoby mógł się zabłąkać. Na ulicach tych słychać nieustanny szum i łoskot pracowitego i niezmordowanego ludu, który kując, pukając od samego świtu aż do późnej nocy, zdala już świadczy o swojej pracowitości i zabiegliwości.

Chińczycy są najprzemysłniejszym ludem jaki kiedykolwiek widziałem, a co się tyczy zmysłu handlarskiego, mają oni zupełne podobieństwo z naszymi Żydami. Kramarza chińskiego trudno się pozbyć, a kto go zaczepi lub zażąda jakiego towaru, ten już bezwarunkowo od niego musi coś kupić. W targu tak są przebiegli, i tak umieją badać fizyognomią kupującego, że bardzo niebezpiecznie jest ofiarować im połowę żądanej ceny, a co większa, trzeba się niezmiernie pilnować w targowanym towarze, albowiem po przybiciu ceny w mgnieniu oka podstawią inny, lub w dodatku namówią do kupienia przedmiotu którego wcale nabyć nie chciałeś. Zdarza się nawet kupić towar niby za trzecią część żądanej ceny, a i tak jeszcze nie możesz być pewnym czyś się w kupnie nie oszukał.

Nie wahają się też przynieść towar kupującemu do domu, i z ciężarem biegną ochoczo w najodleglejsze strony miasta. Chociaż, jak powiedziałem, pod wielą względami podobni są do naszych Żydów, jednak tę nad nimi mają wyższość, że do żadnej pracy nie lenią się ani wstrętu nie mają, i tam gdzie nie sadowią się jako handlarze, z tą samą rącością i wytrwałością chwytają za młot, obcęgi, igłę lub szydło; gdy zaś w którym rzemiosle celują, to bez wątpienia żaden inny lud w tém ich nie przewyższy.

Pomimo takiej różnaitości przedmiotów będących celem zabiegliwości i handlu Chińczyków

bardzo mała ilość towarów lub wyrobów prawdziwie chińskich znajduje się w ich rękach, bo po największej części kupczą tu przedmiotami europejskiego przemysłu. Fajans, herbata, tusz, papier, wyroby lakierowane, bielidło i niektóre przedmioty domowego użytku, oto są artykuły istotnie pochodzące z Chin; wszystkie zaś inne które w ich skrzyniach znaleźć można pochodzą z Europy, lub na Jawie przez nich są produkowane i sprzedawane.

Lud ten tak przemyślny, pracowity, nie stroni jednakże od zabawy, a nawet namiętnie lubi się jej oddawać. Staralem się poznać rozrywki Chińczyków, odbywające się mianowicie na targowicy, i powiem tu o nich słów kilka.

Wśród targowego placu stał wielki budynek, podobny do gołębnika, bo na wszystkie strony otwarty. Budynek ten oświetlały lampy, a raczej wielkie wazy napełnione kokosowym olejem, w których gorzały potężne knoty. Orkiestra, jeżeli tak można nazwać dziwny zbiór ludzi i instrumentów, siedziała na miejscu wzniesioném naokoło ścian teatru, którego nie zdobiły żadne kulisy; tylko w tylnej ścianie były dwa otwory, niby dwoje drzwi wychodowych, a scena mieściła się w samym środku gmachu. Na niej stało coś naksztalt ołtarza i para skrzyneczek ze starymi rupieciami, mającemi stanowić kostiumy i przybory aktorów. Na scenie aktor, tyłem do publiczności obrócony, częstokroć wśród potoku słów i szybkich poruszeń ciała, stosownie do przedmiotu będącego celem opowieści, zmieniał prędko swój ubiór, z wielką pociechą publiczności i oszczędzeniem czasu, którą to metodę najusilniej możnaby zalecić naszym artystom, a mianowicie artystkom, dramatycznym w Europie.

Piekielny hałas celniejszych muzykantów, woń nieprzyjemna z lamp, i skrzywienie ścian teatru tworzyły całość dosyć dziwną, która jednakże stanowiła rozkosz dziewiczej publiczności Chińczyków, zdala przez otwory budynku smakujących w takim widowisku.

Aktorowie niewiadomiej płci, bo z powierzchowności możnaby ich do męskiej zaliczyć, a z głosu do żeńskiej, przedstawiali się na scenie w staroświeckich chińskich lub tatarskich ubiorach, okładając się ciężkimi kijami w sposób godny politywania, a przytém krzycząc całym gardłem, jakby się przy wodospadzie Niagary rozprawiali. Prawie każdy z nich strojny był w białe szaty; głó-

wne wszakże usiłowanie chińskich artystów polegało na tém, ażeby ciało ich ani na chwilę nie pozostawało w spoczynku. Gdyby ktoś nie wprawny tak jak oni chciał naśladować owe gesta i wyłamowania, to wkrótce uległby chorobie jakiej nieprzyzwyczajeni do żeglugi doświadczają na morzu. Ale z owój mimiki widzowie rozumieją jednak o co rzecz idzie. Muzyka zato wybac, mi Apolinie to nazwanie, nie wiem czy miała jaki związek z przedstawianym dyalogiem, bo ona tylko sama sobą była zajęta.

Jednych szczególniej poruszeń chińscy aktorowie używają, które są wspólne wielu tancerzom malajskim. Ruchy te polegają na tém aby ręce trzymać rozwarte i jaknajdłużej wyciągnięte. Wtedy zaplatają oni palce jednej ręki o palce drugiej, i usiłują stawom, mianowicie ramionom, nadać ruchy we wszystkich możliwych kierunkach. Człowiek ukształcony nie mógłby długo patrzeć na podobne wykręcanie ciałem; we mnie ono nawet wstręt niepokonany obudzało. Znajdują się jednakże w Europie dyletanci, którzy w tego rodzaju akrobatycznych sztukach smakuja, a nawet tłumniej na takie widowiska jak Chińczykowie uczęszczają.

Brak gazowego, a przynajmniej dobrego, oświetlenia tę korzyść chińskim komedyantom przynosi, że stawia w błogim cieniu wszelkie niedostatki w ich ubiorach. Ale to nie przeszkadza jawańskiej publiczności, boć, mówiąc prawdę, cóż jest na tym bożym świecie bez skazy? Ma je nawet słońce, dla czegożby ich więc stare Chińczyków suknie mieć nie miały?...

Upodobanie w sztukach łamanych u tamecznego ludu jest wielkie; lecz trzeba mieć jeszcze taką jak oni dozę cierpliwości, aby wytrzymać grad przelatujących ze świstem kijów, pałaszów drewnianych i lanc, przed którymi widzowie nieustannie muszą schylać głowy, ażeby uniknąć guza lub rany. Na tę niemiłą gimnastykę narażeni są zwłaszcza bliżej budynku stojący widzowie. Jednak tego rodzaju zabawa musi mieć jakiś wdzięk dla Chińczyka, utrzymując go w ciągłej obawie, a zatém i rozdrażnieniu. Zostawmy każdego z tém co kto lubi.

Ich dyalogi, wśród nieustającej gimnastyki aktorów, rozumie się w chińskim języku prowadzone, muszą być arcy-dowcipne, albowiem tameczni spektatorowie słuchają ich z wielkiem zajęciem, i nieraz serdecznym wybuchają śmiechem, kiedy aktor strzeli jakim żartem do swego kolegi. Ach, gdy-

byście wtedy mogli widzieć owe płaskie z małemi błyszczącymi oczami twarze plemienników Niebieskiego państwa, owe usta rozciągające się od ucha do ucha, owe nagością świecące łysiny, trzęsące się od śmiechu za każdym konceptem aktora. Na dowcipne słówko tak są łakomi Chińczycy, że je powtarzają nawet tym co później na widowisko przybyli, lub co żarciku dwuznacznego nie zrozumieli.

Jak już wspomniałem, scena jest urządzona na środku teatru stojącego w odosobnieniu od innych budynków. Zapłata za widowisko naturalnie wymagana być nie może, bo każdy co wejdzie na rynek tém samém staje się już uczestnikiem widowiska. Siedzenia dla publiki wcale tu są nieznanne; każdy ze zgromadzonych może patrzeć na przedstawienia w teatrze, dopóki mu czas lub ochota dozwala. Widowisko takie trwa nieustannie; zmieniają się spektatorowie i aktorowie, ale zabawa od rana przeciąga się do późnej nocy.

Ażeby wam dać jakiegokolwiek wyobrażenie o orkiestrze Chińczyków, która mi jeszcze brzmi w uszach skoro sobie o niej przypomnę, powiem tylko że ona składa się z pewnego rodzaju gęśli i trąb, (a jedna taka dostateczną jest do zagłuszenia całego cyrkulu) potem z nieoznaczonej liczby skrzypców o jednej i dwóch strunach, o których jednak wystrojeniu niema ani mowy, z pary drewnianych cymbałów, nakoniec z rozmaitych sztuk drzewa i kawalków metalu, któremi potrząsają lub uderzają na przemiany. Otóż te wszystkie wymienione narzędzia z taką usilnością i tak długo bywają nadymane, poruszane, tłoczone, dopóki jakichś dźwięków i nieokręślonemu wrzasku nie wydadzą, co wszystko razem muzykę chińską stanowi.

Oprócz aktorów i muzyków, niemniej interesującą dla mnie była sama publiczność, złożona z postaci ozdobionych mniej więcej długimi wąsami i warkoczami. Otóż miałem przed oczami *in natura* niemalą ilość figur ruszających się jakby w jednej foremce były odlane. Owych synów i córy Niebieskiego państwa, których wizerunki znają moi współziomkowie tylko z bladych kopij wymalowanych na skrzynkach z herbatą lub porcelanowych naczyńkach, ja miałem ich przed sobą z ciałem i kośćcami, ożywionych tym uśmiechem co to między ironią i głupowatością trzyma środek. Cały ten tłum Chińczyków był dla mnie drugim widowiskiem, drugim teatrem. Bo też każda figura odgry-

wała tu charakterystyczną scenę przez ubiór swój, mimikę i gadatliwość.

Tam teatr z dachem bambusowym, tu nademną, palmy i południowe niebo ze swemi tajemniczymi gwiazdami, wszędzie kupcy, kuglarze i krzykacze. Gdzie tylko krok zrobiłem, gdzie tylko ciekawym wzrokiem rzuciłem, wszędzie nowość i wszędzie dziwne widowiska. Ach, cóżbym dał za to gdybym czarodziejską mocą mógł całą tę czeredę z otaczającymi ją przedmiotami, z tą bambusową szopą, aktorami, muzykantami i gorejącymi lampami, żywcem zapakować w spirytus, i tak nieskażoną, niezmienną przewieźć do Europy, aby ją pokazać zdumionym współbraciom w drugiej części świata.

Ale kto żywi, kto okrywa, kto nareszcie utrzymuje ten zbiór kuglarzów i muzykantów, kiedy ani razu nie dostrzegłem aby ktokolwiek wynagrodził ich choćby najmniejszym datkiem za uczestnictwo w scenicznym przedstawieniu, jak to ma miejsce w najędźniejszych nawet teatrach lub jarmarcznych budach kuglarzów na całym lądzie naszej ucywilizowanej Europy? Zagadki tej nigdybym nie rozwiązał, gdyby mi nie przyszedł w pomoc mój przewodnik, czyli krajowy *cycerone*, przez zaprowadzenie mnie do piekła ziejącego dymem lamp kokosowych, gdzie wątpliwość moja, jak mgła przed wschodzącym słońcem, rozproszoną została.

Przewodnik mój powiódł mnie do budynku gdzie było zastawionych pięć lub sześć stołów, a raczej tyleż dywanów rozłożonych na podłodze, z których kilka do siedzenia służyło. Około tych dywanów zasiadł tłum Chińczyków i Malajczyków. Chińczyk mający przywilej na trzymanie banku płacił za to dzierżawę rządowi indyjskiemu, wnosząc do skarbu bajeczne summy. Nic dziwnego iż dla odzyskania z lichwą dzierżawy, musiał szukać sposobów do wyłowienia pieniędzy z kieszeni swoich ziomek i muzułmańskich braci w Jawie zamieszkałych.

Przedsiębiorca ten wpadł na bardzo dowcipną myśl ściągania sobie kundmanów do gry przez sceniczne widowiska darmo dawane. Ztąd też ciążył na nim obowiązek utrzymywania całej czeredy muzykantów i aktorów, która była wabikiem do gry dla zgromadzonej na placu publiczności. Czy moralność na tego rodzaju spekulacji nic nie traci, o to się zapewne żaden przedsiębiorca takich interesów nie troszczy.

Z początku dziwiłem się że czynsz dzierżawny mógł być tak wygórowany, gdyż gracze stawiali tylko miedzianą monetę. Lecz wkrótce błąd swój spostrzegłem, bo nietylko srebro, ale i banknoty holenderskie rzucano na stół fortuny; byli tacy którzy po 400 guldenów nie wahali się ryzykować na jedną stawkę.

W Jawie najczęściej w trojaki sposób gra się odbywa. Pierwszy podobny jest do faraona. Każdy z grających kładzie pewną ilość kart przed siebie, jedną według natchnienia wybiera lub wyciąga i stawia na nią pieniądze. Kiedy już partnerowie stawki swe urządzają, wtedy bankier ze swęj kupki ciągnie po jednej karcie, kładąc je na prawo i na lewo; strona prawa jest bankierska, lewa ponitera.

Karty chińskie są szczególnego kształtu, bardzo małe, gdyż zaledwie $\frac{3}{4}$ cala długie i odpowiednio szerokie, jedne czarne, drugie czerwone, rozmaitemi znakami i gzygzakami pokryte, których naturalnie nie rozumiałem.

Drugi sposób gry odbywa się na kobiercach w tym celu utkanych, na których są oznaczone czworoboki i różne figury pewne znaczenie mające. Zdaje się iż zależy najwięcej grającym na tém, czy rzucony przedmiot padnie na linię czworoboku, czy też na rozmaite pola i kąty tychże. Gra ta ma podobieństwo z europejską ruletą.

Trzeci rodzaj gry podobny jest do naszego *ce-tno* i *lichu*. Do téj partyi używają pewnego gatunku zielonego bobu. Bankier dozwala stawiać najprzód graczom; toż samo czyni pomocnik bankiera, kładąc pewną ilość ziarn do skrzynki, z której, po zrobieniu kilku obrotów, bankier wyjmuje łyżeczką umyślnie do tego urządzoną po jednym ziarnku, aby żadne oszukaństwo miejsca mieć nie mogło, i składa je na matę, poczem liczy bób, biorąc zawsze po cztery, z trudną do naśladowania zręcznością i szybkością. Czynność tę odbywa dopóty, dopóki nie zostanie reszta parzystą lub nieparzystą, którą pokazuje graczom, licząc wolno. Każde poruszenie bankiera śledzą grający chciwymi, iskrzącymi oczami. Liczba parzystą jest zwykle wygraną dla bankiera.

Gry w bób i karty, dopiero opisane, odbywają się po wszystkich placach i miejscach przez lud chiński uczęszczanych, na rachunek ryczałtowego dzierżawcy.

Na tymże samym pasażu czyli placu targowym miały się znajdować domy gdzie za opłatą opium

pałą. Nie mogliśmy jednak tego wieczora znaleźć ani jednego otwartego; zaspokojenie więc naszej ciekawości odłożyliśmy na dzień dogodniejszy.

W chińskiej dzielnicy miasta istniała jeszcze jedna osobliwość, o której niepodobna mi przemilczeć, a o której ze wszystkich stron mnie uprzedzono.

Kiedy się znajduje w jakim domu panna w wieku stosownym do zawarcia ślubów małżeńskich, Chińczycy stawiają wielki garnek na pochyłości dachu. Garnek ten jest zwykle podobny do kwiatu z gliny wypalonego. Stawianie takiego naczynia, ściśle biorąc, może inne jeszcze ma znaczenie; ale w głębsze zbadanie tego przedmiotu, dla braku czasu, wdawać się nie mogłem. To tylko pewna iż naczynia opisane widziałem na wielu domach Chińczyków, i gdy panna pójdzie za mąż lub umrze, wtedy je rozbijają. Mnóstwo jednak podstarzałych garnków spostrzegać mi się dało. Biedne naczynia musiały długo znosić niepogody i burze; na niektórych rosły nawet kaktusy, jak u nas rośnie na dachach mech lub rozchodnik.

Stare te garnki nie bardzo zalecają dziewice, i sterczą jakby krajowe telegrafy, o szczerości i uczciwości w interesach małżeńskich świadczące, której u nas trudno już dzisiaj dopatrzeć.

Coś podobnego do tego zwyczaju zdarzyło mi się widzieć w Norwegii, wprawdzie nie zewnątrz ale wewnątrz domów. Wieszają tam w izbach miedziane rondle, według liczby których, mniej poetycznie, ale zawsze z wszelką pewnością, wielkość posagu przez konkurenta może być oceniona.

W kilka dni później byłem tyle szczęśliwy iż zdarzyło mi się spotkać chińskie wesele, wielą osobliwymi szczegółami uwagę zwracające, dla zbadania których musiałem wycierpieć godzinę męczarni, będąc jak w prasie ściśniony między tłumem Chińczyków obojój płci. Najwięcej miszło o przypatrzenie się pannie młodej, czego przy cierpliwości nareszcie dokazałem.

Przechadzając się po jednej z ulic chińskiej dzielnicy, nagle ujrzałem tłumy zatrzymane na rogu przez przeciągający orszak Chińczyków, w wielkiej paradzie i z kolorowemi latarniami. Orszak postępował parami, trzymając jaskrawe wstęgi, a za nim bardzo interesująca muzyka, z dziwaczniemi instrumentami, których część już opisałem.

Ulica była bardzo brudna, i wcale nie miałem ochoty szargać się wraz z Chińczykami, na grubych podszwach kroczącymi. Czekałem więc dopóki

za danym znakiem orszak dalej nie ruszył. W tej chwili ukazał się wóz strojny w pióropusze, festony i różnego rodzaju wiszące ozdoby, który, z wyjątkiem jaskrawych kolorów, wielkie miał podobieństwo z naszymi karawanami pogrzebowymi.

W pięć minut potem zjawiała się panna młoda, otoczona pewną liczbą druchen. Gdybyście ją mogli widzieć, o piękne czytelniczki! Co do mnie bowiem, chociaż z całym zajęciem badałem uroczą córę Niebieskiej krainy, czuję wszakże całą moją niezdolność do opisanja tak jej jako też godowego orszaku przyborów; mam bowiem szkaradny nałóg patrzenia ludziom w oczy, a nie na ich ubranie. Jeżeli więc nie będziecie zadowolone z obrazka który wam tu chcę odmalować, to nie moja w tym wina, i w części chociaż powinienem być usprawiedliwionym.

Panna młoda, a kogóż nie interesuje najwięcej panna młoda, ubrana była w barwistą, drobnymi kwiatami zaslaną suknię z materyi jedwabnej, która w rześzystych fałdach od szyi aż do nóg ją osłaniała. Rękawy były tak potwornie długie, że śliczne rączki narzeczonej zupełnie zakrywały. Średniej szerokości pas, na złotą klamrę spięty, podtrzymywał całą suknię. Wielka ilość pereł i drogich kamieni zawisała na szyi i karku. Lecz najbardziej interesującą była głowa panny młodej, nie ze względu jednak naturalnych jej wdzięków, bo tych, z powodu zasłony, ocenić nie mogłem, a nadto postępowała ona ciągle ze spuszczonej oczami; dopóki bowiem nie zostanie połączoną z narzeczoną, nie wolno jej na nikogo spojrzeć.

Otóż chcę wam powiedzieć o ubraniu głowy narzeczonej. Włosy bardzo skromnie miała uczesane; na nich jednakże spoczywał rodzaj dyademu w kształcie korony, a z pod wstęg wyciętych w zęby, od 3 do 4 cali długich, spływały jedwabne sznurki, mające na końcach przyczepione perły, korale, różnokolorowe kamyczki, nawet brylanty, czém wszystkiém głowa tak była obciążoną, że ją musiała często schylać, a wtedy ciężarki te, uderzając o siebie, głośno brzęczały i dzwoniły.

Krok za krokiem, bardzo wolno zbliżała się oblubienica do niedaleko czekającego na nią powozu. Tymczasem muzykanci, każdy według swego gustu i taktu, zaczęli jakąś piosnkę wygrywać. O melodyę musieli się zapewne pierwój porozumieć, lecz o harmonii ani mowy nie było, i dlatego w dalszym ciągu naiwnością koncertu swego przewyższyli nawet tak zwaną kocią muzykę. W tym

chaosie dźwięków dwustrunowe skrzypce najważniejszą odgrywały rolę; nadto wielkie trąby, cymbały, gęśle i narzędzia z kawałkami metalów dały się słyszeć w chwilach najmniej spodziewanych i w sposób rozdziérający uszy. Żałuję że nie mogłem utrwalić owój piosnki z jej harmonią, aby ten utwór fantazyi chińskiej podarować naszym kompozytorom, uganiającym się za oryginalnością.

Dwie dziewice postępowały obok panny młodej: jedna z nich wielkim wachlarzem nieustannie ją chłodziła, druga zaś kosztowną zaslonę podtrzymywała, dla ochrony wdzięków oblubienicy od ciekawego wzroku ludzi i słońca. Otóż te dwie druchny, nie wiem dlaczego, ciągle trzęsły głowami. Czy może uzalając się nad tym dramatem małżeństwa? powiedzieć tego nie umiem.

Kiedy panna młoda zasiadła na przygotowanym wozie, przednią postępowali dwaj, jak się zdawało, jej krewni, trzymając przetak przewrócony, z bambusu upleciony. Za temi dygnitarzami wesela szedł pan młody. Była to postać szczupła, ale dość hoża. Skoro się orszak uszykował, zaczął się nareszcie wolnym krokiem posuwać, przy dźwięku, a raczej hałasie, chińskiej muzyki.

Za orszakiem godowym ciągnął się długi szereg wozów z mandarynami, duchownemi, oraz z rodziną państwa młodych.

Przybywszy razem z orszakiem do mieszkania panny młodej, ujrzałem po raz pierwszy bożyszczą Chińczyków, a raczej ich wizerunki, wspaniale oświecone. Ich dobry duch, była to sobie tłusta i okrągła jak wałek figurka, a zły wyobrażony był w postaci lisa, z ciemno-zielonkowatém obliczem i czerwonymi oczami.

Na stołach rozłożone były w naczyniach osobliwych kształtów konfitury i rozmaite przysmaki, które Chińczycy tak wyszukanie przyprawiać umieją.

Na dziesięć kroków przede drzwiami stało trzech żołnierzy holenderskich na warcie. Dla czego? Bóg to raczy wiedzieć. Trzej ci rycerze, za wyruszeniem czeredy weselnéj, rozbiegli się w różne strony miasta, z wielkiém bez wątpienia ukontentowaniem Chińczyków, którzy przez białych cudzoziemców pilnowani być nie lubią.

Jedną z ciekawości chińskich, którą także sprawdzić postanowiłem, były nóżki kobiet do zamniejszej klasy towarzystwa należących; ale o tych wysławianych stopach córek Niebieskiej krainy, mimo całej usilności, nic anic wam powiedzieć

nie mogę, albowiem tak u panny młodej, jako też i u innych dziewic, nie dopatrzyłem tylko końców szerokich z zakrzywionemi nosami pantofelków, które z pod ciężkich i długich sukien wyglądały.

Niektóre wprawdzie towarzyski godowego orszaku wyłączone były z pod tego prawidła, lecz stopy ich, więcej odsłonięte, nie okazywały nic szczególnego, a niejedna nasza rodaczka mogłaby małością nóżki zawstydić tyle okrzyczane z tego powodu Chinki. Efekt zresztą jakiby mogły sprawić, psuje niezgrabne obuwie z drewnianemi podszwami, które i u panny młodej zauważyłem gdy około mnie przechodziła.

K R A B Y.

Natura, ta potężna i niewyczerpana w swych pomysłach matka, rozrzucając z hojnością zarody życia po całym obszarze ziemi, z niesłychaną mądrością i dowcipem niezrównanym obdarzyła wszystkie swe twory darami najodpowiedniej wspierać je mogącemi w ciągu przelotnego życia.

Niezapomniała ona zarówno o najlichszym robaczku, jak o najwspanialszym i najszlachetniejszym zwierzęciu. W swych celach wysokich i do pomyślności ogółu dążących obdzieliła ona równo swemi darami wszystkie stworzenia: jeżeli jednym dała moc, ostre zęby i straszne szpony, jeżeli w ich sercu zapaliła wieczną i nienasyconą żądzę mordy, krwi i widoku drgających członków pokonanego w walce nieprzyjaciela; to drugich okryła twardym kamienistym puklerzem lub grzbiet ich najeżyła ostremi igłami, a innym jeszcze wlała cudowną zmyślność zabezpieczania sztuką swego istnienia. A wieleż to cudownego przemysłu widziemy w obyczajach tych wszystkich stworzeń, jakież dowcipne i rozmaite środki dostawania i zabezpieczania sobie żywności! Jedne lękliwe i żywiące się roślinami obdarzone zostały poczwórnym żołądkiem, by naładowawszy obszerną jedną jego komorę, gdy się znajdą w spokojnym i bezpiecznym miejscu, pokarm powtórnie przeżuć mogły; inne czyhają ukryci na nieprzyjaciół; małe owady kopią głębokie doły, by wpaść w nie uchwycić zdobycz, a szkaradne pająki rozpinają wszędzie swe zdradzieckie siatki.

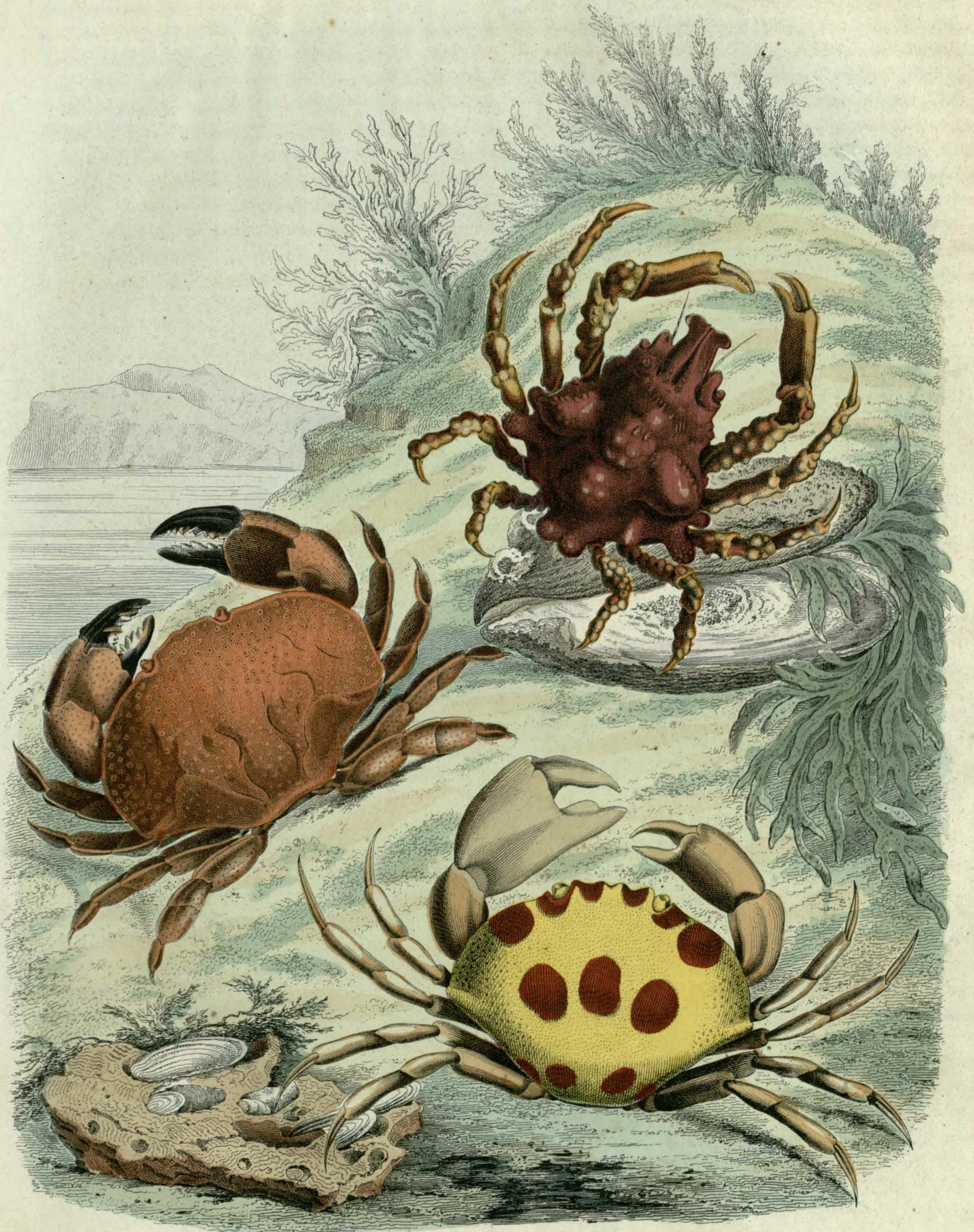
Tymczasem tłum ludu coraz się powiększał przez napływ z różnych stron ciekawych. Zapalono pewną liczbę ogni; bo Chińczycy bardzo lubią fajerwerki i illuminacye. Żadnej też nie opuszczają sposobności, aby tylko spalić kilka funtów prochu. Aż mnie strach przejmował, patrząc na podpalanie wysuszonych chat z bambusu, i prawdziwie szczególnemu szczęściu przypisać należało że wśród tych igraszek z ogniem silniejszy powiew wiatru całą dzielnicę miasta w popiół nie zamienił; z wybuchnięcia bowiem pożaru w cyrkule tak natłoczonym masą ludzi i towarów najstraszniejsze skutki niezawodnieby wynikły.

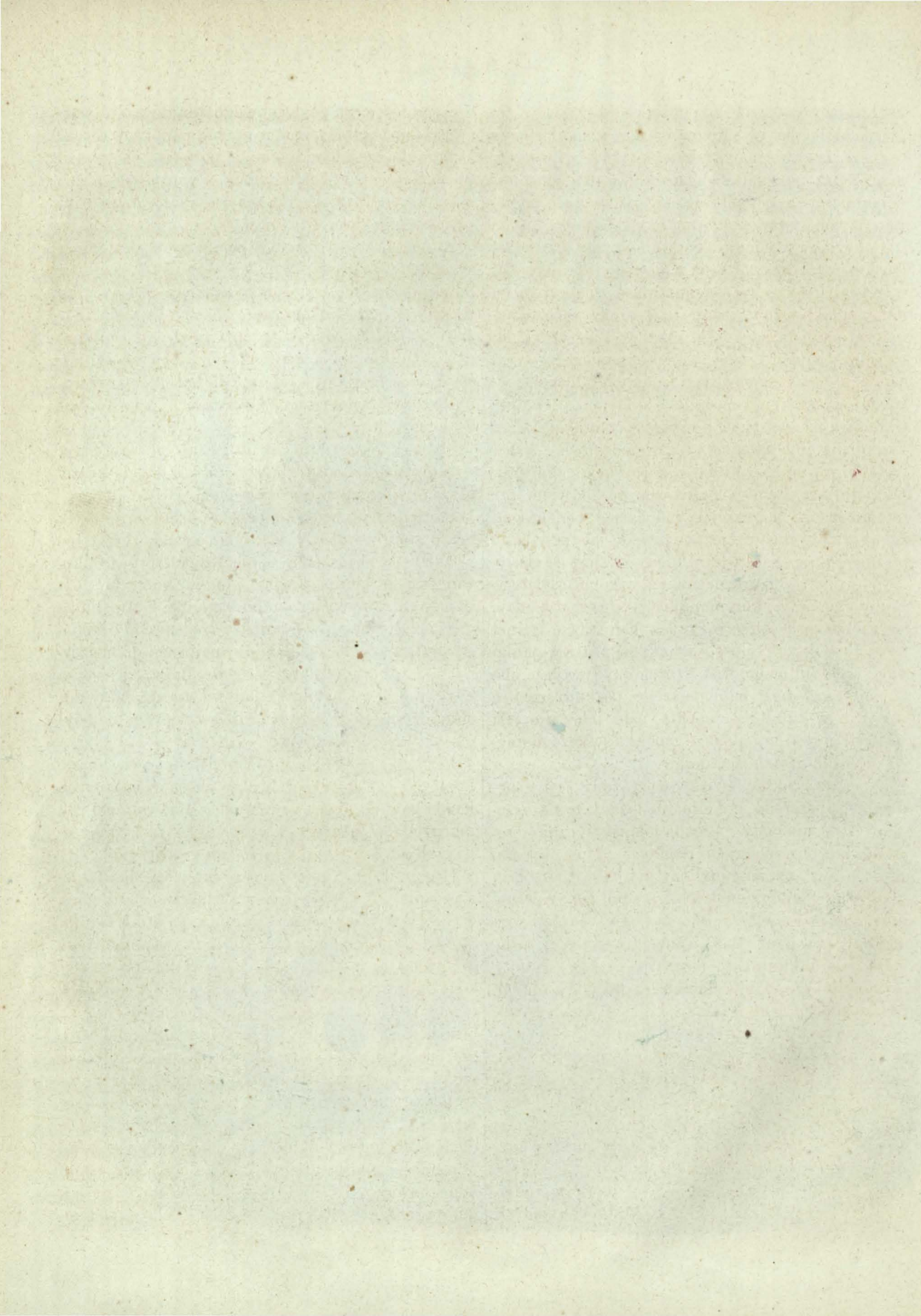
Tak więc wszystkie stworzenia, te dzieci dobrej matki natury, otrzymawszy organizacją i sposobem życia odpowiednie celowi do jakiego zrodzone zostały, i przykładając się do ogólnej harmonii ziemi, godne są zarówno, nawet będąc postawione w odosobnieniu, uwagi badawczych i myślących czytelników. Rozważając wspaniały obraz natury, umysł ludzki, nie mogąc objąć jego obszernych widoków jednym rzutem, stara się systematycznie, zgodnie z istotą rozdzielić go na mniejsze części, aby się im dokładniej przyjrzyć, i dopiero znaczenie każdej cząstki w ogólnym łańcuchu stworzeń ocenić.

Tą drogą i my postępując, zajmiemy się obecnie w szczególach niewielkim ale ciekawym ze sposobu życia i organizacyi pokrewieństwem *Krabów* należących do ogólnej rodziny *Czerwiów*, której głównymi przedstawicielami w ostatecznych krańcach są tak dobrze znajome raki i stonogi.

Kraby (*Brachyuræ*) stanowią ważne pokrewieństwo w rzędzie dziesięcionogich (*Decapodæ*), i różnią się od innych czerwiów, a mianowicie od zwyczajnych raków, bardzo krótkim cztero do siedmiu członkowatym ogonem, który zwykle podwinięty pod spodem ciała leży, w skutku czego na pierwszy rzut oka wydaje się jakby kraby ogona zupełnie nie posiadały.

Głowa i tułów u krabów zlane są w jedną masę, którą okrywa wielka skorupa czyli puklerz, przedłużający się do punktu przymocowania nóg i





zachodzący w tył aż do początku odwłoka. Z tego ukształcenia wynika że u krabów, jakkolwiek te bezsprzecznie należą do zwierząt stawowatych, z zewnątrz nieznaczą żadnego śladu dzielenia pierścieniowatych, a całe ciało przedstawia się jak jedno dzwono twardą skorupą okryte.

Pokryciowy ten skielec krabów ma zazwyczaj bardzo znaczną twardość, najczęściej prawie kamienistą, i w rzeczy samej zawiera znaczny stosunek węglanu wapna. Stałą tę powłokę uważać należy za gatunek naskórka, gdyż pod nią leży błona odpowiadająca właściwej skórze zwierząt wyższych, a tamta w pewnych epokach odłącza się i spada, jak naskórek na gadach, albo też błona pokryciowa na gąsienicach owadów, która się kilkakrotnie na nich odnawia. Łatwo zrozumieć potrzebę tych wylenień u krabów, których całe ciało zamknięte jest w stałym pokrowcu; ten bowiem, nie mogąc rosnąć tak szybko jak części będące pod nim, stawilby niezwyciężoną zawadę ich rozwijaniu się, gdyby nie spadł wtedy, kiedy już jest za ciasny do wygodnego umieszczenia ich w sobie. Dlatego kraby zmieniają skórę dopóki tylko rosną, a zdaje się że większa ich część przez całe życie wzrost swój powiększa. Sposób w jaki się pozbywają dawnej powłoki nader jest szczególny: zwykle ona z nich złazi bez najmniejszego uszkodzenia, a w chwili w której ją zrzucają, całe ich ciało jest pokryte nową; ta jednakże, miękka jeszcze, dopiero po kilku dniach twardnieje.

Nerwowy układ u krabów złożony jest z podwójnego szeregu ganglionów leżących na brzuchowej stronie ciała. Liczba ich zazwyczaj odpowiada liczbie osobnych działów z których ciało się składa, i zawsze gangliony pierwszej pary leżą w głowie, gdzie gatunek mózgu stanowią; ale rozporządzenie innych ganglionów bywa bardzo rozmaite, a nawet niekiedy koncentruje się w jedną masę w środku tułowu leżącą.

Oczy u krabów ukształcone są tak jak u innych czerwi, albo pojedyncze albo złożone, i umieszczone na ruchomych szypułkach, urządzenie którego w żadnym oddziale rozgałęzienia zwierząt stawowatych nie widziemy, a które jednakże zapewnia im możliwość widzenia na wszystkie strony bez odwracania głowy, która jest z piersiami stale zrosniętą. Znajduje się także w głowie ich mała rurka z każdego boku, zastępująca kanały słuchu.

Organy żucia i trawienia u krabów są w zadziwiający sposób urządzone. U krabów żujących

z przodu otworu pokarmowego znajduje się warga krótka i poprzeczna, a za nią para żuwaczek. Warga dolna, jedna lub dwie pary szczęk właściwych i jedna para posiłkowych, utworzonych przez osadowe stawy nóg, ułatwiają rozdrabnianie zbyt twardych pokarmów.

Kanał trawiący rozciąga się od głowy do tylnego końca odwłoka i składa się z bardzo krótkiego, ledwo dojrzanego gardziela, z wielkiego żołądka wewnątrz uzbrojonego potężnymi zębami do rozcierania powtórnego pokarmów ze zbytnią żarłocznością połkniętych, z кишки cienkiej i кишки odchodowej. Żółć u krabów wydzielą się z wątroby bardzo rozgałęzionej i składającej się z kilku kłapek.

Co do sposobu którym chyl, czyli pokarm przerobiony, przechodzi z кишки do przyrzędu krążenia, niewiele nam jest wiadomym.

Krew jest po większej części bezbarwna, lub też lekko zafarbowana, i łatwo się zsiada. Płyn ten wprawia w poruszenie serce leżące na pośrodkowej linii grzbietu i złożone z jednej komórki. Żyły są bardzo nieznaczne, niezupełne i utworzone głównie z odstępów pomiędzy rozmaitemi organami środkującymi; wpadają one najprzód do obszernych zatok u podstawy nóg znajdujących się, a z wydrążeń tych ciecz udaje się do organów odchodowych, poczem wraca do serca przez należyte odosobnione kanały.

Przyrząd odchodowy u krabów stanowią skrzela złożone ze znacznej liczby piramid, z których każda zawiera mnóstwo małych walców ułożonych jak włosy w szczotce, albo też z blaszek poukładanych jak karty w książce jedne na drugich.

Organy te przymocowane są końcem do dolnego brzegu sklepienia boków i zamknięte w dwóch wielkich wydrążeniach, które leżą na bokach tułowu, pomiędzy skorupą a dopięro wspomnianym sklepieniem. Od jamy oddechowej dane są na wewnątrz dwa otwory: jeden, którym woda wchodzi, leżący niemal zawsze między podstawą nóg a brzegiem skorupy; drugi, którym ta ciecz odchodzi, umieszczony na bokach gęby. Nakoniec odnowę wody na powierzchni skrzeli uskuteczniają poruszenia wielkiej klapy przy tym ostatnim otworze leżącej. Pomiedzy krabami *pałnik* (*Gecarcinus*) czyli krab lądowy daje nam znakomity przykład odrębności pod względem ukształcenia przyrzędu oddechowego. Kraby te, zamiast żyć w wodzie jak inne tego pokrewieństwa, przemieszkują na lądzie,

a lubo mają skrzela, niektóre wszakże dziwnym przeciwieństwem prędko giną, będąc pogrążone w wodę. W rzeczy samej oddychanie ich nadto jest czynne, ażeby mała ilość tlenu w wodzie rozpuszczona wystarczyć im mogła, gdy tymczasem w powietrzu obficie ten gaz znajdują. Niekiedy u tych krabów znajduje się na dnie jamy oddechowej gatunek korytka przeznaczonego na zachowanie wody, któraby utrzymywała wilgoć koło skrzeli. Inną razą jest przy sklepieniu tej jamy gąbczasta błona, zdająca się na ten sam użytek służyć. Większa część tych lądowych krabów trzyma się za zwyczaj w lasach wilgotnych i kryje się [tam w jamy wykopane w ziemi. Kraby posiadają zwykle pięć par nóg, niekiedy dosyć długich, stawowatych. Pierwsza para zawsze bywa nożycami opatrzoną, następne zaś pary służą do miejscowości, i są tak urządzone iż zwierzę zarówno w bok, w tył i naprzód chodzić może.

Płodność krabów jest godną uwagi. Organ płciowy u samców znajduje się umieszczonym na końcu ogona, który jest u nich wązki, trójgraniasty, przeciwnie zaś u samicy szeroki, zaokrąglony i opatrzony pięcią parami nitkowatych przysadków, służących do utrzymywania jaj.

Rozmnażanie krabów odbywa się przez ikrę podobną rybięj, którą w postaci winogron powiazaną nosi samica, przytrzymując ogonowemi przysadkami. Nader ciekawą rzeczą jest rozwijanie się płodu. Już w samym zarodku jaja po zapłodnieniu dostrzedz można pierwsze kształty zwierzęcia; znajdujemy tam ślad kościanego puklerza, punkciki odpowiadające nogom, przysadkom, a nawet głaszczkom. Następnie żółtko zupełnie zostaje zamknięte wewnątrz skorupy i kształty coraz stają się wybitniejsze. Po wyjściu z jajek kraby nie podlegają żadnej przemianie, prócz powyżej opisanemu lenieniu się skóry.

Kraby, jak powiedzieliśmy, są nader płodne; w pewnym gatunku znaleziono 21,699 jaj w jednym indywiduum, i wkrótce te zwierzęta zaludniłyby ocean, gdyby w jego łonie nie ukrywały się hordy nieprzyjaciół krabiego rodu. Tak np. ryby, prawem odwetu, chciwe są bardzo na te młode zwierzęta; śledzie, chociaż dosyć słabo w zęby opatrzone, żyją prawie samemi małemi krabami i innemi czerwiami, a jeżeli niezliczone ich gromady corocznie przybywają ku brzegom Europy, to dlatego że w tych morzach pełno wtenczas

małych czerwiów, które są najobfitszą manną dla mających się narodzić małych śledzi.

Kraby są po większej części morskie, żarłoczne zwierzęta; uzbrojone przeciwko wszystkiemu co się zbliży, szczypiące i kalęczące wszystkie inne nie mające tak mocnych pancerzów, chodzą i pływają zarówno w tył jak naprzód i na wszystkie strony, wciskają się w wydrążenia, aby czatować na zdobycz, której zbliżenie czują za pomocą swych rożków, i którą nawet poznawają na ciemnych dnach w nocy, gdyż widzą wtenczas tak dobrze jak koty. Są nawet kraby które na pewnych brzegach z morza w nocy wychodzą i gromadami zbierają się na wysepki i zasy piaszczyste, szukając zwierząt na nie wyrzuconych. Często biją się one między sobą o tę zdobycz i pasują się potężnie, ucinając sobie nawzajem kleszczami nogi albo rożki; ale jeśli te nożyce w swym stawie się urwą, w parę tygodni, nawet i kilkakrotnie, nowe im odrastają. Dlatego też widzimy kraby z jedną nożycą mniejszą od drugiej, a w hiszpańskich portach, nałowiwszy jednego gatunku zwanego *boccace*, urywają mu tylko wielkie kleszcze, ażeby też same potem ułowić z dorosłemi nowemi kleszczami i tym sposobem kilka razy pozbawiać je takowych, gdyż do jedzenia są dobre. Rzeczą jest niemniej szczególną że kleszcze te po odłączeniu od zwierzęcia same się jeszcze ściskają za podaniem palca, jak gdyby dziedziczyły zmyślność zemsty, dopóki w nich jeszcze cokolwiek życia pozostaje.

Pątniki, fioletowe kraby Martyniki, robią sobie norę u spodu skał i wychodzą z nich podczas deszczu, nade wszystko w nocy. To zwierzę postępuje bokiem, i jakby zawsze miało się na ostrożności, nastawia naprzód swą wielką nożycę. Gdy przestraszone zostanie, mocno klapie szczękami; sądziłby kto że wpada w gniew i gotuje się do boju, ale ujęte za tę nożycę, natychmiast wykręca się, tak iż ją ułamuje i w rękę zostawia, samo zaś z jedną tylko ucieka do dziury. Często zbierze się tyle tysięcy tych zwierząt, że muszą ich kijami odpedzać. Murzyni używają ich do jedzenia.

Wiele krabów okazuje także przemyśl, wykopując sobie mieszkania, z których kleszcze tylko wystawiwszy, czatują na zdobycz, jak zbójcy w zasadzce. Mówią że niektóre gatunki krabów, zbliżając się do ostryg i innych muszli dwuskorupnych, rzucają w nie kamyczek, ażeby zamknięciu się ich

skorup przeszkodzić, i tym sposobem bezpiecznie zwierzę z pośród nich wyjeść.

Jeden maleńki krab, od ziarnka grochu nie większy, nie mając innej obrony przed nieprzyjaciółmi, zręcznego używa przemyśłu. Robi się on przyjacielem i stołownikiem wielkiej jakiej ostrygi, szynki np., wchodzi do jej muszli i żyje z nią; gdy zaś ta ostryga, będąc ślepą, mogłaby niespodzianie od jakiego drapieżnego zwierzęcia zostać napadniętą, mały krab, nazwany strzeżnikiem, troskliwy o swą gospodynię, a razem bojący się i o siebie, ostrzega ją uszczypnięciem, aby zamknęła muszlę dla bezpieczeństwa.

Są inne kraby, które mając ogon niewielki i miękki, smaczny kąsek dla swych współziomków żarłocznych, szukają muszli jednoskorupnej albo spiralnej jakiego ślimaka morskiego, lub kamiennej rurki wielkiego robaka, rurówki. Bądź że pożerają biédnego ślimaka zanim izdebkę jego opanują, bądź że znajdują ją próżną, sadowią się w niej wygodnie, z tak skradzioną chatką przechadzają się, a na najmniejsze niebezpieczeństwo kryją się do niej. Gdy podrosną, rugują inne większe ślimaki, starając się izdebkę ich opanować prawem mocniejszego, prawem odwiecznym i zupełnie uznanym pomiędzy wszystkimi, bez żadnego wyjątku, zwierzętami kuli ziemskiej.

Kraby, jak powiedzieliśmy, są po większej części zwierzętami morskimi, niektóre jednakże przebywają jużto w wodach słodkich, już w wilgotnych lasach nowego świata. Tak np. w jeziorach południowych Włoch żyją tak nazwane *Graniatki* (Quadrilatera) nader poszukiwane na pokarm w dnie postne. Kraby te, podobnie jak lądowe indyjskie lub antylskie, na pewien czas opuszczają wody, dążąc w ciemiste lasy, lub zamieszkują wilgotne doły w bliskości jezior, gdzie ich też znaczną ilość wylawiają. Krabów znamy wielką liczbę, wszystkie jednakże rozdzielono na siedm naturalnych grup, jak następuje:

1. *Pływacze* (Natatores), u których tylna para nóg, rozszerzona w szerokie pletwy nakszałt wiosel, służyć może z wielką łatwością do poruszeń wśród wody, czyli do pływania. Żyją zwykle w morzach, gdzie daleko od brzegów wytaczają sobie wzajemnie straszne boje, i gdzie odbywają rozbójnicze lowy. W morzach europejskich prze-mieszkuje tak nazwany *Szabrak aksamitowy* (Portunus puber), którego skorupa, pokryta niewiel-

kiemi włoskami, ma podobieństwo do aksamitu. Mięso ich jest bardzo cenione.

2. *Oblęczatki* (Arcuata) różnią się od poprzednich ukształceniem nóg, których budowa raczej zastosowaną jest do biegu aniżeli do pływania. Postać ich jest brzydka, kabłakowata, okrągło wykrojona, a z tyłu zwężona; oczy na krótkich szypułkach osadzone. Zamieszkują wszystkie morza i są nader żarłoczne, żyją długo i dochodzą częstokroć znakomitej wielkości. Największe są *kraby zwyczajne* (Cancer maenas), poławiane w morzach Śródziemnym i Północnym.

Do téj także grupy należy *krab chodacznik* (Cancer pagurus), którego anatomia, najlepiej poznana, niejedną tajemnicę ciekawego życia krabów rozkryła. Ciało ich bywa często na jedną stopę długie i tyleż szerokie, czerwono-żółtą, kamienistą, z dziewięcią wycinanymi po brzegach ząbkami, skorupą okryte. Mięso mają nader smaczne, i ztąd też w wielkiej liczbie bywają wylawiane; płodność ich jednakże nader jest wielka, i przez to obfitość tych zwierząt staje się niewyczerpaną. W czasie parzenia się samce srodze się biją między sobą o samice; uderzają na siebie głowami, nakszałt baranów; potem schwyciwszy się mocno potężnymi szczękami albo kleszczami, porodziłyby się, gdyby nie tak trwale uzbrojone były; przewracają się, biją nogami i w zapalczywości częstokroć ucinają je sobie.

3. *Graniatki* (Quadrilatera), ciało ich sercowate okryte jest skorupą podgiętą, jakby obszerną kapą. Oddział ten nader jest liczny w gatunki.

Tu należą małe brunatno-czerwone: *Leże marmurkowe* (Grapsus marmoratus), znajdujące się we wszystkich prawie europejskich morzach; tu znakomite swym przemyśłem i organizacją kraby lądowe, zwane *Patnikami lądowymi* (Gecarcinus ruricola), zamieszkujące wschodnie Indyje i południowe kraje Ameryki; *Wielkonogi* (Gonoplax) odznaczające się wielkością swych nożyc, zdające się trząść i mrugać gdy niemi poruszać zacząną; tu także doliczyć należy dziwacznej postaci *kraby pstrokate* (Cancer maculatus) na figurze 1 i *czerwone* (Cancer integerrimus) na figurze 2 obok dołączonej tablicy przedstawione, obydwie w wschodnio-indyjskich wodach w bliskości brzegów przebywające.

4. *Brzuchatki* (Orbiculata) okrągłej lub jajowatej postaci, okryte bardzo twardą skorupą. Wszy-

stkie zamieszkują indyjskie wody, i są nader żarłoczne.

5. *Jeżokraby* (Trigona), trójgraniasta, nieco lej-kowata skorupa, guzami i włoskami porośła do-brze, odróżnia tę grupę od poprzedzających. Nogi u tych krabów są bardzo długie i cienkie, przez co zwierzęta te mają nieco podobieństwa do pają-ków, co spowodowało nazwę *pająki morskie*, na-daną im przez niektórych pisarzy. Wszystkie są mieszkańcami mórz; w Śródziemnym znajdu-ją się niewielkie tego oddziału kraby, z brodawkowatą skorupą i pięcioma kolcami z każdej strony, zwa-ne *Jeżokrabami* (Maja). Zwierzęta te poczytywa-ne były w starożytności za nadzwyczajne istoty, których skorupy składano w ofierze na ołtarzu Dyany.

W północnych morzach pospolitym jest pająko-waty krab (*Doclaea araneus*) z bardzo długimi nogami, ze skorupą bulistą, całkowicie pokrytą szarą barwą. W Śródziemnym morzu znajduje się gatunek zwany *Dziobokrabem* (*Lissa chiragra*) figu-

ra 3, którego członkowaty pyszczek z dwóch krę-gelkowatych części jest złożony. Kolor jego sko-rupy, powyginanej w guzy, jest wątrobiasto-czer-wony, nogi zaś dość długie, sęczkowato upstrzo-ne, cienkie, koloru żółtawego.

6. *Krytonogie* (Cryptopoda) noszą na sobie po-krzywiony, półkulisty pancerz, którego najwyż-szy punkt wznosi się ponad trzema tylnymi para-mi nóg, tak iż te ukryte być mogą.

W morzu Śródziemnym poławia się niekiedy ga-tunek zwany *Taczalką* (*Calappa granulata*), z czer-wonym grzbietem na żółtej tarczy.

7. *Grzbietonogi* (Notopoda), u których nogi nie w równej wysokości jak u innych grup są stawami opatrzone, ale cztery ostatnie pary stoją zagięte ku grzbietowi, przytrzymując niekiedy gąbkę lub płaską muszlę, którą okrywają grzbiet miękki, dla zasłonięcia go odrazów. Taką jest owa sławna *Nasiebiora amerykańska* (*Dromia Rhumphli*). Tu także należy *Żabokrab* (*Ranina serrata*), którego mięso jest trucizną.

WYBUCH WULKANU MAUNA LOA

NA WYSPACH SANDWICH.

Wieczorem 11 sierpnia 1855 r. ujrzano światło błyszczące naksztalt gwiazdy na północno-zacho-dnim wierzchołku góry Mauna Loa, najważniej-szego wulkanu wyspy Hawaï, w wysokości około 16,000 stóp nad poziomem morza. Światło to szybko się powiększało, i wkrótce doszło do wiel-kości kręgu słonecznego, rzucając przytém jaskra-we we wszystkich kierunkach błyskawice.

Był to początek wybuchu, którego opis szcze-gółowy skrzył missyonarz angielski, Tytus Coan. Ze sprawozdania jego podajemy czytelnikom na-szym ciekawe w wielu względach wyjątki.

Hilo (Hawaï), 15 października 1855 r.

Za kilka dni Hilo przestanie może istnieć. Miecz zawieszony jest nad naszymi głowami. Płonący po-tok lawy coraz dalej i dalej ogarnia lasy i zarośla położone za miastem; postęp jego jest wolny, lecz niepowstrzymany.

Od sześćdziesięciu pięciu dni czeluść Mauna

Loa bucha płomieniami. Góra od wierzchołka do podstawy zdaje się być morzem ognistym, któ-rego niszczącej potędze żadna przeszkoda poło-żyć kresu nie zdoła. Straszliwe jego fale zmiata-ją niebotyczne drzewa i zaciérając wszelki ślad ro-slinności, zostawiają poza sobą czarną tylko bruz-dę spustoszenia.

W towarzystwie p. Mac Cully, urzędnika w Hi-lo, i kilku krajowców zrobiłem przed dwoma ty-godniami wycieczkę, w celu bliższego zbadania okropnej tej klęski. Postępowaliśmy wzdłuż rzé-ki Wajluku, z trudnością torując sobie drogę przez gęstwinę. Przebywszy pierwszego dnia około 12 mil ¹⁾, zanocowaliśmy pod osłoną wielkiego drze-wa. Nazajutrz posunęliśmy się jeszcze o 12 mil

¹⁾ W całym tym artykule mowa jest zawsze o milach an-gielskich, których, jak wiadomo, idzie $4\frac{3}{5}$ na milę geografi-czną.

naprzód, idąc po większej części korytem rzeki, której woda była płytka.

Następną noc, pośród ciszy przerywanej tylko krzykami wystraszonych zwierząt, szmerem strumyków i szumem sąsiedniego wodospadu, usłaliśmy sobie łoże z paproci, pod pniem powalonego drzewa. Minęliśmy już o mil kilka potok lawy płynący w kierunku na Hilo, lecz będąc od niego przedzieleni szerokim pasem nieprzebytych prawie zarosli, ośmieliliśmy się nazajutrz iść jeszcze dalej, i po północy dosięgliśmy końca lasu, odbywszy tę część drogi w pół trzecia dnia z okładem.

Trzeciego dnia gęsty тумan mgły osłonił nam otaczające przedmioty; pod wieczór jednak powietrze się rozjaśniło, i widzieliśmy w oddaleniu błyski ogniów wulkanicznych, nietylko na stoku samej góry, lecz także w lesie leżącym bliżej Hilo. Nazajutrz ze świtem opuściliśmy nocne nasze stanowisko, i o godzinie 7½ rano stanęliśmy nieopodal strumienia rozpalonej lawy, którego szerokość oceniliśmy na mil trzy. Miejscami strumień ten tworzył jakby ogniste jeziora, z małymi wysepkami, wcale jak się zdawało nietkniętymi. Noc przepędziliśmy na zastygłej z dawniejszych wybuchów lawie, z kąd pyszny na płynącą pod nami rzekę płomienną przedstawiał się widok.

Piątego dnia, w sobotę, od rana ciągnęliśmy dalej mozolną naszą wędrówkę, pośród oslepiającego i duszącego dymu i gorąca. O godzinie 10 wdrapaliśmy się na jeden ze szczytów dających widok na buchające ogniem pomniejszych kratery, i przed zdumionym naszym wzrokiem roztoczył się jeden z najwspanialszych, lecz razem najokropniejszych, dramatów przyrody. Potok lawy płynął w stanie zupełnego roztopienia, z szybkością przynajmniej 40 mil na godzinę. Środek jego rozpalony był do białości; po brzegach pasy czerwone, jakby ząbkowane i najeżone żuzłami. Od tego miejsca aż do głównej czeluści na szczycie, droga nasza była ciągiem scen najciekawszych i tak silnie działających na wyobraźnię, iż niepodobna opisać ich słowami.

W miarę jak się wstępowali coraz wyżej, wyziewy wulkanu stawały się tak duszącymi, że musieliśmy użyć całej ostrożności, a mianowicie stosować się do wiatru, chcąc się zbliżyć do strumienia lub kraterów. Po długim nareszcie i nużącym wdrapywaniu się na urwiska, stanęliśmy o godzinie pierwszej po południu na najwyższym cyplu Mauna Loa, panującym nad główną czeluścią

wybuchu, z kąd spodziewaliśmy się ujrzeć ogniste fale rozhukanego żywiołu; lecz zamiast tego otwór wulkanu okazał nam się prawie całkowicie zapchanym żuzłami i popiołem, z których dym i gaz wydobywały się z szumem podobnym do świstu pary uchodzącej klapą bezpieczeństwa. Strumienie lawy wypływały na powierzchnię góry dopiero o mil kilka poniżej krateru, i dalej znów miejscami ukrywały się w przepaściach podziemnych. Największy z nich może mieć dotąd, ze wszystkimi zakrętami, około 60 mil długości, a droga jego zajmuje środek pomiędzy liniami wybuchów z lat 1843 i 1852.

Resztę soboty i niedzielę przepędziliśmy na tym nagim wierzchołku, pod gołym niebem. W zapale badawczej ciekawości nie spostrzegliśmy że zapas nasz wody prawie był wyczerpany, a świeżej znikąd dostać nie można było, bo nawet śnieg stopniał wszędzie od gorąca. Pomimo więc palącego pragnienia musieliśmy obywać się jedną łyżką wody na osobę przy każdej biesiadzie: należało bez zwłoki puścić się w drogę powrotną.

Wyruszywszy do dnia w poniedziałek, przybyliśmy o godzinie ósmej rano na miejsce w którym góra pokryta była dość grubym pokładem szronu. Pragnienie tak silnie nas dręczyło, że bez namysłu wszyscy rzuciliśmy się na ziemię, oblizując chciwie piasek i kamienie. W godzinę później znaleźliśmy wodę, za którą Najwyższemu gorące złożyliśmy dziękczynienia. O pierwszej po północy otoczyła nas mgła tak gęsta, że przewodnik nasz stracił kierunek drogi, i musieliśmy zanoć w miejscu. We wtorek rano puściliśmy się na los szczęścia w dalszą podróż, i rzeczywiście pomyślnym wypadkiem trafiliśmy na ścieżkę prowadzącą do szczytu Kilauea, gdzie wypoczęliśmy i zanoć. Następnego dnia przeszedł na rozmierzenie góry i zebraniu niektórych minerałów, a we czwartek byliśmy z powrotem w Hilo, po dziesięciodniowej blisko nieobecności.

Hilo znajduje się teraz w stanie posępnego oczekiwania. Wielka czeluść wierzchołka Mauna Loa nie przestaje być czynną, i potok lawy coraz bardziej się do nas zbliża; już tylko dziesięć mil przedziela nas od niego. Jedni z mieszkańców gotują się do ucieczki, drudzy beczynnie opuszczają ręce; lecz wszyscy lękają się przyszłości.

22 października.

Obawa wyrażona w ostatnim moim doniesieniu nie ziściła się dotąd, dzięki Bogu. Wprawdzie

czynność wulkanu nie ustaje i strumień ognisty posuwa się coraz dalej w głąb lasów przyległych miastu; lecz siła jego zdaje się słabnąć i postęp wolniej. Zresztą wiadomości w tym względzie nas dochodzące dosyć między sobą są sprzeczne. Ja sam, zaledwo odpocząwszy po trudach pierwszej wycieczki i obarczony obowiązkami powołania, nie mogłem dotychczas pomyśleć o przedsięwzięciu powtórnej; lecz skoro tylko wolną znajde chwilę, zamierzam znów puścić się w drogę.

Liczymy dziś siedmdziesiąty drugi dzień wybuchu, a siła jego, jak wspomniałem, prawie się nie zmniejszyła. Lawa ten sam ma charakter co w dawniejszych wybuchach, zawierając, prócz stopionych części metalicznych, najwięcej siarki i siarczanu wapna.

15 listopada.

Od trzech miesięcy przeszło Mauna Loa płomienne wyrzuca potoki, i straszna jego czynność trwa dotąd w całej sile. Długo i bardzo długo z śmiertelną trwogą czekaliśmy chwili w której potok niszczący ogarnie nasze pola, zaleje port, spali okręty i miasto pogrzenie w ruinie. Obecnie jednak, przy coraz wolniejszym postępie lawy, obawa nasza znacznie się zmniejszyła. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy zdaje się że jeśli krater buchać nie przestanie, ognisty jego strumień znajdzie kres w morzu. Czekajmy więc, ufni w miłosierdzie Boskie.

Złatwiwszy niektóre sprawy domowe i obowiązki duchownego, 31 października w towarzystwie p. Ritson i trzech krajowców raz jeszcze udałem się w podróż ku górze. Weszliśmy w gęstwinę, i torując sobie drogę przez zarośla, z trudnością dotarliśmy do rzeki Wajluku. Z niesłychanym mozolem postępowaliśmy jej korytem kamiennym, brnąc w wodzie niekiedy po pas, poślizgując się i padając co kroku. Miejscami napotykalimy prądy lub katarakty, które nas zmuszały opuścić łóżyisko rzeki, a wtedy powolniej jeszcze trzeba było przedziierać się przez las prawie nieprzebyty. Przytém deszcz padał ulewny, i gęste jego krople, pędzone wiatrem, biły nam prosto w oczy. Robiliśmy na godzinę nie więcej nad pół mili do półtoręj, w miarę jak większe lub mniejsze napotykalimy przeszkody.

Wkrótce spostrzegliśmy że kolor rzeki stawał się coraz ciemniejszym, a nakoniec prawie czarnym, z czego wnosiliśmy że potok lawy musiał ją gdzieś powyżej dosięgnąć, i spaliwszy nadbrzeżne lasy,

wodę jej pomieszał z węglem i sokami drzewnymi.

Przed samym zachodem słońca przewodnik kazał nam opuścić koryto Wajluku. Zwróciliśmy się pod kątem prostym na prawo, i po chwili ujrzelśmy potok wulkaniczny, w odległości sześciu tylko sążni. Byliśmy na prawym czyli południowym jego brzegu, o dwie mil mniej więcej ponad najniższym jego punktem. Cała powierzchnia strumienia zasiana była niezliczonemi ogniami dopalających się minerałów i tworów organicznych. Olbrzymie drzewa, które przez kilka godzin, a nawet przez dzień cały, stawiały opór zniszczeniu, padały w naszych oczach, podcięte trawiącym żywiołem, podczas gdy inne, uniesione z miejsc wyższych, toczyły się razem z lawą.

Wspomniałem już w sprawozdaniu z pierwszej swjej wycieczki że potok z głównej czeluści wulkanu wypływa kanałem podziemnym, i dopiero znacznie niżej występując na powierzchnię, w kształcie jezior ognistych zalęwa płaskowzgórza. Tu górny pokład lawy wkrótce stygnie i czernieje; lecz pod tą masą zeskorupiałą żarzące prądy toczą się coraz dalej, miejscami nagłym błyskiem dobywając się na wierzch.

Pierwszą noc przepędziliśmy o 10 kroków od strumienia, przypatrując się jego ruchowi z uczuciem na wpół rozkoszy, na wpół przerażenia. Powierzchnia lawy w większej części była czarną, najeżoną stopionemi i zwęglonemi szczątkami, które zwolna gęstą masą posuwały się ku brzegom. Tym sposobem stanowisko nasze w ciągu nocy zostało niemi prawie otoczone, i rano, w kilkanaście minut po naszym odejściu, drzewo pod którym nocowaliśmy zajęło się płomieniem.

Główny pas lawy zawarty jest rzeką Wajluku płynącą na wschód i jednym z głównych jej strumieni posilkowych, bieżącym od południo-zachodu. Dla dokładniejszego zmierzenia szerokości tego pasu, pragnęliśmy przebyć go w miejscu gdzie grubszy pokład zastyglęj lawy zdawał się na to pozwalać. Lecz w wielu punktach powierzchnia potoku była wydętą od parcia wewnętrznego, i z wydeć tych nieustannie ogniste wytryskały źródła. Nie było ani jednego sążnia kwadratowego bez takich szczelin, i tylko ciągłym zbaczaniem w zygzak można ich było nikiąć. W miarę jednak jakieśmy naprzód postępowali, przeszkody stawały się coraz częstszemi; przytém gorąco tak było nieznośne, że musieliśmy rozpocząć odwrót. Wkraczanie na lawę, świeżą jeszcze i dymiącą,

wyda się może nieobeznany z naturą zjawisk wulkanicznych zbyt zuchwałym, a nawet niepodobnym do prawdy; objaśnić przeto winienem że zwierchnia skorupa ognistego płynu zastyga wkrótce w grubości od 6 cali do 2 stóp, a pod nią dopiero torują sobie drogę potoki, jak woda pod powłoką lodową, gdzieniegdzie tylko wydobywając się na zewnątrz. Można więc bez wielkiego narażenia chodzić po miejscach stwardniałych, i tylko nieznośne gorąco, duszące wyziewy, oraz wytryski o których wyżej wspomniałem, czynią tę wędrówkę niebezpieczną.

Nie znalazłszy miejsca w którymby przebyć można było strumień wulkaniczny, a nadto ostrzeżeni przez przewodnika że z powodu ulewnego deszczu należy wkrótce spodziewać się zalania płaszczyn przez wodę potokami z wyżyn spadającą, o godzinie 10 rano cofnęliśmy się ku rzęce. Fale Wajluku, znacznie już wezbrane, bardzo utrudniły nasz pochód, połączony tym razem z rzeczywistymi niebezpieczeństwami. Zmęczeni też niezmiernie, poczerniali od dymu i przemokli do nitki, wróciliśmy do miasta w stanie najopłakańszym.

20 listopada.

Od czasu ostatniej mojej wycieczki strumień lawy zbliżył się jeszcze o dwie mile. Oddalenie jego od brzegu wynosi już tylko mil ośm. Pomimo przykrości drogi, można teraz w jednym dniu dosięgnąć go i powrócić. Postępuje już tylko z szybkością jedną mil na tydzień; lecz prędkość ta zapewne się zwiększy skoro przebędzie lasy. Po sześciu a najdalej ośmiu tygodniach rozwiązać się musi straszliwe pytanie, czy Hilo istnieć nadal będzie pośród otaczającej go zieleni, czy legnie w gruzach pod tchnieniem niszczącego żywiołu.

*

Na tém kończy się sprawozdanie p. Coan. Podaną przez niego wiadomość z późniejszych doniesień dopełniamy jak następuje:

Honolulu (stolica wysp Sandwich) 2 stycznia 1856. Potok lawy postępuje ciągle w szerokości mil trzech, i już tylko o szesć mil oddalonym jest od Hilo, któremu zagraża zalaniem.

1 lutego. Odległość lawy od Hilo wynosi mil

pięć. Mieszkańcy gotują się do opuszczenia miasta.

1 marca. Lawa płynie bez ustanku z czeluści Mauna Loa, i odległą jest od przystani już tylko na mil cztery.

Ostatnia nareszcie wiadomość zawiera te tylko słowa:

20 marca. Wulkan nie przestaje być czynnym.

Wybuch ten nadzwyczajnie jest ważnym i zasługuje na dokładniejsze zbadanie naukowe. Podobnie jak wybuchy z lat 1843 i 1852, został on zapowiedzianym zjawieniem się światłego punktu na wierzchołku góry. Przez cały czas jego trwania nie dało się uczuć ani razu trzęsienie ziemi, a lawa buchająca z krateru odznaczała się niezwykłą płynnością. Godnym jest także uwagi iż p. Coan w sprawozdaniu swoim nie wspomina wcale o przedmiotach stałych, jak żuzle, kamienie i t. p., wyrzucanych w powietrze z czeluści wulkanu, co przy wybuchach innych gór prawie zawsze ma miejsce.

W końcu wspomnieć nam jeszcze wypada o ciekawym dla nauki fakcie, że nieco wcześniej w tymże roku (1 maja 1855) rozpoczął się wybuch Wezuwiusza, z wielu względów, a mianowicie z braku trzęsień, z płynności i obfitości lawy, tudzież ze szczupłej liczby wyrzucanych z krateru przedmiotów stałych, nadzwyczaj podobny do wybuchu Mauna Loa. Naprowadza to na myśl łączności jakiejś między temi dwoma zjawiskami, i zdaje się potwierdzać zdanie p. Perrey, który utrzymuje iż wewnątrz planety naszej odbywa się ruch peryodyczny, podobny do przypływu i odpływu morza. Podczas ostatniego wybuchu Wezuwiusza uważano dwa razy na dzień, rano i wieczorem, silniejsze płynienie lawy, i to w przerwach regularnych, *nieco dłuższych jak dwanaście godzin.* Nadto oba wspomniane tu wybuchy rozpoczęły się przed samą zmianą kwadry, wybuch Wezuwiusza w wigilię pełni, wybuch Mauna Loa w wigilię nowiu. Zaprawdę, porównanie do przypływu i odpływu morskiego, odbywającego się, jak wiadomo, także co 12 godzin 22 minut i zależnego od wpływu księżyca, mimowolnie się tu nasuwa.

KANDYDACI DO PREZYDENTURY

STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Skończyła się walka wyborcza, która tak długo wstrząsała całym związkiem amerykańskim, a w kołach dyplomatycznych Europy żywe obudzała zajęcie. Była to walka nietyle osób co zasad, walka dwóch wielkich stronnictw dzielących dziś Stany Zjednoczone na dwa przeciwne obozy: *demokratów* (stronników niewolnictwa) i *republikanów* czyli *abolicyonistów* (dążących do zniesienia niewoli).

Kandydatem stronnictwa pierwszego był p. Buchanan, drugiego p. Frémont, i ci dwaj tylko rzeczywiście groźnemi dla siebie byli przeciwnikami; trzeci bowiem pretendent do godności prezydenta rzeczypospolitej amerykańskiej, pan Fillmore, kandydat stronnictwa *knownothingów* (starowierców purytańskich, przeciwników wszelkich żywołów obcych, a zwłaszcza immigracyi), od samego początku ruchu wyborczego żadnych nie miał widoków.

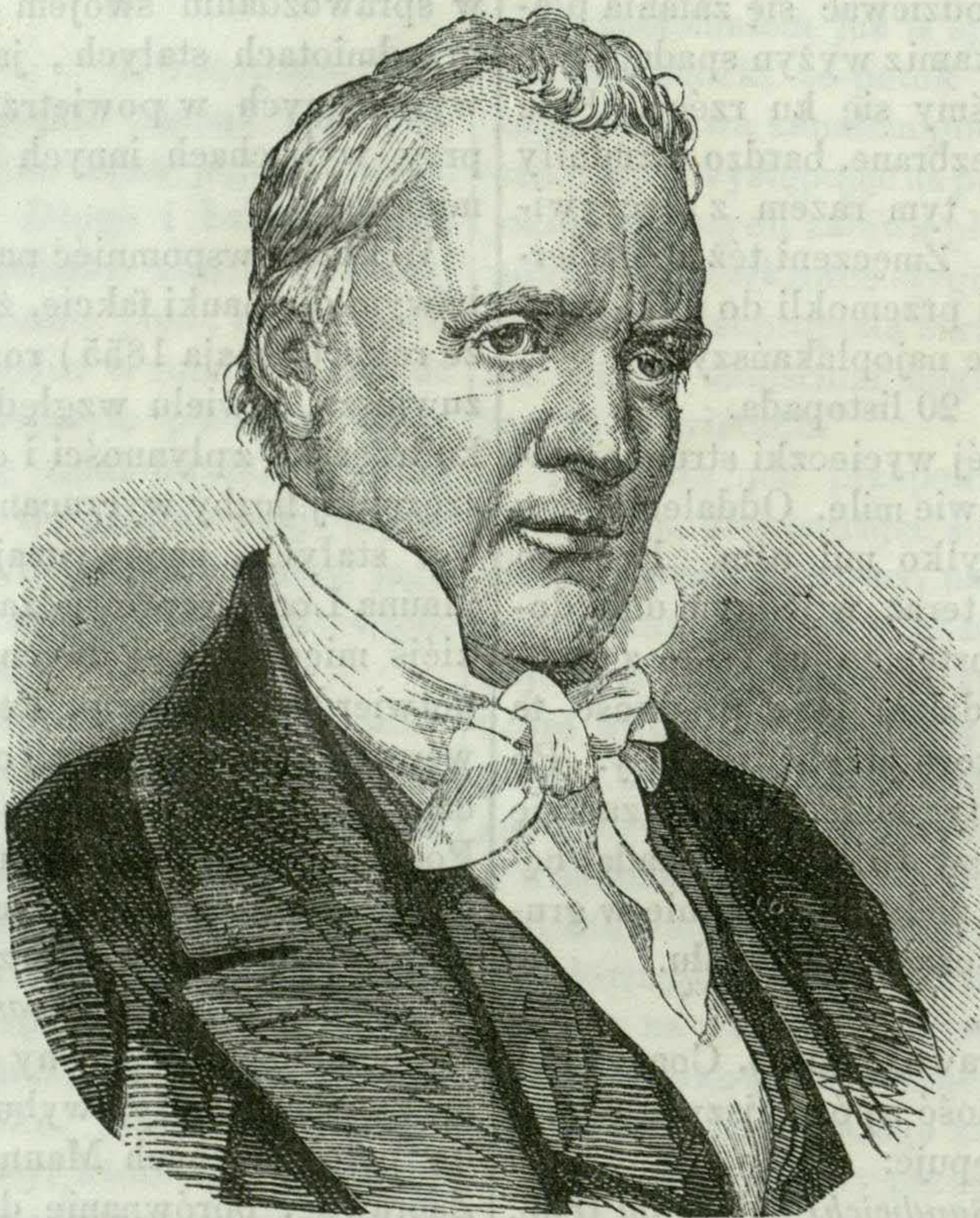
Wiadomo że podług konstytucyi Stanów Zjednoczonych prezydent powinien otrzymać większość bezwzględna, to jest przeszło połowę ogólnej liczby głosów; w razie zaś gdyby żaden z kandydatów nie osiągnął wymaganej większości, kongres rozstrzyga pomiędzy dwoma z nich mającemi najwięcej głosów. Wypadek ten wszakże dotychczas ani razu nie zdarzył się w Ameryce. I teraz nowo-obrany prezydent, p. Buchanan, otrzymał większość bezwzględną, przynajmniej podług głosów pojedynczych Stanów (Buchanan 174, Frémont 114, Fillmore

8); chociaż zliczywszy głosy indywidualne, wypadła dla niego większość tylko prosta (Buchanan 1,725,000, Frémont 1,250,000, Fillmore 750,000).

Pan Buchanan we wszystkich Stanach południowych czyli niewolniczych otrzymał większość, która w każdym pojedynczym Stanie wynosić może około 8,000 głosów. Z piętnastu zato Stanów północnych (przeciwnych niewolnictwu) cztery

tylko, to jest Pensylwania, New-Jersey, Indiana i Illinois, oświadczyły się za nim; w Stanach zaś w których zwyciężył p. Frémont, większość jego wynosi najmniej po 50,000 głosów, w Massachusetts nawet 69,000 a w New-York 77,000.

Liczebne to porównanie ważne następcza uwagi co do przyszłości kwestyi niewolnictwa w Ameryce. Ściśle biorąc tryumf p. Buchanan jest tylko tryumfem tranzakcyi; jego wybór jest nowym kompromisem, zawieszeniem broni, odłożeniem na później ważnego rozstrzygnięcia. Utrzymanie się jego przeciwnika, pana Frémont, byłoby spowodowało



Buchanan.

wało wybuch wojny między dwoma wielkimi stronnictwami na które dzieli się związek amerykański, oderwanie się Stanów południowych niewolniczych i utworzenie osobnego związku. Pierwszy to raz w historii Stanów Zjednoczonych walka przy wyborze prezydenta staczała się w szrankach niewolnictwa i abolicyi. Wyraz na który dawniej każdy obywatel amerykański byłby zadrzał, przejęty oburzeniem i trwogą, wyraz: zerwanie

związku Stanów, rozdział, tym razem wymieniony był głośno i stał się hasłem wyborczym.

To właśnie zatrwożyło wielu obywateli Stanów północnych, stronników zniesienia niewolnictwa, a przynajmniej zamknięcia go w jego dawnych granicach, i ta to część umiarkowanych konserwatystów stanowi większość otrzymaną przez p. Buchanan. Imponująca atoli cyfra mniejszości pana Frémont, niespodziewana i nieprzewidywana przez najgorętszych nawet stronników koalicji, jest zapowiednią zwycięstwa dobrej sprawy w niedalekiej przyszłości. Dziś jeszcze Amerykanie, dla powodów politycznych, unikają ostatecznej walki, i unikać jej będą dopóki tylko zdołają, używając drogi kompromisów i odroczeń; zawsze jednak jest to tylko odwłoka, niezdolna na długo powstrzymać tryumf najświętszych interesów ludzkości.

Po kilku tych słowach wstępnych, koniecznych dla zrozumienia moralnej ważności stoczonej w roku upłynionym walki wyborczej, przystępujemy do skrócenia krótkiej charakterystyki trzech głównych w niej współzawodników, (których tu podajemy wizerunki) zatrzymując się naturalnie najdłużej przy p. Buchanan, jako zajmującym ważne dziś stanowisko w świecie politycznym.

P. Buchanan, nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, urodził się w 1791 roku, ma więc obecnie lat 65. Od młodzięczego już wieku zapowiadał on wysokie zdolności, i wcześniej też wszedł w sferę działań politycznych. W 23 roku życia wybrany jako reprezentant do kongresu, był jednym z najgorliwszych stronników doktryny Monroe, żądającej, jak wiadomo, wcielenia do Stanów Zjednoczonych całego lądu Ameryki. W latach 1831 — 33

wysłany do Petersburga z misją specjalną zawarcia pierwszego traktatu handlowego między Rosją i Stanami Zjednoczonymi, miał sposobność okazania swęj zręczności dyplomatycznej. W roku 1845, za rządów prezydenta Polk'a, został sekretarzem stanu (ministrem spraw wewnętrznych i zagranicznych). W roku 1853 Ameryka, potrzebując wysłać do Anglii, celem załatwienia niektórych kwestyj spornych, najzdolniejszego ze swoich dyplomatów, wybrała p. Buchanan, który spełnieniem tęg nowęj misji niemalę w swęj ojczyźnie uzyskał popularność.

Dwa lata temu, w październiku 1854 roku, ministrowie Stanów Zjednoczonych w Paryżu, Londynie i Madrycie powzięli myśl złożenia kongresu w trójkę, i w celu tym dali sobie schadzke w Akwisgranie i Ostendzie, gdzie bardzo poważnie stanowili o losach przyszłej polityki świata. Pan Buchanan przeważny brał udział w tych uroczystych konferencyach, z których urodził się między innymi sławny ów manifest o przyłączeniu Kuby do Stanów Zjednoczonych, znany pod nazwą manifestu ostendzkiego. Trzej członkowie kongresu w raporcie z swoich



Frémont.

działań zalecali rządowi amerykańskiemu aby najprzód ofiarował Hiszpanii pewną sumę za sprzedaż tęg kolonii; w razie zaś odrzucenia tęg propozycji, mówili dalej, *ponieważ Kuba nieodbycie potrzebną jest dla bezpieczeństwa naszego ukochanego związku*, przeto, podług wszelkich praw boskich i ludzkich, będziemy mieli prawo wydrzecz ją Hiszpanii, jeśli tylko uczynić to zdołamy.

Nie należy jednak zapominać że manifest ten ma już dwa lata wieku; p. Buchanan był wówczas kandydatem do prezydentury, a dziś już został prezydentem. Pomimo więc przystąpienia do manifestu

i uroczystego ponowienia objętych nim oświadczeń z trybuny publicznej na meetingu w Cincinnati, bardzo wątpić należy czy zechce wprowadzić go w wykonanie. Nowy prezydent jest raczej człowiekiem dobijającym się popularności i zaszczytów, niż silnym umysłem pragnącym urzeczywistnić głośno wyznawane zasady polityczne. W każdym razie pan Buchanan ma tę wyższość nad swoim poprzednikiem, panem Pierce, że najdokładniej obeznany jest ze sprawami europejskimi; niemalą bowiem część swego życia spędził jako reprezentant związku przy dworach zagranicznych.

W stosunkach więc z innemi krajami będzie on mógł rozwinąć doświadczenie bardzo rzadko zdarzające się w Stanach Zjednoczonych, i spodziewać się należy że w działaniach swych zewnętrznych i wewnętrznych trzymać się będzie drogi umiarkowania. Podobno już nawet i w kwestyi niewolnictwa pan Buchanan zmienił swe opinie i oświadcza się za przyjęciem Kansas do związku jako Stanu wolnego.

P. *Frémont*, kandydat stronnictwa republikańskiego, nie położył wprawdzie tak znakomitych zasług politycznych, lecz jest to człowiek bardzo światły, zawdzięczający przedsiębiorczości swojej ogromny majątek osobisty. On pierwszy eksploatować zaczął bogate kopalnie kalifornijskie, i osiągnął tam ze wszystkich części świata owe tłu-

my kopaczów, z razu szumowiny różnych społeczności, które z wolna jednakże zaczynają się oczyszczać i wkrótce może złożą jeden z najbardziej zajmujących Stanów Związku amerykańskiego. Nazwisko p. *Frémont* wskazuje pochodzenie jego francuzkie.



Fillmore.

P. *Fillmore*, kandydat stronnictwa know-nothingów, nie pierwszy raz także występuje na widownię polityczną. Był wiceprezydentem podczas rządów jenerała Taylor, a nawet, po nagłej jego śmierci, zastępował go przez czas jakiś w prezydenturze. Tęgość charakteru, połączona z umiarkowaniem, czyniłaby go może najwłaściwszym pośrednikiem między Stanami północnymi i południowymi rozdzielonymi kwestyą niewolnictwa. Mowy też tego męża stanu na zgromadzeniach przygotowawczych świadczą o jego w tym względzie zasadach. „Nie-

chciałbym nigdy, powiedział on między innymi, być prezydentem jednej części narodu przeciw drugiej.” Trudno wprawdzie przeniknąć jakim sposobem pan Fillmore pojednałby zdołał tak sprzeczne i wzajemnie wykluczające się interesa; w każdym jednak razie, jeżeli posiada tę tajemnicę, powinienby jej nauczyć teraźniejszego wybrańca narodu, któremu by ona niezawodnie bardzo się przydała.

KATAKOMBY.

Stawiliśmy, w ciągu istnienia tego pisma, przed oczy czytelników szereg obrazów ze świata zwierzęcego i roślinnego, charakterystyczne i zajmujące sceny z życia społecznego ludów dzikich i cywilizowanych. Dziś niech nam wolno będzie skreślić zarys pobieżny tajemniczych owych podziemiów, w których dawno zaginione pokolenia czekają dnia zmartwychwstania, pomówić o mieszkaniu zmarłych, o katakombach.

Olbrzymie sklepienia skaliste, niezmierne korytarze i groty, rozległe ogrody otwierają się tu przed naszym wzrokiem. Wszystkie one służyły, jak się zdaje, żyjącym, zanim zostały miejscem ostatniego spoczynku zmarłych; zarówno bowiem wspaniałe groby królów egipskich, przechowane pod piaskami libyjskimi, jak katakomby rzymskie i w nowszym dopiero czasie przeznaczone na skład pogrzebowy katakomby paryzkie, były widocznie początkowo łomami kamieni budowlanych, zaopatrzającymi potrzeby krajowców, i dopiero po dostarczeniu materiału na wzniesienie licznych gmachów i grodów potężnych, założono w nich schronienia pośmiertne.

Przyjrzyjmy się nasamprzód starożytnym katakombom *egipskim*, tak zwanym *grobem królewskim* pod Tebami, jako najdawniejszym i największym. Podanie Arabów że groby te miały kiedyś podziemną komunikację z pyramidami memfijskimi nie jest wprawdzie udowodnione; tyle jednak pewna że nie znamy jeszcze całej ich rozległości, i mniemanie iż dosięgały niegdyś dawnego portu Aleksandryi, łącząc się z grotami znanymi pod mianem „łaźni Kleopatry”, dosyć podobne jest do prawdy. Przebieżmy szybkim krokiem to kolosalne miasto umarłych.

Zwykle te podziemne sklepienia które całą podstawę pasma skalnego na lewym brzegu Nilu tysiącami przesiały wydrążeniami, zaczynają się od wielkiego przedsionka czyli groty wstępnej. Ściany téj groty pokrywają hieroglify i kosztowne niekiedy ozdoby a dalej wspaniała arkada prowadzi do sal wykutych w skale, na 15 — 20 stóp wysokich i wspartych kolumnami. Po obu stronach tych sal znajduje się mnóstwo wnęk (nisz) rozmaitej głębokości, w których mieszczą się pojedyncze

mumie. Dalej jeszcze w obszernych korytarzach napotkać można tak zwane *studnie*, czyli składy mumij, ozdobione często malowidłami lub płaskorzeźbami. Studnie te, głęboko i prostopadle wykute, zajmują prawie całą szerokość korytarzów, zostawiając po bokach wąziutkie tylko przejścia. Sala za salą, korytarz za korytarzem, połączone schodami to na dół, to w górę wiodącemi, ciągną się tak bez końca, tworząc prawdziwy labirynt olbrzymich budowli podziemnych.

Na lewym brzegu Nilu, nieopodal wioski Gurnah, znajduje się jeden z najgodniejszych uwagi zabytków tego rodzaju. Miejsce to, jak się zdaje, było grobowcem kapłanów, i w wielu względach różni się zupełnie od katakomb pospolitych. Szerokie galerye prowadzące w głąb góry pokryte są doskonale przechowanymi hieroglifami i płaskorzeźbami, występującymi na tle różowém, którego świeżości zatrzcć nie zdołał nawet przebieg kilkudziesięciu wieków. Wnijście od strony rzeki przedstawia jakby podwórze otoczone kolumnadą. Na prawo brama prowadzi do dwóch sal bogato ozdobionych rzeźbą i malowidłami; druga brama na lewo daje wyjście do obszernego sklepienia, zakończonego długim korytarzem; środkowa nareszcie wiedzie do trzech wielkich po sobie idących komnat, a z tych ostatnia graniczy z labiryntem wykutych w skale i najdziwaczniej powikłanych galeryj i krużganków, w których kilka studni z mumiami nosi ślady grabieży. W ogólności w znanych dziś katakombach egipskich rzadko kiedy napotkać można grobowce nietknięte; żądza zysku niezmierne zrzuciła w nich spustoszenia, i baszom Egiptu należy się wdzięczność że w ostatnich czasach zakazali najsurowiej sprzedawanie podróżnym starożytności, zachowując sobie sam prawo czynienia umiejętniejszych poszukiwań. Minawszy owe studnie mumiowe, przechodzi się ozdobną bramą do szerokiej galeryi, obfitej jeszcze w hieroglify i pamiątki różnego rodzaju od poprzednich, i mieszczącej po obu stronach wnęki z wyciosanymi w postawie siedzącej posążkami. Dalej następuje szereg sal dotychczas, z powodu duszącego w nich powietrza, niezbadanych, a zamieszkanych tylko przez niedopérze.

Właściwe groby królewskie leżą na zachód od wsi Medinet-Abu, w części doliny nilowej zwaną dziś Beban el Maluk. Zamknięte dwoma rzędami skał i przysypane niezmiernym pokładem gruzu, wniście do tych pieczar hermetycznie prawie ubezpieczone jest od przystępu powietrza zewnętrznego. Gdy słońce południowe prostopadle swe promienie rzuci na obnażone szczyty skał, wędrowiec oddychać ledwo może skwarném i duszącém dokola powietrzem, i spieszy szukać chłodu w podziemném zmarłych siedlisku. Istotnie dwóch ludzi z orszaku jenerała francuzkiego Desaix, który w miesiącu wrześniu 1799 roku miejsce to odwiedzał, dosłownie umarło tu z gorąca. Groby królewskie wykute są w skałach w rozmaitej wysokości. Z sześćdziesięciu, które wymienia Herodot, dotychczas odkryto dopiero szesnaście, należących do dynastji tebańskiej. Pojedyncze groby różnią się między sobą rozkładem, wielkością i liczbą pieczar; to jednak mają wspólnego, iż we wszystkich długa galerya, przez większą lub mniejszą ilość sal pysznie przyozdobionych, prowadzi do sali głównej, przez starożytnych Egipcyan zwaną *złotą*. W tych głównych grotach, przewyższających inne rozmiarami i bogactwem, spoczywały mumie samych królów, z których jednakże dotąd ani jednej odszukać nie zdołano, z przyczyny zapewne grabieży poprzedzających epokę badań naukowych.

Ze znanych dziś grobów królewskich aż po najnowsze czasy za największy i najokazalszy poczytywano grób Ramzesa Miamum. Ściany licznych jego komnat pokryte są wiernymi wyobrażeniami sprzętów domowych, odzieży, broni, sztandarów, narzędzi rolniczych, muzycznych i t. p. rzeczy używanych przez Egipcyan, i tym sposobem zawięrają w sobie historją obrazową najdawniejszej cywilizacyi tego ludu, będącą dokładném aż do najdrobniejszych szczegółów odbiciem jego życia społecznego. W jednej na przykład sali znajduje się symboliczne upostaciowanie trzech głównych chwil rolnictwa egipskiego: wylewu, siewów i sprzętu; w innych znów napotkać można przedmioty dotyczące nauk i sztuk pięknych, religii i zwyczajów miejscowych. Dopiero r. 1819 niezmordowany badacz starożytności, Belzoni, odkrył grobowiec króla Usirei, przewyższający jeszcze tamten wykończeniem i świeżością malowideł. „Ktoby opisać chciał ten najlepiej ze wszystkich dochowany zabytek, powiada p. Prokesch von

Osten, który go zwidził lat temu kilkanaście, musiałby zapełnić całe tomy, i niezawodnie, pomimo najsumienniejszego nieodstępowania od prawdy, zostałby przez ogół poczytany za marzyciela. To mnóstwo nieprzeliczone krużganków, kolumnad, pieczar i sal ciągnących się we dwa piętra; te miliony hieroglifów i obrazów najdelikatniej wykonanych; ta świetność kolorów jakby wczoraj nałożonych, przechodzi rzeczywiście wszystko co, według pojęć dzisiajszych, wydaje się możliwém. Nawał przepychu, pracy i drobiazgowej cierpliwości w wykonaniu rzeczy najmniejszych i największych zaprawdę tak jest ogromny, iż trudno zrozumieć jakim sposobem najpotężniejszy nawet władzca świata pomyśleć mógł o wzniesieniu takiego pomnika.” Tyle p. Prokesch. My jednak, pomimo słusznego zwątpienia znakomitego starożytnika, spróbujmy choć w kilku wyrazach dać czytelnikom wyobrażenie o cudach tego grobu.

Wędrowiec po 29 wykutych w skałe schodach przybywa do bramy dającej wyjście na obszerny korytarz, ozdobiony pięknymi płaskorzeźbami. Ztamtąd po stopniach dalej w głąb prowadzących wstępuje się do przejścia zakończonego głęboką studnią, której podwójném, jak się zdaje, przeznaczeniem było przyjęcie napływającej z zewnątrz wody i ukrycie wniścia do graniczących z nią dalszych pieczar. Przytykające do studni téj drzwi były zamurowane i pokryte podobnemi jak cała ściana malowidłami. Ale Belzoni nie dał się uwieść pozorem, i wybiwszy otwór w ścianie, wszedł do obszernej, wspartej czterą kolumnami sali, gdzie przepych sztuki staro-egipskiej zajął przed nim w całej swój potędze. Dokoła sali obiega wyobrażenie węża, dźwigającego na swym grzbiecie mumie. W obocznej sali hieroglify i figury są tylko narysowane, lecz niepokryte jeszcze kolorami. Po dalszych 18 stopniach schodzi się do korytarza 76 stóp długiego a 6 szerokiego, wiodącego do bramy na której kolumnach król jakiś egipski, w pełném uzbrojeniu, wyobrażonym jest w postawie siedzącej, z berłem w ręku, z amuletem na piersiach i z bogatą przepaską. Nad głową jego unosi się orzeł, trzymający w swych szponach pieczęć królewską. Brama ta graniczy z przejściem prowadzącém do innej znów sali sklepionej, 36 stóp długiej i 26 szerokiej, gdzie znajdowała się trumna alabastrowa z licznymi płaskorzeźbami, najszacowniejszy zapewne zabytek jaki nam starożytność w tym rodzaju przekazała, ale niestety,

bez wieka i bez mumij. Pierwsze znalazł Belzoni potłuczone w przyległej pieczarze; znak nieomylny że w dawnych już czasach świętokradzkie ręce przybytek ten złupiły. Sarkofag przeniesionym został do muzeum londyńskiego. Strop tej pieczary ozdobiony jest malowidłami. Przytyka do niej druga niewykończona, w której Belzoni odkrył mumia byka. Ztamtąd uczony badacz zapuścił się w przejście ukośnie w skałę zagłębione; ale uszedłszy niemię ze sto kroków, znalazł je zasypańmi niepodobnym do przebycia. Dokądby ono prowadziło, dotychczas wiadomo. W obocznych komnatach napotkał mnóstwo mumij, prawdopodobnie osób dworu królewskiego.

Lecz dosyć o katakombach egipskich. Podobne im, lubo nie tak rozległe, są *katakomby greckie* pod Atenami, prostopadle w skałę wpuszczone. Zagłębienia stanowiące właściwe groby mają kształt podłużnych prostokątów, i otoczone są wnękami, w których mieszczą się urny, lampy i pochodnie pogrzebowe. Odrębność ta różni je głównie od katakomb egipskich. Pieczary wszystkie są powleczone mocnym, nieprzenikliwym marglem i malowane na czerwono. Miejscami napotkać można szczątki na wpół zbutwiałych schodów.

Okazalszemi są *katakomby syrakuzkie*, w starannie wyżłobionych i całkiem regularnych podziemiach. Główna ich galerya zaczyna się pod dzisiajszym kościołem św. Jana i bieży w linii prostej wspaniałym sklepieniem, aż do miejsca gdzie rumowiska ziemne tamują dalsze przejście. Równoległe od tego wniścia głównego ciągną się po obu stronach mniejsze korytarze, gdzieniegdzie pod kątem prostym poprzerywane poprzecznymi przejściami. Po bokach tych galeryj porobione są cele, a w nich wyciosane z kamienia sarkofagi z mumiami mającemi niekiedy w ustach monety. Ściany grobowców pokryte są płaskorzeźbami i malowaniami wyobrażającemi ludzi, zwierzęta i krajobrazy z okolic przyległych. W niektórych tylko widać ślady napisów.

Katakomby neapolitańskie znajdują się w pasmie gór położonem na północ od miasta, a główne ich wniście jest w kościele św. Gennaro. Składają się z trzech piątr podziemnych, z których najniższe, skutkiem ponawiających się tu często trzęsień ziemi, w znacznej części jest zasypane. Groby ciągną się w kształcie wnęk po obu stronach obszer-nych korytarzów; każdy z nich zawierał kiedyś po jednym ciele starannie w płótno obwiniętym. Po-

nad wnękami mieszczą się obrazy z czasów rzymskich, arabskich i chrześcijańskich, szczególnie z wieku jedenastego. W czasie atoli zarazy wyprzątnięto te katakomby i trupy pogrzebano.

Znajomsze od nich, lubo niekoniecznie imponujące, są *katakomby rzymskie*. Były to pierwiastkowo kopalnie puzzolany, dostarczające głównej części składowej do marglu staro-rzymskiego. Skutkiem tego podziemne wydrążenia, w szerokości od 2—5, a w wysokości od 4—8 stóp, poprowadzone są bez żadnego planu. Nie architektoniczne też zalety nadają interes temu miejscu, ale przywiązana doń pamięć męczeństwa pierwszych chrześcian, którzy tu w czasie prześladowań szukali przytułku. W tych ciemnych, ponurych pieczarach pierwsi wyznawcy religii naszej odbywali zebrania, i tu chowali swych braci padłych pod mieczem katowskim. Trupy układano po bokach korytarzów w ogromnych wnękach, zawierających często i narzędzia męczeńskiej tortury. Krzyż nakręślony nad wnęką, a niekiedy i nazwiska ofiar, służyły tym grobowcom za ozdobę. Znakomitszych członków społeczeństwa chrześcijańskiego chowano w osobnych kapliczkach, aby pozostali wyznawcy gminy mogli swobodnie zgromadzać się przy ich zwłokach, i tym sposobem zwolna powstały oddzielne uroczystości poświęcone pamięci świętych męczenników, odbywane w katakombach do czasów Konstantyna Wielkiego.

I na wyspach *kanaryjskich*, szczególnie na Teneryffie, znajdują się dosyć rozległe katakomby, obejmujące zwłoki Guanchów, pierwiastkowych tych wysp mieszkańców. Najslyniejsze z nich leżą między Ariko i Guimar, lecz przystęp do nich bardzo trudny. Gdy Europejczycy po raz pierwszy wtargnęli w tę dziedzinę śmierci, znaleźli około 2,000 mumij podobnych do egipskich, na podstawach misternej roboty, po 5 — 6 razem. Szkoda tylko że żadnej z nich nie zdołano zachować; jakkolwiek bowiem zewnętrznie całkiem są podobne do egipskich, nie posiadają jednak ich trwałości, i wystawione na działanie powietrza, szybko się rozkładają lub w proch rozsypują.

Na zakończenie tego szkicu rzućmy jeszcze okiem na *katakomby paryzkie*. Są to niezmierne kamienio-łomy, tworzące jakby oddzielne miasto podziemne, które rozciąga się głównie pod przedmieściem St. Germain, i obejmuje szczątki śmiertelne około trzech milionów ludzi. W jakiej właściwie epoce łomy te powstały, trudno dziś

z pewnością oznaczyć; dosyć że zaniedbano je z czasem, a nawet zupełnie zapomniano o ich istnieniu, gdy w r. 1774 kilka domów przedmieścia runęło, bez żadnej widocznej przyczyny. Zaczęto śledzić powodu tego zdarzenia, i znaleziono ziemię wydrążoną nietylko pod miejscem wypadku, ale pod całą dzielnicą; naturalnie więc pomyśleć musiano o zapobieżeniu na przyszłość większym jeszcze nieszczęściom. Przedsięwziętymi w tym celu robotami kierował inżynier Guillaumot, a wykonano je w ten sposób, że części wydrążenia odpowiadające na powierzchni środkowi ulic pozostały próżne, i tylko palami je podparto, części zaś położone pod domami całkowicie zapełniono ziemią.

Już r. 1780 ówczesny dyrektor policyi Lenoir podał projekt przeniesienia do tych pieczar części zwłok z przepelnionych cmentarzów, aby szkodliwe ich wyziewy nie zagrażały zdrowiu żyjących. W latach 1786—88 planten został wykonany, i tym sposobem uprzątniono po części okoliczne cmentarze, a zwłaszcza cmentarz św. Innocencyusza, który od 700 lat przyjmował zwłoki dwudziestu przyległych parafij. W latach 1810 i 1811 katakomby zostały na nowo uporządkowane i dogodniej urządzone. Obecnie do tych podziemiów w trzech punktach prowadzą schody. Ciekawi, w towarzystwie przewodnika, zstępują zwykle schodami niedaleko wodociągu Arcueil. Po przebyciu kilku różnej szerokości i wysokości kruzganków, wędrowiec przybywa do bramy ozdobionej dwiema kolumnami toskańskimi, poza którą na prawo i na lewo, od powaly do sklepienia, ułożone są kości ludzkie, w kształcie piramid, obelisków i słupów; miejscami nawet z kości pospajanych cementem porobiono ołtarze. Godniejsze uwagi grupy oddzielne otrzymały nazwy, jak: ołtarz obelisków, sarkofag lakrimatoryum, studnia Samarytanki i t. p. Ostatnia zasilana jest, nie jak utrzymują przewodnicy, wodami Sekwany, lecz obfitym źródłem podziemnym. W sąsiedztwie tej

studni znajdują się kości poległych w dniach wrześniowych 1792 r., ze stosownemi na ścianach napisami.

Inżynier Haricart de Thury założył w katakombach paryzkich dwa zajmujące zbiory, jeden produktów mineralogicznych napotykanych w samych łomach, drugi kości różnego rodzaju ludzi dotkniętych ważniejszymi chorobami, które nakoniec śmierć spowodowały. Ciekawe to studjum dla lekarza-fizyologa. Pokazują tu także zbiór czaszek odznaczających się kształtem lub wielkością.

Dowcipny, chociaż prosty, jest sposób odświeżania powietrza w tych ogromnych podziemiach. Studnie dostarczające wody domom stojącym na katakombach, przechodzą przez wnętrza pieczar w kształcie potężnych filarów. W studnie te wpuszczano rury z zatyczkami. Otóż gdy dozorca spostrzeże iż pochodnie palą się ciemno, otwiera kilka takich rur, i natychmiast powietrze zewnętrzne wnika w głąb sklepień. Już nawet doświadczenie wskazało czas najwłaściwszy do takiego odświeżania, z uwzględnieniem kierunku wiatru, wysokości słońca i tym podobnych okoliczności.

Jakkolwiek wspanialsze są grobowce dawnych Egipcyan, nie sprawiają ony jednak na zwiedzającym tak silnego wrażenia jak katakomby paryzkie. Powierzchność tych olbrzymich podziemiów, te niewykwintne w nich krzyże, proste napisy i przejmujące tajemną grozą piramidy kościane, głęboka cisza, dziwnie kontrastująca z gwarem ludnego Paryża, ciemność, miejscami tylko rozpraszana czerwonym światłem pochodni lub blaskiem lampy, widok dozorców i robotników snujących się tu i owdzie jak widma po tym przybytku zmarłych; wszystko to działa potężnie na wyobraźnię przybysza, przywołując mimo woli wspomnienie owych jaskiń na wyspie Krecie, w których Wirgili umieścił wniście do piekła.

ŁAŃCUCH GÓR HIMALAJA.

Olbrzymia ta zapora, rzucona ręką Wszechmocnego między Hindostan i Tybet, ciągnie się od płasko-wzgórza Puchti-Kur na południo-wschód, w długości przeszło 360 mil geograficznych, aż do Kamti. Średnia jej szerokość wynosi przeszło mil

15, a wysokość od 20 — 26 tysięcy stóp nad powierzchnią zatoki bengalskiej. Szczyty Himalaja po większej części niedostępne są dla człowieka; lecz wielkie rzeki Hindostanu, biorące tam początek, w krawędziach tego pasma porobiły szczyrby



Góry Himalaja

z których korzystając, uczeni podróżnicy nieraz już wśród wieczystych jego śniegów wycisnęli ślady zuchwałych swoich kroków.

Łańcuch Himalaja przykry jest i spadzisty od strony równin, to jest od Hindostanu, wyniesionego już na 6,000 stóp nad powierzchnią morza. Nad linią tą sterczą pojedyncze grupy wierzchołków pokrytych śniegiem, mniej więcej równoległych i poprzedzielanych wąwozami, które zdają się być powydrążane w skałach wiekowym przebiegiem spadających potoków. Aż do tej linii wstępnej, mającej, jak wspomnieliśmy, 6,000 stóp wysokości, cały Hindostan, od zatoki bengalskiej po góry himalajskie, tworzy jakby olbrzymi taras stopniowany, tém stromszy i przykrzejszy, im więcej się zbliża ku potężnym owym massom skalistym stanowiącym jego wieniec. Podróżnik na przykład przybywający do miasta Seharempur, nad brzegiem górnego Gangesu, znajduje się już na 1,000 stóp przeszło nad powierzchnią morza, a w Dejra-Dun wzniesienie to dochodzi do 5,000 stóp. Tu właśnie zaczyna się drugie stopniowanie gór Himalaja, a raczej ich podnóża; dalej następują coraz wyżej sięgające odstępki, których summe dodawszy do 6,000 stóp wzniesienia równiny Hindostanu, otrzymujemy jako średnią wysokość pasma 14,000 stóp. Pozostają jeszcze śnieżyce i pojedyncze szczyty, sterczące jakby dzwonnice niezmiernego gmachu, z których głównejsze są: Kunchin-junga (26,438 st.), Dawalagiri (26,274 st.), Jumnautri (23,926 st.), Daibun (23,212 st.), Kabru (22,523 st.), Chamalari (22,452 st.), Momonangli czyli Gurla (22,050 st.) i Api (21,391 st.).

Roślinność Himalaji, mówi Wiktor Jacquemont, jest nieco zbliżoną do roślinności alpejskiej. Obok cedrów, spotykamy tam, jodły i sykomory (rodzaj jaworu), rozmaicie, stosownie do wzniesienia, ugrupowane. Na 2,400 stóp nad wysokością Mont-Blanc, Jacquemont znalazł tu mchy i wrzosi, te ostatnie ogniwa bytu roślinnego, walczące jeszcze o życie na granicy wieczystego śniegu. Niżej, na 16,800 stóp nad poziomem morza, inni podróżnicy zbierali zawilce (anemony) i dzwonki; na 13,000 stóp pokazują się jałowce i brzozy; na 12,000 stóp wyrastają już dęby okazałe, ocieniając szerokiemi swoim liściem karłowatą tych okolic roślinność. W Kaszmirze platany i winokrzewy ogromnych dochodzą rozmiarów, a grzybienie (lilie wodne) kwitną bujnie nad brzegami jezior, gdzie wyobraźnia Tomasza Moore stworzyła bajeczną owę wy-

spę poematu Lalla-Rookh. Cały ten krajobraz czarodziejski, opisywany przez Bernier'a, Moorcroft'a Webb'a, Fraser'a, Hodgson'a, Gérard'a, Heber'a, Johnson'a, Jacquemont'a, pod względem vegetacyi ma piętno zupełnie południowo-europejskie.

W pasmie himalajskim od Tybetu panują mgły i wichry; od Hindostanu zaś podzwrotnikowe spieki i deszcze. W czasie przesilenia dnia z nocą nieustanne ulewy zmywają stoki południowe w całej ich długości, i wtedy to burze straszliwe wstrząsają granitowe ich posady, a w końcu marca ciepłe powiewy mgliste z ziemi wydobywają tumany. Jeżeli słońce w Bombaj i Kalkucie wyciąga szkodliwe miazmy z gruntu będącego właściwie tylko błotem niedokładnie wysuszonym i napełnionym gnijącymi szczątkami zwierzęcymi, to łatwo sobie wyobrazić piorunującą zabójczość klimatu Himalajów indyjskich, gdzie, (jak na przykład w lasach Nahan'u, stolicy państwa Sirmur) dosyć przebyć gęstwinę aby ponieść śmierć prawie nieochybną. W kwietniu najregularniej pałace wiatry ognistym swym tchnieniem przeciągają nad Pendżabem. „Przechodzisz nieraz, mówi Wiktor Jacquemont, obok wioski opuszczonej: są to nędzne lepianki z gliny, otoczone świeżymi mogiłami. Niekiedy po dwakroć w ciągu dziennej wędrówki przebywasz miasto dość znaczne, którego domy i meczety stoją nietknięte, ale żadnego nie widzisz mieszkańca.” Dziwnym zbiegiem okoliczności grobowy ten pozór napotykaemy i w pustyniach nowego ładu, w okolicach Potosi i Titicaca. Rzekłbyś że panowanie angielskie, podobnie jak tam hiszpańskie, jest chłostą Opatrzności; a jeśli Indyanin z mniejszą jak Inka okazałością drapuje się na ruinach swjej narodowości, to przecież kościotrupy obu państw jeden trąd toczy: nieuniknione zniszczenie.

Ze szczytu to Himalajów, jak ze zbiornika nadpowietrznego, spadają tysiące strumieni, których złączenie się tworzy potem trzy owe potężne rzeki Indyj: Ganges, Indus i Bramaputrę. Najpiękniejszym i najpotężniejszym z tych strumieni napływowych jest Dzemna, przedmiot czci religijnej dla mieszkańców Hindostanu. Doktor Johnson w r. 1827 zwidził źródła Dzemny, dokąd Indyanie pielgrzymują, jak wyznawcy Mahometa do Kaaby i Mekki. Ozdobne świątynie z drzewa rzeźbionego, z krętymi kolumnami, do wspaniałości przyrody dodają tam urok budownictwa wschodniego, i trudno aby przesądna wyobraźnia krajowców oparła się połączonemu działaniu dwóch wpływów

zmysłowych, które na cudzoziemcach nawet tak silne wywierają wrażenie.

Najwyższe pasma porozdziérane są szczelinami i wądołami, w których huczą potoki powstałe z topniejących śniegów i z niesłychaną najczęściej spadające gwałtownością. Przez zapienione ich łozyska prowadzą zwykle mosty (sangi) dziwnie pierwotnej budowy, bo złożone z pnia rzuconego

z brzegu na brzeg w wąziem jakim miejscu. Rycina nasza przedstawia taką sange czyli kładkę, niedaleko Burkote na środkowej wyżynie Jumna-utri wiodącą przez strumień Dzumna, jedną z najdłuższych i najniebezpieczniejszych, na której przebycie odważyć się mogą tylko ludzienia skłonni do zawrotu głowy i pewni każdego stąpięcia.

ODWIDZINY U WŁADYKI CZARNOGÓRZA.

W pierwszych dniach kwietnia 1856 r. znajdowałem się w Skutari. Konsul francuzki, który udać się miał do księcia Danila, ofiarował się zabrać mnie z sobą, a ja skwapliwie chwyciłem się dawno pożądanej sposobności dostania się do Czarnogórze i poznania naczelnika tego małego kraiku, którego przyszłemi losami w téj chwili zajmuje się Europa.

Przybyłem niedawno do Albanii, i ledwo co rozpocząłem wychylenie nieskończonej owéj liczby filiżanek kawy, od których żaden podróżnik w Turcyi uwolnić się nie może; alem nie poznał jeszcze Albańczyków, jak ze strony ich uzbrojenia, stanowiącego prawdziwy arsenał jataganów, krucieczek i sztyletów. Widziałem tylko że nie jestem już w Europie, pomimo iż geografia kazała mi wierzyć przeciwnie; znajdowałem się pośród szczepów pierwotnych, wojowniczych. Mahmud-bej, gubernator Antivari. przydał nam straż honorową do Skutari, i dzięki temu zaszczytowi, witano nas wszędzie po drodze, na znak uczczenia, wystrzalami pistoletowemi. Prócz tego towarzyszył nam Albańczyk jakiś cery bronzowój, na siwym koniu o siodle tureckim, odziany w białą bekieszę i w czerwoną, czarno wyszywaną kamizelę. Żaden Albańczyk nie wyprzedza nigdy w pochodzie ludzi dla których okazać chce szacunek, chyba za otrzymaném pozwoleniem. Na wezwanie dowódcy naszej straży, daliśmy hasło przyjęte, i w téjże chwili Albańczyk ruszył naprzód co koń wyskoczy, strzelając ciągle w najtęższym galopie, dopóki nie znikł pomiędzy górami. Był to największy zaszczyt jaki nam mógł wyświadczyć. Pojąłem wtedy że w kraju tym nietylko słowo, ale i proch jest wyrazem myśli; wystrzwały grzmiały tu na znak

przyjaźni lub poszanowania, obawy lub gniewu; huk pistoletów wita, wynagradza i karze. Dzika ta pierwotność obyczajów albańskich żywo mnie zajęła, i z podwojoną ciekawością pomyślałem o wrażeniach czekających mnie pomiędzy Czarnogórcami.

Południowy kraniec Czarnogórze przedzielony jest od Albanii jeziorem Skutari. Najbliższém od téj strony jest miasteczko Rieka, do którego dostać się można wodą, po dziesięciogodzinnéj żegludze. W piękny więc poranek kwietniowy wsiedliśmy z konsulem na jeden z owych ciężkich statków przewozowych, zwanych *londra*, poruszany przez dziesięciu wioslarzów. Obok nas zajął miejsce wysłaniec księcia Danila, wspaniale przybrany i uzbrojony, a jeden z *kawas'ów* czyli sług honorowych konsulatu pełnił służbę cybuchową. Po kilku uderzeniach wiosłami, wpłynęliśmy na jezioro.

Jezioro Skutari, otoczone wieńcem wysokich gór, posiada niemało owych wspaniałych widoków, które niegdyś zachwyciły w Albanii poetyki umysł lorda Byrona. Skaliste te pasma, miejscami śnieżną zasute powłoką, miejscami znów ciemne od borów jodłowych, lub płowe jak skrzydła orle, odskakują od przejrzystego błękitu nieba z efektem prawdziwie czarującym. U stóp jednéj góry leży kościółek chrześcijański wzniesiony przez Helenę, księżnę Serbii, i kilka wiosek katolickich, które w imię Chrystusa zachowały swą niepodległość, nie płacąc Wysokiej Porcie innego haraczu, prócz zbrojnej pomocy w wojnach przeciw Czarnogórze. Na lewo skały sterczą w kształcie ostrokregowym, i nieprzebyty prawie ich łańcuch osłania z téj strony Albanią od napadu

Czarnogórców. W środku pasmo nagich, czerniejących w oddaleniu gór, od których Czarnogórze wzięło swoją nazwę, zapowiada krainę dziką i nieurodzajną.

Wyspy jeziora Skutari ściągnęły także na siebie naszą uwagę. Oto Wranina, skała bezludna prawie i obnażona, ale z powodu swęj wysokości będąca dość ważnym stanowiskiem wojennym, z którego czuwać można nad wszelkimi poruszeniami Czarnogórców. Dalej Zabliak, z fortecą wslawioną w wojnie z roku 1852. W głębi małej zatoki widać warownią Kramassu, którą Osman, basza Skutari, założył w r. 1846 dla panowania nad ujściem Rieki.

Wysiedliśmy, przepływając, na wyspie Aleksandryi, zajętej przez kompanię baszi buzuków. Skoro tylko dowódcą ich, Mustafa-aga, poznał banderę francuską, wysłał zaraz na nasze spotkanie jednego z swych podkomendnych oficerów, który powitał nas uroczyście i zaprosił w gościnę. Trudno uwierzyć ile konsul narodu europejskiego zjednać sobie może powagi na Wschodzie, jeżeli obok przytomności i odwagi, otoczyć się umie pozorem wielkości i zewnętrzniemi dostojenstwami oznakami. Byle olśnić zdołał świetnością i wzbudzić obawę, Turcy i chrześcijanie pokornie uderzą przed nim czołem; napotka samę tylko uniżoność, a żołnierze powitają go wszędzie z honorami wojskowemi. Drobne te sposobiki wielki wpływ wywierają na umysły Turków, którzy wogóle nienawidząc cudzoziemców, wtedy tylko szanują obcych, gdy ich się lękają.

Podczas gdyśmy na ląd wychodzili, około stu pięćdziesięciu baszi-buzuków, z białemi tunikami i uzbrojonych w długie strzelby, uszykowało się szeregiem na skale. Mustafa-aga, odznaczający się czerwoną złotem haftowaną kamizelą, zbliżył się krokiem mierzonym i oddał nam pokłon, z całym ceremoniałem wschodnim. Potem trzy salwy zagrzmiały, hucznie wprawdzie lecz dosyć nieporządnie, bo kule świstały nam koło uszu. Dziwny był widok tych ludzi, z których jedni w malowniczych swych ubiorach poetyczne wzbudzali wrażenie, podczas gdy inni o trzydzieści tylko kroków tarzynali i piekli jagnięta, i dalej jeszcze kilku, z powagą prawdziwie muzułmańską, odbywało przepisane modlitwy.

Odpočawszy z godzinę w mieszkaniu Mustafa-agi, popłynęliśmy dalej w koryto Rieki. Na pierwszy rzut oka łatwo było poznać że tu już zaczy-

na się Czarnogórze, że tu się skończyło gnuśne panowanie półksiężyca. Rieka, wdzięcznie się wijąca u stóp łańcucha skalnego, pokryta była łodziami rybackimi. Kobięty, dalekie od próżniactwa Turczynek i bez zasłony, wiosłowały z siłą zadziwiającą; mężczyźni zarzucali sieci. Po stokach gór krętymi ścieżkami snuły się małe karawany charakterystycznie przybranych krajowców. Perspektywa coraz się ścieśniała pomiędzy górami, w miarę jakęśmy wpływali w zakręty rzeki, i w jednym miejscu zdawało się nawet że skały całkowicie ją zagradzają; ale to był tylko przesmyk, po którego przebyciu przyroda, dotąd ponura i dzika, przybrała nagle charakter wdzięczny i rozkoszny. Ujrzelismy świeżą zieloność, tu i owdzie białe i czerwone lotusy, uprawne pola poprzedzielane tarniowemi żywopłotami, a wszystko to w kraju osławionym z nieurodzajności. Tło tego krajobrazu stanowiło miasteczko Rieka. Towarzyszący nam Czarnogórzec wystrzelił z pistoletów i wydał okrzyk powitania; ze wszystkich stron odpowiedziano mu tymże samym sposobem.

Po chwili, sekretarz księcia Danila, Francuz rodem, przybył na nasze spotkanie i powiódł nas do kwater przeznaczonych na przyjęcie dostojnych gości. Co do mnie, ulokowany zostałem u jakiegoś senatora, który z prostoduszną uprzejmością poczęstował mnie czosnkiem i sérem. Gdyby nie marszałek dworu książęcego, byłbym musiał poprzestać na tej skromnej biesiadzie. Zresztą dom w którym mieszkałem był czysty, murywany, z zielonemi okiennicami, podobny zupełnie do kottażów angielskich. Niezwykle tylko ubiory przesuwających się krajowców i nieustanne wystrzały przypominały mi że jestem w Czarnogórze.

Wszystko co żyło dowiedziało się wkrótce o naszym przybyciu. Znakomitsi mieszkańcy zaczęli garnąć się do nas w odwiedziny, z tak żywą chęcią uściśnienia naszej dłoni, że byliby niezawodnie drzwi wylamali, gdybyśmy im bronili wstępu. Nawet podczas przebiegania się musieliśmy przyjmować gości, i właśnie w chwili gdy zmieniał dolną część swego ubioru, wszedł do mnie książę Mirko, brat księcia panującego. Zajęcie moje wydało mu się widać bardzo naturalnym, bo usiadł zaraz, bez okazania najmniejszego kłopotu, na kuferku pod ścianą. Towarzyszyło mu sześciu czy ośmiu Czarnogórców tak potężnego wzrostu, że musiałem wyglądać pomiędzy nimi jak Guliwer na wyspie olbrzymów. Przybysze ci odbyli pra-

wdziwą podróż na około mojej izby, oglądając wszystko z nateżoną uwagą, dotykając się każdego przedmiotu i zarzucając mnie pytaniami. Jeden tylko Mirko w nieruchomym majestacie pozostał na swym kufrze, i wtedy dopiero zapomniał o swój powadze, gdy *kawas* nasz wziął moją strzelbę do czyszczenia. Oczy księcia zaiskrzyły się; powstał nagle, uchwycił wyborną dwururkę, obejrzał ją na wszystkie strony i kazał sobie wytłumaczyć jej system. Potem zażądał aby ją nabito, prosił o wskazanie celu i dosięgnął go przez otwarte okno. Wystrzał ten naprowadził naszych gości na temat wojenny: zaczęli nam z kolei pokazywać swe jata-gany. „Ta oto broń, rzekł Mirko, ścięła dziewięć głów tureckich, licząc w to głowę tego któremu ją odebrałem. „A ta, dodał drugi, zdjęła ich ośm przy oblężeniu Podgóricy.” Słyszając ich mowę pełną zapału, pomyślałem o Turkach, zasypiających w sąsiedztwie tych dzielnych górali, z podkurczonemi na kobiercu nogami i z cybuchem w ustach, myśląc o dymie który z niego uchodzi. Jakaż różnica pomiędzy dwoma plemionami, żyjącemi w nieustannych z sobą zatargach!

Rieka liczy nie więcej jak dwieście domów. Gdzieindziej byłaby to wieś; w Czarnogórze jest to miasto, i do tego siedlisko rządu *nahii*, czyli gubernii. Książę Daniło i żona jego często tu przybywają z Cetyni, a dzięki téj względności, Rieka upiększa się i dźwiga. Pomiedzy mieszkaniem księcia a równiną przytykającą do traktu południowego porządnie usypano groblę, i przy nas właśnie zabiérano się do budowy mostu. Pola okoliczne dobrze są uprawne; mówiono nawet o założeniu szkoły, w której młodzież czarnogórska będzie mogła nauczyć się czegoś więcej jak strzelania z pistoletu i robienia jataganem.

Przy jednym końcu grobli, w bardzo przyjemném położeniu, wznosi się pałacyk księcia. Na okrągłym tarasie powolnym krokiem dumnie przechadzał się jeden z sześćdziesięciu dwóch wyborowych ludzi stanowiących przyboczną straż władzy. Obecność téj warty zapowiadała że naczelnik kraju znajduje się w Riece.

Upredzono mnie że książę Daniło codziennie około godziny piątej odbywa przechadzkę, w czasie której przyjmuje prośby i zażalenia swych poddanych; udałem się więc przed pałac w czasie oznaczonym. W chwili gdy książę opuszczał swe mieszkanie, uroczysta cisza zaległa zgromadzone tłumy. Jednakże lud ten pierwotny w oznakach

nawet uszanowania zachowywał pewną godność: była w nim cześć głęboka, ale nie było uniżenia.

Niezmiernie byłem ciekawy ujrzeć księcia Daniła, o którym tylu dziwnych nasłuchałem się i naczytałem opowiadań. Władzca Czarnogórze jest wzrostu niskiego, lecz dosyć nań spojrzeć aby poznać że to człowiek niepospolity. Przechodził pomiędzy ludem krokiem spokojnym i mierzonym, z godnością szlachezną a razem wykwinną. Wyraz jego twarzy był smętny, marzący, i gdybym przypuścić mógł że książę czytał Szekspira, to przysięgłbym iż ułożył swą postawę na wzór Hamleta. Obok tego widać w nim żywą chęć przedstawienia się jako panujący, niezawisły od władzy sultana. Spojrzenie jego wyraża silną wolę i energią, które wlać umie i w walecznych swych góralów, gdy ich wyprawia na wojnę z Turkami.

Zostałem wkrótce świadkiem sposobu w jaki książę wymierza sprawiedliwość. Trybunałem jego publiczna droga; krzesłem sędziowskim pierwszy lepszy kamień, jeżeli który z mieszkańców nie wyniesie drewnianego stołka; obrońcami towarzyszącymi mu senatorowie. W dniu tym dwóch poddanych przelożyło jakąś skargę. Książę zatrzymał się, usiadł na kopcu przy drodze, zapalił fajkę i wysłuchał strony sporne. Po całogodzinnych rozprawach, przy nastającym już mroku, zapadł wyrok, przyjęty z najzupełniejszą rezygnacją.

Książę Daniło ma lat 25. Testament jego poprzednika i stryja, Piotra Piotrowicza Niegosz, (zmarłego 31 października 1851 r.) naznaczył go władcą Czarnogórze; nie bez trudności jednak i oporu, szczególnież ze strony drugiego stryja, Tomasza Pietrowicza, przyszło mu objąć rządy.

Pierwsza jego młodość upłynęła na tułaczce po górach ojczystych i ponawianych często podjazdach na ziemię turecką. To życie, pełne przygód, wtajemniczyło go dokładnie w charakter, obyczaje i potrzeby przyszłych poddanych, z którymi tym sposobem od dzieciństwa duchowo był zbratany. Wysłany w r. 1851 do Wiednia, przebywał w téj stolicy do grudnia tegoż roku, w którym to czasie odebrał wiadomość o śmierci i testamencie swego stryja, władcy panującego, i skutkiem tego udał się do Kattaro. Krótki ten pobyt w Wiedniu obznajmił młodego księcia choć w części z cywilizacją europejską i oswoił z wyobrażeniami postępu.

Po objęciu rządów Czarnogórze w dniu 13 stycznia 1852 r., pierwszym aktem administracyjnym

nowego władcy było postanowienie ogłaszające własnością narodową znakomite summy poumie- szczane na bankach zagranicznych, które dotąd sta- nowiły osobisty majątek rodziny władyków. Bez- interesowna ta szczodroblivość zjednała mu od razu serca poddanych.

Nastąpiła wojna z Turcyą, rozpoczęta w listo- padzie 1852 r. śmiałym napadem Czarnogórców na Zabliak i zajęciem téj twierdzy pogranicznej. Książę Daniło w walce z przeważnym nieprzyjacielem rozwinął czynność zadziwiającą. Obecny wszędzie, przykładem i zachętą umiał podniecać ducha wal- ecznych swych górali. Rok przeszło trwała walka garstki wojowników czarnogórskich przeciw połą- czonym armiom Omera i Osmana baszów, gdy in- terwencya dyplomatyczna Austryi spowodowała zawieszenie kroków nieprzyjaznych i czasowo przynajmniej zapobiegła dalszemu krwi rozlewowi.

Dodać nam tu należy iż książę Daniło wkrótkim peryodzie przedwojennych swoich rządów, wstą- pił na drogę reform materyalnych i moralnych. I tak np. wybudował przez góry z Kattaro do Ce- tyni drogę bitą, która ma być przedłużoną aż do Rieki; upiększył i rozprzestrzenił swą stolicę; a co najważniejsza, ogłosił nowy kodeks karny, które- go surowe zastosowanie czyni dziś wąwozy Czar- nogórza bezpiecznemi od rozboju i grabieży dla wszystkich podróżników, z wyjątkiem jednych tyl- ko Turków.

W roku 1855 książę ożenił się, i w téj okoli- czności serce wzięło górę nad polityką. Daniło zamierzał poślubić księżniczkę serbską, i projekt ten kilkakrotnie w latach 1853 i 1854 powiódł go do Tryestu i Wiednia. Tam, okrzęsując się coraz bardziej, surowy wychowaniec gór nabył nawet pewnego stopnia towarzyskiej oglądy. Roku 1854, przebywając w Tryescie, podejmowany był go- ścinnie przez zamieszkałych w tém mieście Sławian i Greków, po większej części handlujących i bar- dzo bogatych. Podobały się księciu świetne zaba- wy, wykwiłne uczyty i zbytek tak mało w ojczy- znie jego znany. Między innemi bywał w domu niejakiego Kwekwicza, którego córka, Darinka, wkrótce go zajęła. Skończyło się na tém że w styczniu 1855 r. panna Darinka Kwekwicz zo- stała księżną Czarnogórza, z posagiem 100,000 flo- rinów. Gdy nowozaślubiona opuszczała Tryest, jedna z jój przyjaciółek objawiła swą obawę że księżnie trudno będzie przywyknąć do zwyczajów narodu tak dzikiego. „Moja to rzecz pomyśleć o

jego ucywilizowaniu,” odpowiedziała bez wahania młoda niewiasta. I rzeczywiście wprowadziła do Czarnogórza, a przynajmniej do otoczenia swoje- go, zwyczaje europejskie. Pałacyk w Cetyni zo- stał upiększony, sprowadzono doń meble wykwił- tne i zaczęto przyjmować cudzoziemców.

W niedzielę dnia 12 kwietnia książę i księżna Czarnogórza przysłali nam zaproszenie na obiad. Odbyliśmy najprzód w południe odwiedziny pre- zentacyjne. Książę przyjął nas w ubiorze narodo- wym, złożonym ze szkarłatnej, gęsto złotem hafto- wanéj kamizeli i z białego okrycia; za pasem bły- szczały pistolety, bogato ozdobione srebrem i dro- giemi kamieniami. Jedyną częścią jego ubrania nieodpowiednią całości były rękawiczki paliowe, które włożył przez wzgląd na etykietę.

Władzca Czarnogórza tłumaczy się dosyć biegle po francuzku. W rozmowie objawił nam życzenie widzenia w swoim kraju cudzoziemców, i żartował ze straszliwéj reputacyi jaką mu zrobiono w Euro- pie. Gdy mu zabrakło wyrazu, wymieniał go po sławiańsku swéj małżonce, która tłumaczyła go na francuzkie, i ciągnął dalej rozmowę. Księżna u- braną była po naszymu, z odrzuceniem jednak przesady tegoczesnéj mody. Czarna jój suknia prześlicznie odbijała od cery mdłej nieco lecz bia- łej. Wysokiego wzrostu i wysmukła, z oczyma ła- godnie błyszczącemi, na których osiada niekiedy lekki wyraz smutku, małżonka księcia Daniła bar- dzo przyjemne czyni wrażenie, jakkolwiek nie mo- żna jój nazwać piękną. Mówiono mi że świadczy wiele ubogim, i zapewne w dobroczynném tém za- jęciu znajduje pociechę, której zdaje się potrzebo- wać. Małżonek kocha ją namiętnie, choć często przybiera rolę pana.

Przy obiedzie siedziałem obok siostry księcia, jedynéj z dam obecnych która nosiła ubiór czar- nogórski, i mówiącéj tylko po sławiańsku. Książę Daniło rozmawiał z uprzejmém ugrzecznieniem, przerwaném raz tylko kilką słowy jego małżonki. Księżna opowiadała konsulowi o trwodze jaką w niej obudził widok sześciu głów tureckich, z woj- ny 1852 r., zatkniętych na murze ogrodowym. Książę odwrócił się i rzekł głosem stanowczym a razem ironicznym: „Poślubiając naczelnika Czar- nogórza, powinnaś pani była poślubić i jego nie- nawiść.” Księżna spłonęła rumieńcem i nadaremnie usiłowała uśmiechnąć się. Szczęściem że rozmowa powróciła zaraz do pierwotnéj swobody.

Zegnając nas, książę wynurzył chęć przepędzenia z nami wieczoru. O godzinie ósmej księżna raczyła przysłać nam herbatę, z obfitym zapasem ciast i konfitur. Wkrótce téż przybył książę, w towarzystwie jednego tylko sekretarza, i zapaliwszy podaną sobie fajkę, rozpoczął gawędę.

Przedmiotem rozmowy jego było tym razem szczególnie prawo Czarnogórze do niepodległości. Skręślił nam obraz dorywczy instytucyj jakimi obdarzyć zamysła swój naród, gdy tylko uznany zostanie przez mocarstwa europejskie, i zdawał się liczyć wiele na postanowienia kongresu paryżskiego. Mówił potém o historii swego kraju i przypominał bohaterские z niéj epizody. Niekiedy poważna twarz jego dziwnym rozpromieniała się blaskiem, a ruchy nadzwyczajnego nabiérały ożywienia. „Gdyby Francya znała moje prawa, zawołała z zapalem, bez wątpienia wymierzyłaby mi sprawiedliwość. Gdybym był własnej tylko radził się chęci, byłbym pojechał do Paryża, zażądał audiencyi od cesarza i obrał go za sędziego w swojej sprawie; a przeczuwam że krok ten byłby się powiódł.”

— Mości książę, odparł konsul, niech wasza wysokość pozwoli sobie powiedzieć że to jest polityka uczuciowa, którą zrozumieć można, lecz niepodobna zastosować.

Trudno przyszło księciu zrozumieć to odróżnienie. — Jakto, zawołał, mianożby nie uwzględnić tego że pragnę być prawdziwym Czarnogórcą, że chcę ucywilizować swój naród, a więc uwolnić się powinienem od władzy sultana? Jesteśmy szczupli liczbą, lecz silni wolą; nie znaczymy nic w Europie, lecz możemy coś znaczyć u siebie. Nie wątpię że mocarstwa biorące udział w kongresie naznaczą kommissyą dla zwidzenia naszego kraju, zbadania jego potrzeb i wytknięcia stałych granic. Poddam się pod jej wyrok; a przynajmniej już wtedy uchościć nie będę za naczelnika narodu powstańczego; niepodległość moja zostanie uznana, i wojna nie będzie już jedyną przyjemnością, co mówię, jedynym środkiem utrzymania mego ludu. Niech nam powrócą należne nam granice, abyśmy uprawiać mogli ziemię nietylko między skalami, a ramiona które dotąd nie porzucały oręża, obrócą się wtedy ku zajęciom użyteczniejszym.

— Nielatwo to, wtrąciłem, odwyknąć od strzelby i pałasza.

— Potrzeba mieć najprzód inny sposób do życia. Otóż kongres powinien nam go obmyśleć.

Czy pewnym pan jesteś, dodał nagle, że w Paryżu zajmować się będą Czarnogórczem?

— Niepodobna żeby o niém nie było tam mowy.

— A więc za dwa miesiące najdalej los nasz się rozstrzygnie. Czuję że to co panowie nazywacie zdrową polityką, nakazuje mi poprzestawać na małym; a jednak wymagania moje tak są słuszne.

— Mości książę, odezwał się poważnie konsul, bawimy się tu w przypuszczenia. Niepodobna dziś jeszcze wróżyć ani na korzyść, ani na niekorzyść waszej wysokości. Być może jednak iż zrzęcnosc Ali-baszy spowoduje uchwałę w duchu raczej zwierzchnictwa Porty, aniżeli niepodległości Czarnogórze, której wasza książęca mość bronisz tak wymownie.

— Więc cóżby stać się mogło? zapytał książę, z wyrazem widocznego niepokoju.

— Zdarzyć się może iż wasza wysokość ujrysz odroczone swe nadzieje, a kraj swój zostawiony pod władzą turecką.

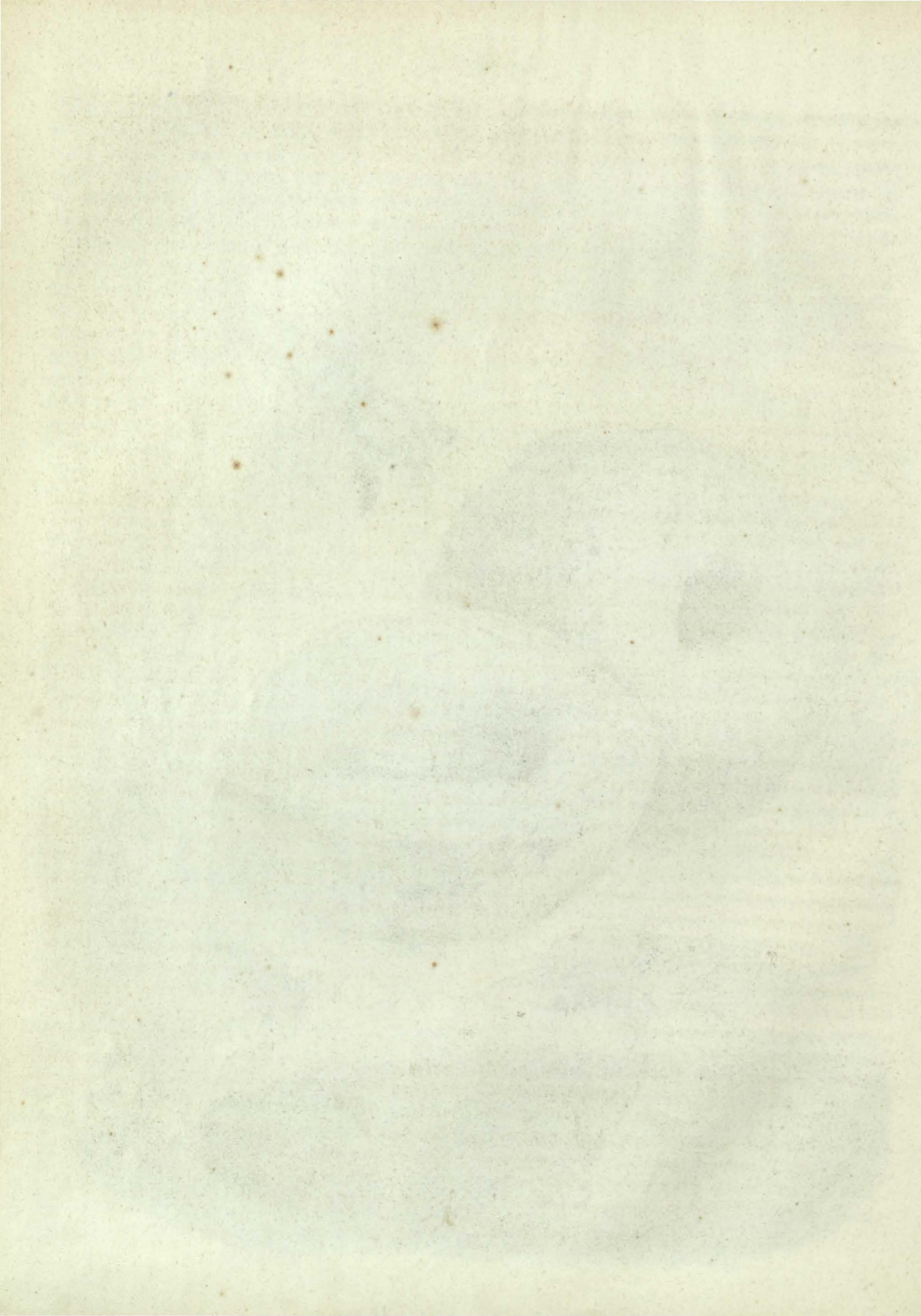
Na słowa te, wymówione spokojnie, książę pobladł, wzrok jego ożywił się ogniem gorączkowym, i nie mogąc już zapanować nad sobą, zawołał z gniewem:

— Jakto, więc żadnych ustąpień spodziewać się nié mam prawa? Mianożby zrobić nas Turkami i uprawnić nad nami władzę baszów, bezkarnie ściągających nas zemstą przestarzałą? I na tę hańbę mieliżbyśmy odpowiedzieć jeszcze poddaniem się i pokorą? Nie, byłby to raczej dla nas wyrok śmierci! W tych górach na nowo zagrzmiałyby hasła wojenne, i wszyscy, z orężem w ręku, zginęlibyśmy w obronie swoich siedzib!

Książę umilkł, i w małej naszej, słabo oświetlonej, izdebce uroczyste przez chwilę panowało milczenie. Zwolna jednak rozmowa napowrót się ożywiła, i zakończoną została w sposób zupełnie umiarkowany.

W półtora miesiąca później wiadome już było postanowienie kongresu uznające Czarnogórze za część nieodłączną państwa ottomańskiego. Czarnogórcy jednak pozostaną tém czém byli: narodem wojowniczym, fanatycznie do skalistych swych siedzib przywiązanym, i wiecznie dla Turcyi nieprzyjaznym. Od czterech wieków trwająca nienawiść między dwoma sąsiednimi plemionami, różnemi charakterem, obyczajami i wyznaniem, nie tak łatwo się uspokoi. Już nawet w lipcu 1856 r. zamieszki w Podgóricy i Skutari spowodowały





utarczki między Czarnogórcami i Albańczykami, zaledwo powściągnięte interwencją posłów francuzkiego i angielskiego. Ostateczne więc rozstrzy-

gnięcie losu zajmującego tego kraiku wyjdzie zapewne z łona tegorocznych konferencyj drugich pełnomocników kongresu.

PODJADEK TURKUĆ,

(GRYLLOTALPA VULGARIS).

Jest to owad każdemu niemal dobrze znajomy, z powodu prawdziwych klęsk jakie czasami czyni po ogrodach i polach; dlatego też poznanie jego budowy, obyczajów oraz środków wygubiających go nietylko że jest ciekawym, ale nawet koniecznym w okolicach gdzie podjadki często się napotykają.

Turkuć należy do rzędu prostoskrzydłych, (Orthoptera) i niewłaściwie *niedźwiadkiem* jest nazywany. Dochodzi on grubości półcala, a dwa przeszło cale jest długi, nie licząc w to rozków i kolców; głowę ma małą, na niej cztery krótkie i grube macki, dwa długie nitkowate rożki, oraz dwa wielkie i trzy małe oczy. Ciało jego składa się jakby z dwóch części, do połowy bowiem pokryte jest twardą skorupą, dalej zaś miękkie, stawowate. Skorupa ma niejaki do pancerza raka podobieństwo, jest czerwono-brunatnego koloru, na powierzchni gładka i jednostajna. Pokrywy zewnętrzne, czyli wierzchnie skrzydła, są krótkie, szaro-brunatne, dolne zaś, czyli właściwe skrzydła, nie zaginają się, jak u owadów chrząszczowatych, ale zwinięte na podobieństwo wachlarza wązko na grzbiecie leżą, skoro owad znajduje się w spoczynku. W czasie lotu wachlarz roztwiera się, a jego szerokie przezroczyste błonki pozwalają podjadkowi utrzymywać się przez pewien przeciąg czasu w powietrzu. Tylne części ciała składa się z dziewięciu zachodzących na siebie pierścieni, na wierzchu ciemno, pod spodem jasno-czerwono-brunatnego koloru. Pomiedzy temi pierścieniami znajdują się przyrzędy służące zwierzęciu do oddychania. Wreszcie na końcu ciała mieszczą się dwa dosyć długie kolce. Podjadek opatrzony jest trzema parami nóg, z których przednia służy mu do kopania ziemi. Dlatego też nogi pierwszej pary są krótkie,

széroke, mocne, opatrzone tęgiemi ostremi pazurami i w części do nóg kreta podobne. Tak to natura do jednego i tegoż samego celu obiera jedną zwykle formę, którą lekko tylko modyfikując u rozmaitych stworzeń, sprawia że owad może mieć niejaki do zwierząt ssących podobieństwo. Dwie dalsze pary nóg, dłuższe i mniej silne od pierwszej, nie służą do kopania, lecz do wykonywania swobodnych ruchów; ostatnia szczególnie przyczynia się do skakania, przechodzi bowiem wszystkie ze względu na długość, i tak jest urządzona że za pomocą silnego wyprężenia mięśni ją składających owad wysoko odbić się może.

Podjadki rodzą się z jajek żywego, brunatno-żółtego koloru, nieco większych jak ziarnka prosa. Po miesiącu dopiero od czasu ich złożenia przez samice wychodzą małe owady, bardzo podobne do mrówek i różniące się tylko szczególnym ukształceniem nóg przednich. Po czterech tygodniach istnienia ciało ich pierwszy raz doznaje zmiany. Mają wtedy już wielkość dużych mrówek, mieszczą na łąkach, gdzie bardzo łatwo rozpoznać je można po żółtych poruszających się miejscach pomiędzy zieloną trawą. W tym to czasie żyją korzonkami ziół, a unikając się wzajemnie, rozpraszają się po całym obszarze zamieszkiwanej łąki, tak iż przy następnej przemianie rzadko chyba napotkać je można w większej liczbie. W ten sposób żyją do jesieni, ciągle się stopniowo zmieniając, i w październiku lub listopadzie mają postać wyobrażoną na stronie prawej obok dołączonej tablicy. Teraz zaczynają wyrastać skrzydła, co stanowi czwartą przemianę, lecz w maju a nawet w czerwcu dopiero podjadki dochodzą zupełnego rozwoju.

Jakkolwiek turkucie bez zaprzeczenia należą do

piękniejszych owadów, przecież na wielu ludziach sprawiają niemiłe wrażenie, co jednak nie o nich tylko wyłącznie powiedzieć można, gdyż nawet małe i nieszkodliwe robaczki nieraz stają się powodem obawy. Zupełnie inaczej bywa u miłośników historii naturalnej; entomolog, ujrawszy brzydkie nawet stworzenie, doznaje prawdziwej rozkoszy, stara się je uchwycić i uważnie obejrzyć. Przy braniu jednak do ręki podjadka, należy zachować pewne ostrożności, a mianowicie ujmować go z góry za grzbiet, gdyż drapanie po ciele jego zębatych nóg przednich wcale nie jest przyjemne, tém bardziej że wykonywa się z pewną siłą właściwą temu stworzeniu. Z powodu tej siły i odpowiedniego ukształcenia, turkucie z wielką łatwością kopią chodniki w lekkiej dziurkowatej ziemi, a nawet często w zbitym i mocnym gruncie prowadzą swoją robotę. Chód ich po powierzchni ziemi nie bardzo jest szybki, lot dosyć powolny i zazwyczaj krótko trwający, chociaż ze znacznego rozwinięcia skrzydeł zupełnie inaczej wnosićby należało. Unoszą się kilka zaledwie stóp, w niewielkiej odległości znowu upadają, a czynią to tylko wieczorem i nocą, dnie przepędzając pod ziemią.

Podjadki przez tarcie swych żyłkowatych skrzydeł wydają głos podobny jak świercze, którym mniej więcej odpowiada syllabie *Turrrrr*. Niejeden zapewne z czytelników naszych, szczególnie młodych, przysłuchiwał się temu monotonnemu śpiewowi, nie wiedząc jego przyczyny. Nieraz przebiegając zamiejskie okolice przy słabym blasku ostatnich promieni zachodzącego słońca, zdaje się że słyszemy nieznośne skrzeczenie żab, gdy tymczasem trwożliwy śpiewak kryje się pod naszymi stopami, i za nieostrożnym zbliżeniem się natychmiast umilka. Jeżeli jednak, niecierpliwy młodzieńcze, będziesz miał tyle wytrwania ażeby chwilę pozostać na miejscu, niezadługo usłyszysz obok siebie głos na który oczekujesz. Głos ten w dzień także wydobywa się z pod ziemi, podjadek bowiem żyje tuż pod jej powierzchnią, tak iż lekki chód nawet niszczy nieraz słabe sklepienia jego kryjówek. Jeżeli przypadkiem zauważymy dołek do którego turkuć się schronił i miejsce to wprost palcem rozgrzebiemy, postępując dalej w kierunku chodnika, w bardzo wielu przypadkach przymusiemy tego podziemnego śpiewaka do ukazania się na wolnym powietrzu.

W największej liczbie dzieł przeznaczają dla

turkuciów suche okolice na codzienne zamieszkanie, co jednakże nie ze wszystkiém za słuszne uważać należy. Przeciwnie, na płaskich brzegach strumyków, szczególnie przez uprawne pola płynących, z pewnością napotkać ich można podczas letnich miesięcy, a w bagnistych leśnych okolicach, nad błotnistymi brzegami rzek i stawów, bardzo często znajdują się ich przechody. Jednakże podjadki i suchych miejsc nie opuszczają, licznie żyją w uprawnych polach, szczególnie w rolach zbożowych, i z tego powodu są prawdziwie szkodliwymi zwierzętami. Niewiadomo z pewnością czy turkucie żywią się korzeniami roślin, czy też przecinają je tylko w swoich przechodach, przez co rośliny więdną i usychają; zdaje się jednak że ostatni ten przypadek częściej ma miejsce. Podjadki bowiem, zamiast z szybkością przechodzić przez grunt lekki, dziurkowaty, jakby umyślnie zatrzymują się i przegryzają korzonki często twarde i wymagające dość długiej pracy. Rzeczywiście jestto bardzo szczególne, gdyż zwierzęta te stają się szkodliwymi, przez złe tylko wykonywanie pożytecznego celu wytępienia pod ziemią różnych szkodliwych zasiewom owadów, poczwerek, robaków i t. p.

Turkucie najliczniej pokazują się po lekkich zimach i suchych wiosnach, silne bowiem mrozy, znaczna wilgoć, a nawet i ciągła susza wiele z nich o śmierć przyprawia. Przytém, jak wszystko co żyje na świecie, podjadki mają także swych nieprzyjaciół. Lisy, kuny, łasice, jeże i krety ciągle nad ich wygubieniem pracują, a wiele ptaków, jak wrony, sroki, kosy, uważają ich za najlepsze swoje pożywienie. Stare nawet turkucie mają młode swe zjadać, co jednak zdaje się że jest bajeczką, lubo niezupełnie obraną z podobieństwa do prawdy, w niewoli bowiem podjadki wzajemnie się pożerają.

Szczególnym i godnym uwagi jest ich sposób budowania gniazd. Wybiierają na to bryłkę ziemi znacznej wielkości, i prawdopodobnie napuszczają ją kleistym produktem, rodzajem śliny, przez co kawał ziemi nabiera kulistego kształtu i staje się zbitym. Na powierzchni każdego takiego gniazda jest otwór dosyć obszerny, od którego do środka prowadzi kanał spiralny. Jednakże gniazda niezawsze bywają tak zbudowane; mogą także znajdować się pod powierzchnią ziemi, lecz najwięcej w głębokości dwóch do trzech cali. W każdym razie wewnątrz znajduje się otwór wielkości wło-

skiego orzecha, o ścianach gładkich, zawierający w sobie ze 200 jajek. Gniazda takie napelnione jajkami znajdujemy w miesiącach lipcu i sierpniu, i najlepszym sposobem wygubienia podjadków jest wyszukiwanie i niszczenie jajek przez suszenie ich na słońcu. W jednym ogrodzie francuzkim w przeciągu sześciu tygodni wykopano 2,080 gniazd, a w rozmaitych okolicach Niemiec kopanie równie dobry skutek odniosło. We wrześniu można młode wygubić, odszukując na łące miejsce żółtych, na których trawa już nie rośnie, i polévając takowe gorącą wodą. W ogrodach kwiatowych, w których podjadek sprawić może nieocenione szkody, na przechodach ich kopią małe rowki i w kanaliki napuszczają wodę z olejem, skutkiem czego turkuć natychmiast wychodzi i może być zabitym. Lecz doświadczenie to, jakkowiek pewnym zostało uwieńczone skutkiem, jednakże w okolicach gdzie podjadki bardzo się rozmnożyły nie może być zastosowaniem, z powodu ogromnych kosztów.

Musiano więc uciec się do prostszych i tańszych sposobów, które każdy ogrodnik zna i jako sekret przechowuje. Zależą one po większej części na posypaniu wybranego miejsca mieszaniną wapna niegaszonego, siarki i popiołu, lub też na uprawie gruntu nawozem zawierającym w sobie silnie woniące materye, jak olejek terpentynowy, skalny i t. p.

Objaśnienie litografij.

Na dole gniazdo w pionowym przecięciu, i w niem świeżo złożone jajka; na prawo znajdują się bardzo młode podjadki; ponad nimi egzemplarz w późnej jesieni znaleziony, któremu tylko skrzydeł brakuje. Na środku tablicy przedstawione są dwa gniazda z brył ziemi zrobione, i w jednym z nich zupełnie dorosły turkuć. Dalej podjadek jeden w czasie spoczynku, a drugi z rozpostartymi skrzydłami.

WYCIECZKA DO ALGHERO

W SARDYNII.

Oddawna już zamierzaliśmy odbyć wycieczkę z Sassari do groty w Alghero; deszcz tylko niestanny stawał nam długo na przeszkodzie, a trzeba wiedzieć że deszcz w Sassari, to ulewa potokami spadająca. Nareszcie rozjaśniło się niebo, i zaraz też puściliśmy się konno nieukończonym jeszcze traktem wiodącym do Alghero.

Droga nasza prowadziła przez wzgórza lesiste, których drzewa, wysokie na szczytach, maleją ku spodowi, i uakoniec zamieniają się w krzaki. Wiosek i mieszkań ludzkich ani tu poświecić, o milę bowiem od Sassari zaczyna się piaszczysta pustynia. W miarę zbliżania się do Alghero, okolica przybiéra charakter surowszy, góry wznoszą się wyżej i stromiej, a kiedy niekiedy na wierzchołku skały zaczernieje rozwalona *noraga* ¹⁾. Dopiero pod samém miastem ploty kaktusowe po obu stro-

nach drogi i coraz częstsze budowle wskazują sąsiedztwo znaczniejszego grodu.

Alghero leży w głębi zatoki utworzonej dwoma rzędami skał, i w oddaleniu rowkowane (krenelowane) jego bastiony, przeplatane domami i ogrodami, malowniczy przedstawiają widok. Wewnątrz jednak ulice są ciasne i domy ponure, z oknami na sposób hiszpański wychodzącymi na małe balkony. Stanęliśmy w lokandzie pod złotym lwem; lecz radzę szczerze każdemu podróżnikowi pozostać raczej pod gołym niebem, jak obrać sobie mieszkanie w tej niegodziwej oberży. Rozgościwszy się jak było można, wyszliśmy na bastiony, bronione przez kilkanaście armat porzewiałych bez lawet. Ztamtąd ujrzelśmy w oddaleniu skałę zamykającą zatokę Alghero, pod którą znajduje się słynna owa grota stalaktytowa, największa miejsca tego ciekawość. Pytaliśmy się mieszkańców czyby nie można nająć czółna dla odbycia przeprawy; ale w tej porze (w maju) zwidzanie groty wielkie przedsta-

¹⁾ Tak nazywają w Sardynii starożytne pieczary, których przeznaczenie dotychczas z pewnością nie zostało wyjaśnionem.

wia trudności, i żaden jakoś z rybaków nie chciał się podjąć przewiezienia. Nareszcie znalazł się przecież ochotnik, który za cenę dziesięciu talarów sardyńskich zobowiązał się nazajutrz o godzinie trzeciej rano być gotowym do podróży.

Noc pod lwem złotym była okropną. Nie mówiąc już o straszliwej duszności, której nie śmieliśmy zaradzić otwieraniem okien, z obawy zjadliwej febry panującej w okolicach Alghero, pościel nasza, powleczone zatluszczonemi poszewkami, wyzięwała zabójczą jakąś wilgoć. Na domiar przyjemności, gospodyni, dowiedziawszy się o zamiarze naszym zwidzenia jutro grotty, pożegnała nas na dobranoc uprzejmém: *ma siete matti* (ależ jesteście szaleni). Nie zważając atoli na ten wykrzyk ostrzegający, przed godziną trzecią kazaliśmy znieść płaszcze i zapasy żywności do przystani, gdzie czekał już na nas niekryty statek przewozowy z lacińskim żaglem. O w pół do czwartej wypłynęliśmy z portu, ciągnąc za sobą na linię małe czółno rybackie, dla dostania się niém w głąb grotty.

Zimno było przejmujące; zakutaliśmy się w płaszcze i zdrzymnęli. Kiedym po jakimś czasie otworzył oczy, znajdowaliśmy się w samym środku zatoki Alghero, a skała tworząca jej kraniec sterczała pionowo w głębi. Po dwugodzinnéj dość powolnéj żegludze, przerywanéj tylko nosowym śpiewem majtków w narzeczu katalańskiem, mogliśmy wreszcie rozpoznać rozpadliny skały, a o godzinie szóstéj, opłynawszy mały przylądek, stanęliśmy przed wnijsciem grotty, a raczej przed strzeżącym go ostrowem, o który bałwany z grzmotowym rozbijały się hukiem. O wiorstę może od tego ostrowu przewoźnik pokazał nam niewielkie wydrążenie w skale. „Oto wnijscie do grotty Alghero, rzekł głosem obojętnym, jesteście na miejscu.”

Przesiadłszy się do czółenka, z łatwością wplynęliśmy w otwór; lecz wewnątrz grotty przedzielone jest od jej przedsionka skalistym progiem, przez który trzeba było przeciągnąć czółno, i nad tém niemal strawiliśmy czasu i mozołu. Przedsiónek grotty sam przez się ogromną już tworzy jaskinią, ale nie widać w niej jeszcze stalaktytów, tylko skały w różnych kierunkach porozpadane i popękane.

Po przebyciu zapory tamującej nam wstęp do głębi, wydobyliśmy z czółna 500 świec wosko-

wych umyślnie w tym celu przygotowanych, i rozpoczęliśmy oświetlenie grotty. Przewodnicy nasi rozproszyli się w różne strony, i w miarę rozniecania przez nich światła, oczom naszym zaczęły przedstawiać się kolejno fantastyczne utwory, to przezroczyste jak kryształ, to jaśniejące barwami tęczy. Znajdowaliśmy się w pieczarze mającej w przecięciu 80 stóp wysokości i 130 szerokości, wspartéj czterema potężnemi filarami. Pod stropem w dziwacznych a przeróżnych kształtach wisiały stalaktyty; w głębi pieczara kończyła się ciemną jakąś otchłanią, podczas gdy w prawo i w lewo rozpalone przez przewodników światła, w nieskończonem na pozór oddaleniu, ukazywały nam masy czarniawe lub białe, w miarę jak płomień padał na nie z przodu, lub tylko odznaczał ich kontury. Widok prawdziwie był czarujący.

Weszliśmy potem na lewo w poboczną grotę podobną do kościoła, a ztamtąd do sali cokolwiek z zewnątrz oświetlonéj, obfitującej w stalaktyty barwy ciemnawéj. Dalej napotkaliśmy kolumnadę z grubych stalaktytów, uporządkowanych naksztalt piszczałek organowych i sięgających od pułapu aż do ziemi. Nie bez trudności wróciliśmy do pierwszój pieczary, i pod przewodem majtków niosących świece wkroczyliśmy na prawo do grotty wspartéj jednym olbrzymim filarem. Następnie, drapiąc się w górę, dosięgliśmy sali okrągłej, której prześliczne stalaktyty tworzyły ozdoby przypominające arabeski Alhambry.

Pieczara ta była ostatnią, należało więc przystąpić do odwrotu; lecz jakże tu wracać, gdy cuda nieprzeliczone na każdym kroku wzrok zatrzymują? Wróciliśmy jednak, przystawając co chwila, a wszedłszy do grotty wstępnéj, zastaliśmy zachwycającą niespodziankę. Kilkaset światel roznieconych w jednym punkcie iskrzyło się w kroplach ściekających po ścianach; na spodzie ciemno-lazurowe zwierciadło jeziora, zapełniającego środek grotty; nad brzegiem czółno nasze z siedzącym na straży starym majtkiem; ogromne, białe, połyskujące kolumny, a w głębi otchłań czarna i ponura. Zaprawdę, mimo woli przypomniało nam się piekło starożytne, i Charon przewoźnik styksowy.

Nareszcie mimo chęci wsiedliśmy do czółna, majtkowie pogasili świece, i grotę Alghero zaległa znów zwykła ciemność. W trzy godziny później szczęśliwie zawinęliśmy do portu.



Gerson rysował

w Litografii Banku Polskiego

Ceglinski hto!

KATEDRA W WŁOCŁAWKU

KATEDRA W WŁOCŁAWKU.

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Długo w ślad za pierwszym porządnym rocznikarzem naszym, Długoszem, powtarzali historycy, że biskupstwo później przewane kujawskim, było pierwsiastkowo założone w Kruświcy, i że pierwszym tam biskupem miał być Włoch Lucidus, po polsku Jasnoch, herbu Alabanda, Rzymianin, który wystawił kościół parafialny w Dzwierzchnie, i w nim po śmierci swojej w r. 993 pochowany został. Następcy jego: Maurycy (zmarły roku 1014) i Marcellus (zmarły 1035 roku), spoczywać mają także w Dzwierzchnie. Po nich dwaj znowu: Wenancjusz (zmarły 1055 r.) i Jędrzej (umarł 1081), leżą w kościele farnym w Parkaniach, i dopiero 6ty z kolei biskup, Jan Chrzyciel Rzymianin, (um: 1097) ma spoczywać w katedrze swojej w Kruświcy. Na rok przed śmiercią biskupa Jana zaszła owakrwawa bitwa nad Gopłem, w której Zbigniew, zająwszy licznym wojskiem Kruświcę, uległ przemocy ojca, i w której wojsko jego uciekające bez ładu, prawie wszystko potonęło w Gople. Kruświca, zrabowana po tej bitwie do szczętu, świeciła długo pustkami. Następcy Jana, Paulin, Baldwin, i Świdger, Włoch Francuz i Niemiec biskupi, siedzieli jeszcze w tej pustce, ale im tęskno w niej było; pomarli wszyscy trzej w Kruświcy i pochowani tamże w kościele. Ale Honold Włoch, biskup od roku 1156 — 1160, nie chciał żyć tutaj dłużej, i przeniósłszy się do Włocławka, ostatecznie w tym miasteczku w Kujawach osadził swoją stolicę, którą już od tego czasu kujawską ciągle nazywano.

Tak przed wieki rozprawił Długosz o losach biskupstwa na Kujawach. Poszedł za nim Damalewicz, potem Rzepnicki, i wreszcie przyjęto za rzecz niewątpliwą w dziejach kościoła polskiego, że Kruświca była pierwsiastkowo stolicą biskupią dla Kujaw. Tymczasem, jeżeli już nie co innego, to sama powieść o pierwszych dwóch biskupach, Lucidusie i Maurycym, razila zmysł krytyczny historyków, zaczawszy od Naruszewicza. Za Mieczysława pierwszego jedno tylko było w Polsce biskupstwo poznańskie. Bolesław Chrobry pięć ich założył, a między niemi nie było wcale kruświckiego. Gallus,

Kadłubek, Janko z Czarnkowa, wszyscy nie mówią o biskupstwie w Kruświcy, i dopiero Boguła, na lat 200 żyjący przed Długoszem, pierwszy rozpowiada o nowym biskupstwie polskim, siódmym z kolei, założonem przez Mieczysława drugiego, które się nazywało kujawskim lub władysławskim, (Włocławek, Vladislavia). Więc znowu o Kruświcy żadnej niema wzmianki i w tém źródle. Przeniesienie się Honolda z Kruświcy do Włocławka, mogło nastąpić tylko w latach 1156—1160; tymczasem, rzecz dziwna, mamy bullę Eugeniusza III papieża z r. 1148, w której najwyższa głowa kościoła oznacza bliżej granice biskupstwa na Kujawach. Bulla ta nie zna wcale i nie odnosi się do biskupstwa kruświckiego, ale do włocławskiego. Więc jeżeli było jakie przeniesienie się, nastąpić musiało przed Honoldem. Nareszcie biskup Werner, wspomniany w bulli z roku 1148, a nie pomieszczonego wcale w spisie biskupów, ułożonym podług podań i legend, do szczętu niszczy całą w tym względzie budowę Długoszową, i jest dowodem który rozwała pierwsiastkową historią biskupstwa, taką jaką dotychczas mamy. Długosz zna tegoż Wenera, ale go kładzie później o lat 30 i sam się zbija. Świadectwa tedy ojca naszej historii są najprzód za późne, i powtórne za mylne, żeby im na ślepo zawierzyć było można, a z tego dalej płynie logiczne przekonanie, że i wszystkie inne jego powieści o pierwsiastkach biskupstwa kujawskiego, chociaż na pierwszy rzut oka nie rażą, chociaż nie sprzeciwiają się znanym faktom, muszą być bardzo niepewne; widać że je czerpał Długosz z mętnego źródła. Z tego wychodząc stanowiska, w naszych czasach ksiądz Frank, kanonik poznański, starał się rzucić podejrzenie na cały ten fakt o biskupstwie kruświckim, skłaniając się widocznie do wniosku, że katedry w Kruświcy nigdy nie było, i jeżeli nie stanowczo okazał, to przynajmniej silnie zachwiał powagę Długosza. (Gazeta kościelna 1843, nr. 844). Na wszelki wypadek ksiądz Frank do sprawiedliwego przychodzi wniosku, że jeżeli kiedykolwiek istniała katedra

biskupia w Kruświcy, mogło to być, nie jak twierdzi Długosz, w latach od 966 do 1156, ale prędzej, w czasie pomiędzy śmiercią Bolesława Chrobrego a bullą Eugeniusza, to jest w latach 1025—1148. Możliwy przypuścić, bardzo słusznie uważa to ksiądz Frank, że pod Mieczysławem I i synem jego Bolesławem Chrobrym, opowiadali wiarę w Kujawach misyonarze Lucidus i Maurycy, jak ich nazywa Długosz, który przecież na jakiejś zasadzie przytoczył swoje fakta; ale ci misyonarze, byli to raczej prości księża, nie zaś biskupi. Może być że kościoły w Dzwierzchnie i Parkaniach założyli. Są nawet ślady, że Lucidus i Maurycy byli kanonikami lateraneńskimi. Być może Mieczysław II z konieczności przyszedł do fundacyi przyszłego biskupstwa. Kruświca za jego panowania była jeszcze znakomitą księżęcą miastem, król zatem wystawił w niej kościół, który stał aż po czasy Długosza, a całą swoją budową poświadczał głęboką starożytność. Kiedy z powiększaniem się liczby wiernych, zwiększała się liczba kapłanów, którzy przepowiadali ludowi po okolicach słowo boże, być może, mówi zawsze ksiądz Frank, okazała się potrzeba ustanowienia przełożonego, któryby przy kościele ciągle zamieszkiwał. Są ślady że w Kruświcy obok kościoła znajdował się i klasztor, może również przez Mieczysława Gnuśnego zbudowany, dlatego żeby schronieniem był dla misyonarzy, i żeby świecił jako święty zakład, jako ognisko, z którego, chrześcijaństwo na całą ziemię okoliczną rozrzuciło swoje promienie. Bardzo naturalnie nawija się tutaj przypuszczenie, że w pierwszych czasach przełożeni ci kościoła w Kruświcy sprawować musieli razem i urząd biskupi, ale byli to raczej biskupi bez dyecezyi *in partibus infidelium*, tacy jakimi są dzisiaj katolicy biskupi rozrzućeni po Azji, Afryce i wyspach oceanu. Nie byli to biskupi kruświcy, ale biskupi misyonarze, bo nie stała wtedy jeszcze kanoniczna erekcja ich kościoła. Dopiero po Chrobrym był Krzywousty wielkim w Polsce organizatorem chrześcijańskich i duchownych stosunków. Za niego kardynał Idzi oznaczał bliżej granice biskupstw polskich. Wtedy być może postanowiono ognisko życia duchownego dla Kujaw przenieść z opustoszałej Kruświcy, do spokojniejszego i wznoszącego się Włocławka. Ale więcej było to życzeniem króla, jak postanowieniem, bo do erekcyi dopiero później przyszło. Kiedy dowodów na to pewniejszych niema, musimy

od bulli Eugeniusza III, to jest od dnia 4 kwietnia 1148, rachować kanoniczne podniesienie biskupstwa na Kujawach, które od tego dopiero czasu żyje, bo ma już katedrę swoją i nazwisko, ma oznaczone granice, ma biskupa i wreszcie błogosławieństwo i bullę papieżką, która jedynie tutaj stanowi, bo jest ostateczną instancją i prawnie uświęca to, co stało się w życiu jakiego narodu katolickiego.

Eugeniusz znajdował się podówczas na soborze w mieście francuzkiem Rheims (od 21 marca do 11 kwietnia). Zjechali się tam biskupi z różnych stron Europy, przybyli i posłowie cesarscy ze skargą na Polskę, na książąt jej i biskupów, do czego im materyą dało wypędzenie z dzielnicy krakowskiej Władysława, najstarszego syna Krzywoustego. Dlaczego nie przypuścić że i Werner nie znajdował się na soborze, żeby tam osobiście popierać sprawę erekcyi swojego biskupstwa? Bulla owa erekcyjna tém ważniejsza, że ogłoszona przez papieża na soborze i że ją podpisali kardynałowie, dostojnicy ówczesnego kościoła. A nie można téj bulli prawie uważać inaczej jak za erekcyjną, kiedy sam papież wyraźnie mówi: że przyjmuje biskupstwo pod opiekę św. Piotra i swojej stolicy (*sub beati Petri et nostra protectione suscipimus*). Więc dawniej jeżeli było biskupstwo, to *in partibus infidelium*, bez pewnej stolicy, a jeżeli wreszcie zyskało grunt stały, winna to Polska staranności wyłącznie Wenera, co papież sam przyznaje, mówiąc do niego: „*quo circa, venerabilis frater, tuis justis postulationibus clementer annuimus.*”

Podług tego wypada całkiem odrzucić wszystkich pierwszych ośmiu biskupów, nie zaś dwóch tylko, i od Wenera prowadzić listę. Tamci jeżeli byli biskupami, nie byli ani kruświckimi, ani tém bardziej kujawskimi, i naturalnie historia kościoła katedralnego kujawskiego odrzucić ich musi; ale nie tak łatwa sprawa z uczuciami i z legendami narodu. Legenda to cudowność, a cudownością lubi się przystrajać naród w swojej pierwiastkowej historii; legend nie wyrzecz się nawet człowiek uczony, dlatego i ks. Łętowski katalog swój biskupów krakowskich rozpoczął również od bajecznego Prochora, chociaż wiedział że to są legendy. Tak na Kujawach, niech co chce powie sobie historia, owych ośmiu biskupów żyć wiecznie będzie w podaniach i książkach, a dzisiajsi biskupi kujawscy za ich kanonicznych następców uważać się będą, i sprawiedliwie. Nic to historii nie szkodzi, a legenda zostanie.

Położywszy prawdopodobne wnioski nasze o początkach biskupstwa na Kujawach, nie kończym jednak przez to wszystkich trudności. Stanowisko kollegiaty kruświckiej w dyecezyi wiecznie wyjątkowe, i od lat najdawniejszych, jakich tylko pamięć ludzka i pomniki zasięgnąć mogą, głośno świadczy, że Kruświca miała tutaj jakieś swoje prawa, które szanowano. Kiedy jej kościół uczczono tytułem kollegiaty, na to wprawdzie nie ma żadnego dowodu, ale stać się to musiało w czasach bardzo blizkich biskupa Wenera, kiedy już w początkach XIII wieku pełno po dyplomatach czytamy prałatów i kanoników kujawskich. Było to za czasów biskupa Michała Godziemby, który, jak powiada historyk dyecezyi Damalewicz, sam kanonik kruświcki, na synodzie w Inowrocławiu w roku 1233 przywrócił zniesiony dawniej archidyakoniat kruświcki, dając tém do zrozumienia że od Michała właściwie zaczynaćby trzeba dzieje kollegiaty. Jednakże na lat kilka przed tą datą, jeszcze w roku 1227, Łukaszewicz w historyi szkół przytacza Marcina scholastyka kruświckiego (t. I. str. 10). Od tego czasu w każdym akcie urzędowym biskupa kujawskiego są pomiędzy świadkami, obok członków kapituły włocławskiej, zawsze prałaci i kanonicy kruświccy, tak że wygląda jak gdyby biskup miał w swojej dyecezyi dwie razem kapituły katedralne, jak gdyby sam był biskupem dwóch oddzielnych dyecezyj połączonych kanonicznie z sobą, jak są np. dzisiaj kanonicznie pomieszane arcybiskupstwo gnieźnieńskie z biskupstwem poznańskim, albo dyecezye łucka z żytomierską. Nie obeszło się to pewnie bez wiedzy Rzymu, a w każdym razie okoliczność to nowa, uderzająca, godna bliższego rozpatrzenia się i zbadania, do czego jednak nie mamy dosyć potrzebnych faktów, jak dzisiaj. Przez półtora wieku przeszło spotykamy po dyplomatach tę jedność i solidarność dwóch kapituł; później dopiero widać Kruświca zmalala i straciła swoje znaczenie, ale w wieku XIII i XIV świeciła tak w historyi kościoła jakby katedralna. Potém w upadku nawet swoim nie zniżyła się pod szlachecki poziom. Wiele kollegiat polskich, za czasu rozwinięcia się już na dobre zasady rządowej rplitój, popadło w nicosć, bo stały się wyłącznie dla nieszlachty, kiedy szlachta posiadała same kapituły katedralne. W tę nicość popadły nawet kollegiaty krakowskie, jako to: św. Floryana, Wszystkich Świętych i t. d. W kapitule kruświckiej do ostatnich czasów za-

siadała sama szlachta na prelaturach i kanoniach, aż po sam koniec rplitój, więcej tytułarnie, jak rzeczywiście, bo zwykle bawili w innych beneficyach, a Kruświca pustką ciągle świeciła. Ale tém ważniejsza jest ta okoliczność. Sam tytuł kruświcki musiał coś wtedy znaczyć, kiedy się tak gorliwie o niego ubiegano. W dawniejszych nawet czasach prałaci kruświccy wyciągali rękę po pierwsze dostojności w Polsce, na równi z najdostojniejszymi. Wolimir, kanclerz księcia kujawskiego, z proboszcza kapituły kruświckiej został w roku 1253 biskupem kujawskim. Mikołaj Hebda Pomian z Niewiesza, proboszcz kruświcki, był w roku 1448 w liczbie kandydatów na prymasostwo. Jeżeli później Damalewicz był kanonikiem kruświckim, chociaż nie szlacheccie, widocznie pokazuje to że za naukę swoją dostał kanonią doktoralną.

Werner tedy pierwszym był biskupem kujawskim w historyi. Ale katedrę zbudował nie Werner, tylko Honold, Onold, Włoch biskup, może bezpośredni jego następca. Niepokojony stanowiskiem katedry swojej, wystawionej na coraz częstsze napady pogan pomorskich z za Nakłą, których nie znękał jeszcze ostatecznie oręż Bolesława Krzywoustego, biskup Honold postanowił kościół swój i mieszkanie przenieść z nad Gopła do samego serca Kujaw, do Włocławka. O Włocławku nikt dotąd w Polsce nie słyszał, była więc to osada bez większego w kraju znaczenia. Jakież powody miał biskup przenosić tutaj ognisko swoich prac duchownych? Włocławek nie przedstawiał Honoldowi ani położenia obronnego, ani umocnień przez sztukę. Otaczały go bagna, trzęsawiska, z kąd w odległej nawet starożytności miał przydomek zgnitego, a obok nich ciągnęły się piaski i lasy. Z jednej strony zasłaniała go Wisła, po nad którą z przeciwniej strony podnosiły się gęste, spadziste a wyniosłe pagórki; kręta rzeczka Zgłowiączka płynie z drugiej strony od Raciążka i Nieszawy. Temu to zapewne położeniu winien był Włocławek wybór biskupa, i co za tém poszło, przyszłość swoją. Oddalając się więc jedynak na wschód z Kruświcy, biskup oddalił się od pogan polskich z Pomorza, teraz już wprawdzie pochrzczonych, ale jeszcze dzikich, i od nich nawet Zgłowiączką się zasłaniał, ale zato zbliżał się do innych pogan litewskich i polskich, to jest do Prusaków i Mazurów, którzy jeszcze, sąsiadując z Litwą, wiary chrześcijańskiej nie przyjęli; ale we Włocławku zaporą od nich była Wisła i jej strome

brzezi; zresztą biskup zbliżał się do ogniska siły i władzy, do księcia panującego na Mazowszu i do biskupa który mieszkał w Płocku. Spokojniejszy mógł być pod ich zasłoną. Włocławek było to ciche, a nie tak łatwo dostępne ustronie. Wreszcie słusznie domyśla się jeden z naszych badaczy¹⁾ że najwięcej znaczącą ponętą ściągającą biskupów ostatecznie do Włocławka, stawać się mogło przyjazne wezwanie książąt, którzy przychodzili do udzielenia po Krzywoustym. Werner tylko obierał miejsce, ale Honold osiedlał się w niem, ten Honold który był w odwizinach u cesarza Fryderyka, wtenczas gdy nieszczęśliwy obrót wojny oddawał na łaskę i nielaskę Niemców Bolesława Kędzierzawego w Kryżgowie, co naturalnie bardzo świadczy na stronę przyjaznych stosunków biskupa z księciem. Kędzierzawy po wypędzonym bracie przyszedł do dzielnicy krakowskiej, ale po ojcu wziął Mazowsze, Kujawy i nawet ziemie te w spadku potem przekazał jednemu synowi swojemu Leszkowi. Włocławek leżał już tedy zupełnie w jego dzielnicy, kiedy Kruświca znajdowała się pod panowaniem Mieczysława Starego, księcia właściwie polskiego. Wszystko to może rzuca jakieś światło na osiedlenie się biskupstwa w Kujawach. Mieczysław miał w swoim księstwie dwóch pasterzy, w Gnieźnie i w Poznaniu; trzeci w Kruświcy już byłby za nadto, wtenczas kiedy ogromna dzielnica mazowiecko-kujawska posiadała jeden tylko płocki kościół katedralny. Być może nawet ze zgodą książąt, biskupi osiedlili się stanowczo nie w Kruświcy, ale we Włocławku.

Pierwsza katedra biskupa Honolda był to mały drewniany kościółek, aedicula lignea, naturalnie tymczasowo tylko wystawiona, dla potrzeb bieżących. Usadowił go biskup ad ripam Vistulae, to jest nad samym brzegiem Wisły. Kościółek ten musiał trwać nie długo, gdy wiemy że Michała Godziembę, pierwszego Polaka który w pół wieku potem biskupem był we Włocławku, po śmierci pochowano już w murowanym kościele. Damalewicz się domyśla, że Michał drewniany katedralny kościółek Honolda odbudował na nowo z cegły, ale dowodów na to żadnych nie kładzie, więc tą razą widać radził się jakichciś podań, na których i historia, dzisiaj przynajmniej, wesprzeć się musi. Honolda od Michała sześciu biskupów przedzielało,

1) Zygmunt Komornicki w Bibliot. Warsz. za wrzesień 1856 str. 442.

żaden z nich nie pomyślał o katedrze. Michałowi w istocie najprędzej to staranie przystawało.

Godziemba był to albowiem znakomity człowiek swojego czasu, ale dopiero niedawno mogła mu się przypatrzeć historia oko w oko. Przysługę tę winna dyplomataryszowi Rzyszczewskiego, który dla piastowskiej przeszłości (naszej nieocenione położył zasługi. Wydatnieje w dyplomatach więcej nad innych szlachetna postać biskupa. Czynny, gorliwy, niezmordowany, dobry pasterz, nauczyciel biegły, zacny Polak, to główne rysy jego charakteru. Mało współczesnych znakomitości coby równało stanowiskiem, powagą, znaczeniem w historii Michałowi. Czy to w prywatnych stosunkach, jako posiadacz dóbr kapitulnych, czy w działaniach swoich jako obywatel, Michał zarówno wszędzie pokazuje się czynnym, energicznym, zabiegłym człowiekiem. Nietylko książęta, ale i arcybiskup Pełka, ale i prywatni ludzie nadawali za niego dobrami kapitulę kujawską. I Michał urządzał się, sprzedawał, skupował, zawięrał kontrakty, zamieniał jedne posiadłości na drugie. Zarwał z Gdańszczanami, a raczej z jakimś książętkiem panującym nieprawnie w tamtej stronie Pomorza, i godził się potem z niemi w roku 1238. W lat trzy potem zawięrał traktat i godził się z Samborzem, księżciem Pomeranii, roku 1241. Znalazł nawet tyle łaski i przyjaźni u Samborza, że w miesiąc po zgodzie zawartej w Toruniu tenże książę pomorski nadał biskupowi kasztelanią gorzeczyńską, (w dypl. Goruchino, może to za wolne tłumaczenie wydawców) i siedmnaście wiosek, bo biskup oświadczył chęć swoją, że chce po kolei to na Kujawach, to w Pomeranii, dla lepszego nadzoru nad owczarnią czuwać. Dla niego w innej stronie kraju Grzymisława, wdowa po Leszku Białym, przywróciła dawne prawo polowania w lasach kasztelanii wolborskiej (r. 1228). Tak na wsze strony rozrzuca się Godziemba; miał częste stosunki z Krakowem, z Mestwinem, z Gdańskiem i z Oliwą. Dycezya też jego rozdzielona była pomiędzy księstwa, w których panowali Piastowie, i ziemie które zagarnęli potomkowie Świętopelka, mordercy Leszka Białego w Gązawie. Tak więc, z samego położenia swojego, Michał pośrednikiem być musiał pomiędzy szczepami nieprzyjaznych władców, a osobą swoją wiązał ściślej rozerwaną na północy jedność ziem lechickich. Musiał mieć wysoki szacunek pomiędzy książętami. Lat 40 blisko siedział na biskupiej stolicy; nie zdziwimy się zatem temu

szacunkowi, kiedy zastanowimy się jeszcze jaką rozwijał czynność. Dla niego Kazmirz książę łęczycki zrzekł się praw swoich do mianowania proboszcza katedralnego w Kujawach, członka kapituły w roku 1250. Dla niego potem uciekał Sambor z Pomorza, przez Świętopelka wygnany. Jednym słowem, Michał Godziemba wyrósł w oczach naszych na wysoką, pełną znaczenia postać historyczną, którejśmy wcale nie znali z historii Naruszewicza. Wielkością swoją zaćmi on wszystkich w swojej chwili, wszystkich kujawskich, łęczyckich, mazowieckich, wielkopolskich książąt ¹⁾.

Michał Godziemba zatem mógł najprędzej wynieść kościół murowany we Włocławku na katedrę. Długie też było jego biskupstwo i ciągnęło się lat blisko czterdzieści. W roku 1215 objął dostojny pasterz urząd, a umarł dopiero pod koniec 1252 roku. Następca jego Wolimir, herbu Pobóg, występuje już w lutym 1253. Niesiecki więc zmylił się kiedy śmierć jego podaje w roku 1250, a Domalewicz kiedy wspomina o jego pogrzebie w roku 1258.

Jak od Honolda zaczyna się pierwsza epoka dziejów katedry włocławskiej (bierzem tutaj katedrę, kościół, w jej najpiérwszym znaczeniu, nie za biskupstwo, ale za pojedynczy gmach czci Bożej poświęcony), tak druga zaczyna się od Michała Godziemby; nim nadejdzie trzecia epoka, ważne tymczasem w dziejach biskupstwa kujawskiego, zachodzą wypadki.

Nadania się mnożą, biskupstwo rośnie dobrami ziemskimi, przywilejami, wpływem i znaczeniem politycznym swoich pasterzy. Włocławek dla nich wzrasta na jedno z porządniejszych miast polskich. Dobra kościoła katedralnego rozrzucone są po całym kraju, są w Małej Polsce, są na Mazurach, na Pomorzu. Biskupi wzrastają na oddzielnych prawie książąt, zawierają sami traktaty, a zatwierdzają i ogłaszają cudze. Dzieląc się na dwie połowy, pomiędzy kujawskie ziemie a pomorskie, prawie codzienne mają stosunki z Piastami z linii Sambora, która się nagle wyniosła tak świetnie na północy. Można powiedzieć nawet że biskupi wazą szalę równowagi w tej okolicy wszystkich książąt, pilnując żeby się na żadną stronę bardziej nie przechylała. Przybiierają już wówczas tytuł biskupów kujawskich i pomorskich. Na to świetne stanowisko, które teraz biskupi zajęli, wskazał

¹⁾ *Nowa epoka literatury historycznej polskiej*, w Bibl. Warsz. 1850 t. II, 552.

następcom swoim, że do zajęcia było, sławny Michał Godziemba.

Wreszcie epoka trzecia następuje z Maciejem Golanczewskim. Nowa ta znakomitość idzie w ślady poprzednika swojego, Gerwarda. Łokietek wysłał biskupa Gerwarda do Awinionu do papieża Jana XXII, bronić sprawy polskiej przeciw krzyżakom. Niemógł król trafniejszego zrobić wyboru; Gerward był to mąż bardzo uczony, a prawy posiadał charakter. Wziął z sobą biskup w podróż młodego kapłana Macieja, którego umysł znajomością prawa i dziejów wykształcony, rokował mu że będzie trudnych prac powiernikiem, a z czasem zdolnym obrońcą. Lat siedm biskup z Maciejem przesiedzieli w Awinionie, bo wcale nie prędko brał się do wyroku sędziego polubowny, papież. Wreszcie, nie załatwiając stanowczo sporu, wymógł Gerward w Awinionie delegacją, która na miejscu miała rozstrzygnąć wzajemne zajęcia Polski z zakonem. Drugą rzecz ważną wyrobił Gerward, że papież uznał tytuł królewski Władysława Łokietka. Ale umarł biskup po siedmiu latach poselstwa (1 listop: 1323), i zaraz papież włożył osieroconą infułę na głowę Macieja, zatrzymał go u siebie czas jakiś, a potem wysłał z błogosławieństwem do ojczyzny. I zaczął Maciej sławne swoje pasterstwo, które, jak słusznie ostatni historyk jego uważa, jest, jako panowanie króla Łokietka, jedną a długą walką, wyradzającą się wciąż ze swoich popiołów. I biskup i król w tém jeszcze do siebie podobni, że walcząc całe życie, nie ustąpili ani na krok z drogi powinności, i że walkę swoją następcom jeszcze na łożu śmiertelném przekazali.

Maciej z Golancy, z Golanczewa (bo pod tém nazwiskiem znany jest w historii) był synem Sławnika herbu Topor, kasztelana nakielskiego; urodził się zaś we wsi Rozmiatowie na Pałukach, to jest w kraju położonym nad Notecią, cudownym sposobem. Matka jego Małgorzata miała w jednym dniu aż dwunastu zrodzić synów, z których jeden nastu zaraz po chrzcie umarło, a jeden Maciej przeżył braci. Katedra w istocie samo biskupstwo Macieja uważała za cud i oczywistą nad sobą opiekę Bożą. Wyćwiczony w naukach, wstąpił do powołania kapłańskiego, i wprędce został dziekanem kapituły we Włocławku. Odznaczał się nadzwyczajną pobożnością i skromnością życia. 3 grudnia 1323 mianowany biskupem w Awinionie, zaraz w styczniu następnego roku wyświęcony został na pasterza przez kardynała biskupa pro-

nestyńskiego, któremu sam ojciec święty trud ten polecił. Łokietek przyjął go z radością, lud i duchowieństwo włocławskie wyszło naprzeciw biskupowi.

Jedna tylko wtedy wielka łuna palących się wsi i kościołów szeroko blaski smutne rzucała po całym Pomorzu. Tu krzyżacy mordowali całe ludności, i zakładali na ruinach swoje państwo w obcy grunt wszczepione. Połowa dyecezyi kujawskiej rozciągająca się ku północy w niewolę popadła, a szaleństwa zakonu, który się już wylęwał do ziem mazowieckich, klóćąc książąt pomiędzy sobą i wdając się niby jako pośrednik w ich wzajemne waśnie, zwiastowały smutną przyszłość i samej siedzibie biskupiej, od czego ani błota, ani trzęsawice, ani strome brzegi Wisły już, zdaje się, ocalić Kujaw nie mogły. Było się nad czém zadumać tęskno patrząc z Włocławka na tę łunę jaka się w różnych miejscach i o różnych czasach pokazywała. Ale Maciej było biskup w kirysie, rycerz w infule, z pastorałem w ręku, prawdziwy reprezentant owych średniowiecznych pasterzy, co to dla idei ukochanej całe życie poświęcali się i radzili na sejmach, sądzili w trybunałach i ścięrali się mężko z orężem w ręku z wrogiem wiary, albo z nieprzyjacielem narodu. Wziął złomy ruin biskup nasz we Włocławku, bo zaraz pierwszych lat zemstą wściekła przebyła zapory Wisły powódź krzyżacka i miasto zniosła. Werner von Orselen zagony krwawe rozpuścił po kraju. Ledwie jakotako odbudowano domostwa z ruiny, aliści okropniejsze dzieło zgrozy zaczyna się w drugiej powodzi zakonu, w której nawet chciał zagrzebać ślady i pamięć biskupstwa na Kujawach. Razem król czeski, z księciem Krystynem i mistrzem, nagle napadli Włocławek z ogromną mocą. Wszystko wtedy było pod bezbożnym orężem, a miasto biskupie stało się jedným wielkiem zgliszczem¹⁾. Pod katedrę i pod domy kanoniczne podłożono ogień, w którym spaliły się ołtarze i święte obrazy; krwią zlano nawet cmentarz katedralny. Wioski na okółko spalono, tak że po nich nawet nie zostało śladu. Patrzył się na tę smutną ruinę biskup, prałaci, kanonicy i duchowieństwo kujawskie i lud, któremu zaraz zwycięzcy nakazali, pod karą śmierci, żeby się nieważyl z tego zgliszcza podnieść aby jedną cegielkę na odbudowanie miasta. Żeby zaś do szczytu zruinować Macieja, ostatnie dochody biskupie, klucz ciechociński, krzyżacy na swój

użytek zabrali²⁾. Biskup wtedy z częstką uratowanych skarbów kościelnych i sprzętów schronił się do Raciąża, do którego skupiła się wszystka szlachta z okolic. Biskup podług wszelkich praw rycerskich podniósł sam na własną rękę wojnę z zakonem i jak mógł umacniał się w swojej twierdzy. Rozdrażnia jeszcze mistrza wyrokiem swoim, który po wszystkich kościołach ogłaszać każe, a w którym grozi zakonowi że klątwę na niego ciśnie, jeżeli krzywd kościołom kujawskim zrzadzonych sam dobrowolnie nie naprawi (8 maja 1329). Zakolatał wreszcie mistrz do Raciąża, wracając z Nakła. Bronił się Maciej z rozpaczą, ale uległ wskutku szturm i rzeź rozpoczęła się nowa. Moc zdobyczy, wielu jeńców znakomitych dostało się w ręce nieprzyjaciela, pomiędzy niemi i brat rodzony biskupa, Świętosław. Maciej daje za nich okup jaki może, ale rad nie rad, przyciśniony do ostatka, sam jeńiec w obozie krzyżackim, musi zawierać pokój z mistrzem. Pokwitował zakon krzywd swoich, za dziesięciny z powiśla przyjął jałmużnę. Załogę raciążską obiecał wstrzymywać od napaści na krzyżaków, a sam tylko zyskał zaręczenie, że dóbr swych nie utraci na Pomorzu. Krzyżacy jednak wiedzieli że dopuścili się gwałtu, i dlatego pokryć się starali jakimś pozorem sprawiedliwości: biskup tedy miał wymódz zatwierdzenie tego na królu w Gnieźnie i u papieża, a nimby to się stało, miał zostawać wciąż jeńcem zakonu (w Toruniu 24 sierpnia 1330 r.).

Biskup w tém całą miał nadzieję zwalenią rozjemcu toruńskiego, że potrzebował zatwierdzenia metropolity i papieża. W istocie wojna zapaliła się na nowo zaraz w roku następnym, kraj cały jeszcze szerszą jak zwykle zapłonął pożogą, aż po Łęczycę, Uniejów i Kalisz. Papież wyklina mistrza i cały zakon za pożogę dwóch biskupstw, kujawskiego i chełmińskiego, więc nie zatwierdził rozjemcu (31 marca 1331). Stary Łokietek helm przywdziéwa, ale na radość polską nastąpił sławny bój pod Płowcami: nieodstępny od pana swego radą, Maciej biskup brał udział niepośledni w pomysłach boju i w zwycięztwie. Po boju śmiałym cztery tysiące prostego ludu, oprócz rycerzy niemieckich, biskup nasz zliczył i pogrzebł w mogiłach.

Przemijały nareszcie dni ucisku i wielkiej zało-

²⁾ Naruszewicz słusznie wnosi że Długosz, oznaczając ten napad rokiem 1329, pomylił się. (T. VIII, str. 198 lipskiego wydania) Dowód i w dyplomatarjuszu Rzysszczewskiego w przywileju biskupa Macieja z d. 8 maja 1329. (Cod. dipl. Poloniae t. 2 str. 241). Najście to było w r. 1328. Damalewicz, idąc za Długoszem, podaje również datę 23 kwietnia 1329.

¹⁾ Komornicki.

by. Biskup zbliżył się do miasta, które obnażone ze wszystkich swoich świętości, oblane krwią ludu, stosami gruzów leżało przykryte. Pierwszą zaraz jego myślą było wziąć się do odbudowania katedry, ale trudności ogromne towarzyszyły przedsięwzięciu. Wojna z zakonem nie ustawała, do pokoju było daleko, ludzi nie było. Biskup więc podniósł najprzód małą świątynią we Włocławku, ni-by model przyszłej katedry, o której zbudowaniu zamyslał, bo przedewszystkiem chodziło mu wtedy o jakikolwiek kościół, któryby mógł ściągać na nowo do Włocławka ludzi w którymby mógł sam zgromadzić swój senat duchowny. Mały kościółek św. Witalisa, który tym potrzebom miał zadosyć uczynić, do dziś dnia stoi we Włocławku, jako pomnik dźwignięty ręką najzacniejszego biskupa. Wziął się do pracy już po wielkich zawodach w życiu. Za Łokietka uzyskał w radzie królewskiej zaraz następne miejsce po biskupie krakowskim, i na tém stanowisku w pierwszych krokach panowania wszędzie towarzyszył Kazimirzowi Wielkiemu. Jeździł z nim do Węgier i w układach wyszogrodzkich brał czynny udział, ale z wielkim żalem widział że król opuszcza sprawę Pomorza. Kiedy sam biskup, zmuszony okolicznościami, opuszczał ją w układach toruńskich z mistrzem, miał za sobą przynajmniej króla i papieża, i wiedział że do nich odwołując się, nie naraża sprawy narodowej; ale król zrzekał się zupełnie części ojczyzny. Dlatego zdaje się że rozbrat nagły musiał nastąpić pomiędzy panem a wierną jego radą, biskupem Maciejem, i że teraz już całkiem Maciej poświęcał się pracom swoim pasterskim i odbudowaniu katedry.

Komornicki rok 1340 podaje za epokę w której założono fundamenta pod dzisiajszą już katedrę, trzecią z kolei. Biskup oddalał ją od Wisły i stawiał na wzgórzu, żeby świeciła Kujawom. Ale budował ją przez całe 25 lat, jak świadczą kronikarze. Słuszne wszystkich pytania czemu tak długo? Nie był to przecie gmach zdumiewający ogromem i cudami architektury; dochody biskupów były po temu, Kazimirz Wielki przykład dawał. Nie trudno zagadkę tę objaśnić. Biskup po klęskach ostatnich do największego przywiedziony ubóstwa, utrzymywał się o zebranych chlebie ze swoim duchowieństwem, a było to tak wielką prawdą, że nawet papież w Awinionie o tém wiedział. Więc zasobów materyalnych nie miał na zawołanie, a do tego i los Kujaw dopiero w roku

1343 stanowczo rozstrzygnięto: zostały się przy Polsce. Odtąd jedną myślą wyłącznie zajęty biskup, każdy grosz oszczędza, każdy zbiera do skarby przez lat kilkanaście, aby tylko przyzwoitą świątynią wystawił Bogu.

Słusznie powiedziano niedawno o Macieju, że budowa tego kościoła była ulepiona krwią ludzką; ale dodać też należało że „i mozolą biskupią”. Znać było te dumy i lzy znakomitego kapłana nawet w powierzchowności katedry: idea Golanczewskiego, posępna jak wszystkie wzory gotyckie, wcieliła się jako pamiątka po owych czasach nieszczęsnych. Zaczny biskup nie doczekał jednak końca swojej budowli, podniósł tylko mury; w rozkładzie kościoła, w zarysach głównych odbił tylko swoją ideę. Skołatany nieszczęściami i pracą, utraciwszy wzrok, złożył swoje biskupstwo, więc nawet pasterstwa swego nie przeżył. Zbylutowi synowcowi swojemu oddał urząd i cały swój majątek. Niema wątpliwości że pod tym jedynie warunkiem ustąpił władzy i wyrobił na to kanoniczne zezwolenie kapituły, żeby Zbylut dokończył kościoła katedralnego. Zbylut źle się obchodził ze stryjem swoim do takiego stopnia, że Maciej ubolewał nawet nad utratą biskupstwa. Był to człowiek zbyt światowy i lekkomyślny, nie szanował świętego urzędu; widać musiał podejść dobrego, spokojnego stryja, który już za późno na tém się poznał co to za ziółko wyhodował na łonie swoim; ale przy tém wszystkiem Zbylut co do katedry, to święcie wolę stryja we wszystkiem wypełnił. Nie żałował na budowę kościołów, i w Gdańsku wystawił wspaniałą przybytek Panny Maryi na górze biskupiej; katedry kujawskiej dokończył, sklepieniem i dachem całą ją pokrył. Zmarnował wiele młody Zbylut skarbów przez całe swoje życie, ale jednak miał miłość do swojej katedry, której się uważał poniekąd słusznie za spółzałożyciela z Maciejem. We Włocławku się wychował, z proboszcza kujawskiego został biskupem. Dlatego kiedy umarł, kościół katedralny wziął po nim moc wielkiego bogactwa w złocie, srebro, sprzętach, pieniądzech i książkach niemaléj wartości. Maciej umarł w roku 1368, Zbylut zaś w roku 1383. Starcem umarł Maciej, Zbylut młodo.

Katedra więc dzisiajsza od połowy XIV wieku powstała na Kujawach. Jeżeli przyjąć że kamień węgielny położono na nią 1340 roku, ponieważ Maciej budował ją sam przez lat 25, a Zbylut dopiero dokończył, więc ją dopiero około roku 1365 trze-

ba uważać za otwartą dla nabożeństwa. W tych latach upływa pięć wieków jak stoi: epoka jubileuszowa dla katedry zaczyna się.

Po śmierci Macieja i Zbyluta, biskupi kujawscy napisami, grobowcami, przybudowami i fundacjami w kaplicach, gzymsach i kapitelach pisali dalsze dzieje katedry. Golanczewski wystawił niepożyty sobie pomnik, założył mauzoleum, które teraz rozwijało się ciągle, i dzisiaj jest pamiątką dawnych czasów, i dawnych ludzi. Każdy wiek coś tutaj dodał, każdy z panów duchownych który tutaj sądził i rządził starał się ślad bytności swojej zostawić, jeżeli nie w czém inném, to w złożonych przynajmniej herbach swoich, które świadczyły o jego szlacheckiej rodowitości. Herby błyszczą tu wszędzie, wysoko i nisko, na ołtarzach, po ścianach; bo nie tylko biskup był w katedrze, ale i szlachcic był u siebie, był w swoim własnym kościele. Próżność narodowa coś czysto polskiego, szlacheckiego, zrobiła ze wszystkich świętych obrzędów kościoła. Obrzędom samym nie przez to nie ubyło, ale owszem przybyło im na miłości szlacheckiej. Było tu gdzie mieścić herby, stawiać ołtarze, wznosić grobowce i napisy. Na dziesięciu filarach wspierało się podniesienie świątyni, dzisiaj u każdego prawie filaru ołtarz pojedynczy mieści się pod łukiem sklepień. Na ścianach i filarach pomniki, płyty marmurowe jedne obok drugich. Jeżeli biskup Maciej i Zbylut zbudowali katedrę, trzeba powiedzieć że następcy ich wykończyli budowlę i nadalili jej w ciągu wieków ten charakter szlachecki i narodowy, jaki dzisiaj nosi. W katedrze Maciejana jeszcze było i przestrono; dzisiaj i ciasno i wspaniale: święte mury zyskały wiele na powadze swojej przez to, że o pięć wieków już oddaliły się od biskupa założyciela.

Szczególniej od czasów biskupa Władysława Oporowskiego (1432 — 1449) wznosić się zaczęły pamiątki katedry Macieja z Golanczewa. Do połowy albowiem XV wieku przetrwała owa świątynia gotycka, która służyła za model dzisiejszej katedry, i dopiero zniósł ją biskup Władysław. Odtąd nabożeństwo rozdzielone już do jednego wyłącznie należało kościoła i pamiątki zbierały się do jednego. Dawna katedra znajdowała się wśród obwodu zamkowego, który stał po nad samą Wisłą. Rzeka jednak coraz więcej podrywała grunt, tak dalece że biskup się obawiał o zamek, i w takim razie najłatwiej było znieść kościół zamkowy, co tém mniejszym podlegało trudnościom, że było

gdzie przenieść nabożeństwo, a nawet prawdę powiedziawszy sam porządek tego przeniesienia wymagał. Nie tak bardzo jednak szlachetne pobudki kierowały tą razą Oporowskim: była wieść jakaś że w pokładach kościoła zamkowego znajdują się skarby; biskupowi chciało się ich poszukać, i to głównie było powodem że katedra dzisiejsza, już nie tylko z prawa ale i z rzeczy, została się prawdziwą katedrą. Ale Oporowskiego biskupstwo poprzedziła we Włocławku jeszcze jedna pożoga wojenna: w boju wybuchłym pomiędzy Koroną a zakonem, wiernym sprzymierzeńcem Swidrygiełły, krzyżacy zawadzili o Włocławek, ogołocili zamek i katedrę ze wszystkich kosztowności, a miasto samo oddali na pastwę płomieni. Nie zaraz jednak minęło niebezpieczeństwo: ulegli krzyżacy przed bronią polską; za to Kujawianie i Pomorzanie zagrożali ciągle biskupowi. Pamiętny jest wypadek który zasmucił pierwszy wstęp do naszej katedry Jakuba z Sienna, tego co to z Krakowa usunąć się musiał przed Gruszczyńskim. Mikołaj Czerwonka, starosta gołubski, z niepłatnym wojskiem zaciętnym formalną wojnę wypowiedział dobrom biskupim; chcąc powetować swoich strat i zaległości, zajął północne nadbrzeża Wisły, towary i statki płynące rzeką zabięrał; myślał łupieżyc w okolicy, wreszcie postanowił w piątek (Parasceves) dobywać katedry i domów kanoniczych we Włocławku, ażeby się jako pożywić skarbami kościelnymi. Musiał go biskup opłacić, i wtedy burza ucichła (1464).

Jakób z Sienna pierwszy zaczął gromadzić pamiątki do katedry i kościół swój obstawiał fundacjami. Na miejscu starej bazyliki Macieja, którą Oporowski z ziemią zrównał, wystawił na cześć św. Stanisława nowy drewniany kościółek i poświęcił go we wtorek wielkanocny 1474. W katedrze zaś ustanowił urząd penitencyarza, godność jakiej dotąd tutaj nie znano. Wybudował też wielkim nakładem skarbnicę przy katedrze, przeznaczoną na skład rzeczy świętych, i stalla. Pomnożył bieliznę kościelną, srebra wiele podarował. Był to albowiem ze wszech miar zacny kapłan, który miłością prawdziwą ukochał swoją oblubienicę, kościół kujawski. Katedra do jego czasów biedną dosyć była we wspaniałość, teraz zaczęła zwolna gromadzić bogactwa jakie jej przystały.

Piotr z Bnina Łódzia Moszyński pamiętny jest tém w dziejach katedry, że na wieczną pamięć jemu dźwignął tutaj wspaniałą pomnik grobowy sławny Filip Kallimach. Rzecz sama z siebie nie by-

łaby tyle ważna, gdyby nie nadzwyczajna piękność tego pomnika, z której domyślają się znawcy że jest dziełem znakomitego rzeźbiarza naszego Wita Stwosza. Jest to sarkofag z czerwonego marmuru zwanego szwedzkim, na wierzchu wykuta całkowita postać biskupa w stroju pontyfikalnym z pastorałem i księgą w rękach, u stóp herb Łodzian. Na ścianie przedniej stoją również dwie osoby duchowne i trzymają tablicę ze stosownym napisem łacińskim; po bokach sarkofagu znowu tarcze herbowe. Pomnik ten, patrząc od ołtarza Najświętszej Trójcy, wznosi się po lewej ręce przy pierwszej zaraz kolumnie. Piękność pomnika była powodem że odrysował go zdolny nasz artysta Wojciech Gerson, i że wydawcy wzorów sztuki średniowiecznej w dawniej Polsce piękną chromolitografią pomnika tego w zbiorze swoim pomieścili. Piotr z Bnina umarł 1493. Godzien był publicznego uczczenia „*vir procerae staturae, morum gravitate celeber, doctrina magnus*”, ów mąż wspaniałego wzrostu, sławny powagą obyczajów i wielką nauką, jak go charakteryzuje Damalewicz. Pamiętny w dziejach katedry tém, że uposażył ołtarz Wniebowstąpienia Pańskiego, do którego prawo kollacyi miał proboszcz kapituły.

Następca Piotra, Krzesław z Kurozwęk, zaprowadził nabożeństwo św. Trójcy w katedrze: śpiewać je zalecił wikaryuszom. Zostawił na to fundusz, który zwiększając król Aleksander, kaplice gostyńskie wcielił do katedry. Spoczął też pod ołtarzem św. Trójcy, w miejscu gdzie mu kamień marmurowy położył Jan Łaski, późniejszy prymas. Po Krzesławie moc też wzięła katedra srebra i różnych kosztowności, chociaż krewni jego dobra biskupie zniszczyli. Umarł 1503 r.

Wieko grobowe biskupa Wincentego Przerębskiego, którego rzeźby w białym marmurze półczwarta już wieku przetrwały, uderza również w tę katedrze. Za Wincentego probostwo św. Michała na zamku krakowskim, które dotąd należało do kapituły kujawskiej, zamienione zostało na probostwo gąbińskie.

I jednego niema tutaj biskupa, któryby jeżeli nie czém inném, to przynajmniej nagrobkiem nie utrwalił pamięci po sobie. Jan Karnkowski, Łukasz Górka, Paweł Wołucki. Z owych to czasów pochodzi ów sławny Kompas z konstellacyami na ścianie kaplicy Panny Maryi, który, podług prawdopodobnego podania, zrobił Kopernik, i pod którym następny napis łaciński położył:

KSIEGA ŚWIATA. Cz. I. R. VI

Hic tibi cum signis spectantur nodus et umbra,
Quae tria quid doceant commemorare libent;
Umbra notat, dextra, quota cursitet hora diei,
Hincque monet, vitam sic properare tuam.
Ast in quo signo magni lux publica mundi
Versetur, mira nodulus arte docet.
Si v's scire dies, quot quilibet occupat horas,
In medios media sede locatos habes.

Byłoby tutaj miejsce rzucić pytanie: co miał wspólnego z katedrą kujawską Kopernik, który był kanonikiem warmińskim? Sądzymy że to był z jego strony hold złożony pamięci wuja Łukasza Wejsselroda, któremu wiele, a może wszystko był winien. Łukasz był kiedyś kanonikiem przy katedrze kujawskiej, za biskupa Zbigniewa Oleśnickiego. Mamy albowiem pod ręką starożytną kopię przywilejów razem w jedną księgę zebranych szpitala w mieście Kowalu. Biskup Zbigniew w r. 1478 zatwierdził fundacyą szpitala, którą zrobił poprzednio Mikołaj z Brudzewa, wojewoda sieradzki starosta kujawski, a na tém zatwierdzeniu w liczbie świadków stoi Lucas de Thorun, decretorum doctor canonicus Vladislaviensis. Jest to jeden więcej dowód na stronę rodowitości naszego Kopernika. Wejsselrod miał się za Polaka, kiedy rozpoczął swój zawód już w czysto polskiej katedrze, nie w Prusiech, i powtóre o jeden stopień wiarogodności podnosi ten szczegół nasze uwagi co do tworzenia się nazwisk w Polsce¹⁾. Nazwisk jeszcze wtedy stałych nie było; brał je każdy od miejsca swojego zamieszkania. Tak szlachcica jako mieszczanina nazwisko rodzinne, jeżeli było jakie, podrzędną wcale grało rolę, i lada chwila można je było rzucić. Tak Kopernik mógł się nazywać od Kopernika wsi na Szlązku, jak to pisaliśmy w życiorysie astronoma pomieszczonym na czele ostatniego wydania wszystkich dzieł jego. Tutaj Wejsselrod zwie się po prostu Lucas de Thorun, Łukaszem z Torunia, bo z tamąd był rodem.

Ale wracając do katedry, Górka niewiele przesiadywał w swoim kościele, ale dbał o jego majestat. Kaplicę Bożego Ciała wystawił, ozdobił i uposażył, oraz polecił żeby mszę zwaną *rorate* o Najświętszej Pannie tutaj wiecznemi czasami śpiewano. Umierając zrobił jeszcze obszérne zapisy dla śpiewania psalmów w katedrze (1542). Ustanowił też siedmiu kapelanów dla śpiewania codzien mszy o Zwiastowaniu. Tę fundacyą rozwijał jego następca Mikołaj Dzierzgowski, który dodawszy ósmego księdza,

¹⁾ Pyłki historyczno-literackie w *Dzien. Warsz.*

na ich wszystkich utrzymanie przeznaczył parafią byczyńską, z poleceniem żeby wiecznymi czasy w dzień i w nocy, kiedy w kościele nie było nabożeństwa, śpiewali psalmy. Dzierzgowski ze szczególną miłością zajmował się urządzeniem tych psalterzystów i roratystów, czego wszystkiego szczegóły obszerniej podaje Damalewicz.

Seminaryum dyecezyjalne przy katedrze założył dopiero znakomity biskup Stanisław Karnkowski. Nie robił rzeczy na połowę, bo uposażenie jakie przeznaczył temu zakładowi było bardzo piękne i już zupełnie zapewniało mu przyszłość; kapituła również w tém udział miała, a zasługą biskupa jest że do opłaty na utrzymanie seminaryum pociągnął aż trzech opatów, Koronowskiego, Oliwskiego i Peplińskiego. Myślał jeszcze Karnkowski o ustanowieniu sufraganii, ale gdy przeniósł się na prymasostwo, drugi znakomity biskup, a bezpośredni po nim następca, Hieronim Rozrażewski, dokonał pobożnego zamysłu. Z kanonii kruświckiej fundowanej na Giżycach i Lubowsinie ustanowił tę sufraganią, tak że biskup in partibus kujawskiej dyecezyi był razem i kanonikiem kruświckim. Legat papieski kardynał Aldobrandini potwierdził pod d. 9 maja 1589 r. tę i drugą jeszcze fundacją Rozrażewskiego, który dochody kanonii na Bacharciach w połowie przeznaczył na teologa i kaznodzieję we Włocławku, a drugą połowę zostawił kanonikowi w Kruświcy, włożywszy na obudwu obowiązki penitencyarza i prawienia kazań. Sufraganaów jednakże i dawniej już biskupi trzymali przy katedrze, tylko wtenczas nie mieli widać dla nich stałego uposażenia. Pełno innych fundacyj i pamiątek tego biskupa w katedrze. Gorliwością pasterską mało mu kto zrównał w Polsce po wszystkie czasy; reformował wszystko na dobie, bez wytchnienia, bez spoczynku, i wielkim był już dla tego samego, że się na złe śmiał targnąć, bo duchowieństwo swojej dyecezyi zastał w zupełnym nieładzie i rozprzężeniu, po przejściu wielkiej burzy która się rozlała reformą. Przykładem prawie niepamiętnym od katedry swojej zaczął wielką pracę. Nie było kościoła, zamku, dworu biskupiego, żeby go lub z ruin nie wskrzesił, lub nie naprawił, nie odbudował, nie przystroił wewnątrz. W katedrze ochędostwo i okazałość posunął do najwyższego stopnia; oprócz wielkich darowizn, sprawił organy, jedne z najdoskonalszych, i wielki dzwon, sławny z ogromu, który przezwał Hieronimem. Wzniósł ołtarz wielki drewniany i przyozdobił go w rzeźby i malowidła.

Rozrażewski dopiero seminaryum założone przez Karnkowskiego rozwinął jak należy, i po Hozyuszu i Adamie Konarskim był to trzeci biskup, który w tym względzie w życie wprowadził uchwałę soboru trydenckiego. Niedosyć na tém, szkołę starą przy katedrze obsadził biegłymi w prawie kościelném i teologii nauczycielami. Katedrze oddał całą swoją bibliotekę, a dla kaznodziei którego ustanowił osobne przeznaczył fundusze, żeby się zapomagał w dzieła najwyborniejsze, astosowne do swojego powołania. Charakter to pełen wyniosłości i powagi; pasterstwo jego epokę stanowi w Polsce, do wszystkiego mieszał się, wszystko przerabiał; za jego przykładem ożywiła się gorliwość innych biskupów. Legat papieski, widząc co Rozrażewski zrobił z klasztorami swojej dyecezyi, nie mógł wyjść z podziwienia, i rzekł że ciężko by co lepszego widzieć nawet w samych Włoszech. Trzy razy Rozrażewski uniknął purpury kardynalskiej, wreszcie gdy udał się sam do Rzymu na wielki jubileusz w roku 1600, papież gwałtem miał mu dać kapelusze osierocony po Radziwille, ale śmierć (9 lutego) uprzędziła dobrą wolę stolicy apostolskiej.

Następca Rozrażewskiego, Jan Rolicz Tarnowski, zdołał również kościół. Szczególniej przyozdobił wybudowaną przez siebie kaplicę, w której w obecności kapituły mansyonarze śpiewali nabożeństwo i mszę do Najświętszej Panny. Kaplicę tę z wierzchu pokrył blachą miedzianą, a wewnątrz obstał posągami świętych patronów polskich, wyrzobionymi z marmuru. Gdyby nie krótki czas jaki spędził we Włocławku, byłby więcej zrobił. Biskup Wawrzyniec Gębicki dalej wystawił ów ołtarz pod krzyżem pańskim, w przedziale dwóch chórów, ołtarz który najpierw uderza wzrok przychodnia od drzwi głównych, a poza nim już widać w pomroce oddalenia ołtarz wielki, stalle prałatów i ławy kleru. Paweł Wołucki posunął nawet tak daleko troskliwość swoją o dobro katedralnego kościoła, że razem z kapitułą obwarował prawem przyszłe darowizny. Sam wspaniale w sprzęt święty ubogaciwszy oblubienicę swoją, podarowawszy jej kielich złoty z patyną, wysadzany dyamentami, szafirami, szmaragdami i drogiemi kamieniami, jeszcze dwa dodał posągi świętych apostołów Piotra i Pawła, ceny 500 ówczesnych złotych. Otóż postanowił Wołucki żeby każdy biskup na samym ingressie dawał po dwa posągi srebrne tegoż ciężaru i kielich wartości tysiąca

złotych. Zakrystyą wznosił w katedrze, a prawo prezenty na zakrystyana przyznał kapitule. Niezmiernie to był pobożny i zacny biskup. Posłuchał Wołuckiego Jędrzej Lipski i dał do skarbnicy posąg świętego Jędrzeja i kielich złoty. Wielkie również nakłady robiąc na kościół, przyozdobił go w piękne obrazy, wystawiające dzieje Najświętszej Panny. Testamentem 5,000 złotych przekazał na wybudowanie na nowo ołtarza wielkiego. Życzeń jego wysłuchał biskup Maciej Łubieński, dla którego dosyć słów pochwały nie znajduje Damalewicz i Bujdecki. Ołtarz wielki Rozrażewskiego zniósłszy, na jego miejscu wznosił biskup inny, szlachetniejszy, piękniejszy i droższy, z tablic, kolumn i posągów marmurowych, obraz Wniebowzięcia na blasze miedzianej, z najwykwintniejszą sztuką dokonany, zawiesił na ołtarzu. Żeby większy blask spadł na ołtarz on, okna, które już Lipski dodał, rozprzestrzenił, z wąskich i podłużnych zrobił szerokie i długie. „A zewnątrz chylące się dachy wsparłszy należycie, pokrył na nowo dachy kościelne, i dwie wieże, wschodnią i zachodnią, nadmurował i podniósł wyżej, żelaznemi połączeniami grubo je spoił, łuki na nowo zasklepił, krzyże na wierzchołku świątyni z miedzi powleczonej złotem na wieżę wprowadził, zegar bijący sprawił i t. d.”¹⁾

Te ostatnie dodatki i przebudowy najświetniejszą sprowadziły epokę w dziejach katedry. Krótco przed samą wojną szwedzką kościół słynął szeroko w Polsce pięknnością swoją i bogactwami. Odtąd, chociaż fundacye biskupów nie ustają, świetność katedry ma się ku schyłkowi, bo wojna szwedzka w ogóle ogromny cios całemu krajowi zadała. Idą dalej przekształcenia w tych wieżach i dachach, dokonane przez biskupów Madalińskiego i Czapskiego, czego dowodem złożone herby laryssy i leliwy, o które dzisiaj się odbija światło słoneczne. Jest pewna archeologiczna zasługa tych starszłacheckich polskich herbów: biskupi historią swoją i katedry w nich pisali. Na chlubę ich to powiedzieć, że każdy, dodając coś i uzupełniając dzieło pierwotnego założyciela, trafiał w myśl jego i chciał zdobić, rozwijać katedrę. Niezawsze się to biskupom udawało, i ztąd powstawał styl mieszany w budowlu, ztąd dzisiaj w organizacyi zewnętrznej i wewnętrznej katedry kujawskiej jest mnóstwo różnorodności. Historyka czeka ta budowa, a warto trudu spisywać jej dzieje. Za dawnych czasów rze-

czypospolitej historye zakonów, kościołów i kapituł spisywali księza u furt, u przedsiódków kapituł, u przedsiódków refektarzów. Komuż i dzisiaj, jeżeli nie wikaryuszom, missyonarzom, psalterzystom, kanonikom i prałatom katedry spisywać jej pomniki i pamiątki?

Maciej z Golanczewa wystawił mauzoleum we Włocławku; składały się na zapelnienie jego całe wieki. Jednakże w tém mnóstwie tablic, popiersi, grobowców, słuszenie uważa to Komornicki, próżnoby szukał przechodzień imienia lub jakiego pośmiertnego wizerunku biskupa Macieja. Leży przed samym wielkim ołtarzem kamień z herbem Topór, położony na grobie Zbyluta, i nawet jeszcze na nim czytelny napis, ale o Macieju ani wzmianki. Przecież Damalewicz mówi że Golanczewski grób sobie w katedrze wymurował za życia. Damalewicz mówi że Maciej leży w zakrystyi na wschód katedry, pod umywalnikiem kapłańskim. Ale i ten grobowiec, może jeszcze przed dwustą laty widzialny, dzisiaj zniknął bez śladu. Więc jest domysł że garstka popiołów Golanczewskiego musi być oddzielnym sklepieniem zakryta pod tą zakrystyą. Rzeczą jest świątłych a gorliwych biskupów kujawskich, wyszukać te prochy i podać je publicznie uczczeniu. Tę pamiątkę powinni by po sobie zostawić, kiedy teraz nie mają już dochodów poprzedników swoich, i nie mogą takich jak oni rzucać summ na kościół włocławski. Zresztą dziś i położenie już nie takie jak było za praójców. Dawniej szlachcie sądził że najlepiej umieścić swoją summę, kiedy ją złożył Bogu na ołtarzu, na przyozdobienie jego świątyni: dzisiaj więcéj myślą o własnych wygodach.

Zygmunt Komornicki gotuje podobno historią katedry kujawskiej; będzie to praca bardzo pożądana dla nauki. To mauzoleum Macieja z Golanczewa warto ze wszech miar opisać, szczegóół za szczegóółem, a na takiej kanwie narysowana historia kościoła, wielką będzie miała wartość. Materiałów nie zbraknie: jest Damalewicz, jest dyplomatarusz kujawski, dwa te źródła już wystarczą. Jak na dziś nawet po Damalewiczu urywa się nagle wątek dziejów kościoła; dla ciekawych co śledzą, wartoby go poprowadzić dalej. Kapituła kujawska ma świątłych ludzi, którzy z ochotą skarbnicę dziejów otworzą. Mamy tego dowód i w tém, że się udało przez ich dobrą wolę zgromadzić Rzyszczewskiemu osobny kodeks kujawski. Umyślnie zaś dziejów kościoła włocławskiego dotąd nikt nie pisał, tylko ksiądz Mętlewicz powtórzył za Damalewiczem

¹⁾ Komornicki.

skrótowe żywoty biskupów kujawskich w pamiętniku religijnym. Wszystko tutaj jeszcze do zrobienia pozostaje.

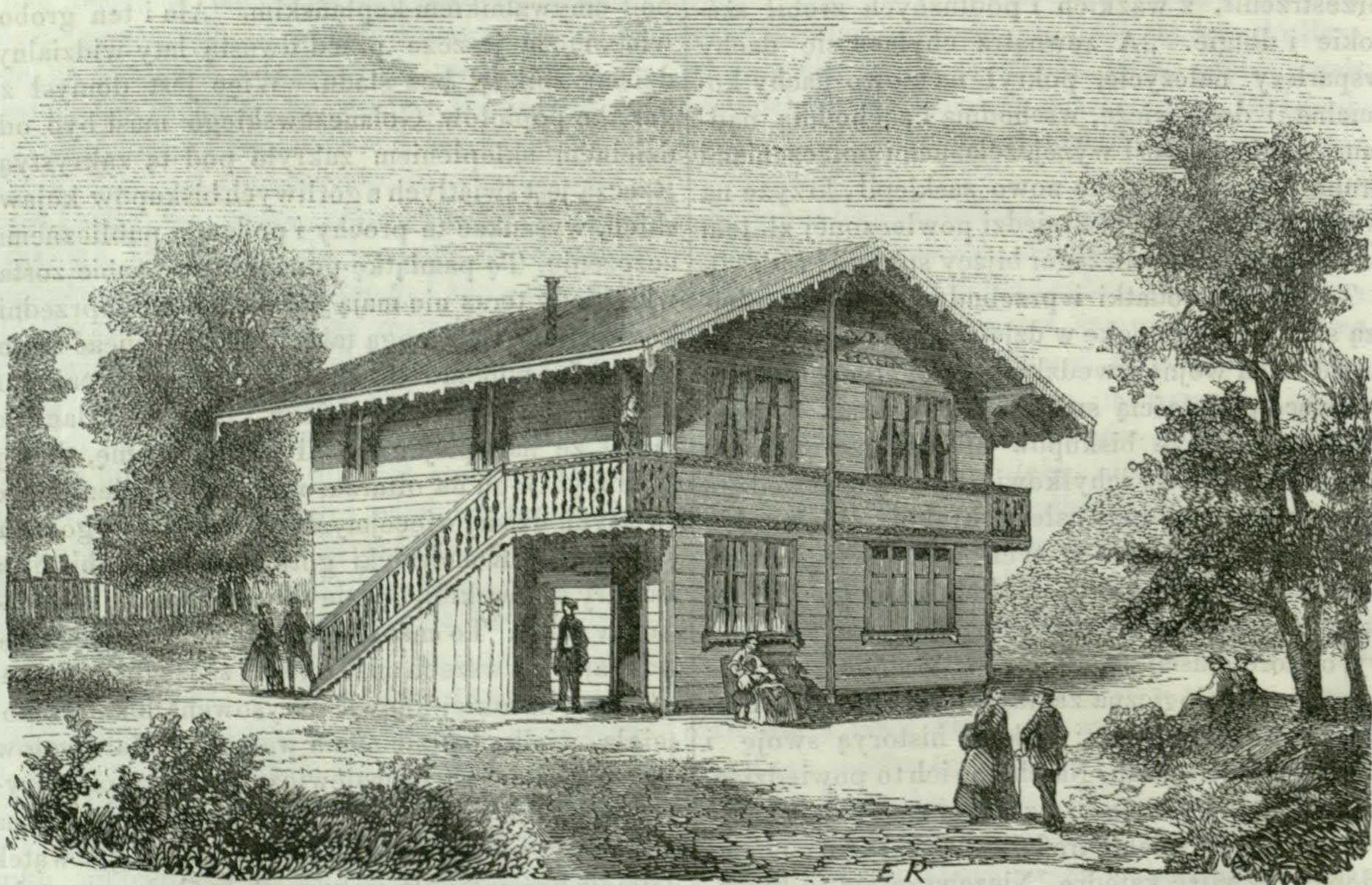
Synodów diecezjalnych, o ile wiemy, odbyło się w katedrze kujawskiej sześć, tyle przynajmniej mamy ich drukowanych. Szereg rozpoczyna Karnkowski (16 marca 1568), za nim idą Rozrażew-

ski (we wrześniu 1586), Wojciech Baranowski (we wrześniu 1607), Jędrzej Lipski (w maju 1628), Maciej Łubiński (w maju 1634 i w czerwcu 1641). Następni biskupi, jak niewiele budowali około katedry, tak też i nie zgromadzali we Włocławku synodu.

DOMY PRZENOŚNE.

Wtęj chwili ¹⁾ przy wniściu do ulicy cesarzewej (avenue de l'impératrice) w Paryżu ciekawi oglądają dwa domy ruchome drewniane, wystawione według dowcipnego pomysłu p. Seiler, deputowanego konfederacyi szwajcarskiej, członka wielkiej rady berneńskiej i prefekta Interlaken.

padającymi do malowniczej miejscowości. Otóż co dotąd było zbytkiem przystępnym tylko dla bogatych, obecnie, dzięki dobroczynnej opiece rządu francuzkiego i wpływowi przemożnej wspólki finansowej, zostanie podobno zastosowanem do najistotniejszych potrzeb życia wszystkich class spo-



Dom przenośny prostszy, według systemu p. Seiler.

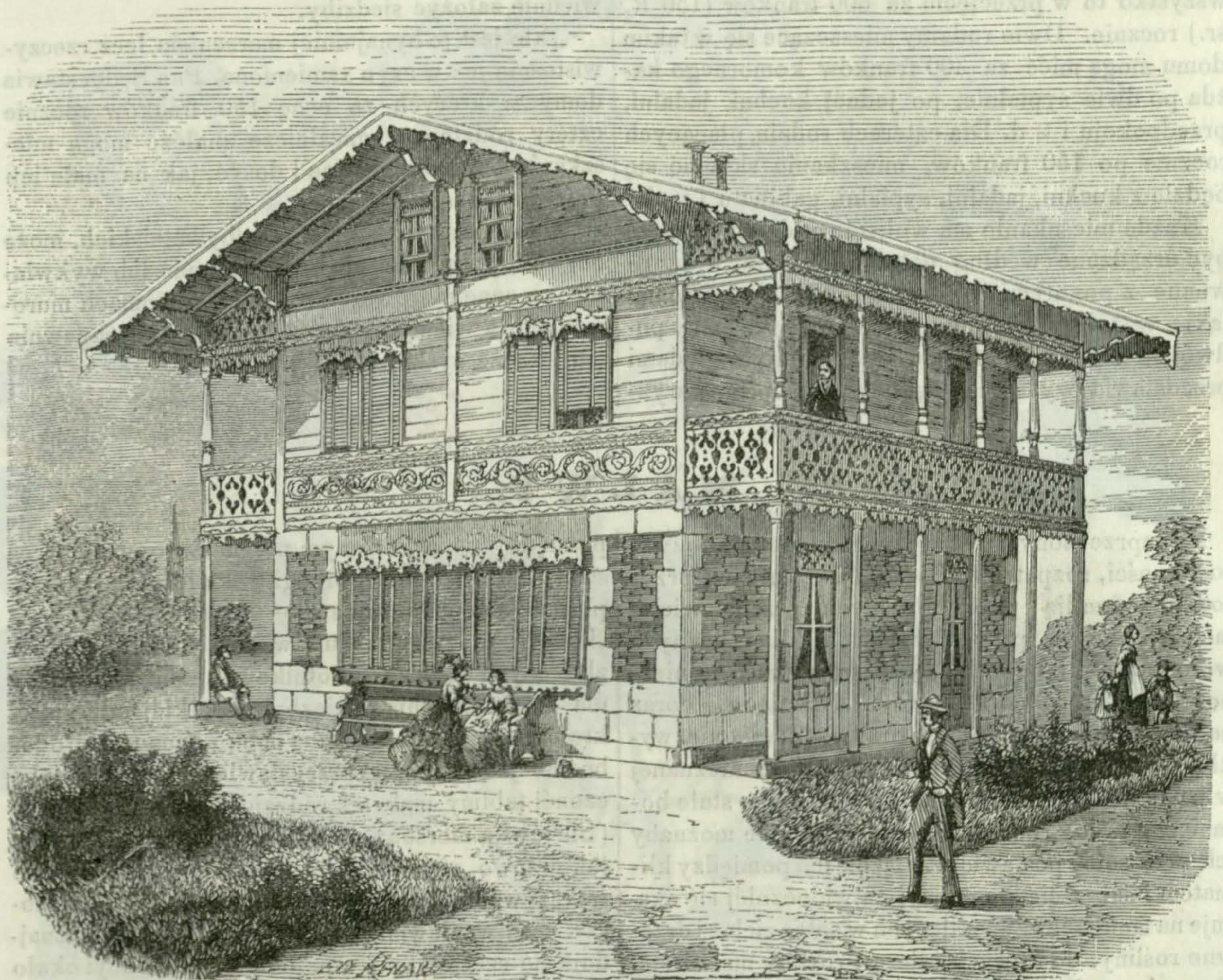
Odwidzający ostatnią wystawę przemysłową pamiętają zapewne kształtne owe domki szwajcarskie wzniesione w ogrodzie gmachu wystawy, a goście lasku bulońskiego codziennie wzrok napawają temi małymi budowlami tak wdzięcznie przy-

leczności. Dwa owe domy ruchome przy ulicy cesarzewej łączą rzeczywiście wykwinny komfort wymagany dziś po mieszkaniach obywatelskich, ze skromną oszczędnością schronienia rzemieślniczego. Trudno, zaprawdę, było wymyśleć coś więcej w porę i bardziej przez ogół pożądanego.

¹⁾ Sierpień 1856 r.

Zarówno rząd francuzki, jak rada nadzorcza ochędstwa publicznego i władze miejskie Paryża, uznały że konstrukcyja tych domów (których rysunki zamieszczamy tu według wzorów wyżej wspomnianych) zaradzić może ważnej niedogodności coraz wzrastającej ceny mieszkań w Paryżu. Rada municypalna przeznaczyła plac niedaleko rogatki Rochechouart na budowę dwunastu domów

ne; zabezpieczone od nieczystości, wilgoci i zaciekania, urągające zmianom atmosferycznym; zdolne do upiększeń artystycznych wszelkiego rodzaju, a przytém odpowiednie wymaganiom najogledniejszej oszczędności; mogące służyć za wille, hotele, pracownie, kioski, kawiarnie, magazyny, sale koncertowe lub balowe, namioty dla robotników i osiedleńców, dla poszukiwaczy złota i turystów,



Dom przenośny ozdobniejszy, według systemu p. Seiler.

dla klasy robotniczej, a jednocześnie ministerstwo spraw wewnętrznych udzieliło p. Seiler zasiłek ku rozwiązaniu tego wielkiego zadania ekonomii socyalnej.

Dowcipnie urządzone, mieszkalne i zdrowe od chwili postawienia, doskonale przewietrzane a ciepłe, widne a jednak szczelne, mogące być z niesłychaną łatwością rozbiérane i napowrót składa-

lecz zawsze i wszędzie wygodne, oszczędne, przypadające do potrzeb istotnych i zarazem do zachceń najwymyślniejszych, domy ruchome urczywistniają hasło społeczności przeobrażonej wynalazkiem pary: szybko naprzód, i zawsze naprzód!

Dawniej wzniesienie domu było zadaniem niezmiernie kłopotliwém, zaprzątaniem co najmniej kilkoletniém; dziś stało się to igraszką w mgnie-

niu oka wykonalną. Prawda że budowniczowie tegocześni dokazują cudów, nikt temu nie zaprzeczy: ale pan Seiler kończy budowę gmachu w czasie w którym najbieglejszy architekt za ledwo plan jój nakręśli.

Dom ruchomy przeznaczony dla jednej tylko rodziny składa się: na dole z przedpokoju, kuchni, jadalni, małego salonu i gabinetu; na piętrze z czterech izb na sypialnie lub dowolny użytek; wszystko to w przecięciu za 600 franków (150 R. sr.) rocznie. Dwie rodziny mieszczące się w takim domu mogą mieć za 300 franków komornego każda po dwie sypialnie, po jednej kuchni, jadalni, przedpokoju i t. d. Dla czterech rodzin, płacących rocznie po 150 franków, mieszkanie składać się będzie z kuchni, jadalni, sypialni, gabinetu i t. d.

Każde mieszkanie ma wnijscie oddzielne i może być urządzone według potrzeb lokatora, a porównane z ponuremi i niezdrowemi schronieniami jakie w stolicy Francyi najmuje się za cenę podwójną, nieskończoną pod wszelkimi względami przedstawia wyższość. Jedno z czasopism paryz-

kich, rozwodząc się nad korzyściami wynalazku p. Seiler, tak między innymi się wyraża:

„Nadzwyczajne podwyższenie komornego nie pozwala dziś ubogim zajmować mieszkań w pobliżu swych warsztatów, co samo już przez się ważną stanowi niedogodność. A jednak i w środku miasta i po przedmieściach nie zbywa jeszcze na gruntach, gdzie, za pomocą drewnianych domów ruchomych, dla rzemieślniczej ludności Paryża możnaby odpowiednie założyć siedziby.

„Nie jest to bynajmniej marzeniem, lecz rzeczywistością już w czyn zamienioną. Pan Seiler stawia domy w których za cenę 150 franków rocznie cztery rodziny rzemieślnicze znaleźć mogą mieszkania bardzo wygodne i dosyć, jak na małe ich potrzeby, obszerne.

„Co się zaś tyczy mieszkań obywatelskich, może on, według żądania, urządzić skromne lub wykwinne, za cenę nierównie niższą jak w domach muryowanych, a wiemy że przedsięwzięcie to zapewnia mu jeszcze zyski bardzo przyzwoite.”

M A L W Y.

Niezaprzeczoną jest wpływ klimatu na rozwój roślinności, rozpatrując bowiem jakkolwiek przyrodzoną familią w jój głównych przedstawicielach rosnących przy rozmaitych klimatycznych warunkach, nie można się dosyć nadziwić zmienności zewnętrznych kształtów. Zbliżając się coraz bardziej ku zwrotnikom, rośliny nabierają niezwykłej wspaniałości i wysokości zupełnie nieznanej w pasie umiarkowanym, tak iż gdyby nie stałe botaniczne cechy, pod żadnym pozorem niemożnaby ich przy sobie postawić. Związek ten pomiędzy klimatem i bujnością wegetacji najwidoczniej się okazuje na familiach zawierających w sobie zielne i drzewne rośliny, do których należą i rośliny malwiaste. Rozmaite rodzaje téj familii, rosnące pod gorącym niebem równika, przedstawiają rzeczywiste drzewa, i z powodu swój wspaniałości stoją na jój czele. Obok nich mieszczą się pięknie kwitnące krzewy: *Hibiscus*, *Pavonia*, *Abutilon*, za którymi znów następuje nieprzeliczona liczba małych roślinek, zaledwie parę stóp nad ziemię wystających, właściwych zimnym lub umiarkowanym klimatom. Do tych ostatnich należą szczególnie malwy. Środek

między umiarkowanym pasem Europy a gorącą strefą Afryki zajmują brzegi Śródziemnego morza, posiadające wyłączną swoją wegetacją. Otóż roślinność ta zawiera już w sobie wiele okazów zbliżonych do flory zwrotnikowej, stojących jakby dla zawiadomienia o niezbyt wielkiej odległości krajów będących ojczyzną palm i bananów. Podobne miejsce zajmuje przedstawiona na obok dołączonej tablicy malwa z rodzaju *Lavatera maritima* (Ślazówka morska). Jest to krzew wielki prawie jak drzewo, nie rosnący wprawdzie, jak nazwisko wskazywać się zdaje, wyłącznie nad brzegiem morza, lecz w niewielkiej od niego odległości. Znajduje się szczególnie w południowej Francyi około Tulonu i Montpellier, rzadziej w południowej Hiszpanii i Sardynii; dochodzi do 6 stóp wysokości, a jego drzewiaste gałęzie przez cały rok pokryte są płowo-zielonemi liśćmi. Piękność fioletowych kwiatów ślazówki, tudzież jasna barwa i trwałość liści, uczyniły ją przedmiotem ogrodowej kultury. Dlatego też w krajach umiarkowanych zimą przechowują ją w cieplarniach, latem zaś na wolnym powietrzu, i rozmnażają z nasienia.



WYPRAWY NAUKOWE

DO AFRYKI PODRÓWNIKOWÉJ.

Od sześćdziesięciu lat Afryka jest widownią licznych podróży które, na krańcach tego wielkiego lądu i w środkowej jego części, ważne spowodowały odkrycia. Przestrzeń pusta, gdzie długo mapopografowie pisali wyrazy: *ziemia nieznaną*, zapełnia się coraz nowymi plemionami i miastami; wyskakują z niej rzeki, jeziora i góry: słowem jest to świat nowy zdobyty dla geografii, dla przemysłu i wpływu cywilizującego narodów europejskich.

Czy jednak Afryka, zaludniona szczepami tak niedołącznemi i gnuśnemi, wyjdzie kiedykolwiek z długoletniego dzieciństwa? Czy dzieci jej mieszkańcy, z postępem wieków, wynurzą się z nicości i wezmą udział w zapasach umysłowych cywilizowanego świata? Na to pytanie wtedy dopiero zaspokajającą będzie można udzielić odpowiedź, gdy misjonarze i podróżnicy, rozpierzchnieni dziś po ogromnej tej ziemi, uchylą tajemniczej zasłony która aż dotąd ją pokrywa. Ziemioznawstwo Afryki, pomimo znakomitych w nowszym czasie postępów, dalekiem jest jeszcze od celu; lecz każdy krok postawiony dziś naprzód przez nieustraszonych podróżników zbliża nas do chwili w której pewne i dokładne wiadomości o tej części świata będą być mogły w naukową całość uporządkowane.

Do końca XVIII wieku Afryka środkowa nie była prawie zwidzana. Starożytni znali z niej tylko Egipt, dalej krainę ciemno określoną pod nazwą Etiopii i pobrzeża morza Śródziemnego. Wieki średnie, pomimo licznych z północną Afryką stosunków, nie dorzuciły do zasobu ówczesnych wiadomości geograficznych. Dopiero szczęśliwe wyprawy Bartłomieja Diaz i Vasco de Gama obeznały nieco Europę z brzegami reszty Afryki, które też wnet się pokryły kantorami wszystkich narodów żeglujących. Lecz wewnątrz jej pozostało i teraz sfinksem nieodgadnionym, otaczanym w Europie płataniną cudownych baśni i mistycznych opowiadań.

Głównem przeto zadaniem geografów było tymczasowem: dotrzeć do źródeł Nilu, rozwiązując tym sposobem stary jak świat problemat; puścić się

biegiem wielkiej rzeki Nigrycyi (czarnego Nilu) aż do jej ujścia; oznaczyć położenie Tombaktu i odszukać w Sudanie wielkiego jeziora, o którego istnieniu głuche tylko obiegały wieści. I otóż szlachetny zapał dla nauki, nadzieja osiągnięcia korzyści handlowych i owo nieokreślone pragnienie przygód właściwe ludom Zachodu stały się powodem coraz nowych podróży, których owoce dojrzałe przyszłe dopiero zbierać będą pokolenia.

Jakich poświęceń wymagały te zdobycze ziemioznawstwa w Afryce, wiadomo to z losu większej części podróżników. Niepodobna, zaprawdę, bez głębokiego wzruszenia przeczytać opisów owych śmiałych przedsięwzięć, z którymi, w sposób smutny a razem pełen chwały, łączą się imiona takie jak: Houghton, Mungo-Park, Hornemann, Oudney, Clapperton, Laing, Caillié, Lander i wielu innych. Dużo już o tém wszystkiem gadano i pisano, i nie tu miejsce skręślenia obrazu cierpień i zasługi szlachetnych tych ofiar nauki; w kilku tylko wyrazach przypomnieć nam wypada najnowsze w Afryce środkowej odkrycia.

Że ląd ten przez tyle wieków pozostał niezbadanym, przypisać to głównie należy właściwości jego topograficznej. Łatwo pojąć jak niesłychane trudności dla poszukiwacza przedstawia zbita masa ziemi tak olbrzymiego rozmiaru, nieprzegrodzona żadnym morzem wewnętrznym. Podróżnicy też pragnący dotrzeć do wnętrza tej krainy tajemniczej zmuszeni byli trzymać się prawie wyłącznie jezior i rzek, wzdłuż których droga, choć długa i niebezpieczna, nastęrczała przynajmniej możliwość przebycia wielkich przestrzeni. Wyprawy przeto europejskie ostatniego czasu podzieliły między siebie Afrykę według jej nawodnienia. Wyprawa anglo-germańska Richardson'a, Overweg'a, Barth'a i Vogel'a przerznęła we wszystkich kierunkach kraj zroszony jeziorem Tszad, Nigrem czyli czarnym Nilem i Tszaddą, podczas gdy Livingston, Galton, i Andersson w stronie więcej południowej starali się znaleźć dolinę Szobe i zbadać jezioro N'gami z jego przyływowemi strumieniami. Podobnie górny Nil doczekał się w naszej epoce licznych wypraw, dążących do rozjaśnienia tajemni-

cy jego początku, i blizkich, jak się zdaje, osiągnięcia swego celu. My jednak tym razem ograniczyć się musimy na sprawozdaniu z ostatnich odkryć w Afryce podrównikowej

Od Abissynii południowej aż do wyspy i pobrzeża Zangwebar, w długości około 15 stopni geograficznych, rozciąga się przestrzeń obszerna, przecięta w środku równikiem. Portugalczycy, zwiędziwszy ją pierwsi i owładnąwszy, oznaczyli jej granice od morza i założyli tam kilka kantorów. Zdaje się jednak iż nie wkraczali daleko w głąb kraju, a choćby i wkraczali, nauka żadnej z tego odnieść nie mogła korzyści; ciasny bowiem system ówczesnej polityki portugalskiej polegał na tajemni wszelkich odkryć, aby nie obudzać chciwości narodów współ-zawodniczących. Smutne to zwierchnictwo skończyło się wypędzeniem Portugalczyków przez Arabów, dawnych panów tej ziemi, i odtąd nieliczni podróżnicy zwiędzali pas jej nadbrzeżny, nie dodając jednak nic prawie do zasobu wiadomości geograficznych. Kilka niedokładnych nazwisk pokoleń Arabów i Negrów, wzmianka o niektórych miastach, jak: Magadoxo, Brava, Jubo, Melinde, Mombas, i wreszcie o ośmiu czy dziesięciu rzekach, których bieg już o mil kilka od ujścia oznaczano w liniach dowolnych, oto wszystko cośmy niedawno jeszcze o tej okolicy wiedzieli. Wielka mappa Afryki Anville'a, wydana mniej więcej przed stu laty, oznacza w sposób dość niedokładny siedziby niektórych pokoleń, ujścia czterech czy pięciu rzek i parę jezior, a resztę zostawia białą, jako pole szerokie dla przypuszczeń najdowolniejszych. Późniejsze karty geograficzne cofnęły się nawet o krok jeden, bo nie znajdujemy na nich jeziora Marawi czyli Nyassi, którego tamta wskazywała położenie; słowem rzecz można bez przesady, że wschodnia część Afryki, położona niżej równika, przed kilką jeszcze laty dla Europejczyków była ziemią nieznaną. Utorowanie tam drogi odkryciom naukowym pozostawione było niezmodernowanej przedsiębiorczości misyonarzy angielskich.

Na pobrzeżu Zangwebar, w okolicy Mombas i Melindy, znajduje się kilka stacyj religijnych, założonych w celu szerzenia pomiędzy krajowcami zasad ewangelii. W jednej z nich, przed piętnastą może laty, osiedli p. p. Krapf i Rebmann, gorliwi misyonarze, wyłącznie z razu zajęci powołaniem swém duchowném. W roku jednak 1848 posłuchy

o właściwościach geograficznych niezwidzanej jeszcze przez nikogo krainy Tagga, rozciągającej się na północo-zachód od Mombas, wzbudziły ich ciekawość. W końcu więc kwietnia 1849 r. doktor Rebmann, z dziewięcią Arabami i Negrami, przedsięwziął w tym kierunku wyprawę, dla przekonania się czy rzeczywiście istnieją tam wspomniane często przez krajowców góry. Przebył najprzód kraj zwany Taïta, przerznięty od północy ku południowi łańcuchem gór Boora, i pelen malowniczej piękności. Banany i trzcina cukrowa rosły tu obficie, powietrze było czyste, krajobraz urozmaicony; słowem, według opisu p. Rebmann, okolica ta, znacznie nad poziom wyniesiona a więc umiarkowana, jest jedną z najrozkoszniejszych na świecie.

Dotarłszy do miejsca zwanego Musagnombe, podróżnik umiał sobie za pomocą drobnych podarunków zjednać kilku naczelników plemion, i otrzymał od nich objaśnienia względem krainy którą zwiędzić zamierzał. Mówiono między innymi o nadzwyczaj wysokiej górze znajdującej się w Tagga, o pięć dni drogi od Taïty. Przewodnik nie chciał mu towarzyszyć tak daleko, i wskazał mu tylko drogę do gór Tare i Ugono, położonych pierwsza o 10, druga o 12 mil na południo-zachód. Mimo odstępstwa przewodnika, mała karawana podróżna nie przestawała posuwać się ku krainie Tagga, przez okolice leśną i górzystą, pokrytą nieprzebytymi prawie zaroślami i poprzerzynaną rzekami. W nocy słyszano wycie hyen i innych drapieżnych zwierząt, a podczas dziennego pochodu widziano liczne stada zebr, giraf i nosorożców. Ostatnie to zwierzę jest przedmiotem niesłychanego postrachu dla krajowców; ujrzawszy je, natychmiast uciekają lub chronią się na drzewa. Rzeczywiście też nosorożec, niepodobny w tém do słoniów i hippopotamów, które bez podrażnienia nikogo nie zaczepiają, rzuca się na zwierzęta i ludzi, tratuje swą ofiarę i pastwi się nad nią dopóki żyć nie przestanie.

Na północno-wschód drogi obranej przez p. Rebmann siniał wierzchołek góry Angolia, której podnóże, na granicy Gallas i Taïty, zamieszkuje pokolenie Uakambów. Z tego też miejsca, 11 maja 1849 r., misyonarz ujrzał owe góry krainy Tagga, główny przedmiot poszukiwań swoich, wznoszące się amfiteatralnie do niezmierniej wysokości. Najwyższą ich wyniosłość otaczała jakby biaława chmurka. Pytani o przyczynę tego zjawiska, kra-

jowcy powtórzyli powszechną w tej części Afryki bajkę że szczyt ten jest srebrny, lecz przystępu doń bronią złe duchy.

Srebrzysta ta kopuła, ów skarb nieprzystępny strzeżony przez duchy, jest to pokład wiecznego śniegu, pokrywający, o kilka stopni od równika, wierzchołek Kilimandżaro (tak nazywają krajowcy górę odkrytą przez p. Rebmanna). Opowiadał mu że przed kilką laty władca Madżany, kraju położonego na zachód Taggi, nakazał wyprawę na Kilimandżaro, dla zbadania tej warstwy błyszczącej, tak niezwykłej dla oka afrykańskiego co nigdy śniegu nie widziało; wszyscy jednak wyginęli, prócz jednego, który powrócił z odziebionymi rękami i nogami.

Podróżnik nasz posunął się aż poza tę górę, godną współzawodniczkę najwyższych szczytów amerykańskich. Napotkał tam rzeki Laomi i Gona, wpadające prawdopodobnie do rzeki Loffit, tego wielkiego strumienia uchodzącego w morze na brzegach Zangwebaru. Wody tej okolicy zasilane są wszystkie śniegiem topniejącym, i z tego powodu bardzo niską posiadają temperaturę. P. Rebmanna niedaleko Kilimandżaro, w stronie zachodniej, znalazł szczątki warowni i armat, oraz napis w języku portugalskim; widać więc że Portugalczycy, których władza ogranicza się teraz na kilku punktach nadbrzeżnych, aż dotąd kiedyś się zapuszczali.

Mieszkańcy Taggi żyją głównie z polowania, staranie zaś około roli zostawione jest kobietom. Zbierają ryż i z soku drzewa palmowego robią napój podobny do wina, a niektórzy zajmują się wydobywaniem rudy żelaznej, w którą tamiczne góry obfitują. Odległość Kilimandżaro od Mombas wynosi w prostym kierunku mil 45.

W kilka tygodni po tej pierwszej wycieczce, która trwała około półtora miesiąca, doktor Krapf wybrał się do Usamary, kraju górzystego, okrążonego, jak się zdaje, rzeką Loffit. Podróżnik ten zwrócił się ku Madżamie, najbardziej zachodniego punktu Taggi. Postępując głębokimi wądołami, obfitującymi w strumienie powstałe z topnienia śniegów na przyległych górach, po kilkodniowym pochodzie zdołał sprawdzić odkrycie swego towarzysza. Kilimandżaro, według spostrzeżeń p. Krapf, dzieli się na dwie odnogi, odległe od siebie o mil sześć, z których wschodnia, niższa, składa się z kilku ostrokęgów, zachodnia zaś, wyższa znacznie,

wybiega w ogromną kopułę, pokrytą wieczystym śniegiem.

W tej samej podróży doktor Krapf, posuwając się dalej na północ, odkrył drugą górę, Kenia czy Kinea, wyższą jeszcze i rozciąglejszą od Kilimandżaro, z której biorą początek rzeki Dana i Sabaki wpadające do oceanu indyjskiego. Być może nawet iż ztamtąd wypływają źródła zasilające Nil w wyższej jego części. Krajowcy zapewniali p. Krapf że niedaleko od góry Kenia znajduje się wulkan, a bardziej na północ, to jest blisko już równika, obszerne jezioro. Trudności wszelkiego rodzaju jakie misyonarz napotkał w tej wyprawie, przedsięwziętej w chwili gdy plemiona Gallas i Uakuafi toczyli z sobą wojnę, nie dozwoliły mu zapuścić się dalej w głąb kraju. Usiłował jednak zasięgnąć niejakich wiadomości o okolicach których oświadczyć nie mógł, i powiadano mu że na zachód położone są wielkie jeziora, po większej części zdatne do żeglugi. W kilku także miejscach wspominano o dziwnym fakcie istnienia pigmejczyków, wysokich od 3 — 4 stóp, których krajowcy nazywają *wabilikomo*. Przybywają oni, według miejscowej opowieści, od granic Usamary, dla wymiany żelaza na wyroby szklane.

W zamiarze zgłębienia szczegółów geograficznych które za pierwszym razem uszły jego uwagi, doktor Krapf w początku roku 1852 przedsięwziął nową podróż do krainy Usambara. Kmeri, władca tej okolicy, nie tylko że nie odmówił mu pozwolenia, lecz nawet wysłał kilku swych przybocznych urzędników na spotkanie jego do Pangani, małego miasteczka nadbrzeżnego. Okrąg Pangani zroszony jest rzeką tegoż nazwiska, której ujście znanem jest pod nazwą Huffu. Wydaje on znaczną ilość ryżu i kości słoniowej; szkoda tylko że wioski ciągnące się wzdłuż rzeki w porze deszczów wystawione są na zalanie. Nieco dalej na północ wznosi się góra zwana przez krajowców Tongue. Otaczająca ją przestrzeń ziemi, słynna z urodzajności, niedawno jeszcze pokryta była licznymi osadami; lecz parę lat temu mieszkańcy ich zostali wygnani przez wojownicze pokolenie Uasegua, zostające w ciągłych zatargach z Usambarami, ¹⁾ których często pokonywa, dzięki broni palnej otrzymanej w Zanzibar.

Opuszczając okrąg Pangani, doktor Krapf prze-

¹⁾ W narzeczach wschodnio-afrykańskich zgłoska *u* oznacza kraj, zgłoska *ua* naród. Ztąd *Usambara* znaczy kraj, *Uasambara* jego mieszkańców.

był prowincją górzystą Bondei, i dotarł do wielkiej osady Dżumbi, u podnóża góry Pambire, najwyższej z łańcucha Bondei. Na północ tej okolicy płynie kilka rzek większych, z których najznaczniejszą nazywają tu Mgambo. Malownicze jej brzegi pokryte są gęstym lasem poprzerwanym bagnami. Dalej na zachód napotkał górę Kambara, z której widok rozległy sięga aż po morze, a za nią siedziby plemienia Masai, postrachu króla Usambary. Wojownicze to plemię używa jednak broni niezmiernie pierwotnej, bo złożonej tylko z łuków, dzi rytów i tarcz ze skóry nosorożca. Inne zato pokolenia tych okolic, Suahely, zawdzięcza zetknięciu z Azyatami i Europejczykami oręż więcej *postępowy*. Lud ten, zamieszkujący znaczną część pobraża Zangwebar, składa się z mieszaniny krajowców i Arabów, i wyznaje oddawna islamizm. Politycznie zależnym jest od króla Usambary; używa jednak licznych przywilejów czyniących go prawie niezawisłym.

Góry Usambara bardzo są wyniosłe i trudne do przebycia. Za niemi to, na gruncie pagórkowatym, pokrytym tu i owdzie plantacyami bananów, tytaniu i trzciny cukrowej, leży Tuga, stolica Usambary. P. Krapf i jego towarzysze zostali tu przyjęci z największymi względami, i mieli nawet osobiste posłuchanie u króla Kmeri, które podróżnik nasz w dzienniku swym posłanym do Anglii opisuje temi słowy:

„Dziś po południu (14 marca 1852) zjawił się Kmeri, poprzedzony kompanią żołnierzy nieustannie strzelających, co w okolicznych górach straszliwe rozbudzało echo. Stałem na drodze, a gdy król mnie zobaczył, zatrzymał się przez chwilę i przyjął moje powitanie; potem wszedł do chaty Osmana, swojego czarnoksiężnika. Władzca Usambary, odziany w płaszcz z sukna czarnego, z nogami bosemi, usiadł tam na dywanie, i nie rzekłszy ani słowa, zaczął kurzyć fajkę z prawdziwie imponującą powagą. Uasamborowie są największymi palaczami wschodniego brzegu Afryki; krótkie ich fajki, z glinianymi główkami, bardzo zgrabnie wyrobione, nigdy ich nie opuszczają. Wielu mieszkańców Tugi i innych części kraju przybywało dla złożenia holdu monarsze. Formułą ich powitania były słowa: *Chimba-wa-Muene* (jesteś lwem Boga), na co król odpowiadał niezrozumiałym jakimś pomrukiem. Gdy wszyscy już tę ceremonią odbyli, i w chacie my tylko zostaliśmy z kilkoma dworzanami, między którymi czarnoksiężnik Os-

man pierwsze zajmował miejsce, wytłumaczyłem królowi cel naszego przybycia do Usambary, i po łaskawym z jego strony skinieniu, powróciliśmy do siebie.”

Czarnoksiężnicy wielką przy tym dworze odgrywają rolę; kilku z nich posiada zaufanie zupełne króla, i ci zajmują się głównie wyprowadzaniem z konstellacyj niebieskich złych lub dobrych wróżb i odwracaniem sposobami wieszczbiarskimi grożącego krajowi niebezpieczeństwa. Czarnoksiężnicy ci w ogólności nieprzechylni są Europejczykom; jakoż radzili królowi aby nie wpuszczał do kraju cudzoziemców, przepowiadając że jak tylko w nim się usadowią, wkrótce zagarną go pod swą władzę.

Władzca Usambary jest panem nieograniczonym własności, a nawet życia lub śmierci swych poddanych. Urzędnicy jego ściągają podatki stanowione dowolnie, w miarę potrzeby, on sam zaś wymierza sprawiedliwość. Król panujący i następca jego noszą kolejno imiona: *Kmeri* i *Szebuke*; gdy król nazywa się Kmeri, następcę zowią Szebuke, i przeciwnie. Domyślny następca tronu mieszka w prowincyi Dumburri, jednej z najwynioslejszych okolic krainy Usambara. Bywa nim niekoniecznie najstarszy syn króla, lecz pierwszy co się narodzi po objęciu przezeń rządów. P. Krapf znalazł uderzające podobieństwo między tym państwem a krainą Szoa (na południe od Abissynii). „Uasambary, mówi on, są wzrostu średniego, cery żółtawo-czarnej, nieuchylający się od pracy najcięższej, spokojni i wstrzeźliwi. Całe ich pożywienie stanowią prawie wyłącznie banany: większa też część mieszkańców tutajszych żyje w jednożeństwie, chociaż religia nie zabrania im mieć dowolnej liczby żon.”

W sąsiedztwie Uasambarów i Uaseguów mieszka pokolenie Uadoków, uchodzących za ludożerców. Niegdyś, podług twierdzenia tubyleców, Uadoki rządili całym krajem aż do pobraża przeciwległego wyspie Zanzibar czyli Zangwebar. Pokonani przez muzułmanów, schronili się w góry zachodnie, i dziś jeszcze są postrachem okolicy. Wspominając o tej wieści posłyszanej w Tuga, p. Krapf dodaje że nie mógł jej sprawdzić, i że należy przyjmować ją z niedowierzaniem, dopóki nauka stanowczo jej nie potwierdzi.

Gorliwy misyonarz zebrał mnóstwo jeszcze nazwisk innych pokoleń; dopóki jednak mappa szczegółowa i dokładna tej podróży nie określi bliżej

zamieszkałych przez nie miejscowości, dopóty proste wyliczenie całkiem nieznaną nomenklatury żadnego nie przedstawi zajęcia.

Otrzymaawszy od króla Kmeri, na przekór czarnoksiężnikom, pozwolenie założenia missyi w Usambarze, doktor Krapf puścił się w drogę powrotną przez pasmo gór Bondei; przebył kwitnącą wieś Mombo, step Kerenge, górę Handei i wioskę tegoż nazwiska; zwrócił się potem na Dżumbi i Pangani, osady wzniesione wśród plantacyj drzew kokosowych, ryżu i kukurydzy. Większą część mieszkań tamecznych stanowią chałupy z okrągłaków, pokryte liśćmi palmy kokosowej; jednakże, choć w szczupłej liczbie, widać gdzieś i domki murowane. Ztamtąd popłynął do Mombas, dokąd przybył 14 kwietnia 1852 r., a w kilka dni później stanął w Kisuludini, nowozałożonej missyi angielskiej. Następnego roku zwątlone trudami zdrowie zmusiło go udać się do Europy, z kąd później wrócił do Abissynii. Kolega jego, p. Rebmann, pozostał w Afryce wschodniej, z kąd w ciągu roku 1855 kilka razy doszła do Europy wiadomość, że on i nowy podróżnik, p. Ehrardt, zwidzili ogromne jezioro, mające 10 stopni geograficznych długości i około 6 szerokości, zwane przez krajowców Uniamesi. Według spostrzeżeń dotychczasowych ma ono być przedłużeniem owego jeziora Nyassi czy Marawi, którego istnienie długo podawano w wątpliwość. P. Ehrardt przesłał do Europy mapę częściową tego morza między-lądowego.

Taki jest w lekkim zarysie obraz przedsięwzięć odnoszących się mniej więcej bezpośrednio do poszukiwań źródeł Nilu, i torujących drogę terażniejszej wyprawie p. d'Escayrac. Dwóch innych podróżników, p. Burton, nieustraszony badacz Hararu, i p. Vogel, godny następcą doktora Barth, zmierzać podobno będzie, każdy w odmiennym kierunku, ku miejscu będącemu celem wyprawy francuskiej, a po drodze przedmiotem szczególniej

ich uwagi będą olbrzymie śnieżyce podrównikowe i strumienie płynące ku niższemu Nilowi.

Pan d'Escayrac znany jest w świecie naukowym z dzieła: „*le Désert et le Soudan*” (pustynia i Sudan), pełnego światłych spostrzeżeń o ludach i przyrodzie afrykańskiej. Podróżnik ten z żądzą prawdziwie gorączkową przebiegał w pierwszej swjej podróży nieznaną Afryki przestrzeń; spodziewać się więc można że szlachetna ta gorliwość przewodniczyć mu będzie i w powtórnej wyprawie. Przedsięwzięcie prac geograficznych na tak rozległą skalę ważne dla ludzkości obiecuje korzyści, i to właśnie w chwili gdy zamierzone przekopanie między-morza Suez zwróciło uwagę narodów przemysłowych i handlujących na kraje strom tym przyległe. Wiadomo nadto że doktor Barth przywiózł do Europy nader ciekawe materiały, których wydaniem obecnie sam się zajmuje. Livingston wreszcie i Andersson przerznieł Afrykę od południa ku zachodowi, zwidzili jezioro N'gami i koryto rzeki Szobe, będącej prawdopodobnie górnym Zambezem.

I otóż widzimy nieznaną dotąd część ziemi ze czterech stron świata wstępny zdobywaną bojem. My, ludzie dziewiętnastego wieku, znajdujemy w tych podróżach część owych wrażeń doznawanych niegdyś przez odkrywców Ameryki; tylko że tutaj na czele przedsięwzięcia nie stoi żaden Pizarro, nie uczestniczą w niem wyuzdani awanturnicy, pobudzeni chciwością i dumą osobistą. Ludzie światli, spokojni misyonarze uprawiają to pole nietknięte, ponosząc niebezpieczeństwa i trudy niewysłowione. Za ledwie śmierć przerzedzi ich szeregi, już nowi zapaśnicy zastępują ubitych, a całą dążnością tych walecznych szermierzów jest zdobycie plonów naukowych, otwarcie nowych dróg dla handlu i przemysłu i zlanie dobrodziejstw chrześcijaństwa i oświaty na ludy dotąd w nocy barbarzyństwa pogrążone.

RELIGIA POWSTAŃCÓW CHIŃSKICH.

Nie mamy tu zamiaru śledzić za terażniejszym powstaniem chińskim w fazach jego politycznych; przewrót wyłącznie polityczny w krainie tak odle-

glęj byłby dla Europy podrzędnym tylko wypadkiem. Lecz poruszenie wstrząsające obecnie państwem Niebieskim pod innem zupełnie występuje

hasłem, przybięra charakter posłannictwa religijnego, powołuje się nawet na naukę Chrystusa Zbawiciela świata, i to właśnie stanowi głębokie jego znaczenie moralne. Aż dotąd nawracanie się ludów bywało zwykle skutkiem wpływów zewnętrznych i mniejszego lub większego współdziałania władzy państwowej berło świeckie; tu przeciwnie szerzenie się nowej wiary bierze źródło w łonie samego narodu i staje otwarciem do walki przeciw dynastji panującej. Usiłowano zastawianie się tarczą chrześcijaństwa ze strony powstańców chińskich wystawić jako zręcznie zarzucony płaszczyk, dla zjednania sobie cudzoziemców; ale czytając ich pisma religijne, znajdujemy w nich tyle prostoty i prawdy, że niepodobna wszystko to uważać za kuglarstwo, i że, przy tylu zbawiennych zasadach, niedorzeczności nawet, wmięszane jak plewa między ziarno, powinny pobłażliwie znaleźć przyjęcie.

Osoba głównego naczelnika tego powstania otoczona jest tajemniczym półświatłem; utrzymywano nawet że się ukrywa rozmyślnie, dla nadania sobie w oczach swych współziomków pozoru cudowności i świętości. Bądź jak bądź, tyle jednak o nim wiemy, że się nazywa Tien-teh, albo Taping-wang; że miejscem urodzenia jego jest Kwangsi i że z niskiego pochodzi stanu. Znajdując się roku 1834 w Kantonie, dla złożenia zwykłego w Chinach egzaminu naukowego, otrzymał od niejakiego Liang-afa, krajowca nawróconego na wiarę chrześcijańską, rozprawę religijną, której treść silnie na nim zrobiła wrażenie. Powrócił do rodzinnej swój prowincyi, pełen nieokręślonych jeszcze myśli i zamiarów, i tam przez lat kilka zajmował się układaniem pism poetycznych, a podobno i wtedy już namawiał skrycie swych rodaków do przyjęcia poznanej przez siebie prawdy. Około roku 1844 widziemy go znów w Kantonie, od roku zaś 1847 datuje jego znajomość z p. Roberts¹⁾, w którego domu przebywał dwa miesiące. Odtąd zupełnie ślad jego tracimy, aż nagle w roku 1850 zjawia się na czele wielkiej armii powstańczej, jako reformator i oswobodziciel swego kraju.

Niema powodu wątpić o szczerości tego czło-

¹⁾ Misjonarz ten w *Putnam-Magazine* (z paźdz. 1856 r.) opisał w krótkości stosunki swoje z założycielem nowej religii. „Przybył on do mnie, mówi pan Roberts, w r. 1847, prosząc żebym go nauczał religii. Czyniłem to przez dwa miesiące, i w czasie tym Tien-teh prowadził życie nienaganne. Żądał potem żeby go ochrzczono, lecz zarazem domagał się zasiłku, którego udzielić mu nie mogłem. Wtedy oddalił się z mego domu, i już go więcej nie widziałem.”

wieka niepospolitego, który, jakkolwiek może jest fanatykiem, zdaje się jednak być owładnięty wielką i zbawienną myślą. Wszystko co o nim wiemy nie przedstawia go wcale jako awanturnika i matacza, pragnącego tylko wynieść się osobiście; owszem w jednym z pism swoich pod tytułem: „Księga przykazań niebieskich” on sam uchyla predykaty nadawane sobie przez stronników nowej wiary „jako przynależne tylko Bogu”. Zaprawdę, skromność taka nie cechuje chciwego władzy i dumnego szalbierza, lecz przeciwnie człowieka w prostocie ducha wierzącego w swoje posłannictwo.

Zarzut że wyznawanie religii zbliżonej do chrześcijańskiej ze strony powstańców chińskich jest tylko maską polityczną i z tego już względu upada, że wybieg podobny, według zdrowego rozsądku, nie mógłby mieć na celu ani uzyskanie pomocy cudzoziemców, ani zjednanie współrodaków. Powstanie, jak wiadomo, zaczęło się w głębi kraju, gdzie cudzoziemców wcale nie było, i nie wzywało też nigdy ich pomocy. Co się zaś tyczy Chińczyków, to łatwowierność ich daleko snadniej ujęłyby jakie gusła sekty Tao, objawienie bożka Fo, lub nowe wcielenie Buddy. Przewódzcy nawet powstania uznali potrzebę uspokojenia w oddzielnie wydanej „Księdze przepisów religijnych” przesądu ludowego, który starano się przeciw nim poruszyć. Zarzut nowatorstwa odparto tam twierdzeniem, że wiara obecnie szerzona jest tylko powrotem ku czci prawdziwego Boga (Szang-ti), odnowieniem pierwotnej religii Tanga i Wana; całe zaś poruszenie wystawiono w świetle reformacyi obalającej bałwochwalstwo buddyzmu, które dynastia tatarska, skutkiem połączenia się z lamaizmem północnym, w Chinach utrwalila.

Większe nierównie podejrzenie obudzają mniemane owe wizye, objawienia i osobiste wystąpienia bóstwa, opowiadane w niektórych księgach. Przytaczają na przykład że pewnego razu ojciec niebieski osobiście zstąpił do obozu powstańców, dla ukarania jakiegoś zdrajcy. Cała ta bajka ułożona jest w stylu nieokrzesanie-mistycznym; ale dodać należy że ona nie wyszła od żadnego z naczelników, lecz autorami jej są dwaj podrzędni współwyznawcy Tien-teh'a. Z resztą, chociażby mistyfikacya ta uzyskała zatwierdzenie naczelników, widzielibyśmy w niej tylko jeden z wypadków (tak częstych u narodów niedokształconych, a zwłaszcza u Chińczyków), gdzie trudno oznaczyć granice między kłamstwem a ludzeniem samego siebie.

W każdym razie nielogicznie byłoby wnioskować że wszystkie ich zasady muszą być fałszywe, dlatego iż wiele w nich mieści się niedorzeczności i przesądów.

Zdaniem ludzi bezstronnych, którzy na miejscu rzecz tę zbadali, postępowanie powstańców chińskich zgadza się zupełnie z wyznawanymi przez nich zasadami, co najważniejszym jest dowodem szczerości ich przekonań. Doktor Taylor, będący świadkiem codziennego ich nabożeństwa, powiada że ono odbywa się z przykładną uroczystością i powagą. „Przepisy dla wojska dynastji Tai-ping” nakazują gorliwą cześć bóstwa, zachowanie dziecięciorga przykazań, nabożeństwo ranne i wieczorne, modły dziękczynne, wstrzymywanie się od użycia tytoniu i mocnych napojów, unikanie nieposłuszeństwa, kłamstwa i kradzieży, stronienie od kobiet, wstrzemięźliwość w obozie i t. p. Przeglądając te rozporządzenia, zdaje się że czytamy regulamin wojskowy jakiego Gustawa Adolfa, a nie ustawę narodu pogrążonego aż dotąd w gnuśności, ciemnocie i występku.

Wikary apostolski w Hu-kwang, ksiądz Rizzolati, pisze: „Rzecz dziwna! W zdobytych przez wojsko powstańcze miejscowościach pierwsze rozporządzenie brzmi zawsze w te słowa: Bóg, którego wszechmoc w sześciu dniach stworzyła niebo i ziemię, który zesłał potop na ukaranie ludzkości, który zniszczył swym ogniem pięć miast Sodomy, ten Bóg rozkazał nam ukarać was za grzechy i przywrócić cześć swoją między wami. Dlatego polecamy wam zburzenie świątyń i bałwanów, i wiarę w prawdziwego Boga, stwórcę nieba i ziemi, i t. d.”

Jeżeli w tém wszystkiém widoczne są ślady chrześcijaństwa, to ciekawą dla nas powinno być rzeczą dowiedzieć się z jakiego źródła wypłynęły te pojęcia.

Chrześcijaństwo nie jest w Chinach nowością. Pomniki w Sigan-fu dowodzą że chrześcijanie nestoryańscy szerzyli je w VII wieku i następnych. W roku 1300 Monte Corvino pisał z Chataji (Peking) do Europy: „Nestoryanie tutajsi nazywają się chrześcijanami, chociaż dalecy są od prawdziwej wiary. Liczba ich tak jest wielka, że nie pozwalają nikomu należeć do innego wyznania chrześcijańskiego, prócz własnego.” Nieco później, po zdobyczach Tamerlana w głębi Azji, sekta ta wygasła. W XVI wieku jezuici rozpoczęli tu swe prace i starali się usilnie o nawrócenie krajowców.

Od lat mniej więcej 45 misyonarze protestancy rozszerzają tłumaczenie pisma świętego, rozprawy religijne i tym podobne broszury. Obecnie z gruntu narodowego wyrosło poruszenie mające charakter rodzimości, jakkolwiek zarody jego pierwiastkowe zostały rzucone przez obcych.

Lecz jaki jest właściwie początek tego przewrotu? czém wytłumaczyć tak nagle jego szerzenie się w kraju dotychczas dla wszelkich reform najnieprzystępniejszym? Na te pytania trudno dziś jeszcze stanowczą dać odpowiedź. Wspomnieliśmy wprawdzie że Tien-teh otrzymał jakieś pismo religijne od swego ziomka Liang-afa, że poznał się w roku 1844 z panem Roberts; jednakże obie te okoliczności nie rozjaśniają dostatecznie zjawiska tyle ważnego, którego doniosłość moralna i polityczna w żadnym z tak drobnymi pobudkami nie zostaje stosunku. Nowy to dowód że w religijném tém poruszeniu tkwią siły żywotne, samorodne. Ziarno przypadkiem zostało rozsiane, lecz wybujało bez uprawy, i właśnie dlatego żniwo obfite plon przynieść powinno.

Ważniejszém jeszcze jest pytanie, o ile religia wyznawana przez przywódców powstania, a przyjęta przez cisnące się pod ich chorągwie tłumy, zbliżoną jest do chrześcijaństwa? Wątpliwości tej nie usuwa całkowicie nawet czytanie ich ksiąg zasadniczych, jakkolwiek niepodobna zaprzeczyć że zawarte w nich nauki, odłożywszy na bok przesady i matactwa, prawdziwie zbawiennym nieraz tchną duchem. Pobieżny rzut oka na dwa najglówniejsze dzieła religijne nowego wyznania, na „Księgę wierszy trzystopowych” i „Księgę przepisów religijnych”, dostarczy nam kilku przynajmniej w tym względzie danych.

Uderza nas najprzód panujący w tych pismach język biblijny. Z wielu stron podawano w wątpliwość czy Chińczycy posiadają cały stary i nowy testament, dlatego mianowicie, że tłumaczenie misyonarza Gützlaff część tylko znaleziono w ich ręku. Kapitan Fairbourne atoli zapewnia iż widział u nich biblią całkowitą, a sami powstańcy utrzymują że święta ta księga przed tysiącem lat jeszcze dostała się do Pekinga, i ztamtąd w licznych odpisach rozeszła się po kraju. W napisie na pomniku wzniesionym przez nestoryanów w Sigan-fu powiedziano wyraźnie, że pismo święte składa się z 24 ksiąg zakonu i proroków, tudzież z 17 ksiąg nowego testamentu, a samo już istnienie tradycji takiej domyślać się każe iż przekład na język chiń-

ski nastąpić musiał w czasach dawniejszych. Ponieważ zaś „Księga wiérzy trzystopowych”, mianowicie w opowieści o wyswobodzeniu Izraelitów z niewoli egipskiej, trzyma się ściśle podań biblijnych, więc wnosić można że i temu także pismu, choć autorami jego bezsprzecznie musieli być Chińczycy, służyły za podstawę księgi starego zakonu.

Przytaczamy tu dla ciekawości ustęp z ostatnio wymienionego dzieła:

„Ale Bóg wielki,
„Z litości nad człowiekiem,
„Zesłał mu syna swego
„Pierworodnego,
„Którego imię Jezus,
„I który zbawił
„Ludzi od grzechu.
„Przybito do krzyża
„Boskie jego ciało,
„I tam krew rozlał
„Za swych współbraci.
„W trzy dni po śmierci
„Zmartwychwstał z grobu,
„I jeszcze dni czterdzieści
„Uczył na ziemi.”

Podobieństwo tego wyjątku z wyznaniem wiary apostołskiej jest uderzające.

Dosyć być chociaż powierzchownie obeznanym z piśmiennictwem chińskim, o którym przekłady Milne'go i Marshman'a dają nam jakie takie wyobrażenie, aby w księgach nowego wyznania dopatrzyć się myśli rodzimój. Powoływanie się na historią starożytną, na podania familijne i powagę ojcowską, napominanie do cnót narodowych, stanowią w tych dziełach pierwiastek czysto chiński. Niektórzy potępiają przymieszanie do tej chrześcijańskiej niby wiary zasad Konfucjusza; niesłusznie jednak, bo w zjawisku obecnym nie należy widzieć chrześcijaństwa zamroczonego obcemi naniosłościami, lecz owszem nowy dogmat, zbliżony tylko do chrześcijańskiego, torujący sobie drogę przez odmet przestarzałych błędów i nałogów. Dziwić się nie można że naród chiński, w powszechnym tym rozbiciu zużytych idei, chwytą się maksym wielkiego filozofa swojego, jak kotwicy zbawienia, a chrześcijaństwo uważa tylko za udokładnienie jego nauki; przeciwnie, jest to symptomat przemawiający za niepożyta jeszcze siłą moralną i żywotnością państwa Niebieskiego. Jeżeli kiedy w Chinach ustalili się religia na przebój teraz walcząca

z bałwochwalstwem, to niezawodnie nosić ona będzie piętno narodowe, odróżniające ją wybitnie od wyznań istniejących.

Księga „przepisów religijnych” odznacza się dążnością ku obaleniu zastarzałych przesądów, stojących dotąd na zawadzie szerzeniu się ewangelii. Dwa szczególnie wsteczne pojęcia panują w Chinach pod względem religijnym: pierwszym jest przekonanie że tylko władzcy, jako ojcowie narodu, mogą być wysłuchani od Boga; drugim, pełna pogardy nienawiść względem obcych. Przesady te tamowały do tej pory wprowadzenie jakiej bądź innej, a mianowicie chrześcijańskiej wiary. Otóż księga przepisów religijnych zdaje się być umyślnie napisaną dla ich zwalczenia. Przytaczamy parę odnośnych ku temu ustępów:

„Ci, których myśli zły duch otumanił, utrzymują że Bóg wszechmocny może być czczonym tylko przez panujących. Otóż niech wiedzą że Pan nasz niebieski jest ojcem wszystkich ludzi i całego świata. Książęta są dziećmi jego najbardziej do ojca zbliżonymi, a występni dziećmi nieposłusznymi. Pytamy was teraz ażali znajdzie się między wami rodzic, coby uznał swém dzieckiem najstarszego tylko syna, od innych zaś nie żądał czci ani posłuszeństwa?”

Zdanie to dalej poparte jest przykładami z dziejów chińskich, dowodzącemi że nieraz i prostaczkowie doznawali szczególnej łaski nieba. Zarzut że nowa wiara czerpaną jest z obczyzny, księga przepisów religijnych zbija jak następuje:

„Niektórzy utrzymują błędnie iż wiara nasza przejęta jest od cudzoziemców. Lecz dzieje uczą nas że w dawnych wiekach Chińczycy i cudzoziemcy jednego czcili Boga. Ludy Zachodu aż dotąd pozostały mu wiernymi, gdy tymczasem Chińczycy pod dynastjami Tsin i Han oddali się bałwochwalstwu. Obecnie Pan nieba zlitował się nad wami i wskazał wam drogę zbawienia, po której postępując, wiekuistego dostąpicie szczęścia. Meng-tse powiada że jedna tylko na świecie jest prawda. Gdyby ludzie zawsze o tém pamiętali, to niezawodnie złączyliby się wszyscy ku wspólnej czci Boga wszechmogącego”.

Następuje potem modlitwa „za pokutującego grzesznika”, ułożona w duchu prawdziwie chrześcijańskiego pobłażania.

Zamykając te uwagi, nadmienić jeszcze powinniśmy że nowe to wyznanie potępia liczne zabobony, gusła i czary, oraz wiarę w dnie szczęśliwe i feralne, któremi przepelnione są chińskie kalendarze. Zaprowadza także instytucją święcenia sabbatu, co w Chinach tém większą jest nowością, że w tamecznych podaniach niema ani śladu podziału czasu na zwykły przeciąg siedmiodniowy.

Takim jest w rysach wybitniejszych charakter wielkiego poruszenia, w którym widocznie przeświadcają główne cechy chrześcjanizmu, jakkolwiek w wielu względach zamglone jeszcze resztkami bałwochwalstwa. Pobudką jego bezsprzecznie były usiłowania missyonarzów; lecz żaden

z tych gorliwych rozsiewców ewangelii nie wniknął w głąb kraju; pisma ich tylko utorowały sobie tam drogę, i przechodząc z ręki do ręki, trafiły wreszcie na grunt urodzajny, z którego ziarno zawartej w nich nauki krzepko i rodzimie wybujało. Nie śmiemy utrzymywać że przez to staro-chińskie przesady zostały już całkiem usunięte; owszém obrządki nowej wiary i czyny jej przodowników w rażącej nieraz są sprzeczności z zasadami ich nauki; z tém wszystkiém atoli, jak dotąd, nieusprawiedliwioném jest zdanie niechętnych, co w tym przewrocie religijnym widzą tylko podstęp i szalbierstwo polityczne.

HAMBURG.

Wolne miasto Hamburg w rządzie czterech miast hanzeatyckich niezaprzeczenie piérwsze zajmuje miejsce, a nawet słuszenie nazwać je można najważniejszym punktem handlowym stałego lądu Euro-py. Terrytoryum jego leży częścią naokoło miasta, otoczone księstwem holsztyńskim, częścią w samym Holsztynie i w prowincyi hanowerskiej Lüneburg, częścią nad ujściem Elby do morza północnego, i obejmuje razem 6,32 mil kwadratowych.

Hamburg dzieli się na stare i nowe miasto, z których jednakże piérwsze, po wielkim pożarze z roku 1842, odmlodniało, i dziś stanowi właściwie nowszą część miasta. Leży na prawym brzegu Elby, przy ujściu do niej Alstery, w okolicy żyznej i przyjemnej, otoczone szeroką fossą i resztkami wałów, zamienionych obecnie w miejsca publicznych przechadzek. Za miastem ciągną się obszérne przedmieścia św. Jerzego i św. Pawła, z których ostatnie łączy Hamburg bezpośrednio z holsztyńskim miastem Altoną.

Piérwszym założycielem Hamburga, według podania, był Karol Wielki, który, poznawszy się na dogodności miejsca, zbudował tu zamek warowny Hammaburg i kościół. Śród sprzyjających okoliczności nowa ta osada szybko się rozpostarła, i roku 1215 przez cesarza Ottona IV została podniesioną do godności miasta Rzeszy. Roku 1241 Hamburg, potężnym już grodem, w połączeniu z Lu-

becką założył piérwiastki związku hanzeatyckiego i rozszerzył znacznie swe posiadłości. W wiekach XV i XVI zatargi wewnętrzne między radniami i obywatelstwem, oraz spory reformacyjne, położyły czasowo tamę dalszemu wzrostowi miasta. Od pokoju dopiéro westfalskiego (1648) Hamburg zakwitnął jako piérwszego rzędu targowisko handlowe, a ku schyłkowi upłynionego stulecia, w czasie wojny amerykańskiej, niesłychane nagromadził bogactwa. Smutne dla Hamburga były następstwa zajęcia przez Francuzów Hanoweru (1803). Skutkiem systemu kontynentalnego i spalenia wszelkich towarów angielskich od kilku już lat pozbawione handlu, miasto w roku 1810 zostało wcielone do cesarstwa francuzkiego i ogłoszone stolicą departamentu ujścia Elby. Powstanie z roku 1813 przeciw obcemu uciskowi nie powiodło się: marszałek Davoust, na czele sprzymierzonych Francuzów i Duńczyków, wkroczył do Hamburga, i, chociaż obleżony przez Benningsena, pozostał w nim do 31 marca 1814 r. Nielitościwie łupione miasto w tym jednym roku straciło do 37 millionów mrk. banko (około 17 millionow rs.) i 30,000 mieszkańców, których w listopadzie 1813 r. wygnano z miasta, tak iż wielu z nich pomarło z zimna i głodu. Całą stratę wyrządzoną Hamburgowi w ciągu panowania Francuzów (1803 — 1814) obliczają na 148 millionów mrk. banko (przeszło

66 millionów rs.). Korzystne atoli położenie miasta i energia jego mieszkańców powetowały wkrótce tę klęskę i przywróciły dawną jego świetność, której już zachwiać nie zdołały ani przesilenia handlowe lat 1825, 1826 i 1837, ani straszliwy pożar z roku 1842, co wybuchnąwszy 5 maja, przez cztery dni zniszczył 2,000 domów i pozbawił przytułku około 22,000 ludzi. Po tym pożarze Hamburg, świetniejszy jak kiedykolwiek, dźwignął się z popiołów, i posiadając obecnie 11,000 domów i 160,000 mieszkańców, może być zaliczonym do pierwszorzędnych miast europejskich.

Dzisiajszy Hamburg mało zawiera godnych uwagi budowli i pamiątek starożytnych, z których szczególnie ogółoną jest zachodnia część nowego miasta. Bardziej zajmującą pod względem architektonicznym jest część południowa starego miasta, siedlisko staro-hamburskich kupców, gdzie domy wysokie, stawiane w smaku holenderskim, zewnętrzną już okazałością świadczą o niezmiernych bogactwach przez wieki tu nagromadzanych. Przyjemne urozmaicenie stanowią kanały z licznymi mostami, otoczone potężnymi spichlerzami i pokryte statkami handlowymi. Nowsze ulice i place, pokrywające dziś przestrzeń w której roku 1842 srożył się pożar, odznaczają się mnóstwem prześlicznych zabudowań, mogących iść w porównanie z najcelniejszymi pomnikami architektury głównych miast europejskich.

Najznakomitszym punktem Hamburga jest wodociąg wewnętrzny *Alstery* (Binnenalster), z otaczającymi go dzielnicami Jungfernstieg i Alsterdamm, tworzącymi pierwszy plan naszej ryciny. Tu mieszczą się najokazalsze hotele, kawiarnie i domy prywatne, najświetniejsze sklepy i najmodniejsze przechadzki Hamburgczyków. Od Jungfernstieg do ulicy królewskiej prowadzi bazar, oszklone przejście mające kilkaset stóp długości, którego wystawienie kosztowało million mrk. banko (blisko 500,000 rs.). Prócz tego zasługują na wzmiankę: bursa, poświęcona 2 grudnia 1841 i ocalona w ostatnim pożarze; poczta z wieżą 150 stóp wysoką; ratusz; gmach towarzystwa patriotycznego w smaku gotyckim; kilka teatrów; obserwatorium astronomiczne ze szkołą żeglugi i t. d. Z domów poświęconych czci Bożej wymieniamy: kościół św. Piotra, z pięknymi na szkle malowidłami; nieukończony jeszcze kościół św. Mikołaja; św. Jakuba, z wieżą 365 stóp wysoką; św. Katarzyny; św.

Michała, i wreszcie nową bożnicę żydowską. Godnymi także widzenia są wodociągi zaopatrujące całe miasto w świeżą wodę, szpital powszechny na przedmieściu św. Jerzego i szpital żydowski.

W pomniki Hamburg bardzo jest ubogim, zaledwo bowiem kilka ich posiada, i to nieodznaczających się wielką wartością artystyczną. Podobnie podrzędne są zbiory miasta, z wyjątkiem tylko pięknego gabinetu nauk przyrodzonych, i biblioteki miejskiej, liczącej przeszło 150,000 tomów.

Lecz co najbardziej w Hamburgu zajmuje obcego przybysza, to nieustanny ów ruch handlowy, porywający wszystko swoim pędem, szczególnie w pobliżu portu. Wrażen podobnego rodzaju doznać chyba można w Anglii lub w Stanach Zjednoczonych. Tysiące okrętów stojących w porcie tworzą jakby ulice wodnego miasta, i każdy z odwiedzających Hamburg powinienby tam odbyć przejażdżkę czółnem, dla nabycia wyobrażenia o liczbie i wielkości tych morskich kolosów. Zwracając się od tego ogniska ruchu handlowego ku przeciwnej części miasta, wędrowiec napotyka ogromne składy towarów bogato przybrane sklepy i przyjemne przechadzki. Zwolennicy przyjemności gastronomicznych znajdą tam za małe pieniądze sposobność zadosyćczynienia najwymyślniejszym swym zachęceniom; bo lubo życie, ogólnie biorąc, w Hamburgu jest drogie, przysmaki jednak, a mianowicie płody morskie, po bardzo przystępnych sprzedają się cenach.

Niezmiernie zajmujące studium obyczajowe przedstawia w Hamburgu życie ludu prostego, złożonego z najróżnorodniejszych żywiołów. Majtkowie różnych krajów i różnych barw, mówiący wszystkimi całego świata językami; barczyści przewoźnicy i tragarze; schludnie ubrane dziewczęta wychodzące za kupnem z koszykami; koczujący handlarze owoców; chrześcijańscy i żydowscy kramarze obwołujący swe towary; rybaczki, mlęczarki i kwiaciarki w narodowych swych ubiorach, wszystko to tłumnie i gwarno snuje się w pstrój mieszaninie, jakiej w żadnym innym mieście niemieckim nie zobaczy. Uprzejmości tylko i oglądy zewnętrznej szukać tam nie trzeba; cudziemiem owszem pragnący poznać bliżej tę ruchawkę, powinien być z góry przygotowanym na sporą dozę grubiaństwa i prostackiego dowcipu, z którymi niełatwo zwykle dać sobie radę.



Hamburg.

NOWY GATUNEK WĘŻA

W POLSCE.

W przeszłorocznej po Krakowskim wędrowce udało nam się odkryć między pięknymi Złotego-Potoka skalami węża, zwanego u systematyków *Coluber Aesculapii*, o znajdowaniu się którego w naszym kraju dotychczas nie wiadano. Już od samego początku wycieczki uwaga nasza zwróconą była ze szczególną pilnością na oddział zwierząt gadowych, pod tym bowiem względem fauna krajowa najmniej podobno była dotąd badaną.

Lecz te suche i wzgórzyste okolice zbyt małym plonem nagradzały nasze trudy, tak iż zwątpiliśmy o możności wysledzenia czegoś ciekawszego, tém bardziej że lud prosty, unikając spotkania z temi istotami, w żaden sposób w naszych łowieckich wyprawach wspomagać nas niechciał. Z niemalem więc ukontentowaniem, po przybyciu do Złotego-Potoka, dowiedzieliśmy się o znalezieniu skóry jakiegoś „zmiji” pięć i pół stóp długiej, bardzo grubej i niezmiernie jadowitej, którą dzieci miejscowego leśniczego od lat trzech widywały wlażącą i wylażącą z pnia olbrzymiego buku, gdzie sobie legowisko obrała, i gdzie właśnie ową skórę zostawiła po wylenieniu.

Okazana skóra, jak możecie się domyśleć, szanowni czytelnicy, niczego nas nie nauczyła, zapaliła w nas tylko niezmiennie postanowienie dostania samego gadu.

Pomimo więc odradzań lękających się mniemano niebezpieczeństwa, wzięwszy przewodnika, ruszyliśmy z zapalem na polowanie.

Dzień miał się ku schyłkowi, i zmrok już zaczynał zapadać. Cała natura zwolna przybięrała coraz spokojniejsze kształty, z doliny obwiewała nas aromatyczna woń gajów, a las na wierzchołkach skał gwarzył coś głucho. Podróż odbywaliśmy szybko; już minęliśmy tyle urocze źródła Złotego-Potoka ¹⁾, i skierowawszy się w bok leśną drożyną, zanurzamy się w stary przepyszny las mięszany. Cisza głucha zaległa tę część okolicy: żaden szelest, prócz odgłosu naszych kroków, nie mieszał jój spokoju, z łatwością więc mogliśmy słyszeć najlżejsze nawet poruszenie zwierzyny,

¹⁾ Opis Złotego-Potoka patrz w Księdze Świata z roku 1855, str. 191 i nast:

gdyby takowa z naszych rąk wydostać się chciała. Nakoniec, po długim i męczącym pochodzie, przewodnik nasz zatrzymał się na niewielkiej polance, w której środku leżał powalony olbrzymi, czasem strawiony pień bukowy. Odprawiwszy przewodnika, który tylko swą niezręcznością mógł nas przyprawić o stratę zwierzyny, natychmiast zabiéramy się do poszukiwań: żaden krzaczek, żaden złom skały nie uszedł naszej uwagi. Każdy przedmiot obmacaliśmy własnymi rękoma, ciągle przystając i przysłuchując się najlżejszemu szelestowi; lecz wszystko napróżno, żaden bowiem odgłos, prócz szmeru lasu, nie mieszał głuchéj ciszy, a żaden ślad nie naprowadził nas na miejsce pobytu szukanego węża. Niewątpliwą więc było rzeczą iż zwierzyna ukrywała się w swém legowisku, w owym wypruchniałym pniu bukowym.

Lecz my nie mieliśmy żadnych narzędzi do rozbicia kłody; poznaliśmy więc całą niewłaściwość naszej wycieczki, tém bardziej że zbliżająca się noc zmuszała nas do powrotu. Upokorzeni, albowiem wychodząc na połów nie usłuchaliśmy radzących na dzień następny odłożyć naszą wycieczkę, zdążamy nazad, postanowiwszy jednak powrócić tu jutro o brzasku słońca, wyszła na żer gadzinę pochwycić, a tak obejść się bez pomocy ze strony szydzących z naszego zapalu i niecierpliwości towarzyszków.

Już rozmarzeni widziemy olbrzymie sploty węża plawiące się w spirytusie, już napawamy się radością z naszego odkrycia, gdy nagle wzrok nasz zostaje olśniony widokiem, nad jaki wspanialszego bez wątpienia nigdy nie zobaczymy. Oto na krańcu widokręgu, amfiteatralnie upiętrzoną borem, rysują się olbrzymie kontury wspaniałego zamku, opromienione blaskiem zachodzącego słońca.

Na ten widok zapomnieliśmy o wężu, podwajamy szybkość naszych kroków, i oto stajemy u stóp wyniosłej skały, na której wznosił się ów przepyszny zamek. Lecz gdyśmy stanęli na miejscu, już widziadło, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różeczki, znikło, a w jego miejscu pozostała się istotna rzeczywistość: olbrzymia naga skała, wśród głucho szemrzącego lasu samotnie stercząca.

Okolica była dla nas nieznaną, widocznie zblądziliśmy; obzieramy się więc ciekawie, i z wielkim zadowoleniem spostrzegamy siwowłosego pasterza, spędzającego niewielką, ale pięknie utrzymaną trzódkę.

Miejsce to, jak nas objaśnił staruszek, nosi nazwę *Ostrzeźnik*. Na skale wznosił się niegdyś obszerny zamek, a u stóp jego od wieków płynie złowróźbne ostrzegające źródło.

Zaczynamy więc przegląd od ruin. Z niemałym trudem pniemy się na wierzchołek. Wśród żywej vegetacji, jawią się nam ułamki murów na kilka stóp grubych. Gdzieniedzie zrab jeszcze ocalał, a w jednym nawet miejscu dochowała się ciosowa strzelnica. Przed czasy baszta wznosząca się na tej skale służyła do ostrzegania mieszkańców potockiego zamku o zbliżaniu się nieprzyjaciela.

Piętrem niżej w łonie ostrzeźnickiej skały mieści się piękna i widna jaskinia, o której słyszana od siwowłosego pasterza legendę opowiedzieliśmy w innym miejscu ¹⁾. Schodzimy potem ku źródłu, którego czyste wody posiadają straszną moc wrózenia urodzaju lub nieurodzaju.

Odprowadzeni przez swego pasterza do domu, powróciliśmy nocną porą cichaczem, a nie budząc śpiących towarzyszków, po powtórzeniu zapewnienia iż nie oddalim się od Złotego-Potoka, póki mieć nie będziemy węża, ułożyliśmy się do spoczynku, lubo obraz to strasznych splotów gadziny, to widok Ostrzeźnika, sen długo odganiał z utrudzonych powiek.

Nazajutrz ulewny deszcz rosł ziemię; zamknięci więc w mieszkaniu, z upragnieniem, oczekiwaliśmy powrotu pogody.

Nakoniec trzeciego dnia raniuteńko słońko zajaśniało wesoło na horyzoncie, i my znów, nasycając się przepyszny rankiem, dążymy na polowanie. Stajemy na miejscu i z lekka przepatrujemy okolicę. Lecz dziś głucha puszcza wrzała życiem: to zdala odzywa się miłym głosem drozd, ten śpiewak lasów, to kulczyk świegotliwie nas przedrzeźnia, to za każdym krokiem ulatując i znów siadając trzepocze się lekliwa kopciuszka.

Po deszczu roje owadów, witając błogą pogodę, z brzękiem i wesołym szumem używają dnia radości. Bujne rośliny, perląc się kropelkami rosy,

¹⁾ W artykule: Jaskinie i grotty w pasmie jurajcznego wapienia w Polsce. Księga Świata r. 1856, str. 309.

podnoszą swe główki, jakby prosząc się ręki botanika. I jakże, powiedźcie; wśród tylu cudów nie zapomnieć o jednym poziomym gadzie, co w prochu ziemi czółga pierś swoją, co jest symbolem złego na ziemi. Wkrótce też zapomnieliśmy o głównym celu naszej wycieczki i wzięliśmy się do rozpoznawania roślin. Wtém nagle, sięgając po piękny i rzadki gatunek *Achilea nobilis*, który rósł w bliskości owej kłody, spostrzegamy jakieś długie, węzowato snujące się ciało, które szybko pelzło ku dziupli pnia sterczącego obok powalonego drzewa.

— Jest! krzyknąłem z całych sił nierozważnie, a wąż przestraszony, przebiegłszy koło mnie, wpada w dziurę, i w tej bezpiecznej warowni pozostaje ukryty.

Próżne były nasze stukania, bezskuteczne krzyki i bezkorzystne oczekiwanie aż do wieczora: wąż się nie ukazał.

Znów przymuszeni byliśmy wrócić do domu z próżnymi rękoma.

Następnego dnia nie wyszliśmy już sami, lecz do wyprawy naszej przyłączyło się grono licznej administracji dóbr Złotego-Potoka, strzelcy i chłopcy z narzędziami do rozwalenia bukowej kłody, gdyby tego zachodziła potrzeba.

Cała wyprawa, z piętnastu osób złożona, w milczeniu stanęła na placu boju. Każdy zajął swe stanowisko, każdy przepatrzył jakąś część lasu; lecz trud nasz był próżny, zwierzyna, na którą z taką usilnością polowaliśmy, znajdowała się na legowisku.

Okrażamy więc ową kłodę, dwóch ludzi z siekierami staje na niej, i wprawną ręką uderzają w spróchniałe drzewo; głuchy odgłos ich razów przejmuje nas do żywego, za każdym bowiem szmerem sądzim że to wąż uchodzący.

Długo jednakże bezskutecznym był ten atak; zwierzyna nie ukazywała się, pomimo ciągłego burzenia jej siedliska. Zrodziła się przeto wątpliwość czy znajduje się ona w kłodzie, jak twierdził leśniczy, czy też w obok sterczącym pniu, jakżeśmy to wczoraj widzieli.

Już rębacze mieli porzucić kłodę i przejść do rozlupywania pnia, gdy z ostatniem podważeniem drąga rozerwano czasem zniszczoną kłodę, i okrzyk „jest” wyrwał się z piersi rąbiących, którzy w nieładzie przestraszeni odskoczyli.

To słowo *jest*, nakształt iskry elektrycznej przebiegło nas wszystkich: jakby popchnięci niewi-

działną dłonią, cofnęliśmy się o parę kroków, i dopiero po niejakić chwili rzuciliśmy się do kłody, w środku której wił się przepyszny wąż 5½ stóp długi, a przytém zupełnie dla nas nieznanym.

Możecie sobie wystawić, czytelnicy, z jakim tryumfem powracaliśmy do domu, i radość nasza niczém nie byłaby zmieszana, gdybyśmy byli mogli nazwać upolowanego węża właściwem mu nazwiskiem.

Po powrocie do Warszawy, porównywaliśmy okaz ten ze wszystkiemi pod ręką znajdującemi się dziełami, przytém komunikowaliśmy go najznakomitszym naszym naturalistom. Lecz brak całkowitego zbioru węzów europejskich w tutejszym gabinecie, tudzież zawilość opisów po różnych autorach, niedokładność rycin, przytém świeże wylenienie jedyne go egzemplarza, długi czas utrzymywały nas w niepewności.

Dopiero porównawszy nasz okaz z opisem i ryciną znajdującą się w sławném dziele *Le Règne animale* (Les Reptiles, pag. 118, pl. 30 f. 1, a, b).

Cuviera, możemy ostatecznie wyrzec iż wąż przez nas złowiony jest gatunkiem przez systematyków nazywanym *Coluber Aesculapii*. Długość jego dochodzi pięciu i pół stóp; z wierzchu brunatny, pod spodem i na bokach żółto-słomiany; łuszczyki na grzbiecie prawie gładkie, niektóre z nich białawe na końcach, przez co wąż zdaje się być białemi centkami upstrzony. Wąż ten znajomy jest we Włoszech, Węgrzech i Illiryi. W starożytności znany był i przedstawiany na wyobrażeniach Eskulapa. Nie należy jednakże tego gatunku mieszać z gatunkiem Linneusza *Coluber Aesculapii*, który jest zupełnie różnym, i mieszka w Ameryce.

Tak więc i pod względem nazwiska zostaliśmy zadowoleni; lecz nie posiadamy dotychczas dobrej i wierniej ryciny naszego węża, i dlatego nie możemy wam go widocznie uzmysłowić. Już to szczęście ludzkie nie jest nigdy zupełne, a my pod tym względem stanowić nie możemy wyjątku.

Adam Wiślicki.

KWAS SIARCZANY

I JEGO ZASTOSOWANIA W PRZEMYSŁE.

Z pomiędzy wynalazków które z zaciszy chemicznego laboratorium wstąpiły na obszerne pole przemysłu, kwas siarczany bez wątpienia najważniejsze zajął miejsce.

Kiedy wybladły od pracy i znużenia alchemik, z małej ilości siarki i szczypty saletry, po raz pierwszy otrzymał parę kropel płynu oleistego, gryzącego i kwaśnego, nie spodziewał się zapewne aby to ciało stawszy się nieodzownym czynnikiem niemal każdej fabrykacyi, kiedyś było miarą przemysłu wielkich i potężnych krajów. Nim zabłysła ta szczęśliwa chwila, długi czas kwas siarczany był dzielnym środkiem chemicznym, nie wychodzącym jednak za obręb laboratorium, aż wreszcie rozwinięcie się nowój chemii na gruzach starożytnej alchemii, splecenie tój młodej nauki z obszerną dziedziną przemysłu, wzbudzając zobopólne oddziaływanie, powołało kwas siarczany na to stanowisko na jakim obecnie zostaje.

Gdy z czasem żądanie tego kwasu nadzwyczajnie wzrosło, poświęcono ogromne kapitały tak korzystnej gałęzi przemysłowej. Z największą ścisłością zbadano jój zasady; niemal corocznie podawano lepsze, tańsze i prostsze sposoby wyrabiania kwasu siarczanego, a z każdym ulepszeniem cena jego stawała się niższą, i w miarę tego odbył większym. Naczynia czyli izby w których wyrabiają kwas siarczany takiej dziś bywają objętości, że w jednej z nich wygodnie możnaby postawić mierzny dom dwupiętrowy. W fabrycznym postępowaniu i aparatach wyrabianie kwasu siarczanego doszło dziś do szczytu, i niepodobna prawie pomyśleć izby dalej mogło być udoskonalaném. W takim więc rozwoju tój nieskończenie ważnej gałęzi przemysłu, nie od rzeczy będzie skręślić czytelnikom naszym krótki rys wyrabiania kwasu siarczanego.

Głównym materiałem z którego otrzymują kwas

siarczany jest siarka; przez fabrykację więc kwasu siarczanego ogromne summy do Sycylii (głównie dostarczającej Europie siarki) wpływają. Da Bóg, że wzrostem tego przemysłu, i u nas kopalnia siarki w Czarkowy w Stopnickim odzyska świetność, jaką się przez chwilę cieszyła.

Dawno już znanym jest faktem że siarka, paląc się w powietrzu, wydaje gaz ostrego, szczypiącego zapachu, każdemu dobrze znany, czuć się bowiem daje przy zapalaniu zapalek chemicznych.

Gaz ten powstaje w skutku połączenia się jednego atomu siarki, z dwoma atomami tlenu (kwasorodu), którego dostarcza powietrze.

U chemików gaz ten zowie się kwasem siarkowym, i odznacza się rozpuszczalnością w wodzie, tudzież tem iż niszczy kolory roślinne, i dlatego używany bywa do bielenia jedwabiu i kapeluszków słomkowych.

Kwas siarkowy, rozpuszczony w wodzie i rozlany na płaskie powierzchnie, przyciąga jeszcze jeden atom tlenu z powietrza i zamienia się na kwas siarczany, który zatem składa się z jednego atomu siarki i trzech atomów tlenu.

Zamiana taka kwasu siarkowego w siarczany, wymaga długiego czasu, a otrzymany produkt jest słaby, gdyż za wiele wody zawiera. Otóż więc zadano chemii pytanie, jakim sposobem przenieść jeden atom tlenu z powietrza do kwasu siarkowego, tak jednak aby to odbywało się szybko i aby można było otrzymać produkt mocny.

Chemia pytanie to rozwiązała w sposób zadowalniający. Wiadomo że przy prażeniu saletry z pewną ilością siarki wywiązuje się gaz bezbarwny, który według chemików jest związkiem jednego atomu azotu z dwoma tlenu, czyli tlenkiem azotu. Otóż gaz ten w zetknięciu z powietrzem chciwie absorbuje jeden atom tlenu, i zamienia się w parę czerwonego koloru, którą chemicy kwasem azotowym zowią.

Kwas azotowy, w zetknięciu z kwasem siarkowym, przy koniecznej obecności pary wodnej, odstepuje kw. siarkowemu jednego atomu tlenu, zamienia go na kwas siarczany, a sam przechodzi w tlenik azotu, który znów za zetknięciem z powietrzem przybięra jeden atom tlenu, i staje się kwasem azotowym, mogącym nową ilość kwasu siarkowego zamienić w witryolej i t. d.

Widziemy więc że to proste działanie chemiczne jest podstawą fabrykacji kwasu siarczanego, której zatem głównymi czynnikami są: siarka (źródło

kwasu siarkowego), saletra (dostarczająca tlenu azotu) para wodna i tlen powietrza. Posiadając takie wiadomości od chemików, tudzież mając podane od tychże własności kwasu siarczanego, od fabrykantów zależało już urządzenie najdogodniejszego i najodpowiedniejszego aparatu, tudzież wynalezienie najtańszych źródeł kwasu siarkowego i tlenu azotu.

Pierwotnie otrzymywano kwas siarczany w ogromnych szklanych naczyniach, wpuszczając do nich kwas siarkowy i parę wodną, tudzież wsuwając na miseczce mieszaninę siarki i saletry, która dostarczała tlenu azotu. Wkrótce jednakże, poznawszy własność kwasu siarczanego iż tenże nie działa na ołów, zaczęto robić sklepienne komórki, izby czworokątne z blach ołowianych, do których to komórki prowadzono gazy: palącą się siarkę, tlenik azotu, parę wodną i powietrze. Następnie ulepszono jeszcze ten sposób, dodano bowiem wewnątrz izby przegrody, z których dwie poboczne nie dotykały dna, a środkowa sufitu izby; tym sposobem gazy mieszały się daleko lepiej, a procent otrzymanego kwasu był większy.

Lecz i to jeszcze nie zadowalniało fabrykantów, gdyż, oprócz siarki, na cenę kwasu siarczanego wpływała cena saletry, która w tej fabrykacji jest nieodzownie potrzebną. Wprawdzie na 10 procentów siarki używano tylko 1 procent saletry; lecz ta była cztery razy droższą od siarki.

Obecnie i to się zmieniło.

Podróżujący w Peru, w okręgu Atakama, blisko małego portu Yquique, odkryli obfite pokłady solne; rozbiór chemiczny okazał w nich azotan sodu jako główną część składową. Handel, który całą ziemię swemi ramionami ogarnął, i wszędzie otwiera nowe źródła dla przemysłu, zajął się tem odkryciem; znaleziono niewyczerpane zapasy tej soli, w pokładach więcej niż czterdziestu mil kwadratowych, i sprowadzono do Europy ogromne masy, po cenie w połowie niższej od kosztów przewozu saletry indyjskiej (azotanu potażu).

Ponieważ w fabrykacji kwasu siarczanego nie potaż albo soda, lecz połączony z niemi kwas azotowy ma wartość, przeto w nadzwyczaj krótkim czasie saletra chilijska usunęła z handlu saletrę indyjską. Fabrykacja kwasu siarczanego zyskała przez to nowy zasilek; cena jego bez szkody dla fabrykantów ciągle spadała, teraz zaś już prawie się ustaliła, po chwianiu się przez czas niejaki, z powodu wstrzymanego wywozu siarki z Sycylii.



Lecz dobrze to ktoś powiedział, że przemysł wiecznie jest nienasyconym; pomnażające się bowiem bogactwa, tworzą nowe potrzeby, których zadość uczynienia wymagamy od przemysłu; a lubo pozornie kwas siarczany nie może mieć silnego wpływu na przemysł zbytkowy, jednakże tak jest rzeczywiście, bo najpiękniejsze mydła, przedmiot wykwintu gotowalnianego, o sto procent staniały, od chwili jak Le Blanc odkrył sposób wyrabiania sztucznej sody, do czego kwas siarczany jest niezbędnym czynnikiem. Nie powinniśmy jednakże narzekać na wzrastający przemysł, do wielkich on bowiem prowadzi nas wypadków, a zaspakaja częstokroć i rzeczywistsze potrzeby.

Wróćmy się do kwasu siarczanego. Powiedzieliśmy że fabrykantom niedość było na odkryciu taniego źródła tlennika azotu. Jeżeli tlennik azotu, powiedzieli sobie oni, służy w fabrycznym procesie kwasu siarczanego za przenośnik tlenu z powietrza na kwas siarkowy, a po odbytem działaniu w pierwotnym stanie oddziela się, tedy jedna taka ilość pierwotna służyć może do wyrobienia bardzo wielkiej ilości kwasu siarczanego. Jednakże przy ówczesnym urządzeniu aparatów, gdzie gazy, po przejściu przez trzy przedziały, uchodziły w powietrze, osiągnąć tego nie można było. Zmieniono więc budowę aparatu w ten sposób, iż wychodzące gazy przeprowadzają przez warstwę koksu, który, jako dziurkowany, pochłania tlennik azotu, pozabawione zaś tlenu powietrze uchodzi. Tlennik azotu zawarty w koksie wymywają stężonym kwasem siarczanym, ten rozpuszcza w sobie gaz, a będąc wystawionym na działanie kwasu siarkowego, gaz uwalnia we właściwym miejscu.

Oprócz dodania tej nowej części aparatu, dawniejszą jedną komorę podzielono na kilka osobnych, połączonych z sobą rurami, przez co pomieszanie gazów staje się daleko dokładniejszym.

Płyn odciekający z komory nie jest jeszcze tak

dostatecznie gęstym, jak tego wymaga handel, musi więc być pozbawiony wody przez odparowanie, co uskutecznia się w kotłach platynowych, gdyż te tylko okazały się dostatecznie praktycznymi.

Widziemy że fabrykacja kwasu siarczanego dosięgła szczytu, sposoby bowiem jego otrzymania tak uproszczono, manipulacją zrobiono tak ścisłą, iż zaledwie nadzieję mieć jeszcze możemy aby w tym kierunku cośkolwiek nowego odkryć lub ulepszyć się dało.

Lutowanie np. platy ołowianych ołowiem dawniej kosztowało tyle co same platy; dzisiaj, gdy użyto w tym celu ściśnionej mieszaniny piorunującej (Knallgasgebläse), dziecię nawet może dwie platy połączyć.

Ze 100 funtów siarki, podług rachunku chemicznego, można 306 funtów kwasu siarczanego wyrobić, otrzymują zaś 300, strata więc nie zasługuje na uwagę. Ażeby mieć wyobrażenie o użyciu kwasu siarczanego, dosyć jest wspomnieć że małe fabryki wyrabiają go po 5000 centnarów, mierna dostarcza handlowi 20000 cent., a są zakłady produkujące do 60000 cent. Przez fabrykację tego kwasu, jak powiedzieliśmy, ogromne summy do Sycylii wpływają; ona rozwinęła dobry byt i zarobek w pastych okolicach Atakamy, i czyni pośrednio zyskownymi wymywalnie platyny w Rosyi, ponieważ naczynia użyte do odgotowania i stężenia kwasu są robione z platyny, a każdy kocioł kosztuje 6 do 12 tysięcy rubli sr.

Za długoby było śledzić każdą nitkę tej cudownej siatki przemysłu, w której kwas siarczany bezpośrednio lub pośrednio tak ważną gra rolę; ograniczymy się więc na wspomnieniu raz jeszcze iż w laboratoryach, fabrykach, rolnictwie, farbiarstwie, medycynie, zgoła niemal wszędzie, znajduje on ważne zastosowania, i że dlatego słuszną jest rzeczą uważać ilość zużycia jego za miarę rozwoju przemysłu w danym kraju.

ŚMIERDZIEL AMERYKAŃSKI.

Jak przyjemne i ciekawe są podróże, najlepiej tego dowodzi niepowściągnięta żądza wszystkich młodych naturalistów do zwiedzania tak okolic wła-

snego kraju, jakoteż i innych, gdzie warunki miejscowe sprzyjają rozwojowi licznych przyrodzonych płodów. Nie wiedząc czy ich nadzieja podró-

zowania kiedykolwiek zniszczoną zostanie, nie przestają jednakże młodzi ludzie dokładać wszelkich starań i trudów, aby téj swojej namiętności dogodzić.

Europa przecież małe przedstawia pole do badań, szczególnie pod względem fauny; ogromna ludność, wyniszczenie lasów niegdyś powierzchnią jej pokrywających i klimatyczne stosunki niemałym są tego powodem. Ztąd téż uwaga naturalistów zwróconą dziś została na okolice szczęśliwsze od naszej staréj siedziby, na okolice gdzie słońce sprzyja bujnej roślinności, gdzie w cieniu palm i bananów kryją się tysiące zwierząt nadzwyczaj ważnych pod względem naukowym i równie ciekawych ze względu na obyczaje. Z liczby tych zwierząt zasługuje na szczególną uwagę Śmierdziel amerykański (*Mephitis chinga*), przedstawiony na obok dołączonej tablicy.

Długi czas śmierdziele mieszano razem z łasicami w układach zoologicznych, jednakże różnice w systemie zębowym każą je za osobny rodzaj uważać. Odznaczają się głową dość małą, pyskiem krótkim, ściętym, uszami małymi i silnymi pazurami, szczególnie u nóg przednich. Pokrycie na nich bywa bardzo zmienne, zazwyczaj dość długie, szczególnie na ogonie. Lecz najbardziej charakterystyczną cechą tego rodzaju, z której nawet poszła jego nazwa, są gruczoły umieszczone na pośladkach, wyrabiające ciecz szczególnego, nadzwyczaj nieprzyjemnego zapachu. Ciecz ta właśnie jest całą bronią zwierzęcia przeciwko nieprzyjaciolom; nie posiada ono bowiem ani nadzwyczajnej siły, ani szczególnej szybkości w biegu, ani oręza zaczepnego, a przecież, jeżeli nie jest zniecka napadnięte, najśmielszym przeciwnikom obronić się może wonią, która ich odurza i na miejscu zatrzymuje.

Śmierdziele dnie przepędzają w ukryciu, w jamach podziemnych przez siebie wykopanych lub w rozpadlinach skał, gdzie również zimują, zebrane familiami składającymi się z kilku, a nawet z kilkunastu sztuk. Nocą wychodzą na szukanie pożywienia, które się składa z małych czworonożnych zwierzątek, ptaków, ich jaj, owadów i roślin. Są to zatem zwierzęta niebardzo wybrédne w rodzaju pokarmu, ale ptaki najlepiej im smakują. Z téj to właśnie przyczyny śmierdziele trzymają się ludzkich mieszkań, a nawet odwiedzają je może za zbyt często, chociaż nieraz doznają wcale niegościnnego przyjęcia. Pomimo wszelkich ostrożności

ze strony człowieka, umieją się dostać do kurników lub gołębników, gdzie za każdą wizytą zrządzają okropne klęski, i z tego powodu mają jednego więcej nieprzyjaciela starającego się usilnie je wygubić.

Śmierdziele żyją w Ameryce środkowej, począwszy od Stanów Zjednoczonych, lecz najbardziej są rozpowszechnione w Meksyku i Chili. Nie można z pewnością powiedzieć ile gatunków należy do tego rodzaju, gdyż wszystkie egzemplarze posiadane w zbiorach naturalistów i opisane przez podróżników przedstawiają małe różnice. Dlatego jedni uczeni potworzyli za wiele gatunków, inni za mało. Zdaje się jednak iż można przyjąć 17 oddzielnych gatunków.

Śmierdziel amerykański zwany jest u systematyków *Mephitis chinga*. Dochodzi on wielkości kota, pokrycie ma długie, z pojedynczych błyszczących włosów złożone, głowę w stosunku do reszty ciała dość małą, pysk ścięty, oczy małe, uszy krótkie, zaokrąglone. Pazury nóg przednich ma bardzo silne, zakrzywione i przeznaczone do kopania. Gruczoły wyrabiające ciecz nieprzyjemnego zapachu znajdują się na obu pośladkach, są podługne, złożone z tkanki gąbczastej i posiadają ujście na zewnątrz blisko cal długie. Otwory te, zazwyczaj w sierci ukryte, stają się widocznymi skoro zwierzę zamyśla wytryskiwać swój produkt i ogon na grzbiet podniesie. Ma ono nadzwyczaj różne pokrycie, nie ze względu na mnogość kolorów, ale na rozłożenie tychże, i w ogóle powiedzieć można że bardzo jest trudno znaleźć dwa zupełnie jednakowe zwierzątka tego gatunku. Zdarzyło się że natrafiono na norę śmierdzia i wybrano z niej całą familią składającą się ze sztuk jedenastu zupełnie dorosłych. Badania jednakże nad zębami i pazurami okazały że w liczbie téj znajdowała się para rodziców i 9 młodych. Otóż stary samiec miał na środku czoła wąską białą pręgę, kształtu mniej więcej eliptycznego, znacznie rozszerzoną na wierzchu głowy i na karku, następnie znikającą aż do nasady ogona, który zazwyczaj także jest biały lub biało upstrzony; reszta ciała była czarna, a pod brzuchem czarniawo-śniada. Stara samica, oprócz pręgi na czole, miała wzdłuż całego grzbietu dwa wąskie białe paski, ogon zaś i resztę ciała czarno ubarwione. Młode nareszcie były bardzo rozmaite i mało do siebie podobne: jedne zbliżały się więcej do samca, drugie do samicy, inne nakoniec nosiły na sobie cechy obojga, były bowiem al-

bo zupełnie czarne, lub z białymi pręgami do połowy grzbietu, lub wreszcie z paskiem na nosie i końcem ogona białym. W ogóle więc za правило przyjąć można, że jeżeli rodzice zbliżają się do siebie ubarwieniem, to i dzieci będą podobne; w przeciwnym razie będą okazywały cechy pomieszane ojca i matki.

Powiedzieliśmy już że śmierzdel, podobnie jak tchórz i niektóre jeszcze zwierzęta drapieżne, opatrzone jest gruczołami wyrabiającemi płyn szczególnego rodzaju. Płyn ten posiada silny, nieprzyjemny zapach. Jedno odetchnienie zarażonem nią powietrzem nabawia wiele stworzeń mocnego zawrotu głowy i gwałtownych wymiotów.

Szczególne rzecz że zapach ten utrwała się na rozmaitych materyach, a mianowicie na ubiorze, i to tak silnie, że niema prawie środków ku jego zniszczeniu. Zauważano że ani zakopanie w ziemi, ani wypranie, ani perfumowanie na nic się nie przyda, a nawet jeżeli pojedyncze części ubioru po upływie dopiero miesiąca z ziemi wyjmemy, to często znajdziemy że zapach nietylko nie zginął, ale stał się silniejszym. Perfumowanie zagłusza go wprawdzie na czas niejaki, lecz po ulotnieniu się przyjemnie woniejącej materyi, piérwiastkowy obrzydliwy zapach jeszcze wydatniej powraca. Wielokrotne tylko i częste pranie, tudzież przewietrzanie na wolnem powietrzu, jakkolwiek nie niszczy zupełnie, ale go znacznie osłabia, chociaż jeżeli osoba w sukniach tym sposobem pozornie pozbawionych odoru stanie w bliskości ciepłego pieca, natychmiast rozchodzi się po pokoju piérwotny niemły zapach.

Z powodu téj woni śmierzdeli, Kalm w podróży swojej po Ameryce opowiada następujące zdarzenie: „W zimie 1749 r., w czasie pięknej pogodnej nocy, jedno z tych zwierząt zbliżyło się do otwartych drzwi chatki w której mieszkałem, a spostrzeżone przez psy, natychmiast przytrzymanem zostało. W téj samej chwili dał się czuć tak nieprzyjemny zapach, że psy jak zabite padły na ziemię, krowy obok będące zaczęły ryczeć z całej mocy, a ja sam sądziłem że zostanę uduszonym. Przy końcu tegoż samego roku znowu śmierzdel wpadł do mego pokoju. Kobięta która piérwsza spostrzegła jego błyszczące oczy, chciała silnem uderzeniem pozbawić go życia. Lecz natychmiast rozszedł się odór tak mefityczny, że nietylko ta kobięta była potém przez kilka dni słabą, lecz chléb, mięso i inne materyały pokarmowe do tego

stopnia prześmiardły, że trzeba je było wyrzucić, ażeby nie zarazić miejsca w którym się znajdowały”¹⁾. Tak więc woń śmierzdeli utrwała się na wszystkiém; grunt nawet na którym to zwierzę w jesieni upolowanem lub przez psa zabitem zostało, czuć jeszcze dosyć znacznie na przyszłą wiosnę.

Lecz płyn śmierzdeli, oprócz tak przeraźliwej woni, posiada jeszcze i inne własności: silnie działa na skórę, naciąga na nię bąble i niszczy delikatne błonki organiczne. Richardson opowiada o Indyaninach, którzy w skutek tego wzroku pozbawieni zostali.

Śmierzdel broni się czyli wyrzuca płyn wyrabiany w gruczołach następującym sposobem. Skoro spostrzeże nieprzyjaciela, podnosi ogon do góry, kładzie go na grzbiecie i oczekuje większego zbliżenia; gdy to nastąpi, ściąga mięśnie na pośladkach rozwinięte, przez co dwoma wązkiemi kanałami wytryskuje płyn zwykle 4, a niekiedy 12 do 14 stóp daleko. Powstająca woń natychmiast wstrzymuje nieprzyjaciela, a tymczasem zwierzę w ucieczce lub w ukryciu się szuka ocalenia.

Mimo to wszystko przecież śmierzdel jest zwierzęciem dosyć przyjemnem. Jego lekkie i szybkie zwroty, giętkość ciała, wszystkie części proporcjonalnych wymiarów, duży kiściasty ogon, włos lśniący, czarny, każdemu podobać się muszą. Cuchnący płyn jego w nocy świeci fosforycznym światłem. Szczególna rzecz że dzisiaj, przy tak olbrzymim postępie chemii, produkt śmierzdeli naukowo zbadanym jeszcze nie został, chociaż w medycynie ma pewne zastosowanie. Professor Ives w New-Hafen kazał zażywać jednemu choremu na astmę trzy razy dziennie po kropli tego płynu. Pacjent bardzo prędko uczuł się lepiej i porzucił lekarstwo; ale choroba po jakimś czasie powróciła. Doktor chciał użyć tegoż samego środka, który się już tak skutecznym okazał, lecz chory niechciał się na to zgodzić, oświadczając że lekarstwo daleko jest nieprzyjemniejsze aniżeli sama choroba.

Śmierzdele żyją w norach idących od powierzchni w kształcie prostego korytarza na 7 do 8 stóp długiego, kończącego się znacznem rozszerzeniem. W niem to właśnie można napotkać w zimie 5 do 15 tych stworzeń razem zgromadzonych. Śmierzdele zimują dosyć krótko, wchodzą bowiem pod ziemię

¹⁾ Hist. Nat. des Mammifères par. Gervais, t. II, str. 107.

dopiero w grudniu, a w połowie lutego z niej wychodzą. Przyczyną tego jest rodzaj ich pokarmu, który prawie zawsze znaleźć mogą. Człowiekowi, jak już wspomnieliśmy, wyrządzają znaczną szkodę, zagładając do jego kurników, i dlatego zbyt ich rozmnożenie mogłoby się stać niedogodnym. Lecz śmierzdiele mają także swych nieprzyjaciół,

szczególniej w rodzaju psa, i ci do zmniejszenia ich liczby ciągle się przyczyniają. Mięso tych zwierząt ma być smaczne, a co szczególniejsza, że nie jest przejęte odrażliwą wonią. Indyjanie często używają go za pokarm, i co do smaku porównują je z wieprzowiną.

Z CZEGO POWSTAŁO PODANIE O AMAZONKACH.

Niejaki p. Wallace, pod tytułem: *Narrative of travels on the Amazon and Rio Negro*, wydał opis swjej podróży obejmujący dokładną wiadomość o niektórych pierwotnych plemionach amerykańskich. P. Wallace poświęcił się szczególnie badaniu plemion indyjskich nad rzeką Uaupes, zdolnych, jak się zdaje, do przyjęcia w dość znacznym stopniu uprawy intelektualnej. Jest to lud w ogólności smagły, dobrze zbudowany i silnie pod względem fizycznym rozwinięty; zajmuje się głównie rolnictwem i zamieszkuje stałe siedziby. Mieszkania ich przypominają ogromne domy niektórych pokoleń archipelagu indyjskiego, bo zbudowane są w takich rozmiarach, że mogą pomieścić kilkanaście rodzin, a niekiedy całe pokolenie. P. Wallace widział domy 117 stóp długie, 70 szerokie i 30 wysokie, stawiane bardzo zręcznie z drzewa poprzetykanego liśćmi palmowemi i pokryte także liściem palmowem. Mieszkania stosunkowo nader starannie są umeblowane, pomnąc że właściciele ich po większej części chodzą nago, a skórę malują tylko różnemi kolorami.

W jednym szczególnie wglądzie wiadomość o tych Indyanach ważną jest i ciekawą, zwyczaję ich bowiem i strój narodowy zdają się tłumaczyć starodawną baśń o istnieniu plemienia Amazonek. Przytaczamy tu własne słowa p. Wallace:

„Używanie stroików i ozdób wszelkiego rodza-

ju prawie wyłącznie ogranicza się do mężczyzn. Kobiety noszą tylko nareczniki (braselety), lecz nie znają ani łańcuszków na szyję, ani grzebieni, ani włosów sztucznie uplatanych. W tańcu opasują się małąkami fartuszkami z koralami, które po ukończonej zabawie natychmiast zrzucają. Mężczyźni zato noszą włosy w środku rozdzielone, po obu stronach głowy gładko przyczesane, ujęte grzebieniem i w tyle zebrane w warkocz, co naturalnie całkiem kobiecą nadaje im powierzchowność. U młodszych włosy w długich zwojach spadają na ramiona. Dodajmy do tego mnóstwo ozdób, jak: łańcuszki na szyję, nareczniki, korale i t. p., tudzież staranne wytępienie wszelkiego śladu zarostu, to bardzo prawdopodobnym będzie przypuszczenie iż bajka o Amazonkach powstała z napotkania w starożytności tych zniewieściałych zewnętrznie wojowników. Ja sam początkowo miałem ich za kobiety; a że środek ciała i piersi zasłonięte są tarczą, której nigdy prawie nie składają, więc trudno nawet zblizka przekonać się o pomyłce. Przypuśćmy teraz jeszcze iż te plemiona, osiedlone dziś nad Uaupesem, mieszkały kiedyś bliżej rzeki Amazonki (co bardzo jest możliwe i naturalne), a będiem mieli zadowalające wytłumaczenie starożytnych podań, które dotąd geografów wprawiały w kłopot niepospolity.



Wieża w Skanis.

PETRA CAMARA.

PRZEZ

Dr. T. Tripplina.

O mil pięć czy sześć od Granady na zachód sterczą góry nie wyższe od naszych Tatrów, a zatem niezbyt wysokie, jak na Hiszpanią. Przez ich grzbiet w najniższym miejscu wije się droga z Archidony do Antequery, dwóch miasteczek liczących po trzy tysiące ludności, niegdyś kwitnących za Maurów, którzy byli pracowitszymi i spokojniejszymi ludźmi od dzisiejszych Hiszpanów.

Droga wijąca się najprzód pomiędzy polami i żywym płotem, zaczyna się wspinać na podnózu gór po kamiennych gruntach, po wrzosach i pomiędzy krzakami jałowcu. Wkrótce z trudnością przychodzi się orientować w tej krainie, przybierającej charakter dzikości z każdym krokiem pierwotniejszej, tak że i śladu niegdyś dobrze utrzymanej drogi trudno wykryć. W wyższych sferach gór wegetacja bujniejszą się staje: nie są to już krzewy i drzewa południowych krain, lecz owszem rośliny północne, drzewa iglaste, dębina najrozmaitsze kształty przybierająca, kasztany, buki, jawory, klony, modrzew i jesion, słowem roślinność przypominająca ci lasy polskie w całej ich świetności.

Nareszcie wszystko przybiera charakter gęstego, chaotycznego boru, z którego tu i owdzie wyziwiają zwaliska zamków lub olbrzymie mchem porośnięte opoki, z kąd kozieł dziki, urągając się ludziom, spozióra w dolinę.

Teraz już droga tak jest spadzistą, że z osła zsiąść trzeba; przepaści niesłychanej głębokości grożą na prawo i lewo, potoki szumią w głębinach, a liczne wodospady nad naszymi głowami staczają się Bóg wie w jakie odchłanie z przerażającym łoskotem. Cała ziemia drży pod stopami; kiedy niekiedy gład, oderwany strumieniem wód wezbranych, spada w przepaść i tysiączne budzi echa. W kilku miejscach trzeba przekroczyć przepaść na mostku chwiejącym się jak lina w powietrzu i ciągnąć za sobą uparte osły.

Ale nareszcie stajemy blisko celu podróży, bo już wyzióra ponad nagiemi jak oselka opokami stare obszarpane wieżysko, które w całej kra-

inie znanem jest pod nazwą *Torre Camara* czyli wieża komórkowa.

Ten wcale niepozorny ułamek wieży, jest istotnie celem naszej podróży, przedsięwziętej z ciekawości, z potrzeby natchnień, wzruszeń i rozdrażnień, których nam już udzielić nie może prozaiczna Europa, ze swemi kolejami żelaznymi i z jednostajnym typem ludzi po niej krążących dla zarobku.

Jakimże urokiem nas wabi do siebie to wieżysko? Czy dlatego że je Maurowie zbudowali? Bynajmniej, maurytańskich pamiątek jest w tym kraju tyle i tak pięknych, że pewnie dla tego szczątku budowli nie warto było przedsiębrać podróży tak uciążliwej.

Lecz tu żyły przed niedawnymi czasy dwie kobiety, które urodą i wdziękiem panowały przez lat kilka na deskach teatru Granady i do tego miasta przyciągały z całej Hiszpanii zwolenników piękna i sztuki tancerskiej. Były to swego czasu królowe baletu, bez których zarówno wykwiłta młodzież granadeńska, jak lud całej okolicy, doznawać nie mogli uniesień i radości.

Obie się nazywały Petra Camara, matka i córka, obie były zarówno piękne i ubóstwiane, obie równie szlachetne i nieszczęśliwe, i obie leżą zakopane w tej wieży, którą niegdyś napełniały łzami i śmiechem.

Petra Camara matka zrodziła się tutaj córką bandyty, dawnego oficera wojska hiszpańskiego, który się bił jak lew za Ferdynanda VII przeciw Francuzom, i miał być powieszonym z rozkazu tegoż samego Ferdynanda za to, że wytrwał stale w zasadach zaprzysiężonych wówczas, kiedy w imieniu tych zasad cała Hiszpania wzięła się do broni przeciw najezdnikom, za prawego króla.

Potem się czasy zmieniły; ale Don Salvador Camara zmienić się nie umiał. Zamieszany w wypadki polityczne, skazanym został na powieszenie.

Synowie gór i lasów ułatwili mu ucieczkę, poprowadzili go z sobą w swe kryjówki i ogłosili wodzem.

Don Salvador Camara przyjął dowództwo, rezydencyą swą założył w wieżysku Maurów i pannał nad górami Antequera przez lat ośm, żyjąc jaknajprzykładniej ze swą żoną, z którą spłodził córkę Petrę. Potem, po śmierci Ferdynanda, ujął się za jego córkę Izabellą, i poległ pod Penna Cerada, jako major strzelców celnych.

Jego wdowa osiadła w Granadzie, wychowywując córkę na zakonnicę, i wkrótce umarła.

Po zniesieniu klasztorów, córka została tancerką. Lud, z którego ona wyszła przez matkę, córkę wieśniaka, wziął młodą baletniczkę w swoją opiekę, i tak ją wysoko wyniósł swojemi poklaskami, jak nigdy żadna córka Terpsychory nie stała w Hiszpanii.

Wywdzięczając się ludowi Granady za to współczucie, Petra Camara nie chciała opuścić miasta w którym po pierwszy raz wystąpiła, dla żadnego innego Hiszpanii, nawet dla Madrytu, dokąd ją wabiono szalonymi cenami do dworskiego teatru. Petra Camara nie raczyła opuścić Granady, umyślnie aby przyciągnąć do starego grodu Boabdila tłumy z Kastylii, Nawarry i Biskai, i tego też dokazała, bo sława cudnej tancerki rozeszła się po całej Hiszpanii lotem błyskawicy i każdy chciał podziwiać taniec patryotycznej córki ludu.

Tyle sobie umiała zjednać szacunku u możnych, ile miłości u ludu, a młody margrabia de Villafranca del Panades tak się w niej pokochał, że jej ofiarował swą rękę, lubo wiedział że przez małżeństwo z córką ludu traci prawo do ozdób Alkantary i Kallatrawy, których był komandorem.

Lecz Petra Camara nie lubiła wysokiej szlachty, zapewne dlatego że była szczérą i zdrową córką ludu, a może i dlatego że się kochała w skromnym i biédnym baletniku drugiego rzędu, i to więcej z litości jak z zachwyty, bo niczém nie świetniał Baltasaro Palarea, tylko w swój twarzy miał coś miło smutnego, co strasznie ujmowało kobiety do litościwych uczuć skłonne, a gdy tańczył z tą miłą melancholiczno-szlachetną, żal było nawet męszczynom że taki człowiek nie mógł znaleźć innego pomieszczenia jak na deskach teatralnych, jako tancerz drugiego rzędu, nieszczególnym obdarzony talentem. Któryżbo szlachetnie myślący człowiek pogodziłby się z losem baletnika, nawet najlepiej płatnego.

Petra Camara, która miała serce twarde jak glaz, a dumne jak hidalgo kastylijski, ulitowała się nad losem biédnego Palarei, i jednego pięknego wie-

czora, właśnie kiedy go wygwizdano w teatrze, przywołała go do siebie wraz ze znanym sobie i zupełnie oddanym księdzem Matagorda, i kazała sobie dać ślub z don Baltazarem. Ksiądz nieśmiało odmówił, lubo już wtenczas w Hiszpanii wsadzano do ciężkiego karceresu księży udzielających błogosławieństwo ślubne bez poprzednich zapowiedzi i bez aktu cywilnego należycie spisane i wciągniętego w księgi urzędu municypalnego.

Ale któż śmiało odmówił Donnie Petrze Camara? ksiądz Matagorda byłby wszystko na świecie zrobił na jej rozkaz.

— No cóż, Sennor Palarea, nie dziwisz się że jesteś moim małżonkiem? spyta Petra, w chwili gdy już byli na osobności i nierozzerwanym połączeni węzłem.

— Nie dziwię się, Donna Petra, odpowie małżonek dość obojętnie. Mnie przepowiedziano już w dzieciństwie, że z desek teatralnych dźwignę się wysoko i zostanę marszałkiem armii, a nawet księciem. Wierzyłem w tę przepowiednię jak w ewangelię, i dlatego też umyślnie, by się sprawdzić mogła, wstąpiłem do teatru; a że śpiewać i dobrze mówić, dla braku dźwięcznego głosu, nie umiem, więc korzystałem z mego talentu tancerskiego, który jest niepospolitym, chociaż go nasza wybrédna publiczność uznać nie umie.

— Więc ty nie zasługiwałeś na litość moją, rzeknie ze łzami w oczach baletniczka.

— Bynajmniej, moja piękna i miła Petruniu, odpowie Palarea, całując ją w zapłakane oczy. Któryżby Kastylijczyk chciał zasługiwać na litość lub ją wzbudzać u granadeńskiego motłochu, bez nadziei że tém dopnie wyższych celów? dodał mąż Donny Petry, przeciągając się i zapalając papierosik.

— Więc jakież są twoje zamysły na przyszłość? spyta smutnym przecuciem wstrząśnięta Petra.

— Najprzód zabawię z tobą kilka tygodni, moja cudna żoneczko; potem pożyczam od ciebie pieniądze jaknajwięcej, jadę do Madrytu i zaciągam się do kawaleryi, gdzie zapewne, dzięki twemu złotu i twym wpływom, zostanę od razu oficerem; potem sobie toruję dalej drogę pomiędzy trudnościami, które zwalczę, i pomiędzy niebezpieczeństwami, których uniknę. Takie mam przeświadczenie, drogi mój aniele.

— Więc zabiérnij moje złoto i moje brylanty, Don Baltasaro, i precz mi z oczu natychmiast! krzy-

knie Petra. Jestem ofiarą mej litości, lecz nie chcę być igraszką nikczemnika!

Don Baltasaro niemógł zachwiać postanowienia szlachetnej córki ludu, przyjął rzucone mu pod nogi złoto i brylanty, i téjże samej nocy wyruszył do Madrytu.

* * *

Nikt nie pojmuje dlaczego niegdyś tak wesola donna Petra nagle zesmutniała, zbladła, tak rzadko występuje na scenę i tańczy bez duszy i ognia. W publiczności utrzymują że się pokochała, a nikt się nie domyśla że jest mężatką, bo księdzu Matagorda nakazała milczenie. Ona niewie co się stało z Baltazarem Palarea, i napróżno czyta dzienniki, w nadziei że tam znajdzie nazwisko swego małżonka.

Kilka miesięcy upłynęło w tym stanie, miesięcy długich, pełnych goryczy i smutku. Nareszcie Petra uczuła że zostanie matką.

Z osłupienia wrywa ją list nadeszły z Londynu, list obciążony wekslem na bardzo znaczną kwotę pieniędzy. Treść tego listu była następująca:

„Nigdy się nie nazywałem Baltasaro Palarea; jestem ubogim szlachcicem, ale szlachcicem dobrego rodu, i nazwiska mego nie chciałem szarzać tańcem na deskach teatralnych. Ani téż twoim mężem nie jestem, o miła litościwa donna Petra, którą los wybrał na narzędzie mego szczęścia. W Madrycie uzyskałem stopień oficera, więcéj w skutek twych pieniędzy, jak dzięki mojemu nazwisku i mej dobrej minie. Potém przyłączyłem się do stronnictwa które w ostatnim przewrocie politycznym zostało zwalczoném przez tych szalonych egzaltadów, z którymi ty sympatyzujesz, zacięta córko kapryśnego ludu. Aby uniknąć więzów, a może i śmierci, musiałem uciekać z pięknej ojczyzny do zimnej ale zawsze gościnnéj Anglii. O jakże dobrze zrobiłem iż żyjąc z oględnością, zachowałem część większą darowanych mi przez ciebie brylantów i mogłem uchodzić w łatwowiernym Londynie nie za matacza politycznego, zebrzącego jałmużny, lecz za szlachetnego wygnańca, syna znakomitego rodu, który z powodzi majątkowej zupełnie przypadkiem uratował w ładownicy część klejnotów swéj nieboszczki matki. Żyłem samotnie lecz wystawnie, codziennie słuchając mszy świętej w kaplicy hiszpańskiej, w której i zapłakałem nieraz z tęsknoty pokryjomu. Oczy pewnej Irlandki, wdowy po

niezmiernie bogatym bankierze angielskim, zwróciły się na mnie, najprzód uważnie, a potém łaskawie. Ja tego nie zauważałem, ale jeden z moich kolegów, gatunek francuzkiego hiszpana z pogranicza gaskońskiego, pełniący u mnie obowiązki lokaja liberyjnego i herbowego, bacznie zwracał oko na możliwe sympatyzkerki; bo w tém mieście ładném, bogatém, napelnioném uczuciwemi, bigoteryą podnieconemi kobietami, a zimnemi zazarobkiem prozaicznie goniącemi męszczyznami, więcéj jeszcze jest materyału do awantur miłosnych niż było w całej Hiszpanii, nawet za błogich czasów don Quixota. Cóż ci powiem więcéj, o miła istoto, któraś mi poświęciła to co ci było najdroższém, i co chciał okupić Grande hiszpański stratą orderu Alkantary i Kallatrawy? Co ci powiem więcéj, padając przed tobą na kolana i stopy twoje łzami skrapiając? Od czterech dni jestem ślubnym, wyraźnym, publicznym, w gazetach otrąbionym małżonkiem niezmiernie bogatéj, rodem dostojnéj, ale mało ładnéj i młodéj wdowy po bankierze angielskim, i jadę do Hawany, objąć tam bardzo ważne stanowisko przy jeneralnym gubernatorze Kuby. Wszystko ci wyznaję mogąc jednakże wszystko zataić; bo tém jedynie wyznaniem mogę ci dać dowód do jakiego cię stopnia poważam i jak głęboko jestem przeświadczony o twéj szlachetności. Zresztą zupełnie wyzutym z czucia nie jestem, lubo główną sprężyną działań moich była zawsze szalona ambicya i niezłomna wiara w ziszczenie się przepowiedni od dzieciństwa w mych uszach brzmiających i do czynu mnie pobudzających. Gdy sobie przypomnę ile to upokorzeń doznałem, ile poświęciłem dla dopięcia swych celów, przyznać muszę że mnie fatum pędzi, jak sumienie Ahasferusa.

„Petro jedyna kochanko moja! gdybyś w imieniu twéj miłości i mego dla ciebie szacunku mogła wybaczyć człowiekowi który ci się wywdzięczył wiarołomstwem za tak szczytne poświęcenie, wówczas korzystaj z przesłanych ci czterech tysięcy dukatów, zbierz sobie towarzystwo tancerzy i tancererek, jedź do Bristolu, najmij paropływ i puszczaj się do Hawany, gdzie znajdziesz kopalnie złota w publiczności, a niewyczerpane źródło uniesień w mych ramionach.”

— Ach! jakże trudno podłemu człowiekowi uwierzyć w szczérą i całkowitą szlachetność! krzyknie łzami zalana i zgrzytając zębami córka ludu, wychowana do dziewiętego roku życia pomiędzy

bandytami. Nieznam twego imienia i nazwiska, potworze, i znać go niechcę; tém się tylko zemszczę że nigdy się nie dowiesz co się stało z owocem tego kwiatu któryś zerwał.

Biédna Petra przeznaczyła przesłane jój dwa tysiące funtów sterlingów na szpital Granady, i znikła z niój bez śladu. Przynajmniej publiczność niewie co się stało z jój ulubioną baletniczką, i czeka jój powrotu z nieprzerwaną tęsknotą rok, dwa lata, lat piętnaście.

* * *

Już nie żyje Petra Camara, opuszczona żona owego baletnika, którego nie znamy prawdziwego imienia i nazwiska. Nagła śmierć ją zaskoczyła przed rokiem w Torre Camara, w wieży maurytańskiej, w której się urodziła i wychowywała przy ojcu i przy matce aż do dziewiątego roku życia.

Ale żyje inna Petra Camara, czternastoletnia, piękna jak anioł, niewinna jak cherubin, wesola jak dziecko, lubo od roku postradała matkę. Ale mama całe życie płakała i nie chciała powiedzieć czemu płacze, tylko zaręczała że lepiej żyć pomiędzy bandytami jak pomiędzy ludźmi oświeconymi, którzy nie zabijają, nie kradną, lecz zdradzają, najlepiej zaś pomiędzy zakonnikami, które o świecie nie wiedząc, chwalą Pana Boga i tém sobie otwierają wrota do nieba. Jednakże nie przywrócono klasztorów, i młoda Petra Camara wstąpić tam nie mogła, a tymczasem matka jój schła w życiu pustelniczém, lubo jój synowie gór i lasów, *de jure* prześladowani, *de facto* prześladowający, dostarczali podostatkiem żywności, wszelkich wygod życia, opatrywali starą wieżę w kobierce i futra, chatkę w dolinie leżącą w meble, uprawiali pole i ogród i jak mogli rozweselali kobiety opowiadaniem walk staczanych z żołnierzami i celnikami.

Darmo! Petra Camara matka, wychowana w jaskini bandytów, słysząc w swém dzieciństwie ciągle tylko o prześladowaniach wymierzanych przez ludzi porządku przeciw ludziom idącym za popędem swych chwilowych natchnień, nie przestała być córką bandyty nawet na deskach teatralnych, nawet w swych stosunkach z wielkim światem, nawet w pustelnicztwie, nawet z Bogiem. W gruncie serca uświęcała poetyczne swe marzenia nazwiskiem przekonania i wiary, i tą samą nogą, którą niegdyś wywoływała poklaski arystokracji i brylantowe bukiety bankierów, deptała swe własne szczęście i los swój córki, aby tylko pozostać wierną zasadom wyssanym za młodu.

Takie są zasoby ducha tajne, skryte i niepojęte

tego dziwnego ludu, pełnego ognia, skoro idzie o przeléwanie krwi własnej lub cudzej, pełnego religii, skoro idzie o poświęcenie, a gnuśnego do pracy, nieuznającego potrzeby porządku i spokoju, bo ona wiedzie do jednostajności wrażeń.

Petra Camara matka umarła, mogąc zaprowadzić na rusztowanie tego, który jój miłością wzgardził, poznawszy ile w niój cudnych uroków; umarła, nienawiści swój nie przekazując córce. Może owym instynktem kobiecym, niedościgłym dla nas męszczyzn, przeczuwała że ją los okrutniej zemści, niż kobiéta wzgardzona zemścić się potrafi.

Petra Camara córka żyła w chatce doliny, pod opieką starego, wysłużonego bandyty, który niegdyś zdobył krzyż św. Ferdynanda i Izabelli katolickiej, a potem z dziesięć razy o mało co nie został powieszonym za rozboje.

Bardzo był religijnym ten człowiek, i przez księży prześladowanych z powodu opinij postępowych uważanym za wzorowego chrześcianina. To téż i młoda Petra ściśle przestrzegała postów i pacierzy; na wszystkie większe święta schodziła pod eskortą przebranych bandytów do kościoła, a zresztą sprzyjała ludowi i bawiła się z dziką kozą, którą sobie umiała oblaskawić.

Raz w późnej jesieni poszła sama jedna do stariej wieży maurytańskiej, pomodlić się nad grobem matki, w sklepieniach jój pochowanej. Długo się modliła, i wracając do domu, do chatki w dolinie niemało się zdziwiła widząc swą kozę w niesłychanych susach zdążającą do niój i tulącą się pod jój nogi. Obziéra się i spostrzega trzech ogromnych wilków wprost ku niój pędzących. Okropny przestach ją ogarnął, krzyczy w niebogłosy i już swą duszę Bogu poleca, bo jest pewną że zachwilę zostanie rozszarpaną. Wtém za nią o jakie trzydzieści kroków pada strzał, i prawie przed jój stopami jeden wilk stacza się w przepaść. Jeszcze dwa strzały, i dwa pozostałe wilki padają z jękiem od kul co przebiegły tuż nad jój głową.

Petra spostrzega swoich zbawców, trzech młodych bandytów, których nigdy jeszcze w życiu nie widziała. Dwóch z nich pozostało w niejakiém oddaleniu, trzeci najmłodszy, i z wejrzenia sądząc ich dowódzca, przystąpił do niój, podniósł na pół omdlalą z ziemi i rzekł ze wzruszeniem:

— Sennorita, jakież dziwny wypadek! Przed sześciu miesiącami widziałem ciebie po raz pierwszy w kościele w Archidonella, i zachwycony byłem twą pięknoscią do tego stopnia, że od téj

chwili o tobie tylko myślał, marzył i wszelkimi sposobami starał się dowiedzieć gdzie mieszkasz i kim jesteś. Niemal spotkałem trudności, bo cię otaczają ludzie z praw wyzuci, uciekający przed sprawiedliwością i zawsze gotowi do zadania śmierci każdemu co im stanie na drodze. Musiałem do niebezpiecznych wziąć się fortelów, aby się zbliżyć do ciebie i choć raz cię ujrzeć. Przekupiłem młodego niedoświadczonego bandytę, aby się od niego nauczyć tajemnic ich cechu; potem pozwoliłem się zamknąć w więzieniu z bandytami aby ich wybadać; nareszcie sam zostałem bandytą z memi dwoma służącymi. Wkraczam w góry, błędzę w nich od dni kilku i spotykam cię na straszne narażoną niebezpieczeństwo. O cudna Petro Camara, cudnej matki godna i miła córko, Bóg cię dla mnie przeznaczą, kiedy w takiej fatalnej chwili stawia mnie przed ciebie jako zbawcę. O Petro! dość już długo bawisz w tych okropnych górach; powitaj świat blaskiem swój piękności, bądź wychowanką méj ciotki, przyjaciółką méj siostry, a później, gdy mnie pokochasz, małżonką moją!

Młodzieniec klęknął przed młodą dziewczyną i zdjął kapelusz z głowy.

— Caballero! kto jesteś, co tak dziwnym głosem do mnie przemawiasz, że od jego dźwięku w całym mém ciele czuję jakieś drżenie?

— Jestem margrabia de Villafranca, najmłodszy brat tego, który chciał się żenić z twoją matką, o cudowne dziecię. Jestem margrabią, ale dość ubogim, i gardzę wszystkimi przesadami urodzenia i tytułów; kocham piękno nad wszystko, i nie ceniąc się jak stara butwiejąca szlachta, uprawiam sztukę malarską, nietylko jako dyletant, lecz jako artysta: sprzedaję swoje dzieła, i dumny jestem z tego.

Młody margrabia Alfons de Villafranca klęczał z odkrytą głową przed piętnastoletnią córką gór i lasów, której przed chwilą ocalił życie, i czekał jój wyroku, drżąc z miłości i bojaźni.

Dziewica, jak oczarowana, wpatruje się w jego czarne gorejące oczy, i ujęta wyrazem szczérości malującej się na jego szlachetnych a bladych i do uczucia donośnie przemawiających licach, wyznać musi przed sobą, że otóż klęczy przed nią ów ideał wymarzony, który od pewnego czasu czarował ją we snach i nęcił.

— Więc czego chcesz Caballero? Chcesz żebym opuściła mą chatkę w dolinie i poszła mieszkać z twą ciotką i siostrą w zamku Villafranków? szepnęły nareszcie jój drżące usta.

— Nie w zamku Villafranków, Sennorita, bo ich majątek już nie wystarcza na utrzymanie dworu magnackiego w świetności, lecz o to cię błagam abyś przyjęła gościnność w méj skromnej ale ładnej siedzibie wiejskiej, gdzie cię oczekują ciotka moja i siostra, dwie dobre niewiasty całkiem mi oddane i wiedzące że ty Sennora jesteś panią mych myśli i uczuć, warunkiem mego szczęścia i życia.

— Więc pójdę z tobą, don Alfonso, ale z moim koziółkiem i ze starym poczciwym Mateo, sługą moim i opiekunem.

— Przystaję na koziółka, donna Petro, lecz czy nie wiesz, Sennoro, że stary Mateo jest skazany na szubienicę z dziesięć razy, za rozliczne rozboje?

— Mateo zabijał tylko nieprzyjaciół swych zasad, którzy go prześladowaniami zmusili do krycia się w górach, lecz od lat wielu wyrwał żądło nienawiści ze swego serca i spokojne wiedzie życie! Zresztą bez niego nie ruszę się z tych gór i lasów, w których żyłam szczęśliwą aż do téj chwili.

— Sennora! więc niech i Mateo idzie z tobą, zdołam go skryć w mém zaciszu.

* * *

Lat trzy minęło od téj chwili. Spotykamy Petrę Camarę nie w zaciszu margrabiego de Villafranca, w którym tylko rok mieszkała, lecz na deskach teatru Granady, baletniczką, od której sławy drżą wszystkie echa Hiszpanii.

Raz tylko była na balecie, i pojęła swe powołanie, przekazane jój nie słowami matki, lecz jój krwią. Odtąd już nie była panią swój woli, lecz niewolnicą artystycznego głosu natury, który się ozwał w jój całym jestestwie z przemożną, tyrańską siłą.

Zapra gnęła świetnieć talentem, jak jój narzeczonny, margrabia Alfons, już świetniał swoim: pragnęła mu wyrównać pod tym względem.

Malarz Villafranca nie śmiał się opierać woli swój młodziuchnej narzeczonej; wiedział on z własnego doświadczenia że nie sposób stłumić głosu szczerzego powołania.

Donna Petra Camara, wysoka, wysmukła i lekka jak Sylfida, jaśniała tym wdziękiem, którego nikt dobrze nie wytłumaczy, i który czyni w dziewczycy że każdy chciałby się przed nią jak przed bóstwem upokorzyć, i może w gruncie serca pragnie żeby taki anioł, nie doznawszy ziemskiej miłości, czysty wśród nas się prześliznął.

Tym urokiem otoczona Petra, występuje na widowni publiczną jako tancerka, i czyż traci co na tém

w oczach publiczności? Bynajmniej. Ona jest ideałem wykwintnego świata, a zarazem bożyszczem ludu, bo z ludu wyszła i ludem się nie brzydzi. Lud prosty gnie się przed nią z uszanowaniem, a w wyższe stany Petra, równie cnotliwa i szlachetna jak piękna i utalentowana, unosi z sobą pierwsze marzenia młodzieńcze.

Margrabia Alfons de Villafranca jest dumnym ze swój narzeczonej, i pragnie jęj dać jaknajprędzj czulszy tytuł; lecz Petra błaga aby ją pozostawił jeszcze z rok dziewicą i ludu swego ideałem.

— Potęm będe twoją, zupełnie twoją i na zawsze pożegnam się z publicznością, bo i najuboższa margrabina tańczyć nie może za piędądze.

* * *

Lud ją wielbił do tego stopnia, że za nią gotów byłby oddać życie.

Razu jednego Petra tańczyła bollero z porywającą gracyą i żywością. Nikt nie zdoła wystawić sobie sprawionego wrażenia: teatr drżał od oklasków, widzowie w uniesieniu miary znaleźć nie mogli. Prosiłi, błagali, o powtórzenie tańca. Donna Petra, czy zmęczona, czy skaprysila tym razem, ukazać się nie chciała powtórnie; nadaremnie ją przyzywano.

Wtęm stary jakiś wieśniak na paradyzie korzystał z chwili uciszenia się i prosił publiczności o głos. Uzyskał pozwolenie mówienia, powstaje i następujące wymawia słowa tonem rozczulonym:

— O prześliczne dziecię ludu! błogosławione niech będzie twe oblicze. Przybądz, przybądz gołębeczko i rozwesel lud miłym blaskiem ócz swoich!

Kurtyna się podnosi: donna Petra, już na pół rozebrana z sukni wiérzchnich, wypada na scenę, przystępuje tuż pod orkiestrę, wyciąga ręce ku paradyzowi i mówi:

— Ojczy! ludzie mój! dla ciebie żyję, i każda chwila twęj radości, rozkoszą jest dla mnie!

I wnet tańczyć zaczęła jeszcze z większą żywością, jeszcze z nadobniejszą gracyą.

Któż zdoła opisać uniesienie publiczności i szal zachwyconego ludu, który nazwała swym ojcem?

* * *

Lud granadeński jest istotnie bardzo wrażliwy, poezją i sztukę cenić umięjący, lecz na nieszczęście niesłychanie burzliwy i zawsze skłonny do buntów przeciw umiarkowanemu stronnictwu, które wów-

czas w Hiszpanii panowało, a raczj burmistrzowało, bo bezwzględnoscją swoją obrażało miasta najwznoślejszym patryotyzmem tchnące, a do nich należała i Granada.

Lud zżymał się ze złości i groził, tracąc z każdym dniem swe dawne swobody, a zarazem cierpliwość.

Zesłano do Granady na garnizon pułk strzelców biskajskich, znany z swęj rozwiązłości i takim duchem żołdactwa przesiąkły, że na skinienie swych dowódców, także tylko wybranych z pomiędzy awanturników i siepaczy, gotów był zawsze do mordów, gwałtów i pożóg.

Taki pułk zesłano umyślnie do Granady, aby ją ukrócić postrachem śmierci i sromoty; a rozlokowano go na wschodnięm najburzliwszým przedmieściu, gdzie najwięcej żyło wyrobników, przemycarzy i innych proletaryuszów.

To przedmieście otoczono wałem i szanćami, na które zatoczono baterją dział lekkich, zawsze towarzyszącą straszliwemu pułkowi strzelców biskajskich.

Zacisze Villafranków leżało pośród gaju, także ze strony wschodnięj miasta, i opierało się o podnoże Sierry Nowady. W tęm zaciszu mieszkał Alfons ze starą ciotką i młodą, bardzo piękną i w spokojnym życiu zamiłowaną siostrą Maryą; a często tu przebywała Petra Camara całemi tygodniami i miesiącami, i osobne tu miała pokoje i ogródki, w których sama lubila gospodarować. Petra z Maryą kochały się nadzwyczaj, lubo tylko pod względem piękności i dobroci do siebie podobne były; pod wszystkimi innymi względami największe zachodziło niepodobieństwo. Petra była żywą jak geniusz, Marya powolną jak anioł.

Często tu pod zacisze Villafranków załazili strzelcy biskajscy, kręcąc się tu i owdzie, i patrząc czy nie można czegoś znaleźć, zwyczajnie jak spróźniaczeni, awantur łaknący żołdacy. Ale zacisze i ogród otoczone były zewsząd grubym, ani dla ludzi ani dla bydła nieprzebytym płotem z olbrzymich i splecionych z sobą aloesów, kaktusów, granatów i mocnych jak postronki, fantastycznie wijących się bluszczów i zawilców. Taki płot nie wyrasta prędko, nawet pod ciepłym niebem i na żyznym gruncie Hiszpanii; trzeba z lat dwadzieścia na utworzenie takiego płotu, ale za to jest najpiękniejszą ozdobą ogrodów hesperyjskich i zarazem najmocniejszym, kule armatnie przejąc zdolnym wałem. W bramie zaś prowa-

dzając do zacisza, czuwał stary Mateo z dwunastą nabitą tromblonami, a służący margrabi patrolowali często po ogrodzie i z za aloesów patrzyli czy się nie wałęsają żołdacy w bliskości.

Więc pomimo najlepszej chęci, trudno było strzelcom Biskaji *znaleźć* coś w zaciszu Villafranków, i to niejednemu z nich podało myśl wtargnięcia do siedziby margrabięgo pod pozorem prawa.

* * *

Walka byków w Granadzie, z okoliczności św. Sylweryusza, patrona miasta. Najzawołani torreadorowie zbiegli się, i przybył Boyarte, matador używający wówczas najgłośniejszej sławy.

Przeszło dwadzieścia tysięcy publiczności w cyrku, prawie drugie tyle otacza go i zadowalnia się nowinami o wypadkach walki, aby je roznieść po okolicy.

W królewskiej łoży cyrku władze rządowe i miejskie: generał kapitan ze sztabem, szef polityczny i alcalde z ayuntamiento. W téjże samej łoży znakomitości miasta, pomiędzy niemi Petra Camara tanecznicą, na której skinienie lud klaskał, syczał lub milczał.

Ale Petra rozstrojona, ogląda się często i tęskni, bo jój narzeczony nie przybywa. Niema dla niej przyjemności, gdy jój Alfons Villafranca nie podziela; ona tańcząc przed tysiącami, tylko o nim myśli, o nim, który także nie pojmuje bez niej tryumfów.

Niewiem ile zabito byków, ile legło koni i raniono ludzi, lecz właśnie kiedy wywleczono z areny najdzikszego byka, który samego Boyarte zranił, wpada na spienionym koniu, krwią zbroczony i z gołą głową Alfons Villafranca, zwraca konia ku łoży królewskiej i woła głosem strasznym:

— Petro Camara! wezwij lud do zemsty! Mój dom w płomieniach, a w jego gruzach moja ciotka zabita, moja siostra zhańbiona przez strzelców Biskaji. Tobie przekazuje Marya zemstę. Śmierć wszystkim strzelcom Biskaji, aby żaden jój sromoty nie przeżył!

Petra już przeczuwała że jakieś musiało nastąpić nieszczęście; wyrywa chorągiew zatkniętą nad łożą królewską, i w imieniu Boga, św. Sylweryusza i królowej wzywa lud aby się natychmiast ruszył ku przedmieściu wschodniemu, szturmem je wziął i do nogi wyrzwał żołdaków tak srogich dopuszczających się bezprawioów.

Sama przewodniczyła pochodowi w koczu jenerał kapitana, którego zmusiła do udziału. Cały lud, oddawna spragniony zemsty, bieży za nią; nawet gwardya narodowa idzie naprzód.

Tłumy otaczają przedmieście: żołdacy wiedzą jaka ich czeka dola, i nawet na wezwanie jenerał kapitana nikogo niechęcą puścić pośród wałów. Bezbronny lud uderza na nie; siekany kartaczami, całemi setniami pada, lecz nie zwraca się, bo tłumy następują po tłumach.

Wały wzięte: najokropniejsza rzeź się rozpoczyna, wiele ludu legło, lecz cały pułk strzelców Biskaji do nogi wyrznięty.

Dwa tysiące trzysta kilkadziesiąt żołnierzy i prawie drugie tyle ludu, opłaciło życiem hańbę i śmierć Maryi Villafranca.

* * *

Granada w powstaniu; junta ogłosiła prawo zasadnicze z 1812 roku. Na czele powstańców Petra Camara konno, z orężem przy boku, z chorągwią w ręku. Jój adjutantem jest Alfons de Villafranca, który właściwie dowodzi powstańcami.

Nadciąga marszałek książę Murviedro z licznym wojskiem, na uśmierzenie rokoszu i najsrozsze ukaranie powstańców.

Podstępnie pod zabarykadowane miasto; chce się układać z powstańcami, lecz ofiaruje warunki których przyjąć niechce lud, mniemający że w samym wojsku srogiego księcia Murviedro znajdzie sprzymierzeńców.

Książę marszałek pragnie się widzieć z bohaterką dowodzącą powstaniem. Lud nie zezwala na to, obawiając się wpływu wymowy i obietnic znanego z wiarołomstwa księcia Murviedro. Szal ogarnął rokoszan; ufając w siłę barykad i w nadciągnięcie pomocy z Alhamy, urągają się marszałkowi.

Pierwszy szturm odparty, z wielką stratą dla nieprzyjaciela; w drugim uległo miasto, mimo waleczności obrońców, pomiędzy którymi znalazło się więcej tysięcy kobiet.

Z trzech stron od razu wtargnęło wojsko księcia Murviedro, do tego stopnia rozwścieczone zjadłością obrony, że kobiet walczących nie szanowało i bagnietem wykluło ich przeszło dwieście. Do obronnych koszar św. Sebastjana schroniło się z tysiąc powstańców, pomiędzy niemi Alfons Villafranca i Petra Camara z kilkadziesiąt kobietami, które wytrwać chciały aż do końca. Głodem

morzono ten hufiec przez dni trzy, potem szturm przypuszczono zajadły. Alfons wiedział że uledek będzie musiał; w suknie swój narzeczonej ubiera jedną z poległych młodych kobiet, i nocną porą usiłuje przedrzeć się przez chmarę oblegających w góry.

Po zaciętej walce, w której większa połowa załogi wyginęła, reszta zostaje wzięta w niewolę. Pomiedzy niewolnicami jest Petra Camara, która na prozby Alfonsa przybrała strój i nazwisko inniej dziewczicy, zabitej na walach.

Wszystkie kobiety przysięgły że nie wydadzą Petry, na której głowę naznaczono wysoką cenę.

Powstańców którzy się poddali wtrącono do więzienia. Książę Murviedro przyrzekł że uszanuje ich życie.

Biędna Petra Camara, ranna czerepem odręcznego granata w głowę, leży bez przytomności w więzieniu, i przez dni kilka pozostaje pomiędzy życiem a śmiercią.

* * *

Nie czekano jej zupełnego wyzdrowienia: wszystkie niewolnice, których było sto siedmdziesiąt i kilka, zebrano razem w kaplicy więzienniej, odprawiono mszę i w pomoc przywołano uroczyscie ducha świętego.

Potem przyniesiono urnę z losami, każdej niewolnicy kazano wyjąć jeden los i uszykować się w szereg, według numeru wymienionego na tym losie. Potem wszedł srogi książę Murviedro, przebiegł oczyma dwa szeregi biędnych kobiet uszykowanych od drzwi kościoła, aż do ołtarza, i nawet rozmawiał niby dość łaskawie z tą i ową, z młodszymi i piękniejszymi. Rozmawiał także z Petrą, której głowa zawiązana była skrwawionym bandażem, a twarz strasznie blada.

— Jak się nazywasz, pani? Spyta książę, ujęty wyrazem cierpienia rozlanym na pięknej jej twarzy.

— Anna Fagota, córka znanego w mieście rusznikarza. Ach! pozwól mi panie widzieć się z ojcem i braćmi.

Petra przybrała imię i nazwisko zabitej w koszarach dziewczicy, umyślnie zaś wyjawila chęć widzenia się z jej ojcem i trzema braćmi, także z bronią w ręku pojmanemi, by się dowiedzieć jaki los spotkał więźniów.

— Rusznikarz Fagota? to nazwisko jakos mi

znane, rzecze książę Murviedro, obracając się do towarzyszącego mu urzędnika miejskiego.

— Wczoraj razem z swemi synami,.... odpowie urzędnik, i gestem kończy odpowiedź, poruszając ręką od szyi w górę.

— Powieszeni! jęknie Petra, a tyś obiecał uszanować ich życie, wiarołomny książę!

Niewiem czemu głos Petry wzruszył żelazne serce znanego z okrucieństw marszałka. Odpowiedział że instrukcyenadeszłe z Madrytu nie pozwalają mu być tyle łaskawym ileby pragnął; potem jeszcze długie wlepił spojrzenie w twarz młodej artystki, w twarz opuchłą, zbroszoną krwią i prochem poczernioną.

I ona zadrzała w głębi serca, nie strachem, lecz jakimś innem uczuciem, wpatrzywszy się w wielkie, ciemno-granatowe, jakby aksamitne, a na pozór tak łagodne oczy księcia.

Już miała się spytać jaki los spotkał Alfonsa de Villafranca; lecz książę odszedł, ukląkł przed kościołem i długo się modlił, wzywając do rady pomocy ducha świętego. Potem kazal podzielić na dziesiątki cały hufiec biędnych niewolnic, i nareszcie sięgnął do urny, w której były numera od pierwszego aż do dziesiątego.

— Trzecia z każdej dziesiątnej! krzyknie głośno, aż zadrzały mury kościoła, i wychodzi. Trzecia z każdej dziesiątnej już pochwycona i ma ręce związane.

Boże! pomiędzy niemi Petra Camara!

* * *

W osobnej celi gotuje się na śmierć siedmnaście kobiet, które jutro z wielką pompą i z całym przyborem religijnym będą rozstrzelane, nie razem w gromadzie, lecz ceremonialnie, pojedynczo.

Ksiądz Matagorda, już nam znany, wchodzi do celi Petry Camary, milczy dopóki więzienny pozostał w celi, a potem zawoła:

— Nie, nie mylą mnie oczy, ty nie jesteś córką Andrzeja Fagota, ty jesteś Petra Camara.

— Czy chcesz mój los jeszcze pogorszyć? Jako córkę Fagota skazano mnie na rozstrzelanie; jako Petrę Camarę każą mnie rozświetlować, odpowie Petra.

— Petro! ja tobie życie przynoszę. Petro! wiesz czem ty jesteś księciu marszałkowi Murviedro? Czy nie przemawiało w tobie serce przed chwilą w kaplicy, gdy z tobą rozmawiał tak łaskawie? Czy nie pojęłaś czem mu jesteś, patrząc w jego

ciemno-granatowe oczy, tak prawie piękne jak twoje, a tak niezwykle w tym kraju czarnookich Maurów potomkami zaludnionym. Ja na ciebie patrzyłem z chóru, i drżałem z bojaźni żebyś się nie wydała.

— Wielebny księże, zagadkami przemawiasz do skazanej na śmierć kobiety. Powiedz raczej co się stało z Alfonsem de Villafranca, rzeknie Petra, nierozciekawiona tém co jój ksiądz, Matagorda chciał objawić.

— Alfons de Villafranca? odpowie ksiądz oczywiście zmieszany, on podobno zdołał uciec z więzienia.

— Księże, nie zwódź umiérającój; powiedz mi czy się mam modlić za duszę swego młodego narzeczonego? Wzywam cię na Boga, nie kłam, tylko powiedz prawdę i natychmiast.

— Módl się za duszę jego; od wczoraj już ona w rękach Boga.

Petry Camary oko pozostało suchém, jój blada twarz nawet nie zadrgała.

— Biédny Alfons! musiał sobie wyrzucać że mego nieszczęścia stał się powodem, rzekła na śmierć skazana dziewczica, a potém zapytała księdza:

— Więc czémże jest dla mnie ten wiarołomny człowiek, którego nazywają księciem Murviedro?

— Ojcem twoim, Petro. Ja go połączyłem pod nazwiskiem Baltazara de Palarea lat temu dziewiętnaście tajemnym węzłem ślubnym, a pięć lat temu, kiedym was odwiedzał w Torre Camara, matka twoja pozwoliła mi wyjawić tajemnicę twego urodzenia tobie, ale tylko tobie, i przysiędz musialem że bez twego pozwolenia nikomu innemu téj tajemnicy nie wyznam. Więc zwolnij mnie od przysięgi Petro, biegnę do księcia i oznajmiam mu że Petra Camara nie zginęła w obronie miasta, jak wszyscy mniemają, że ona jest jego córką. Książę nie miał dzieci z swą drugą małżonką i niczego tak nie pragnie jak potomstwa; jakże będzie uszczęśliwionym gdy się dowie że blada ranna dziewczica, której głos tak go dzisiaj rozrzewnił, jest jego córką i pomiędzy na śmierć skazanemi, które jedném słowem uwolnić może.

— Księże, zakazuję ci tego, ja sama chcę mu wyjawić że jestem jego córką, odpowie Petra, niewzruszona odkryciem tak wielkiej tajemnicy, i klęka przed kapłanem, prosząc aby przyjął jój spowiedź.

Narieczona Alfonsa gotowała się na śmierć, przeżyć go nie chciała, i nadaremnie ksiądz prze-

kladał dziewczicy, że ten się zabija i na karę Boga zasługuje, kto nie korzysta ze sposobów ratowania się od śmierci.

Nieugięta dziewczica nie nie odpowiedziała, tylko prosiła księdza aby jój wyrobił pozwolenie napisania słów kilku do księcia Murviedro.

Ksiądz uzyskał pozwolenie. Petrze odwiązano skrępowane ręce i dano napisać prozbę do marszałka, a gdy ją napisała, zatknęła papier za gorset i znów podała ręce do skrępowania.

Resztę dnia i noc całą przepędziła najprzekładniej na modlitwach, więcej się modląc za duszę Alfonsa jak za własną.

* * *

Wszystkie dzwony Granady oznajmiły że się odbędzie uroczyste stracenie siedmnastu buntowników. Wszystkie władze wystąpiły w galowych mundurach, dwa tysiące duchownych w ornatach, piętnaście tysięcy wojska uwieńczonego zwyciężkim wawrzynem, a na jego czele marszałek armii hiszpańskiej, don Ramon de las Risueltas ksiązę Murviedro.

Chciano dać Granadzie srogą naukę. Siedmnaście kobiet skazanych na śmierć ubrano w długie białe suknie i w czarne przepaski. Pomiedzy niemi było kilka rannych. Donna Petra miała głowę obwiązaną i połowę twarzy zasłoniętą bandażem. Odpętano delinkwentkom ręce; Petra zasłoniła twarz chustką, z obawy by jój nie poznano.

Na cmentarzu cholerycznych odbyła się egzekucya. Nad siedmnastą mogiłami stawiono siedmnaście delinkwentek, w odległości dziesięciu kroków jedną od drugiej, nie wiążąc ich do palów; a przed każdą na piętnaście kroków sekcyą strzelców celnych z nabitą bronią.

Przed Petrą Camarą, za sekcyą która do niej strzelać miała, stanął na koniu ksiązę Murviedro ze sztabem, przyciągany niewiedzieć jaką siłą, jakim urokiem.

— Czego drzysz, Petro? spyta ksiądz Matagorda.

— Z bojaźni żeby mnie ukochany ojciec nie chciał ulaskawić.

Przeczytano wyrok, i na znak dany przez marszałka zaczęły się egzekucye od prawego skrzydła. Jeden tylko oficer komenderował oddziałami strzelającymi, postępując od jednego do drugiego.

W miarę padających wystrzałów odstępowali księza od swych pacjentek. Petra była dziewiąta z rzędu; już się zbliża na nią kolej: piąta, szósta,

siódma już padła w swój grób, albo drga jeszcze nad nim. Już księżka Matagordę odrywają od Petry.

— Bądź zdrów, ojcie Baltazarze Palarea! krzyknie Petra, rzucając papier obciążony piaskiem pod nogi księcia Murviedro.

— Petra Camara! Petra Camara! zawołało trzydzieści tysięcy ludu.

Wtém oficer zakomenderował: *fuego!*

Petra Camara baletniczka padła, przesztyta siedmią kulami.

Nazajutrz don Ramon de las Risueltas, księżę Murviedro wpadł w obłąkanie i chciał sobie życie odebrać; ale mu królowa przesłała order złotego runa, i to go wyléczyło z obłąkania i rozpaczy.

Ś L I M A K I.

Pod tém ogólném nazwiskiem rozumiemy za-
wyczaj w mowie potocznej wszystkie stworzenia
mające ciało miękkie, zawsze wilgotne, wzbudza-
jące pewien rodzaj obrzydzenia. Rzeczywiście tru-
dno powiedzieć aby mięczaki same przez się
sprawiały miłe wrażenie, ale za to skorupy służące
im za schronienie są przedmiotem ciekawości i
ozdobą tak mieszkań prywatnych, jako i gabine-
tów zoologicznych. Owe muszle tak zadziwiają-
ce pięknnością kolorów i różnaitością kształtów, o
nabytcie których tyle nieraz się staramy, są mieszka-
niem mięczaków morskich, ważnych ze względu na
użytki i dlatego téż lepiej poznanych. Lecz wiele
rodzajów tych zwierząt żyje wyłącznie tylko na
lądzie; są to w ogóle drobne i nie tak piękne
stworzenia, lecz równie ważne a przynajmniej bar-
dziej nas obchodzące z tego względu, że mieszka-
jąc na polach i w ogrodach, żywią się roślinami
które dla siebie uprawiamy i znaczne czynią szko-
dy, skoro liczba ich wzrośnie.

Do takich lądowych mięczaków należy ślimak
właściwy, tak przez naturalistów nazwany od sko-
rupy, która jest spiralnie coraz wężiej do góry
zwinęta. Skorupa ta przymocowana jest do ciała,
i zwierzę zawsze ją nosi na sobie. Ciało jego ma
kształt mysmukły, podłużny, opatrzone jest dwie-
ma parami macków (zwykle rogami zwanych),
z których górna jest dłuższa i ma na końcach osa-
dzone oczy. Nogi, to jest mięsiste mięskuly, służą-
ce zwierzęciu do poruszania się, są od spodu płas-
kie, i zmoczone szczególną kleistą wilgocią, któ-
rą ślimak pozostawia na liściach i pniach, i która
tworzy owe srébrzysto-białe, przezrocyste krésy,
oznaczające jego przejście. Ciało tych zwierząt
wchodzi całkowicie w skorupę, i niektóre ga-

tunki zupełnie się w niej zasklepiają, jak np. śli-
mak *jadalny* (*Helix pomatia*).

Jestto największy ze ślimaków lądowych i wa-
żny ze względu na użycie, którego rodzaj samo na-
zwisko wskazuje. Ma on skorupę kulistą, grubą, ko-
loru czerwonawo lub rudawo-brunatnego, rysami
poprzecznymi oznaczoną. Ciało żółtawo-szare, mac-
ki bledsze, podeszwę rozszerzoną. Skrętów pięć,
od środka ku obwodowi coraz większych; otwór
skorupy znaczny. Gatunek ten zimuje pod mchem
lub ziemią i zamyka się wtedy pokrywką wapienną
twardą, brudno-białego koloru, odstrony zewnętr-
nej nieco wypukłą. Ślimak jadalny mieszka po
ogrodach i polach, chętniej w okolicach leśnych i
górzystych. W całej Europie dosyć jest pospolity;
i u nas nierzadko napotkać go można, osobliwie
w stronie południowej kraju. W wielu okolicach
bywa uważany jako wyborny pokarm, szczególnie
w krajach nad Dunajem położonych, gdzie nawet
stanowi ważny przedmiot handlu i hoduje się w o-
sobnych, wyłącznie na to przeznaczonych ogro-
dach.

Na obok dołączonej tablicy przedstawiony jest
bardzo pospolity europejski gatunek, nazwany śli-
makiem *ogrodowym* (*Helix hortensis Müll*). Bywa
on, jak figury okazują, w nadzwyczaj licznych od-
mianach, zależących nietylko na zmianie kolorów
skorupy, ale in na różnaitej liczbie ciemnych pasów.
Możnaby dziś do trzydziestu odmian naliczyć, lecz
my zastanowimy się tylko nad najczęściej spoty-
kanemi. Odmiany te w różnych okolicach rozma-
icie są rozłożone, tak iż niektóre z nich w jednych
miejscowościach do najpospolicznych, w drugich
do najrzadszych należą. Najglówniejszą cechą śli-



maka ogrodowego jest biała krawędź, czyli brzeg wywinięty otworu skorupy, chociaż w okolicach Stutgartu znajdują się najczęściej egzemplarze z ciemniej lub jaśniej żółtą skorupą. Drugim charakterystycznym znakiem jest pięć ciemnych, spiralnie zwijających się prążków, które przecież w wielu odmianach ulegają modyfikacyom. Dwa z nich bowiem lub więcej, a nawet wszystkie pięć niekiedy, łączą się razem, tworząc jeden szeroki pasek. Pasek ten pokrywa czasem całą powierzchnię, tak iż prawdziwego koloru skorupy prawie nie widać, lub też staje się wązkim, a nawet zupełnie ginie. Najpospolitszą barwą ślimaka ogrodowego jest czerwono-brunatna, przechodząca niekiedy w różową, lub też w żywo czerwoną. Ubarwienie prążków również znacznie się zmienia, bywa bowiem zupełnie czarne, czarno-brunatne, czerwone lub żółto-brunatne. Zdarza się także napotkać egzemplarze z prążkami przezroczystymi i jaśniejszemi aniżeli tło skorupy. Niekiedy brzeżki skrętów obwiedzione są pięknym kolorem różowym, co nadaje całemu ślimakowi bardzo przyjemne wejście.

Ślimak ogrodowy występuje w bardzo wielu okolicach razem z drugim gatunkiem, tak zwanym ślimakiem *leśnym* (*Helix nemoralis*, L.). Oba te gatunki ludzie nienaukowi uważają za jeden, chociaż znaczne pomiędzy nimi są różnice; leśny bowiem stale jest większy aniżeli ogrodowy, tak iż największe skorupy ostatniego, za ledwie mogą się porównać z najmniejszymi pierwszego. Ogrodowy ma białą krawędź otworu skorupy, gdy tymczasem u leśnego jest on czerwono-czarny. Co do odmian, te w obu gatunkach są nadzwyczaj liczne, a może nawet w ślimaku leśnym liczniejsze; jednak egzemplarze z prążkami przezroczystymi nigdy jeszcze napotkane nie były. Same zwierzęta mniej pewne przedstawiają różnice, kolor obu od jasno-żółtego, do ciemno-szarego się zmienia.

Trzecim, również mieszanym czasem z poprzedzającymi, gatunkiem jest ślimak *krzewowy* (*Helix fruticum* Müll.). Ten jednak łatwo daje się odróżnić, ma bowiem skorupę wgłębioną, to jest posiadającą otwór osiowy. Przymiotem skorupa jego jest dosyć cienka, pół przezroczysta, biała, szara, lub brudno-różowa, jednostajnie zafarbowana i rzadko bardzo ozdobiona prążkami. Samo zwierzę w różowej skorupie, jest zazwyczaj różowo-brunatne, w białawej, żółte lub koloru mięsnego, i ma na sobie czarne lub czarno-niebieskie plamki, które

przez skorupę nawet doskonale widzieć się dają. Gatunek ten zamieszkuje szczególnieś środkową Europę.

Ślimak ogrodowy, jeżeli się gdzie znajduje, to zawsze w znacznej liczbie; najłatwiej napotkać go można w liściastych lasach, w młodych zaroślach, po ogrodach, na pniach drzew, na płotach lub w chróście. Lecz jakkolwiek wszędzie w tych miejscach przebywa, przekłada jednak pewne tylko drzewa i krzewy. W okolicach Stutgartu najczęściej daje się widzieć na krzakach berberysowych, lecz także na agrecie, porzeczkiach i malinach przebywa. Żółte, z pięć razy prążkowaną skorupą trafiają się szczególnieś w ogrodach, jednostajnie różowo-brunatne w wilgotnych lasach, odmiana zaś z połączonemi prążkami (jaką przedstawia ślimak wyobrażony na środku tablicy od lewej strony, czołgający się na kamieniu) napotykaną bywa w mieszanych liściastych lasach. Lecz taki rozkład odmian nie wszędzie jest jednakowy i w wielu okolicach bywa wprost przeciwny.

Powszechnie znaną jest powolność ślimaków z jaką odbywają wędrówki z miejsca na miejsce; dlatego też, skoro kilkanaście egzemplarzy jakiej odmiany osiadzie przypadkiem gdziekolwiek, żyje tam ciągle, tak iż po kilkunastu nawet latach w tém samym miejscu napotkać je można w znacznej massie, jeżeli tylko nieprzyjazne warunki nie zmniejszą ich liczby lub nie wytepią ich zupełnie.

W wilgotnej i chłodnej porze, szczególnieś rano kiedy dopiero co opadła rosa pokrywa rośliny, ślimaki są najzwawszemi, lecz w miarę zbliżającego się ciepła, coraz bardziej tracą swoją ruchliwość. W gorących południowych godzinach opadowywa je zupełna bezwładność, i wtedy, schowane w swojej skorupie i przyczepione do spodniej powierzchni liścia, lub też między kamieniami, a nawet pod ziemią, czekają dopóki nadchodzący wieczór nie wyrwie ich z tego odrętwienia. Żywią się krzewami i roślinami, ale dziko rosnąciami, i w uprawianych niewielkie czynią szkody; z tego też powodu nie są bardzo niebezpiecznymi dla ogrodów, a nawet niebrzydkie kolory ich skorup w części je upiększają.

Biędne te i bezbronne stworzenia mają wielu nieprzyjaciół. Nie licząc człowieka, który nie pozwala im zbyt wiele się rozmnażać, z pomiędzy zwierząt ssących lis i niektóre inne mięsożerne, a z pomiędzy ptaków szczególnieś gatunki drapieżne używają ich na pokarm, po skruszeniu cienkiej

skorupki. Z pomiędzy owadów najwięcej przyczyniają się do zmniejszenia ich liczby niektóre większe szczypawki (Carabus), przed którymi in-

czniej obronić się nie mogą, jak tylko schowaniem w skorupę.

POSĄGI

MARSZAŁKA GÉRARD I BARONA LARREY.

Pierwszy z tych dwóch pomników nowoczesnej sztuki rzeźbiarskiej (których wierne wyobrażenie podajemy tu naszym czytelnikom), dłuta pana Karola Cordier ma być wkrótce wzniesiony na jednym z placów publicznych miasta Verdun, i został wykonany ze składki dobrowolnej współobywateli dostojnego marszałka. Przedstawia on Gérard'a w mundurze marszałkowskim, jako naczelnego wodza wyprawy antwerpskiej. Dzieło to, wystawione w roku zeszłym na polach elizejskich, zwróciło na siebie powszechną uwagę znawców, a lubo niektórzy zarzucają mu pewną ociężałość układu, sumienne jednak wykończenie stawia je w rzędzie znakomitszych utworów tegoczesnej rzeźby.

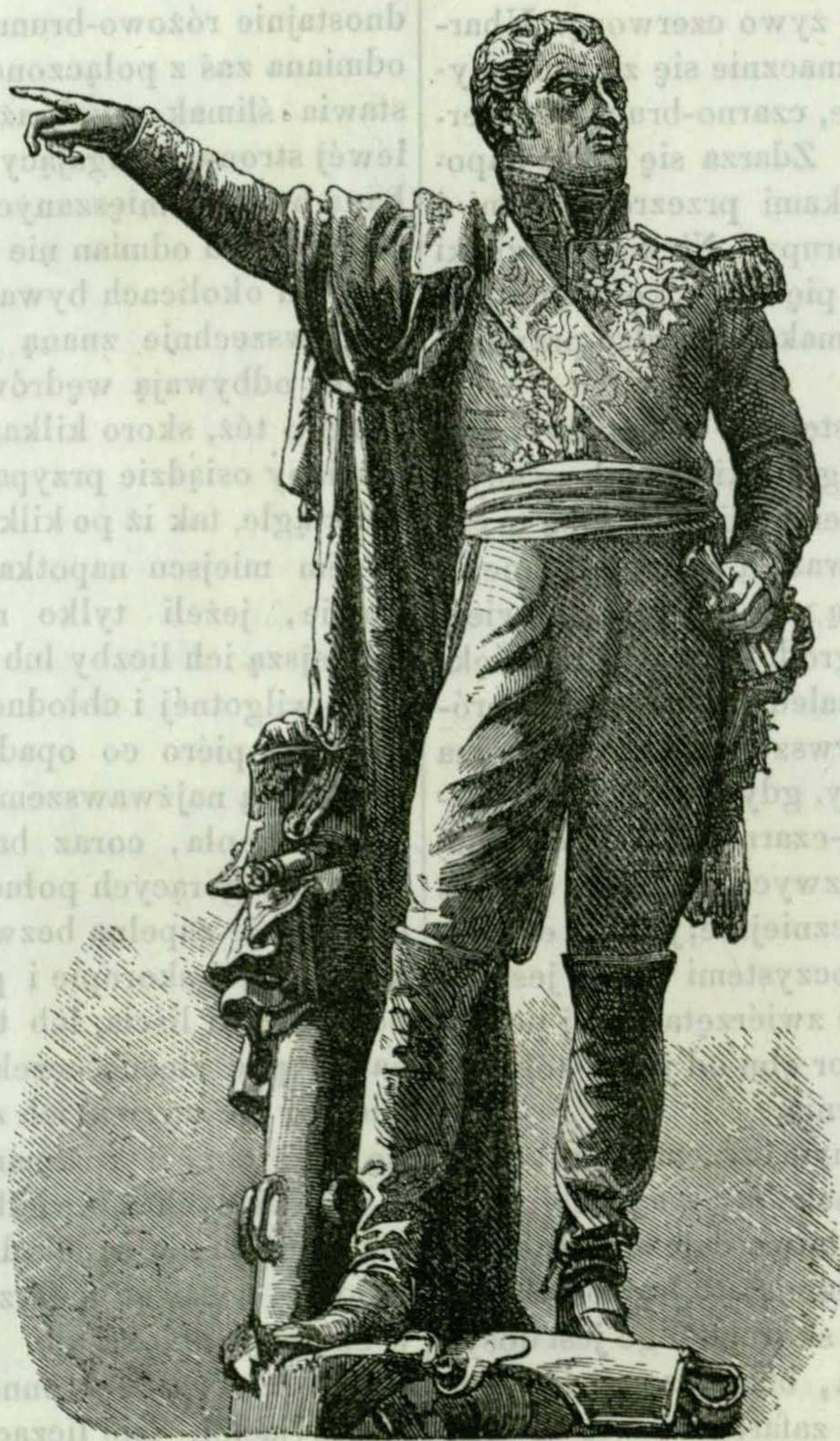
Posąg barona Larrey, naczelnego chirurga armii francuskiej za czasów Napoleona I, przyozdabia obecnie szkołę lekarską w Paryżu. Jest to dzieło pana Robinet, wykonane z talentem cechującym

wszystkie prace tego artysty, chociaż pod względem akcesoryjów traktowane trochę niedbale.

Rzeźbiarzowi służyło niezaprzeczone prawo odziania posągu Larrey'a mundurem wojskowym; powinien był jednak ukryć jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej w części, ogromny pałasz zawieszony przy jego boku, nadający mu w oczach widza nieznanego powołania barona pozór męża skorego raczej do zadawania ran, jak do leczenia onych.

Wspomniawszy o posągach wzniesionych ku uczczeniu tych dwóch znamienitości, których udział w wojnach pierwszego cesarstwa francuskiego tyle był przeważny, uznajemy za stosowne przypomnieć czytelnikom Księgi Świata główne wypadki ich życia.

Maurycy Stefan Gérard, marszałek i par Francji, ur. się 4 kwietnia 1773 r. w Danvillers w departamencie Mozy (Meuse). Roku 1791 wstąpił jako ochotnik do armii północnej, i wal-



Marszałek Gérard.

czył po raz piérwszy w bitwie pod Fleurus, pod dowództwem Jourdan'a. W sześć lat niespełna został kapitanem w trzydziestój liniowej pół-brygadzie i adjutantem Bernadotte'a, któremu towarzyszył w kampanii nadreńskiej i we Włoszech. Po zawarciu pokoju w Campo-Formio, w takimże charakterze pojechał z Bernadotte'm do Wiednia, i tam w jakiejś zamieszce ulicznej uratował mu życie.

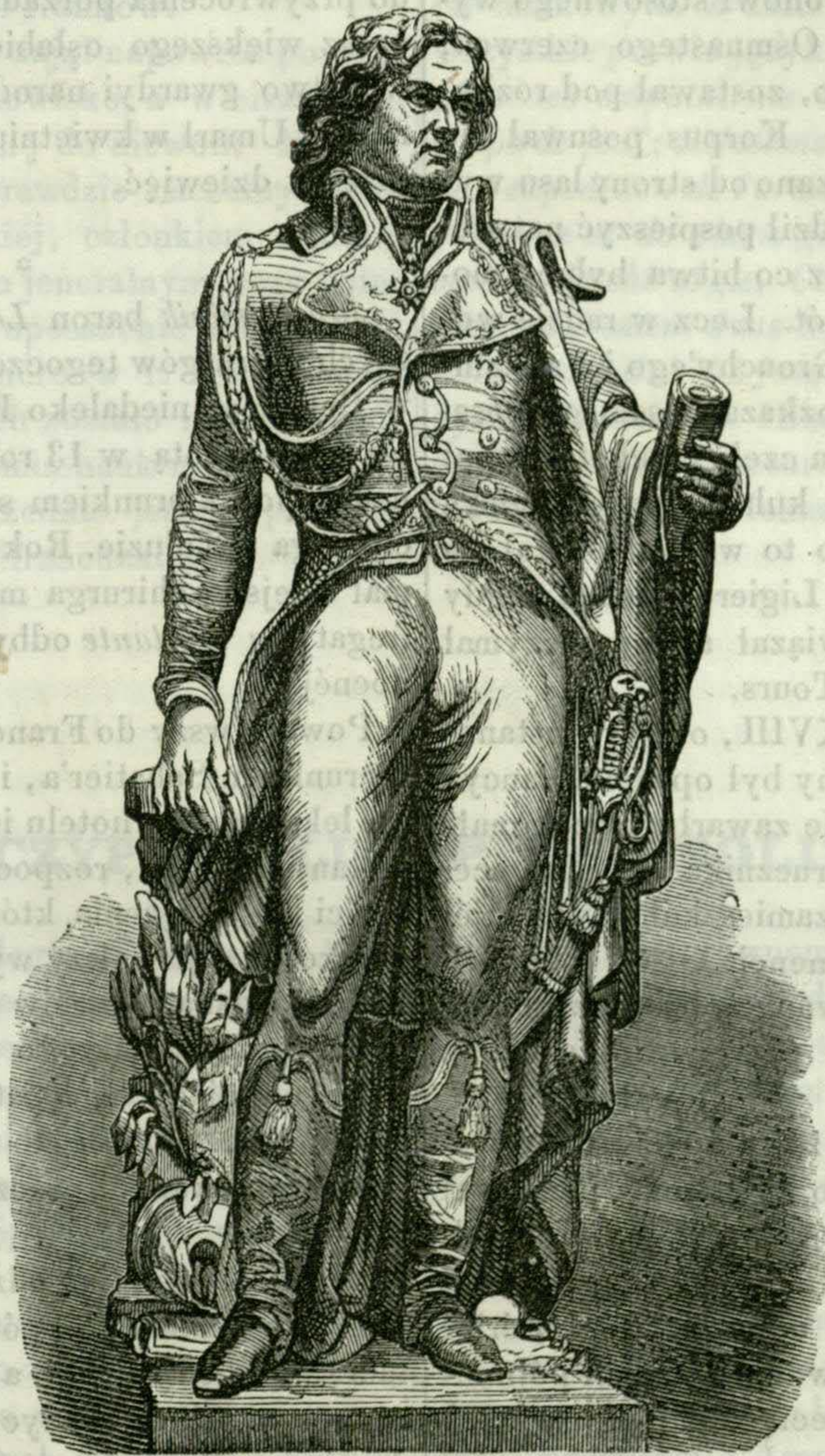
Posunięty na pułkownika, wziął udział w bitwie pod Austerlitz, i ciężko raniony, na placu boju mianowany został kommandorem legii honorowej. W stopniu już generała brygady, odbył kampanię pruską z r. 1806, i w pamiętnej bitwie pod Wagram dowodził jazdą saską, a lubo cesarz niekontent był z jej natarcia, przyznał jednak iż Gérard sumiennie dopełnił swój powinności.

W latach 1810 i 1811 walczył w Hiszpanii, a powróciwszy do Francji, przeznaczony został do armii gotującej się na wyprawę 1812 r. do korpusu piérwszego, któremu przewodniczył Davoust. Pod Smoleńskiem odznaczyl się w oczach cesarza, a pod Borodinem, w miejsce ранego Gudin'a, dowodził trzecią dywizją i wywalczył sobie stopień generała dywizyjnego. Pod Berezyną z częścią korpusu Ney'a zasłaniał przejście armii, i trafnością rozporządzeń od ostatecznej ocalił ją zagłady. Gdy po odjeździe Murat'a wice-król włoski Eugeniusz objął naczelne dowództwo niedobitków wojska francuzkiego, Gérard, przewodniczą-

cy straży tylnej, zasłaniał jego odwrót od brzegów Wisły aż do Elby.

Przy rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich w roku 1813, dowodził dywizją jedenastego korpusu pod Macdonaldem, i walczył na czele jej pod Budziszynem (Bautzen). W nieszczęśliwej dla Francuzów bitwie nad Katzbach dosyć niebezpiecznie raniony, ustąpić musiał z placu bitwy. Zaledwo wylęczony powrócił w szeregi, gdy drugiego dnia bitwy pod Lipskiem ciężką znów w głowę otrzymał ranę. Udał się do Paryża, i chociaż mocno jeszcze osłabiony, z rozkazu cesarza objął tam dowództwo dywizyj odwodowych, które w Paryżu tworzyły się z nowo-zaciężnych żołnierzy.

W kampanii r. 1814 aż do ostatniej chwili okazywał mężstwo i poświęcenie bez granic. Zawsze prawie w utarczkach gromił wojska nieprzyjacielskie, lecz dla braku sił dostatecznych nie mógł korzystać ze zwycięstwa. Do najświetniejszych jego czynów należy wytrwała obrona mostu przez rzekę Aube w bitwie pod Laro-thière (30 stycznia), której zaniechał dopiero o północy, na wyraźny rozkaz cesarza. Pod Montereau (18 lutego) Francuzi od rana już walczyli bohater-ko ale bezskutecznie, gdy Gérard, objąwszy dowództwo z rozkazu Napoleona, zmienił nagle plan bitwy, rzucił się na nieprzyjaciół z niepowstrzymanym zapędem, odparł ich i znaczne zdobył łupy. Po abdykacji Napoleona, Gérard otrzymał tru-



Baron Larrey.

dne zlecenie ściągnięcia załogi z Hamburga, poczem marszałek Suchet powierzył mu inspektorstwo jeneralne piątej dywizji i dowództwo nad obozem w Belfort. Powrót Napoleona z Elby powołał go na nowo pod chorągwie cesarskie. Na czele czwartego korpusu armii, 16 czerwca rozstrzygnął wygraną pod Ligny, za co miał przyrzoną buławę marszałkowską, i tylko klęska waterlańska nie dozwoliła Napoleonowi stosownego wygotować postanowienia. Ośmnastego czerwca, w dzień bitwy pod Waterloo, zostawał pod rozkazami marszałka Grouchy. Korpus posuwał się drogą ku Vavre. Gdy usłyszano od strony lasu wystrzały armatnie, Gérard radził pospieszyć natychmiast w tym kierunku, przez co bitwa byłaby może zupełnie inny wzięła obrót. Lecz w radzie wojennej przeważało zdanie Grouchy'ego i Vandamme'a, opierających się na rozkazach samego cesarza. W chwili gdy Gérard na czele piechoty chciał wtargnąć do wioski Bielge, kula nieprzyjacielska przeszła mu piersi. Mimo to wszakże kazał się przenieść w ślad wojska za Ligierę (Loirą), a gdy marszałek Macdonald rozwiązał armię, otrzymał pozwolenie leczenia się w Tours.

Za powrotem Ludwika XVIII, objęty postanowieniem lipcowym, zmuszony był opuścić Francję i udał się do Brukselli, gdzie zawarł związek małżeński z córką jeneral-porucznika do Valence. Ułaskawiony w roku 1817, zamieszkał w wiejskiej swjej posiadłości w departamencie Oise. W latach 1822 i 1827 obrany deputowanym, bronił z godnością karty i praw narodu przeciw roszczeniom ultra-rojalistów.

Śród takich okoliczności zastała Gérard'a rewolucya lipcowa 1830 roku. Po katastrofie, piastował przez kilka miesięcy ministerstwo wojny. Ludwik Filip mianował go marszałkiem, a następnie w r. 1832 parem Francji. Pod ministerstwem Périer (w sierpniu 1831) objął dowództwo armii północnej, i na jej czele w przeciągu dni 13 wyparł Hollendrów z Belgii.

Gdy w rozstrzygnięciu sprawy belgijskiej mocarstwa zachodnie przyznały Antwerpią królowi Belgów, Francya zobowiązała się postanowienie to wykonać siłą oręża, i skutkiem tego marszałek Gérard 15 listopada 1832 r. wkroczył na nowo do Belgii. Po 24 dniowym oblężeniu i bombardowaniu, waleczny obrońca cytadelli antwerpskiej, jeneral Chassé, podpisał kapitulacyą (23 grudnia).

Przy zmianie ministerstwa w lipcu 1834 roku

Gérard objął na nowo ministerstwo wojny, lecz zawiadywał niem tylko do 29 października tegoż roku. Po śmierci księcia Treviso r. 1835 został wielkim kanclerzem legii honorowej, a po marszałku Lobau naczelnym dowódcą gwardyi narodowej w departamencie Sekwany (11 grudnia 1838 r.). W czasie rozruchu dnia 12 maja 1839 r. energiczne jego wystąpienie głównie się przyłożyło do przywrócenia porządku. Roku 1842, z powodu coraz większego osłabienia wzroku, odstąpił do dowództwo gwardyi narodowej jenerałowi Jacqueminot. Umarł w kwietniu 1852 r., mając lat siedmdziesiąt dziewięć.

* * *

Jan Dominik baron Larrey, jeden z najsłynniejszych chirurgów tegoczesnych, urodził się r. 1766 w Beudéan niedaleko Bagnères de Bigorre. Zostawszy sierotą w 13 roku życia, odbył pierwsze nauki pod kierunkiem swego stryja, znakomitego chirurga w Tuluzie. Roku 1787 w konkursie otrzymał miejsce chirurga marynarki, i na pokładzie fregaty *la Vigilante* odbył podróż do Ameryki północnej.

Powróciwszy do Francji, kształcił się dalej pod kierunkiem Sabatier'a, i otrzymał miejsce drugiego lekarza przy hotelu inwalidów. Roku 1793 powołany do armii, rozpoczął szereg czynów gorliwości i poświęcenia, które mu w sercach przyjaciół ludzkości najtrwalszy wystawiły pomnik. Wszystkie bojowiska z czasów dyrektoryatu, konsulatu i cesarstwa widziały go wylanego całkiem na posługę cierpiących, opatrującego rannych pośród ognia nieprzyjaciół, lub odwożącego ich za pomocą organizowanych przez siebie środków transportowych.

Roku 1794 wziął udział w wyprawie przeciw Korsyce. Zamieszkał później w Tulonie, i założył tam szkołę chirurgów, a w r. 1796 został profesorem przy szkole medyczno-chirurgicznej w Val-de-Grace. Bonaparte r. 1797 powołał Larrey'a do Włoch, a w r. 1798 zabrał go z sobą do Egiptu, gdzie armii francuzkiej niezmiernie wyświadczył usługi. Roku 1805 mianowany inspektorem jeneralnym służby lekarsko-wojskowej, we wszystkich kampaniach nieodstępnie towarzyszył Napoleonowi, który téż w testamencie swoim nazwał go najcnotliwszym z ludzi i zapisał mu 100,000 franków.

Nietylko od cesarza Francuzów, lecz także i od obcych monarchów Larrey otrzymywał liczne do-

wody łaski i uznania. Szczególną jego zasługę stanowi urządzenie w armii francuskiej ruchomych ambulansów do odwożenia rannych z pola bitwy, który to środek, praktycznie obmyślony i energicznie wykonywany, krociomnieszczęśliwych przyniósł ulgę w cierpieniu. Ubóstwiany przez armią całą, po bitwie pod Eylau został komandorem legii honorowej, a po bitwie pod Wagram baronem, z pensją dożywotnią 3,000 franków.

W czasie stu dni Larrey zajął napowrót poprzednie swoje przy armii stanowisko, a w bitwie pod Waterloo raniony, dostał się do niewoli. Po drugiej restauracyi został wprawdzie naczelnym chirurgem gwardyi królewskiej, członkiem ogólnej rady lekarskiej i chirurgem jeneralnym przy hotelu inwalidów, ale utracił uposażenie dożywotnie 3,000 franków, które dopiero w r. 1818 osobną uchwałą izby deputowanych zostało mu powróconem. W roku 1820 akademia nauk mianowała go swoim członkiem, a poprzednio jeszcze przyjęty został do grona instytutu francuskiego. W roku

1836. złożył urząd swój przy hotelu inwalidów, nie przestając jednak być czynnym w innych gałęziach administracyi lekarskiej. Odbyszy w r. 1842 podróż inspekcyjną do Afryki, zaniemógł w powrocie, i 20 lipca tegoż roku, po krótkiej chorobie, zakończył w Lyonie żywot swój pełen zasługi.

Imię Larrey'a chlubnie jest znanem w świecie naukowym. Z dzieł jego, które przełożono na wszystkie prawie języki europejskie, wymieniamy: „*Sur les amputations des membres à la suite des coups de feu*”; *Relations historiques et chirurgicales de l'expédition de l'armée de l'Orient*; *Mémoires de médecine et de chirurgie militaire*; *Recueil de mémoires de chirurgie*; *Clinique chirurgicale exercée particulièrement dans les camps et les hôpitaux militaires, depuis 1792 jusqu'en 1829*. Brat jego, Klau-dyusz Franciszek Hilary († 1819 w Nismes), i stryj († 1827 profesorem w Tuluzie), znakomitej także w zawodzie lekarskim używali sławy.

RZECZYPOSPOLITE PERU I BOLIWIA.

Liczne łańcuchy równoległe Kordyllerów Ameryki południowej zamykają częstokroć płaskowzgórza znacznego wyniesienia, od których pasma górzyste ciągną się w kierunku wschodnim. Ponieważ najwyższy z tych łańcuchów leży bliżej zachodu, przeto ogólny spadek Kordyllerów stromszy jest od strony oceanu Spokojnego aniżeli od Atlantyku. Nadbrzeżne stoki zachodnie, w szerokości od pięciu do siedmdziesięciu mil geograficznych, po największej części mało-żyznemi są stepami, a w wyższym jeszcze stopniu nieurodzajność tę napotyamy w krajach leżących na zachód Cordilleras de los Andes, jak niegdyś wyłącznie zwano łańcuch od północy ku południowi przerywany Ecuador, Peru, Boliwią i Chile¹⁾. Dlatego też pobraża tych krajów niewiele są rozwinięte, a w stosunku do rozciągłości swojej daleko mniej posiadają dobrych portów jak brzegi wschodnie, wzdłuż oceanu atlantyckiego. Payta, Lambayeque,

¹⁾ Dziś pod nazwiskiem Andów rozumiemy zbiorowo wszystkie łańcuchy górzyste Ameryki południowej.

Callao i Arica głównemi są przystaniami w Peru; Boliwia zaś posiada jeden tylko, i to dosyć lichy, port, Cobija czyli Puerto de la Mar. Najżyźniejsze, najbogatsze, leczrazem najmniej znane, prowincye rzeczypospolitych Peru i Boliwii tworzą płaskowzgórza wschodniego stoku Kordyllerów, położone na południe rzeki Maranon czyli Amazonki i graniczące z Brazylią. Gdy z czasem na Maranonie ustali się żegluga parowa, co niezawodnie nastąpi w niedalekiej przyszłości, wtedy potężna ta rzeka stanie się drogą łączącą Europę i całą ludzkość wschodnią z Ameryką południową. Krainy nad południową częścią oceanu Spokojnego znacznie przez to zostaną zbliżone do naszej części ziemi.

W roku 1777 Hiszpania dokonała nowego podziału swych posiadłości amerykańskich. Powstało ztąd pięć wice-królestw: Nowa Hiszpania czyli Meksyk, Peru czyli Lima, Nowa Granada w połączeniu z Quito (Ecuador), Rio de la Plata i Buenos Ayres; nadto ośm jeneralnych kapitanatów: No-

wy Meksyk, Guatemala, Chile, Caracas (Wenezuela), Kuba, Portorico, Luizyana z Florydą i Domingo. Według tego podziału administracyjnego, po oderwaniu się późniejszym od Hiszpanii, powstała większa część niezawisłych rzeczypospolitych południowo-amerykańskich, z wyjątkiem prawie tylko Peru i Boliwii.

Teraźniejsza Boliwia, mająca rozciągłości około 350,000 mil kw. angielskich, z niewielką stosunkowo i złożoną po większej części z Indyan ludnością, którą jedni podają na 800,000, inni na półtora miliona, należała aż po rok 1778 do vice-królestwa Peru czyli Limy. Przyłączono ją potem do Buenos-Ayres, z zachowaniem jednak nazwiska wyższego Peru. Bolívar, z przydomkiem *el Libertador*, oswobodziciel Ameryki środkowej od jarzma hiszpańskiego, ogłosił ją w r. 1825 państwem niezależnym, i nadał jej swoje nazwisko. Odsobnienie to od Peru, z którym Boliwia, dla własnej korzyści, powinna była pozostać politycznie złączoną, stała się w dalszym czasie powodem częstych wojen i próżnego krwi rozlewu. Linia odgraniczająca Peru od Boliwii ciągnie się wzdłuż Rio Desaguadero i jeziora Titicaca. O rozciągłości i ludności Peru podania także bardzo są rozmaite i dowolne: najpowszechniej jednak tej rzeczypospolitej naznaczają powierzchnię 600,000 mil kw. angielskich i 1,400,000 ludności: Indyan, Negrów, plemieńców kaukaskich i mieszanów, po większej części sobie nienawistnych.

Walka o niezawisłość kolonij hiszpańskich odniosła w Peru ostateczne swe i stanowcze zwycięstwa. W bitwie pod Junin dowodził sam Bolívar, w bitwie pod Ayacucho adjutant jego, generał Sucre. Odtąd Hiszpania przestała być straszną dla niepodległości rzeczypospolitych amerykańskich, ale groziła im swawola i samolubstwo oswobodzonych nagle niewolników. Wzajemne współzawodnictwo i niechęć wynikająca ze stosunków miejscowych wywołały rozdwojenie i walki wewnętrzne, które młodym tym państwom zadały rany dziś jeszcze nie ulęczone. Podział dawnego vice-królestwa Peru na dwa osobne kraje, Peru i Boliwią, nastąpił wkrótce po bitwie pod Ayacucho. Zwycięzki generał Sucre przekroczył rzekę Desaguadero, stanowiącą dotąd granicę między wyższym i niższym Peru, i zwołał do Chuquisaca zgromadzenie stanów prawodawczych. To właśnie zgromadzenie, zgodnie z życzeniem Bolíwara, uchwaliło niepodległość wyższego Peru. Najwyższą władzę

otrzymał dożywotnie oswobodziciel Bolívar; zastępcą jego obrano generała Sucre. Ułożona przez kongres (1826 r.) konstytucja otrzymała zatwierdzenie Bolíwara, który sam udał się do Boliwii i poczynił tam wiele pożytecznych ulepszeń, mianowicie w systemie wychowania.

Generał don Ramon Castilla przeważny także wziął udział w wojnie o niepodległość peruańską. Od r. 1830 we wszystkich zamieszkach wewnętrznych widziemy go stojącego po stronie władzy legalnej. W wojnie domowej z r. 1834 trzymał za prezydentem Orbegoso, dopóki ten dobrowolnie nie poddał się rządowi boliwskiemu i jego prezydentowi, Santa Cruz. Wtedy Castilla udał się do Chile, i połączywszy się tam z niechętnymi narzuconej władzy Santa Cruz'a, zdołał ją obalić, i sam obrany został prezydentem. Pod jego zarządem (1845 — 1851) rzeczpospolita peruańska nieznaną dotąd zakwitła pomyślnością. Castilla sumiennie wykonał uchwaloną w Huancayo 10 listopada 1839 r. konstytucję. Według tego prawa zasadniczego władzę wykonawczą piastuje prezydent, obieralny na lat sześć i pobierający pensyi 40,000 piastrow. Władza prawodawcza należy do kongresu podzielonego na dwie izby: deputowanych i senatorów. Izba deputowanych co dwa lata odnawia się w jednej trzeciej części, izba senatorów co cztery lata w połowie. Obie izby, powstałe z bezpośrednich wyborów, zbierają się tylko co dwa lata, i to na krótki przeciąg czasu. Prezydent ma sobie przydaną radę stanu, złożoną z piętnastu członków obieralnych przez izby; jest to rodzaj nieustającego komitetu, który czuwa nad utrzymaniem konstytucji i ściśłym wykonywaniem prawa. Przewodniczący w radzie stanu, na przypadek nieobecności, choroby lub śmierci prezydenta, zastępuje go czasowo. Władza sądowa, ustanawiana także przez kongres, składa się z sądu najwyższego, z sądów apellacyjnych po miastach prowincjonalnych, z sądów pierwszej instancji i z sądów pokoju. Potrzeba nowego prawodawstwa uczuć się dała zaraz po wywalczeniu niepodległości. W tym celu utworzono komitet z prawników, który w przeciągu lat kilku wygotował i przedstawił kongresowi wypadek swojej pracy. Dzięki tym światłym usiłowaniom, Peru posiada dziś bardzo dobre kodeksy: karny, sądowy, cywilny i handlowy, za których podstawę posłużyło słynne prawodawstwo luizyańskie.

Panującą w kraju jest religia rzymsko-katolicka, i dotychczas nawet członkowie innych wyznań nie

mogą otrzymać prawa obywatelstwa. Lima jest stolicą arcybiskupa, pod którego zwierzchnictwem zostaje pięciu biskupów: w Trujillo, Chachapoyas, Ayacucho, Cuzco i Arequipa. Oprócz duchowieństwa świeckiego, znajduje się tu mnóstwo zakonników i zakonnice, na których utrzymanie, jak za czasów hiszpańskich, pobierana jest dziesięcina. Państwo całe dzieli się na 11 departamentów i 63 prowincyj, rządzonych w sposób centralistyczny. Na czele każdego departamentu stoi generał-gubernator, łączący w swój osobie władzę cywilną i wojskową.

Prezydent generał Castilla szczególną także zwracał uwagę na liczne ulepszenia jakich wymagała administracya rzeczypospolitej. Finanse przez długoletnie wojny domowe zostały podkopane i armia niepomiernie powiększoną. Marynarka zato była zaniedbaną, a zwłaszcza czuć się dawał brak paropływów. Dla usunięcia tych niedogodności, potrzeba było otworzyć krajowi nowe źródła dochodów, i zarazem postarać się o korzystniejszą eksploatacyą dawnych. Najważniejsze dziś miejsce w budżecie przychodowym Peru zajmuje guano, którego sprzedaż przenosi nawet zyski z kopalni srebra i merkuryuszu. Czysty dochód z guana czynił w ostatnich latach trzy do czterech milionów talarów hiszpańskich, a niema wątpliwości że znacznie się jeszcze powiększy.

Obszerne sprawozdanie przedstawione kongresowi przez generała Castilla przy złożeniu prezydentury (20 marca 1851), zawiera jasny i pocieszający obraz poczynionych w czasie zarządu jego ulepszeń. Bacność prezydenta zwróconą była głównie na zmniejszenie długu publicznego, który przed wojną o niepodległość wynosił już 13 milionów piastrów; późniejsze zaś potrzeby spowodowały zaciągnięcie w Anglii nowych pożyczek, pod bardzo uciążliwymi warunkami. Według układu prezydenta z wierzycielami (1849) dług czynny ustanowiono na 1,816,000 f. st., bierny zaś na 1,900,000 f. st., na których amortyzacyą budżet obejmuje po 9,500 funtów rocznie.

Skutkiem nieporozumień powstałych z wierzycielami angielskimi, prezydent Echenique, następcą Castilly, wysłał w roku 1853 swego ministra skarbu, Manuela de Mendiburu, do Europy. Mendiburu znegocyował w Londynie nową pożyczkę 13 milionów piastrów, z procentem 4½, i pokrył tym sposobem cały dług czynny państwa peruańskiego. Nieprzyjacielem jednak prezydenta powstawali na

ten środek finansowy, obwiniając go o nadużycie władzy, co stało się powodem ponowionych niesnasek, a w końcu upadku Echenique'a.

Generał Echenique, urodzony roku 1808, pochodzi ze znakomitej rodziny amerykańskiej, i był kolejno komendantem departamentów północnych, generałem brygady, radcą stanu, ministrem wojny i przewodniczącym w radzie stanu. Wszystko to wróżyło jaknajlepiej o przyszłych jego rządach, a pierwsze poselstwo jego (20 kwietnia 1851) nadzieje te utwierdziło. „Stopniowe zmniejszanie cel, mówił nowy prezydent, aż do osiągnięcia zupełnej wolności handlowej, oraz ściągnięcie obcych sił roboczych z Europy, powinno być teraz głównym naszym celem. Kraj nasz powinien korzystać z doświadczenia innych narodów, unikać dawnych błędów i chwycić się środków postępowych.”

W istocie rząd czynnie wziął się do dzieła. W roku 1853 z dwoma prywatnemi przedsiębiorcami zrobiono układ o dostarczenie w ciągu lat sześciu 13,000 kolonistów, z których każdy po przybyciu na miejsce otrzymuje 30 piastrów i kawał gruntu. Z rzecząpospolitą Chile zawarto traktat polityczny i handlowy; z Brazylią porozumiano się co do żeglugi na rzęce Amazonek, a z unią północno-amerykańską co do stosunków wzajemnego handlu. Dla podniesienia przemysłu i ożywienia ruchu wewnętrznego użyto wszelkich środków nowoczesnej cywilizacyi. Obok zakupu paropływów, rząd zajął się budową dróg żelaznych, z których jedna, łącząca Tacna z portem Arica, jest dziś na ukończeniu.

Kolej żelazna z Tacna do Arica jest prawie ważniejszą jeszcze dla Boliwii jak dla Peru. Ażeby z Boliwii dostać się do oceanu Spokojnego, trzeba przekroczyć Andy, co koszta transportu do tego stopnia podwyższa, iż tylko najcenniejsze przedmioty, jak szlachetne metale i kora chiny, mogą być tą drogą przeprowadzane. A jednak Boliwia jest jednym z najbogatszych krajów na świecie, i potrzeba jej tylko środków komunikacyi, aby nadmiar swoich płodów innym udzielała narodom. We wschodnich jej departamentach bawełna, trzcina cukrowa i tytoń rodzą się obficie bez uprawy, a liczne kopalnie czekają tylko maszyn i kapitałów europejskich, by przynieść plon nierównie bogatszy jeszcze niż w czasach panowania hiszpańskiego. Hiszpanie pracowali bez ładu, bez systemu i bez zachowania sposobów ubezpieczających ko-

palnie od zalania, a skoro tylko woda której dosięgła, natychmiast ją porzucali. Do przyczyn niedostatecznej eksploatacyi dawniejszej zaliczyć jeszcze wypada powstanie z roku 1781, wojnę między Hiszpanią i Anglią i nareszcie walkę o niepodległość. Rok 1804 sprowadził głód i zarazę; bogata prowincya Lipez zamieniła się w pustynią; z 90 hut Potosi zostało tylko 13, a i te jeszcze spalili później rojaliści, jako punkta obronne powstańców. W końcu pożyczki przymusowe i ogromne kontrybucye do reszty zniszczyły pracowitych górników i hutników. Komu wiadomo jak wielkich środków wymaga dzwignienie téj gałęzi przemysłu, w kraju gdzie niema już ani hut ani górników, ten dziwić się nie może nędznemu dotąd stanowi kopalń boliwskich i peruańskich.

Cerro de Potosi, olbrzymia góra ostrokągowa wzniesiona na 15,000 stóp nad powierzchnią morza, jest niezawodnie, nie wyjmując nawet Kalifornii, najobfitszym składem szlachetnych metalów na ziemi. Od czasu odkrycia aż po rok 1846 wydobyto ztamtąd summe 1,651,721,578 talarów hiszpańskich, a bogactwo kopalni i teraz bynajmniej się nie zmniejszyło. Dziś jeszcze sławna ta góra, pomimo że do eksploatacyi jej nie użyto ani jednej maszyny, ani jednego z licznych ulepszeń nowoczesnej nauki, dostarcza rocznie przeszło milion piastrow; a jednak Cerro de Potosi jest tylko punktem górującym pasma metalicznego, które równego sobie nie ma na świecie. Niemniejszej wazności w prowincyi Potosi są kopalnie Guariguari i Mochamarka, oraz kopalnie prowincyj Lipez, Chicas, Porco i Chayanta, od 60 lat zaniedbane i świeżo dopiero napowrót otworzone, z kąd w krótkim czasie wybrano summe 3,000,000 talarów hiszpańskich. Prowincya Arque znaną jest także z niewyczerpanych kopalń srebra, jak niemniej prowincya Oruro, która sama jedna podobno dostarczyła koronie hiszpańskiej 40 milionów piastrow, jako piąta część czystej produkcji swojej.

Niemniej bogatą jest rzeczpospolita i w złoto. Prowincye Chayanta, Copasica, Amayapampa, Chuita, Tacononi i Choquenta słyną z obfitości tego kruszcu, a niemniejszej podobno wydajności są płukarnie złota nad brzegami Rio San Juan w prowincyi Tarija. Pod Pomabamba odkryto ogromny obszar, w którego spulchnionej ziemi znajduje się mnóstwo bryłek złota. W departamencie Cochabamba złotodajne pokłady przyniosły już dotąd około 10 milionów piastrow. Rzeki

po lewej stronie wpadające do Beni wszystkie prawie toczą złoty piasek. Góra San Tomas w Chiquitos posiada żyły złota rozciągające się na 16 mil geograficznych, a dalej w krainie Guarayos leży Cerro de San Simon, z kąd jezuita niezmiernie dawniej ciągnęli zyski.

I taki kraj długo znajdował się w konieczności bicia lichéj monety. Piastry boliwijskie miały za ledwo połowę nominalnej swéj wartości, a wprowadzone massami do Peru, wiklały tam stosunki pieniężne. Rząd w Limie uzalał się że dobra moneta peruańska niknie w kraju sąsiednim i zostaje tam przebijaną na gorszą. Boliwia układem zawartym w r. 1847 zobowiązała się zaniechać tego falszerstwa i wycofać z obiegu swoje piastry; warunki te jednak nie zostały dopełnione, a pełnomocnika peruańskiego, domagającego się wykonania układu, wydalono z kraju w sposób dosyć nieokrzesany (marzec 1853). Wtedy prezydent Echenique obsadził port boliwijski Cobija, jako zakład dotrzymania ugody.

W tym samym prawie czasie ogłoszono w Limie list jednego z tamecznych mieszkańców, bogatego kupca Dominga Elias, w którym autor dowodził że przy zawarciu nowej pożyczki w Anglii licznych dopuszczono się nadużyć. Wyslanego do Londynu ministra skarbu Manuela de Mendiburu, całe otoczenie prezydenta, a pośrednio i jego samego pismo to obwiniało o szalbierstwo. Echenique nie ograniczył się na publiczném odparciu tego zarzutu, lecz kazał Eliasa wtrącić do więzienia. Oskarżyciel zdołał ujsć do Ecuador, a lubo kongres pochwalił wszystkie kroki prezydenta, ogólne jednak poruszenie przeciw niemu nie ustało.

Elias w końcu 1853 r. powrócił do Peru z dość licznym zastępem i podniósł chorągiew buntu. Kilka miast znaczniejszych przyłączyło się do powstania, na którego czele stanął wkrótce powszechnie poważany były prezydent, jenerał Castilla. Manifestem swym z 13 stycznia 1854 r. zarzucał on Echenique'owi nadużycia i zbrodnie stanu, z których ten dostatecznie oczyścić się nie mógł. Wygnani z kraju pod rządem dotychczasowym, wrócili teraz i przyłączyli się do powstania. Echenique robił największe wysilenia, i zdołał opierać się przeciwnikom przez rok cały. Dopiero krwawa bitwa pod La Palma, niedaleko Limy, (5 stycznia 1855) pozbawiła go władzy i zmusiła do ucieczki. Były prezydent rzeczypospolitej peruańskiej żyje teraz z kilką innemi pretendentami amerykańskimi

skiem i w Nowym Yorku, i czeka chwili w której będzie mógł zbrojnie powrócić do swój ojczyzny.

Wieczorem tegoż dnia w którym stanowczo odniósł zwycięstwo, „oswobodziciel”, jak teraz nazywają generała Castilla, przy radosnych okrzykach tłumu odbył wjazd do Limy, i wkrótce kraj cały poddał mu się bez oporu. Pierwszym środkiem administracyjnym nowego władcy, środkiem który stał się przyczyną przewrotu społecznego, było oswobodzenie niewolników. Echenique bowiem wydał dekret uwalniający tych niewolników,

którzy się za nim oświadcza; dla odjęcia więc przeciwnikowi téj pomocy, Castilla ogłosił zupełną emancypacją, przyrzekając w późniejszym czasie wynagrodzenie właścicieli ze skarbu publicznego. Wyzwoleni niewolnicy, skupiwszy się w bandy, zagrażają obecnie życiu i własności dawnych swych panów. Stronnictwo zwycięskie, podług zwyczaju miejscowego, bardzo nieuczyni obchodzi się ze zwyciężonymi. Gilotyna, tak brzmią ostatnie wiadomości z Limy, pracuje nieustannie, i wielu mieszkańców ucieka z nieszczęśliwego kraju.

ZAKŁADY ŻEGLUGI PAROWÉJ NA SOLCU

W WARSZAWIE.

PRZEZ

J. Kr. Pietraszka.

Wiadomo że Gdańsk z dawien dawna najważniejszym był punktem na brzegach morza bałtyckiego dla zbożowego handlu, czego najlepszym dowodem są cyfry list wywozowych wszelkiego gatunku zboża z pomienionego grodu, od r. 1660—1680, które nas przekonywają iż w przeciągu 20 letnim po 34,560 łasztów zboża odchodziło do Anglii, Hollandyi i Francyi. Że to zboże wyprawiano z Polski, nie podlega żadnej wątpliwości, albowiem plon zboża pruskich prowincyj zaledwie na własne ich potrzeby wystarczał. Widziemy też jak sama przyroda przeznaczyła, że tak się wyrazimy, prawo monopolu do wywozu zboża z prowincyj polskich trzem głównym rzekom: Wiśle, Pregłowi i Niemnu, a pomyslny stan Gdańska, Królewca, Elbląga i Memla zasadał się początkowo na niesłychanych korzyściach jakie Polska, w zamian za ogromny materyalny pożytek, do tak szczęśliwie położonych miast wносиła.

My obecnie, mając tylko Wisłę i jej poboczne główne rzeki na względzie, w niej upatrujem kardynalne źródło do odnowienia tych dawnych korzyści, przy środkach daleko sposobniejszych, bo tych nam dzisiaj dostarcza żegluga parowa.

W życiu i czynach narodów, powiada Brand-

städter ¹⁾, wielkie rzeki grały zawsze znakomitą rolę, pod względem politycznym i handlowym. Ileż to razy podczas dawnych wędrówek narodów wielka rzeka wstrzymywała dalsze ich pochody; ileż to razy w wojnach zręczne przejście rzeki stanowiło o losie armii, a nawet o losie narodu. Każdemu wiadomo jak wielkiej urodzajności staje się przyczyną łagodny wylew rzeki Nilu, ale też każdemu stoją na pamięci nadzwyczajne spustoszenia naszej Wisły, np. w roku 1813, przed kilką laty rzeki Odry, a w roku zeszłym Sekwany, Ligiery i Garony. Woda, ten rozhuwany żywioł, jakby szydząc z największych i najmoźniejszych dzieł i twórców człowieka, zamienia takowe w jedną chwilę w kupę gruzów, a często nie zostawia po nich najmniejszego śladu.

Dr. Teodor Tripplin, nasz ulubiony podróżopisarz, umiejący wybornie trafiać w słabostki serca ludzkiego, artykułem swoim: „O żegludze na rzekach królestwa polskiego” ²⁾ przekonał nas również o zdolnościach swoich hydrograficznych,

¹⁾ Dr. Franciszek Brandstädter, autor dzieła: Die Weichsel, historisch, topographisch, und malerisch beschrieben.

²⁾ Dziennik Warszawski z r. 1852, Nra. 278, 283, 297 i 347.

malując nam w nader przystępny sposób przywary naszych rzek i sposoby ich uregulowania, bez których żegluga integralnych postępów czynić nie może; a w chwili gdy to piszemy, dowiadujemy się iż p. Falkowski, inżynier zarządu komunikacyj lądowych i wodnych w królestwie polskiem, zabiera się do opisu Wisły, mając na względzie uregulowanie koryta téj rzeki. Znając zdolności i naukę p. Falkowskiego, mamy niepłonną nadzieję iż praca ta wykonaną będzie z wszelką naukową ścisłością, i że nam odsłoni niejedną prawdę, ukrytą przed naszymi oczyma. Rzeka Wisła należy do rzek splawnych europejskich pierwszego rzędu. Po Dunaju ona następuje, tak co do długości jak i szerokości. Łożyskojój, oczyszczone z przeszkód, a mianowicie pali, pni i kamieni odwiecznych, przedstawiałoby najkorzystniejsze do żeglugi warunki.

Pomimo jednak przeszkód przeciwnych bezpieczeństwu i postępowi żeglugi, w dniu 27 kwietnia 1848 roku, na zasadzie udzielonego przez radę administracyjną królestwa na imię p. Edwarda Guiberta, inżyniera z Francji, przywileju, zawartą została przed rejentem Noskowskim w Warszawie spółka handlowa pod firmą: *Andrzej hrabia Zamojski et Comp.*, wyłącznie mająca na celu zaprowadzenie i utrzymanie żeglugi parowej na rzekach splawnych królestwa ¹⁾.

Poczęcie się u nas regularnej żeglugi parowej, jakkolwiek na pierwszy rzut oka nie przedstawiało wielkich korzyści i zysków dla spółki, wszakże po głębszym rzeczy zbadaniu i studiowaniu, zapewniało przynajmniej widoki ballansowania wydatków z koniecznymi dochodami, jakich należało się spodziewać, oglądając się na brak komunikacyj lądowych z jednej strony, a mając na względzie niepewną i długiego czasu wymagającą komunikacją wodną galarami i berlinkami z drugiej strony. Przedsięwzięcie téż na tych zasadach oparte, wyrodzone w umyśle naczelnika spółki, powiodło się najzupełniej, bo żegluga parowa dzisiaj stanęła na niezachwianej podstawie i obudziła powszechne ku sobie współczucie, które drzemało w ukryciu, od chwili kiedy handel nasz dawny pochylił się do upadku. Za przykład dawnego handlu weźmy miasto Jarosław w Galicyi wschodniej nad rzeką Sanem, położone na

¹⁾ Obacz: Warunki pod jakimi An. hr. Zamojski i spółka zboże na swych statkach splawia i sprzedaż takowego ułatwia. Warszawa, 1852 r.

trakcie wodnym i lądowym, do którego i dzisiaj zawijają nasze statki i gabary z towarami kolonialnymi, a które dostarcza krajom nadmorskim niemało swoich produktów, jak to niżej obaczymy.

Kiedy Galicya stanowiła integralną część rzeczypospolitej polskiej, widziemy miasto Jarosław uposażone przywilejami handlowymi, prowadzące handel na lądzie i wodzie rozlicznymi produktami i artykułami przemysłowymi, a jego mieszkańców na dzielnych kupców i przemysłowców usposobionych. Jeszcze w 16 stuleciu kupcy z Włoch, Niemiec i ze Wschodu mieli tu stałe siedlisko, a dziejopisarz Piasecki, naoczny świadek tego tak ożywionego handlu, podaje nam jarosławskie jarmarki za najslawniejsze po jarmarkach frankfurckich, dodając że kupcy ze Wschodu, Niemiec i Włoch jarmarki te licznie odwiedzali, a szkodę w roku 1625 przez pożar w towarach poniesioną na 10 milionów złotych ocenia.

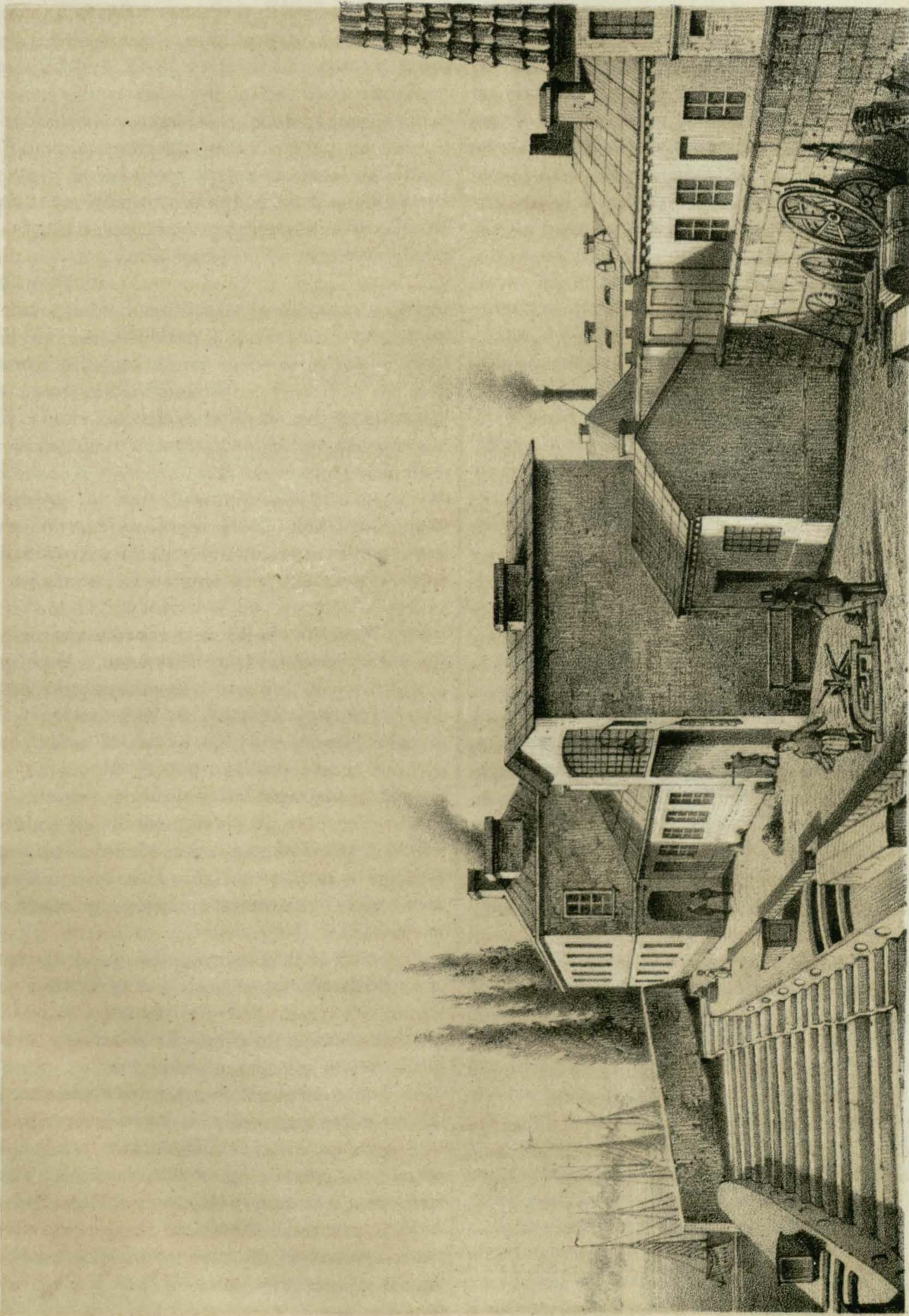
W roku 1650 uformowało się tutaj arcybractwo żeglugowe, pod nazwą: *archikonfraternii wodnej*, które budowało rozmaite statki i takowe sprzedawało, a przytém wino węgierskie, zboże i t. p. artykuły handlowe do Warszawy i Gdańska spławiało. Zysk téj spółki miał rocznie przeszło 6 tysięcy czerwonych złotych wynosić. Wykluczenie jednak obcych kupców z handlu miejskiego przez mieszkańców jarosławskich wyjednanę, przytém napady Szwedów i Kozaków, w końcu morowa zaraza i częste pożary, handel tego miasta przyprawiły o niepowetowane straty i upadek.

Dla rzucenia promyka światła na handel nasz rzeczny, przytoczymy tutaj niektóre interesujące wyciągi z akt c. k. izby handlowej lwowskiej, które, zdaniem naszym, nie będą zbyteczne w tém miejscu.

W roku 1831 rząd cesarsko-rossyjski zawiązał stosunki handlowe z miastem Jarosławiem o dostawę niektórych produktów, których wartość do 1½ miliona złotych reńskich dochodziła, a które Sanem i Wisłą splawione zostały.

W latach 1841 aż do roku 1844 włącznie, splawiono na rzecę Sanie na 1,200 galarach 600,000 korey zboża, jakotéż innych krajowych produktów, np. potażu, konopi, siemienia lnianego, orzechów i płótna, do Hollandyi, Pruss i Anglii.

W latach 1845—1850, oprócz drzewa, corocznie od 8—10 tysięcy centnarów rozmaitych produktów na rzekę San ladowano. Kupcy z Ułanowa, o 3



Wally rysował

in Lithographia Barabca Tols:

Łódzki litogr:

Wzrosty i upływ przemysłu w Łodzi

mile od miasta Jarosławia odległego, oraz powroźnicy z Radymna składali swe produkta w Jarosławiu i od kupców tamtejszych brali zadatki.

Splawianie drzewa budulcowego i okrętowego na Sanie i Bugu Wisłą do pruskich portów morza bałtyckiego w latach 1852 i 1853 było ożywione, gdyż zamówienia angielskie, przy najlepszych cenach, powtarzały się ciągle.

Wartość drzewa wyłącznie na Sanie w r. 1852 splawionego, jakoto: sośniny, bali, krągłaków, jodliny, słupków, prętów i t. d. wynosiła do 900,000 zł. reń., a w r. 1853 wartość ta przeszła milion zł. reń. uczyniła.

W tym handlu mieli kupcy jarosławscy największy udział bezpośrednio i pośrednio, udzielając zaliczenia kupcom miejsc sąsiednich, jak: Rudniki, Rozwadów i Cieszanów.

Splawianie innych produktów, mianowicie: towarów tokarskich i stolarskich, siemienia lnianego, konopnego, płótna grubego, lin z Radymna, skórek jagnięcych, kozuchów i potażu nie było tak znaczne, bo w tych latach daleko mniej szło galarów do Gdańska jak niegdyś, ponieważ największa część artykułów pomienionych na tratwy ładowano.

Na zasadzie wykazu c. k. konsulatu gdańskiego ogólny wywóz drzewa i t. p. produktów z Galicyi do Gdańska wynosił:

w roku 1851	za 300,000	talarów.
1852	— 500,000	—
1853	— 700,000	—

Wywóz innych produktów był mało znaczący, w r. 1853 tylko 24,000 talarów wynosił.

Wywóz produktów z Galicyi do portów Szczecina i Elbląga, ocenił c. k. konsul na 175,000 talarów, ogółowy wywóz oceniono na 875,000 talarów, czyli w monecie konwencyjnej 1,312,500 zł. reń.; jeżeli zaś podciągniemy pod rachunek wyprzedane artykuły w Polsce, to summa ogólna 1½ miliona zł. reń. wyniesie.

Rzeka San po Wiśle zasługuje na szczególniejszą uwagę, na niej bowiem żegluga spotyka najmniej przeszkód naturalnych i handlowych, i rzeka ta od najdawniejszych czasów przynosiła wielki obdyt płodom galicyjskim.

Andrzej hr. Zamojski, mając na uwadze te wszystkie okoliczności, a pragnąc żegludze parowej jak najobszerniejsze pole działania otworzyć, w miesiącu wrześniu 1850 r. odbył na parostatku Nr. 4 *Kraków* podróż do Krakowa, a następnie w górę Sanu i Dunajca; lecz przeszkody w korycie tych

rzek napotkane, mianowicie w górę Jarosławia, przekonały iż statki parowe do tego miasta jedynie kursować mogą, na dalsze zaś podróże, dopóki koryto téj rzeki oczyszczonem nie zostanie, rachować nie można. Podróż atoli A. hr. Zamojskiego obudziła uwagę austriackiego rządu i tamtejszych obywateli na poprawę i uszlawnienie rzek swoich, a ci ostatni, przejęci wdzięcznością za tak chwalebne zabiegi naczelnika spółki żeglugi parowej, ozdobili go medalem, z którego jednej strony znajduje się popiersie A. hr. Zamojskiego, z napisem w około: „Za pierwsze wypłynięcie w górę Sanu, Wisły i Dunajca”; z drugiej strony medalu przedstawione jest miasto Przemyśl, u spodu parostatek Kraków dopływający do lądu, u góry nazwiska miast: Gdańsk, Kraków i t. d., połączonych rzekami Wisłą, Sanem i Dunajcem.

W roku następnym, 1851, hr. Zamojski odbył takąż samą podróż parostatkiem Nr. 6 *Sandomierz* w miesiącu lipcu do Gdańska, celem zawiązania stosunków handlowych z tém miastem, której owocem jest ciągle dziś zajęcie gabar i statków parowych z Gdańska do królestwa i naodwrot. Z Polski do Gdańska głównym artykułem transportu bywa pszenica, ztamtąd zaś do kraju i Galicyi towary kolonialne.

Nie mając zamiaru w tym pobieżnym artykule zapuszczać się w ścisłą historią żeglugi parowej, nie będziemy téż tutaj opisywać walk i przeciwności jakich z początku doznała ta instytucya i przez jakie przechodziła koleje od chwili swego zawiązku, do chwili w której ją obecnie widzimy; bo, jak nam wiadomo z dziejów, wszystkie ważniejsze wypadki wpływające na losy narodów pod względem moralnym lub materialnym, były zawsze owocem długich boleści i usiłowań. Ztąd nie należy się dziwić że i żegluga przebyła te same koleje, bo ona słusznie do ważnych epok historii naszego przemysłu policzoną być musi.

Do spółki żeglugi parowej pod firmą *Andrzej hr. Zamojski et Comp.* należą: Adam hr. Potocki, Kaźmirz hr. Zyberg Plater, Piotr Mężeński, Jan i August hrabiowie Zamojscy i Leopold Kronenberg, z ogólnym wnioskiem w kwocie rs. 282,000, którzy, jako wspólnicy komandytowi, mają podług zasad kodeksu handlowego stosunkowy do wniosków swoich udział w własności spółki, w jej stratach i zyskach. Kapitał ten zakładowy, przez wypuszczenie w obieg 376 sztuk obligów 5%, podwójnym bezpieczeństwem opatrzonych, powięk-

szonym został summa 282,000 rs., równą kapitałowi wniesionemu przez wyżej rzeczonych wspólników. Za regularną wypłatę procentów rocznych, oraz za zwrot wartości samychże obligów (po ich stopniowem wylosowaniu, w 11 rocznych ratach ukończyć się mającém), ręczy najprzód cały majątek spółki żeglugi parowej, wynoszący dzisiaj 564,000 rs., a następnie główny administrator spółki, Andrzej hr. Zamojski, który na zasadzie §§ 6 i 9, bez względu na obrót interesów spółki, całym majątkiem swoim poręcza regularną wypłatę procentów, tudzież umorzenie samych obligów w oznaczonym czasie.

To podwójne zaręczenie nadaje obligom spółki żeglugi parowej wszystkie cechy papierów publiczno-przemysłowych, znanych za granicą pod nazwą: *Prioritäts-Actien*, *Obligations de priorité*, *Preference-Shares*.

Do każdego obligu dołączony jest arkusz, obejmujący 11 kuponów procentowych rocznych po rs. 37 kop. 50, płatnych z kolei dnia 8 lutego (2 marca) każdego roku, począwszy od r. 1855, w zarządzie żeglugi parowej.

W każdym roku, po zaspokojeniu potrzeb administracyi ogólnej i kosztów utrzymania żeglugi parowej, reszta dochodów obraca się: 1° na opłacenie procentów od obligów; 2° na umorzenie tychże obligów w ciągu lat 11, za pomocą funduszu rocznie w tym celu odkładanego w kwocie rub. sr. 19,000 z procentem składanym; 3° to co pozostanie z dochodów żeglugi parowej po tych potrąceniach, stanowi czysty zysk, z którego część *dziesiąta* przeznaczana się na fundusz zapasowy, a *dziewięć dziesiątych* rozdziela się między wspólników i posiadaczy obligów, stosunkowo do ich udziału w spółce i ilości obligów, i wypłaca podług stopy uchwalonej na coroczném posiedzeniu spółki. Tym sposobem posiadacze obligów, oprócz podwójnie zaręczonych 5% stałych, mają prawo do *rozdziatki* (dividende) ruchomej i zależącej od pomyślnego obrotu interesów spółki.

Majątek spółki żeglugi parowej stanowią: 1° 14 parostatków, częścią osobowych, częścią holowniczych czyli remorkierów; 2° 21 gabar żelaznych i przystanie; 3° warstaty żeglugi parowej na Solcu.

Te 14 parostatków są następujące:

Numer parostatku	NAZWISKO PAROSTATKU	Maszyna o sile koni parowych	PZEZNACZENIE PAROSTATKU
1	Księżę Warszawski	60	holownik
2	Wisła.....	30	osobowy
3	Kopernik.....	60	holownik
4	Kraków.....	32	„
5	Praga.....	100	„
6	Sandomierz.....	32	„
7	Kazmirz.....	25	osobowy
8	Płock.....	60	„
9	Włocławek.....	60	„
10	Pilica.....	40	„
11	Narew.....	40	„
12	Niemen.....	40	„
13		60	holownik
14	Andrzej.....	60	„
	Razem.....	699	osob. 7, holow. 7

Parostatki Nr. 1 i 2 sprowadzono z zagranicy od p. *Gâche* starszego z Nantes, a Nr. 3, 4, 5 i 6 zbudowano w fabryce bankowej na Solcu, z wyjątkiem maszyn parowych, które od p. *Gâche* pochodzą; Nr. 7 zakupiony w Koblenc u p. *Elsnera*, wraz z maszyną 25 konną; Nr. 8, 9, 10, 11, 12, 13 i 14 zbudowane zostały w warsztatach żeglugi parowej, maszyny do Nr. 8, 9 i 12 pochodzą od p. *Gâche*, do Nr. 10 i 11 ze znanej fabryki w Seraing w Belgii, a maszyny do Nr. 13 i 14, każda po 60 koni siły, zbudowane w warsztatach żeglugi parowej, wedle zdania znawców, przynoszą chlubę tymże zakładom.

Żegluga osobowa przy pomocy 7 statków odbywa się obecnie na przestrzeni 60 milowej, pomiędzy *Zawichostem* a *Ciechocinkiem* nad granicą pruską, wyświadczając niezmierną przysługę okolicom nadwiślańskim, które pozbawione były dawniej tak prędkiej, taniej i wygodnej komunikacyi z Warszawą.

Ponieważ fabryka bankowa na Solcu, w której budowały się pierwotnie statki i gabary, zbyt jest od brzegów Wisły odległą, a tém samym potrzebom żeglugi nieodpowiadającą, przeto A. hr. Zamojski w r. 1851 zakupił posiadłości na Solcu nad brzegiem Wisły położone, Nr. 2,938, 2,948 i 3,001, łokci kwadratowych warszawskich 20,665 obejm-

mujące, i na tém miejscu urządził warsztaty dla żeglugi parowej, które p. Antoni Barciński, b. profesor mechaniki, obecnie dyrektor żeglugi i pełnomocnik spółki, z udziałem p. Góreckiego radcy budownictwa, do takiego przyprowadził stanu, że dzisiaj ubiegać się mogą o pierwszeństwo z najlepszymi zakładami zagranicznymi tego rodzaju.

Warsztaty te graniczą z ulicą Czerniakowską, Mączną, posiadłością Epsteinów i Wisłą. Pod Nr. 2,948 umieszczone są: dom dla administracji, warsztaty kotlarskie i warsztaty do budowy statków i gabar; pod Nr. 2,938, warsztaty mechaniczne, kowalskie, mieszkanie dla służby warsztatowej, oraz magazyny żelaza, lin i zapasów do budowy statków, zaś pod Nr. 3,001 magazyny drzewa budulcowego.

Warsztaty zaopatrzone są w dostateczną ilość maszyn pomocniczych, potrzebnych do wykonywania rozmaitych robót temu zakładowi właściwych, a mianowicie: warsztaty mechaniczne mieszczą w sobie maszynę parową 14 konną, do nadawania ruchu maszynom pomocniczym, częścią z zagranicy sprowadzonym, a częścią w tychże warsztatach zbudowanym, wraz z kotłem parowym 3 atmosferowym; maszynę wielką pionową 3 kolumnową do toczenia walców parowych (cylindrów) i bormaszynę Nasmytha. Dalej idzie maszyna do gwintowania śrub i muter; wielka bormaszyna kolumnowa, i mała heblarnia, mała bormaszynka, 3 małe tokarnie, 4 duże tokarnie i także heblarnia; w kuźni młot parowy na 1500 kilogramów czyli 37½ centnarów, wentylator i warsztat do składania maszyn, z odpowiednią windą do przesuwania ciężarów. W warsztatach kotlarskich znajdujemy maszynę do cięcia i dziurawienia blachy, 3 małe maszyny do dziurawienia blachy i 1 wielką trybową z kołem zamachowym, do dziurawienia blachy kotłowej grubiej, maszynę do gięcia blachy, maszynę do gzynkowania i wiele innych mniejszych, o których tutaj, dla szczupłości miejsca, nie wspominamy.

Służba podzieloną jest na oddziały *techniczny* i *administracyjny*, oddział znów 1 rozpada się na dwa pododdziały, to jest: mechaniczny i konstrukcyi statków; oddziałowi mechanicznemu przewodniczy mechanik, oddziałowi konstrukcyi statków inżynier, a oddziałowi administracyjnemu kontroler warsztatów; główny zaś kierunek wszystkich oddziałów sprawuje dyrektor żeglugi, jako osoba bez rozkazu której żadna czynność w warsztatach

uskutecznią być nie może, i do której w każdej wątpliwj kwestyi przewodniczący oddziałom oddnosić się są obowiązani.

Wedle inwentarza przy końcu roku fabrycznego 1856 sporządzonego, maszyny i narzędzia tych warsztatów wynoszą sumę przeszło 53,000 rubli srebrem, z kąd się pokazuje iż warsztaty dobrze są uposażone, co, obok zdolnych i wykwalifikowanych rzemieślników, dostateczną daje rękojmią pewności dla osób życzących swoje zamówienia o maszyny parowe, kotły lub téż statki w tych warsztatach czynić.

* * *

Ponieważ przedmiot budowy statków parowych jest zupełnie nowym w naszym kraju, przeto postanowiliśmy kilka słów o nim powiedzieć, w nadziei iż to czytelnikom jakikolwiek przyniesie pożytek.

Początek teoryi zanurzania się ciał w płynach winni jesteśmy największemu matematykowi starożytności, Archimedesowi, żyjącemu w Syrakuzie na półtrzecia wieku przed Chrystusem. Złota korona sporządzona dla bogini przez jakiegoś rzemieślnika, obudziła w panującym podejrzenie jakoby sfalszowaną była; do wydania sądu wezwano Archimedes, najslawniejszego wówczas uczonego. Prosty wypadek że jego ciało, gdy był w kąpieli, unosiło się w wodzie, doprowadziło go do jednego z najważniejszych wynalazków. Zdawało mu się iż ze straty ciężaru ciała zanurzonego w wodzie, można wnioskować o jego gęstości, a tém samym o naturze rozmaitych ciał gęstych, nawet kiedy te są z innymi w połączeniu. Mniemanie to jego nie było mylném, bo dzisiaj jeszcze tego używamy sposobu do ocenienia stosunku pomieszania z sobą rozmaitych metali, do odróżnienia złota z tombakiem, miedzią, srebrem, cyną i ołowiem pomieszanego. Mineralog używa dziś jeszcze owj metody do określenia natury badanego minerału, ma się rozumieć nie bez niektórych wyjątków.

Warunki równowagi pływających ciał, zależne są od stosunku sił na nie działających. Ciężar stałego ciała, w środku ciężkości w wyobraźni zjednoczony, może tylko działać spadając i w kierunku spadania; oddziaływanie zaś płynu, które dzieje się skutkiem w górę wywartego ciśnienia wszystkich cząstek pod témże ciałem będących, przeciwne jest kierunkowi spadania i równe ciężarowi wody przez ciało pływające wypchniętj.

Równowaga więc pływającego ciała ma miejsce tylko wtedy, gdy parcie do góry przewycięża parcie na dół, i gdy środek ciężkości ciała pływającego znajduje się na linii pionowej pod środkiem ciężkości wypartego płynu. Równowaga o tyle będzie pewniejszą i stateczniejszą, im głębiej ten środek ciężkości leży.

Przy budowie zatem i obciążaniu statków i okrętów najważniejszą jest rzeczą dokładnie oznaczyć środek ciężkości i ballast, którym się spodnią część statków wypełnia, bo od tych warunków zawisło bezpieczeństwo i głębsze zanurzenie się statku. Ciężar którym obładujemy statki, stosowanym być musi do ciężaru wypychanej wody, a zatem nietylko do objętości statku, ale i do natury i gęstości wody. Na wodach słonych, a zatem gęstszych, jak np. morskich, daleko więcej można ładować na statki, jak kiedy kursują po rzekach. Statek np. 5,000 stóp sześciennych objemu mający, na który ładuje się 3,200 cen. kiedy kursuje po morzu, można obciążyć tylko 3,100 cen. kiedy kursuje po rzekach.

Co do formy zewnętrznej można statki na 2 główne podzielić klasy; do pierwszej należą statki do małych podróży i na wodach płytkich; do drugiej wszystkie inne do wielkich podróży morskich przeznaczone. Zwracając się do statków klasy pierwszej, widzimy że takowe u wszystkich narodów przeznaczone są do handlu i transportu osób na rzekach i pobrażach morskich. Ponieważ zaś klimat, rodzaj wód, rzek i pobraży, jak również produktów, nie jest wszędzie jeden, dlatego statki nie budują się podług jednych i tychże samych prawideł, ale owszem różnią się pomiędzy sobą formą, wedle rozmaitych okoliczności. Przypatrując się znów statkom klasy drugiej, których przeznaczenie jednakie jest u wszystkich narodów, widzimy iż te budują się prawie podług jednakowych zasad, z tą tylko różnicą że statki przeznaczone pod ładunki, czyli paketboty, pod linią zanurzenia mają daleko większe rozmiary od tych, których zadaniem jest szybka żegluga.

Statki tej ostatniej klasy używają się tak do handlu, jako i do wojen morskich; w pierwszym razie, t. j. gdy przeznaczone są dla handlu, większa część wewnętrznej przestrzeni służy do pomieszczenia towarów, a reszta jest rzeczą uboczną; w okrętach zaś wojennych zwraca się główną uwagę na odpowiednie celowi rozlokowanie dział i ludzi do ich obsługi potrzebnych. Ale jakkolwiek rozmaite być może przeznaczenie statków,

winny jednak zawsze następującym odpowiadać warunkom, t. j. powinny zalecać się: *obszernością, szybkością, statecznością i mocą*, a wedle stosunku w jakim tym warunkom zadosyć uczyniono, zwykło się oceniać dobre lub złe przymioty statków.

Obszerność statku polega na tém, ażeby odpowiednio do swoich rozmiarów, odpowiednią ilość ładunku mógł pomieścić i zanurzał się do pewnej głębokości, zwykle przy konstrukcyi zakręslonej.

Dla osiągnięcia *szybkości*, powinna forma statku być taką, aby od wody doznawała jaknajmniejszego oporu; ponieważ zaś największe przekroje główną podstawę bezpośredniego oporu stanowią, przeto należy je o ile można do minimum redukować, a przytém części przodowej postać klina dawać, ażeby wodę przerzynała z łatwością.

Stateczność albo *szttywność* statku polega na tém, aby siłą gwałtownego wiatru lub rozhukanych bałwanów wodnych pochylony na bok, mógł znowu sam przez się do pierwotnego wrócić położenia.

Moc należy już więcej do części praktycznej budownictwa statków i polega na jaknajskrupulatniejszym powiązaniu pojedynczych części z sobą, ażeby statek mógł bezpiecznie opierać się gwałtownym wiatrom, bałwanom, lub też uderzeniom jednego statku o drugi.

Te wszystkie tutaj przywiedzione warunki nie dadzą się w równym stopniu w jednym statku zastosować; gdyż osiągnąwszy większą ładowność, musieliśmy statkowi większe nadać rozmiary; ale statek powinien także mieć odpowiednią chyżość, co znów pierwszemu warunkowi na przeszkodzie stoi. W nowszych czasach potrafią nareszcie te dwa warunki połączyć ze sobą, budując nadzwyczajnie długie statki, wszakże pominięto znów inne, również bardzo ważne przymioty.

Budownictwo statków dzieli się na dwie części, t. j. na teoretyczną i praktyczną. Część *teoretyczna* naucza, stosownie do przeznaczenia statku, nadawać mu najkorzystniejsze formy i przymioty i takowe w rysunku przedstawić; część ta spoczywa na prawach mechaniki i hydrauliki, o ile te nauki mają związek z ruchem i równowagą, oraz na pewnikach zaczerpniętych z doświadczenia. Część *praktyczna* naucza, jak należy łączyć z sobą pojedyncze części, dla utworzenia całości, podług danego rysunku.

Aby formę statku oznaczyć, potrzeba do tego 3ch głównych przekrojów. Pierwszy przekrój robi się pionowy przez długość całego statku, i dzieli się

go na 2 równe części; drugi przekrój poziomy po nad płaszczyzną wodną do której się statek zanurza, a trzeci jest przekrojem poprzecznym pionowym, podług największej szerokości statku, prostopadłe do płaszczyzny wodnej.

Z pomocą tych 3ch przekrojów jesteśmy w możności rozmaite kształty nadawać statkom.

Na pierwszym przekroju Fig. 1, prócz danej głębokości i długości statku, widzimy: długość spodu statku, tył a i przód b . Linia d pokazuje nam kształt pokładu; d' pokazuje kształt burty opasującej statek; e jest tyłem statku, przez który zasadza się stér i ; f dziób (galion) statku, na którym umieszcza się drąg kotwiczny. W ogólności w tym przekroju należy wszystko pokazać, co w widoku bocznym widzieć można. Linia xy jest przypuszczone zanurzenie się statku, a zatem płaszczyzna podług której zrobiony 2^{gi} przekrój poziomy; dalej vz miejsce największej szerokości statku, przez które zrobiliśmy 3^{ci} przekrój.

W drugim poziomym przekroju albo planie linii wodnych fig. 2, nakręslona jest pewna liczba linii przez płaszczyzny poziome wody na bokach statku utworzonych, począwszy od spodu aż do płaszczyzny zanurzenia się jego. Wystawiwszy sobie w pierwszym przekroju więcej takich linii jak h m , przy różnych zanurzeniach statku, będziemy je mogli łatwo na drugim przecięciu w naturalnej postaci nakręślić. Na 2-iej figurze widzimy jeszcze kształt pokładu i burty.

Na 3-im przekroju, czyli na rysunku *wręgów* (Wrangen, cornières), Fig. 3. przedstawia się forma statku podług linii vz , jako największej jego szerokości; xy jest tu znowu linią wodną. Na podobieństwo największego poprzecznego przekroju, podług którego linia krzywa vz wypadła, możemy sobie więcej takich płaszczyzn pionowych poprowadzić, z pomocą których, oraz z pomocą linii wodnych na

fig. 2ej, wykreślić możemy wszystkie krzywizny dla statku, podług których dopiero robią się wręgi z kąowego żelaza. Nadmieniam się tutaj, że linie po lewej stronie są przekrojami pionowymi za największą sekcją poprzeczną vz , linie zaś po prawej stronie przekrojami przed tą samą sekcją. Dla uzupełnienia rysunku, należy porobić plany do urządzenia wewnętrznego statku.

Wymiary główne.

Trzy są wymiary główne każdego statku: *długość*, *szerokość* i *głębokość*. Długość statku mierzy się trojako, albo po osi wielkiej pokładu od przodu aż do tyłu statku, albo też po linii wodnej, lub też narzeczcie, mierząc linią grzbietową czyli dno statku. Szerokość mierzy się po linii pokładu od bębna kół łopatkowych do drugiego bębna, lub też biorąc i bębny w rachunek; głębokość od wewnętrznej strony pokładu do dna, lub też do podłogi statku.

Jeżeli stosunki rzeczonych wymiarów oparte częścią na doświadczeniu, dokładnie były obmyślane i rysunek statku został wykonany, pytać się należy, czy statek posiadać będzie wszystkie te przymioty jakich po nim

wymagamy; dlatego ważną jest rzeczą, a nawet głównym zadaniem w budownictwie statków, projekta sprawdzać rachunkami, gdyż mogłoby częstokroć być zwodniczym, ciało tyłu warunkom podległe, jakim jest statek, samym rzutem oka ocenić. Gdyby rachunek pokazał wypadki

niezgodne z zasadami teorii i doświadczenia, łatwiej jest przeroobić rysunek, aniżeli narazić się nato, aby kapitan statku (jeżeli nim jest człowiek fachowy i naukowy), po pierwszej podróży zwracał uwagę konstruktora-inżyniera na błędy popełnione w budowie.

Dopiero co rzeczony rachunek opiera się głównie na ciężarze statku obciążonego i kompletnie uzbrojonego, albo raczej na przestrzeni jego zanurzającej się w wodzie. Hydrostatyka naucza, jakieś to już wyżej

Fig. 1.

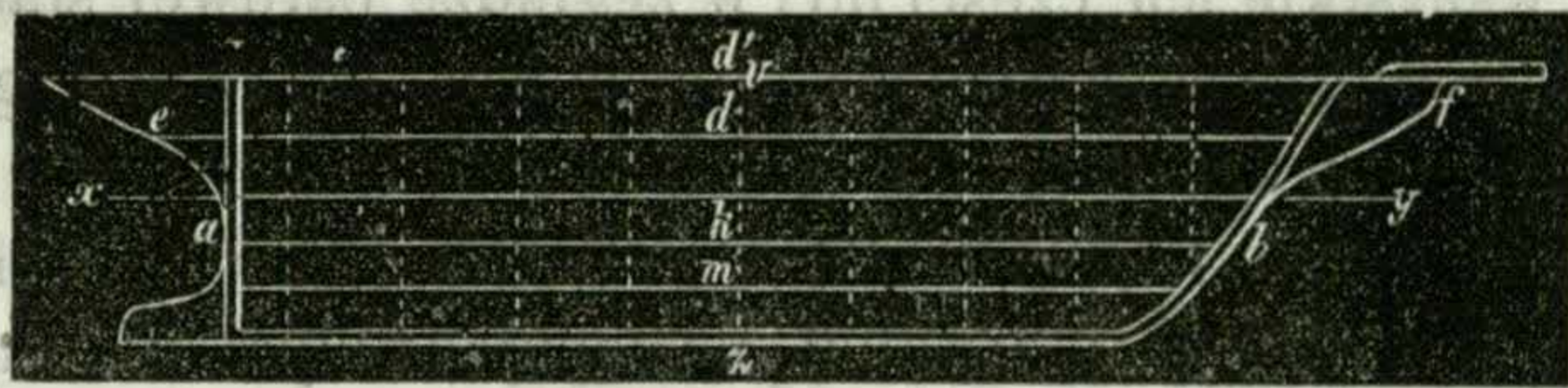


Fig. 2.

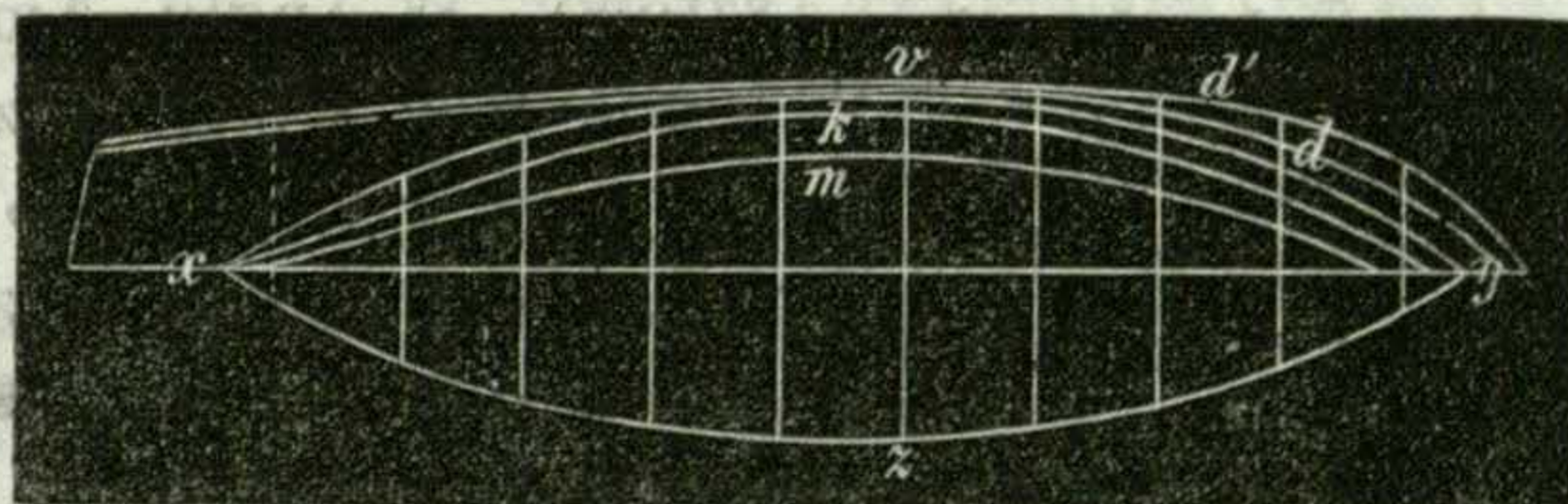
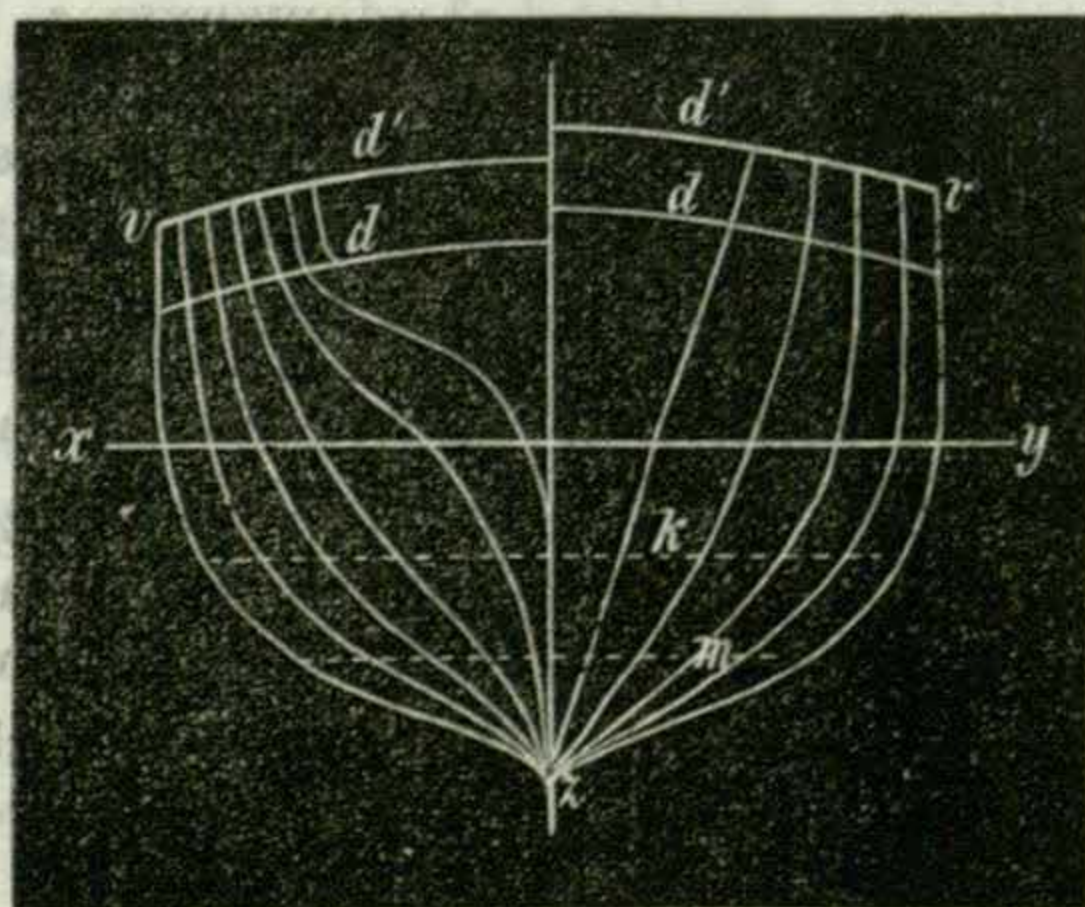


Fig. 3.



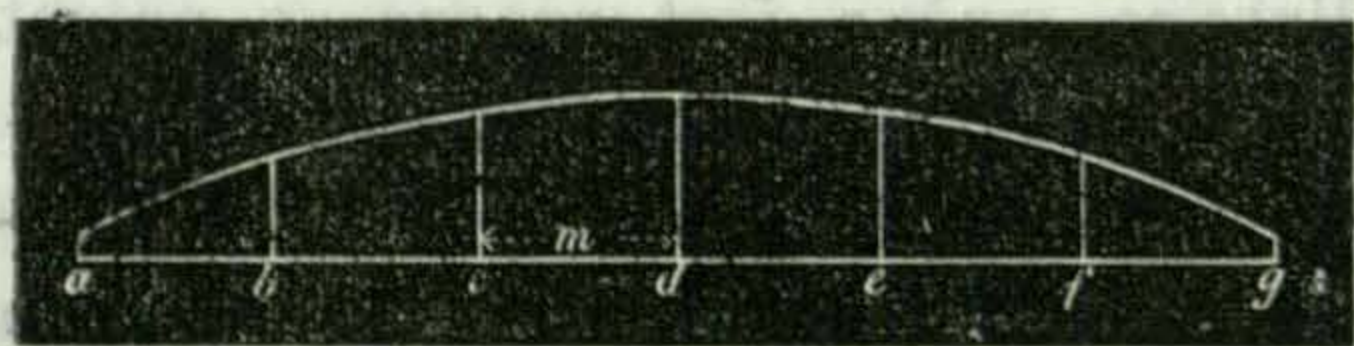
przytoczyli, że ciało zanurza się dotąd, dopóki masa wody wypchniętej nie zrównoważy jego ciężaru. Ocenivszy więc masę wypchniętej wody, łatwo jest ciężar jęj, a tęp samęp i ciężar statku, ocenić.

Ponieważ jednak statki nie posiadają ścisłych form matematycznych, bo wszystkie ich części do różnych powierzchni i ciał nieregularnych należą, przeto i rachunki muszą być nader mozolne. Podawano rozmaite formułki, ażeby o ile można do przybliżonego przyjść rezultatu; wszakże te, albo okazały się niedostatecznymi, lub tęp z takimi trudnościami połączone, że się w praktyce tylko z wielkim mozolem zastosować dają.

Fryderyk Chappmann, Szwed, oficer marynarki, późnięj vice-admirał w służbie szwedzięj, który się wiele do podniesienia potęgi morskięj swojego kraju przyłożył, a który zmarł w roku 1808, podaje najkorzystniejszą ku temu celowi formułę.

Ponieważ przy projektowaniu statku robić się zwykło wiele poziomych przekrojów (linij wodnych), przeto tych samych przekrojów można używać do obliczania objętości statku, gdy się znajdują w równęj od siebie odległości. Oblicza się tutaj każdą w szczególności powierzchnię osobno, ku czemu do osi *a g*, jako osi odcinków, Fig. 4, prowadzi się upodobaną ilość prostopadłych czyli tak nazwanych przystaw.

Fig. 4.



Formuła paraboliczna do obliczania płaszczyzn krzywolini-

nijnych podług Chappmana jest następująca:

$$\frac{(a + 4b + 2c + 4d + 2e + 4f + g) m}{3}$$

gdzie *a, b, c, ...* wyrażają długości przystaw, zaś *m* ich równą od siebie odległość na osi odcinków. Ze wszystkich tych pojedynczych powierzchni, za pomocą tęp samej formuły, można znaleźć objętość całego statku.

Obliczywszy tym sposobem objętość części statku zanurzonej w wodzie, łatwo jest znaleźć i ciężar całego statku, mnożąc tylko objętość przez ciężar jednęj stopy sześciennęj wody, jak u nas wiślanęj ¹⁾.

¹⁾ Ciężar 1 stopy sześciennęj wody wiślanej w zimie = 55 fun. pol, w czasie powodzi ciężar jęj jest większy.

Dla łatwego redukowania liczby funtów przy obładowaniu statków, przyjęto w różnych krajach rozmaite miary, i tak: w Anglii i Francyi liczyć się zwykło na tonny (1 tonn = pudów 62½ 25 cent. polskich), w Danii zaś, Szwecyi i całych północnych Niemczech liczy się na łasztę; u nas w żegludze parowęj statki holowniki liczą się na liczbę koni parowych, gabary zaś na liczbę korcy lub łasztów.

Dla porównania różnych miar posłużyć może następujące wyrachowanie w którym wypuszczone są ułamki:

100 łasztów handlowych hamburskich à 6000 funtów = 155 łasztów normalnych pruskich à 4,000 funtów; albo 112 łasztów normalnych duńskich à 5,200 funtów; albo 286 tonnów angielskich à 2,240 funtów; albo 291 tonnów francuzkich à 1,000 kilogramów (1 kilogram = 2½ funtów polskich).

Mówiąc o statkach i okrętach handlowych, przyjmuje się powyższe wagi za normę, chcąc dać wyobrażenie o ich wielkości; i tak mówić się zwykło: statek 1000 tonnowy, lub statek 400 łasztowy. W Anglii, Ameryce i innych krajach, gdzie głębokość wody pozwala, buduje się statki olbrzymięj wielkości, do 4,000 tonnów, a nawet i więcięj, tak iż woda przez takie statki wypchnięta, miliony funtów wynosi ¹⁾.

¹⁾ Parostatek „Persia” jest jednym z tych parostatków, których *British and North American Royal Mail Steam Packet Company* używa do żeglugi pomiędzy Liwerpołem i Nowym Jorkiem, którą to przestrzeń w przeciągu 10 dni przebiegają. Spóźnienie się parostatku, nawet o godzinę nad czas przeznaczony, cały świat handlowy Londynu, Liwerpolu, Manchester i t. p. miast nabawia gorączkowej niespokojności i wpływa na podniesienie się lub spadanie papierów na giełdzie.

Persya jest największym parostatkim jaki prul dotąd bałwany morskie, a pomiędzy okrętami tęp kompanii pięrszym zbudowanym z żelaza; bo rząd Wiel. Brytanii, ze względu że uchwała parlamentu z czasów ministeryum Pitta postanowiła iż na wypadek wojny wszelkie okręty prywatne powołane być mogą w trzech partyach do przyjęcia udziału w wojnie i przechodzą pod bezpośredni zarząd ministra wojny, nie dozwalał dawnięj budować ich z żelaza, ponieważ drewniane okazały się więcięj praktyczne do wojny.

Okręt i maszyny „Persyi” jak i inne okręty tęp kompanii, pochodzą ze znanych warstatów pp. Roberta Napier i synów w Glasgowie, i wedle konstrukcyi pp. Napier i p. Elden, bylego dyrygującego robotami, wykonane zostały.

Wymiary tego okrętu są następujące (miary i wagi angielskie):

Całkowita długość 390 stóp; szerokość pokładu 45 stóp; szerokość mierzona nad bębnami kół 71 stóp; średnica kół lopatkowych 41 stóp; ładowność 3,600 ang. tonnów. (Jedna stopa ang. = 0,305 metra; jedna stopa polska = 0,288 metra; jeden tonn = 25 centnarom)

Nasze statki na Wiśle, z powodu zmiennego koryta rzeki i takiegoż stanu wody, zanurzać się mogą tylko od 18—30 cali, gabary zaś z pełnym ładunkiem, przy dobrym jednak stanie wody, zanurzają się około 4ch stóp polskich.

Bardzo ważną jest rzeczą w konstrukcyi wynalezienie środka ciężkości, tak przestrzeni zanurzalnej, jako i całego statku, gdyż od tego zawisłym jest spokojny bieg statku i inne jego ruchy. Obliczenie środka ciężkości odbywa się za pomocą poprzedniego rachunku; gdy jednak rachunek ten byłby za obszernym w niniejszej rozprawie, przeto pomijamy go tutaj, tém więcej że jego ścisłość konieczną jest tylko statków morskich, na gwałtowne ruchy wystawionych.

W budowie każdego statku stér bardzo ważną rolę odgrywa, za pomocą bowiem niego nadaje się w czasie biegu kierunek statkowi. Umieszcza się go w samym tyle, a kształt jego bywa rozmaity, stosownie do głębokości wody. Stery morskie

Maszyny tego parostatku, wedle zasady podanej przez Watta, pracują z siłą od 4 do 5000 koni; wedle zaś zasady ustanowionej przez rząd do obliczania maszyn, gdzie chyżość tłoka jest zawsze w pewnym stosunku do jego kroku, i ciśnienie pary na tłok ocenione jest na 7 fun., bez względu na rzeczywistość, pracują z siłą 900 do 1000 koni; nakoniec wedle Karola of Hardewicke, pracują z siłą 1200 koni.

Parostatek ten może pomieścić 260 podróżnych i 170 ludzi osadę statkową stanowiących, a mianowicie: 6 oficerów, 54 majtków, lekarza, płatnika, cieśle, stolarza; w oddziale mechanicznym: 8 maszynistów, 54 palaczy, i nakoniec w służbie 8 kucharzy i 36 kelnerów.

Maszyna, w samym środku okrętu ustawiona, zajmuje miejsca na szerokość 45 st. ang., na wysokość 32 st. a na długość 115 st. W tej przestrzeni mieści się: 8 kotłów i 2 maszyny w ten sposób, że maszyny znajdują się w środku, a kotły po 4 razem po końcach. Pod kotłami zachodzą się składy na węgle, obejmujące do 1400 tonnów, wystarczających na dziesięciodniową podróż, z których codziennie zużywa się do 120 tonnów. Główniejsze wymiary maszyny są następujące: średnica walca parowego (cylindra) 100 cali ang.; krok tłoka 10 stóp ang.; średnica kół lopatkowych 40 stóp; długość lopatek 10 st.; głębokość lopatek 3 stopy. Kominy długie są na 45 stóp, a średnica ich po 7 stóp 6 cali wynosi. Ciężar skończonego samego tylko korpusu, kiedy ten z warstatu spuszcza no, bez maszyn, wynosił 2,200 tonnów, i z tym ciężarem zanurza się w wodzie morskiej 23 stóp. (Woda oceanu atlantyckiego zawiera w sobie soli 3,5%). Chyżość Persyi jest wielka, bo przy ciśnieniu 20 do 21 fun. na cal kwadratowy, z łatwością odbywała drogę 18½ mil ang. na godzinę, przy czém koła 17¾ do 18 obrotów robiły na 1 minutę.

miéwają kształt pół elipsy, ruchomój około większej swojej osi; stery rzeczne miéwają kształt prostokąta, ruchomego około boku krótszego. Składają się zaś: z ogona zanurzającego się w wodzie, z osi czyli wału ściśle z ogonem połączonego i z drążka, za pomocą którego stérnik ruchu temu przyrządowi nadaje. Drążek miéwa postać koła, śruby i t. p., zależy to bowiem od woli konstruktora statku, jaki mechanizm za najstosowniejszy uważa.

Co do części praktycznej, wyznać musimy iż skoro rysunek należycie i z wszelkimi szczegółami wykonany został, takowa nie przedstawia już żadnych trudności. Każdy szczegół rysuje się w naturalnej wielkości na podłodze sali na cel ten przeznaczonej, z tych rysunków cieśle wykonywają szablon, a następnie wszyscy rzemieślnicy przystępują do właściwych sobie robót. Kiedy kowale wykonują wręgi z kątownego żelaza, ustawiają się ony w właściwym porządku na warstacie nad brzegiem rzeki zbudowanym, jak to rysunek warstatów przedstawia. Warstat ten, złożony z belek drewnianych, ma zwykle spadek ku wodzie, a spadek ten różnym bywa, odpowiednio do głębokości wody. Po uregulowaniu wręgów, kotlarze zakładają blachę i takową nitują; potem cieśle przystępują do wiązań drzewnych wewnętrznych, do założenia pomostu, do budowy kajut, potrzebnych łóżek, stolików, szafek i podłóg. W końcu ustawia się maszyna parowa, wał główny i koła łopatkowe, a kocioł ustawia się wtedy, gdy statek znajduje się na wodzie, gdzie kończą się inne drobniejsze roboty i sztukaterye kosztorysem zakreślone. Tak zbudowany statek spuszcza się z warstatu na wodę z wielką ostrożnością, gdyż brak jej mógłby go łatwo na uszkodzenie narazić. Gdy statek znajduje się już w wodzie, przystępuje się do nadania mu imienia, co zwykle dzieje się bardzo uroczyście, jak to miało miejsce z Włocławkiem, Płockiem, a zeszłego roku z parostatkiem „Andrzej”, jako imiennikiem Andrzeja hrabi Zamojskiego, twórcy żeglugi parowej na Wiśle.

TYROLCZYCY.

W pierwszej części pierwszego roku Księgi Świata, na str. 15 i nast., podaliśmy czytelnikom tego pisma geograficzno-statystyczny rys Tyrolu; obecnie raz jeszcze wracamy się do zajmującej tę krainy alpejskiej, aby skrócić pobieżny opis charakteru, zwyczajów i sposobu życia jej mieszkańców.

Ludność Tyrolu, której liczba pod panowaniem austriackim powiększyła się do 850,000, dzieli się na dwa główne plemiona: na Niemców zamieszkujących część kraju północną, i Włochów osiedlonych w części południowej; granice jednak panowania języków niemieckiego i włoskiego dokładnie oznaczyć się nie dadzą, bo dwa te narzecza, jak wszędzie w punktach zetknięcia się dwóch odmiennych narodowości, w środkowym Tyrolu prawie się zlewają.

W ogólności cechami rasowymi Tyrolczyków są: wzrost wysoki, budowa ciała smagła lecz silna, wzrok przenikliwy, rysy twarzy wyraziste i otwarte; nierzadko nawet między mężczyznami napotkać można indywidua prawdziwie modelowej piękności, gdy tymczasem kobiety mniej hojnie od natury zdają się być uposażone. W okolicach tylko Insbruku pleć słabsza odznacza się białością cery, wdzięcznym owalem twarzy i zgrabną kibiścią; gdzieindziej potężna i koścista ich budowa razi oko, przyzwyczajone szukać w kobietach kształtów drobnych a pełnych. I mężczyźni nie wszędzie słusznego bywają wzrostu, owszem w niektórych dolinach, a zwłaszcza tam gdzie się żywią ziemniakami, nie dochodzą często pięciu stóp wysokości. Zato prawie wszyscy silni są i weseli, i za nic w świecie nie pomienialiby się na swe góry. Na południe od Botzen zaczyna już przeważać rasowość włoska, i cera śniada, przy włosach i oczach czarnych, zapowiada tam plemię całkiem różne od germańskiego.

Pracowity i naturalny sposób życia, obok krzepkiej organizacyi, staje się powodem że Tyrole sędziwego zwykle dosięgają wieku. Ośmdziesięcioletni starcy, na równi z młodemi, pieszo przebywają góry, a często się zdarza iż żyją sto lat i więcej, nie znając co to choroba. Jedynym cierpieniem powszechniejszym jest wole, panujące szcze-

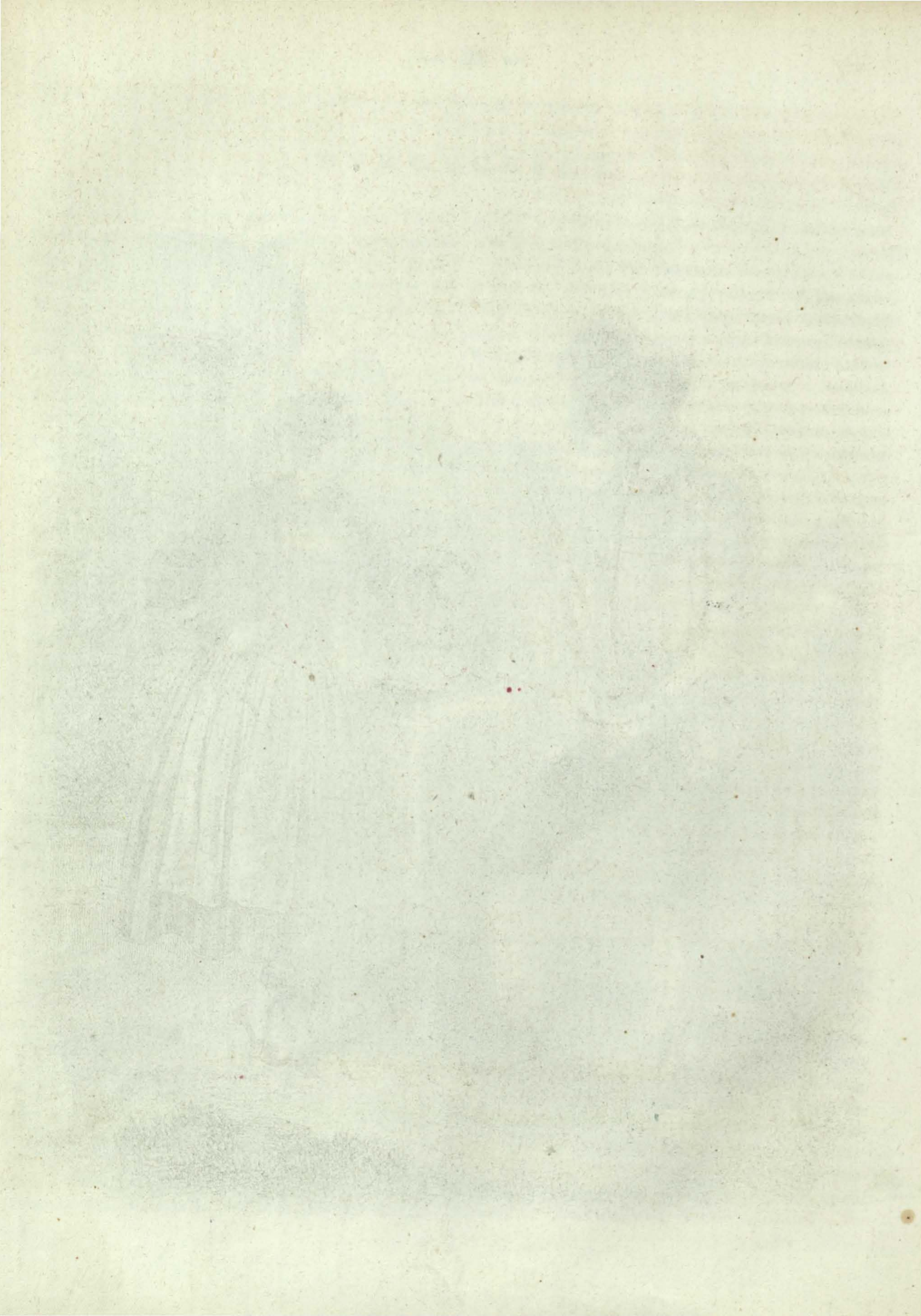
gólniej w dolinach. Karłacy (kretyni) znajdują się w jednej tylko wiosce.

Żywność Tyrolów, stosownie do stopnia ich za-
możności, składają potrawy mięsne lub jarzynne. W północnej części kraju poprzestać nieraz muszą na ziemniakach i papce z mąki kukurydzowej. W środkowych Alpach główne pożywienie stanowi kasza jaglana gotowana z mléką, i zamiast chléba sér kozi. Tyrole niemieccy lubią podchmielić sobie piwem i gorzalką; włoscy, wstrzeźliwsi, ograniczają się na umiarkowanym używaniu wina, zwykle nawet pomieszanego z wodą.

W ubiorze narodowym, pomimo niewielkiej rozciągłości kraju, znaczne zachodzą różnice. W dolinie górnego Innu wieśniacy noszą kolorowe pończochy, czarne, do kolan tylko sięgające spodnie, szkarłatne kamizele z zielonemi na wierzchu szelkami, kaftany różnej barwy, i na głowie szerokie u spodu, a w górze spiczasto zakończone kapelusze. W okolicach Insbruku strój bywa wykwin-
niejszym; szerokie pasy skórzane, ponabijane metalowemi ozdobami, otaczają biodra, kolory smakowniej są dobiérane, a kapelusze najczęściej słomkowe. Kobiety noszą czarne, żółte lub zielone spodnice, z odmienną barwy fartuszkami, szkarłatne gorsety i ciemne kaftaniki; na nogach czerwone pończochy i czarne trzewiki, a na głowie kapelusze słomkowe albo lekko watowane sukienne czapeczki. Charakterystycznym jest strój niewiast w lasach bregenzkich, zbliżony bardzo do ubioru mężczyzn w Armenii, i nigdzie prócz w jednej tej okolicy nie używany.

Mieszkania wiejskie pod względem wygod i ozdoby zewnętrznej wiele wprawdzie zostawiają do życzenia, jednakże po większej części bywają murowane, kryte dachówką i czysto pobielane. U zamożniejszych włościan na zewnętrznych ścianach domów widać malowane *al fresco* obrazy świętych, sięgające częstokroć aż do szczytu. Miasta i miasteczka wszystkie prawie jeden mają charakter: ulice ciasne i kręte, domy stawiane ciężko i bez smaku, a z obu stron w sklepionych korytarzach obszerne składy towarów, jedyne wspomnienie kwitnącego niegdyś handlu, który dziś upadł zupełnie.





Tyrolczycy są narodem prostodusznym, otwartym i religijnym; pracowici przytém i przestający na małym, kochają kraj swój nad wszystko, i w razie potrzeby chętnie narażają życie w jego obronie. Ostatnim tego dowodem była bohatérska ich walka (roku 1809) pod Andrzejem Hofer przeciw Francyi i Bawaryi. Zamknięci w swych dolinach, Tyrole zachowali nieskalanemi język, obyczaje i charakter piérwiastkowy, i pod tym względem należy im przyznać wyższość nad sąsiedniemi Szwajcarami, skażonemi po części przez zetknięcie z licznymi różnymi krajami pdróżnikami.

Z natury skłonnym będąc do weselości, a zwłaszcza zamilowany w śpiewie i tańcach, Tyrolczyk, przy odgłosie skrzypców lub klarynetu, ochoczo i niezmordowanie wywija walca styryjskiego, gdzie tylko ku temu zdarzy się sposobność. Męczący ten taniec, oprócz zwykłego obrotu wirowego, charakteryzują gwałtowne podskoki, tupanie nogami i klaskanie w ręce do taktu. Śpiewy ich, szczególniej w Alpach, zasadzają się na wydobywaniu odrębnych tonów fistułowych (jodlowaniu), które daleko echem gór rozniesione, przedziwny sprawiają efekt.

Inne zabawy Tyrolczyków wszystkie prawie połączone są z ćwiczeniami gimnastycznymi, jak: pasowanie się, boksowanie, wspinanie na skały i t. p. Walki ich mają pewne prawidła zasadnicze, od których nikomu, pod natychmiastową karą cielesną, zbaczać nie wolno. Najsilniejszy pomiędzy widzami jest sędzią, a zwycięzcy służy prawo zdjęcia piór z kapelusza zwyciężonego i zatknięcia ich na własnym. Strzelanie do tarczy podobnie bardzo jest upowszechnioném, i Tyrolczycy, wprawieni do igrzysk tego rodzaju, doskonałemi są strzelcami. Dziesięcioletnie już chłopięta z zadziwiającą celnością dosięgają zwierzyny na polowaniu, które stanowi prawdziwą ich namiętność naro-

dową. Myśliwiec tyrolski z nieustraszoną odwagą całemi dniami drapie się po skałach dla ubicia jednej skalnicy (gemzy), nocuje na śniegu o chłodzie i głodzie, i nie zmrużając oka, czatuje na swą zdobycz. Czysto narodowe są także ich dyalogi, rodzaj komedyj układanych przez poetów ludowych, które wieśniacy w dnie świąteczne odgrywają, przy niezmiernym natłoku ciekawych z sąsiedztwa widzów.

Zajęcia zarobkowe bardzo są różnorodne w Tyrolu. Jakkolwiek rozwój rolnictwa tamują przeszkody fizyczne, Tyrolczyk umie jednak pracą niezmordowaną z najgorszego gruntu plon jaki taki wydobyć. Czynnici także zajmuje się hodowlą bydła, górnictwem i niektórymi gałęziami przemysłu, zwłaszcza w okolicach nieurodzajnych, gdzie sama przyroda zmusza mieszkańców do zaopatrywania potrzeb najistotniejszych ubocznym jakim zarobkiem. Duch spekulacyi skłania częstokroć Tyrolczyków do czasowego opuszczenia ziemi rodzinnej, a wtedy jako mularze, cieśle, tracze, handlarze kobierców, śpiewacy, lutniści i t. d. ciągną oni na wędrowkę po Europie, z której powróciwszy, osiągniętym zarobkiem kupują potem kawał ziemi.

Uprawa roli odbywa się w Tyrolu z nadzwyczajną sumiennością, sposobem wyrozumowanym, i bardzo obfite, stosunkowo, przynosi zyski. Chłop każdy niepodległym jest właścicielem swego gruntu, a ztąd, jakkolwiekby lichą posiadał część, pewnym jest przynajmniej że nikt mu jej nie wydrze, i w pocie czoła orząc swoją skibę, cieszy się przekonaniem że pracuje dla siebie. Nieograniczona ta swoboda, obok właściwej wszystkim góralom miłości dla zakątka rodzinnego, najważniejszą zapewne jest przyczyną tęsknoty owój i serdecznego przywiązania z jakim każdy Tyrolczyk, w oddaleniu nawet, wspomina kraj swój ojczysty.

MAGNES I MAGNETYZM ZIEMI. ¹⁾

Nazwa magnetyzmu, czyli nauki o magnesach,

¹⁾ Po tym tytułem p. Babinet, członek instytutu francuzkiego, w jednym z tegorocznych zeszytów *Revue des deux mondes* ogłasza ciekawe i bardzo przystępnie traktowane studjum fizyczne, które my w streszczeniu czytelnikom naszym podajemy.

pochodzi piérwotnie od Magnezyi, okolicy Azyi Mniejszej obfitującej w metale. Kamienie magnetyczne ztój krainy znane były w starożytności pod imieniem kamieni Herkulesa, i własność ich cudowna przyciągania żelaza wprawiała w podziw

już Thalesa, tak samo jak uczonych dzisiejszych. Starożytni wszakże, jak się zdaje, nie dostrzegli wzajemnego działania dwóch magnesów na siebie, a ztąd nie znali też ich własności przyciągania się jednym końcem, a odpychania drugim. Podobnież obcóm dla nich było działanie magnetyzmu ziemi na magnes wolno zawieszony. W tym względzie, jak w wielu innych, teoria ich była bardzo obszerną, lecz praktyka prawie żadną.

Oprócz własności bezpośredniego przyciągania żelaza, Rzymianie uważali że skoro kółko żelazne przyczepione było do magnesu, wtedy samo stając się magnesem, przyciągało drugie, i że tym sposobem do pewnej długości można było utworzyć łańcuch magnetyczny. Zdaje się jednak iż naród ten, w ogólności mało spostrzegawczy, nie znał sposobu sztucznego namagnesowania sztab żelaznych, a raczej stalowych, i trudno dziś oznaczyć epokę w której po raz pierwszy przez złączenie kilku takich sztab otrzymano magnesy sztuczne, działające o wiele silniej od tych jakich natura dostarczała w kształcie kamieni.

Lecz jeśli sama już zdolność magnesów przyciągania i utrzymania w zawieszeniu znacznych ciężarów zadziwiała naszych praocjów, o ileż cudowniejszém wydaćby im się musiało zwracanie się igły magnesowej ku biegunom ziemi. Pierwszeństwo zastosowania praktycznego tej własności do żeglugi niezaprzeczenie należy się Chińczykom. W chwili gdy rasa tatarska, ciężąc z północy ku południowi, w Europie i w Azji zapuszczała swe zagony, posłowie mocarstw europejskich, a zwłaszcza Niemiec i Francyi, na dworze wielkiego chana spotkali się z posłami chińskimi, i tej to podobno okoliczności zawdzięcza Europa znajomość bussoli.

Niektóre zabytki piśmiennicze wskazują nam ślad że starożytni posiadali magnesy pływające na powierzchni wody, podobnie jak teraz dla zabawy dzieci puszczamy na nią rybki z namagnesowanemi wewnątrz pręcikami. Rybki te płyną na spotkanie magnesu trzymanego w pewnej odległości, ale za nadstawieniem przeciwnego końca natychmiast uciekają. Próby te powinnyby były naprowadzić starożytnych na odkrycie polarności, o czém jednak w żadnym z pisarzy współczesnych nie znajdujemy wzmianki.

Zanim pomówimy obszerniej o związku zachodzącym między siłą magnesów naturalnych i sztucznych, a biegunami ziemi, wspomnieć należy iż

ogół mięsza zwykle zjawiska przyciągania magnetycznego, ze zjawiskami przyciągania elektrycznego. Tymczasem wielka między niemi zachodzi różnica. Potrzymajmy kawałek laku o sukno, to on przyciągnie na chwilę gałeczkę z rdzenia bżowego zawieszoną na nitce, ale ją zaraz odepchnie; przeciwnie magnes przyciągnie tak samo kulę żelazną, lecz ją zatrzyma przy sobie, a nawet siła przyciągania z czasem nieco się powiększy. Wyjaśnienie tego faktu należy do teorii; wszelako wskazuje on dosadnie różnicę między przyciąganiem magnetycznym a elektrycznym.

Polarność magnesów, czyli siła przyciągania i odpychania ich biegunów przeciwnych, zasadza się na tém, że siła magnetyczna w kamieniach i sztucznie namagnesowanych żelazach nie jest jednostajnie rozdzieloną, ale silniejszą ku końcom. Otóż gdy magnesowi nadamy kształt kulisty, siła ta zkoncentruje się w dwóch punktach przeciwnych, odpowiednich biegunom ziemi. Ztąd miano biegunów północnego i południowego przeszło do magnesów, które w tym kształcie kulistym nazywano dawniej *terrella*, to jest mała ziemia.

Po przeświadczeniu się o tajemniczej atrakcyi magnetycznej i elektrycznej, naturalném bardzo było przypuszczenie że także samo prawo rządzi obrotami ciał niebieskich. Z postępem mechaniki stanął pewnik, iż żadne ciało będące w biegu nie zbacza z linii prostej bez przyczyny zewnętrznej. Domyślano się więc, bez zasady naukowej, ale dosyć racjonalnie, że siła jakaś podobna do magnetyzmu musi utrzymywać na przykład księżyc w równej odległości od ziemi i zmuszać go do opisywania koło niej linii kolistej. Spadanie ciał na ziemię zaczęto także przypisywać jej sile przyciągania. Lecz były to tylko oderwane posłuchy, przeczucia naukowe, nie mogące się ostać wobec słynnej teorii wirowania Kartezjusza. Tak upłynęła połowa XVII stulecia.

Nareszcie Newton odkrył światu ogólne prawo ciężenia. Dostrzegł on że siła przyciągania zmniejsza się w miarę odległości, i to nie w stosunku prostym, ale w stosunku jej kwadratu. Księżyc na przykład, który znajduje się sześćdziesiąt razy dalej od środka ziemi jak ciało spoczywające na jej powierzchni, jest od niej przyciąganym nie 60 razy słabiej ale 60 razy 60, to jest 3,600 razy.

Posiadłszy już tajemnicę obrotów niebieskich, wielki ten człowiek przeniknął cały system budowy wszechświata. Wszystko teraz wytłumaczono,

zważono, zmierzono i przewidziano. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość świata materialnego stały się zdobyczą geniuszu ludzkiego.

W lat wiele dopiero po Newtonie Coulomb dowiódł że prawo atrakcyi magnetycznej i elektrycznej jest takie samo jak prawo ciężenia. Od czasów już Thalesa starano się wszelkimi sposobami zgłębić działanie ciał namagnesowanych, złożono nawet później dosyć silne magnesy sztuczne; lecz nie zdołano uchylić zasłony pokrywającej tajemnicze to zjawisko przyrody. Wytłumaczenie teorii magnesów, olbrzymi ten postęp nauki, naszym zostawione było czasom.

Aż do wieku XIX magnesy naturalne, stal namagnesowana i kula ziemską były jedynymi ciałami znanymi o własności magnetycznej. W pierwszych latach bieżącego stulecia spostrzeżono że jeszcze dwa inne metale, nikel i kobalt, własność tę posiadają; mniemano jednak że to pochodzi z przyczyny że ony mieszczą w sobie części żelaza. Później dopiero, gdy Laugier dwa te metale otrzymał w stanie zupełnej czystości, przekonano się o bezwzględności ich magnetyzmu. Był to fakt ciekawy sam przez się, ale pod względem teoretycznym nic jeszcze nie objaśniający.

Roku 1820, gdy świat naukowy od ćwierci wieku znał działanie stosu Volty, i za pomocą tego cudownego przyrządu wykonano już tysiączne doświadczenia mechaniczne, fizyczne, chemiczne i fizyologiczne, uczony duński Oersted spostrzegł że strumień elektryczny stosu, przeprowadzony drutem metalowym, sprawia zboczenie igły magnesowej, w kierunku prostopadłym do kierunku strumienia. Ważne to odkrycie wywiodło magnetyzm z dotychczasowego odosobnienia, dowodząc że i elektryczność wzbudzić może działanie magnetyczne. Oersted był Krysztofem Kolumbem magnetyzmu, Ampère został jego Pizarrem i Ferdynandem Cortes. Znakomity ten fizyk przeniknął siłą geniuszu, że elektryczność wyłączną nawet jest przyczyną magnetyzmu. Magnes, podług niego, jest tylko zbiorem właściwie skierowanych prądów elektrycznych; i rzeczywiście zdołał otrzymać sztuczne magnesy, za pomocą elektryczności przeprowadzonej przez drut metalowy okręcony około kawała miękkiego żelaza. Działanie ziemi na igłę magnesową tłumaczy on istnieniem na globie naszym stałych prądów elektrycznych, w kierunku ze wschodu na zachód, przez co, według powyższej przytoczonego doświadczenia ze stosem Volty,

igielka statecznie wskazywać musi na południe i północ. Przekonano się także iż przyciąganie magnesów otrzymanych przez elektryczność, tak samo jak magnesów naturalnych, działa w stosunku odwrotnym kwadratów z odległości.

W książce wydanej r. 1822 Ampère podaje myśl przesyłania sygnałów za pomocą działania strumienia stosu na igielkę magnesową. Rozdział dotyczący tego przedmiotu nosi tytuł: *Telegraf elektro-magnetyczny*. Tym sposobem pierwszeństwo wynalazku telegrafu elektrycznego niezaprzeczenie należy się Ampère'owi.

Arago spostrzegł dalej iż żelazo wolno zawieszona obraca się za magnesem, choćby ten nawet zamknięty był w skrzyni i szczelnie odosobniony. Był to fakt podówczas niewytłumaczony; zanotowano go więc tylko i czekano wyjaśnienia.

Aż dotąd wiedziano tylko z doświadczeń Ampère'a że za pomocą elektryczności można otrzymywać magnesy; lecz jak za pomocą magnesów wzbudzić elektryczność? Jeżeli magnes każdy jest zbiorem strumieni elektrycznych, jak je wydobyć ztamtąd, ująć i zmusić do objawienia się na zewnątrz?

Zadanie to rozwiązał Faraday, który tłumacząc tylko co wspomniane doświadczenie Araga działaniem prądów elektrycznych, wzbudzonych przez magnes w wolno zawieszonj sztabie żelaza, powziął szczęśliwą myśl skupienia tych prądów, podobnie jak w stosie Volty. Magnes w jego ręku stał się potężnym przyrządem, za pomocą którego otrzymywał wszystkie zjawiska elektryczne: przyciąganie, odpychanie, iskry, działanie chemiczne, ciepło, światło, wstrząśnienia nerwowe, zboczenie igły magnesowej i t. p.

Wspomnieć tu należy o inném jeszcze odkryciu Faraday'a, odnoszącém się do działania magnesów na światło. Fizyka posiada sposoby odróżniania, że się tak wyrazimy, bryłowatości pojedynczych promieni światła. Otóż Faraday, za pomocą siły elektro-magnetycznej, uskutečnił obrót promienia światła naokoło swj osi. Obfity to niezawodnie zaród przyszłego postępu nauki o świetle i związku jój z elektrycznością. Jest to rozległa kraina, widziana w szybkim na skrzydłach pary przelocie, obiecująca bogaty plon, gdy ją się zbada spokojnie i rozważnie, zapowiedź nowego poglądu na pierwotne siły przyrody, podobnie jak odkrycie Oersteda stało się dla Ampère'a drogą do pewnika że wszelkie zjawiska magnetyczne są

tylko skutkami elektryczności. Przed nim uczeni przypuszczali musieli istnienie dwóch osobnych sił przyrodzonych, magnetyzmu i elektryczności; Ampère, zlewając je w jedno, uprościł system natury, i rozszerzył, jak Newton, dziedzinę inteligencji ludzkiej.

Piękną teorią Ampère'a, której niestety elementarnie wyłożyć niepodobna, nazwać można zarazem teoretycznym określeniem magnetyzmu. Magnetyzm, według niej, będzie wynikiem działania strumieni elektrycznych, obiegających części składowe magnesu. Magnetyzm ziemi, podług téjże teorii, uważać należy za skutek prądów elektrycznych idących od wschodu ku zachodowi, których istnienie rzeczywiście nie ulega już zaprzeczeniu. Pomnąc zresztą że elektryczność wpływa

przeważnie na organizmy zwierzęce i roślinne, uznać ją musimy za najglówniejszą sprężynę mechanizmu wszechświata.

Z tego jednak iż teoria magnetyzmu została rozjaśnioną przez elektryczność, nie należy wyprowadzać wniosku jakoby tajemnica przyciągania i odpychania magnetycznego była już tém samym przeniknioną. Przeciwnie; zrobiono tylko te zjawiska zależnemi od strumieni elektrycznych, lecz istota ich wewnętrzna niemniej przeto pozostaje zagadkową. Zamiast dwóch przypuszczalnych działaczy, mamy jeden; wielkie to zapewne uproszczenie, lecz nie ostatnie jeszcze słowo zagadki, której zupełnego rozwiązania nigdy się może nie doczekamy.

PALACZE OPIUM

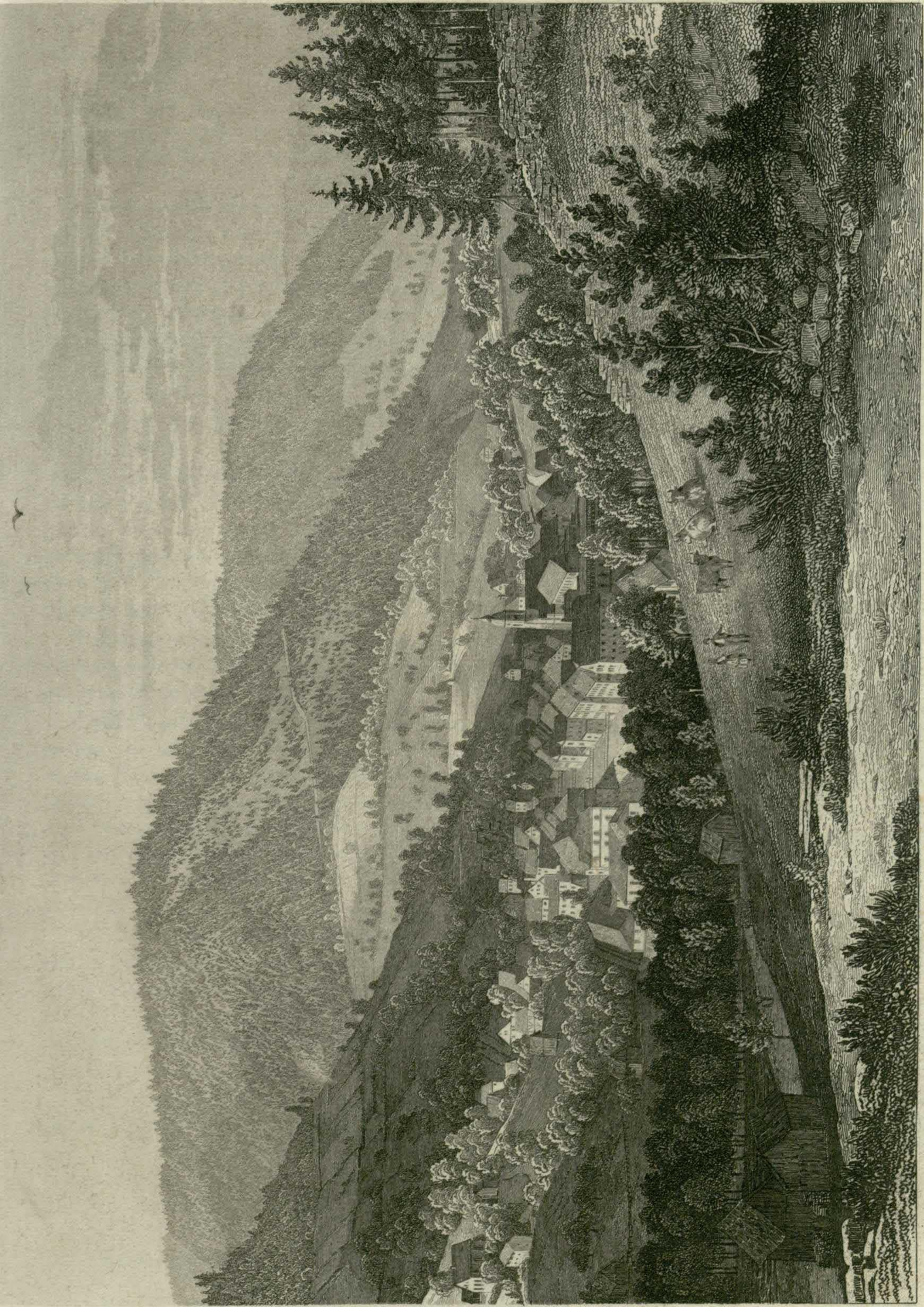
W INDYACH ANGIELSKICH.

Jak wszędzie na Wschodzie, tak i w Indjach użycie opium niezmiernie jest upowszechnione. W samym okręgu Singapore liczba palaczy téj trucizny dochodzi do 14,000. Od najdawniejszych czasów opium stanowiło ważny artykuł wewnętrznego handlu indyjskiego, w roku zaś 1773 kompania angielska pierwszy raz wprowadziła je do Chin. Szkodliwe jednak działanie tego narkotyku na zdrowie mieszkańców państwa Niebieskiego tak było widoczne, że już 1796 r. rząd tameczny wydał postanowienie karzące palenie opium jako zbrodnię. Nie zapobiegło to wszakże przemycaniu, i dziś odbyt artykułu tego do Chin stanowi jedną z najważniejszych pozycji budżetu wschodnio-indyjskiego, wynosi bowiem 70,000 skrzyń, wartości 7 millionów dolarów.

W samych Indjach angielskich od r. 1851 rząd wypuszcza prawo sprzedawania opium więcej dającym, a licytantami zwykle są Chińczycy. W sklepach utrzymywanych przez dzierżawców konsumpcja artykułu tego odbywa się sposobem następującym. Sok narkotyczny, oczyszczony wprzód z obcych części, gotuje się do gęstości ciasta, i w takiej postaci nazywa się *czandu*. Do palenia służą cybuchy bambusowe, mające około jednej stopy długości, osadzone w przykryte fajki, z o-

tworami niewiększemi jak ziarno grochu. Drugi koniec cybucha opatrzony jest w blaszkę metalową, z małym otworem do wciągania dymu. Konsument, przystępując do palenia, nadzięwa małą galeczkę czandu na koniec szpikulca żelaznego, rozpala ją nad lampką spirytusową, wkłada następnie do fajki i uracza się upajającym jój dymem.

W Indjach angielskich powyżej Gangesu liczba ogólna palaczy opium dochodzi do 40,000, z których 14,000 przypada na Singapore, 12,000 na Pinang z prowincją Wellesley, 13,000 na Malakę, a reszta na kopalnie cyny w Kassang. Cyfry te nigdy się prawie nie zmieniają; wiadomo bowiem że niepodobna odzwyczaić się od używania téj trucizny bez pomocy lekarskiej, a pomoc ta przystępną jest tylko dla małej stosunkowo liczby mieszkańców. Przecięciowo w trzech wymienionych okręgach wychodzi na wewnętrzną potrzebę 900 skrzyń rocznie, za które konsumenci w częściowem kupnie bajeczne płacą summy. Kompania angielska nabywa opium od producentów po 300 rupij sr. (rupia = blisko 60 kop. sr.) za skrzynię, odstępuje je zaś po 900 — 1100 rupij dzierżawcom, którzy w sprzedaży szczegółowej cenę tę niekiedy jeszcze potrająją.



Stich. Druck u. Verlag v. C. Neeller in Stuttgart

F. F. Wagner del. & sc.

WILDBAD.

WILDBAD

PRZEZ

Dra. T. Tripplina.

Sławne i coraz sławniejsze ze skuteczności wód swoich Wildbad, leży o mil kilka od Stutgartu, stolicy niewielkiego ale wcale miłego królestwa wirtemburskiego, a rozpościęra się ta zdrowiodawcza miejscowość w malowniczej otchłani jednej z najpiękniejszych dolin Czarnolesia (Schwarzwald) okrążona wierzchołkami gór, iglastym borem pokrytych.

Całe miasto składa się z jednej ulicy, jak u nas niejedno większe miasto, na przykład Łódź lub Suwałki; lecz ta ulica podzielona jest na *wysoką* i na *nizką* przez arkadę. Z jednej strony tej przegrrody w górniejszych sferach wznoszą się pałace szczytnego smaku i wymyślnego komfortu dla bogatych; z drugiej strony na spadkach, w nizinach pełzają domki, chałupy i lepianki ubogich.

W środku doliny płynie rzeka Enz, której zbulwarowane i drzewami osadzone brzegi służą kąpiącym się za miejsce przechadzki.

Zakład kąpielny szczyli się architekturą wprawdzie bardzo klassyczną i wzniosłej miejscowości odpowiednią, lecz może zbyt ponurą, i płytkim osobom kłopotliwe uczucie wzbudzić zdolną. Wszystkie główne i najskuteczniejsze źródła Wildbadu tam swoje wody wylęwają paszczami trytonów i delfinów, których liczba odpowiada obfitości źródeł.

Woda Wildbadu najmniejszego nie posiada ani smaku ani zapachu. Czyściutka jak kryształ i przezroczysta, ogrzana jest owym rzeczywiście tajnym cieplikiem, we wnętrzu ziemi zawartym, na dwadzieścia pięć do trzydziestu czterech stopni termometru stnostopniowego.

Dziwna rzecz! rozbiór chemiczny nie wykrył także żadnego czynnego pierwiastku, ani jodu, ani bromu, ani siarki, ani żelaza, ani nawet miłego kwasu węglowego. Jeden lub dwa grany węglanów lub solanów alkalicznych nie stanowią bynajmniej rzeczy.

Wszelako źródła Wildbadu wywierają rzeczywistą działalność, która bynajmniej nie jest płodem wyobraźni chorego, lecz istotnie ugruntowana w przymiotach wody mineralnej. Bez wszelkiej wątpliwości temperatura wzniesiona tajemnymi wpływami ziemi, może elektrycznością a może magnetyzmem, *duch wody mineralnej* niedający się rozbięrać ani rozdrabniać, pełni tutaj ważną misję, zwłaszcza że leczenie tą wodą zasadza się najwięcej na użyciu kąpeli. Dowodem że jakiś duch lub gaz osobliwego rodzaju musi być podstawą skuteczności tych wód, jest to, że kąpiele użyte tylko o pięćdziesiąt kroków od źródła całkiem tracą swą skuteczność, chociażby nie straciły ani jednego stopnia ze swego cieplika.

Chorzy kąpią się zwykle razem we wspaniałej sadzawce zakładu, do której kilka źródeł wylęwa bezprzestannie swój zdrowiodawczy kryształ. Ta sadzawka podzieloną jest poręczami na kilka pomniejszych oddziałów nierównej wielkości, dla ograniczonej liczby osób. Każdy z tych oddziałów oznaczony jest osobną nazwą. Najobszerniejszy nosi nazwę *pańskiego* (Herrenbad); mniejszy, wykwintnie przyozdobiony, zwie się *hrabskim* (Grafenbad); najmniejszy, pod kopułą byzantyńską, pyszni się nazwą *książęcego* (Fürstenbad). Woda i skuteczność jej też sama we wszystkich oddziałach, ale cena wcale nie równa; wszystko zaś obrachowane na dziecinną próżność arystokracji niemieckiej, która nawet u nas wydawałaby się śmieszna, zwłaszcza że u nas stare książęce rodziny, które się krajowi zasłużyły, mniejszemi władają środkami piędźnemi od młodych hrabiów zbożonych w czasach roztwarzania się.

We wszystkich tych kąpielach posadzka wysłana jest piaskiem cienkim i lekkim, tworzącym jakoby miękki kobierzec, przez który znika w głębi warstwa spodnia i najmniej ogrzana wody. Płynny żywioł, dotykając ciała, rozpryskuje się w malutkie banieczki gazu, lechące przyjemnie

skórę. To też lubią pozostawać goście w tej wodzie, zabawiając się niewinnymi rozmowami o pogodzie lub o wirtemburskiej polityce. Jednakowoż nie trzeba się podawać zbyt długo rozkoszom tej kąpieli i tych rozmów, bo przeciągnięta poza godzinę, kąpiel może spowodować ból głowy, a nawet uderzenia do mózgu. Nigdy woda zwyczajna, drzewem lub węglami ogrzana, nie wywrze takiego wpływu, chyba żeby była nadzwyczaj silnie ocieploną.

Ten sposób kąpania się w licznym towarzystwie zawsze ma coś w sobie obrażającego wstydlivość, a przynajmniej delikatność, dobrze wychowanych osób; z uwagi wszakże iż damy, hrabiny i księżne nie kąpią się nigdy razem z panami, hrabiami i książętami, że sadzawka zawsze jest wypróżniana po każdej kąpieli, że kąpiący się w tej wodzie muszą poprzednio raz jeden wykąpać się w wannie w wodzie mydlanej, każdy, mając przed oczyma przykłady wyborowych skutków z tej kąpieli odnoszonych, zgadza się na ten sposób odżywiania się w wodzie wildbadzkiej, i nie wzdraga się naśladować innych. Dodać tu winniśmy że każdy z kąpiących się jest odziany w długą płócienną oponczę. Jednakowoż każdy tego pragnący kąpać się może w oddzielnym namiociku.

Zródła Wildbadu bardzo się zbliżają skuteczno-

ścią do wód Schlangenbadu i Gasteinu, których dałiśmy opis w Księdze Świata. Wody te zmiękczają, uspakajają, i przez to pośrednio służą jako potężny środek wzmacniający we wszystkich chorobach lub chorobliwych usposobieniach, przeciw którym walczyć nie można mocno zmineralizowanymi wodami.

Wildbad wyborny jest przeciw osłabieniom nerwowym i pewnym boleściom wstawów, natury reumatyczno-newralgicznój.

Niewiele tu sztucznych przyjemności, zwłaszcza balów, koncertów, przedstawień lub widowisk; lecz piękność okolicy, bogactwo geologiczne, powietrze czyste którém się tu oddycha wśród balsamicznych powiewów smolnych lasów, oto prawdziwie zachwycające rozkosze, hojnie nas wynagrodzić zdolne za brak komedyantów, skoczków, prestydigitatorów, wirtuozów muzycznych i brzechomówców, któremi w innych kąpielach trapią biédnego, nie zabaw lecz zdrowia szukającego gościa. Zamiast ciągłego chwalenia życia sielskiego, czyż nie lepiej byłoby nareszcie pokochać to życie na prawdę, i w sobie samym wyrobić zasoby zabezpieczające od owych okropnych nudów, zalegających próżne umysły, a których rozpędzanie wyczerpuje większą część dochodu naszego biédnego kraju?

ZWYCZAJE I OBYCZAJE

MIESZKAŃCÓW POŁUDNIOWEJ AUSTRALII.

Indyanie Australii nie są bynajmniej tak mało towarzyscy, jak utrzymują niektórzy podróżnicy. Odbywają oni pomiędzy sobą schadзки regularne, z ceremoniałem zbliżonym do europejskiego. Goście przybywają do gospodarzów uzbrojeni, w postawie wojowniczej; lecz w pewnej odległości przysiadają na ziemi, co znaczy że przychodzą w zamiarach przyjacielskich. Wtedy następują przedstawienia nieznanających się wzajemnie, przyezem naczelnicy pokoleń objaśniają ich rodowód i położenie majątkowe. Wieczorem odbywają się tańce i pantominy, wykonywane na-

przemian przez rozmaite plemiona. Tańce narodowe pokolenia Adelaidy nazywają się *kuri* i *palli*.

Kuri tańczą sami tylko mężczyźni, kobiety zaś i dzieci, jako widzowie, siedzą w półkolu na ziemi, a jeden *burka*, czyli starzec, wybija takt dwiema palczkami. Tancerze tupią i wyskakują, każdy na swoją rękę, ustrojeni w pióra papugi kaka-du i pomazani krédą na całym ciele. *Palli* nierównie jest hałasliwszy, bo kobiety i dzieci walą pięściami w wyprężone skóry kengurów, podczas gdy mężczyźni kręcą się i śpiewają.

Utarczki pomiędzy nieprzyjawnymi sobie ple-

mionami bywają zawsze w wigilią poprzedzane tańcami; dopiero nazajutrz ze świtem rozpoczyna się walka, a odbywa się tak cicho i nienamiętnie, jak gdyby im chodziło nie o sprawy osobiste, tylko o ćwiczenie młodzieży w rzemiośle wojenném. Przez kilka godzin trwającego boju nie słyhać czasem ani jednego wykrzyku, chociaż walczących jest kilkudziesięciu, a kilkaset kobiet i dzieci przypatrzuje się krwawym ich zapasom.

Władza prawodawcza i wykonawcza spoczywa wyłącznie w ręku starców, którym w miarę przybywania lat, przybywa wpływu, i znaczenia. Tylko najpoważniejsi wiekiem posiadają wszystkie narzędzia wojenne, myśliwskie, czarnoksiężkie i lekarskie, których młodszym ani dotknąć się wolno.

Dziewczęta w dzieciennym jeszcze wieku zostają zaręczone, a w dwunastym roku wydawane za mąż. Bliższym krewnym, jak np. stryjecznemu i ciotecznemu rodzeństwu, łączyć się nie wolno. Najstarsi mężczyźni najmłodsze zwykle miéwają żony, za które w zamian oddają córki. Gdy kobieta dojdzie do lat 35 lub 40, mąż ją oddala, a starszyzna wtedy łączy ją z nieżonatym jeszcze młodzieńcem. Wielożeństwo jest dozwolone, i często téż Indyanie australscy, jeśli posiadają odpowiednie środki, żyją ztrzema i cztériema żonami, którym, skoro się zestarzeją, dają odprawę w sposób wyżej wzmiankowany. Widocznie cała tu korzyść po stronie starców.

Każde dziecko płci męskiej przechodzić musi pięć stopni czyli epok wieku. Pierwsza, od urodzenia do 10 roku, jest epoką dzieciństwa. W drugiej, od lat 10 — 14, pomazują chłopców krwią utoczoną z ręki dojrzałego mężczyzny. Od 14 roku zaczyna się epoka trzecia, w której, wśród licznych i uroczystych ceremonij, następuje obrzezanie. Jest to wiek młodzieńczy, trwający do lat 20. Po nim idzie wiek męzki, odznaczony tetowaniem pleców, piersi, ramion i rąk. Piąta nareszcie epoka jest dobą starości, w której męszczyzna przybiera miano *burka*, zapuszcza brodę i długie włosy i cieszy się przywiązaniem do stanu swego przywilejami.

Zastanawiającą jest okoliczność że pokolenia australskie, o ile przynajmniej dotąd wiadomo, nie mają żadnej religii, ani nawet obrządków religijnych, i nie wierzą w istnienie bóstw dobrych, twórczych i zachowawczych. Zkąd powstał świat i wszystko co ich otacza, to mało ich obchodzi, i posiłkują się w tém bardzo wygodną teorią, że na

początku musiał być ktoś co stworzył sam siebie, a potem drugich. Zato lękają się niezmiernie złych duchów, przeciw działaniu których chronią się zaklęciami czarnoksiężników. Wpływ tych ostatnich, jak wszędzie w narodach niecywilizowanych, bardzo jest wielki: przyznają im możność nietylko zamawiania chorób, lecz tworzenia deszczu i gradu, wstrzymywania biegu rzek, dowolnego przybierania różnych postaci i t. d.

Australczycy wierzą w duszę istniejącą odrębnie od ciała, i podług wyobrażeń ich przenosi się ona po śmierci w wielką otchłań, gdzie wszystkie dusze, w postaci małych chłopczyków, uczują sobie rozkosznie, zając gąsienice, jaszczurki, żaby i mięso kengurów. Nocami wychodzą na powierzchnię ziemi i wyprawiają różne psoty. Inne pojęcie o stanie pośmiertnym, powstałe dopiero po zetknięciu się tubylców z Europejczykami, zaszła się na wierze w przechodzenie dusz Indyan w ciała Białych, których widać uznają za wyższe od siebie istoty. Niektóre plemiona, dla odstraszenia złych duchów, palą w swych koczowiskach ognie; inne znów tak mało się ich lękają, że w nocy księżycowe wychodzą na polowanie.

Wiara w różne obrzędy zabobonne i gusła cechuje Indyan australskich na równi z innymi narodami nieoświeconymi. Kości niektórych zwierząt uchodzą u nich za cudowne talizmany do ulęczenia wszelkich chorób, a te same kości spalone uśmiercać mają nieprzyjaciół. Gdy dwa plemiona zostają z sobą w wojnie, a ktoś z jednej albo drugiej strony zachoruje lub umrze, to niezawodnie winę przypiszą czarnoksiężnikom strony przeciwniej. Wierzą dalej w olbrzymi jakiś potwór kształtu ludzkiego, zwany w języku krajowym *ruingo*, który w nocy lata po powietrzu i podkopyje się pod szałasami. Kaléctwa fizyczne wszelkiego rodzaju uważają za sprawione wpływem gwiazd nieprzyjaznych.

Wykonywanie sztuki lekarskiej należy wyłącznie do czarnoksiężników, którzy uzdrawiają chorych przyłożeniem ust w miejsce zbolale i udaném wysysaniem złych soków, puszczaają krew kawałkiem zaostrego kryształu górnego, wygniatają ciało rękami, a niekiedy z ust cierpiącego wyjmują niby kości, jako mniemaną przyczynę choroby.

Zmarłych chowają głowami na zachód, a pozostali krewni nad grobem ich w paroksyzmie rozpaczycy targają sobie włosy i kaléczą ciało. Zwłoki maleńkich dzieci palą zwykle na stosie. Niektóre

pokolenia suszą ciała znakomitych nieboszczyków i wsadzają je na drzewa, ku powszechnemu uczczeniu. Żałoba polega u nich na obcięciu włosów i brody, lub osmaleniu ich za pomocą gorącego popiołu. W niektórych okolicach kobiety robią sobie z białego tonu i trawy rodzaj czapki, i tę zostawiają na głowie póki nie przyschnie, a nareszcie sama się skruchy. W ogólności kolor biały w Australii jest żałobnym. Na mogiły zmarłych przechodnie, podobnie jak u narodów słowiańskich, rzucają świeże gałęzie.

Głównym powodem nieustannych walk pomiędzy krajowcami australskimi jest nieszczęśliwe przekonanie, że nikt nie umiera śmiercią naturalną, tylko z przyczyny oczarowania przez nieprzyjaciół, których krew tylko pomścić może nieboszczyka. Mężczyźni, rozjątrzeni do wściekłości krzykami i wyciami kobiet nad ciałem zmarłego, zrywają się wtedy w rozpaczliwym szale, i lecąc na oślep gdzie nogi ich poniosą, zabijają pierwszego lepszego co im się nawinie. Naturalnie że zwyczaj taki stać się musi ziarnem ciągle ponawianych zatargów.

Zajmującymi dosyć są tradycje mitologiczne Australczyków. Słońce wyobrażają sobie w postaci niewiasty i utrzymują że po zachodzie przechodzi ono w krainę zmarłych. Tam, za przybyciem świetlanej gwiazdy dziennej, nieboszczyki stają w dwóch szeregach, pomiędzy którymi słońce tryumfalnie się przesuwają. Za nocne te odwiedziny zmarli obdarzają słońce czerwoną skórą kenguru, i dlatego częstokroć z rana w szkarłatnej występuje ono szacie. Księżyc także jest kobietą, która przy złym mężu, Nurrunduri, chudnie coraz bardziej; małżonek wypędza ją nareszcie, i biedna przez dwa tygodnie tuczyć się musi pożywnym jadem, póki znów nie utyje. Gwiazdy wszystkie także były kiedyś ludźmi, i codziennie też zstępują na ziemię, dla zajęcia się zwykłymi zatrudnieniami swojemi. Droga mleczna w mniemaniu Australczyków jest gromadą chat niebiańskich, z których zdaje im się nawet że widzą wznoszący się dym.

O stworzeniu świata żadnej podobno nie posiadają tradycji; mają jednak swoje podania o powstaniu wody, skał, deszczu, gorąca, mowy i t. p. Ostatnie z nich, jako odznaczające się szczególnością pomysłu, przytaczamy. Bardzo dawno temu żyła na Wschodzie staruszka imieniem Wurruri, która wiele robiła złego, a szczególnie w nocy, kiedy wszyscy spali, rozniecała pożary. Kobieta wreszcie umarła, i posyła na wszystkie strony

roznieśli radosną o zgonie jej wiadomość. Zbiegły się pokolenia z północy, południa, wschodu i zachodu, tym razem jednak nie w celu wyrzekania, ale wspólnej uciechy. Plemiona południowe pierwsze rzuciły się na trupa i zaczęły pożerać jego mięso, poczem natychmiast przemówiły. Za niemi w ślad poszły plemiona wschodnie, dla których zostały tylko płuca, serce i wątroba, i dlatego język ich stał się nieco odmiennym. Plemiona na koniec północne i zachodnie poprzestać musiały na ogryzkach, i ztąd też mowa ich jest nierównie brzydszą i uboższą.

W ogólności wszystkie podania Indyan australskich noszą cechę bujnej wyobraźni, lecz zarazem dzikości i okrucieństwa. Główne ich tło stanowi najczęściej podstęp i zabójstwo, a właśnie naśladowanie tych wzorów podaniowych za największą poczytują sobie chlubę. Ztąd podstęp i chytra złośliwość głęboko się wszczepiły w narodowy charakter Australczyków. Zresztą instytucje ich społeczne, a zwłaszcza sposób zawierania małżeństw, nie przyczynia się bynajmniej do rozwinięcia uczuć łagodniejszych i przywiązania rodzinnego. Miłość jest u nich wyrazem prawie nieznanym, bo, jak wspomnieliśmy, dwunastoletnie dziewice dostają się zwykle starcom, a stare, po dwudziestu latach szczęśliwego pożycia wypędzone mężatki, młodzieńcom. Starszyzna kojarzy stadła, a młodzi bezwarunkowo muszą być posłusznymi.

Jeden tylko przykład prawdziwej miłości między dwojgiem młodych ludzi przytacza misjonarz Meier, który lat kilkanaście przepędził pośród krajowców australskich. Młodzieniec z pokolenia Bameres nad jeziorem Boni zakochał się w dziewczynie z nieprzyjaznego pokolenia Rengmutkos, a znalazłszy wzajemność, wykradł ją potajemnie. Wkrótce jednak starszyzna dowiedziała się o tym czynie zuchwałym i rozkazała odesłanie porwanej dziewczyny. Uchwała rady *burków* była wyrokiem bez appellacyi; Rangan więc (tak nazywano młodzieńca, z powodu niezwykłej szybkości jego biegu), rad nierad musiał się rozstać z kochanką. Po dwóch tygodniach jednak wykradł ją powtórnie.

Tym razem rada starszych, po dojrzałej rozważce, postanowiła nie przepuścić tak bezprzykładnemu nieposłuszeństwu. Przywołano oboje winowajców i kazano Ranganowi najprzód ochłostać żonę, a potem pod karą śmierci na zawsze ją oddać. Stało się zadosyć poleceniu: młoda niewiasta z godną uwielbienia cierpliwością i rezygnacją wy-

trzymała bolesne razy, zadane ręką ukochanego, i smutna, zaplakana powróciła do swoich.

Rangan samotny pozostał w swój chacie. Nadaremnie towarzysze przez dni kilka wzywali go do udziału w tańcach i polowaniu: młodzieniec nie tylko że zabaw odmawiał, lecz wzbraniał się nawet przyjmować pożywienie. Trzeciego dnia rano wyszedł na wzgórze przyległe, z kąd widać było w oddaleniu wznoszące się dwa słupy białego dymu, zapewne znak umówiony między kochankami. Rangan zarzucił burkę ze skór dydelfów, chwycił za dzidę i bez namysłu pobiegł w stronę dymu. Wiedział że gdyby go raz jeszcze schwytano, nieuniknąłby śmierci; lecz miłość stłumiła w nim oba-

wę. Przy ogniu zastał dziewczynę z niezagojonymi jeszcze ranami, od dwóch dni czekającą jego przybycia. Kochankowie opuścili swe pokolenia, i odtąd nic o nich nie słyszano.

Przygoda ta może się wydać niejednemu trochę za nadto na sposób europejski romantyczną; a jednak opowiadacz zaręcza za jej prawdziwość. Dowodzi ona że zaród szlchetnych uczuć spoczywa w piersi tych plemion nieokrzesanych, i że z postępem czasu zbawienny wpływ cywilizacji chrześcijańskiej, gorliwie dziś szerzonej przez misjonarzy, wytepić w nich zdoła dzikie okrucieństwo i zwierzęce popędy jakimi dotąd się odznaczają.

AUGUSTYN THIERRY.

Po nowym zwrocie pragmatycznym, jaki w XVIII stuleciu dziejopisarstwu francuzkiemu nadały dzieła Voltaire'a, Montesquieu'go, Bonneta de Mably i innych, nastąpiło chwilowe zubożenie dla tej gałęzi wiedzy, spowodowane przez wypadki polityczne. Jednakże olbrzymie wstrząśnienia rewolucyj 1789 r. i cesarstwa, lubo na czas jakiś we Francji i w całej prawie Europie zawiesiły działalność literacką, w ostatecznym swym wyniku odżywiły naukę historii, dostarczając pisarzom tego kraju potężnych żywiołów do kręślenia obrazów epoki nowoczesnej. Na gruncie więc restauracji, użyzionym krwią bitew napoleońskich, w niezmierniej obfitości wybujały pisma historyczne, których autorowie, według za-



sady przyjętej w ich wykładzie, zaliczyć się dadzą do trzech szkół oddzielnych. Przedstawicielem

szkoły *systematycznej* czyli *racyonalnej* jest Guizot, grupujący wypadki massami i wprowadzający z nich pragmatyczne wnioski, niekiedy zbyt daleko sięgające. Szkoła *opisowa*, do której należą Barante, bracia Thierry i w części Capefigue, kręśli wypadki, charakter i obyczaje danej epoki z wiernością genetyczną, a w stylu, naiwnym zwykle i malowniczym, naśladuje kroniki średniowieczne. *Fatalistyczna* nareszcie szkoła, której głównymi reprezentantami są Mignet i Thiers, ogranicza się na historii politycznej, przedstawiając wypadki i czyny pojedynczych osób jako konieczne następstwo okoliczności. Mi-

chelet w swojej „Histoire de France” zajął stanowisko pośrednie między pierwszą a drugą szkołą, łącząc metodę pragmatyczną z opisową i starając się podnieść obie do wysokości poglądu filozoficznego. Z innych koryfeuszów dziejopisarstwa francuzkiego Lamartine (Histoire de la restauration, Histoire des Girondins) i Edgard Quinet (Histoire des révolutions d'Italie) do żadnej nie należą szkoły. Pierwszy z nich jest więcej romantykiem i poetą jak historykiem; drugi genialnym marzycielem, którego dziełom, pomimo wysokich zakładów zalet, zbywa często na jedności i konsekwencji.

Jakkolwiek nie ulega zaprzeczeniu że stanowisko filozoficzne, jakie Michelet zajmuje w historii, *bezwzględnie* wyższem jest od pragmatycznego, na którym widziemy Guizota, Thiersa, Migneta i innych, a ci znów wyżej stoją od przedstawicieli szkoły opisowej, to przecież dodać powinniśmy iż żaden z przodowników nauki w trzech wymienionych kierunkach nie dorównał *względnie* Augustynowi Thierry; to znaczy iż żaden z nich tak wyczerpująco nie spełnił swego zadania na raz obranem stanowisku, żaden tak świetnie nie wywiązał się z roli natchnionego i porywającego wyprawą opowiadacza zamierchłej przeszłości, jak autor „Zdobycia Anglii przez Normandów.”

Jakub Mikołaj Augustyn Thierry urodził się w Blois 20 maja 1795 r. Otrzymał pierwsze kształcenie w kollegium swego miasta rodzinnego, w szesnastym roku życia przybył do Paryża i został umieszczony w tamecznej szkole normalnej.

Roku 1813, mianowany nauczycielem w małym miasteczku prowincjonalnym, zaczął z całym poświęceniem oddawać się obranemu zawodowi. Ale nadeszła chwila upadku cesarstwa Napoleona I; z powodu klęsk politycznych nauczanie zostało przerwane, i Thierry powrócił do Paryża.

Oddany pracom naukowym, młody badacz poznał się tu z Saint-Simonem, którego system socjalistyczny tak głośną w późniejszym czasie zjednał sobie sławę. Owładnięty wpływem tego marzyciela, olśniony śmiałością i rozległością widoków jego społecznych, został wkrótce przyjacielem jego i współpracownikiem. W jednej z broszur filozoficzno-politycznych Saint-Simona wydanych w owym czasie, Augustyn Thierry wspomniany jest nawet jako syn przybrany swego mistrza. W tym także czasie (1816) wystąpił z pracą samodzielną: „Des nations et de leurs rapports mutuels”.

Roku 1817 Thierry, poznawszy się na nicości

teoryj socjalistycznych, przyłączył się do redakcyi dziennika „Le Censeur européen”, założonego przez p. p. Comte i Dunoyer. W piśmie tém skreślił on obraz rewolucyj angielskich od najazdu Normandów aż do śmierci Karola I. Zachęcony powodzeniem tego ciągu artykułów, gotował się wznieść chorągiew reformy historycznej, chciał udowodnić że dotąd dziejopisarze niewłaściwą postępowali drogą, zbyt mało zwracając uwagi na rasy zwyciężone i podbite, że należało dla historii obrać stanowisko ogólniejsze, bardziej demokratyczne. Wkrótce atoli dziennik któremu poświęcił swoje pióro przestał wychodzić.

Młody publicysta został wtedy współpracownikiem „Courrier français” i ogłosił w nim seryą listów o historii Francji, w których rozwinął już po części zasady przyszłej swój działalności. Lecz znakomita ta praca nie przypadła do gustu publiczności, niedostatecznie jeszcze przygotowanej do poważnego czytania, i Thierry, w obec narzekania abonentów, zmuszony był jęj zaniechać.

Jak wszystkie umysły młodociane, przejęte ideami wolności, i Thierry podczas restauracyi żadnego w sprawach publicznych nie brał udziału. Z podwojoną zato usilnością rzucił się do studyów historycznych, i wkrótce całkiem samoistnie o nauce historii wyrobił sobie pojęcie. W dziejach Anglii i Francji, którym szczególnie się poświęcił, stosunek ras zdobywczych do ras ujarzmionych podał mu klucz do rozjaśnienia bytu politycznego i społecznego obu tych narodów. Roszczenia dynastyczne i szlacheckie w obec tych badań runęły w gruzy. Zrozumiał on iż pragmatyczność, której dotychczas trzymała się historia, nie może dostatecznie wyświecić prawdy. Wsparty więc gruntowną nauką i żywą wyobraźnią, obrał metodę genetyczno-opisową, i postanowił wypracować w tym kierunku wielką epopeję historyczną: *Zdobycie Anglii przez Normandów*.

Wyłącznie już oddany spełnieniu tego zadania, Thierry przetrząsał biblioteki i archiwa, przewracał ogromne foliały, dla zaczerpnięcia z nich jednego zdania, jednego czasem słowa, i w pracy tej mozolnej wzrok jego, który później tak drogo przyplacić miał zbyteczne wysilenie, przywyknął intuicyjnie prawie pośród nawału bezużytecznych często materyałów wynajdywać ustępy interesujące. Nareszcie, po pięciu latach niezmordowanych poszukiwań, młody historyk (miał wówczas lat 26) dosięgnął swego celu, i na wiosnę 1825 r. wysła

na świat *Historia zdobycia Anglii przez Norman-
dów.*

Dzieło to ogromem erudycji i nowością poglą-
du niezmiernie w świecie naukowym sprawiło
wrażenie. Ale niestety, radość autora z nadspo-
dzięwanego powodzenia przyćmiła wkrótce cho-
roba straszna dla każdego, straszniejsza stokroć
dla człowieka całą duszą poświęconego nauce:
osłabienie wzroku zbliżone prawie do ślepoty.

Lekarze zalecali mu spoczynek, szukanie rozryw-
ki w podróżach. Thierry usłuchał ich rady i udał
się do Szwajcaryi. Potem, w towarzystwie przy-
jaciela swego, filologa Fauriel, przebiegał Pro-
wancją, inie mogąc już sam ani czytać ani widzieć,
zbiierał przy jego pomocy materiały do historii
pomników budownictwa średniowiecznego.

Powróciwszy do Paryża na początku 1826 roku,
choć prawie oślepy, na nowo wziął się do pra-
cy. Zapal dla nauki nie opuścił go ani na chwilę;
„zaprzyjaźnił się już z ciemnością”, jak sam się
rzewnie w jednym z dzieł swych wyraża. Znalazł
wtedy pomoc w młodym Armandzie Carrel, który
sam później znakomitą zdobył sobie sławę, używał
jego pióra, czytał jego wzrokiem. W tym także
czasie z Mignet'em zawiązał plan napisania obszer-
nej historii Francji, opartej na dokumentach ory-
ginalnych; lecz zamiar ten został później zaniecha-
nym.

Roku 1827 wydał oddzielnie swoje „*Listy o hi-
storii francuskiej*”, pisane niegdyś do kuryera fran-
cuskiego. Od 1831 — 1835 przebywał częścią u
wód w Luxeuil, częścią u brata swego Amadeusza,
także znakomitego historyka, autora szacownego
dzieła „*Histoire des Gaules sous la domination ro-
maine.*” Przy pomocy jego ogłosił r. 1835 „*Dix
ans d'études*”, wyborny zbiór swych dawniejszych
wypracowań. W tym także czasie przypada oże-
nienie się ociemniałego już badacza z Julią T.,
z domu Quérengeal, znaną w świecie naukowym
z dzieła „*Scènes des moeurs aux XVIII et XIX
siècles*” i z kilku artykułów w „*Revue des deux
mondes.*”

Przyzwany r. 1836 do Paryża przez Guizot'a,
podówczas ministra oświecenia, miał sobie poru-
czone przez tego męża stanu wydawanie „*Recueil
des monuments inédits de l'histoire du tiers-état*”,
za współdziałaniem Bourquelot'a i Karola Louan-
dre. Roku 1840 Thierry wydrukował swoje „*Récits
des temps mérovingiens*”, malownicze opowiadanie
jednej z najdramatyczniejszych epok historycznych,

a razem dokładny obraz Francji w szóstym stule-
ciu, za które otrzymał wielką nagrodę przema-
rzoną przez barona Gobert. Poprzednio jeszcze
(1839) akademia napisów i nauk pięknych miano-
wała go swym członkiem. Instytut francuski dla-
tego jedynie nie przyjął go do swego grona, aby
mu wypłacać roczne premium 10,000 franków za
napisanie najlepszego dzieła historycznego.

Lecz jeśli powodzenie i sława okazały się spra-
wiedliwymi względem wielkiego historyka, zdro-
wie za to coraz więcej mu niesprzyjało. Do śle-
poty przyłączyły się wkrótce cierpienia nerwowe,
sparaliżowanie rąk i nóg i zupełne wycieńczenie sił
fizycznych; moralnie zaś śmierć Armanda Carrel,
Fauriel'a i w końcu żony głęboko go dotknęła.
Przeciągnął jednak żywot pracowity i użyteczny
jeszcze lat kilkanaście, i chociaż sam pozbawiony
światła, nie przestawał pochodnią nauki rozświecać
ciemności historycznych. Umarł w Paryżu 22 ma-
ja 1856 r., mając lat sześćdziesiąt jeden.

Niepodobna w zarysie tak pobieżnym ocenić go-
dnie niezmiernych zasług Augustyna Thierry dla
historii. Dość powiedzieć że pierwsze jego pra-
ce wyszły w epoce kiedy Garnier, Anquetil, Mil-
lot i kilku innych dzierżyli berło dziejopisarskie,
że młodzież francuska kształcenie swe history-
czne czerpała wyłącznie z dzieł tych autorów, ró-
wnie miernych nauką jak talentem. Pojmujemy
wtedy ile Thierry pod tym względem uczynił dla
swego kraju, i chętnie zgodzimy się na to co wy-
rzekł o nim jeden z tegoczesnych filozofów niemiec-
kich: „Pierwszy on dał nam poznać prawdziwe
znaczenie czternastowiekowej historii francus-
kiej.”

Któż wreszcie bez wzruszenia przeczytać zdo-
ła słowa które sam Thierry napisał na kilka lat
przed śmiercią: „Gdybym dziś na nowo miał roz-
począć drogę żywota, obrałbym tę samą która
mnie zaprowadziła tam gdzie jestem. Ślepy i cier-
piący bez nadziei, bez ustanku prawie, mogę je-
dnak wyrzec z głębi przekonania: jest coś na świe-
cie wyższego od rozkoszy materialnych, wyższego
niż majątek, wyższego nawet niż zdrowie, to jest
poświęcenie się nauce.”

Po napisaniu już powyższego życiorysu, znale-
źliśmy w dwóch czasopismach zagranicznych cie-
kawe szczegóły dotyczące osobistości, życia do-
mowego i ostatnich chwil wielkiego historyka

francuzkiego. Podajemy je czytelnikom naszym, w przekonaniu że taki rzut oka na sprawy codzienne znakomitych ludzi nietylko dla ogółu niezmiernie jest zajmujący, lecz nadto rozjaśnić może w części stanowisko ich i kierunek we względzie umysłowym.

Augustyn Thierry był wzrostu więcej jak słusznego. Włos gęsty i czarny, przy cerze mocno śniadój, nadawał jego twarzy wyraz energiczny i męzki. Oczy, podobnież czarne, nie straciły swego blasku, pomimo nieszczęśliwego kaléctwa jakim dotknięty był od lat tylu; a że w rozmowie Thierry miał zwyczaj zwracać się ku osobom z którymi ją prowadził, zdawało się więc że patrzy, i nieznający go mogli nie spostrzedz jego ślepoty. Jak wspomnieliśmy wyżej, wielki ten męczennik nauki uległ wczesnie częściowemu sparaliżowaniu rąk i nóg, i w stanie tym przeżył lat trzydzieści. Nie mogąc sam chodzić, kazał się przenosić z łóżka do fotelu, z fotelu do ogrodu, i w samotności, na którą skazywało go cierpienie, oddawał się rozmyślaniu i pracy, o ile na to pozwalały wycieńczone jego siły. Wieczorami przyjmował przyjaciół i osoby pragnące korzystać z nauuczającej jego rozmowy. Była to, obok pracy, jedyna jego przyjemność, jedyna rozrywka. Niekiedy praca jego poobiednia, trwająca zwykle od piątej do dziewiątej, przeciągała się nieco dłużej, a wtedy osoby zgromadzone w salonie i nieznające go bliżej, widząc, gdy go wnoszono na fotelu, opuszczoną jego głowę i wyraz twarzy cokolwiek ponury, przypisywały to wyjątkowemu cierpieniu, i chciały się usunąć przez delikatność. Niestety, była to zwykła postawa Thierry'ego, dopóki zostawał sam na sam ze swojemi myślami. W rozmowie jednak rysy jego szybko się ożywiały, a słowa jędrnie i obficie z ust jego płynęły. Obdarzony nadzwyczajną pamięcią, raz posłyszane rzeczy na całe zatrzymywał życie. Przytaczał niekiedy długie ustępy z trzeciorzędnych pisarzy łacińskich, których nie czytał jak w kollegium, lub opisywał z zadziwiającą ścisłością najdrobniejsze szczegóły architektoniczne widzianych przed laty pomników. Potrzeba było rzeczywiście ogromnej potęgi pamięciowej, aby człowiek ślepy dokonać mógł tylu prac naukowych. Prawie wszystkie jego dzieła, z wyjątkiem trzech pierwszych tomów „Zdobycia Anglii przez Normandów” i „Listów o historii francuzkiej” napisane były po utracie już wzroku.

Codzienna jego praca odbywała się metodycznie i w sposób bardzo prosty. Odczytywano mu książki i rękopisma z których chciał czerpać; w czytaniu kazał zaraz naznaczać sekretarzowi ważniejsze ustępy, dyktował mu własne myśli i spostrzeżenia, a potem dopiero przystępował do redakcyi dzieła. W ciągu dyktowania wypadalo mu częstokroć odnosić się do notat niezmiernie obszernych, zebranych w latach młodości; kazał je więc odczytywać na głos i oznaczać numerami porządkowymi, stosownie do tego jak miały być w tekście zamieszczone. Przez lat trzynaście pożycia małżeńskiego najwięcej dyktował żonie; później używał w tym celu służącego i sekretarza. Nieraz, gdy podczas bezsennie spędzanej nocy przyszła mu myśl szczęśliwa, budził służącego, dla przelania jej zaraz na papier; potem w godzinach systematycznej pracy z sekretarzem podejmował te błyski geniuszu, i wcielając je w swoją pracę, rozjaśniał niemi najzawilsze fakta historyczne.

Nadzwyczajne wycieńczenie jego fizyczne nie dozwalało mu ani na krok odstępować od raz przyjętego trybu życia. Wszystkie też sprawy dzienne niezmiennym u niego szły porządkiem, i jeśli go kiedy przekraczał, to chyba w jednej tylko pracy.

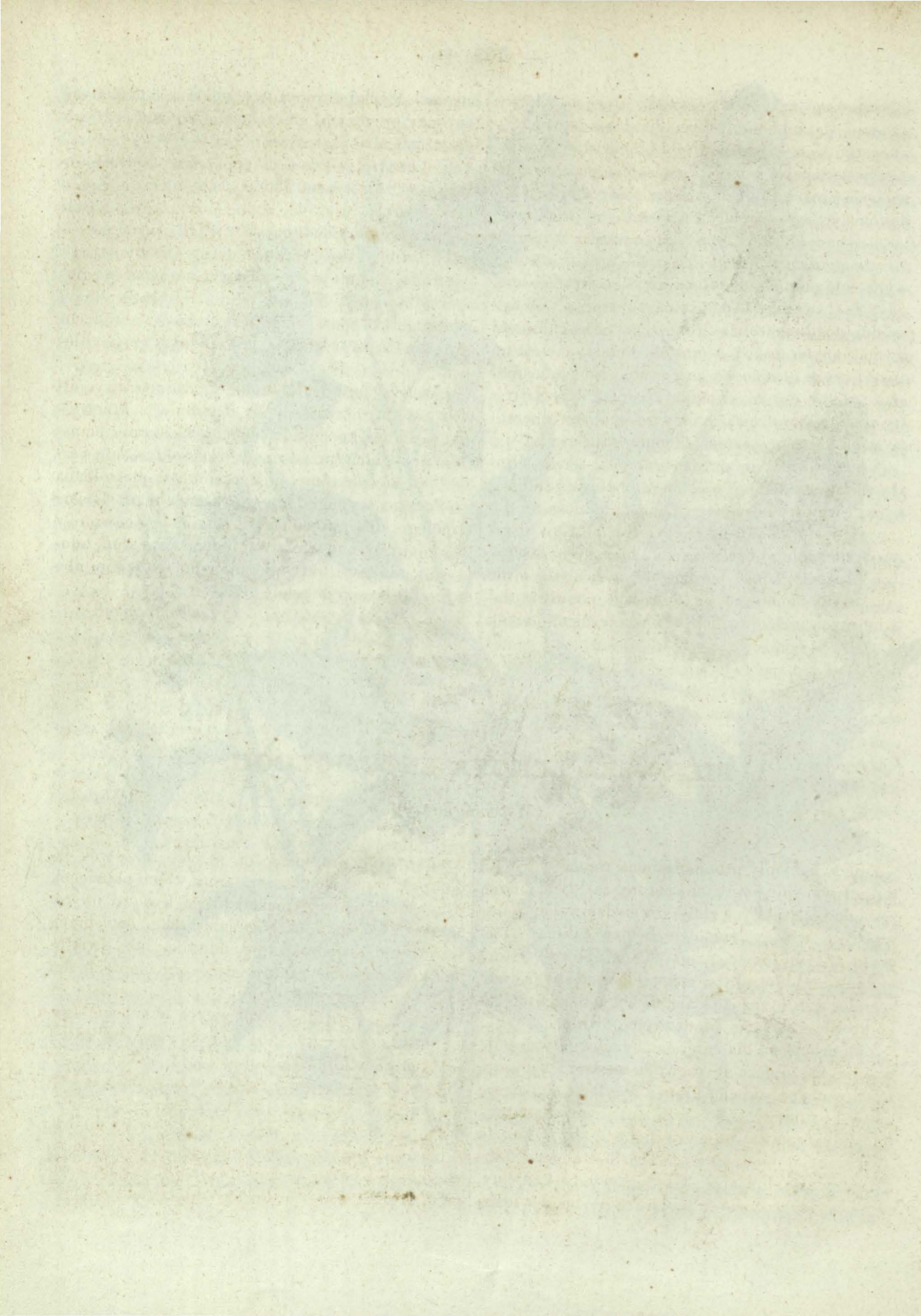
W ostatnich latach zajmował się poprawianiem swojej „Historji zdobycia”, i lękał się niezmiernie iż może dokończyć jej nie zdoła. Naprózno przedstawiano mu że zbyteczna ta troskliwość nadwęża jego zdrowie: krytyczny umysł Thierry'ego najlżejszej znieść niemógł niedokładności, a skoro raz wziął się do poprawek, wtedy już wszystko przeglądał i przerabiał na nowo.

Kilkakrotnie już, skutkiem pracy natężonej i rozdrażnienia umysłowego, doznawał lekkich napadów apopleksyi, objawiających się chwilowem utrudnieniem mowy. Dziewiętnastego maja 1856 r., po kilkogodzinnej pracy i ożywionej rozmowie, napad ten silniej się powtórzył. Nazajutrz o godzinie 11 rano stracił przytomność, i nie odzyskał jej aż do śmierci, która nastąpiła w trzy dni później.

Ostatnie lata życia znakomitego historyka, który w dawniejszym czasie hołdował racjonalizmowi, nacechowane były zbawiennym zwrotem ku wierze i zasadom religii katolickiej. Ksiądz Gratry, spowiednik jego, przytacza o tém co następuje:

— Jestem znużonym racjonalistą, rzekł do mnie kiedyś autor *Listów o historii francuzkiej*; pragnął-





bym spocząć na łonie kościoła, którego władzy poddaję się zupełnie. Chciałbym sprostować to wszystko, co kiedykolwiek i gdziekolwiek, chociaż w najlepszej wierze, napisałem przeciw prawdzie, i proszę Boga codziennie aby mi pozwolił dokończyć tego dzieła. Pocieszam się w cierpieniu bezsennych nocy tą myślą, że jestem *pracownikiem w winnicy Pańskiej*. Lecz nie powtarzaj tego wyrażenia nikomu, dodał ze zwykłą skromnością, gdyż zakrawałoby to na pretensjonalność. W kilka dni później, wobec proboszcza Saint Sulpice i dwóch innych osób, Augustyn Thierry podał mi rękę i rzekł głosem wzruszonym: „Księżę proboszczu, biorę cię za świadka że odtąd ksiądz Gratry zostaje kierownikiem mojego sumienia; niechże więc on na przyszłość za mnie odpowiada.”

Rozrzewniony tą oznaką zaufania, ksiądz Gratry zaczął częściej bywać w jego domu, i miał z nim rozmowy odsłaniające całą piękność tej duszy wzniosłej choć znękaną cierpieniem. W ostatnim szczególniej czasie zapal Thierry'ego dla religii i prawdy coraz bardziej się wzmagał, i nie przestawał zajmować się gorliwie poprawą dawniejszych dzieł swoich. Nieszczęściem jednak

pośpiech niemal gorączkowy z jakim oddawał się tej pracy przyczynił się znacznie do ostatecznego wyczerpania sił jego żywotnych.

Ksiądz Gratry zdaje potem sprawę z rozmowy swojej z Augustynem Thierry, na kilka dni przed jego śmiercią. Było to w obecności księżnej Belgiojoso. Słynny historyk sam jeden prawie mówił przez jakie pół godziny z nadzwyczajną energią i żywością. Rozmowa ta, zbyt długa abyśmy ją powtórzyć tu mogli chociaż w treści, była świetną i natchnioną obroną wiary katolickiej, a zarazem odwołaniem wszystkich poprzednich jego błędów.

„W trzy dni później, dodaje ksiądz Gratry, ojciec Pététot, przyzwany do łoża boleści Thierry'ego, dał mu komunię świętą i ostatnie namaszczenie. Chory przed przyjęciem sakramentu bardzo był niespokojny; po ceremonii dopiero blada twarz jego wypogodziła się uśmiechem. Umarł trzeciego dnia, pojednany z Bogiem. Zbawienny to i budujący pod wielą względami przykład; zdoła on podnieść i ukrzepić niejedną nadzieję, ulęczyć niejedno zaślepienie”.

Ludwik Jenike.

PIÉRWSZA LEKCJA ENTOMOLOGII.

(Wspomnienie).

Zaledwie ciepły promień słońca rozbudził w letargicznym śnie pogrążoną naturę, zaledwie ziemia zrzuciła biały płaszcz zimy, przywdziwając godową szatę wiosny, zaledwie bocian zaklekotał na wodą pokrytej łące, a już ze snu spowite wstają legiony owadów, aby w ciągu doczesnej wędrówki spełnić swe przeznaczenie, dosięgnąć celu do jakiego Nieskończona Mądrość je powołała.

Z tą uroczystą dla całej natury chwilą wstępuje w serca nasze uczucie rzewnej radości i spokoju, krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach, stajemy się zwawsi i silniejsi. Lecz jeśli ocknienie się natury oddziaływa nawet na wyziębione serca, na zużyte organizmy, o ile silniej wiosna rozbudzać musi młodzieńczą wyobraźnię. Głębiej wtedy czujemy, szczerzej się cieszymy z jej powrotu; bo z wiosną

wraca tysiące przyjemności, tysiące rozrywek jakich nie może dostarczyć zima, a co najwięcej, wracają owe miłe przechadzki po kwiatki na rodziną niwę, na dobrze znajomą łąkę, nad brzeg szafirowego strumyka, po motylka lub świętojanekę, w pogodne ranki i wieczory ciepłych dni maja i czerwca.

Któż z nas w chłopięcych swych latach nie ugaśniał się za motylami? któż z nas nie spędzał szczęśliwych godzin w lesie lub na łące? Jakże uroczyste i niezmazane wrażenie czyniła wtedy na nas barwa motyli skrzydeł! I nic nas nie odstręczało, ani upał słoneczny, ani niespodziewana ulęwa. Z blaszaną puszką i mnóstwem pudełek rozmaitej wielkości, z siatką do łapania motyli, z czapką napiętą szpilkami, spieszyliśmy raniutko na ulubione

łaki, lub cienisty gaj dębowy. Z jakimż zapalem ścigaliśmy za motylkiem, aż ten znużony stał się naszą zdobyczą; z jakąż niepowściągniętą żarliwością pięliśmy się na drzewa, spostrzegłszy na ich wierzchołku jaki piękny egzemplarz. I nie zważaliśmy w zapale na rozkrwawienie dłoni o ostry kołec, na rozdarcie sukni o gałąź; cóż nas to wtedy obchodziło, jeżeli tylko udało nam się nie stracić z oczu lub pochwycić upragnionego motylka. Wtedy z tą samą dumą z jaką stary myśliwiec wskazuje knieję, gdzie przed dwudziestą laty ubił ogromnego odyńca, chlubiliśmy się przed towarzyszami że przy tém a tém drzewie pochwyciliśmy cudnie pięknego żalobnika. A jeżeli uciekł nam piękny motyl, którego niezawodnie pochwycilibyśmy, używszy nieco więcej krwi zimnej, tak nas to martwiło, jak myśliwca gdy zbyt pospiesznym strzałem spłoszy z powagą kroczonego bekasa.

Ale niechno nam się udało polowanie, wtedy trzeba było widzieć jak z miną tryumfującą, w czapce na której pozatykane motyle, jak zdobyte sztandary, świadczyły o naszym męstwie, wracaliśmy do domu, podobni do strzelca, który niby od niechcienia wywiesza z torby myśliwskiej parę słuchów od upolowanego dopiero zająca.

Jeżeli mile są podobne wycieczki w gronie rówienników, to stokroć miłsze, gdy z zabawą łączy się korzyść naukowa. Światli rodzice i nauczyciele nigdy nie powinni zaniedbywać korzystania z tych pierwszych uniesień serca ku matce naturze; dobrze bowiem kierowana ciekawość doprowadzić może do rzeczywistego polubienia najpiękniejszej z nauk, historii przyrody.

Dla mnie nigdy niezapomnianą pozostanie pierwsza wycieczka na motyle, była ona bowiem zarazem pierwszą moją lekcją entomologii.

Słoneczko ledwie co wstało. Mgły ponad łąkami i wodami grubym płaszczem otulały senną naturę; chłodny wiatr z dąbrowy muskał leciutko zroszoną trawkę, a główki skromnych naszych polnych kwiatków, smutnie zwieszane, oczekiwały ożywczych promieni słońca.

Lubośmy byli bardzo, bardzo młodzi, żaden jednakże śmiech swawoli nie przerywał uroczystej ciszy natury i poważnego zadumania sędziwego nauczyciela, co choć powolnym lecz pewnym przodkował nam krokiem. Młodzieńczy duch budził się i wzbijał wraz ze słońcem, a gdy promienie jego rozpędziły mgły nad łąkami, już byliśmy

we właściwym sobie usposobieniu dziecinno-najwinniej, błogiej i swobodnej wesołości.

Lecz natura nie zrzuciła jeszcze sennej szaty. Ptaszki w gniazdeczkach spały jeszcze, motylki ukryte w kącikach liści drzémały, i tylko zdala z zaboru dolatywał nas przeciągły śpiew kosarzy, a w błocie rechotały żaby.

„Moje dzieci, przerwał nakoniec milczenie sędziwy nauczyciel, wiosna wreszcie zawitała w nasze progi, z nią więc wróciły wycieczki. Jak w roku zeszłym obznajmiałem was z historią pięknej gromady ptaków, tak obecnie zajmiemy się drugą klasą skrzydlatych tworów, owadami. Nim jednakże słońko rozbudzi uspioną naturę, nim zdobycze nastęcą nam uwag, zechcecie zapewne zapoznać się z ogólną organizacją tak drobnych stworzeń jakimi są owady.

„Wskazywałem wam już wielkość wszechświata i dziwnie proste prawa, jakie rządzą miryadami gwiazd, z których niejedna jest większą od ciał całego systemu słonecznego razem wziętych. Otóż obszerna gromada owadów, zawierająca istoty częstokroć nieskończenie drobne, a pomimo tego potężne przez swój przemyśl, przez swoją śmiałość we wszystkich przedsięwzięciach, przez samą wreszcie liczbę; przebiegająca ziemię ocean i powietrze, dla wypełnienia swoich zamiarów; pokolenia niezniszczone i straszliwe przez niepodobienstwo ich wytępienia, opierające się częstokroć połączonym usiłowaniom ludzi, a nawet samych żywiołów; stworzenia których organizm tak jest cudowny i nieskończenie mądrze urządzone, ... mogą być także dowodem że nie tylko w wielkich, ale i w najdrobniejszych tworach przebija się niezbadana Mądrość i Wszechmocność Twórcy.

„Dziwicie się zapewne iż tak wiele świetnych przymiotów przyznałem owadom; wszystko to jednakże jest rzeczywistą prawdą, dociezoną długimi badaniami. Zobaczmy co poeta-naturalista o nich powiedział, spoczniemy więc.”

Rzeczywiście, czulem się nieco znużonym podróżą, z ochotą więc wybrałem piękny dąb, którego konary tworzyły rodzaj cienistej altanki, murawa zaś przepyszny kobierzec nęcący miękkością i wonią. Nieopodal za dębem rozpościérała się mała łączka, zroszona strugą; po jej brzegu pięły się wiklina, oczerety, pokrzywy, a dalej po polu rozsypane kwiecie.

Obrawszy to stanowisko i złożywszy pakunki, wzięliśmy się do skromnego śniadania, po skończe-

niu którego sędziwy nasz przewodnik roztworzył niewielką, w czerwony safian oprawną książeczkę, i zaczął nam czytać piękne opisanie owadów naturalisty-poety, jak się sam wyraził. Ustęp ten utkwiał mi w pamięci:

„Owad jest istotą najlepiej zewnątrznie uorganizowaną do wszystkich czynności dla siebie przeznaczonych. Ekonomia świata wymaga mnóstwa niezliczonego szczegółów i starań, właściwych dla każdej rośliny, dla każdego zwierzęcia, według miejsc, pór roku i klimatów. Wszystko to nie mogło być skutecznie wykonanem, jak tylko przez jeden lub więcej gatunków tych małych rzemieślników, gorliwych, dla własnej korzyści, w wypełnianiu swych obowiązków. Dlatego widzimy że liczba owadów odpowiednią jest bogactwu i mnogości roślin każdej krainy okręgu ziemskiego. Są to najpiérwsi rolnicy roślinnego królestwa, mniej wprawdzie zdolni do pomnożenia go i rozszerzenia, niż do urządzenia, powściągnięcia i miarkowania jego rozwoju, do zapobiegania górowaniu jednych gatunków roślin nad drugimi.

„Jeden owad podkopuje korzeń, drugi obcina liście; ten upuszcza drzewu sok nadto obfity, tamten ujmuje gałęziom zbytecznych pączków, albo gryzie nasiona od rozmnażania zbywające; inny znowu roślinne szczątki spożywa, wyczyszcza ziemię i wody, gdzie się tyle pozostałości roślinnych psuje. Jednakże owad nie ogranicza się na samym obowiązku niszcyciela lub usuwacza nieczystości, ale podnosi się częstokroć do świetniejszych zatrudnień. Czasem, jako powiernik i posłaniec kwiatów, zanoszą dalekiej kochance dary miłości, powierzone mu przez oblubieńca zatrzymanego na odległych wybrzeżach. Motyl i pszczoła, jakby wiedziały o róż tajemnicach, poją się nektarem na tych weselach Flory, i w piękne dni wiosenne biorą udział w uroczystych godach natury.

„Do tylu zatrudnień i widoków odmiennych, organizacja owadów musi być nadzwyczajnie rozmaita, a skład ich bardzo zastosowany do rodzaju czynności, jakie ma wypełniać każdy gatunek. Tu właśnie tryumfuje nieporównana mądrość przyrodzenia”.

— Nie będę zstępował do drobnych szczegółów ich organizacyi przerwał czytanie nasz nauczyciel; tysiące dzieł o tych zwierzętach dalekiemi są jeszcze od wyczerpania téj materyi; ale powiem wam o głównych przymiotach, nakreślę ogólne rysy cudownego składu sił nadających im ruch i życie.

„W historii naturalnej, czytał dalej, dają ściśle nazwisko owadów tylko zwierzętom niemającym kości wewnętrznych, okrytym skórą twardą a czasem rogową, podzieloną na odcinki, czyli ruchome obrączki, jak stalowe zbroje dawnych rycerzów naszych. Żaden niema, chyba rzadko bardzo, mniej niż sześć nóg stawowatych, a czasem daleko więcej. Owady w ciągu życia niezawsze posiadają jednakową postać, i cecha ta odróżnia prawdziwe owady od robaków, które wcale nie przemieniają się w ciągu życia i nie mają nóg stawowatych. Robaczki w sérze, mięsie zepsutém lub robaczywych owocach, mające nogi i przemieniające się w muchy albo małe motylki, prawdziwemi są owadami; gdy tymczasem robaki wewnętrzne u zwierząt i ludzi, przez całe życie robakami zostają. Tak więc pomiędzy wszystkimi zwierzętami niekręgowymi, przemiany tylko do owadów należą; nie dostrzegamy ich nawet u żadnych innych zwierząt, oprócz kijanek, żab i salamander”.

Tu sędziwy nasz przewodnik założył książkę.

— Teraz moi kochani, rzekł zwracając się do nas, należy poszukać kilku liszek, ułović kilka motyli, aby praktyką stwierdzić to co podaje nauka.

Ochotnie rzuciliśmy się do dzieła.

Słoneczko bujało wysoko; mnóstwo muszek i owadów brzęczało wesoło, ulatując z kwiatka na kwiatek. Lecz szare i złote nawet muchy nie zwracały mojej uwagi... szukałem motyli! Na łące jednak, prócz much i ogromnego bąka, który mię gonił, a którego się nadzwyczajnie bałem, nic nie było widać.

Cierpliwie biegłem od krzaczka do krzaczka, gdy nagle oko moje spoczęło na niskim burzanie ostu, okrytym różowém kwieciem, a na tém tle ujrzałem czerwone skrzydła przepysznego motyla. Na widok ten febrycznie zadrzałem; naciągnąłem siatkę, lecz motyl, jakby przeczuwając złe moje zamiary to zawisł w powietrzu, to podlatywał, to przysiadł, niby drażniąc się i żartując z méj niecierpliwości. Chciwym wzrokiem śledziłem każde jego poruszenie; gdy przysiadł na krzaczku, skradałem się ostrożnie; gdy bujał w powietrzu, starałem się go postraszyć i tym sposobem do spoczynku zmusić. Tak goniąc od krzaku do krzaku, daleko zostawiłem swoich towarzyszków: mijałem łąki, pola, nie wstrzymywały mnie rowy, płoty, aż zmęczony przystanąłem za krzaczkiem, na którym usiadł zbieg skrzydlaty. Zdawał się być utrudzonym, rozłożył szeroko skrzydła, a wtedy krasa ich na

nowo podbudziła słabnący mój zapal. Z ostrożnością starego myśliwca skradającego się na strzał, przystąpiłem do krzaczka, siatka furknęła w powietrzu, a jeniec, trzepocząc się, na próżno usiłował wydobyć się ze zwoju muślinowego. Wykrzyk radości ogłosił moje zwycięstwo, echo podało go w setnych odgłosach. Lecz nie ja jeden byłem tak szczęśliwy; głośna radość towarzyszków uwiadomiła mnie że i ich polowanie pomyślny uwieńczył skutek. Odtąd wszystko szło mi jak z płatka: motyle różnej wielkości, odziane w przepyszne kolory szkarlatu, zdobne srebrem, złotem i diamentami, same wpadały do siatki, i nie minęło kilka godzin, gdy już z bogatym plonem powracałem pod ów dąb rozłożysty, by wytchnąć po trudach i znojach polowania. Zastąpiłem tu nauczyciela okrążonego towarzyszami; każdy z chępliwością wojaka wliczającego swe czyny, opowiadał zdarzenia wyprawy i pokazywał zdobycze. Nie obeszło się bez śmiesznych epizodów: ten, wspinając się po lizkę wlekącą niezgrabne ciało po gałęzi dębu, wpadł w kałużę i skąpał się w błocie do pasa; u innego wielka dziura na boku, jak blizna, świadczyła o waleczności. Ale nad wszystkie plony zdobyte na tej wojowniczej wyprawie celowały dwa przepyszne szkarlatne, wycinane motyle. Po pierwszych wzbuchach radości i zadziwienia, plony nasze złożyliśmy w ręce sędziwego przewodnika, który je troskliwie opatrzył, motyle osadził na szpilki, a usiadłszy w kółku ciekawych, rozłożył grubą księgę którą miał ze sobą, wyszukał wizerunku jednego motyla z pudełka, wyjął ulowioną lizkę i odezwał się w te słowa:

— Wspomniałem wam już przed chwilą że owady odbywają kilkorakie przemiany, zanim dojdą do swego właściwego stanu. Niezawsze motyl obdarzony jest tak świetnymi wdziękami, tak przepyszny szkarlatem. W młodości swój był on poziomą lizką, smutnie wlekącą swe ciało, a przymioty jego w tym stanie pierwotnym nie miały nic wspólnego z przymiotami rozwiniętego owadu. Oto na przykład ta lizka czarno-burego koloru, z żółtymi paskami i plamkami, opatrzona gałęziastymi włoskami, żyjąca samotnie na bodiakach, pokrzywach i t. p. roślinach, zmieni się w pięknego, czerwono-żółtego motyla, którego przednie skrzydła przy końcach białe, tylne nakrapiane z pięcią oczkami, połyskują najcudowniejszymi barwami drogich metali. Motyl ten, nazwany od naturalistów *Venessa cardui* (Fig. 1), wesoło buja

przez całe lato na naszych polach i łąkach, przekładając nad wszystko miejsca oświetlone promieniami słońca. Lecz nim z tej lizki świetny owad się wykluje, w właściwym czasie zbiera ona około siebie kilka liści z rośliny którą się żywi, i zmienia się w łatkę żółto-burego koloru, z kilkoma centkami złotymi. Po czternastu dniach motyl wykształcony rozbija świetną ale martwą powłokę, i wychodzi bogaty, ozdobny i szczęśliwy, bo życie jego jest jednym dniem radości i szczęścia.

— A to ciekawe, zawołaliśmy z zapalem; wytłumacz nam jednakże, kochany nauczycielu, obszerniej nieco tę dziwną maskaradę natury. Chcielibyśmy zrozumieć jej cel i przyczynę, bo przecież, jak nas uczyłeś, na świecie nie jest bez przyczyny, bez celu.

— Spodziéwałem się, kochani przyjaciele, waszego zapytania; odpowiem wam na nie szczegółowo. Słusznieście nazwali przemiany owadów maskaradą natury; z tej brzydkiéj gąsienicy, gryzącéj swemi czterema szczękami najpiękniejsze kwiaty, wychodzi świetny motyl, który rozwija skrzydła wysadzone diamentami, i karmi się nektarem w łonie róż czerpanym. „Jednakże, mówi znakomity francuzki naturalista Virey, ta zachodzi różnica między historią naturalną a ludzkimi zabawami, że nasze przemiany są przebraniem się, to jest ukryciem prawdy, gdy przeciwnie natura tłumaczy niemi swe prawdy. Człowiek częstokroć maską osłania swe wady, zwierzę zaś nago się okazuje; rzecby przeto można że społeczeństwo nasze naucza tylu wad i kłamstw, ile natura czystych i szczerých prawd przedstawia”.

Chociaż niewszystkie owady jednakie w różnym wieku przybierają postaci, wszystkie jednak w ciągu życia swego ulegają zmianom, kolejają kilka powłok z siebie zrzucając. Jasna jest tego przyczyna; gdy bowiem wszystkie okryte są skórą twardą rogową, albo skorupą kamienistą, ciało ich wkrótce czuje niedogodność, jest uciskane w tym gatunku pancerza, który nie może rozciągać się w miarę jak zwierzę powiększa się i rośnie, zwłaszcza w młodości, po wykluciu się z jaja. Musi więc ta ciasna odzież, czyli ta skorupa, pęknąć, oddzielić się, a inna, z początku miękka i szersza, pod spodem tamtéj leżąca, dozwolić ciału rośnienia. Ta druga skóra, jak tylko zetknie się z powietrzem, nabywa twardości pierwszój, a po pewnym czasie, stawszy się znowu za ciasną, schodzi jak tamta, i zawsze dla zastąpienia jój, w miarę jak owad powięk-

sza się, inna wyrasta od spodu. Tym sposobem gąsienice pięć do sześciu razy w kilku tygodniach lenieją.

Ale ta spodnia odzież u różnych owadów rozmaite składa ubranie, i na tém to właśnie, zależą przemiany. Przykład najlepiej objaśni ten szczególny rozwijania się sposób.

Jajko motyla, którego tu oto widzicie, niewielkie, żółtawe, w czasie który mu natura przeznaczyła pęka i wydaje liszkę. Liszka ta czyli gąsienica (larva) ma ciało długie, prawie zupełnie miękkie i podzielone na pierścienie ruchome, a pyszczek zawsze uzbraja ją żuwaczki i szczęki. Przeżywszy w tym stanie dłużej lub krócej i kilkakrotnie skórę zmieniawszy, gąsienica robi sobie już to jedwabny oprzęd, już zwija liść aby ukryła pod nim swoją pracę, już się maskuje tkankami mniej lub więcej stałymi.

Wszakże w tej poczwarcie, gdy się ją ogoloci z powierzchniowych powłok, widać już zarysy motyla wyjść z niej mającego. Nakoniec, po najprzykrzejszym zrzuceniu ostatniej powłoki, motyl wychodzi zupełnie ukształcony; odłącza się on, rozwijając świetne swoje skrzydła, rzuca się na widok słońca poza swój grób i szuka sobie towarzyski.

— Oto jest historia przemian motyli, kończył sędziwy lektor, zamykając książeczkę. Teraz wypada nam zrobić króciutki przegląd waszych pól. Z radością rzuciliśmy się pokazywać łupy polowania. Nauczyciel odkładał na bok wiele motyli i owadów; aż nakoniec wybrał dwie przepyszne przezemnie ułowione rusalki, a wyszukawszy w książce odpowiednich wizerunków, rzekł objaśniając:

— Obydwa te motyle należą do pięknego i bogatego w gatunki rodzaju Rusalek *Venessa*; świetne kolory, znacznej wielkości centki już na pierwszy rzut oka charakteryzują ten rodzaj, do którego należy wiele pięknych gatunków, po większej części właściwych naszym polom. Z tych dam wam obecnie poznać cztery motyle, rzadsze wprawdzie od innych, lecz zdobne purpurą i złotem.

Pierwszy nazywa się u systematyków *Venessa cardui* Lin. (fig. 1). Skrzydełka jego czerwono-żółte, czarno i białe nakrapiane, niezrównanej są piękności; przednie przy końcach białe, tylne u dołu ciemno-brunatne i białe mozaikowane, z pięcią oczkami; z brzegu skrzydełka rzezane.

Liszka jasno lub ciemno-burego koloru, z żółtymi paskami, plamami i centkami, uzbrojona krót-

kiemi gałęzistymi włoskami, żyje samotnie na bodiakach, pokrzywach, karczochach, krwawnikach i wielu innych roślinach. W czasie przemiany włątkę, zbiera naokoło siebie kilka liści z rośliny którą się żywi, i tak ochroniona przechodzi w poczwarkę brudno-burego koloru, z kilkoma złotymi plamkami. Po czternastu dniach wydobywa się motyl, bujający wesoło całe lato, w miejscach oświetlonych promieniami słońca, na uprawnych polach i ścieżkach.

Drugi gatunek nazywają Rusalką *C* (*Venessa C album*) (fig. 2). Posiada ona mocno wycinane, u góry czarniawo-żółte, z szaremi plamami skrzydełka. Z pod spodu uważane przedstawiają skrzydła piękną mozaikę buro i brunato nakrapianą; na środku zaś tylnego skrzydła znajduje się niby biała litera *C*, od czego gatunek ten rusalką *Czowią*.

Liszka tego motyla zwykle bywa czerwono-żółtą, z czarnymi, na bok idącymi prążkami; żywi się ona pospolicie liśćmi wiązu, chmielu lub poziomek. Łątka nadzwyczajnie zgięta, garbata, czerwona, z brunatnymi plamkami i srebrnymi centkami. Po trzech tygodniach wydobywa się z niej motyl, głównie przebywający w ogrodach, około ścieżek wysadzonych pięknymi krzewami.

Trzeci gatunek, zwany *Venessa prorsa* Lin. (fig. 3), ma suto rozłożyste skrzydła, z wierzchu czarno-brunatne, z białą przez środek przepaską, która się mocno zakrzywia na przednich skrzydłach, mając przed sobą parę małych linijek, a z tyłu takiegoż koloru punkciki. Za tą białą przepaską rozchodzą się, jak widzicie, mówił pokazując nam motyla, dwie szaro-brunatne wstęgi, cokolwiek krótsze. Spód skrzydeł czerwono-brunatny, z białą szarfą i żółtymi prążkami.

Liszka jest koloru czarnego albo brunatno-żółtego, z czarnymi prążkami i gałęzistymi cierniami; czasami zdobią ją boczne, czerwono-żółte prążki. Liszka ta służy do odróżnienia dwóch gatunków zupełnie do siebie podobnych: *Venessa prorsa* i *Venessa levana*. Łątka koloru jasno-brunatnego, z kilkoma tępymi na głowie a ostremi na ciele kolcami.

Motyl pokazuje się aż w sierpniu, niektóre zimują w szparach, i w pierwszych dniach wiosny wylatują swobodnie. Niedługo ujrzymy jego liszkę, łątkę i motyla razem. Nakoniec czwarty gatunek, *Venessa xantomelas*, jest bardzo rzadki, lubo podobny do pospolitego *Venessa polychloros*, za odmianę którego częstokroć bywa uważany. Tło jednakże ma daleko żywsze i centkowanie inaczej

ulożone, o czém przekonywają nas dokładne wyobrażenia.

Liszka tego motyla jest czarna, z podłużnymi białymi prążkami; żyje gromadnie na łąkach.

Lecz dosyć na dziś, zakończył sędziwy nauczyciel, przerywając swe opowiadanie. Była to *pierwsza lekcya entomologii*. Na przyszły raz zapoznam was z nowym jakim szczegółem organizacji

owadów, z nowym rodzajem téj wielkiej grupy. A teraz pójdźmy na obiad.

I zebrawszy bagaże, ruszyliśmy w drogę.

Słońko miało się ku południowi; skwarem znużone ptaszki pokryły się do swych gniazdek; piękne motyle poily się nektarem kwiatów, kąpiąc się w promieniach słońca, a kilka zabiegliwych pszczołek brzęczało, skrętnie uwijając się po łące, na przegony z natrętnymi muszkami.

JENERAŁ WALKER

I FLIBUSTIERY W AMERYCE.

Najście Niższej Kalifornii i rzeczypospolitej Nicaragua przez garstkę awanturników, którzy śród pokoju naruszyli neutralność obcego terytorium, jest w naszym czasie zjawiskiem nierównie ważniejszym od rozbójniczych napadów bukanierów i flibustierów siódmnastego wieku. Uwaga publiczna żywo się zajęła najprzód bezkarném lekceważeniem wszelkiej prawności u narodu chlubiącego się z swych instytucyj liberalnych i mniemanéj wyższości nad krajami starego lądu; następnie wypadkami politycznymi jakie od dwóch lat wywołuje w Nicaragua zamach zuchwałych napastników, o których naczelniku, Walkerze, mało dotychczas szczegółów doszło do wiadomości powszechnéj. Podajemy tu w streszczeniu bieg życia tego śmiałego partyzanta, według ogłoszonego niedawno w Nowym Yorku dziełka, nie przysądzając naturalnie okrzyczanemu „oswobodzicielowi Ameryki środkowej” świetlanéj aureoli, jaką stronność zapalonych Yankesów otoczyła jego skronie.

William Walker jest synem bankiera szkockiego, który około r. 1820 emigrował do Stanów Zjednoczonych i osiadł w Nashville, w Tenessee, gdzie nasz bohater 1824 r. ujrzał światło dzienne. Młody William otrzymał staranne wychowanie, i ukończywszy szkoły, w których już się odznaczał charakterem niespokojnym i przedsiębiorczym, zaczął uczęszczać na kursa prawne w Nowym Orleanie. Niedługo jednak statkował w tym zawodzie; przerzucił się na medycynę i słuchał jéj przez kilka miesięcy w Filladelfii. Żądza przygód zagnała

go potem do Europy, gdzie przez lat kilka w Paryżu poświęcał się naukom i podróżował, celem obznajmienia się ze stanem politycznym krajów pierwszorzędnych.

Wróciwszy na ziemię rodzinną, udał się do Nowego Orleanu, wszedł w stosunki z wydawcą dziennika *Crescent*, i został wkrótce jednym z głównych jego redaktorów. Powołanie to wszakże, tak niebezpieczne często w Stanach Zjednoczonych, nie zadowoliło przedsiębiorczego umysłu przyszłego zdobywcy: roku 1850 z oddziałem wychodźców udał się do Kalifornii, której życie, pełne przygód, zdawało się więcej odpowiadać naturalnemu jego usposobieniu.

Przybywszy do San Francisco, chwycił znów za pióro publicysty, i przyłączył się do dziennika *Herald*, w którego szpaltach jędrne i sarkastyczne artykuły jego powszechną wkrótce zwróciły uwagę. Skutkiem obelżywego pamfletu przeciw jednemu z członków wyższego sądownictwa, skazany został na więzienie i karę 500 dolarów. Wzburzenie wywołane tym wypadkiem pośród ludności tyle ceniącey wolność osobistą i przywileje prasy, zgromadziło przed więzieniem Walkera liczne tłumy, objawiające okrzykami pogardę swą dla sędziów a współczucie dla skazanego.

Po odsiedzeniu kary udał się do Marysville w północnej Kalifornii i został tam adwokatem. Jednakże już w lecie 1852 r. porzucił to korzystne zajęcie i popłynął do Guaymas, miasteczka w Stanie Sonora w północnym Meksyku. Tu, jak się

zdaje, przysłała mu pierwsza myśl werbowania ochotników w San Francisco i zdobycia przy ich pomocy jednego z bogatych a bezludnych obszarów hiszpańskiej części Ameryki północnej. Napad Lopez'a na wyspę Kubę i zachęta jakiej ten awanturnik doznał od prasy i opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych, ośmieliła naturalnie i Walkera, ułatwiając mu zaraz środki wykonania swego planu.

Przejęty już tym zamiarem, wrócił do Kalifornii w połowie 1853 r. i zaraz zaciągnął tam hufiec ochotników, dla zdobycia półwyspu kalifornijskiego na zachodnim brzegu Meksyku. Organizacja tej bandy szybko się posuwała; lecz statek którym Walker miał odpłynąć, został przytrzymanym z rozkazu rządu, pragnącego zachować prawo neutralności. Jednakże mimo doznawanych przeszkód 15 października zdołał opuścić San Francisco, i w ośmnaście dni później z czterdziestą pięcią ludźmi wylądował w La Paz w stariej Kalifornii.

Nowourosły dowódzca posłał część swojej armii dla zajęcia miasta i uwięzienia gubernatora, co wszystko pośród ludności osłupiałej i bezbronnej odbyło się w jednej chwili. Oficer delegowany kazał zdjąć flagę meksykańską i ogłosił niepodległość Niższej Kalifornii. Wtedy Walker nadciągnął z resztą wojska, kazał wylądować amunicją i zapasy żywności i rozgościł się na piękne. Ubezpieczwszy jako tako miasto, proklamował się uroczyście *prezydentem* rzeczypospolitej Niższej Kalifornii, mianował sekretarza stanu, sekretarza do spraw wojennych i marynarki, i wreszcie wydał rozporządzenia stosowne do nowego porządku rzeczy. Pierwsze te akty urzędowe dyktatora mało są znane, a zasługują na przechowanie.

Proklamacya.

„3 listopada 1853 r.

„Rzeczpospolita Niższej Kalifornii obecnym dekretem zostaje uznana za wolną, samowładną i niepodległą, wyłamując się na zawsze z posłuszeństwa dla rzeczypospolitej meksykańskiej.

„W. Walker,

„*prezydent Niższej Kalifornii.*

„Fryderyk Emory,

„*Sekretarz Stanu.*”

2 dekret. „Począwszy od dnia dzisiejszego, 7 listopada 1853 roku, prawo luizyańskie obowiązujące będzie we wszystkich sądach rzeczypospolitej”.

3 dekret. „Wszelkie cła wchodowe i wychodowe zostają zniesione niniejszym dekretem” i t. d.

Po aktach tych nastąpiło usprawiedliwienie zamachu.

„*Adres Walkera, prezydenta Niższej Kalifornii, do obywateli Stanów Zjednoczonych.*

„Ogłaszając rzeczpospolitą Niższej Kalifornii wolną, samowładną i niepodległą, winienem obywatelom Stanów Zjednoczonych zdać sprawę z pobudek tego czynu. Wobec narodowości która bacznie dotychczas strzegła niezawisłości państw amerykańskich, należy usprawiedliwić utworzenie na pograniczu Unii nowej rzeczypospolitej.

„Rząd meksykański oddawna uwłaczał obowiązkom swym względem Niższej Kalifornii. Ponieważ terytoryum tej prowincyi traktatem Guadalupe Hidalgo zostało usunięte od związku bezpośredniego z resztą Meksyku, władze przeto centralne nie zajmowały się wcale sprawami półwyspu kalifornijskiego. Położenie jego geograficzne jest takie, że oddziela go zupełnie od innych części rzeczypospolitej meksykańskiej; więzy zaś moralne łączące go z Meksykiem jeszcze są słabsze i wątlejsze od terytoryalnych. Dla rozwinięcia więc wewnętrznych zasobów Niższej Kalifornii i urządzenia jej społecznego, należało koniecznie uczynić ją niezawisłą.

„Z tych to powodów ja i moi towarzysze broni przedsięwzięliśmy dzieło oswobodzenia. Nadzieję dalszej pomyślności pokładamy w opiece Tego który czuwa nad losami narodów i prowadzi je drogą postępu.

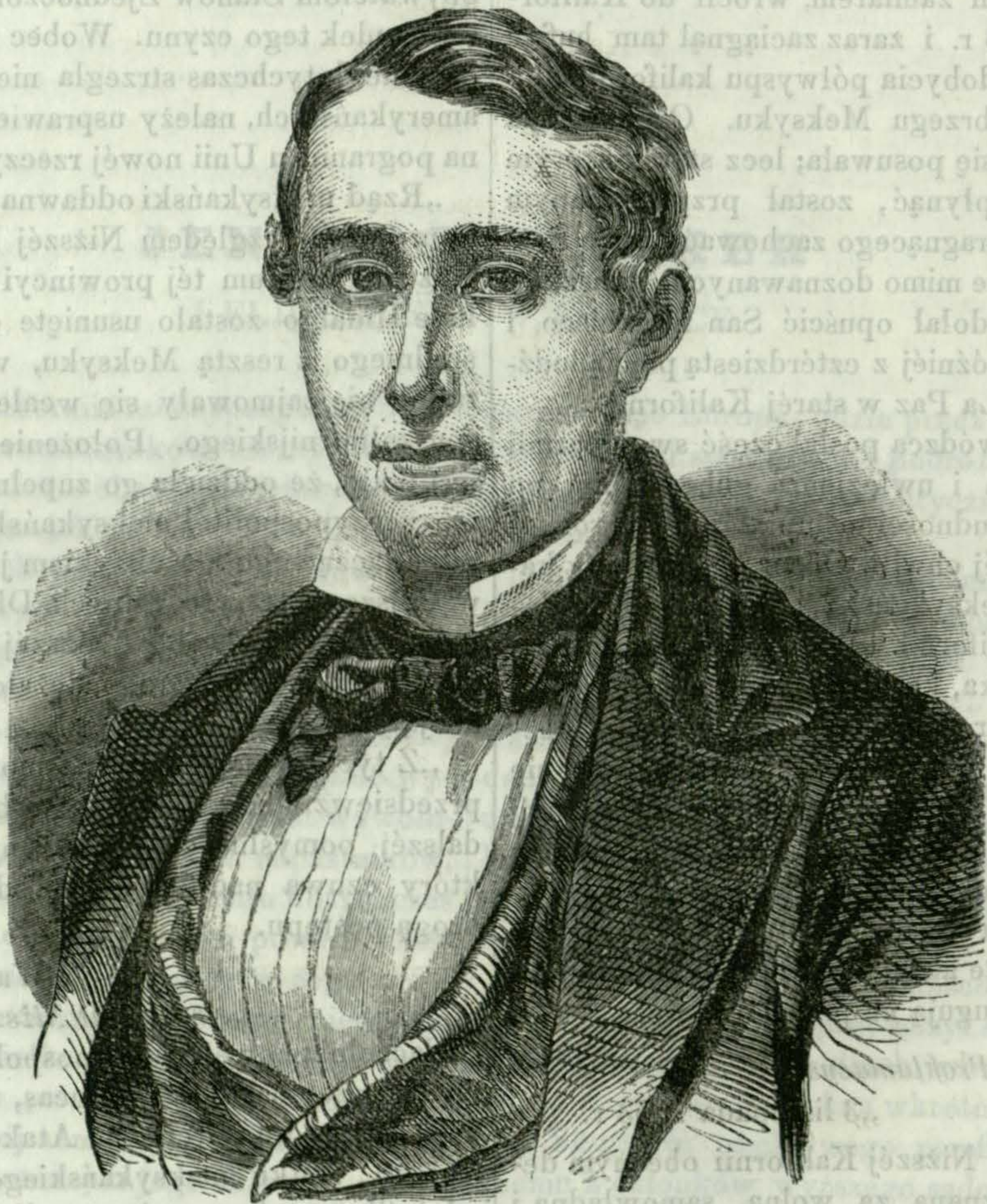
„W. Walker,

„*prezydent Niższej Kalifornii.*”

Naczelnik nowej rzeczypospolitej stolicę swego rządu przeniósł do San-Lucas, zabrawszy z sobą ex-gubernatora i archiwa. Atakowani przez osadę małego statku meksykańskiego, zaborcy łatwe odnieśli zwycięstwo i zaczęli posuwać się dalej w głąb kraju.

Nabiérajac, w miarę powodzenia, coraz więcej śmiałości, Walker, który spodziewał się posiłków i niebardzo był zadowolony z lichęj swęj zdobyczy w okolicy niezamieszkanęj prawie i jałowęj z powodu braku wody, nie zakładał już granic swęj ambicyi i postanowił owładnąć Meksyk, zaczynając od północnych jego prowincyj. Zaprzętniony śmieszniém tém urojeniem, pospieszył ogłosić światu zdobywcze swe zamiary, i 18 stycznia

1854 r. wydał proklamacyą, na mocy której terytorium Sonory, należące dotąd do Meksyku, zostało wcielone, rozumie się na papierze, do Niższej Kalifornii. Według tego dokumentu nowa rzeczpospolita, złożona ze Stanów Sonory i Niższej Kalifornii, miała przybrać miano Sonory, i granice jej z drobiazgową oznaczono ścisłością.



Jenerał Walker.

Armia dyktatora, wzmocniona seciną ludzi z San-Francisco pod dowództwem pułkownika Watkins i dwoma działami polowemi, gotowała się zająć na prawdę w mowie będące terytorium. Walker 20 marca opuścił San-Vicente, na czele wojska okupacyjnego i trzody bydła mającego służyć za pożywienie.

Przebywając góry celem okrążenia zatoki, flibustierowie utracili ze dwadzieścia wołów; nieco później Indianie Cucupas, bezczelni złodzieje, ukradli ich jakie trzydzieści; inne nakoniec potopiły się w przeprawie przez Rio Colorado. Wkrótce głód zaczął dokuczać małemu oddziałowi zdobywców, w których szeregi brak najgłówniejszych

potrzeb życia rzucił naturalnie niezgodę i zupełne rozprzeżenie. Przybywszy do Yuma, na terytorium Stanów Zjednoczonych, otrzymali wprawdzie od tamecznego komendanta pomoc nieodzowną; lecz kiedy Walker na miejscu zliczył garstkę swych walecznych rycerzy, spostrzegł niestety że około pięćdziesięciu już uciekło, a reszta, całkiem

zdemoralizowana, czekała tylko sposobności aby uczynić to samo.

Opuszczony od towarzyszy, których zaufania zjednać sobie nie umiał, Walker zmuszony był powrócić, zanim nawet ujrzał krainę tak snadnie, z mocy szumnych proklamacyj, oswobodzoną od jarzma meksykańskiego. Przeszedł napowrót rzekę, zaczepiany przez Indyan; poczem, zamiast wrócić do Niższej Kalifornii, porzucił i zdobycz swoją, i prezydenturę, i wojsko tam zostawione, udając się do San-Diego, dla uniknienia utarczki z pogranicznym wojskiem meksykańskim. Komendant tameczny, na słowo honoru że stawi się przed władzą wojskową w San-Francisco, jako winny naruszenia naturalności, pozwolił mu od płynąć do stolicy Kalifornii. Przybył tam 15 maja 1854 r., z dwudziestą pięcią tylko ludźmi.

Wieść o zuchwałej wyprawie niemały zapal obudziła w San-Francisco, gdzie opinia publiczna zanadto sprzyjała awanturczym przedsięwzięciom, aby się zrazić nawet niepowodzeniem. Bohater jej, stawiony przed sądem za naruszenie praw międzynarodowych przez zbrojne najście terytorium meksykańskiego, został uwolniony, jak tego spodziewać się należało po sędziach aż nadto pobłażliwych dla nadużyć podobnego rodzaju. Proces Walkera przyczynił się owszem do podniesienia jego popularności, i uczynił go w mniemaniu powszechnym znakomitością polityczną.

Lecz w Stanach Zjednoczonych, bardziej niż gdziekolwiek indziej, sława nie daje chleba. Bez sposobu do życia, Walker, czekając pomyślniejszej chwili, zmuszony był wziąć się do pióra, i pracował kolejno dla dzienników *Commercial Advertiser* i *State Journal*, aż do końca roku 1854.

W tej epoce wrodzona niespokojność charakteru, w połączeniu z biegiem wypadków, popchnęła go ku nowej wyprawie do Nicaragui. W chwili najścia większa część tego kraju zostawała pod władzą dyrektora don Francisco Castillon, naczelnika stronnictwa liberalnego, który obalił rządy prezydenta don Fruto Chamorro, głowy stronnictwa legitymistów. Chamorro jednakże, człowiek energiczny i dzielny, okopał się w Granadzie, i tam od dziewięciu już miesięcy stawiał czoło przeważnym siłom przeciwnika. W ciągu tych wypadków jakiś agent amerykański podał Castillonowi myśl zaciągnięcia pod swe chorągwie hufca ochotników, pod dowództwem Walkera. Dla ostatecznego pokonania legitymistów i ukończenia

wojny ciągnącej się od tak dawna bez stanowczych rezultatów, Castillon zgodził się na to, i przyrzekł w zamian za otrzymaną pomoc, odstąpić Amerykanom 52,000 akrów gruntu i zapewnić im niektóre inne przywileje.

Stronnicy Walkera utrzymują zwykle że Amerykanie interweniowali jedynie na żądanie naczelników stronnictwa liberalnego, i dlatego nie można ich nazwać flibustierami, ale raczej oswozdzielcami. Może to być w części prawdą; niemniej jednak i to nie ulega zaprzeczeniu że uwaga Amerykanów oddawna zwróconą była na Nicaraguę. Od czasu odkrycia kopalni kalifornijskich potrzeba komunikacyi między Atlantykiem i oceanem Spokojnym, szybszej niż naokoło przylądka, żywo uczuć się dawała. Kompania więc amerykańska, przez Rio San-Juan i jeziora Nicaragua, urządziła przeprawę z jednego morza na drugie. Drogę tę w latach ostatnich przebywało mnóstwo Amerykanów, i ci dostateczną mieli sposobność przyjrzenia się bogactwu tego kraju i ocenia jego słabości, czyniącej go łatwą dla Stanów Zjednoczonych zdobyczą. Gdy przeto gabinety washingtonski i londyński zaczęli na drodze dyplomatycznej roztrząsać prawdziwe znaczenie słynnego traktatu Clayton-Bulwer, tymczasem oddział awanturników amerykańskich, podtrzymywany opinią większości swego kraju, owdładnął Nicaraguę, zanim spór ostatecznie został rozstrzygnięty.

Walker pochwycił skwapliwie tę sposobność poprobowania raz jeszcze szczęścia i zdobycia nowych wawrzynów. Pięć miesięcy upłynęło na przygotowaniach, i dopiero 4 marca 1855 r. wyprawa złożona z pięćdziesięciu sześciu ludzi, uzbrojonych w karabiny, rewolwery i *bowie-knives*, rodzaj nożów, opuściła port San-Francisco.

W pierwszych dniach czerwca flibustierzy przybyli do Realejo, i zaraz ruszyli na Chinandega, gdzie zostali przyjęci z oznakami najwyższej radości. Chamorro nie żył już od miesiąca, lecz inny naczelnik jego stronnictwa, jenerał Corral, objął dowództwo, i wojna domowa przeciągała się z zaciętością. Walker udał się do Leonu, głównej kwatery liberalnych, oddając się pod rozporządzenie władzy. Ministerstwo jednak, mimo reputacyi karabinierów amerykańskich, nie chciało z razu przypuścić do służby cudzoziemców. Walker, zrażony napotkaniami trudnościami, powrócił do Realejo, aby ztamtąd przejść do Honduras, gdy wreszcie przyszła z Leonu odpowiedź przychylna, i

nazajutrz Amerykanie, których szczupła liczba nie zdawała się niebezpieczną, zostali wcieleni do armii miejscowej. Krok ten, jak wiadomo, smutne dla Nicaragui spowodował następstwa.

Pierwsza kampania w której oddział Walkera wziął udział miała na celu odebranie miasta Rivas. Hufiec złożony z Amerykanów i dwustu krajowców wypłynął z Realejo, wylądował w San-Juan-del-Sur, i posunął się ku Rivas. W pierwszej jednak utarczce krajowcy pierzchnęli, i Walker z swojemi 56 karabinierami znalazł się sam jeden wobec 400 nieprzyjaciół. Amerykanie napróżno starali się stawić im czoło; zmuszeni ustąpić do San-Juan, znaleźli tam szczęściem statek który ich odwiózł napowrót do Realejo.

W sierpniu dopiero Walker mógł pomyśleć o rozpoczęciu znów kroków zaczepnych. Tym razem wylądował pod wioską Virgin-Bay, nad brzegiem jeziora Nicaragua. Atakowany przez siłę przeważną pod dowództwem generała Guardiola, odparł go z wielką stratą i przeniósł główną swą kwaterę do San-Juan-del-Sur, gdzie otrzymał posiłki z Kalifornii. Virgin-Bay i San-Juan-del-Sur są dwoma krańcowemi punktami drogi łączącej jezioro Nicaragua z oceanem Spokojnym, na której dosyć porządne znajdują się zajazdy; awanturnicy więc nasi mogli się tam zaopatrzyć w żywność i inne niezbędne potrzeby.

W połowie października Walker, mianowany już wodzem naczelnym całej armii, liczącej 250 krajowców i 200 Amerykanów, ruszył pod żagle w Virgin-Bay, wylądował niedaleko Granady i zdołał opanować to przedmurze legitymistów, które generał Corral nieroztropnie ogolocił z wojska, spodziewając się pierwszego napadu od strony Rivas. Walker kazał natychmiast pojmać jako zakładników członków tamecznego rządu i dwudziestu znakomitszych mieszkańców; poczem ogłosił rozkaz dzienny w duchu pojednawczym, przyrzekając szanowanie osób i własności.

W tym czasie cholera zaczęła dziesiątkować ludność Nicaragui; Castillon, prezydent liberalistów, padł jój ofiarą w Leonie. Walker więc, jako naczelnik wojenny, ujrzał się na czele stronnictwa. Ofiarowano mu prezydenturę, lecz odmówił, uważając, na teraz, korzystniejszym dla siebie stanowisko naczelnego wodza.

Naczelnik stronnictwa legitymistów, Corral, ciągle znajdował się w Rivas. Trwożony fałszywemi raportami, uważając sprawę swą za straconą, a szczególnie lękając się o życie zakładników, któ-

rych rozstrzelaniem Walker ciągle się odgrażał, zezwolił na warunki pokoju podawane przez pana Wheeler, ministra rezydenta Stanów Zjednoczonych w Nicaragui. Słabość ta Corral'a ocaliła jeńców, lecz zato kraj cały oddała w ręce napastników. Zawarto zaraz traktat, z mocy którego oba rządy zwalczające się nawzajem od ostatniego przewrotu zostały zniesione. Don Patricio Rivas, człowiek popularny i powszechnie poważany, objął prezydenturę na 14 miesięcy; obok niego Walker piastował godność naczelnego wodza. Ci dwaj dostojnicy, z czterema jeszcze ministrami, stanowili skład rządu nowego.

Traktat został obustronnie ratyfikowany; odśpiewano w katedrze *Te Deum*, i dwa przeciwne wojska złączyły się pod komendą dowódcy flibustierow. Corral objął tekę ministra wojny; pułkownika French, Amerykanina, mianowano ministrem skarbu. W ogólności władza na pozór mniej więcej równo została rozdzieloną między oba stronnictwa miejscowe i przybyszów amerykańskich; rzeczywiście jednak Walker był dyktatorem, i krwawy terrorizm jego zaciężył nad nieszczęśliwym krajem.

Po kilku miesiącach trwania nowego porządku rzeczy przejęto listy Corral'a do naczelników legitymistycznych, dowodzące że minister wojny spiskuje przeciw istniejącemu rządowi, którego sam był członkiem. Stawiony przed sąd wojenny, Corral za zdradę stanu skazany został na rozstrzelanie, i wyrok ten wykonano natychmiast na placu publicznym Granady, w obecności całej armii. Ze śmiercią jego zniknęła dla Nicaragui ostatnia nadzieja oparcia się jarzmu obcemu.

Stany Zjednoczone przez rezydenta swego, pana Wheeler, uznały formalnie władzę Walkera; sąsiedni kraj Honduras uczynił to samo. Guatemala, najważniejsza ze stanów Ameryki środkowej i najbardziej nieprzyjazna wpływowi północy, zachowała pogardliwe milczenie i trzymała się odpornie. Costa-Rica wreszcie, granicząca z Nicaraguą od południa, niepokoiona powodzeniem Walkera, uzbrajała się, aby w razie potrzeby odeprzeć napastę flibustierów, albo pospieszyć w pomoc dawnym swym sprzymierzeńcom.

Najpierwszem staraniem dyktatora było założenie dziennika ku rozgłaszaniu świetnych swych czynów, ku ściąganiu ochotników i osiedleńców, głównie zaś ku oszołomieniu opinii świata politycznego. Dziennik ten tygodniowy, pod tytułem *El-Ni-*



G. F. HAENDEL.

caraguense, drukuje się w Granadzie po angielsku i po hiszpańsku. Znaczną część zawartych w nim artykułów pisze sam Walker, reszta jest pióra jego stronników. Dzięki téj taktyce, Europa dziś tyle tylko dowiaduje się o stanie wewnętrznym Nicaragui, ile jéj rząd tameczny donieść uważa za stosowne.

Niezadługo Walker ogłosił dekret zapewniający każdemu wychodźcy, któryby osiedlić się pragnął na pustych gruntach nikaraguańskich, 250 akrów ziemi. Obietnica ta, roztrąbiona przez prasę Stanów Zjednoczonych, ściągnęła licznych kolonistów amerykańskich, pomimo proklamacyi prezydenta Pierce, wzywającej do przestrzegania praw neutralności, i innych środków mających niby zapobiedz ruchowi emigracyjnemu, któremu w gruncie sprzyjano w Washingtonie, widząc w nim środek zrównoważenia wpływu angielskiego. Wprawdzie rząd amerykański nie przyjął pułkownika French jako ministra pełnomocnego rzeczypospolitej Nicaragua; lecz czyliż z drugiej strony pan Wheeler nie uznał władzy Walkera? Wybiegi podobne, w Ameryce zwłaszcza, nikogo oszukać nie zdołają.

Wszechwładny naród i rząd Unii, są to dwa ciała odrębne, kierowane odmiennymi pobudkami. Rząd, dla przyzwoitości saméj, musi utrzymywać pozór dobrej wiary wobec krajów przyjaznych; lecz jednocześnie ubiega się za popularnością, i z tego powodu nie myśli wcale na seryo o ukróceniu nadużyć protegowanych przez opinią publiczną. Sposób w jaki Nicaragua została ujarzmiona przez zgraję awanturników, najlepszym jest dowodem prawdziwości tego twierdzenia.

Dalsze wypadki, od dojścia do władzy Walkera, powszechnie są wiadome. Wsparty jedynie na terroryzmie, nie posiadając sympatyj rządzonego przez siebie narodu, zagrożony przytém przez sąsiadów, a słabo tylko przez Stany Zjednoczone wspierany,

przywłaszczyciel w trudnym znajduje się położeniu, i, według ostatnich wiadomości, upadek jego zdaje się nieuniknionym.

Stronnicy jenerała Walker uwielbienie dla *wielkich* jego przymiotów posuwają aż do przesady; a jednak, rzecz dziwna, żaden z nich nie przytacza choćby jednego czynu osobistej odwagi, do okazania której, wśród tylu przygód, niejednokrotnie przecież nastroczyć się musiała sposobność. Obok wysoko posuniętej junakieryi, nie widać w nim rycerskości, a przytém zbywa mu zupełnie i na wyższym owym poglądzie, właściwym ludziom stanu w rozciąglejszym znaczeniu tego wyrazu. Czyny jego od czasu objęcia władzy nie dowodzą bynajmniej ani talentu administracyjnego, ani nawet bezinteresowności, i z każdym dniem niemal charakter jego, pełen ambicyi osobistej i chciwości, bardziej wychodzi na jaw.

Postawając Amerykanie przybrali pierwsiastkowo względem Nicaragui, zdawała się wróżyć blizkie przyłączenie tego kraju do związku Stanów Zjednoczonych. Dziś, dzięki załatwieniu sporu anglo-amerykańskiego, postać rzeczy się zmieniła, i nadzieje te przedwczesne upadły. Podczas gdy z jednej strony rozbudziło się uczucie narodowe dawnej konfederacyi, i krew hiszpańska zawrzała nienawiścią przeciw obcym napastnikom, z drugiej uroczyste ponowienie traktatów zaręczyło nie-naruszalność terytoryum Ameryki środkowej. W téj chwili rząd Unii nie ma już właściwie interesu w podtrzymywaniu Walkera; prywatni nie kwapią się także z pomocą, widząc że dla swój kieszeni żadnego tam zysku nie znajdą; wszystko słowem dla pięknych tych okolic zdaje się wkrótce lepszą zapowiadać przyszłość. Trzy wielkie drogi handlowe przerzną je niezadługo w trzech odmiennych kierunkach, i dzięki dobrodziejstwu temu, ludność Nicaragui weźmie nakoniec może udział w ogólnym ruchu ludzkości.

JERZY FRYDERYK HÄNDEL.

Uderzający przykład wczesnie rozwiniętych zdolności muzycznych przedstawia Jerzy Fryderyk Händel, jeden z najgłębszych i najobfitszych

w pomysły kompozytorów niemieckich, urodzony w Halli nad Saalą 24 lutego 1685 roku. W dzieciństwie już wiekiem przeznaczony na prawnika, i

gwałtem niemal przez ojca, bardzo surowego człowieka, powstrzymywany w swój żądzy artystycznej, siedmioletni chłopczyna znalazł jednak sposobność wyćwiczenia się potajemnie w grze klawikordowej, na starym instrumencie zdybanym gdzieś pod strychem.

Roku 1692 ojciec jego wybierał się do Weissenfels, dla odwiedzenia swego brata, kamerdynera przy księciu panującym. Mały Jerzy napięrał się towarzyszyć mu w tej podróży; lecz konsekwentny ojciec odmówił, obawiając się zapewne aby sposobność słyszenia dobrej muzyki przy dworze książęcym nie podsyciła skłonności dziecięcia. Odmowa jednak nie na wiele się zdała, bo w pewnym oddaleniu od miasta chłopczyna dogonił ojca, który rad nierad musiał już zabrać go ze sobą. Drobnie to na pozór zdarzenie, stanowczym było dla przyszłości Jerzego, gdyż w Weissenfels sam panujący książę wziął go pod swoją opiekę, i przelamawszy opór ojca, wymógł na nim przyrzeczenie, iż syna kierować będzie na muzyka.

Odtąd młody Händel pobierał przez lat kilka naukę kompozycji od niejakiego Zachau, organisty przy kościele katedralnym w Halli, a w roku 1698 wysłany do Berlina, dostał się pod kierunek kapelmistrza Attilio. W Berlinie zainteresowano się powszechnie utalentowanym młodzieńcem; nie przyjął jednak propozycji elektora, pragnącego zatrzymać go w swój stolicy, i roku 1699 powrócił do Halli, jako znakomity już wirtuoz na klawikordzie i organach.

Po śmierci ojca udał się do Hamburga, wstąpił do tamecznej orkiestry i w piętnastym roku życia został jej dyrektorem. Jednocześnie zaczął komponować opery, z których „Almira”, „Florinda” i „Nero” bywały grywane z powodzeniem. Po pięciu latach pobytu opuścił Hamburg, dla dopełnienia we Włoszech swych studyów muzycznych. We Florencji skomponował dla wielkiego księcia operę „Rodrigo”, a w Wenecji „Agyppinę”. W Rzymie, zaszczytany przyjaźnią wielu dostojnych osób, utworzył oratorium „La resurrezione”, oraz mnóstwo kantat i sonat. Zwidziwszy następnie Neapol, wrócił do swój ojczyzny, gdzie został nadwornym kapelmistrzem elektora hano-werskiego.

Pod koniec roku 1710 spotykamy go w Anglii, i tam dopiero twórczy jego geniesz zajaśniał w całej pełni. Opera „Rinaldo”, skomponowana w 14 dniach, zrobiła go ulubieńcem publiczności, a więk-

szą jeszcze popularność zjednało mu *Te Deum* na cześć pokoju utrechckiego. Kiedy po śmierci królowej Anny elektor Hanoweru wstąpił na tron angielski pod imieniem Jerzego I, Händel otrzymał roczną pensją 600 funtów sterlingów, z poleceniem udzielania lekcji muzyki królewnom, i przez to pozyskał wstęp do najwyższych towarzystw londyńskich. W domu hrabiego Burlington skomponował w tym czasie opery „Amadis”, „Tezeusz”, i „Il pastor fido.”

Po urządzeniu przy teatrze Haymarket „Królewskiej akademii muzycznej”, Händel stanął na czele tej instytucji i wybrał się na ład stały, dla sprowadzenia śpiewaków; poczem r. 1720 z nadzwyczajnym powodzeniem wystawił operę swą „Radamisso”. Znaleźli się jednak i niechętni jego sławie, na których czele stał Buononcini ze swemi stronnikami. Obaj współzawodnicy postanowili ubiegać się o lepszą w kompozycji jednej i tej samej opery, a zwyciężony ustąpić miał zwycięzcy. Operą tą był „Mucyusz Scewola.” Händel napisał uwerturę i ostatni akt, i odniósł świetny tryumf nad swoim przeciwnikiem.

Wkrótce atoli intrygi i nieporozumienia ze śpiewakami pozbawiły go względów dworu i publiczności angielskiej. Teatr Haymarket oddany został Włochom, między którymi słynęli Porpora jako kompozytor i Farinelli jako śpiewak. Jednocześnie (roku 1733) na dwóch teatrach londyńskich odegrano dwie opery, obie pod tytułem: „Ariadna”, jedną kompozycji Händla, drugą Porpory. Porpora, jakkolwiek niezaprzeczenie niższy talentem i nauką, odniósł tym razem zwycięstwo, dzięki głosowi Farinelli'ego. Nadaremnie Händel starał się odzyskać utraconą wziętość: znękany fizycznie i moralnie, zabrnął w długie i nareszcie wpadł w ciężką chorobę, z której ulęczyła go za ledwie energiczna kuracya u wód akwisgrańskich.

Wróciwszy do Londynu r. 1736, wsparty opieką lorda Middlesex, skomponował dwie nowe opery: „Faramond” i „Aleksander Belus.” Liczba wszystkich prac jego dla sceny dochodzi do 45; lecz opery te, podobnie jak współczesne włoskie, są raczej następstwem aryj, recytatyw oraz niewielu duetów i chórów, jak utworami opartymi na logicznym ciągu myśli, na wewnętrznej konieczności, słowem na prawdzie dramatycznej. Nie w tym też rodzaju Händel największe położył zasługi; najdzielniej talent jego objawił się w formie oratoryów, których szereg roku 1737 utworzył

„Messyas”, „Judasz Machabeusz”, „Josua” i „Jefta”, utwory zapewniające imieniowi Händla nieśmiertelną sławę. Roku 1751 dotknięty utratą wzroku, nie przestawał jednak zajmować się kompozycją kościelną. Szóstego kwietnia 1759 roku przewodniczył jeszcze wykonaniu jednego z dzieł swoich; w ośm dni później (14 kwietnia) nagle żyć przestał, rażony apopleksją. Ciało jego spoczywa w opactwie Westminster, pod wspaniałym pomnikiem marmurowym, a wykonywanie oratoryów jego w ogromnych kompletach dziś jeszcze zachwyca niezbyt skorych do uniesień mieszkańców Albionu.

Händel, obok niezwykłej energii ducha, posiadał siłę prawdziwie herkulesową i głos piorunujący. Pewnego razu, gdy śpiewaczka Cuzzoni nie chciała wykonać jednej jego arii, Händel uchwycił ją w pól, i przysięgł że ją wyrzuci oknem, je-

śli nie będzie posłuszną. Księżę i księżna Wallii musieli nieraz znosić jego wyrzuty, gdy się spóźnili na próby. Damy dworskie, gawędzące podczas muzyki, gromił bezwzględnie i wymieniał po nazwisku, a wtedy księżna zwykła była mawiać: „Dla Boga cicho, bo Händel się gniewa!” Zawzięłość, ograniczanie się w wydatkach i stosowanie do wymagań życia powszedniego nie przypadają do jego charakteru. Potrzebował dostatku, sławy i niepodległego stanowiska, aby rozwinąć umysłowe swe zasoby, i dlatego Anglia była może najwłaściwszą widownią jego działań artystycznych. Angielskie wydanie wszystkich kompozycji jego obejmuje 36 tomów in folio. W Niemczech obecnie dopiero towarzystwo znakomitych muzyków zamysła o kompletném wydaniu dzieł Händla, na uczczenie stuletniego obchodu jego śmierci.

MASZYNY I PRACA RĘCZNA.

Każda nowa wystawa przemysłowa nowe przynosi nam maszyny, każdy zakład fabryczny dobiega się o coraz doskonalsze zastosowania mechaniczne, i każdy dziś na tém polu wynalazek głównie ma na celu wykonanie danej pracy, przy użyciu jaknajmniejszej ilości rąk ludzkich. Dawniejsze maszyny potrzebowały przynajmniej dozorców, udzielających tym czynnym, choć nieżywotnym, organizmom o stalowych członkach kierowniczej swjej dłoni. Dziś robią maszyny działające niemal jak istoty rozumne, rozciągające owszém nadzór nad pracą samych rzemieślników. Prasa mechaniczna angielskiego banku notuje najdokładniej ile w nią każdy drukarz włożył banknotów, a nawet ile razy opuścił obowiązkowe wsuwanie w jej ramy przygotowanego papieru. Sztuki złota wybijane w mennicy niezawsze mają wagę przepisaną, a ztąd starannego wymagają rozsortowania. Zdawałoby się że to przeważanie drobiazgowo akuradne, to oddzielanie sztuk ważkich od nieważkich potrzebuje koniecznie biegłej ręki i wprawnego oka istoty myślącej. Ale to wszystko okazało się zbytęcznym, bo bank angielski posiada maszynę tak subtelnego pod tym względem znawstwa, że w je-

dniej chwili odróżnia niedowważające sówreny lub gwinee i odrzuca je na bok, a człowiekowi pozostaje tylko zgarnąć sztuki wskazane przez nią za dobre. Wyznajmy nawet, chociażby to upokorzyć nas miało, że maszyny czynność swoją wykonywają nierównie dokładniej od ludzi, bo nigdy się nie omylą, nie chybią nigdy przez namiętność, przez niecierpliwość, przez złą lub dobrą wolę. Maszyna jest stworzeniem człowieka, doskonalszém jednak w swych funkcyach od samego stwórcy. Człowiek musi w nią tchnąć swoją myśl wynalazczą; lecz raz wystawiona, urągać się ona zdaje niedołącznym jego usiłowaniom, i nietylko że pracuje szybciej i taniej od człowieka, lecz za pomocą swych kólek, trybów, walców i cylindrów stwarza dzieła niegające się nawet w przybliżeniu ręcznie naśladować, których piękność i wykończenie częstokroć uzbrojoném tylko okiem należyście ocenić można.

Wobec takiego współzawodnictwa dziwić się niepodobna że ludzie żyjący z przemysłu ręcznego z tajemną trwogą spoglądają na te huczące, warczące lub skrzypiące potwory, których siła oblicza się na konie, a pożywienie stanowi woda, powie-

trze, a co najwyżej węgiel kamienny. Niektóre maszyny, przy podsycaniu ich węglem za cenę 30 kopiejek, wykonywają tyle roboty, ile człowiek pracujący przez dni dwadzieścia po dziesięć godzin dziennie, tak iż zarobilby ledwo po 3 kop. na dobę, gdyby zamierzył wdać się w walkę z temi potężnymi dźwigniami przemysłu. Dziś w każdej niemal gałęzi rękodzielnictwa maszyny przeważają odgrywając rolę. W Glasgowie na przykład niedawno wynaleziono przyrząd który w niespełna dwudziestu minutach z surowych desek przykrawa klepki, zestawia je, wprawia dno i obija obręczami, i to bez innej pomocy ludzkiej, oprócz prostego znoszenia materiału. Produkcya takich beczek naturalnie o wiele jest tańszą od zwykłego wyrobu ręcznego, i w rzeczy samej sławetnemu cechowi bednarskiemu zupełną grozi zagładą. Któż, przebywając północno-zachodnie kantony Szwajcaryi, nie widział w wioskach tamecznych mężczyzn, niewiasty i dzieci ślęczących nad haftowaniem muślinów, i któż nie pomyślał wtedy że i ten krwawy zarobek najbliższy może pomysł mechaniczny zniszczy bezpowrotnie?

Takim jest stan obecny przemysłu ręcznego. Rzućmy teraz okiem w przeszłość, a ujrzemy ją w błogim używaniu niezakłóconej niczym pomyślności materialnej. W wolnych miastach średnio-wiecznych widziemy bogate cechy rzemieślnicze, rzucające klątwę na wszelki przemysł obcy w obrębie swojej władzy, z wyjątkiem tylko podczas jarmarków, na których ówczesni konsumenci zwykle na rok cały zaopatrywali się w towary. Mieszczanie i mieszczki, poobwieszani złotymi ozdobami, ciągną w niedzielę do kościoła, i niejeden klejnot z dziada i pradziada spoczywa w skrzyniach, na podziw następnych pokoleń. Wspomnijmy dalej że wtedy książęta i konsulowie zapobiegać musieli nadmiarowi zbytku, przepisując, według stopnia, ile każda kobieta nosić ma pereł i złota, ile funtów świec jarzących spalić należy na cześć nieboszczyków, ile dni trwać mają uroczystości weselne, i tym podobne rzeczy, które pod piórem nowożytnego prawodawcy zakrawałyby na urąganie. Tylko że niezbadano jeszcze na jaką właściwie część ludności spływały te dostatki wieków upłynionych; pytanie zaś czyli najniższa klasa dzisiejszej ludności nie osiągnęła tak samo wyższego stopnia dobrobytu w stosunku do przeszłości, jak to niezaprzeczenie ma miejsce co do klas wyższych, dotychczas jest w sporze pomiędzy optymistami i

pessimistami. Jednakże instynktowa obawa rękodzielników wobec konkurencyi maszyn istnieje w całej sile; chcemy więc udowodnić że potężnym tym działaczom cywilizacji naszej w żadnym wypadku przypisać nie można mniemanego zmniejszenia się ogólnej pomyślności.

Gdyby maszyny rzeczywiście były szkodliwe, to bez wątpienia społeczność oddawnaby się porozumiała na zupełne ich wykluczenie. Niechętni mówią że miarą prawdziwej niepodległości zarobkujących jest właśnie praca ich ręczna, praca osobista; lecz takie dowodzenie logiczną koniecznością prowadzi do wniosku iż najszcześniejszym był stan ludzkości w czasie w którym nie znano jeszcze pił, nożów, młotów, toporów i tym podobnych narzędzi pierwiastkowych. Według tej teoryi stan społeczności musiałby się choć odrobinę pogorszyć przez wynalezienie nawet szczypców do objaśniania świec, maszyny która także ma na celu oszczędzenie pracy ręcznej. Prawdziwem eldorado przemysłowem według tego rozumowania byłby czas kiedy zamiast młota, używano pięści, zamiast narzędzi do krajania, zębów i paznogci. Nieprzyjacielem maszyn niecierpliwą się zwykle takimi zarzutami i utrzymują że należy odróżniać narzędzia od właściwych maszyn. Lecz odróżnienie to prawie jest niemożliwem, bo nikt oznaczyć nie zdoła gdzie się kończy narzędzie, a gdzie zaczyna maszyna. Odpowiadają na to że narzędzie ułatwia tylko działanie ręczne, gdy tymczasem istota maszyny zasadza się właśnie na zupełnem usunięciu pracy ludzkiej i zastąpieniu jej siłami sztucznymi. Ale i to dość pozorne odgraniczenie upada, jeśli zważymy że w konsekwentnem przeprowadzeniu jego musielibyśmy poświęcić zagładzie nawet maszynę będącą zaczątkiem wszelkiej cywilizacji, pług rolniczy. Wół albo koń pociągowy przed pługiem zastępuje siłę dwunastu ludzi, i tym sposobem prosta ta maszyna mediatyzuje pracę jedenastu robotników, jeśli dwunasty nią kieruje. A jednak nikt nie myśli o usunięciu pługa. Należałoby więc chyba pojęcie maszyny ścieśnić jeszcze bardziej, dowodząc na przykład że szkodliwość jej zaczyna się wtedy dopiero, gdy siłę ludzką lub zwierzęcą zastępuje działaczami przyrodzonymi, jak woda, wiatr, ciśnienie powietrza, para i t. p. I na to jednak odpowiadamy że w takim razie trzeba by znieść wynalazki powszechnie uznanej pożyteczności, jak młyny wodne i wiatraki.

Przykład ten pokaże nam zarazem ile ogół na

maszynach zyskuje. Wszak wolno każdemu nie udawać się ze zbożem do młyna, tylko zemleć je w domu na żarnach ręcznych, jak za czasów Homera. Dlaczegoż nikt tego nie czyni? Oto dlatego że czas swój i pracę daleko korzystniej w inny sposób może spożytkować, i zarobić dwadzieścia razy więcej aniżeli by oszczędził na mlęcie. Widocznie tu człowiek ku swój posłudze używa sił przyrodzonych z powodu że są tańsze, a zastosowanie to okazuje się korzystnym zarówno dla najuboższych jak dla bogatych. To samo powiedzieć można i o produkcji rzemieślniczej. Żadna już dziś gospodyni nie uzna korzystnym robienia pończoch, jeśliby przez to zaniedbać musiała inne zatrudnienia, bo wie bardzo dobrze iż warstat pończosznika i taniej i w lepszym gatunku dostarczy jej tego artykułu. Po założeniu pierwszych kolei żelaznych krótkowidzący ubolewali nad nieochybnym upadkiem furmanów i małych oberżystów, a tymczasem obawy te wcale się nie sprawdziły. Wszak dawno przed wynalazkiem kolei istniały drogi bite, z których najgorsza nawet zmniejszała zawsze w pewnym stopniu potrzebę sił ludzkich lub zwierzęcych; a jednak nikt tego nie uważał za nieszczęście, bo wtedy przyznaćby musiał że Turcja na przykład, nie mająca żadnej prawie drogi, jest krajem obiecanym.

„Przodkowie nasi, mówi z ironią Arago, wielkimi byli samolubami. Gdyby nie dziwny ich upór założenia Paryża po obu brzegach Sekwany, zamiast zbudowania go na płaskowzgórzu Villejuif, to nosiwody przez wieki byłiby najpotężniejszym u nas cechem. Odwróćcie więc, panowie pseudoekonomiści, bieg Sekwany, ogłoście subskrypcją na osuszenie Paryża, a śmiech powszechny nauczy was że demonstracya *ad absurdum* i w gospodarstwie narodowym nie znajduje poparcia; sam zdrowy rozsądek ogółu uzna iż rzeka to właśnie stworzyła wielkie miasto, że bez niej Paryż dziś jeszcze byłby mięsciną.” Co za szaleństwo przekopywać między-morze Suez, dlatego tylko żeby sobie oszczędzić kawał drogi naokoło przylądka Dobrzej Nadziei! A jednak marynarze całego świata wierzą w ogromne podniesienie się żeglugi po dokonaniu tego zamiaru, skutkiem właśnie jej skrócenia, a tém samym mniejszego zużycia sił transportowych. Otóż kanał jest także maszyną w rozciąglejszym znaczeniu tego wyrazu, podobnie jak okręt pędzony wiatrem lub parą.

Zarzuty takie, wiemy o tém dobrze, niepokoją

przeciwników maszyn i zachwiewają nieco ich teorią, nie wzbudzając jednak niezłomnego przekonania że każde podbicie sił przyrodzonych i mechanicznych pod władzę człowieka dla najbiedniejszego nawet wyrobnika musi koniecznie stać się pożytecznym. Powiadają oni że zarobek zależy od stosunku liczby szukających zatrudnienia, do liczby potrzebujących pracowników. Zaprorowadzenie maszyn zmniejsza tylko potrzebę pracy ręcznej, ale nie zmniejsza liczby utrzymujących się z pracy; naturalnie więc łatwość zarobkowania musi przez nie w części upadać. Nic nad to pewniejszego, i nieunikniony ten skutek straszne dla społeczności sprowadziłby klęski, gdyby w świecie materialnym nie istniały prawa równoważące każde naruszenie ogólnej harmonii. Maszyny sprawiają tylko że daną ilością sił ludzkich więcej produkować możemy; *ale produkcya sama nie może być nigdy większą nad potrzebę, owszem potrzeba zawsze ją o krok jeden wyprzedza.* Zdolność człowieka do spożytkowania płodów przemysłu zupełnie jest nieograniczoną, i dlatego wzmagająca się działalność maszyn wywołuje tylko powiększanie się konsumcyi. Może wprawdzie niekiedy nastąpić przesilenie handlowe, zatamowanie odbytu, przepelnienie targowisk; lecz czasowe te wynikłości równoważone są wkrótce chwilami w których dobijanie się o robotników jest tak wielkie, że zaspokoić go niepodobna. Przyływ ten i odpływ nie ustanie nigdy, a odbywa się zwykle w okresie dwu lub trzyletnim. Biorąc zaś pod uwagę peryód na przykład dziesięcioletni, spostrzegamy nieodmienne iż zarówno konsumcyja jak produkcya w olbrzymim zwiększyły się stosunku. W hrabstwie Lancaster przerabiają rocznie na kartuny tyle nici bawełnianych, ileby 20 milionów przątek wrzecionem sprodukować nie zdołało, a liczba tkaczy, która przed zaprowadzeniem maszyn w tej gałęzi przemysłu wynosiła w całej Anglii tylko 50,000, wzrosła obecnie do półtora miliona. Powiadają że Anglia wywozi dużo wyrobów bawełnianych. Prawda; lecz kto choć cokolwiek obeznany jest ze statystyką, ten wie że cyfra wywozu w stosunku do wewnętrznej konsumcyi jest tam bardzo małą. Skutkiem wynalezienia jednej z najważniejszych maszyn, prasy drukarskiej, krocie pracowników znajduje dziś utrzymanie, gdy dawniej kilkuset zaledwo przepisywaczów lichy i niepewny miało zarobek. Wynalazek stalorytów, dających się, jak wiadomo, upowszechnić w pięćdzie-

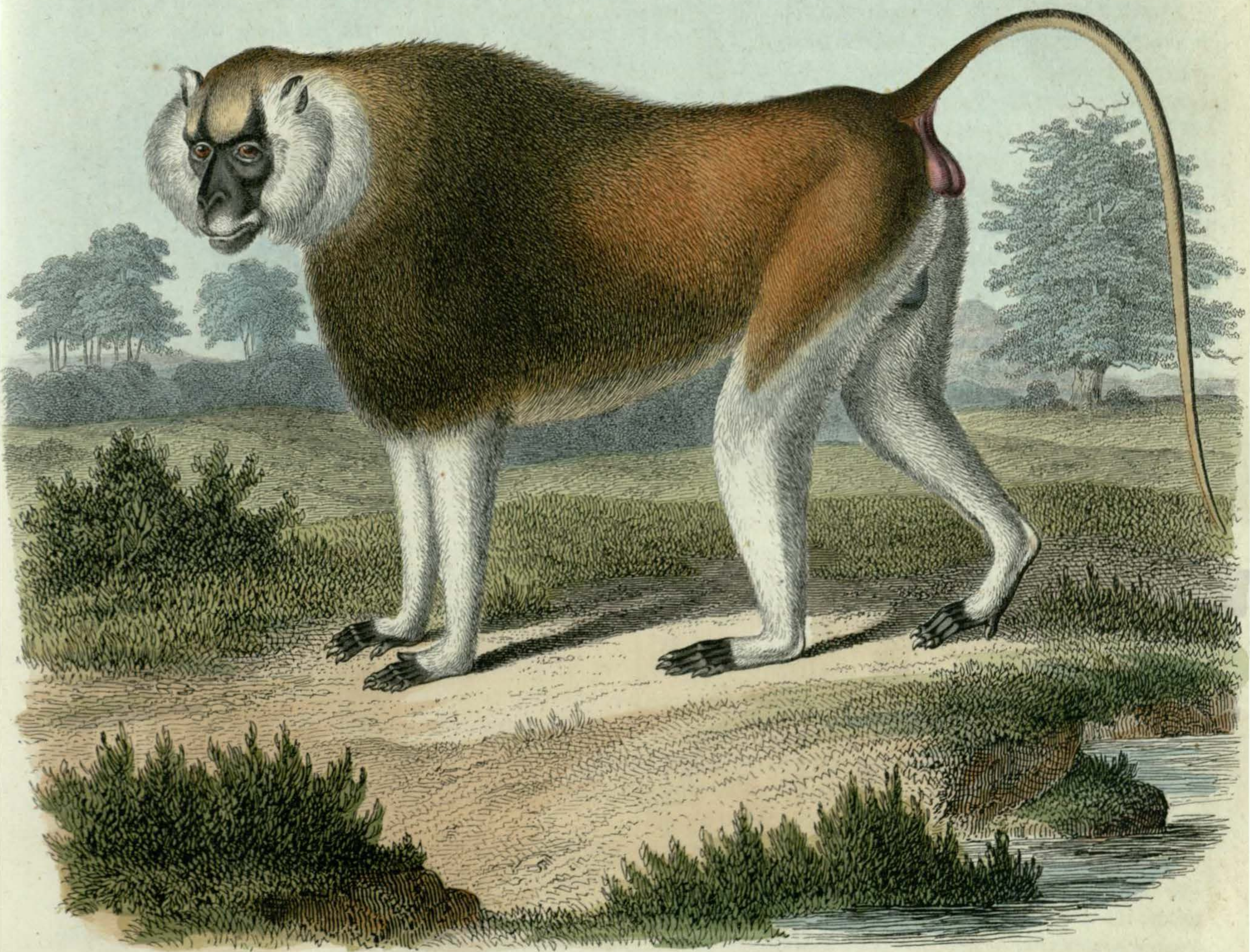
siąt razy większej liczbie odbić niż dawniejsze miedzioryty, szybko nad wszelkie spodziewanie pomnożył liczbę rytowników. Iluż to teraz fotografów robi majątki w każdym większym mieście, gdzie niegdyś pośledniejsi portreciści umierali prawie z głodu; a czyliż ten ich przemysł zaszkodził w czémkolwiek lepszym malarzom?

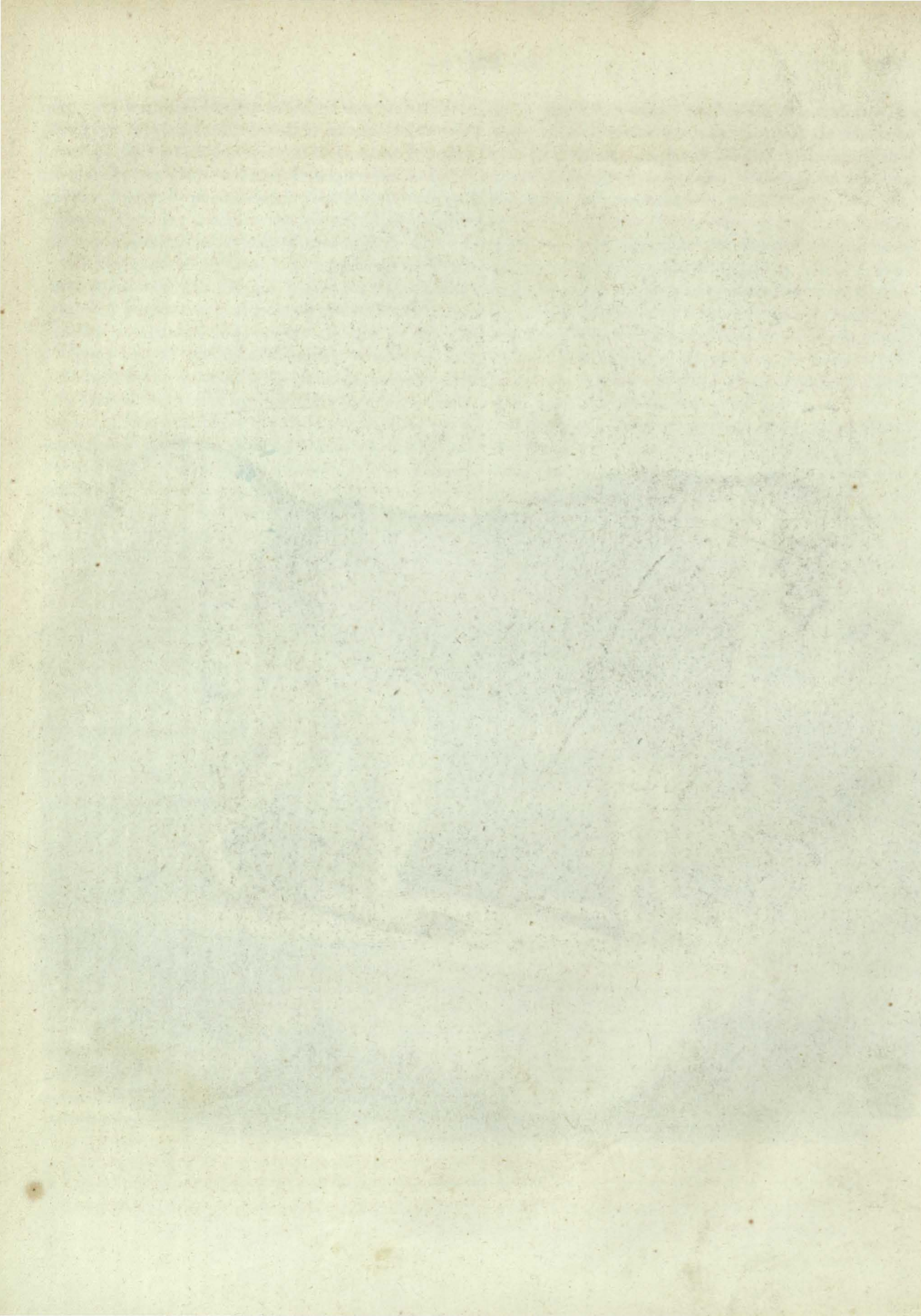
Wszystko to bardzo jest naturalnem. Przez oszczędzenie pracy ludzkiej produkta stają się tańszymi, i każdy może ich więcej spożytkować, chociażby zamożność jego wcale się nie podniosła. Wiemy zaś że zamożność ogólna, z małemi wyjątkami, we wszystkich krajach europejskich wzrosła znakomicie, a w tym samym stosunku pomnożyła się i konsumpcya. Gdy jakikolwiek płód przemysłowy, skutkiem działania maszyn, zniży się w cenie, to niezawodnie konsument albo w znaczniejszej ilości go potrzebuje, albo zapragnie czegoś nowego, co wymaga znów powiększenia pracy ręcznej. Na początku bieżącego stulecia muślin, z powodu swój drogości, używany był tylko na suknie, i to przez klasy majątniejsze; gdy później staniał, zaczęto go obracać na firanki; dalej jeszcze, zamiast gładkich tkanin, weszły w modę przerabiane, a gdy i te z czasem zbyt znacznie potaniały, rzucono się do muślinow haftowanych. Obecnie i hafty nie odpowiadają już coraz rosnącym wymaganiom, więc zaczynają ozdabiać je aksamitem lub jedwabiem. Widziemy że każde oszczędzenie pracy ludzkiej zostało tu wkrótce zrównoważonem większą wykwinnością wyrobu, a ta wykwinność tysiące znów i krocie rąk poruszyła. Obicia papierowe malarstwu pokojowemu rzeczywiście znaczny przyniosły uszczerbek; lecz za to fabrykanci papieru, obić, tapicery, zbieracze lachmanów i wielu innych znalazło zatrudnienie. Nadzwyczajna taniość obić prostego wyrobu spowodowała żądanie coraz bogatszych wzorów, a dla nas z tego wszystkiego wynikła ostatecznie ta korzyść, że, dzięki udoskonaleniom technicznym, możemy dziś za niewielkie pieniądze zamieszkiwać pokoje wykwinnie przyozdobione. Dawniej w książących tylko i magnackich pałacach używano jedwabnych makat; dziś ony zstąpiły już do mieszkań obywatelskich, a przyszłe pokolenia w ich miejscu ujrzą może gobeliny. Niezaprzeczono-

ny to pewnik że każde ułatwienie mechaniczne ciąga za sobą nietylko powiększenie się konsumpcyi, lecz razem pragnienie coraz doskonalszych i kosztowniejszych wyrobów. Inaczéj nawet być nie może; boć wszystko co zarobi kapitalista, gospodarz, urzędnik, kupiec albo prosty rzemieślnik musi iść w obieg, i każdy z nich zarobek swój obraca na spożycie produktów pracy ludzkiej. Praca jedna koniecznem następstwem wywołuje drugą, i nigdy właściwy stosunek między produkcją a konsumpcją na długo zachwianym być nie może. *Co człowiek robi, to człowiek zużyć musi*; na tém to prawie niewzruszonem polega tajemnica cudownej harmonii świata materyalnego.

Ale przypuśćmy, zarzuci kto może, iż skąpiec, wylamujący się z pod prawa ogólnego, zarobek swój zgarnia do szkatuły i tam go zamyka na długo; toć taki w niczem prawie nie przyczyni się do powiększenia odbytu. Prawda, lecz w pewnym tylko czasie. Skąpiec ten musi kiedyś umrzeć, a spadkobiercy jego najczęściej będą rozrzutnemi. Przypuśćmy nawet że zakopał swe pieniądze, to i tak spożył pracę górnika kopiącego srebro czy złoto, pracę pieczętarza i mincarza. Dzisiejsi jednak skąpcy nie zakopują już pieniędzy, tylko oddają je na procent, nabywają za nie papiéry, a czyniąc to, zamieniają je na produkta pracy ludzkiej. Każdy papier skarbowy jest obligiem na długi publiczne, na budowę dróg żelaznych, na potrzeby wojska, słowem na pewne działania ludzi pracujących. Nabywca ich przeto, nie myśląc o tém, wspomaga czynności finansowe albo przemysłowe, z których ostatecznie ogół odnosi korzyść materyalną. Pieniądz nieustannie przechodzi z ręki do ręki, a każde takie przejście jest układem wynagradzającym pracę już ukończoną, lub ułatwiającym rozpoczęcie nowéj.

Jakże więc maszyny zdołają mediatyzować pracę ludzką, gdy każdy zarobek, oszczędność nawet każda, w końcu koniecznie przeistaczać się musi w produkta właśnie téj pracy? Cudowny mechanizm świata materyalnego podobny jest do śruby bez końca, a maszyny to tylko w nim zmieniły, że produkcya płodów przeznaczonych do zużycia w ilości swój i jakości nieskończenie spotężniała.





KOCZKODANY AFRYKAŃSKIE.

Z pomiędzy wielu kwestyj, zajmujących uwagę naturalistów w ogólnym poglądzie na przyrodę, ważną jest bez wątpienia ta, którą wywołała walka o miejsce jakie przysądzić należy licznemu i ciekawemu pokoleniu małp. Jedni z naturalistów, uzbrojeni skalpelem zimnego anatoma, badając wszystkie zależności i podobieństwa organizacyi, z szyderskim sceptycyzmem rzucali w oczy rodowi ludzkiemu ohydne z niemi pokrewieństwo. Drudzy, na których sztandarze powiewał empiryzm, z bronią scholastyczną w ręku starali się opierać temu duchowi materyalnych zasad; lecz jak każde stronnictwo empiryczne, bez danych, pobici zostali dowodami praktyki, przed którą nie ostoi się żadna zasada *a priori* wygłoszona, żadna teoria poprzednio ukuta.

Jednakże naturaliści, w ciągłej z sobą pozostając walce, zboczyli nieco od pierwotnej kwestyi; ważniejszy bowiem wytoczył się spór między dwoma poprzednio wymienionemi stronnictwami. Szło o to czy ogólną klasyfikacyą zwierząt oprzeć na anatomii, czyli téż na tak zwanych duchowych przymiotach, jakie różnym zwierzętom są właściwe. Nie spostrzeżono jeszcze wówczas że te ostatnie są następstwem pierwszych, że niedopérz, mając błony ukształcone do lotu, zęby do rozgniatań owadów, nie może żywić się mięsem ani pływać po wodzie; nie wiedziano iż potulny baranek, gdyby był uzbrojony kłami i pazurami tygrysa, niewinna gołębica, gdyby dziobem sępiim i krogulczemi pazurami opatrzoną została, rzuciłyby się z żarłocznością na słabsze od siebie gatunki.

Odkrycie téj wzniosłej, lubo tak prostej na pozór, prawdy zapewniło Cuvierowi nieśmiertelność, łącząc zaś naturalistów pod jeden sztandar nauki, wiecznie prowadzić ich będzie do zwycięstw i świetnych podbojów w cudownych państwach natury.

Już nas teraz nie obraża to urojone pokrewieństwo z małpami; ciało bowiem tylko i zdolności z jego ukształcenia wynikające łączą nas jedném nierozzerwaném ogniwnem z łańcuchem zwierząt ssących, duch zaś wyżej się wznosi i niema nic wspólnego z mniemanemi krewniakami.

Lecz chociaż całe niebo rozdziela ludzkość od

małp, nie umniejsza to jednak potrzeby poznania téj obszerniej familii *czwororęków*; ich obyczaje, ich organizacya, zająć mogą zarówno naturalistę, jak i każdego kto ciekawy cudów tego świata tyle pięknego, tyle rozmaitego.

Począwszy od olbrzymiego pongo, który z pałką w długiej dłoni przechadza się po gajach zachodniej Afryki, przez olbrzymie gatunki goryla, orangutana azyatyckiego (*Satyrus rufus*) przechodzimy do coraz mniejszych niemniej ciekawych pawianów, kudlaczy (*Semnopithecus*) i nakoniec do ciekawego rodzaju *koczkodana*, którego jeden z najpiękniejszych gatunków, *Cercopithecus poliophaeus*, przedstawia obok załączona tablica.

Koczkodany twarz mają gołą, pysk słabo przedłużony. U rąk palce dość grube, lecz duży palec, od ukształcenia którego zdolność ręki w wykonywaniu rozmaitych czynności bardzo wiele zależy, jest krótki, a u rąk tylnych gruby. Torebki przyżuchwowe obszerne, nabrzmiałe pośladki, ogon długi, są właściwe wszystkim gatunkom koczkodanów.

Zgrabność, figlarność, połączone z żywym temperamentem, niestałością i złośliwością, oto główne cechy ich charakteru. Zamieszkują ląd stały Afryki, Azji i niektóre wyspy bliżej kontynentu. Zbiierają się w gromady i wspólne czynią wycieczki dla zdobycia sobie owoców po ogrodach, winicach i polach ryżem uprawnych. Wtedy to daje się widzieć zadziwiająca zmyślność tych zwierząt. Zbliżając się jak nocna banda złodzieiów do miejsca które ograbić zamysłają, czynią to z zachowaniem wszelkich prawideł strategiki; wysyłają naprzód podśluchy, z ostrożnością grupują się w szeregi i jak wprawne marodery, za danym znakiem przez swego naczelnika, rzucają się na zdobycz. Nie czynią ony jednakże tego w sposób jak się zwykle między ludźmi dzieje, gdzie jeden rabuś stara się wydrzeć drugiemu ukradziony przedmiot, gdzie nieraz brak przezorności daje się upamiętać zwyciężonemu nieprzyjacielowi. Tu przeciwnie wszystko odbywa się w jaknajściślejszym porządku: jedno nie wchodzi w drogę drugiemu, a kordon ustawiony przesyła z rąk do rąk zdobycz, któraby mogła zbyt ciężko obciążyć zdobywcę.

Za danym znakiem przez postawione wierne strażę, cała ta czereda, z popłochem niepodobnym do opisania, unosi co zdoła, umyka do lasów w bezpieczne miejsca, aby tam, rządząc się zasadami sprawiedliwości, rozdzielić między siebie owoce wyprawy.

Niezawsze jednakże udają się pomyślnie te robójnicze wyprawy: częstokroć łakomstwo i szkodność odnoszą zasłużoną karę. Osadnicy bowiem i krajowcy mają się na baczności, i wiodą ciągłą walkę z tém złośliwém plemieniem.

Rodzaj koczkodanów jest bardzo obfity w gatunki; naturalisci liczą ich przeszło trzydzieści, między którymi na szczególną zasługują uwagę: *koczkodan Malbruk* (*Cercopithecus cynosurus*) i *koczkodan afrykański* (*Cercopithecus poliophaeus*). Pierwszy jest największym gatunkiem koczkodana, i zamieszkuje w Cap-Coast na wybrzeżu Gambii. Skład całego ciała, a szczególnie długość nóg tylnych, przymusza te zwierzęta do chodzenia na wszystkich czterech członkach, i to jeszcze z wielką trudnością, gdy tymczasem zręcznie bardzo drapią się na drzewa. Ubarwienie ich jest zielonawo-siwe, nieco żółtawe, ogon czarny, twarz zaś białymi włosami obrosła.

Połączone w mniej więcej liczne gromady, żyją podobnie jak ptaki pod gołym niebem, na wierzchu rozgałęzionych drzew.

Nieprzyjaciółmi Malbruków, jak się zdaje, są ludzie i wielkie węże, z których ostatnie wspólną z nimi mają ojczyznę. Niezawsze jednak człowiekowi bezpiecznie wchodzić z nimi w walkę, charakter ich bowiem jest nadzwyczajnie gniewliwy,

a odwaga idzie w parze z ogromną siłą członków. Zauważywszy choćby najmniejszą chęć zaczepki ze strony nieprzyjaciela, wpadają w największą wściekłość, przyczem jednakże zachowują swą zwykłą ostrożność. Napadają na nieprzyjaciela z nienacka, kalęczą go zębami, pazurami i natychmiast za niego uciekają, a skoro się napadnięty obróci, znowu się na niego rzucają, dopóki nie nasyca swęj zemsty.

Ta dzikość charakteru i nieprzystępność sprawia że Malbruk nie przyjmuje żadnego wychowania, w niewoli staje się smutny i wkrótce umiera. Żywi się owocami i korzeniami, które za pomocą rąk przednich podaje zębom. Ręce, szczególnie przednie, tak ma urządzone, iż pomimo krótkości palca dużego, najdrobniejsze przedmioty podnosić może.

Na obok dołączonej tablicy przedstawiony jest drugi gatunek koczkodana, który u systematyków zowie się *Cercopithecus poliophaeus Heuglin*. Małpa ta mało jest jeszcze poznana, gdyż w ojczyźnie swojej, Afryce, zamieszkuje tylko nieprzebyte leśne okolice. Do Europy w ostatnich dopiero latach poraz pierwszy przywieziona została. Ciało jęj jest pokryte dość długą siercią, żywego rdzawego koloru na wierzchu i po bokach oraz na szczycie głowy; twarz czarna, faworyty i odzież na nogach białe; ogon długi, na wierzchu rdzawy, pod spodem żółty. Żywi się, podobnie jak i Malbruk, głównie owocami, żyje gromadnie. Zresztą obyczaje jęj w stanie wolnym bardzo mało są znane.

RÓWNOWAGA ZJAWISK PRZYRODZONYCH

NA KULI ZIEMSKIEJ.

Ziemia, wraz z całym łańcuchem na nięj zgromadzonych tworów, pełną jest harmonii opartęj na prawach równowagi, wszechmocną zakręślonęj dłonią. Te prawa zarówno przedstawiają się w cudownych objawach potężnej natury, jak i w życiu najlichszjęj roślinki poziomego mchu, strojącęgo twarde skał czoło. Widzę je rozlane w niezmi-

rzonych otchłaniach niebios, gdzie miryady olbrzymich globów, podobne kołom wielkiego zegaru, niewidzialną ręką w bieg puszczone, wajemnym oddziaływaniem utrzymują się w równowadze, jak również w cudownym ustroju organizmu niewielkiego i wzgardzonego owadu, obdarzonego przez naturę tysiącem włókien, mięśni, ner-

wów, zmyślnością i tą miarką rozumu która kieruje wszystkimi jego czynnościami w ciągu krótkotrwałego żywota.

Między temi ostatecznymi krańcami, które sztuką zaostrzonym wzrokiem spostrzedz zdolaliśmy, zawiera się cały szereg tworów, zlanych w jedną przeczystą pieśń zgody, wznoszącą się nieustannie przed Tron Stwórcy tych cudów. Słyszę jej srebrzyste tony w lekkim oddechu skamieniałej piersi piaszczystych pustyni lub zielonych stepów, w brzęczeniu zefira igrającego z krzaczkiem polnej róży, albo zdmuchującego swawolnie kropelkę rosy orzeźwiającej skromnie ukryty fioletek; w grzmiącym ryku fal rozwścieczonego gniewem oceanu, co bijąc o skały druzgocze w szmaty olbrzymie okręty, przedmiot usiłowań lat wielu i niezmiernych kosztów; słyszę je jeszcze w huku zwrotnikowej burzy, zagrzebującej i łamiącej pod swemi stopami całe lasy palmowe, wywracającącej miasta lub wioski na drodze spotykane.

Kiedy wzrok i ucho od tych miłych lub strasznych obrazów natury martwej, zwrócimy w dziedzinę organicznego życia, i tu spotkamy prawo równowagi i harmonii. Przed nami przewijają się kolejno owe zwierzęta tak ważną rolę w wszechświecie grające: niezgrabny i olbrzymi słoń, stariej kolébki rodu ludzkiego sługa, poważny okręt pustyni, wielbłąd, bystry rumak, wierny towarzysz naszych bojów, lub renifer zagnany w odludne krainy zorzy i lodów. Po gajach umiła nam rozważanie natury czuły głos słowika; rankami zwiastuje harmonią i miłość kwilenie skowronka, a wędrowcowi po bujnych lasach nowego świata, towarzyszy cudny chór ptaków różnorodnych. Łąki okryte kwiecistym kobiercem miękkiej murawy, którą podmywa szafirowa wstęga mruczącego po kaskadach strumyka, zamieszkuje tysiące stworzeń błyszczących blaskiem diamentów, rubinów, szafirów i szmaragdów. Skrzętna pszczołka lub pracowita mrówka, naśladując dobrze ukonstytuowane towarzystwo ludzkie, wskazuje nam ważność cudownych owoców zgody, porządku i pracy; całe gromady lekkich motylków roztaczają w około tysiące farb i blasków, jakby dając świadectwo o cudownej i niewyczerpanej piękności natury, objawiającej się w swych tworach.

Głębie oceanów odsłaniają nam miliony nowych cudów; wśród najfantastyczniejszych ogrodów na dnie morskiem żyje mnóstwo szczęśliwych, wieczną

miłością związanych pokoleń mięczaków, czerwi i promieniaków. Polipnie wznoszą swoje lekkie kamieniste gałązki; zamknięty szary mięczak rodzi drogocenne uryanu perły, a liczne, w łuskowate zbroje odziane rotę odbywają dalekie wędrówki, staczają zacięte boje, mnożą się wśród rozkoszy, używając szczęścia w przemijającym istnieniu.

Nad całym tym światem człowiek, ze szlachetnie ku pogodnemu niebu wzniesionem czołem, jako ostatni szczebel organicznego życia, przez swą fizyczną i moralną wyższość łączy ten cudowny szereg tworów z bóstwem, pierwociną ich bytu. Zaisie, czuję swą godność i wielkość, gdy widzę się rządzcą i panem tych mórz i lądów ukwieconych żywą roślinnością, zamieszkanymi tłumami żyjących istot; lecz gdy zważę że cała moja fizyczność poddana jest niemniej warunkom jakim ulegają inne twory, gdy wspomnę na te miryady światów błyszczących mi nad głową, na te otchłanie niezmierzone przed memi stopami, trwożę się, ażali niezbyt wielką uniosłem się dumą, z prochu powstawszy, nie targnąłem się na prawa przyrody.

Tak więc wszędzie w tym wszechświecie panuje zgoda, harmonia, porządek, w ścisłych granicach równowagi. Lecz w czémże leży owa równowaga ziemi, owa statyka wszechświata? Jakie są prawa któremi tak mądrze rządzi natura? Na te pytania duch mój, śladem największych geniuszów ziemi, zmierzwszy lotem przyrodę, odpowiada: że te nieskończone mądre ustawy, tyle do szczęścia stworzeń dążące, leżą po prostu w przeciwieństwie i wzajemnym na się oddziaływaniu tworów i sił które wszechmocna dłoń Stwórcy użyła do uporządkowania chaosu niegdyś wszechświat zapelniającego. Prawa miłości i nienawiści, rozwoju i zagłady łączą się wzajemnie, by utworzyć prosty kodeks natury. Nietrudno nam to udowodnić.

Któż nie zadrży na widok wybuchającego wulkanu, albo nie dozna zgrozy, słysząc o okropnych skutkach tej siły, co jak wietrzyk listkiem, wstrząsa częścią skorupy ziemskiej lub podnosi na jej powierzchni rzeki law i tumany popiołów, które całe miasta zapadłej starożytności w gruzach swoich zagrzebały? Któż nie narzeka na owe miliony skrzydlatych stworzeń, co w jednej chwili niszczą najpiękniejsze plony, trudy całorocznej znojnnej pracy rolnika? Któż nie obwinał kiedy przyrody że z taką rozrzutnością udarowała życiem owe natrętne owady, co zawsze krwi chciwe, spokojność

naszę zakłócają? Któż nakoniec nie podziwiał tej wolno działającej ręki czasu, niszczącej nieznanymi ale pewnymi ciosami organizmy najdoskonalszych stworzeń, obalającej w proch najgenialniejsze dzieła ludzkie? Lecz niemyłmy się w tłumaczeniu tych zjawisk.

Gdyby ziemia nie doznała żadnego wstrząśnienia, wszystkie pokłady składające jej skorupę, ulegając działaniu wody, ułożyłyby się bez wątpienia współśrodkowo, jedne na drugich, a ostatni otaczający ziemię znajdowałby się pod wodą. Nie byłoby żadnego ładu widzialnego, i może ród ludzki wcaleby nie istniał. W kolei więc zjawisk wulkanicznych łądy podnosiły się z łona wód i pokrywały roślinnością, dając spokojny przytułek mnóstwu niewinnych roślinożerczych zwierząt.

Lecz wkrótce zwierzęta te, używając niczem niezakłóconego spokoju, rozmnażając się nieskończenie, spożyłyby całą roślinność w jaką przystroili się płodne łono naszej ziemi. Trupy tych wielkich zwierząt, gnijąc, zaraziłyby powietrze, a ród ludzki znów istniećby nie mógł. Błogosławiona więc płodność przyrody, która wydała owe krwiożercze istoty, przywracające porządek natury, chroniące tę piękną szatę starą naszą ziemi od zagłady; błogosławione owe skrzydlate stworzonka oczyszczające wielką scenę świata ze szczątków niepotrzebnych.

Wpatrzmy się tylko dobrze w kościane oblicze śmierci, gdyż poza jej falistym, zniszczenie siejącym płaszczem, kryją się zarody życia. Na gruzach wiekowej roślinności dawnego świata wybujała dzisiejsza żywa i różnolica roślinność. Ciała

milionowych stworzeń dostarczają pożywienia następnemu pokoleniu.

Z grobów naszych ojców, że tak powiem, zbieramy corocznie najbogatsze plony; wyżywieni ich prochem, składamy nasze ciała dla następców.

Rzeczywiście więc ta śmierć, grzebiąca nas niełitościwą ręką, czémże jest jeżeli nie owym właśnie kardynalnem prawem równowagi.

Nietrudno nam także okazać przykładami widocznej harmonii wynikłej z oddziaływania jednych tworów na drugie. Przekonywa nas o tém wspaniała mechanika naszego globu i całego wszechświata. Położenie, rozległość wód i łądów, ciepłota atmosfery wpływają na siłę roślinności; królestwo roślinne oddziałuje na zwierzęce, a to nawzajem na fizyczną stronę ludzkości, a ztąd na jej rozwój moralny.

Podobna zależność objawia się i w pojedynczych stosunkach. Czyż można przypuścić aby przyroda, utworzywszy ów drobny mech lub nieznaczny owad, obdarzywszy go tysiącem dowcipnych organów rozmnażania się, utrzymywania życia, zabezpieczenia go i bronięcia przeciw siłom ku zgubie jego dążącym, dawszy mu pewną miarę rozumu czyli zmysłności w ciągu krótko-trwałego życia, czyż można, mówię, przypuścić aby przyroda stworzyła go nadaremnie, ot tak w macierzyńskiej swój płodności, w dziecięcej igraszce? Uderzmy czołem przed mądrością Wszech-Stwórcy i przyznajmy że te wszystkie stworzenia mają naznaczony swój kres do którego dążą, a kresem tym jest równowaga i harmonia ziemi.

A. W.

ZABIJACZ KROKODYLÓW.

(OPOWIADANIE PODRÓŻNIKA FRANCUSKIEGO).

Najstraszliwszym i najpospolitszym mieszkańcem niższej Luizyany, po grzechotniku, jest bez zaprzeczenia krokodyl, którym się roją jeziora i mnóstwo małych rzek, przerywających tę piękną okolicę nowego świata.

Ileż to razy zdarzyło mi się widzieć, polując na sarny, jak to zgrabne zwierzę, ścigane przez psa,

dla uniknięcia pogoni skakało w rzekę lub jezioro, i tuż za niem ogar, zapominający na chwilę zwykłej roztropności, dla dalszego prześladowania swój ofiary. Częstokroć oboje wtedy znikali w tych tajemnych wodach, wciągnięni w głębie przez zamieszkujących je kaimanów.

Jeżeli psy nie są uniesione zapalem polowania,

to prawie niema przykładu aby się zbliżyły do brzegów rzek lub jezior, bo czują instynktem niebezpieczeństwo jakie im tam zagraża.

Wielkie to szczęście że kaimany rzadko atakują człowieka, chcę mówić człowieka białego, gdyż przeciwnie łakome są na czarnych, i często same ich szukają, nawet w oddaleniu niejakiem od brzegów, gdzie Murzyni często nieroztropnie zasypiają. Dzieci jakiegobądź koloru stanowią również zdobycz bardzo poszukiwaną dla tych straszliwych mieszkańców wód Luizyańskich.

Lecz jeśli Murzyni słusznie lękają się napaści kaimanów, to nawzajem te ostatnie nie mają zaciętszych i przebieglejszych nieprzyjaciół nad czarnych niewolników, którzy mięso tego gadu, szczególnież zaś jego ogon, uważają za potrawę nieporównanego smaku.

W miesiącu lipcu 1848, o puszczając Nowy Orleans, gdzie wtedy gościła żółta febra, niebezpieczniejsza i straszliwsza dla cudzoziemca jak wszystkie razem grzechotniki i krokodyle, nająłem miejsce na odchodzącym właśnie statku Saint-Mary, jednym z najpiękniejszych parowców jaki dotąd unosiły mętne i szlamiste wody Meschaceby. Miałem zamiar udać się na płaszczyzny Attakapas, gdzie oczekiwała mnie gościnność jednego kreola, już oddawna zawiadomionego o mojem przybyciu.

Po przepłynieniu kilkudziesięciu mil, znaleźliśmy się przed Raquemines, małym lecz schludnym miasteczkiem, zkąd po przystanku zmieniliśmy kierunek podróży. Opuściliśmy bowiem wody Meschaceby, a wpłynęliśmy na czarniawe nurty Techy. Ciemne i gęste lasy po obu brzegach téj rzeki rzucały prawie aż ponad nasze głowy ogromne zielone arkady, i gdyby nie drżąca od poruszeń statku płaszczyzna wodna pod naszymi stopami, zdawałoby się mogło że jesteśmy pod sklepieniem jakiejś odwiecznej gotyckiej katedry.

Wszyscy pasażerowie, chociaż oddawna przywykli do wspaniałości przyrody amerykańskiej, podziwiali wraz zemną urocze te sploty, przez które przenikały rzadkie promienie słońca, przerywając jak świetne race gęste sklepienia liści i gałązek.

Jeden tylko podróżny, którego od samego początku zauważałem jako człowieka ponurego i upornie milczącego, nie zwracał wcale uwagi na te cuda natury, lecz siedział na ustroniu ze zwieszoną głową. Domyślałem się że to Yankee z północnych Stanów, zajęty obrachowaniem jednej z tych

kolosalnych spekulacyj, jakie wylęgnać zdoła tylko mózg przedsiębiorcy amerykańskiego. Wyglądał na lat czterdzieści. Kapelus z wielkimi skrzydłami, nasunięty naprzód, zasłaniał mu twarz prawie zupełnie. Siedział na małej ławce pomiędzy dwiema wielkimi pakami cukru, z głową połączoną między rękami, i nie opuszczał téj postawy, aż gdy dzwon parowca ogłaszał chwilę posiłku. Wtedy podnosił się wolno i zasiadał do nakrytego stołu, jadł prędko i niewiele, wypijał filiżankę czarnej kawy i powracał znowu do swój kryjówki, utworzonej przez owe paki, gdzie wpadał w zwykłe zamyślenie.

Jeden z naszych towarzyszków podróży, chłopczyk siedm lub ośm lat mający, biały z rumianami policzkami, z tą natrętną ciekawością, która jest przywilejem dziecinnego wieku, siadał często naprzeciw ponurego Yankee i patrzył na niego z przenikliwością zdolną zniecierpliwić i najcierpliwszego nawet stoika.

Dziecię to zdawało się domyślać że przyczyną uporczywego milczenia nieznajomego było coś innego niż wyrachowanie zysków z jakiego przedsiębiorstwa, i nieustawało póty przypatrywać się tajemniczemu wędrowcowi, aż ten nareszcie zwrócił na nie swą uwagę.

Siedziałem o kilka kroków od nich na jednej z ławek okrążających galeryę. Poruszenie jakie uczynił nieznajomy dla widzenia ciekawego dziecka, nie uszło mojej uwagi, i byłem nadzwyczajnie zdziwiony, widząc niespodziewaną czułość i dobrotliwość, objawiającą się nagle na surowém jego obliczu; lecz wrażenie to przeminęło szybko jak błyskawica. Prawie natychmiast spuścił znowu głowę, i zdawało mi się że widzę łzę w jego oku. Ta łza powiedziała mi wszystko. Odgadłem wówczas smutek tego człowieka, zrozumiałem że widok dziecka obudził w nim słodkie i bolesne wspomnienie przeszłości.

Tymczasem zielone sklepienie, które dotychczas zakrywało nam niebo, zniknęło. Opuściliśmy rzekę Teche i wpłynęliśmy na jezioro Chicot. Aż dotąd nasz parowiec szybkim pędem przerywał powierzchnię wody, lecz teraz nagle zatrzymał się, jak roztropny zapaśnik, który, przeczuwając nieprzyjaciela, stawa aby rozpoznać niebezpieczeństwo i nie dać mu się zachwycić znienacka.

W krótko otrzymaliśmy wytłumaczenie téj nagłej zmiany biegu. Wszyscy podróżni tłoczyli się do galeryi. Wody jeziora były przezrocyste jak

kryształ, lecz w głębi ich leżały olbrzymie kłody drzewa, które rozciągały swe gałęzie na wszystkie strony, często aż do powierzchni wody, a każda może z tych gałęzi miała jakąś historią rozbicia do opowiedzenia. Niema morza którego bym w ciągu swych wędrówek trzydziestoletnich nie widział lecz żadne tak mi się złowieszczem nie wydało, jak to ciche jezioro, z czystymi wodami swojemi. Drzewa sterczące w toniach tego jeziora, były to olbrzymie obszernych amerykańskich lasów, wyrwane przez burze albo upadłe od starości, uniesione następnie przez potoki aż tutaj, gdzie grube ich konary zagrażały bokom podpływającego statku, któryby bez należnej ostrożności chciał się tedy posuwać. Teraz zrozumiałem z kąd pochodzi jego nazwa tak mało poetyczna *Chicot* (karpia drzewa). Rzucając dalej okiem, spostrzegliśmy kilkanaście ciemniejszych jeszcze i nieruchomie stojących punktów, które wzięliśmy także za końce gałęzi wznoszące się nad powierzchnią wody.

Wtém nagle wystrzał dał się słyszeć z najwyższej galeryi, i zaraz jeden z punktów czarnych poruszył się, woda gwałtownie zawrzała około niego, a punkta sąsiednie zniknęły w jednej chwili. „Very well! hurra!” zawołali wszyscy zgromadzeni. I rzeczywiście było za co, gdyż ujrzeliśmy wkrótce pojawiającą się masę białozółtawą, w tém właśnie miejscu, gdzie poprzednio punkt czarny zabalwanil wodę. Massa ta była ogromnym krokodylem, którego kula jakiegoś mieszkańca Kentucky, także pasażera na pokładzie parowca *Saint-Mary*, ugodziła pod samém okiem i który teraz wypłynął na wierzch brzuchem do góry.

Wszystkie punkta czarne, które wzięłem za tyleż gałęzi, były krokodylami, któremi jezioro *Chicot* się roi. Za zezwoleniem kapitana spuszczone łódkę ze statku, kilku majtków czarnych udało się po zdobycz, a tymczasem podróżny z Kentucky nabijał znów najspokojniej swój straszliwy sztuciec.

Podczas kiedy wszyscy cisnęli się koło celnego strzelca, albo gonili wzrokiem łódkę z Murzynami płynącemi po kaimana, ponury Yankee zajmował dawne miejsce, jak zawsze zatopiony w myślach, nie zwracając najmniejszej uwagi na to co się działo koło niego.

Tymczasem Murzyni z nadzwyczajną ostrożnością ciągnęli potwór, tak trafnie w głowę ugodzony, ku statkowi. Zapytałem się jednego z mych sąsia-

dów o powód téj przezorności. „It is not dead” (on jeszcze nie zdechl) była cała odpowiedź.

Spojrzałem znów na kaimana, i na widok zupełnej jego nieruchomości wzruszyłem ramionami, mniemając że mój towarzysz ze mnie żartuje.

W dziesięć minut potwór został wciągnięty na pierwszy pomost. Jedno jego oko zniknęło, ustępując miejsca obszerniej, krwawiącej ciągle ranie, przez którą kula przeszła, drugie zaś było zamknięte.

Za pomocą dwóch drągów przewrócono go na wznak, gdy nagle konwulsyjnym wysileniem zwierz odwrócił się znowu na łapy. Krzyknąłem z przestachu i zadziwienia, i machinalnie oddaliłem się o kilka kroków. Jeden z obecnych polechtał go kijem po nosie: kaiman otworzył paszczę, aż do wnętrza gardła uzbrojoną ostremi zębami, potem groźne jego szczęki zamknęły się z łoskotem, podobnym do tego jaki wydają dwie deski uderzane gwałtownie o siebie, a kij, choć gruby, złamał się jak gałązka.

Ponury Yankee, oparty o galeryę, z trudnym do opisania wyrazem patrzył na kaimana, którego właśnie otaczaliśmy; potem postąpił kilka kroków ku niemu, sięgnął po długi nóż ukryty na piersiach, nieodstępny oręż mieszkańców północnych Stanów, i zanim ktokolwiek mógł zgadnąć jego zamiar, rzucił się na krokodyla, uderzając go po oczach, po szyi, po bokach, po piersiach, ze wściekłością niewypowiedzianą. Każdemu ciosowi towarzyszył rodzaj wyjącego chrapania. Jak żyję nie widziałem podobnego wybuchu, ani równego temu szaleństwa.

Lecz położenie nieznanego nie było bez niebezpieczeństwa, bo kaiman, oślepiiony pierwszemi ciosami, robił przerażające rzuty. Jego olbrzymia paszcza roztwierała się i zamykała ustawicznie ze straszliwym łoskotem, jego potężny ogon smagał z nadzwyczajną siłą pokład. Nikt nie śmiał zbliżyć się do nich, aby przerwać tę walkę tak szczególną a niebezpieczną, gdyż obawiano się zarówno noża Yankee'esa, jak paszczy krokodyla. Pokład staku był krwią zlany, potwór bronił się ze wściekłością i z rozpaczą, bo człowiek zadawał raz po razie; muskularne jego ramię na to tylko wznosiło się do góry, aby spadając pograżyć żelazo aż po rękojeść w ciało przeciwnika. Słyszano łoskot ostrza, które się szczybiło na twardych łuszczkach okropnego gadu. Było to w istocie widowisko

straszne, które nas odurzało i prawie oddech zatrzymywało w piersiach.

Wściekłość Yankee'sa tak długo trwała jak konwulsyjne ruchy jego ofiary. Lecz kiedy zwierzę leżało już bez najmniejszej oznaki życia, kiedy trup jego nie odpowiadał żadnym poruszeniem zabójczemu nożowi, wtedy Amerykanin blady, wyczerpany z sił, z pianą na ustach, zlany krwią, prawie bez życia, upadł przy zwłokach przeciwnika, z którym stoczył walkę pełną nieubłaganą zemsty.

Murzyni odcięli ogon krokodylowi, obiecując sobie z niego smaczną ucztę, resztę zaś rzucili w jezioro. Tymczasem otrzeźwiony Yankee udał się do swjej kajuty, z kąd zaraz powrócił, trzymając w ręku sztuciec podobny do tego jaki miał strzelec z Kentucky, usiadł spokojnie na przodzie parowca, i wzrok jego bystro przebiegał po powierzchni jeziora.

Wszystko to uczynił bez wymówienia słowa, i prawie, jak nam się zdawało, bez spostrzeżenia naszej obecności.

Dziecko i teraz usiadło tuż naprzeciw niego i przyglądało mu się swymi niebieskimi oczami, pełnymi naiwnej ciekawości. Amerykanin pochylił się ku niemu szybko, objął je rękami, ucałował namiętnie jego czoło i usta, a potem powiedział po angielsku, lecz głosem tak pełnym czułości, jakim tylko ojciec przemówić jest w stanie:

— Mój synu, dopóki będziesz młodym, oh! unikaj najstaranniej miejsc gdzie się znajdują krokodyle; lecz skoro już dorośniesz i będziesz silny, wtedy walcz z temi potworami bez litości i przestanku.

Te były jedyne słowa jakie wyrzekł tajemniczy podróżnik na pokładzie Saint-Mary. Głowy kaimanów do koła zaczęły się ukazywać na nowo. Yankee i strzelec z Kentucky przymierzyli broń, i dwa strzały zabrzmiały w jednym prawie czasie. Obydwaj Amerykanie położyli trupem dwie nowe ofiary. Tą razą Yankee zwrócił się ku swemu towarzyszowi i wyraził mu pełnym tklivości spojrzeniem swoją wdzięczność; potem skierował wzrok ku krokodylowi ugodzonemu jego kulą, którego podbrzusze błyszczało świetnymi łuskami, a wtedy po ustach jego przebiegł uśmiech zadowolenia i zemsty.

— Hundred and twelve (sto dwanaście) mruknął pod nosem, nabijając sztuciec.

W kilka minut nowy wystrzał uwiadomił nas że znowu poległ jeden z kaimanów, i w istocie spostrzegliśmy go w niewielkiej odległości, uderzającego wodę ogonem i pasującego się konwulsyjnie ze śmiercią.

— Hundred and thirteen (sto trzynaście) szepnął znowu Yankee.

Zrozumiałem że to była liczba przez niego ubitych krokodyli. Ta jego wściekłość w prześladowaniu i tępieniu tych gadów przypominała mi łzę pociekłą z oczu jego na widok dziecka, jak niemniej słowa które wzruszonym głosem powiedział do niego, to zaś nasunęło mi znowu na myśl smutną katastrofę jaka fatalnie nacechować mogła życie tego człowieka, katastrofę w której dziecko, być może jego własne, stało się pastwą kaimana.

Wieczorem, kiedy cienie nocne już osłoniły jezioro, Yankee zszedł do swjej kajuty, po wystrzeleniu ostatni raz ze swego sztucca, z równą jak zawsze trafnością. Tą razą powiedział znowu cichym głosem: „Hundred and twenty” (sto dwadzieścia). Nazajutrz równo ze świtem opuściliśmy jezioro Chicot bez przypadku i popłynęliśmy dalej na inne, daleko głębsze i obszerniejsze, nazywane przez Amerykanów „Wielkiem”, lecz które Indianie znają pod mianem „Chetimache.”

Kilka godzin później Saint-Mary wpłynął do tej części rzeki Teche, która wychodząc z jeziora, ginie dalej pomiędzy łąkami i lasami Attakapas. Tu już nie mieliśmy zawał grożących rozbiciem statku. dlatego też nasz parowiec przybrał znowu bieg śmiały i szybki, a drzewa po brzegach migwały się przed nami jak widma.

W Franklinie, niewielkim mieście Luizyany, zabijacz krokodyli wysiadł na brzeg, a my podążyliśmy w dalszą podróż, aż do Saint-Martin-Ville.

Nie słyszałem nigdy prawdziwej historii ponurego Yankee, i wyznaję że na jego rachunek puściłem wodze wyobraźni, robiąc różne przypuszczenia, z których jedno powyżej przytoczyłem.

PAROWOZY PODMORSKIE.

Z pomiędzy godnych podziwu przedsięwzięć nowoczesnego przemysłu najzuchwalszym może być pomysł Anglika Steele, który od lat pięciu przemyśliwa nad podbiciem dna morskiego pod władzę człowieka, nad zaprowadzeniem w głębiach oceanu regularnego obiegu parowozów, i dziś podobno blizkim jest urzeczywistnienia swych zamierzeń.

Pan Steele, jeżeli wierzyć można doniesieniom dzienników zagranicznych, jest wynalazcą dzwonu nurkowego, który nie naraża zamkniętej w nim osoby na szkodliwe ciśnienie powietrza, a nadto pozwala jej rozmawiać swobodnie z ludźmi będącymi nad powierzchnią wody.

W najprostszym swym wyrażeniu, dzwon p. Steele składa się z dwóch komórek, oddzielonych przegrodą, w której znajduje się okienko ze szkłem dosyć grubym aby się oprzeć mogło ciśnieniu.

Urządzenie jednej z tych komórek jest takie jak w dzwonach zwyczajnie przez nurków używanych, ma bowiem spód otwarty. Druga przeciwnie, zamknięta od dołu, połączona jest z atmosferą powietrzną rurami żelaznymi, z których jedna służy do przenoszenia w górę głosu zamkniętej w dzwonie osoby.

Otóż w tej drugiej komorze, której obszerność ma być bardzo znaczna, p. Steele chce umieścić maszynę parową, opierającą się kołami o dno morskie i zdolną tym sposobem poruszać cały przyrząd.

Dzięki wynalazkowi temu, człowiek, unosząc z sobą potrzebną ilość oddychalnego powietrza, mógłby żyć w wodzie jak na lądzie. Dziedzina posiadłości ludzkich powiększyłaby się przez to o całą rozciągłość dna morskiego, to jest o trzy czwarte części naszego globu. Nietknięte pole poszukiwań, niewyczerpane źródło korzyści otworzyłoby się przed nami.

Podróżnik ujrzałby przewijające się przed swym wzrokiem niezliczone tłumy zwierzokrzewów, mięczaków i olbrzymich zwierząt ssących.

Przyczajony w gęstej krzewinie, zoolog zbadałby zwyczaj tych istot potwornych, które dotąd z dorywczych tylko znał spostrzeżeń; zostałby świadkiem ich zabaw i krwawych utarczek.

Botanik zbogaciłby swe zbiory najrzadszemi okazami roślin; geolog oznaczyłby naturę formacji skał podwodnych, a fizyk na dnie morskiem nowe czyniłby doświadczenia.

Uzbrojony w strzelbę gazową, o sile odpowiedniej oporowi wody, myśliwiec dosięgałby zwierzyny, i pędząc na swym parowozie po równinach oceanu, wspaniałe w jego głębi odbywałby polowania.

Ludzie mogliby wtedy na prawdę, pomyśleć o zamieszkaniu niezmiernych podmorskich przestrzeni, i podobnie jak dziś pod swą władzę podbili konie, wielbłądy i słonie, zdołaliby może kiedyś oblaskawić wieloryby i ludojady.

Możnaby wtedy na wielką skalę urządzić połów ryb, skorupiaków i mięczaków jadalnych; podzielić na poręby lasy koralowe i wydobywać do woli najkosztowniejsze perły; założyć na najbardziej uczęszczanych drogach morskich składy węgla kamiennego, dla podsycania maszyn parowych; pobudować stacye dla podróżnych i domki myśliwskie dla Nemrodów oceanowych.

Ale dosyć tych marzeń rozbudzałej wyobraźni. Projekt p. Steele nie sięga tak daleko, a raczej tak głęboko; ogranicza się on, jak dotąd, na rozwinięciu i udoskonaleniu zwyczajnych dzwonów nurkowych.

Nie wyśmiewajmy jednak płocho podróży podmorskich, kierowania balonami i tym podobnych celów nowożytniej nauki. Niezapominajmy że pięćset kilkadziesiąt lat temu poczytano za waryata skromnego mnicha, który z głębi swjej celi głosił możliwość czytania w znacznej odległości za pomocą sztucznie przyrządzonych szkieł; zbudowania maszyn zdolnych prześcignąć najszybsze okręty żaglowe; poruszania wozów z nadzwyczajną prędkością, bez użycia siły zwierzęcej. Tym mnichem, prześladowanym i spotwarzanym przez współczesnych, był Roger Bacon, którego imię jaśnieje dziś w rzędzie geniuszów natchnionych, bo optyka i para urzeczywistniły jego cuda naukowe.

Nie spieszymy się więc z wysmianiem p. Steele i zbyt gorących może sprawozdawców o jego wynalazku, aby potomność nas kiedyś nawzajem nie wysmiała.



TYCHO BRAHE.

TYCHO BRAHE.

W szeregu ludzi którzy sławę narodu duńskiego szeroko po świecie rozgłosili jedno z pierwszych miejsc niezawodnie należy się astronomowi Tycho Brahe. Nauka przyrody, w której dziedzinie za naszych już czasów jaśnieją w Danii nazwiska Oersted'a i Schouw'a, liczy i Brahe'go do najznakomitszych swych przedstawicieli. Udzielamy więc czytelnikom Księgi Świata w krótkim zarysie bieg życia tego męża, którego wizerunek z autentycznego obrazu przedstawia załączona rycina.

Tycho Brahe urodził się 14 grudnia 1546 roku w Knudstrup w Skanii. W dzieciństwie jeszcze wieku stryj jego, Jerzy Brahe, wziął go do swego domu i zajął się wychowaniem wielena przyszłość obiecującego chłopczyka. Młody Tycho szybko postępował w naukach przygotowawczych, a nadto wczesnie nabrał znakomitej biegłości w układaniu wierszy łacińskich, z którymi później lubił występować przy każdej sposobności. Nie mając jeszcze lat trzynastu, udał się na uniwersytet w Kopenhadze, dla słuchania kursów filozofii. Przy padające w tym czasie zaćmienie słońca, dosyć dokładnie przez astronomów obliczone, obudziło nagle jego zapal dla nauki gwiazdarstwa, której oddawał się gorliwie przez lat kilka, dopóki stryj roku 1562 nie wysłał go do Lipska na fakultet prawny. Towarzystwem jego, a raczej guwernerem, w tym mieście był znany A. S. Wedel, który, jakkolwiek mało co starszy od Brahe'go, surowy jednak rozciągał nad nim dozór, żądając ścisłego wyrachowania się z funduszków przez stryja mu przeznaczonych. Mimo to wszakże młody jurysta znaczną część swych dochodów obracał skrycie na kupno narzędzi i książek astronomicznych. Stawszy się posiadaczem małego niebokręgu, (globu nieba) po ukończeniu codziennych studyów obowiązkowych niepostrzeżenie często wymykał się w nocy i śledził za biegiem ukochanych gwiazd swoich.

Tym sposobem przeszły mu w Lipsku trzy lata, po których upływie stryj przyzwał go do siebie. Nastąpiła wkrótce śmierć tego dobroczyńcy spowodowała powrót Brahe'go do Niemiec, gdzie zastajemy go r. 1566 zajętego pracami astronomi-

cznemi w Wittenberdze, a później nieco w Rostoku. W tém ostatniem mieście badania jego przybrały zakres rozleglejszy, a imię młodego astronoma coraz większej w świecie naukowym dostępowo sławy. W Rostoku też miał miejsce głośny jego pojedynek z jakimś szlachcicem niemieckim, w którym Tycho utracił część nosa. Powiadają że dla zastąpienia tego braku kazał sobie sporządzić stosownego kształtu bryłkę metalową, z mieszaniny złota i srebra, i tę przyklepał do nosa za pomocą gummy.

Po kilkoletnim pobycie w dwóch miastach wymienionych, Brahe roku 1569 udał się do Augsburga, gdzie bracia Haizel w wiejskiej swjej posiadłości urządzili mu obserwatoryum. Tu młody badacz z zupełną już swobodą mógł się poświęcać ulubionej swjej nauce, i wkrótce do tego stopnia zdołał na siebie zwrócić powszechną uwagę, iż nikt z ukształconych nie pominął Augsburga, bez zwidzenia gwiazdarni Brahe'go. Uznanie to, silnie kontrastujące z obojętnością własnej jego ojczyzny, już wtedy zapewne byłoby skłoniło młodego Duńczyka do osiedlenia się na zawsze za granicą, gdyby śmierć ojca r. 1570 nie powołała go w strony rodzinne. Zostawszy panem na Knudstrupie, przepędził kilka lat w Skanii, więcej jednak przebywając u wuja w Herridsvad, który mu tam urządził laboratoryum chemiczne, niż we własnej majątności. Zamiłowanie to w chemii, powzięte jeszcze w Augsburgu, byłoby mogło pozbawić astronomią jednego z najgorliwszych i najzdolniejszych uprawiaczów, gdyby Tycho szczęśliwym trafem 11 listopada 1572 r. nie odkrył w gwiazdozbiorze Kassyopeci nowej gwiazdy, przewyższającej świetnością Syriusa. Wezwany skutkiem tego do Kopenhagi przez króla Fryderyka II, miał tam przez czas jakiś publiczne odczyty o naukach matematycznych, wzbraniając się jednak, dla przesądów szlacheckich, przyjąć rzeczywistą profesurę. To samo uprzedzenie stawało długo na przeszkodzie ogłoszeniu drukiem prac jego naukowych; dopiero gdy za powrotem do Skanii zaczęto mu z różnych stron nadsyłać pisma dotyczące nowej gwiazdy, pełne najgrubszej niewiedomości, Brahe powierzył przyjacielowi swemu, profesorowi Pra-

tensis, do wydania własne swoje rozprawy w tym przedmiocie. Praca ta wielkie w świecie naukowym sprawiła wrażenie. Landgraf kasselski, jeden z najgorliwszych zwolenników astronoma duńskiego, przyzwał go do swój stolicy, z kąd następnie Tycho, przez Frankfurt i Bazyleję, udał się do Szwajcaryi i Włoch, (roku 1575) a wracając na Ratysbonę, był obecnym przy koronacji cesarza Rudolfa II. Bawiąc potem czas jakiś w Augsburgu, zastał tam, ku niemalój swój radości, wykonany wielki niebokrąg, zamówiony przed pięć laty.

Zaraz po powrocie do ojczyzny otrzymał jawne dowody łaski swego króla, bo Fryderyk II nie tylko że mu przeznaczył roczną pensją, lecz nadto oddał pod jego rozporządzenie wysepkę Hveen, dla wybudowania obserwatorium. Tam tedy stanął słynny ów zamek Uranienburg, jedno z najznakomitszych dzieł architektonicznych pod względem stylu i wewnętrznego urządzenia. Za wałem 20 stóp wysokim, wysadzonym drzewami, w obszernym ogrodzie wznosiła się wspaniała budowa. Bogato ozdobione pokoje, z wykwiutnym umeblowaniem, prowadziły do wyborowego księgozbioru, a ztamtąd do właściwej gwiazdarni, umieszczonej w dwóch wieżach, gdzie uprzejmy gospodarz zwykł był wprowadzać gości, tłumacząc im znaczenie swych narzędzi matematycznych¹⁾. W zamku tym przez lat dwadzieścia Tycho pędził życie spokojne i szczęśliwe, otoczony rodziną i przyjaciółmi. Żona jego Krystyna, kobieta rzadkiego serca i rozumu, chociaż pochodząca ze stanu kmieckiego, z którą połączył się jeszcze w roku 1573, niemal się przyczyniła do uprzyjemnienia domowych jego stosunków. W badaniach na polu astronomii, chemii i medycyny nieśli mu pomoc liczni z całej Europy przybysze. Z uczniów jego zasłynęli szczególnie: astronom, matematyk i pisarz duński Longomontan († 1647) i austriacki astronom Tengnagel. W codziennym pożyciu Brahe był wesoły i dowcipny; gdy milczał, twarz jego, skutkiem zapewne ciągłego rozmyślenia, miała wyraz surowy. Jako szlachcic dbałym był niezmiernie o przywileje swego stanu i drażliwym na wszelkie obrazy, a w domu astronoma książęta nawet panujący stosować się musieli do jego zwyczajów.

¹⁾ Opis narzędzi używanych przez Brahe'go, po większej części wykonanych z miedzi, znajduje się w jego dziele „Astronomiae instauratae mechanica” (Vandesburg 1598).

Nieszczęściem dla Brahe'go król Fryderyk umarł roku 1588. Wprawdzie rada państwa, zarządzająca krajem w czasie małoletności Krystyana IV, zapłaciła jego długi zaciągnięte na nowe urządzenie w Uranienburgu, a młody król odwiedził go nawet osobiście, wkrótce jednak intrygi nieprzyjaciół jego wzięły górę i zmusiły go w końcu do opuszczenia wyspy Hveen. W kwietniu 1597 roku Tycho z rodziną i uczniami udał się do Kopenhagi, zabierając z sobą część swych narzędzi, i zabawiwszy w stolicy kilka tylko miesięcy, odpłynął do Rostoku. Ztamtąd napisał do króla, wyjaśniając powody swego usunięcia się, a lubo list ten skróślony był w wyrazach pełnych godności i nader powściągliwie, nie musiał jednak podobać się Krystyanowi, bo w odpowiedzi swojej wytknął mu brak uszanowania.

Po krótkim pobycie w Rostoku Brahe wyjechał do Wandsbeku, z kąd na wezwanie cesarza Rudolfa II udał się do Pragi. Cesarz przyjął go bardzo łaskawie, przeznaczył mu rocznej pensji 3,000 guldenów, urządził dlań gwiazdarnię i laboratorium chemiczne w zamku Benach i pozwolił mu wybrać sobie zdolnych pomocników. W liczbie ich znajdował się słynny Jan Kepler, który po śmierci Brahe'go wydał jego tablice planetarne, owoc kilkunastoletniej pracy duńskiego astronoma. Po przybyciu do Pragi swój rodziny, Tycho wysłał najstarszego syna na wyspę Hveen, dla ściągnięcia reszty narzędzi matematycznych. Niedługo jednak cieszyć się miał nowém tém schronieniem, bo na jesieni już 1601 roku (24 października) umarł po kilkodniowej chorobie.

Za życia jeszcze Brahe'go wyszły jego „Epistolae astronomicae” (Uranienburg 1596); „De mundi aetherei recentioribus phaenomenis” (Uranienburg 1588); i „Astronomiae instauratae mechanica” (Vandesburg 1598). Po śmierci autora uczniowie jego wydali „Astronomiae instauratae progymnasmata” (Praga 1602) i „Historia coelestis” (Augsburg 1606). Więrsze jego łacińskie są bez poetycznej wartości.

System astronomiczny Brahe'go, przyjmujący ziemię za środkowy punkt świata, około którego obracają się bezpośrednio księżyc, Merkury i Wenus, podczas gdy inne planety krążą najprzód około słońca, a dopiero z niem razem około ziemi, nie zgadza się wprawdzie z rzeczywistością, zawsze jednak dowodzi niepospolitej bystrości umysłowej swego twórcy. Kosztowne jego narzędzia,

zakupione przez cesarza Rudolfa, po bitwie pod Pragą (1620) po większej części uległy zniszczeniu. Wielki niebokrąg mosiężny, który kosztował podobno 5,000 talarów, po różnych kolejach dostał się do Kopenhagi, i tam roku 1720 spalił się razem z zamkiem królewskim.

CHARAKTER ANGLIKÓW

OCENIONY PRZEZ AMERYKANINA.

Jednym z faktów uznanych jednomyślnie przez filozofów jest bytność pewnej istoty metafizycznej, zwanąj pospolicie charakterem narodowym. Każdy naród posiada ducha ogólnego, który się niekiedy nie uwydatnia w indywidualach naród składających, lecz mimo to krąży niewidzialnie i objawia istnienie swe na zewnątrz. Czy to jest tylko abstrakcją, czy też rzeczywistością? Należałoby odpowiedzieć że jedném i drugim zarazem. Możesz przejrzeć połowę mieszkańców jakiego kraju, a nie napotkasz nawet śladów charakteryzujących ducha narodowego; gdy nagle odkryje ci go niespodziewanie jeden znak przelotny, jedno słowo, giest, objaw wstępu, zadrżenie namiętnego głosu, jeden krok przechodnia; ale zaledwie go dostrzeżesz, już znika przed tobą. Charakter narodowy jest to rzecz którą się raczej odczuwa niż widzi; która trzyma środek między wyobrażeniem myśli i rzeczywistością dotykalną; która nie jest osobistą, a działa przez osoby; która nie istniałaby bez narodu, a jednakże, można powiedzieć, jest niezawisłą od niego. Zastanawiając się nad tém co nazywamy charakterem narodowym, natrafiamy na spory nominalistów z realistami; bo przedewszystkiém przychodzimy mimowolnie do téj dawniej ich kwestyi: czy to jest tylko wyraz, prosty dźwięk głosu, lub czy to jest istota mająca byt sama przez się? Ta kwestya wywołuje inną niemniej ważną: czy charakter narodowy jest ogólnością, treścią zbiorową, syntezą obejmującą a posteriori cały szereg faktów, lub czy raczej istnieje od źródła i znajduje się u narodów a priori; czy to jest siła pojedyncza, żywiąca się sama sobą, tworząca częściowy szereg czynów, albo czy układa się przez przybiéranie i powolne a kolejne powinowactwo działań dokonanych w oznaczoném miejscu i w pewnym przeciągu czasu? Na to pytanie odpowie-

dzieć może każdy, podług tego o ile podziela wiarę w jeden plan bóstwa, w którym wszystkie narody otrzymały swoje posłannictwo, lub w miarę tego czy uważa historiją za łańcuch zdarzeń idących po sobie, jako prosty skutek podlegania ślepego trafowi. Obydwa zdania może równie będą prawdziwemi; bo charakter narodowy przedstawia się zarówno jako siła twórcza i jako forma pewnych czynów; a najgodniejszém podobno uwagi jest to, które uważa charakter narodowy za istniejący a priori.

Jeżeli trudno jest określić naturę tego ducha narodu, pół abstrakcyjnego i pół materialnego, to nierównie trudniej jeszcze opisać jego własności. Życie ma swoją logiczną, wcale nie naszą pedantką metodę; miłuje ono działalność, nie matematykę; lubi sprzeczności, których kombinacje są nieskończone; z jednego źródła umie wytrysnąć odmiennemi następstwami. Niezmiernie więc trudno określić ściśle jakie są główne cechy charakteru narodowego, bez narażenia się na zarzut oczywistego fałszu, skutkiem jakiegoś niespodziewanego lub niewiadomego przypadku. Wyjątki nawet często są tak liczne, że wyprzedzają prawidła ogólne. „Mów ile chcesz o ludach i wiekach którym dar poezyi był odmówiony, wyrzekł niedawno jeden z najbardziej drobiazgowych analityków naszego czasu, a jednak, kiedyś, spodoba się naturze że wyda Pindara w Beocyi, lub Andrzeja Chenier'a w XVII wieku.” Tak samo rzecz się ma i z charakterami narodowemi. Utrzymuj n. p. że duch angielski jest przedewszystkiém praktyczny, a zatém prozaiczny i zamilowany w użyteczności, to odpowiedzą ci (co niemal równą będzie prawdą) że duch angielski głównie jest poetyczny, bo James Watt i Arkwright nie byli największemi ludźmi Anglii. Lud angielski obdarzony jest wielką

siłą woli, jest to fakt powszechnie uznany; ale postrzegacz nieuwodzący się opinią panującą oceni szybko że siła imaginacyi jest u tego narodu przynajmniej równie wielką co siła woli. Anglicy mają w sobie namiętne zamięłowanie w rolnictwie i posuwają je aż do ostateczności; lecz posiadają także żywą i oryginalną miłość natury, której w tym stopniu niema żaden inny naród. Są oni nader nieugiętemi, bardzo zimnemi; a przecież mają wrażliwość dziecięcą i tkliwość kobięcą, objawiające się niekiedy w sposób najmniej spodziewany i najbardziej zachwycający. Są podróżnikami, kosmopolitami z nałogu, a zarazem i lubiącemi miejscowość. Ciało ich jest wszędzie, jeśli tak można powiedzieć, ale dusza zostaje zawsze angielską. Mają zabijające przesady, grzeszny faryzeizm; a jednak żaden inny naród niema takiego uczucia sprawiedliwości, a zarazem w żadnym innym kraju nie popełnia się więcej niesprawiedliwości. Są to prawdziwie ludzie wolni, dziko niepodlegli; więcej są przecież posłusznymi, niż gdyby wychowywali się pod absolutyzmem rodzicielskim, lub w regule jezuitów Paragwaju. Ich samolubstwo weszło w przysłowie; chciwi są, grabieżni i marnotrawni; ale także zdolni i do uczuć najnamiętniejszych, do poświęcenia bez granic. Ich rząd, prawa i obyczaje, odziane w formy zastarzałe, przedstawiają się światu jak gdyby żywe muzeum wieków średnich; niemniej wszakże są narodem prawdziwie tegoczesnym. Układajcież więc podług woli wszystkie te sprzeczności; kłopot będzie niemały, jeśli spróbujecie sprowadzać do jedności tyle przeciwnych fenomenów. Zaprawdę, można się dać obłąkać takiej masie rozmaitych okoliczności, a badając szczegóły, uwieść się faktami przemijającymi, niemniej jednak zasadniczymi. Bystry i dowcipny Emerson nie uniknął nawet tego błędu; jego dzieło o charakterze Anglików obfituje w myśli jędrne i szczegóły niemal wszystkie prawdziwe, które wynalazł aż w głębi duszy angielskiej, lecz które mimo to nie są czém inném tylko szczegółami. Kwestya główna: dlaczego Anglia jest taką jaką jest? z jakiego powodu? i co ona w świecie przedstawia? jest to kwestya co sama jedna mogłaby sprowadzić do jedności wszystkie te dowodzenia rozumne; daje się ona czuć wszędzie, lecz nigdzie nie została uformułowaną. Książka Emersona ma tajemniczą logikę, przypuszczającą z góry że czytelnik zgadza się z nim co do punktów głównych, a zaprzeczenie może tylko dotyczyć niektórych szczegółów. Brak

jój za to logiki widocznej i metodycznej; a zdajesię odwoływać szczególnie do publiczności anglo-saksońskiej, która nie potrzebuje aby ją uczono roli jaką odgrywa w świecie, i która zna wrodzonym instynktem przymioty swemu plemieniu właściwe; dlatego książka ta więcej może nasunąć treści do myślenia, aniżeli rzeczywiście nauczyć.

Spróbujemy za pomocą tego dowcipnego przewodnika i za światłem jego tysiącznych myśli szybkich jak błyskawice, wyszukać drogi w tym labiryncie charakteru angielskiego. Jakkolwiek mnogie są sklepienia, podziemia, tajemne przejścia, jeden plan jednakże przewodniczył całej tej zawiłej budowie moralnej; plan z początku prosty, lecz który późniejsze wydarzenia, bieg czasu, kaprysy i namiętności ludzkie powiększyły, upiękniły, lub skrzywiły. Tu jednak chodzi nam o odkrycie planu pierwiastkowego.

I znowu przedstawia się kwestya: czy charakter narodowy wziął byt swój pierwój niż cywilizacya? lub czy tworzy się w miarę jój rozwoju? albo inaczej mówiąc: czy historia narodu jest objawem pewnym, logicznym tego pierwiastkowego ducha, tak głęboko ukrytego w tajnikach organizmu ludzkiego, krwi i pochodzenia, a głębiej jeszcze w niezbadanych celach Opatrzności, która wszystkich narodów przeznaczenia naprzód urządziła. Zobaczymy więc czy zdołamy wynaléć to źródło ducha angielskiego, a Emerson pomoże nam w tych poszukiwaniach.

„*Heimskringla* czyli sagi królów norweskich, odkryte przez Snorra Sturleson, są Iliadą i Odysseą historyi angielskiej. Portrety królów Norwegii, tak jak portrety Homera, wybitnie odznaczają się mocą indywidualizmu. Sagi opisują rzeczpospolitą monarchiczną, na wzór spartańskiej. Rząd nieknie przed przewagą obywateli. W Norwegii niema tych mass azyatyckich i perskich, walczących i ginących w sprawie zwiększenia potęgi królewskiej. Aktorami tam są posiadacze ziem, dzierżawcy, z których każdy mianuje się i jest opisanym jako przyjaciel i towarzysz królewski. Nader ograniczona ludność udziela każdemu członkowi tak wysokie znaczenie. Osoby opisywane są często jako obdarzone nadzwyczajną pięknoscia, cechą zbliżającą jeszcze więcej tę starożytną historyą z nowém pokoleniem angielskiém. I u nich głównie przeważa interes materyalny, tak drogi dla przemysłu angielskiego, i który jest dla nich węzłem

logicznym, łączącym ideę zasługi z posiadaniem ziemi. Bohaterowie *sag* nie są wcale rycerzami Europy południowej. Żaden powiew z Francji ani z Hiszpanii ich nie zmieniał. Są to prawdziwi *dzierżawcy* (fermiers), których jedynie wypadki zmuszają do bronienia swojej własności. Mają broń, lecz jej nie używają do dokonania dzieł rycerskich, lecz tylko do obrony ziem swoich. Są to ludzie nader postępowi w sztuce rolniczej, żyjący na swych urwistych brzegach naksztalt istot ziemnowodnych, biorący pożywienie w połowie z ziemi, w połowie z morza. Mają stada krów, jęczmień, zboże, słoninę, masło i séry. Łowią ryby w *fjordach* (zatokach), polują na daniela. Król pośród swych poddanych ma władzę bardzo ograniczoną i czasem nie przechodzącą władzy szeryfa. Jest on tam utrzymywany podobnie jak włościanie francuzcy utrzymują nauczycieli wiejskich; w zimie przebywa przez tydzień w jednym, przez drugi w innym miejscu, następne dni piętnaście spędza znów w sąsiednim folwarku, i tak dalej, u wszystkich kolejno dzierżawców. To więc co król nazywał przepędzeniem czwartej części roku u swych gospodarzy, było rzeczywiście jedynym środkiem za pomocą którego biedny ten pan ubogiej ziemi mógł wyżyć z otaczającym go orszakiem i wybierać czynsze od swych poddanych.

„Te ludy północy posiadają przy tém wszystkim wiele dobrych przymiotów: stałość, mądrą radę i nadzwyczajną szybkość w działaniu. Lecz mają i szczególny pociąg do zabójstwa. Według nich, głównym celem życia jest zabijać, a potem zginąć; wiosła, kosy, harpuny, oskardy, motyki, widły, są to narzędzia szczególnie przez nich cenione, dla chwalebnej łatwości jaką następczają do spełnienia mordy. Dwaj królowie, Yngve i Alf, idą zabawiać się po obiedzie przeszywaniem ciał swych mieczami. Dwaj inni, Alryk i Eryk, wyjeżdżają na przechadzkę, a nie znajdując żadnej innej broni chęciom ich odpowiedniej, chwytają za wędzidła swych koni, aby niemi nawzajem potrzaskać sobie głowy. Widok liny, rzemienia, sznura nasuwa im bezpośrednio myśl aby koniecznie kogoś powiesić. Dzierżawca, mający jedno tylko widły, używa ich do zabicia króla swego Daga. Król Ingiald znajduje nadzwyczaj śmiesz-
nym spalenie pół tuzina królów, których pierwój upoil. Nigdy żaden biedny, zadłużony i życiem znękany szlachcic nie miał większej chęci pozbycia się go, jak człowiek północy. Jeżeli jego zła

gwiazda odmawia mu szczęścia w klótni, przypadek niezawodnie mu winny sposób usłuży, bo albo zostanie przebity rogami byka, jak Egil, lub zginie ślizgając się po brózdach, jak król-rolnik Onund. Odin umarł spokojnie na łożu w Szwecyi; lecz było téż podaniowém z tego powodu przysłowiem, że oplakaną jest rzeczą umrzeć ze starości. Król szwedzki Hake walczy mieczem i laską tak długo, dopóki je tylko utrzymać może; rozkazuje potem wypłynąć na pełne morze i rozwinąć wszystkie żagle, a zostawszy sam jeden na okręcie napelnionym trupami swoich ludzi i ich bronią, rzuca ogień pod smolne drzewo i kładzie się na pokładzie uszczęśliwiony. Wiatr dmie od lądu, popycha okręt, który pędzi rozrzucając płomienie pomiędzy wyspy oceanu. Itaki był koniec życia sławnego króla Hake.”

Wszak z tego wszystkiego nie poznajecie dzisiejszej Anglii, z jej prawnością, wolnością konstytucyjną, uniwersytetami, kościołem biskupim, mężami stanu i poetami? A jednak jest tam ona cała przed tym, kto umie dobrze się wpatrywać; ani jednego jej rysu nie brakuje. Dzięki tylko czasowi i ciąglemu doskonaleniu się, ta dzikość bezrządu stała się nieugiętą niepodległością; ta srogość została pohamowana poszanowaniem praw drugiego; ta natura czynna i swobodna nauczyła się wyrażać w sposób szlachetniejszy aniżeli walką na widły. Rozbiór *sag* odkrywa nam początek ducha angielskiego; a raz poznawszy ten żywioł, łatwo będzie przejść z nim historią powolnego i stopniowego rozwijania się. W tej dzikiej ludności korsarzów i dzierżawców mamy pierwiastek konstytucyi i wolności angielskiej, napróżno szukany w starych papierach i pergaminach bo te same przez się były tylko skutkiem, nie zaś przyczyną; mamy źródło jej olbrzymiego handlu, kolonij, jej wyborczego rolnictwa. Drzemała ona w tych barbarzyńcach, cała ta dzisiejsza Anglia, ten przedmiot podziwu wszystkich narodów. Zawojowanie Indyj, rozum praktyczny, żywe uczucie sprawiedliwości, geniusz Szekspira, straszliwe i zabójcze poemata Byrona, surowi *yeomen*, groźna szlachta, wszystko to odkrywa się na dnie starych *sag* norweskich; wszystko, aż do owej piękności fizycznej i świetnego kolorytu ciała, słynnego od VII wieku, i dzisiaj jeszcze podziwianego.

Anglia przedstawia szczególnie cywilizacją barbarzyńską, której początek był pogrzebany na dnie ducha germańskiego. Gdzieindziej barba-

rzyńcy byli karą świata, lecz go na swój wzór nie przerobili; tu jednak wycisnęli piętno swoje. Wyspa ta była zaludniona tylko dzikimi, a przez osobliwą wolę Opatrzności gorszemi od wszystkich barbarzyńców. Kiedy Saksonowie przyплыли do niej, znaleźli tu ludność celtycką, ale nie Celtów opisywanych w romansach, ukształtowanych w miarę potrzeby, wyćwiczonych w sztukach, których bracia piastowali urzędy w sławnej legii de l'Alouet, a przodkowie godności patrycyuszów i konsulów; lecz Celtów całkiem dzikich, z którymi Rzym nie mógł poradzić, na których nie pozostawił żadnego śladu swój władzy. Barbarzyństwo miejscowe zostało zwyciężonem przez barbarzyństwo najezdnicze, i jeszcze jakie barbarzyństwo! Germanowie co pokonali cesarstwo Goto- wie, Franki, Burgundy, tak łatwo ukorzeni widokiem konającego Rzymu, tak prędko nawróceni i ochrzczeni, których tak snadnie podeszli mnichy i biskupi, byli cudem człowieczeństwa i mieli dziwną sposobność przyjęcia cywilizacyi, jeżeli ich się porówna z ludami wyszłemi z zarośli Holsztynu i z piasków Jutlandyi. W nowój ojczyźnie wykonywali dalej ćwiczenia rozbójnicze sobie wrodzone, i założyli dzikie siedmiowładztwo. Morze barbarzyństwa przeznaczonem było przez Opatrzność do odkrycia nanowo Anglii, fala popychała falę, i takie wtargnienie trwało przez sześć wieków. Zaledwie kilka klasztorów założono, gdy wiatr północy zadmuchał tę pochodnię, i noc rozpostarła znowu swoje panowanie. Skandynawia hojnie wyczerpywała siły swoje, aby zająć wyspę osiedloną rozbójnikami morskimi i mordercami ¹⁾. Można- by powiedzieć że Opatrzność, niezadowolona mieszanią cywilizacyi i barbarzyństwa tak szybko na stałym lądzie dokonana, chciała tą razą ustrzedz drugie od wszelkiego z pierwszą stosunku. W szczupłych granicach Anglii pokolenia te braterskie i nieprzyjacielskie walczyły z sobą aż do wygaśnięcia, pomieszały się nakoniec i zlały jedne w drugie, nie przez zobopólną życzliwość, lecz siłą

¹⁾ Mówiąc o wtargnieniach Duńczyków, Emerson czyni wzmiankę że tak długa wędrówka zdaje się wyzuła stany skandynawskie z mężów i geniuszów, że te odtąd stały się tylko drugorzędne. Ta uwaga, prawdziwa może co do Danii, błędna jest zupełnie co do Szwecyi; bo chociaż Szwecya nie jest państwem pierwszego rzędu, kilka razy jednakże odegrała ważną rolę w historii. Wędrówki barbarzyńców nie zużyły bezwątpienia z geniuszów ojczyzny Gustawa Adolfa i Karola XII.

gwałtu, łupieztwem, podatkiem zwanym *danegeld* i rzezią Saint Brice. Kiedy walka trwała już dość długo, ci co ją przeżyli podnieśli się znowu i zezwolili nakoniec aby żyć niemal w pokoju. Obfitość krwi przelanėj, wyczerpując siły, wyczerpała także i nienawiść, tak iż od dnia w którym ci półbajeczni bracia, Hengist i Horsa, przybili do brzegów Wielkiej Brytanii, aż do chwili kiedy ksiązę Wilhelm położył koniec temu bezrządowi, barbarzyństwo panowało nieograniczenie, zostając prawie ciągle w równowadze i zmniejszając się bardzo nieznacznie. Zmniejszało się jednakowoż, nie pod wpływem cywilizacyi, ale wyczerpywało się samo. To wyzwanie się z natury odbywało się tak powolnie, że mogłoby jeszcze trwać kilka wieków, gdyby nie nastąpiło wtargnienie Normandów.

Skutkiem tego istnienia barbarzyństwa była cywilizacya całkiem oryginalna. Pozbawieni pomocy jaką Germanowie znaleźli w ruinach państwa rzymskiego, Saksonowie musieli czerpać wszystko sami z siebie. Na stałym lądzie istniała dziwna sprzeczność, która nigdy nie miała miejsca w Anglii: z jednej strony cywilizacya, z drugiej barbarzyństwo. Cywilizacya była powierzchowną, była, że tak powiemy, przeciwwagą naturze człowieka; robił on wysilenia aby ją sobie przyswoić, wlać w siebie, ale jej nie czerpał sam z siebie. Ztąd to zawikłanie, co nastąpiło w pierwszych wiekach po zawojowaniu, to niezgrabne naśladownictwo Rzymu, to dziecinne małpowanie wielkich rzeczy źle zrozumianych, to powszechne zepsucie cywilizacyi rzymskiej przez barbarzyństwo i instynktów dzikości przez cywilizacyą. Szczęśliwsi od Germanów stałego ładu, Saksonowie, nie znajdując nic do naśladowania, urządzili instytucye podług zasad swego rodzinnego kraju i swego instynktu niepodległości. Miejscowe urzędy, podział Anglii na hrabstwa, sądy przysięgłych biorą początek w tej oddalonej epoce, a wszystkie te urządzenia mogły być zaprowadzone, nie mając przed sobą ani pomników praw rzymskich, ani podań nieprzyjacielskich. Ale to co Saksonowie zachowali przede wszystkim czystem i wolnem od wszelkiej mieszanki, to były ich barbarzyńskie instynkta, zamiłowanie walk i pogarda życia.

Emerson powstaje przeciw Normandom, nazywa ich rabusiami i korsarzami. Czémże więc byli Duńczycy i Saksonowie, których oni podbili? Mniemy owszem że zawojowanie to przyspieszyło rozwój cywilizacyi, mającej tam tyle przeszkód do

złamania grubiej i twardziej powłoki barbarzyństwa. Gdyby nie Wilhelm i jego towarzysze, krwawa ta anarchia wiekiby jeszcze trwać mogła. Podbicie było rzeczywiście trudnym do spełnienia; nastąpiło jednak przy sprzyjających okolicznościach i wydało jaknajlepsze skutki. Dokonanem zostało przez ludzi tej samej co zwyciężeni natury i tych samych usposobień. W gruncie rzeczy Normandowie nie przynieśli nowej cywilizacji, lecz tylko wyższy stopień ukształcenia. *Self government* było im równie drogiem jak Saksonom, a w przychylniejszych warunkach, lepsze znalazło zastosowanie. Niepodległość osobista, zamiast objawiania się gwałtami, wyrażać się poczęła w czynach rycerskich i w dalszych podbojach. Wiele mówiono o żywiole łacińskim przeszczepionym do Anglii przez Normandów; jedynym wszakże tego rodzaju żywiołem przez nich wprowadzonym był język. Co do reszty zaś, a mianowicie obyczajów i instytucyj, zmienili tylko formę, bez naruszenia w niczem istoty rzeczy. Nie wykorzenili pociągu do walk, nadali mu tylko cel, poskromili bezrząd, i zakreślili granice wolności osobistej. Było to zawsze *self government*, ale lepiej zastosowane. Normandowie zniszczyli bezpożyteczne popędy Saksonów i uczynili je obfitemi w skutki. Miecz ich, nakształt dobroczynnego pługa zagłębiając się w tym twardym gruncie, oczyszczał go z cierni i dzikich zarosli które dotąd wydawał, i wydobył z niego bogate żniwa. To co dzisiejsi Anglicy zrobili z swoją ziemią ojczystą, zawojowanie Normandów uczyniło z naturą saksońską. Emerson zauważył bardzo trafnie, że w Anglii nic nie jest takim, jakim było w początku; ziemię użyzniono, skały zrobiono pożytecznymi, wszystkie rzeki zgłębiono. Prawa o polowaniu i przeciw podpalaczom, te twarde lecz zabezpieczające życie instytucje Normandów, tudzież tyrania feudalizmu, były poniekąd narzędziami co wykształciły dziką ludność zwyciężonych.

Tak tedy Anglia nie przedstawia w sobie żadnych sprzeczności. Saksonowie, Duńczycy, Normandowie, wszystkie te ludy przechodzą tę samą kolej historyczną. Saksonowie i Skandynawy wyrażają usposobienia i ustanowienia barbarzyńskie; Normandowie doskonalenie tych samych usposobień i ustanowień, wszyscy zaś uosabiają w różnych tylko stopniach ten sam duch germański i tę samą zasadę wolności osobistej. Pokolenia nie mieszały się z sobą; zawierane związki nie przechodziły nigdy pewnego stopnia pokrewieństwa;

małżeństwa i spory były tylko familijnemi, i w tej to czystości krwi, wolnej od wszelkiego obcego przymieszania, w tej czystości ducha, wolnego od wszelkich wpływów przeciwnych ich zwyczajom i nałogom, szukać należy źródła cywilizacji angielskiej.

Nie zniknęły usposobienia rodowe, przeistoczyły się tylko. Z rozbójników morskich i wojowników, Anglicy stali się założycielami osad i kupcami, lecz tak dziś jak i dawniej daje się w nich postrzegać też sama nadzwyczajna działalność i też sama trawiąca energia. Podróżnik zstępujący z Cheapside albo Strand, na widok tych tysięcy natłoczonych wozów, kierowanych przez woźniców okrytych łachmanami, a zręczniejszych niż stawający niegdyś do wyścigów na igrzyskach olimpijskich, na widok tego tłumu, który się raczej rzuca niż idzie, tych przechodniów dążących krokiem spiesznym, w postawie pełnej zajęcia; podróżnik ten, jeśli ma cokolwiek wyobraźni, nie będzie mógł wstrzymać się od myśli o morderczych zapasach krwawych dziejów przeszłości. Dla dzisiejszych Anglików, tak jak dla dawnych Skandynawów, życie jest ciągłą walką, i tylko pole bitwy się zmieniło. W wysokich klassach społeczeństwa, jak to dobrze Emerson uważa, ogląda cywilizacji nadaje tej rodowej energii jedną więcej siłę; polor obyczajów czyni zwycięstwo pewniejszym, opór bardziej bezskutecznym, a osoby więcej groźnemi. Od najwyższych aż do najniższych warstw towarzyskich są oni pod względem fizycznym silnemi i mają szczególne upodobanie w ćwiczeniach ciała. „Anglicy mocniejszymi są niż każdy inny naród, mówi Emerson. Utrzymują oni z Henrykiem IV że męskie ćwiczenia są podstawą owego podniesienia ducha, nadającego taką wyższość jednemu człowiekowi przed drugim, albo też z Arabami że dni strawione na polowaniu nie liczą się do ubiegłych w życiu. Boksują się, wyścigają, polują, jeżdżą konno, pływają, robią wiosłem, żeglują od bieguna do bieguna, piją i jedzą do zbytku, żyją swobodnie i wystawnie i dni swe przeplatają snem twardym. Chodzą i jeżdżą jak tylko mogą najprędzej i z głową naprzód pochyloną, niby naciskani jakimś gwałtownym intersem. Francuzi mówią że Anglicy biegają zawsze po ulicach prosto przed siebie, jak psy dotknięte zapamiętaniem. Mężczyźni i kobiety chodzą z nadzwyczajnym pośpiechem. Polowanie największą jest przyjemnością dla każdego Anglika. Każda

pora sprowadza arystokracją na wieś, na łowy lub rybołówstwo. Najodważniejsi opuszczają wyspę i udają się do Europy, Ameryki, Azji, Afryki i Australii, polować wszelkimi sposobami, ze strzelbą, z siecią, z dziirytem, z *lasso* (rodzaj arkanu); polować z psami, konno, na słoniach, na wielbłądach. Polowania ich ogarnęły całą kulę ziemską, jak świadczą dzieła Hawker'a, Scroop'a, Murray'a, Herbert'a, Maxwell'a, Cumming'a i nieskończonej liczby innych podróżników." Ta zapalczywa działalność, trwająca częstokroć dłużej niż siły fizyczne, wyraża się zapaśnictwem pełnym rozmaitości. W Anglii wszystko podobne jest do walki, nawet spokojne zatrudnienia. Anglicy kują żelazo, budują fabryki, karczują grunta, przesiedlają się z rodzinnego kraju, tak samo jak polują i podróżują.

Emerson, który tak wybornie sądzi o tej działalności, mógłby być znacznie dalej posunąć swój rozbiór. Całe życie duchowe Anglii daje się czuć w tym przymiocie górującym nad innemi. Nie jest to lud rozmyślający, ani nawet zatapiający się w myślach, w istotnym tego słowa znaczeniu; lecz jest to lud pełen imaginacji. Wszystkiego co może wstrząsnąć nerwy, wzbudzić nowe uczucie, poszukuje on chciwie. Anglicy lubią naturę, tak jak daleką przechadzkę i orzeźwiająca po niej kąpiel. Niewiele rozumują, wszystko uczuwają cieleśnie. Temperament ich jest bardziej rozumowy, jeśli tak można powiedzieć, aniżeli umysł. Ztąd też pochodzi wrodzona poetom ich skłonność do cudowności, nie będąca wspólną poetom innych krajów. Poeci Anglii nie opisują natury dydaktycznie, nie wystawiają jej jak wielbicie, ani nawet dyletanci; mniej jeszcze poglądają na nią okiem religijnym, jak tajemniczy braminowie; nie natchnie ich ona ani pobożnością, ani miłością bezinteresowną, a tylko pragnieniem posiadania. Wielbicie gwałtowni i śmiali, ściągają do niej rękę, upajają się jej blaskiem, nurzają w jej kwiatach i podnoszą się napojeni ich wonią. Z tej niepomiarowanej miłości, z tego rzeczywistego posiadania natury pochodzą wszystkie przymioty poetom angielskim właściwe: świetne obrazowanie, wrażenia żywe, ostre, przenikające rozkoszą, drzeniem nerwów, podwajające uderzenia serca, owe krzyki boleści, jednym słowem wszystkie namiętne wzruszenia, wszystkie te czyste rozkosze, które natura może dać poznać człowiekowi obdarzonemu żywością uczuć. Ten zapal dzielnny, przedsiębiorczy, ta

gwałtowna miłość natury, szczera, trawiąca, odrzucająca wszelkie beczynne rozmyślanie, są wielkim przymiotem poetów angielskich, od Szekspira i współczesnych Elżbiécie, aż do Byron'a i Shelley'a. Najłagodniejsi i najpobożniejsi nawet, jak Cowper i Wordsworth, nie mogą być z tego ogólnego prawidła wyłączeni.

Starożytni wierzyli że mózg jest zwierzęciem; przypuszczenie to jest poniekąd rzeczywistością u Anglików. Można prawie bez przerośni wyrzec że mózg ich ma ręce i nogi. Umysł ich porusza się jak istota ożywiona; pojmuje tylko to co uchwycił, widzi tylko to co ma przed sobą. Kiedy chce widzieć dalej, wówczas rozmyśla nad sposobem wynalezienia narzędzi optycznych, tak jak my wynajdujemy je dla wzmocnienia wzroku fizycznego; ale ich umysł, jeśli już czegoś w ten sposób dojrzał, to wiernie przechowa w pamięci; co raz uchwycił, tego nie wypuści więcej. Anglicy, zamiast dać się opanować wyobrażeniom, panują owszem nad niemi, robią z nich swoją własność i obrabiają je tak jak żelazo i inne metale, poprawiając szczegóły, doskonaląc kółka, dodając sprężyny z największym uporem. Ich teorie metafizyczne są całkiem specjalne i bardziej śmiałe niż wysokie. Ściągają się wyłącznie do ziemskiej mądrości, jak teoria Bacon'a, do rządu politycznego, jak Hobbes'a, albo do zakreślonego stanowczo punktu umiejętności, jak Locke'go. W metafizyce jednak nie są zbyt biegłymi. Umysł ich najbardziej podoba sobie w dziedzinie czynów; żywiołem jego walka. Dajcie Anglikowi zredagować korespondencyą dziennikarską, napisać artykuł, podtrzymać rozprawę parlamentu, bronić ustawy, uderzyć na gabinet, a ujrzenie go rozwijającym nadzwyczajną gorliwość. Prawdziwe życie duchowe Anglików stanowi polityka i rozbiór wątpliwości, a jedno jak drugie w formie praktycznej, osobistej, w którejby mogli użyć zębów i pięści. Dość są miernymi teoretykami w polityce, a całkiem żadnymi rozkrzewicielami. Nie odkryli systemu praw człowieka; obcy, jak Montesquieu i Delolme, skreślili teorię ich konstytucji; ale niech tylko idzie o to czy *ship money* nielegalnie został nałożony, lub o coś podobnego, to spór trwać będzie całe lata. W teologii i krytyce religijnej nie mają takiego ducha rozkrzewiania zasad jak Niemcy; ale niech poczną dociekać czy chrzest winien być, lub nie, ze znakiem krzyża udzielany, albo jaka postawa jest najprzystojniejszą w czasie przystępowania do stołu Pań-

skiego, sprzeczki wiek się przeciągną. Zawsze walka, zawsze zapasy.

Tak więc w obyczajach i zwyczajach Anglika, w jego życiu duchowem i nawet w najwznioślejszych objawach geniuszu narodowego odsłaniają się cechy rodowe, barbarzyńskim plemionom właściwe. Cywilizacya przeistoczyła i skierowała ich dążenia ku przedmiotom godnym zdobyczy, ku celom za którymi warto się ubiegać. Nie poznajemy ich już dzisiaj pod tą powierzchownością jaką im nadały chrystyanizm i bogactwo, ale jeśli przypadkiem rozedrze się ta osłona cywilizacyi, postrzeżemy zaraz pierwotne jej rysy. W wyższych klassach społeczeństwa, w ludziach dojrzałego wieku i ukształconego rozumu, tylko zadraśnawszy Anglika, poznać można Saksona, jeśli użyjemy energicznego wyrażenia które Napoleon zastosował do Rossyan; ale w klassach niższych, w ludziach którym wiek nie przytłumił namiętności, ta barbarzyńska siła odkrywa się najzupełniej nagą i niepowściągniętą.

„Naród ten, mówi Emerson, ma naturę prostą, dziką i zwierzęcą, której nie mogły złagodzić wieki chrystyanizmu i cywilizacyi. Alfieri wyrzekł że zbrodnie Włochów były próbą wyższości ich rodu. O Anglii zaś można powiedzieć że to jest zegar poruszający się na diamentowej osi. Anglicy nieukształceni są narodem nieokrzesanym. Pamiętne zbrodnie, zapisane w aktach sądowych, nie pozwalają powątpiewać o ich zimnej złośliwości. Najdroższą dla serca angielskiego jest walka z całym uporem toczona. Grubość obyczajów objawia się w klassach niższych przez boksy, walki niedźwiedzi i kogutów, przez upodobanie w widoku publicznego tracenia winowajców, i przez tę natychmiastową gotowość do zapasów ulicznych, będących tak przyjemnym widowiskiem dla Anglików wszelkiego stanu. Szkoły publiczne, oskarżane jako jaskinie nie ludzkości, dla téj właśnie przyczyny mają wziętość u ludu. Męczące zwolna tortury, w szkołach używane, są potwierdzeniem tego faktu. Medwin w biografii Shelley'a przytacza że w szkole wojskowej tarzano jednego młodzieńca w śniegu, a potem zostawiono go w pokoiku, podczas gdy inni udali się do kościoła, i że zrobiono go przez to kalęką na całe życie. Zachowali oni zwyczaj prassy morskiej i karę chłosty, tak w marynarce, w wojsku, jako i w szkołach pu-

blicznych, a taka jest srogość jej w wojsku, że żołnierz skazany na chłostę żąda często zmiany wyroku na karę śmierci. Usunięta we wszystkich wojskach Europy zachodniej, utrzymała się w Anglii powagą księcia Wellingtona. Prawo służące mężowi sprzedania żony swojej uwieczniło się do dni naszych. Sir Samuel Romilly powiada o ustawie kryminalnej angielskiej: „Badalem kodeksy karne wszystkich narodów; nasz jest najgorszy, ludożerców godny. Na ostatniem posiedzeniu izba niższa musiała wysłuchać historyi biczowań i rozmaitych tortur używanych w więzieniach.”

Emerson mógłby dodać jeszcze że ta srogość dostrzegać się daje przy ogólnym nawet poglądzie na społeczeństwo angielskie, które ma w sobie coś ponurego i złowrogiego. Osobliwościami Anglii nie są jak gdzieindziej widowiska, miejsca publiczne, obrzędy religijne, parlament, ani nawet wyścigi i ogromne polowania, główne rozrywki Anglików. Nie, osobliwości tego szczególnego kraju smutne są i odrażające. Więzienia, *tread mill*, *workhouses*, *ragged*, *schoobs* należą do głównych osobliwości. Najbogatsza i najbardziej interesująca część ich literatury społecznej ma za przedmiot ludność prawdziwie szkodliwą i najgorszych nałogów. Ileż tam żebraków i złodziei w stolicy arcybiskupiej? Ileż tam dziewcząt przebiegających co wieczór ulice Londynu? Zebracy angielscy, co sypiają na progach domów, czyż nie są szczęśliwszemi od Irlandczyków mieszkających w chłewach? Miejsca rozrywek Anglików potwierdzają ten okropny obraz i są tak urządzone, że zamiast przyjemności, zupełnie czém inném natchnąć mogą człowieka. Jakaż to różnica pomiędzy miejscami publicznymi krajów południowych, gdzie zbiera się wesola i swobodna ludność, a temi wspianiałemi gmachami *Gin'u*, gdzie upijają się codziennie nędzarze Anglii! temi szynkowniami dusznymi i smrodliwymi, do których, pod pozorem zabawy, tłoczy się znikczemniała średnia klasa ludzi! Lord Wellington mawiał z pogardą o ludności południowej: „ci ludzie nie mają domów.” Prawda, lecz mimo to umieją żyć wesolo. Anglik zaś, jeśli z jakiegokolwiek przyczyny ujrzy się pozbawionym miejsca swych rozrywek, wówczas żaden zwierdziki nie objawi więcej drapieżności nad niego. Ten opaczny widok społeczności angielskiej, te szczegóły o występkach i zbrodniach, opuszczone

zostały przez Emersona, który z godnością *gentlemana* uwolnił się od krążenia w tym błocie; a jednak powinny być opisanemi, bo lepiej niż boksy i walki niedźwiedzi świadczą o tój grubiej i zwi-

rzęcej naturze, której cywilizacya nie zdołała jeszcze pokonać.

(Dokończenie w następnym zeszycie).

ŻUK OLBRZYMI.

THEOGENES NEPTUNUS, (BURMEISTER).

Podobnie jak w gromadzie ssących zwierzęta o skórze grubiej, słoniowatemi zwane, zadziwiają nas gmaszystością kształtów, dziwném wydłużeniem trąby, tak chrząszcze z rodziny *blaszkorogich* (*lamellicornia*) celują wielkością i dziwacznością form, szczególnież zaś rodzaje i gatunki zamieszkujące szczęśliwe podzwrotnikowe kraje.

Zdziwić się musi każdy, kto powiedzie okiem przez liczne szeregi tych niby żuków naszych, ale już jakby porozgniatanych, już jakby rozdętych z rodzaju: *Aleuchus Gymnopleus*, *Circellium*, *Copris*, (księżycorożec), i dojdzie do dziwaczniejszych jeszcze kształtów, a coraz żywszych barw z metalicznym blaskiem, jak są brazylijskie *Phanaeus principalis* i dalsze. Przebiegłszy znów skromniejsze, z których i naszym stronom dostało się nieco, rodzaje: krówki (*Geotrupes*), orzele (*Lethrus*), modzelatki (*Trox*), robatyńce (*Oryctes*), wpadnie na zaskrajające ogromem i orężem, lubo w rzeczy samej niedołęzne, gatunki rogate z rodzaju *Scarabaeus*, jak *S. hercules*, *S. atlas*, *jupiter*, *golofa porteri* i *neptunus*, przez Burmeistra *Theogenes neptunus* zwany, nim naostatek przeleknie się prawie olbrzymich *megazomów* i gdy mu ukażą swoje gmaszyste ciała gatunki *acton*, *typhon*, *elephas*.

Figura dołączona przedstawia właśnie wyobrażenie samca i samicy przepyszego żuka *Theogenes neptunus*, który należy do nowszych odkryć entomologii ozdobnej.

Lubo już Schönher w pierwszym tomie swego

dziela: *Synonymia insectorum* zamieścił jego rysunek, to przecież pokazało się że ten nie był zupełny, gdyż tylko gorset należał do żuka olbrzymiego, reszta zaś do *Scarabaeus hercules*.

W roku 1840 żuk ten został opisany przez Buquet'a, który go u Schönher'a nie poznał. Nakoniec Burmeister z tego gatunku, który różni się bardzo, szczególnież ukształceniem nóg, od pokrewnego *dynastes*, utworzył osobny rodzaj *Theogenes* i opisał go dokładnie w swój „Encyklopedyi podręcznej.”

Żuk ten odznacza się wielkością, tak jak wszystkie niemal do rodziny *Scarabaeus* należące, szczególnież zaś w ukształceniu rogu i odpowiedniej mu części umieszczonej na tarczy szyjowej. Ojczyzną jego jest Kolumbia, gdzie niedaleko Santa-Fe-de-Bogota i Porto-Cabello znalezionym został.

Należy on do rzadkich ozdób entomologicznych zbiorów i dlatego drogo się płaci.

Handel, umiający ze wszystkiego korzystać, utworzył sobie osobną korzystną gałąź sprzedaży osobliwości natury. Częstoć drobny owad, niekształtny i obrzydzenie wzbudzający, sprzedaje się na wagę złota. Gdy w roku 1838 zjawił się w handlu nowy okazały gatunek do rodzaju *Cetonia* należący, z przyładka Złotego, płacono w Londynie za egzemplarz jego od 20 do 25 luidorów i niedługo cena ta do 50 luidorów doszła. Czyliby i w dziedzinie nauki panowały kaprysy mody?



DWIE TEGOCZESNE ZNAKOMITOŚCI

DRAMATYCZNE.

Adelaida Ristori.

Było to w dniach ogólnej wystawy przemysłowej, w czasie której Paryż, tyle dumny z przyznanego mu tytułu stolicy świata, nosił tę nazwę z większą jeszcze jak zwykle słuszością. Imponujące bogactwo przemysłu i sztuki zagranicznej zachęcało do żywszego współdziałania w rzeczach obcych, a zarazem do słusniejszego ich ocenienia. Pod tym przeto względem Włoszka Adelaida Ristori szczęśliwie obrała czas pierwszej swjej wyprawy zdobywczej. Jakkolwiek oddawna w świecie artystycznym i w wyższym towarzystwie Italii znakomite zajmowała miejsce, imię jej wszakże prawie nieznanem było w Paryżu. Dramat włoski byłby tam w innym czasie wywołał przelotną może ciekawość, lecz nigdy nie stałby się przedmiotem powszechnego zajęcia. Teraz usposobienie ogółu sprzyjało sztuce obcej, i dlatego gdy w maju 1855 roku towarzystwo aktorów teatru królewskiego w Turynie, z panią Ristori na czele, otworzyło szereg przedstawień dramatycznych w ojczystym swym języku, sala *Ventadour* napelniła się publicznością, spieszącą tam, w brew zwyczajowi francuzkiemu, nie tylko z ciekawości, lecz bardziej może z jakiegoś uniwersalnego w sztuce zamiłowania. Jeden wieczór, a imię Adelaidy Ristori stało się w Paryżu równie popularnem, jak imię największej artystki miejscowej, panny Rachel. Że powodzenie zdobyła tak szybko, winnato w części okolicznościom czasowym; że w ogólności zdobyć je mogła, to leży już wyłącznie w potędze niezrównanego jej talentu, którego rozwój wyjaśni nam pobieżny rzut oka na życie znakomitej artystki.

Adelaida Ristori stanowi rzadki wyjątek w liczbie owych dzieci wyrosłych, że tak powiemy, z gruntu teatralnego, we Włoszech zwłaszcza, gdzie życie dramatyczne jest jeszcze z wielu względów podobne do cygańskiego. „Aktorzy nasi, mówi przyjaciel i biograf pani Ristori, P. A. Curti, ¹⁾ składają oddzielną kastę. Rzemiosło teatralne przechodzi dziedzicznie z ojca na syna. Większa ich

część nie posiada żadnego ukształcenia, żadnego oswojenia ze zwyczajami lepszego towarzystwa; bo ciągle przenoszenie się z miejsca na miejsce nie pozwala im pracować nad sobą, a szkół dramatycznych niema dotąd we Włoszech.

Do takiej to nędznej trupy koczującej należeli rodzice naszej artystki, ubodzy komedyanci, którzy w pierwszych latach trzeciego dziesiątka bieżącego wieku z dyrektorem swym Cavichi gościli we Friulu. Tam w małym miasteczku Cividale przyszła na świat Adelaida, i mając dwa miesiące, zapakowana w koszyczek, figurowała już na scenie w jakiejś komedii. Od piątego roku życia zaczęto jej dawać role chłopczyków, które przez lat kilka grywała z namiętnym zamiłowaniem, czekając sposobności odznaczenia się w czemś wyższem. Przyrzeczeniem tej właśnie sposobności dyrektor innej trupy, Giuseppe Moncalvo, zjednał sobie młodą dziewczę, czarującą już całym powabem wcześniej rozwiniętych wdzięków. Powierzał jej role naiwnych suberetek, a kiedy niekiedy, dla zachęty, pozwalał występować i w rolach poważniejszych. Lecz jakaż to była scena! Najgminniejsze krotchwile włoskie rozsiadły się na niej samowładnie, a nasza artystka, piastująca w młodzieńczej swjej piersi święty ogień sztuki, zbyt często znalazła się obrażoną w najdelikatniejszych swych uczuciach. Walka ta jednak, prędkiej i dzielniej niżby to nastąpiło w pomyślniejszych okolicznościach, wyrobiła w niej poznanie prawdziwych celów sztuki i poczucie własnej siły. Wkrótce też świetne jej zdolności zwróciły uwagę dyrektora, godnego rzeczywiście zająć się dalszém kształceniem tak przeważnego talentu.

Człowiekiem tym był Gaetano Bazzi, dyrektor nadwornego teatru turyńskiego, najlepszego wtedy w całych Włoszech. Trupę jego składały najpierwsze owego czasu znakomitości teatralne, między którymi Luigi Vestri, Rosina Romagnoli, a nadewszystko Carlotta Marchioni stali na świeczniku. W takie to grono weszła Adelaida Ristori. Uwolniona od kuglarstw Moncalva, od publiczności mającej upodobanie w jego farsach, teraz dopiero zaczęła studyować sztukę, w szlachetnym

¹⁾ „Adelaide Ristori, per P. A. Curti” (Medyolan 1855).

tego wyrazu znaczeniu. Carlotta Marchioni została jęj nauczycielką, jęj wzorem. Przestając z nią, kształciła się dla sceny, a zarazem poznawała czego się douczyć należało po za sceną. Doświadczona artystka i pod tym względem stała się przewodniczką dziewczęcia, które z miłością bez granic,

bność wzbogacenia swęj wiedzy, ukształcenia smaku i nabrania poloru wyższego świata. Podobnież działalność jęj sceniczna tę wielką dla naturalnego jęj rozwoju przedstawiała korzyść, iż prawie wyłącznie występowała w komedjach i dramach konwersacyjnych, w charakterach wesolych i nai-



Adelaida Ristori.

z dziecięcęm uwielbieniem garnęło się pod jęj opiekę. Towarzystwo grywało zwykle sześć miesięcy w Turynie, a drugie sześć w Medyolanie. W obu tych miastach dom p. Marchioni był ogniskiem życia duchowego, a młoda Adelaida w zetknięciu z lepszęm towarzystwem znalazła sposo-

wnych, unikając tym sposobem niebezpieczeństwa ról wzniosłych, w których początkujący tak łatwo wpadają w przesadną deklamacyą i napuszyłość. Role bowiem tragiczne, kroju zwłaszcza starożytnego (a włoska tragedia, podobnie jak francuzka, lubi gonić za pseudo-klassycznoscią), to

mają do siebie, że mniej wytrawni artyści kroczą w nich jakby na nogach mieli koturny i patetycznością ruchów starają się dopełnić złudzenia. Dziś nawet, choć pani Ristori zachwyca nas mi-

go po niej miejsca w dramacie i tragedyi; nie chiano bowiem ulubionych komedyj Goldoni'ego, Aveloni'ego i Noty pozbawić najdzielniejszej ich podpory. Dopiero na jesieni 1841 r. inne towarzystwo



Bogumił Dawison.

strzostwem w tragedyi, niepodobna nie uznać że więcej winna Goldoni'emu jak Alfieri'emu.

Gdy roku 1840 Carlotta Marchioni opuściła scenę, i wtedy jeszcze Ristori nie objęła opróżnione-

pod przewodnictwem Romualda Mascherpa, powołała ją do Pavii, gdzie młoda artystka, z równem powodzeniem jak dotąd w komedyi, zaczęła występować w rolach tragicznych. Od chwili téj sła-

wa jęj stała się rozgłosną na całej ziemi italskiej. Kolejno w Rzymie, Florencyi, Modenie i Livornie z zapalem przyjmowana, Adelaida Ristori i w latach następnym w ojczystym swym kraju odbywała prawdziwy pochód tryumfalny, aż póki namiętna miłość dla wysoko urodzonego młodziana nie przerwała go na czas dłuższy. Po śmiałej walce z przesądami arystokratycznymi uznana w stanowisku małżonki margrabiego Giuliano del Grillo, Adelaida umiała wkrótce szlachecką pychę rodziców męzowskich zamienić w bardziej uzasadnioną dumę z posiadania takiej synowej. Wido-wisko urządzone na cel dobroczynny po kilku latach przerwy powróciło ją scenie i pokazało się że dzieje jęj miłości, (której szczegóły romansowe pomijamy) związane z nią walki i cierpienia w duchowém życiu artystki wybitne zostawiły ślady. Odwaga z jaką dziewczica umiała pokonywać przeciwności, wierność dla kochanka objawiająca się najrzewniejszém poświęceniem, a później współczucie wysoko położonej margrabiny dla ranionych w walkach rewolucyjnych, bez względu czy zwycięzców czy zwyciężonych, wszystko to były fakta niestracane dla umysłowego i sercowego jęj rozwoju. Zmienne te uczucia dopełniły prawowitego ukształcenia artystki, która, jako żywe przeciwstawienie uwielbianej dotąd Racheli, musiała nieodzownie na ukolysanych klassycznoscią Paryżanach głębokie sprawić wrażenie.

Powiedzieliśmy już wyżej że pani Ristori szybki swój tryumf w Paryżu w maleńkiej może częstce winną była okolicznościom czasowym. Stronnicy znów panny Rachel nie omieszkali przypisywać go zabiegom koteryjnym, nazywając jęj powodzenie *un succès d'opposition*. Płonny to jednak i na niczém nie oparty zarzut, który, gdyby nawet we Francyi miał za sobą cień prawdy, przynajmniej żadną miarą odnosić się nie może do późniejszych jęj tryumfów w Belgii, w Niemczech i w Warszawie.

Nie mamy tu zamiaru rozbięrać gry pani Ristori w pojedynczych jęj u nas wystąpieniach; dla ogólnego jednak zcharakteryzowania przymiotów jęj zewnętrznych, przytaczamy słowa które wyrzekł niedawno jeden z poważnych estetyków naszych: „Mimo wychudnięcia, ma ona silną budowę, na scenie twarz bardzo piękną i ruchomą, na której z niezmierną szybkością przechodzi całą skalę uczuć; owal i rysy zarówno doskonale przydatne do starożytnego posągu, jak do tych delikatnych, tęsknych

i tajemnych, czasem ziemsko marzących, częściej w niebo wysłanych wyrazów twarzy ze średniowiecznych obrazów i miniatur; głos czysty, dźwięczny i rozległy, mogący zejść do najniższych tonów bez chrapliwości i wznosić się do najwyższych bez krzyku; nareszcie ruchy i akcyą, lubo niezmiernie żywą, zawsze jednak rzeźbną, pełną i szlachetną. Przy takim bogactwie darów i przy pracy dochodzi się dopiero do wielkiego dramatycznego efektu, do takiego przelania, wcielenia w siebie przedstawionej postaci, że artysta sprawia rzeczywiste poetyczne złudzenie, w którym sztuka ginie niejako w prawdzie i naturze.”

Francuzkie wawrzyny pani Ristori stały się dziś europejskimi. Bruksella, Drezno, Berlin, Wiedeń, Frankfurt, Warszawa, z równym jak Paryż zapalem hołdowały artystce, która potęgą geniuszu wynieść się zdołała wysoko ponad szranki narodowości. Przybywszy powtórnie do Paryża, nowe zdobywa tam tryumfy. Montanelli umyślnie dla niej napisał tragedya Camma, w której publiczność francuzka, pomimo dość miernej wartości samej sztuki, przyjęła ją z najwyższém uniesieniem. Obecnie pan Gye, dyrektor londyńskiego teatru Drury-lane, angażował ją do przedstawień na część lata roku bieżącego (1857). Życzylibyśmy jednak aby pani Ristori w dalszym swym zawodzie scenicznym zaniechała poronionych kreacyj, jak Mirra, Medea i Camma, a wzbogaciła swój repertoar godniejszymi jęj talentu utworami Szekspira, Schillera lub Calderona. Odgrywanie jednych i tych samych rol, które wprawdzie słuszną wyrobiły jęj sławę, lecz których wieczne powtarzanie łatwo wyrodzić się może w monotonią, nie zdoła na długo zadowolić artystki tak głębokie posiadającej uczucie. Ciągłe przytém występowanie w gronie współgrających, których miernota służy tylko za podniesienie własnego jęj geniuszu, zakrawa coś na chętkę popisu solowego. Pragnęlibyśmy przeto żeby pani Ristori otoczyła się towarzystwem lepszych artystów dramatycznych, jakich nie brak we Włoszech, i wsparta ich pomocą, rzuciła się śmiało do odtwarzania charakterów szekspirowskich.

Bogumił Dawison.

W drugiej części Księgi Świata z r. 1854, na str. 322 i nast., daliśmy czytelnikom obszerny życiorys ziomka naszego Dawisona, najsłynniejszego dziś przedstawiciela niemieckiej sztuki dramaty-

cznej. Doprowadziliśmy tę biografią do chwili w której Dawison, (podczas lata 1853 roku) zerwał kontrakt z wiedeńskim Burgtheater, przeniósł się do Drezna i angażowany tam został stale, z płacą roczną 7,500 tal. Obecnie, zamieszczając wizerunek znakomitego artysty, dodajemy kilka szczegółów dotyczących ostatnich lat jego zawodu scenicznego.

Zkontraktowanie w Dreźnie stanowiło nową epokę w życiu Dawisona. Sława jego wzrastała z każdym rokiem, i niesłychane dotąd powodzenie towarzyszyło mu nie tylko w samym Dreźnie, ale i w innych stolicach niemieckich. Gościnne jego role w Berlinie, w latach 1855 i 1856, zdobyły mu zaszczyty, jakich tam nie dostąpił żaden z żyjących artystów dramatycznych. Otello, Makbet, Hamlet, Ryszard III, Burleigh, Antonio, Holofernes, Alba, Marinelli, Franciszek Moor, Karlos, Mefistofeles, Mulej Hassan, Kaligula, Fox, Szylok, Tailfourd, Narcyz, Mercutio, Egist (w Klytemnestrze) i wiele innych, oto bogaty repertuar Dawisona, którego wszechstronność tém bardziej zadziwi, skoro dodamy że często występuje i w komedjach, a zawsze w sposób zupełnie oryginalny i samodzielny.

Dawison z nadzwyczajną prostotą i potężną inteligencją, łączy świetne przymioty zewnętrzne, które same już przez się stawiałyby go wysoko ponad mierność. Dosyć go widzieć w rolach Burleigh'a, Antonia lub Ryszarda III, by się przekonać o porywającym uroku jego osobistości, przedziwnie usposobionej do oddania najsubtelniejszych odcieni charakterystyki. Dawison przemawia do publiczności samą swą powierzchownością, zanim jeszcze usta otworzy. Wystąpienie jego na scenę jest jakby komentarzem odgrywanej roli, wymownym uosobieniem pierwowzoru w historycznym niemal portrecie, który z żalem widzimy znikający za kurtyną, przeznaczony na zagładę w garderobie zakulisowej. Jako Alba na przykład w „Egmoncie” prologuje on wybornie postawą, kostiumem, charakterystyką twarzy i mimiką słynną scenę czwartego aktu, a w rolach Burleigh'a i Antonia głowa jego przypomina wizerunki penzla Van Dyka i Ticyana. W rolach fantastycznych, jak Mefistofeles, Franciszek Moor, Karlos i Hamlet, Dawison, zrywając z tradycją w zewnętrznym wystąpieniu podobnie jak w całej grze swojej, lubi charakteryzować się śmiało, frapująco, chociaż nigdy nie wpada w trywialność. W Hamlecie wido-

czne jest studyowanie przepysznych malowideł Kaulbacha.

Pod względem psychologicznego rozwoju przedstawianej roli, Dawison słucha tylko głosu własnego natchnienia i umie z zadziwiającą bystrością wcielić się we wszystkie jej właściwości. Dlatego pojęcie jego przez wielu może być uważane za mylne, lecz nikt nie odmówi mu prostoty, oryginalności i rozumnej konsekwencji. Prostota to właśnie i prawda duchowa nadaje utworom tego artysty ową świeżość i siłę porywającą, która pociąga słuchaczy w czarodziejskie koło chwilowych jego myśli i zmusza ich niejako do uwierzenia że to na co patrzą musiało być takim w rzeczywistości. Posiada on przytém odrębną zdolność uczynienia ludzkiemi, możliwemi, że tak się wyrazimy, postaci demonicznych. Rola na przykład Franciszka Moor'a dowodzi pod tym względem twórczego geniuszu Dawisona, który bezustannie inpropwizuje, nie trzymając się żadnych form tradycyjnych. Równie świetne tryumfy zdobywa jako Karlos, Marinelli, Szylok i Mulej Hassan, nie mówiąc już o Mefistofelesie, téj nieujętej kreacji Göthe'go, którą on pierwszy obmył z diabelskiej szpetności, zaklął w ciało i krew ludzką i przerobił na charakter dosyć nawet sympatyczny. Najwyższym jednak szczytem jego talentu jest podobno rola Ryszarda III, w której rozwija energią i siłę godną zaiste geniuszu Szekspira.

Odrębną zupełnie właściwość Dawisona stanowi wyborna gra jego w epizodach ubocznych i w odejściu. Scena pod szubienicą w Fauście, wypowiedziana tajemniczo i cicho pomiędzy kulisami, przejmuje widzów jakąś zgrozą nieziemską, a szepcząca rozmowa Makbeta z mordercami Banka przez skryte drzwi sali królewskiej najpomysłniej kontrastuje z używanym dotąd w tym ustępie dobrodusznym dialogiem, o dwa kroki od budki suflera.

Krytyka niejednokrotnie już przyrównywała Dawisona do Garrika, i rzeczywiście on pierwszy wykluczył w Niemczech z desek teatralnych manierę deklamatorską, gonienie za sztucznymi efektami i zamiłowanie w urojonych ideałach, zastępując te mrzonki estetyczne prawdą i prostotą, przedstawiając nie ideały, ale ludzi w ciałach i kościach obleczonych. Czy walka reformatorska naszego rodaka skończy się tak zwycięzko i tak zbawienne przyniesie owoce, jak sto lat temu w Anglii podobne usiłowania Garrika, jest to pytanie na

które w dość odległej dopiero przyszłości będzie można stanowczo odpowiedzieć; zawsze jednak ta słuszna należy mu się sława, że stanął pierwszy na wyłomie, i obalając przepisy zwietrzałej trady-

cy scenicznej, sam jeden przebojem nową utoro-
wał sobie drogę.

Ludwik J.

PODRÓŻE PO ABISSYNII.

POBYT W PROWINCYI TIGREH.

Podróżnik angielski Parkyns, który czas jakiś bawił w prowincyi abissyńskiej Tigreh, podaje zajmujący opis tego kraju w jedném z pism angielskich, z kąd powtórzyła go francuzka „Revue Brittanique.” My z niego przytaczamy kilka ciekawszych wyjątków.

Miasto Adua, stolica krainy Tigreh, oprócz dwóch kościołów, św. Michała i św. Gabryela, nie posiada żadnych prawie gmachów publicznych i okazalszych domów prywatnych; że jednak mieszka tam kilkunastu dostojników i bogatych kupców, po większej części muzułmanów, przeto wpływ jego na resztę kraju jest znamienity, i prawa mody, zwłaszcza dla męszczyzn, przepisuje ono tak samowolnie, jak u nas Paryż. Męszczyźni w Tigreh noszą spodnie z materyi bawełnianej krajowego wyrobu, ujęte w biodrach długim kolorowym pasem, i płaszcze z tegoż materyału. Pan Parkyns pierwszy podobno wprowadził tu modę bardzo ciasnych pantalonów, a „młoda Abissynia” nowość tę przyjęła z poklaskiem.

Abissyńczycy w ogólności są wzrostu słusznego, przystojni i dobrze zbudowani. Podróżnik nasz daje następujący opis tamecznej płci pięknej: „Pod względem rysów i kibici młode niewiasty Abissynii należą niewątpliwie do najurodziwszych na świecie. Nie trzeba ich tylko mieszać z niewolnicami sprzedawanymi w Egipcie jako Abissynki, bote pochodzą z kasty bardzo podrzędnej. Twarze ich mają wyraz prawie europejski, a cera ciemna-wa doskonale harmoniuje z dużemi czarnemi oczami.”

Kodeks karny w Abissynii, jak u wszystkich narodów Wschodu, bardzo jest pierwotny, lecz zarazem skuteczny. Za kradzież zwykłą tu kara

jest osmaganie długim batem, zwanym malowniczo *girafą*. Istnieje także w tym kraju rodzaj wendety uprawnionej, o której pan Parkyns tragiczne przytacza opowiadanie. „Abissyńczyk jakiś podstępnie zamordował Araba, jedynie dla zadosyćuczynienia wspólnej wszystkim narodom barbarzyńskim żądzy krwawych trofeów. Krewni ofiary żądali ukarania zabójcy, a że zbrodnia była udowodnioną, wydano im więc winnego na łaskę. Natychmiast, w obecności wice-króla, jeden z rodziny nieboszczyka dobył jatagana, i jedném cięciem głowę skazanego odłączył od kadłuba. Potém najspokojniej obrócił się do wice-króla i rzekł poważnie: „Niech Bóg cię zachowa, władzco mój i panie.” I obtarłszy zakrwawiony brzeszczot garścią trawy, oddalił się krokiem powolnym, nie zostawiając pośród zgromadzonych innego wrażenia, prócz podziwu dla siły jego i zręczności.”

Żołnierze abissyńscy, oprócz długich sierpowatych szabli, z niezgrabnemi rękojeściami z rogu nosorożcowego, używają najwięcej dziiryta, którym rzucają bardzo trafnie; aż dotąd jednak nie nauczyli się władać należycie bronią palną, i zdaje się że Europejczyk, jako tako robiący pałaszem, pomimo tarcz powleczonych skórą bawołą, któremi się zastawiają, każdego z nich łatwo pokonał.

Pod względem religijnym Abissynia jest krajem bardzo zajmującym, w kolei bowiem wieków nieodmiennie pozostała chrześcijańską. Według podania nawrócenie tego kraju miało nastąpić w pierwszym stuleciu naszej ery; roczniki jednak miejscowe datę jego naznaczają około r. 330, w którym Frumencyusz, kupiec chrześcijański z Tyru, wyrzucony na brzeg w czasie burzy, został tu zatrzymany jako jeniec. Przybysz ten nawrócić miał

cesarza i cały dwór jego, poczem patriarcha Antyochii mianował go *abuną*, czyli naczelnikiem religijnym Etiopii. Abissyńczycy za jedyną modłę swojej wiary przyjmują pismo święte. Celibat księży jest u nich w ten sposób ograniczony, że ożenionym przed wyświęceniem wolno żyć w małżeństwie, ożenienie się zaś po przyjęciu święceń kapłańskich, jak wszędzie w krajach katolickich, jest wzbronionem. Posty zajmują prawie dwie trzecie części roku, a przepisy pod tym względem są tak surowe, że pozwalają posilać się tylko wieczorem, i to pokarmami wyłącznie roślinnymi. W dzień św. Jana Chrzciciela mieszkańcy Abissynii udają się tłumnie do kąpieli, lecz zato przez resztę roku, prócz koniecznego umywania rąk przed i po jedzeniu, starannie unikają wody. W panu Parkyns zwyczaj codziennego umywania się z początku bardzo ich gorszył. „Czy on muzulmanin, mawiali z oburzeniem, że tak się myje skwapliwie?”

Karność kościelna w prowincyi Tigreh surowo jest przestrzegana. Uwłaczający przepisom religijnym poczytywani są za kacerzów, i duchowieństwo odmawia im chrześcijańskiego pogrzebu. Z tém wszystkiém idee chrześcijaństwa pomieszane tam są z pojęciami starego zakonu. Tak naprzykład Abissyńczycy wierzą w czyste i nieczyste pokarmy i zachowują zwyczaj obrzezania. O przesądnej ich ciemnocie p. Parkyns obszernie się rozpisuje; my z jego opowieści jedno tylko przytoczymy zdarzenie. W wiosce zamieszkanój przez naszego autora myśliwiec jakiś zabił węża boa, znaczne w okolicy zrzadzającego szkody. Zamiast pochwały, księża miejscowi surowo go napomnieli, a to z powodu że gad ten uważali za istotę opiekuńczą, a tém samém poświęconą.

Zwróćmy się teraz do przedmiotów bardziej materyalnych. Zamiłowanie Abissyńczyków w surowém mięsie jest faktem uzasadnionym. Parkyns pisze o tém co następuje: „Ze świeżo zabitego zwierzęcia ściągają natychmiast skórę i wykrawają z niego kawały ciepłego jeszcze mięsa. W tym stanie jest ono rzeczywiście nierównie delikatniejsze jak po zastygnięciu i przewyższa o wiele w smaku mięso gotowane, o czém przekonałem się osobiście, po przewyciężeniu pierwszego wstrętu.” Wszelako jedynemi zwierzętami pożywanymi w Abissynii surowo są krowy i niektóre gatunki antylop. W wołowym mięsie nie gustują, a baranie jedzą tylko gotowane. Pierwszeństwo to oddawane mięsu surowemu przypomina anegdotę

Bruce'a o bifsztyku wykrojonym ze schwytanėj krowy, którą potem bez uda tylnego puszczone na wolność. Pan Parkyns wprawdzie nie widział podobnej operacyi, lecz wierzy opowiadaniu podróżnika szkockiego, dodając że słyszał o zdarzeniach tego rodzaju.

Autor nasz rozpisuje się jeszcze o ucztach nieco bardziej cywilizacyjnych, których był uczestnikiem w czasie pobytu swego w Adui. Pełniący urząd krajczego rozkrawa i dzieli podawane pieczone, a w sosie biesiadnicy maczają kromki chleba ugniatane w podłużne wałki. Zwyczaj miejscowy wymaga aby sąsiad sąsiadowi, na znak uczczenia, przysmak ten własnoręcznie wkładał w usta. Częstokroć z tego powodu osoby wysoko postawione w przykrém znajdują się położeniu, nie mogąc równie szybko polykać tych dowodów szacunku, jak zewsząd je odbierają. Po pierwszém daniu, złożoném z gotowanėj baraniny, następuje mięso surowe, zwane *brundo*. Zwycie na sześć osób liczy się ćwierć wołu, a widok kilkunastu lub kilkudziesięciu obnażonych do pasa postaci, siedzących naokoło niskiego stołu, z ogromnemi nożami w ręku i z wyrazem prawdziwie lamparciój żarłoczności, dziwne sprawia wrażenie.

Pewnego razu nasz podróżnik zamierzył przyjąć u siebie kilku „dobrych przyjaciół”. Zaprosił ich na godzinę ranną, bo wiedział że tegoż dnia jeszcze czeka ich druga biesiada, a pragnął gości swoich ujrzeć przy dobrym apetycie. „I rzeczywiście, mówi sam autor, nie zawiodła mnie nadzieja, bo 14 osób sprzątnęło tłustą krowę, dwa barany, odpowiednią ilość chleba i liczne galony miodu rozcieńczonego wodą. Ale osłupiałem z podziwu, gdy tegoż dnia tychże samych ludzi widział w inném miejscu zawijających z taką żarliwością, jak gdyby od trzech dni nic nie jedli.”

Miejscem głównego pobytu pana Parkyns była Adua, często jednak odbywał wycieczki do innych okolic prowincyi Tigreh, jak na przykład do Axum w stronie północnej. Miasto Axum rozpościęra się amfiteatralnie na wzgórzu, i posiada, oprócz starożytnego kościoła, ciekawy obelisk, (o którego wszakże pochodzeniu p. Parkyns nic nam pewnego nie podaje) tudzież ogromne drzewo z gatunku sykomor, pod którego rozłożystemi konarami kilkaset osób może znaleźć schronienie. Pod cieniem tego patriarchy królestwa roślinnego podróżnik nasz napotkał kilka jeszcze małych obelisków, a nieco dalej zwaliska jakiejś kolumnady. Domy

w Axum zbudowane są okrągło, według stylu staro-abissyńskiego, w Adui zaś po większej części czworograniasto. Dla polowania i wzbogacenia swych zbiorów pan Parkyns udawał się także do prowincyi Addy-Abbo, i kilka miesięcy przepełdził bardzo przyjemnie w należącym do niej okręgu Rohabaita. Górzysta ta okolica obfituje w szkarłatne aloesy, kwitnące prawie przez rok cały; w wonne mimozy, z żółtymi i białymi kwiatami; w jaskminy i pyszną roślinę *Aeschynanthus*, mającą liście grube, żywej zieloności, i kwiat purpurowy. Széroko także rozpisuje się o tamecznych małpach, zwanych *totas*, niewielkich i zgrabnych zwierzątkach, z sierścią zielonawo-brunatną, czarną twarzą i białymi wąsami. Badając ich zwyczaje, przekonał się „że małpy te między sobą porozumiewają się tak dobrze jak ludzie.”

„Uważałem nieraz, mówi nasz autor, że posiadają dowódców i regularny system grabieży. Gdy gromadami zstępują w niziny, dla splondrowania na przykład jakiego pola zbożowego, wtedy starszyzna, którą łatwo rozróżnić po dłuższej grzywie, idzie przodem i bacznie rozpoznaje miejscowość, czy gdzie nie zagraża niebezpieczeństwo. Prócz tego po bokach i w odwodzie rozstawiają strażę, nawołując się od czasu do czasu krzykiem tak rozmaicie akcentowanym, że trudno nie dopatrzeć w nim czegoś nakształt mowy. Środkiem postępują samice, niedoświadczeni samce i niespokojna młodzież, zbaczająca często z drogi dla zbierania jagód, dopóki nadciągająca straż tylna nie spędzi swywolnych maroderów. Po każdym haśle alarmowém cała gromada zatrzymuje się, i nowy dopiero okrzyk, całkiem odmiennéj intonacyi, ośmiela ją do dalszego pochodu. Za przybyciem do pola zbożowego kilkunastu samców zajmuje postęunki na okolicznych wzgórzach, gdy tymczasem reszta rzuca się chciwie na kłosa, zapychając niemi pyski i zabiérając ile można pod pachy. Nie zdarzyło mi się widzieć ani razu żeby która ze straży w czasie téj grabieży opuściła swe stanowisko; przekonany więc jestem że za powrotem w téj małej rzeczypospolitéj następuje podział zdobyczy, na zasadach słuszności.”

Rohabaita jest to mała prowincya granicząca na zachód z doliną Marebu, na północ zaś z nieprzyjazném pokoleniem Bareas'ów. Ziemia tam bardzo nieurodzajna, szczególniej dla braku wody, która choć w porze deszczów potokami z miejsc górzystych spada w doliny, prędko jednak wysycha.

Opatrzna atoli przyroda i na to zaradczy obmyśliła środek. W klimacie tak żarzącym woda wystawiona na działanie powietrza wkrótceby wyparowała; lecz piasek od wieków przez potoki w parowach nagromadzony przechowuje w sobie doskonale przefiltrowaną wodę, której zupełnemu wsiąknięciu zapobiega grunt skalisty. Dosyć więc rozgrzebać ten piasek do pewnej głębokości, aby znaleźć napój skąpy wprawdzie, lecz czysty i orzeźwiający. Osady po większej części założone są na górach, już dla obrony od wojowniczych Bareas'ów, już w celu uniknienia panującej tu niekiedy malarii. Naród jest dzielny, odważny, pracowity i gościnnie; mimo największej przecież zabiegliwości zbywa mu często na pierwszych potrzebach życia. Parkyns przez dwa miesiące żył tylko zwiérzyną i miodem; kilka bowiem sztuk bydła znajdujących się w okolicy zostało skradzionych przez Bareas'ów. Podróżnik nasz prędko się zaprzyjaźnił z krajowcami, i żadna razzia, żadne łowy nie obły się bez niego. Raz w czasie pożaru uratował kilku ludzi, z narażeniem własnego życia; bardzo więc naturalnie że był przez wszystkich kochany i szanowany.

Z drugiej strony prowincya Rohabaita pod względem przyrodzonym wiele miała powabu dla pana Parkyns. Nad brzegami Marebu napotkać można ślady wszystkich niemal zwierząt czworonożnych, od słonia do gazelli; w zaroślach gór gnieźdzą się liczne gatunki ptaków, a węzów niezmiernie tam mnóstwo. Jak piękna sposobność dla zbieracza i przyrodznawcy, pragnącego głównie studyować żywą naturą! Szkoda tylko że znaczna część zbiorów p. Parkyns została w transporcie zatraconą lub uszkodzoną przez móle i szczury; kolekcya zaś broni miejscowej i niektórych ciekawości zoologicznych aż dotąd podobno znajduje się w Kalkucie.

Od woli jedynie naszego autora zależało zostać gubernatorem Rohabaity, bo rząd abissyński nie umiał sobie dać rady z poborem podatków. Nie żartowano wprawdzie z opieszalemi kontrybuentami, i kilku z nich okuto w żelazne obrcze; lecz reszta zato, zabrawszy ruchomy swój majątek, uciekała za granicę. Pan Parkyns podjął się uregulowania téj sprawy, a nadto uśmierzenia sąsiednich Bareas'ów.

Plemię Bareas'ów niezmiernie jest wojownicze, przebiegłe i doświadczone w podjazdach, lecz bardzo niedokładnie uzbrojone i ciemne. O kawaleryi

na przykład dziwne mają wyobrażenie, bo zdaje im się że tylko chorzy lub niedoleżni starcy mogą jeździć konno, i dlatego zbliżając się jazdę przyjmują zwykle z urąganiem. Gdy który z nich padnie, ugodzony kulą, podnoszą go, jakby się potknął przypadkowo, a znalazłszy go nieżywym albo ciężko ranionym, nie mogą pojąć przyczyny. Jednakże, mimo téj piérwiastkowej prostoty, Bareas groźnym jest w boju przeciwnikiem, bo niedokładność oręża wynagradza siłą i zrzecznością.

Pan Parkyns opowiada że nocując pewnego razu blisko granic tego plemienia pod gołym niebem, obudzony został straszliwym hałasem. Mniemał z razu że to napad Bareas'ów, lecz okazało się że to lampart wtargnął w siedziby małpie na skałach. Zdaniem jednak Abissyńczyków dorosła małpa w ostateczności obroni się lampartowi, i gdyby nie wrodzone tchórzostwo jój rodu, mieszkańcy nie mogliby bezpiecznie wsi swych opuszczać.

Przez dwa lata autor nasz nie odebrał z Anglii ani listów, ani pieniędzy, i z tego powodu w niemłym znajdował się kłopotcie. Wróciwszy do Adui, rozpoczął z wice-królem narady względem zarządu Rohabaity. Podjął się zaprowadzić w tym kraju ulepszone gospodarstwo rolne, rozszerzyć handel, mianowicie kością słoniową i skórami bawolemi, i dźwignawszy tym sposobem dobry byt mieszkańców, najregularniej ściągać podatki. Lecz na to wszystko potrzeba było znacznego kapitału, a podróżnikowi naszemu, lubo w tym właśnie czasie odebrał pieniądze z Massawy, po opłaceniu długów niewiele pozostało. Musiał więc opuścić Abissynią bez wykonania swych zamiarów. Z powrotem, zamiast puścić się ku brzegowi i popłynąć morzem Czerwonem, udał się drogą której dotąd nie przebył żaden Europejczyk, przez Abu Charaz nad Nilem Niebieskim, z kąd dosięgnął szczęśliwie Chartum, stolicy górnej Nubii.

PAWEŁ DELAROCHE.

Paweł Delaroche urodził się w Paryżu 17 lipca 1797 roku. Ojciec jego, naczelnik oddziału w lombardzie, dwóch jednocześnie synów swoich kierował na malarzy. Aby jednak pomiędzy braćmi nie wzbudzić zawiści artystycznej i niebezpiecznego dla przywiązania ich współzawodnictwa, starszy zostać miał wyłącznie malarzem historycznym, młodszy zaś Paweł malarzem krajobrazów. Dopiero gdy brat, powodowany miłością synowską, porzucił penzel i paletę, aby ojcu stać się pomocnym w czynnościach jego urzędowych, Paweł Delaroche całkiem już swobodnie wstąpił na drogę którą mu wskazywał geniusz wrodzony. Słynny Gros przyjął go do swój pracowni, i poznawszy się wkrótce na wysokim talencie ucznia, szczególnie poświęcił mu staranie.

Na paryzkiej wystawie sztuk pięknych w roku 1822 Delaroche wystąpił z piérwszym swym obrazem: *Josabeta ocalająca Joasa*, który, jakkolwiek tchnący jeszcze szkołą, przez znawców i nieznanców przyjęty został przychylnie. Za dalsze dwa obrazy: *Joanna d'Arc* w więzieniu, przesłuchiwana przez kardynała Winchester i *św. Wincenty a Pau-*

to przed dworem Ludwika XIII, na wystawie z r. 1824 otrzymał medal. W obu tych utworach przebija już silnie rozwijająca się indywidualność w walce z przepisami i nawyknięciami szkoły, i sława młodego artysty została przez nie ustalona.

Zawładnąwszy już własnym talentem i opinią publiczną, wyłącznie odtąd poświęcał się malowaniu scen historycznych, których kompozycya w szkicach obszerne często miéwała rozmiary, lecz które w wykonaniu malały zwykle na obrazy rodzajowe. Nieprzerwaną teraz kolejną nastąpiły: w r. 1826 *śmierć Annibala Carracci* i *śmierć prezydenta Duranti*; w r. 1827 *śmierć Elżbiety* królowej angielskiej; dalej: młody *Caumont la Force* ocalony z rzezi *św. Bartłomieja*; *kardynał Richelieu* prowadzący na *śmierć Cinq-Mars'a* i *de Thou*; *kardynał Mazarin* na łożu śmiertelném (1831); *zamordowanie księcia de Guise* w zamku Valois, (1835) najcelniejsze może dzieło Delaroche'a, sprzedane z galeryi orleańskiej za 52,000 fr.

Z wielkich jego obrazów wymieniamy: *synowie Edwarda* w więzieniu (1831, w Luksemburgu); *Cromwell* dumający nad zwłokami Karola I (1833);

stracenie Joanny Grey (1834, w galerii hr. Demidow); *lord Stafford* w drodze na rusztowanie otrzymujący błogosławieństwo arcybiskupa Laud, i jako obocznik *Karol I* strzeżony i wyszydzany przez żołnierzy Cromwell'a, (1837 i 1838); *general Bonaparte* w przeprawie przez górę św. Bernarda, i *cesarz dumający* w Fontainebleau nad swém nie szczęściem (w Lipsku w prywatném posiadaniu).

Płótna te twórcy swemu wielką we Francyi i w całej Europie zyskały popularność, jakkolwiek nie zbywało i na przeciwnikach jego metody. Rzeczywiście w malowidłach Delaroche'a nietyle widać wyobraźni i zapału, ile smaku wytrawnego, doświadczenia i pewności. Słusznie niekiedy zarzucano mu ubóstwo pomysłu; lecz brak ten znika wobec interessu dramatycznego jaki wzbudzić umie w widzach, obierając chwile tragiczne, lub żywotnie zespolone z uczuciami i namiętnościami terażniejszości. Trzy czwarte jego obrazów mają za przedmiot sceny śmierci, zajścia mniej więcej powiązane z szafotem i mieczem katowskim. Obok takiego zamiłowania tragiczności, Delaroche nie jest jednak estetycznym terrorystą; unika owszém wszelkich okropności, wszystkiego co przejmuje zgrozą, i z dramatu najstraszliwszego chwyta jeden tylko moment efektowy lecz poważny. Oprócz tego posiada on ujmującą żywość i nadobność formy, wytworny smak w kostiumach, przy wiérnym zachowaniu szczegółów, poprawny rysunek i koloryt nadzwyczaj przyjemny: słowem malarz to stworzony na ulubieńca salonów i większej części ukształconej publiczności.

Pod względem technicznym odróżnić trzeba w Delaroche'u dwie całkiem przeciwne maniery. Piérwsze jego prace obliczone są wyłącznie na efekt, nakładane grubo i malowane penzlem szerokim, w rodzaju Carravaglia. W późniejszym czasie porzucił on to szorstkie traktowanie, nadając płótnom swym polor i wykończenie przypominające van der Werff'a. Druga ta maniera datuje od roku 1834. Otrzymaawszy w tym czasie od rządu zlecenie wymalowania kopuły kościoła św. Magdaleny, Delaroche udał się do Włoch, dla studyowania fresków starożytnych mistrzów i wtajemniczenia się w technikę wyższego stylu kościelnego. Wykonanie wprawdzie tych malowideł nie przyszło do skutku; ale podróż do Włoch niezmierny wpływ wywarła na kierunek późniejszych prac artysty. Zachwycony idealnością dawnych mistrzów italskich, a szczególnie Fiesole'go, starał

się odtąd łączyć prostotę i surowość starożytną z poprawnością i doświadczeniem sztuki nowoczesnej. Owocami tego zwrotu były obrazy *św. Amalii* (1834), *św. Cecylii* (1836, portret jego żony), *Madonna* i liczne studia rysunkowe, całkiem różne od prac jego poprzednich, które u zwolenników malarstwa sentymentalno-religijnego najszczerze zjednały mu uwielbienie.

W ostatnich latach życia Delaroche penzel swój poświęcił głównie przedmiotom z rewolucyi francuzkiej, jak: *przesłuchanie Maryi Antoniny* i *żyrondyści w więzieniu Concergerie*, obraz kupiony za 35,000 fr. Wykonał prócz tego mistrzowskie portrety: Napoleona, Piotra W., panny Sontag, p. p. Thiers, de Pastoret, de Pourtalès, Guizot i wielu innych. Dla muzeum historycznego w Wersalu wymalował: *chrzest Klodoweusza*, *namaszczenie Pipin'a*, *przejście Karola W. przez Alpy* i *koronacyą* tego cesarza w Rzymie. Najrozleglejszém jego dziełem jest malowidło ściennie w rotundzie szkoły sztuk pięknych w Paryżu, wykonane w latach 1839 — 1841, uosobienie głównych epok malarstwa i jego mistrzów. Olbrzymia ta kompozycja obejmuje 74 figur, w przestrzeni 45 stóp długości, na 12 do 15 wysokości.

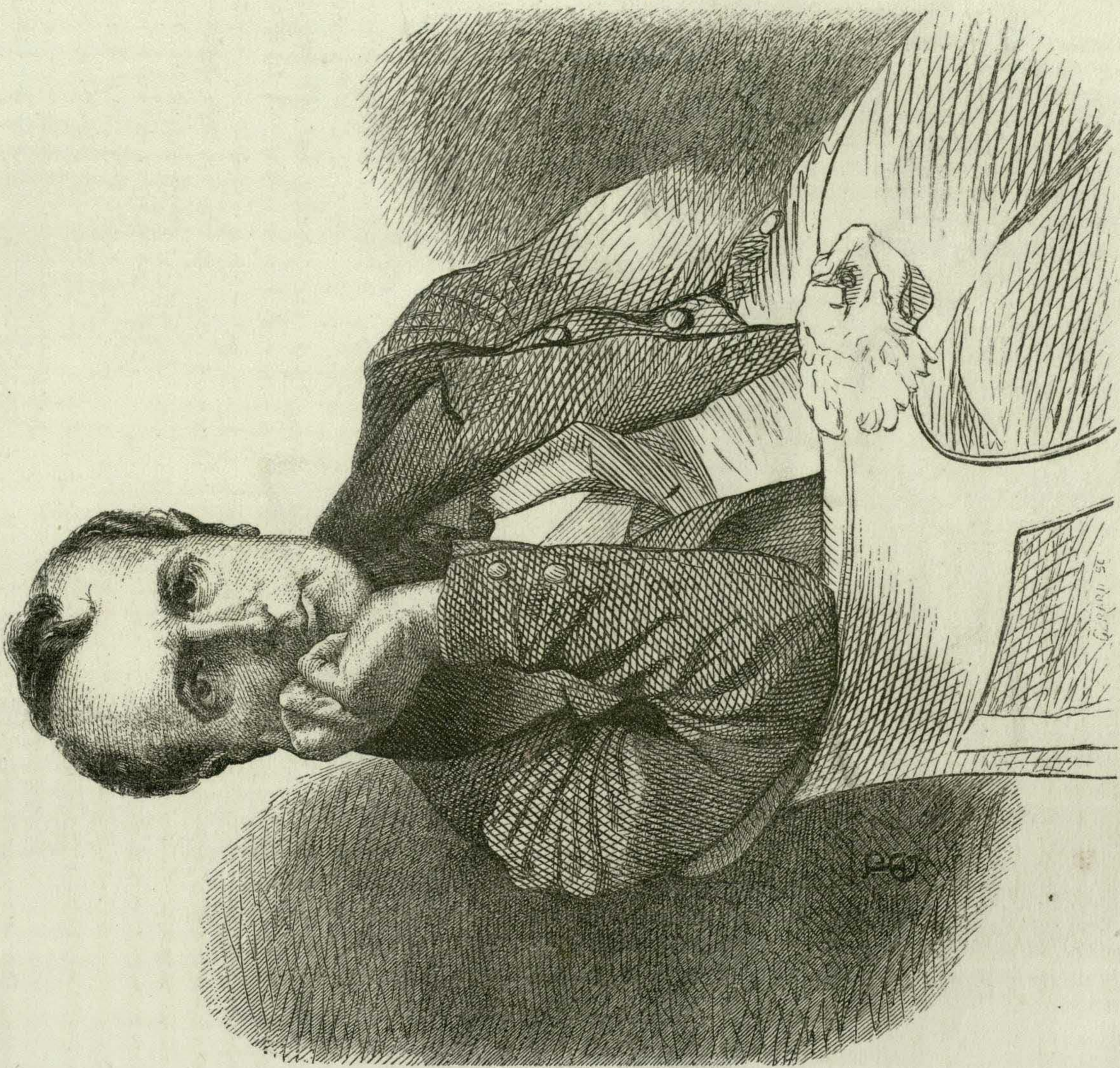
Jeszcze w roku 1832 obrany został członkiem instytutu. Później nieco ożenił się z jedyną córką Horacego Vernet, kobietą rzadkich przymiotów i anielskiej piękności. Przedwczesna śmierć wydarła mu ukochaną tę istotę, i odtąd życie Delaroche'a było złamane.

Dotknięty w ostatnich latach nieuleczoną chorobą serca, po przepędzeniu kilku zim we Włoszech i kilku sezonów letnich u wód emskich, powrócił cierpiący do Paryża w jesieni 1856 r. Lekarze jednak zauważyli znaczne polepszenie w jego zdrowiu. Czwartego listopada rano rozmawiał najspokojniej z teściem swym p. Horacym Vernet i wydawcą p. Goupil, gdy skutkiem pęknięcia naczynia krwistego nagle zakończył życie.

Biograf Delaroche'a, pan d'Ivoy, przytacza między innemi zajmujący rys jego bezinteresowności, który na zakończenie tego szkicu powtarzamy.

Pan X . . . , przyjaciel artysty, zamówił u niego obraz za 3,000 franków. Delaroche nie używał jeszcze wtedy téj sławy rozgłośnej jaką mu zjednała *Joanna Grey*. Wymalował dla p. X . . . *Richelieu'go*.

Po ukończeniu téj pracy, hrabia Pourtalès, po-



Pawel Delaroche.

G. P. 1851

siadacz znakomitej galeryi, odwiedził artystę, ujrzał zamówiony obraz i zawołał:

— Ten obraz musi być mój; daję panu za niego 6,000 franków.

— Niepodobna, odrzekł Delaroche.

— Dlaczego?

— Obraz ten jest sprzedany.

— Przyjmiesz pan 8,000 franków?

— Nie mogę go sprzedać, bo już nie do mnie należy.

— Któż go od pana nabył?

— Pan X . . .

Pan de Pourtalès opuszcza artystę, biegnie do pana X . . . i ofiaruje mu za obraz 8,000 franków. P. X . . . przyjmuje, a zobaczywszy się z Delaroche'm,

— Obraz twój, rzecz, nie należy już do mnie; sprzedałem go hrabi Pourtalès za 8,000 franków.

Jak mogłeś odrzucić tak korzystną propozycją? Oto twoje pieniądze.

Rad nie rad, Delaroche musiał przyjąć; żeby zaś wynagrodzić przyjacielowi stratę obrazu, wymalował dlań Mazarin'a, zawsze w cenie 3,000 franków.

Lecz hrabia Pourtalès zobaczył ten nowy obraz. Mazarin był obocznikiem do Richelieu'go. Nie mówiąc więc nic artyście, udał się prosto do pana X . . .

— I Mazarin, jak Richelieu, musi do mnie należyć; ale że dwa te obrazy wzajemnie się dopełniają, więc daję za Mazarin'a 12,000 franków.

Delaroche musiał zezwolić, i tym sposobem za obrazy które cenil tylko 6,000, otrzymał 20,000 franków.

Dzieła Delaroche'a rytowane są przez najlepszych artystów francuzkich, jak Henriquel-Dupont, Prudhomme, Prévost, Martinet, Girard i inni.

MECHANIKA POPULARNA,

PRZEZ

J. Kr. Pietraszka.

III. *Wielkość skutku mechanicznego w czasie przemiany wody na parę. Wielkość skutku mechanicznego w czasie przemiany pary na wodę. Ilość potrzebnego ciepła do zamiany wody na parę.*

Skutek mechaniczny poruszającej siły oznacza się najogólniej, odpowiadając: *jaki ciężar do pewnej wysokości, lub do jakiej wysokości pewien ciężar taż siła podnieść jest w stanie.* Jeżeli się więc mówi że ten lub ów mechaniczny czynnik (t. j. ta lub owa poruszająca siła) podnosi 200 centnarów do wysokości jednej stopy, to mamy o jego mechanicznym skutku dokładne wyobrażenie, bez względu na czas, bo czy praca ta wykonaną zostanie w jednej minucie, czy w jednej godzinie, zawsze jest tą samą. Później jednak weźmiemy i czas pod uwagę; a teraz rozwiążemy dwa następujące pytania:

a) Jak wielki mechaniczny skutek wydaje pewna ilość wody, np. jeden cal sześcienny, zamienioną w parę?

b) Jaki wpływ wywiera ciśnienie, pod którym woda paruje, na skutek mechaniczny?

Niechaj na dnie długiej rury, jeden cal kwadratowy w przekroju mającej, będzie jeden cal sześcienny wody, pod tłokiem szczelnie ją zamykającym i obciążonym 15 funtami. Jak tylko woda skutkiem ciepła zacznie się w parę zamieniać, tłok posuwać się będzie w górę, dla zrobienia miejsca tworzącej się parze, której objętość stanie się na koniec 1700 razy większą od objętości wody z jakiej powstała, a więc i tłok musi się podnieść 1700 razy wyżej, bo przekrój rury jest jednocalowy. Ciężar zatem 15 fun. podniesie się do wysokości 1,700 cali, czyli blisko 142 stóp. Skutek więc mechaniczny, czyli *praca* jednego cala sześciennego wyparowanej wody, równa się 15 funtom podniesionym do wysokości 142 stóp, czyli 142 razy 15 = 2130 funtom podniesionym do wysokości jednej stopy; bo dając rurze przekrój 142 cali kwadratowych, a tłok obciążając 2,130 funtami, to na każdy cal kwadratowy będzie ciśnienie 15 funtów, kiedy pod nim znajduje się 142ga część z 1,700 cali sześciennych pary, czyli 12 cali sześciennych,

tłok więc podniesie się do wysokości 12 cali czyli 1 stopy. Możemy więc powiedzieć że: jeden cal sześcienny wody w czasie zamiany swojej na parę wydaje skutek albo pracę mechaniczną, mogącą 2,130 funtów podnieść do wysokości jednej stopy.

Przypuśćmy teraz że parowanie odbywa się pod wpływem innego ciśnienia i innej ciepłoty, i zobaczmy jak wielki będzie skutek mechaniczny, w porównaniu z poprzednim.

Obciążmy tłok np. 30 lub 45 fun., to podług wyżej przytoczonych zasad, pod ciśnieniem 30 fun. podniósłby się tylko do wysokości 71 stóp, jako połowy wysokości otrzymanej pod ciśnieniem 15 fun.; pod ciśnieniem zaś 45 fun. tylko o $\frac{1}{3}$ część, t. j. do wysokości $47\frac{1}{3}$ stóp; gdyż gęstość pary byłaby w pierwszym razie podwójną, w drugim potrójną i t. d. Jest więc widocznym że 30 fun. do wysokości 71 stóp, lub 45 fun. do wysokości $47\frac{1}{3}$ stóp, jest to samo co 15 fun. do wysokości 142 stóp podniesione. To samo rozumiemy i o innych ciężarach.

Powyższe zatem twierdzenie, że jeden cal sześcienny wyparowanej wody podnosi 20 centnarów ang., czyli 2,130 funtów, do wysokości 1 stopy, może być za ogólne prawidło przyjęte, bo skutek mechaniczny pary nie jest zależnym od ciężaru pod jakim się tworzy.

Nie należy jednak mniemać że jeden cal sześcienny wyparowanej wody wydaje w praktyce siłę podnoszącą 20 centnarów do wysokości 1 stopy, gdyż znaczna część téjże przez tarcie tłoka o wałec i inne części maszyny, oraz rozmaite przeszkody, zniszczona, nie sprawia z góry oznaczonego skutku.

Ażeby znowu dojść wielkości skutku mechanicznego w czasie przemiany pary na wodę, wystawmy sobie rurę napelnioną 1,700 calami sześciennymi pary, która przez oziębianie na wodę zamieniać, lub, jak się mówić zwykło, *zagęszczać* (kondensować) się będzie. Jeżeli tłok zatrzymamy, t. j. nie pozwolimy mu opaść, to para po pewnym przeciągu czasu, przemieniwszy się w wodę objętości jednego cala sześciennego, pozostawi za sobą próżną przestrzeń, zwaną *próżnią* ¹⁾ (vacuum), wynoszącą 1699 cali sześciennych.

A więc przez zgęszczenie pary możemy to samo otrzymać, co za pomocą pompy powietrznej z tak wielką skutecznymi trudnościami. Tu należy wszakże nadmienić że zgęszczeniem pary sprawia-

my tak niezupełną próżnią, jak i za pomocą pompy powietrznej; jednak przez ciągle oziębianie pary przychodzimy w końcu do takiego wypadku, iż pozostała jęj cząstkę, jako nader subtelnej gęstości, możemy za żadną, a przestrzeń 1699 cali sześciennych za prawie doskonałą próżnią uważać.

Gdy opuścimy tłok po zgęszczeniu się pary lub podczas zgęszczania, wtedy będzie opadał pod ciężarem 15 funtów na cal kwadratowy, czyli że siła poruszająca, a działająca w odwrotnym kierunku, będzie równą téj, którąśmy poprzednio parowaniem wody wydobyli. Możemy to sobie jeszcze jaśniej wytłumaczyć, jeżeli tłok u góry umocujemy, a w dolnej części rury zamiast dna wyobraźmy sobie inny tłok, obciążony 15 fun.; wtedy ten, skutkiem ciśnienia zewnętrznego powietrza, musi podnosić się w górę, podobnie jak górny skutkiem działania pary był podniesiony. I to nazywa się skutkiem mechanicznym poruszającej siły (wywołanej zgęszczeniem jednej stopy sześciennnej pary), który równa się mechanicznemu skutkowi sprawionemu przemianą jednego cala sześciennego wody, na jedną stopę sześcienną pary.

Zastanówmy się jeszcze nad powyższym przykładem, dla usunięcia niektórych wątpliwości, a zrobienia sobie o téj rzeczy lepszego pojęcia. Gdy cal sześcienny wody na dnie rury będący do 100° ogrzany zostanie, a następnie w parę zamieniać się pocznie, to cisnąć będzie siłą 15 funtów od spodu, podczas gdy powietrze cisnie znów od zewnątrz również siłą 15 funtów od góry; te więc siły, jako wprost sobie przeciwne i równe, zniosą się i nie objawią żadnego ruchu, jak gdyby ciężar 15 funtów był zawieszony na nici przelożonej przez łańtwo poruszający się krążek, obciążonej na drugim końcu również 15 funtami. Skutkiem tych dwóch przeciwnych a równych sobie sił nastąpi spoczynek, dopóki który z ciężarów, albo, co na jedno wychodzi, dopóki tłok z góry i z dołu uciskany nie zostanie pobudzony do ruchu przez jaką dodatkową siłę, której wielkość jest dowolną; najmniejsze bowiem uderzenie, udzielone przeciwcieżarowi, wystarcza do opadnięcia tegoż, a podniesienia drugiego. Ruch ten odbywa się z jednostajną chyżością dopóty, aż któren z ciężarów gdziekolwiek nie spocznie, lub jaka inna przeszkoda w ruchu tym nie zajdzie.

Podnieśmy np. pewien ciężar o 5 stóp nad poziom i zaczepmy go na nici, to siłą swojej ciężkości podniesie równy przeciwcieżar na drugim koń-

¹⁾ Lepiej *czczością*.

cu nici będący także do 5 stóp nad poziom; t. j. do jakiegokolwiek wysokości podniesiony ciężar, sprawia mechaniczny skutek zupełnie równy mechanicznemu skutkowi do jego podniesienia użytemu.

Mówiliśmy że najmniejsza dodatkowa siła w czasie równowagi przeciwnych ciężarów pobudzi takowe do ruchu, nie mając względu na tarcie i inne przeszkody; jednak téj siły, choćby najmniejszej nie możemy strącać od całego mechanicznego skutku, albowiem udzieliwszy pierwotnie ciężarom przez uderzenie chyżość 1, $\frac{1}{2}$ lub $\frac{1}{4}$ stopy na sekundę, to przy końcu przebieżonej drogi będą mieć początkową chyżość 1, $\frac{1}{2}$ lub $\frac{1}{4}$ stopy, mogąc ją innym ciałom na swój drodze napotkanym całkowicie oddać; a więc pierwotnie dodana siła nie była użytą do sprawienia lub powiększenia skutku mechanicznego, lecz tylko do jego objawienia pożyczoną.

Dla poparcia tego cośmy powiedzieli, przytoczymy tutaj każdemu znajomy przykład: wiadomo że pierwsze podniesienie ciężaru, albo pociągnięcie wozu, wymaga zawsze większej siły, aniżeli dalsze jego poruszanie. Na zupełnie równej drodze mogę ciągnąć wóz z jednostajną chyżością przez odległość 1,000 kroków, jeżeli do pierwszego jego poruszenia ktoś mi dopomoże. Mogę więc powiedzieć że jestem w możności tak lub owak obładowany wóz, przez taką a taką odległość, poruszać z jednostajną chyżością i równą téj, jaką wóz początkowo skutkiem dodanej pomocy otrzymał, którą to chyżość oddać znów można pod temiż samemi warunkami na drodze napotkanemu innemu wozowi.

Zupełnie tak samo dzieje się i z naszym tłokiem; jakkolwiek para wywiązująca się wywierá nań ciśnienie 15 funtów, nie poruszy się przecież, dopóki temu tłokowi nie dopomożemy za pomocą stosownego uderzenia; co tutaj uskutecznia się, ogrzewając ciągle wodę, a zatém robiąc jój ciśnienie większe jak 15 funtów na cal kwadratowy. Skutkiem owego przydatku siły, poruszy się tłok obciążony 15 funtami, a tak podniesiony, większą przestrzeń dla pary zostawi, która przez rozszerzenie się zmniejszy znów swe prężenie do 15 funtów, a wtedy poruszy się tłok w miarę jak świeżo tworząca się para, skutkiem działania lampy od spodu, wypełniać będzie rurę.

Jeżeli tłok umocujemy u góry, parę zgęścimy na wodę, a zamiast dna stałego rury, umieścimy tłok

ciężki na 15 funtów, to samo ciśnienie powietrza utrzyma go w równowadze, ale najmniejsze uderzenie w kierunku do góry sprawi że tłok dolny z jednostajną chyżością podniesie się o 1,700 cali, przyczém przypuszczamy że ciężar zgęszczonej na wodę pary, $1\frac{2}{9}$ łuta wynoszący, w jakikolwiek sposób na tłok działać przestaje, lub że tłok waży tylko 14 funtów i $30\frac{7}{9}$ łutów, co zupełnie na to samo wyjdzie.

Nie uważaliśmy tu całkiem na tarcie tłoku w rurze, co pewną część mechanicznego skutku niweczy; ale musieliśmy to uczynić, dla wyświetlenia głównego przedmiotu.

Z tego wszystkiego otrzymujemy dwa następujące wypadki:

a) *Jeden cal sześcienny wody wydaje 1 stopę sześcienną pary, ciśnienia funtów 15, i podnosi 20 centnarów do wysokości jednej stopy.*

b) *Odwrotném działaniem, czyli zamianą pary na wodę, otrzymujemy tę samą poruszającą siłę.*

Powiedzieliśmy wyżej że tłok w rurze porusza się odpowiednio wytwarzaniu pary. Oczywiście dzieje się to tém prędzej, im więcej ciepła udziela lampa dnu rury, a zatém i wodzie. Dowiemy się później jak wiele wody wyparujemy, używając do tego celu 1 funta węgla; teraz zaś weźmy pod uwagę ilość potrzebnego ciepła, aby zimną wodę zagotować, a gotującą się w parę téjże saméj temperatury zamienić.

Wystawmy sobie że lampa pod rurą pali się jednostajnie, i dlatego udziela wodzie w równych peryodach czasu jednakową ilość ciepła. Wystawmy sobie dalej że nasz 1 cal sześcienny wody jest w takim stanie temperatury, iż eokolwiek oziębiony, zacząłby marznąć. Podstawmy następnie zapaloną lampę i obserwujmy czas potrzebny do zagotowania się rzeczonych wody, czyli czas upłyniony od podstawienia zapalonych lampy, do chwili kiedy tłok zacznie się poruszać; przypuśćmy że to będzie 1 godzina lub 1 minuta.

Uważajmy jeszcze na czas dopóki woda nie wyparuje zupełnie, a przekonamy się że ten ostatni $5\frac{1}{2}$ godzin lub $5\frac{1}{2}$ minut wynosi; z kąd wpływa że $5\frac{1}{2}$ razy tyle czasu potrzeba aby daną masę gotującej się wody w parę zamienić, jak aby tę samą masę wody od punktu marznięcia do punktu gotowania się ogrzać.

Prawidło to jest nadzwyczaj wielkiej wagi, bo przekonywa nas że aby gotującą się wodę w parę zamienić, potrzeba $5\frac{1}{2}$ razy tyle materiału opało-

wego, ile go potrzeba do zagotowania wody od stopnia marznięcia.

I pod innym względem jest to prawidło szczególniejuwagi godne. Wstawiając ciepłomierz w wytwarzającą się parę, przekonujemy się że nam pokazuje tenże sam stopień ciepła co i w gotującej się wodzie; a że woda, przy ciśnieniu 15 funtów na 1 cal kwadratowy, gotuje się w 100° , tyleż więc stopni ma i para z niej powstała. Pod ciśnieniem 30 funtów gotuje się woda w 121° , więc i para z niej wytworzona tę samą temperaturę posiada.

Cóż się więc dzieje z tą nadzwyczaj wielką ilością ciepła, którego się w wodzie przez ciągłe palenie dostarcza.

Ponieważ ogień, ogrzewając wodę przez 1 godzinę, podnosi jej stopień ciepła do 100° , to ogrzewając ją dłużej, przez $5\frac{1}{2}$ godzin, powinienby ją podnieść do $5\frac{1}{2}$ razy 100° , t. j. do 550° , czyli że powinnyby otrzymać ciepłotę 650° nim zupełnie wyparuje, czyli ciepłotę o 250° wyższą od ciepłoty rozpalonego do czerwoności żelaza. To jednak podnoszenie się ciepłoty niema miejsca, gdyż para, pomimo że tak nadzwyczajną ilość ciepła zużyła, nie stała się przez to gorętszą od gotującej się wody. Gdzież więc jest to ciepło, i dlaczego nie pokazuje go ciepłomierz?

Na pierwsze pytanie łatwo odpowiedzieć, i jużemy nań odpowiedzieli. Ciepło ukrywa się w parze, jak to zaraz okażemy. Drugie pytanie sięga aż do samych granic nauki, dlatego o niem tutaj zamilczamy. Ciepło ukryte w parze, a przecież ciepłomierzem nie wskazane, nazywa się *cieplikiem ukrytym* albo *utajonym*. W tych słowach zamyka się tylko sama nazwa niedostrzeżonego ciepła, bliższego zaś wyjaśnienia tego zjawiska nateraz udzielić nie możemy.

Mówi się: ciepłik został użyty do przeprowadzenia wody ze stanu ciekłego w gazowy; ciepłik zaś utrzymujący wodę w tym stanie nie daje się na ciepłomierzu postrzegać. I tu znów mówimy o tej samej rzeczy w inny sposób, nie dając o niej bliższego wyobrażenia. Powiedzieliśmy że 550° ciepła ukrywa się w parze, choć go nie pokazuje ciepłomierz. Za dowód mogłoby już to posłużyć, że ogień $5\frac{1}{2}$ razy więcej jednostajnego ciepła dostarczył, od 100° potrzebnych do zagotowania wody. Lecz to zdołamy jaśniej wytłumaczyć.

Te 550° możemy napowrót z pary wydobyć. Jedną stopę sześcienną pary 100 stopniowej, wytworzoną z jednego cala sześciennego wody, za-

mknijmy w jakim naczyniu. Jeżeli teraz $5\frac{1}{2}$ cali sześciennych wody na 0° tam wpuścimy, to zamienią zamkniętą parę na wodę, czyli, wyrażając się technicznie, para się zagęści, a więc otrzymamy w naczyniu $6\frac{1}{2}$ cali sześciennych wody, t. j. $5\frac{1}{2}$ wpuszczonęj wody, a 1 cal sześcienny w kształcie pary w témże naczyniu będącej i zajmującej poprzednio przestrzeń 1 stopy sześciennęj. Owe $6\frac{1}{2}$ cali sześciennych wody mają obecnie ciepłotę 100° , t. j. tę, którą właśnie dopiéro co zagęszczona para posiadała. A zatem para, zamieniając się w wodę 100° , rzeczony $5\frac{1}{2}$ cali sześciennych dolanęj wody od 0° do 100° , czyli od punktu marznięcia do punktu wrzenia, ogrzała, a udzielając jej tego ciepła, przechodzi sama do stanu z którego przez przybywanie ciepła powstała.

Dowiedliśmy więc że ciepłik ukryty albo uwięziony w parze, a ciepłomierzem nie pokazany, jest dostatecznym do przeprowadzenia $5\frac{1}{2}$ razy większego ciężaru wody od punktu marznięcia do punktu zawrzenia.

Jest to ważny wypadek w ocenianiu kosztów wydobywania siły pary. Ilość otrzymanego ciepła z jakiegokolwiek materiału téjże samej własności, co do ilości jest w jednakowym stosunku. Potrzeba $6\frac{1}{2}$ razy tyle palić, ażeby wodę 0° w parę zamienić, ile aby ją tylko do punktu zawrzenia ogrzać. Jeżeli znów woda ma np. 25° ciepła, do punktu zawrzenia potrzeba tylko o 75° podnieść jej ciepłotę; aby ją zaś wyparować, należy 550° ciepła dostarczyć, czyli razem 625° , albo $8\frac{1}{3}$ razy tyle, ile potrzeba ażeby ją zagotować. W niniejszym dowodzeniu mojem, mówi Dr. Lardner ¹⁾, wziąłem za zasadę że woda pod zwyczajnym ciśnieniem 15 funtów na 1 cal kwadratowy parowaną była (jak np. w otwartym naczyniu, gdyż ciśnienie powietrza tyle wynosi). Możliwość się obecnie zapytać: co będzie miało miejsce pod wpływem innego ciśnienia i innej ciepłoty? Czyby np. parowanie nie mogło się skuteczniej z niejaką oszczędnością ciepła, a zatem i materiału opałowego? Byłoby to w samej rzeczy we względzie kosztowności siły pary bardzo ważną rzeczą. Ta jednak oszczędność nie ma tutaj miejsca, doświadczono bowiem że pod jakim ciśnieniem parowanie ma miejsce, takiegoż czasu i takiejże ilości ciepła potrzeba ażeby tém samym paliwem tę samą ilość wody w parę zamienić; tylko że więcej cza-

¹⁾ A rudimentary treatise on the steam engine, for the use of beginners. London, 1848.

su upłynie i więcej potrzebuje się ciepła, gdy woda pod ciśnieniem 30 funtów na cal kwadratowy dopiero przy 121° ogrzania parować zacznie. Tworzenie się więc pary postępuje tutaj prędzej, ponieważ para o tyle stopni ciepła mniej ukrywa. Tak nazwany ukryty albo utajony ciepłik pod większym ciśnieniem jest o tyle mniejszy, o ile ciepło do wrzenia potrzebne jest większe. To zatem szczególne zjawisko tak wyrazić można, że summa uwiecznionego i wolnego (t. j. ciepłomierzem wskazanego) ciepłika zawsze jest ta sama, t. j. około 650°.

Jeżeli przeto parujemy wodę pod ciśnieniem którego punkt wrzenia dopiero przy 150° ma miejsce, (to jest 67 funtów na 1 cal kwa.), to ukryty ciepłik pary wynosić będzie 500°; gdyby punkt wrzenia miał miejsce dopiero przy 200° (pod ciśnieniem 203° funtów na 1 cal kwadratowy), to ukryty ciepłik pary wynosiłby 450° i t. d.

Jest to nader osobliwe zjawisko; przyjęć jednak musimy za normę że użycie materiału opałowego zawsze jest jedno i to samo, pod jakimkolwiek ciśnieniem woda zamienia się w parę.

PÓŁNOCNO-WSCHODNIA AFRYKA

POD WZGLĘDEM PRZYRODY ¹⁾.

Nauka wiecznie jest nienasyconą. Z namiętą ciekawością stara się ona przeniknąć najgłębsze tajniki przyrody i poznać wszystko co tylko pod zmysły lub wyobrażenie podpada. Powołuje ona kapłanów, których zapala miłością prawdy, czyniąc ich przez to zdolnymi do największych poświęceń. Ludzie ci nie szczędzą niczego, nie ich nie wstrzymuje; z podziwienia godną stałością, narażając własne zdrowie i życie, starają się przewyciężyć tysiące przeszkód, aby tylko na ołtarzu nauki złożyć choć jedną ofiarę. Z takich to ofiar, z tych groszów wdowich przez wieki dobrowolnie składanych, stanął dzisiejszy gmach wiedzy ludzkiej, w której nauki przyrodzone niepoślednią grają rolę. Miały ony w rozmaitych czasach istnienia rodu ludzkiego licznych zwolenników, ludzi z geniuszem rozległym i płodnym, poświęcających swe życie na badanie i poznawanie tworów do państwa ich należących. W początkowym kształceniu się nauk przyrody można było jednemu człowiekowi objąć cały zakres odnoszących się do nich wiadomości, ale gdy te w kolei wieków coraz bardziej zaczynały się rozszerzać, liczba faktów tak niesłychanie wzrosła, że naturaliści zmuszeni byli rozdzielić się pracą i badać pewne tylko oddziały.

Jedni więc spojrzeli w górę i za pomocą teleskopu uważali tysiące gwiazd świecących nad naszymi głowami, odkrywając ich drogi stale wszechmocną zakreślone ręką; drudzy przeciwnie szybami kopalni wchodzili we wnętrze ziemi, badając jej skład i tworzenie się; inni dzwonami nurków zagłębiali się w otchłanie oceanu, ażeby poznać państwo Neptuna; inni nakoniec zapuszczali się w obce kraje, by zbadać powierzchnię naszej planety, ludźmi na niej żyjące, faunę, florę i letę rozmaitych okolic. Dawniej podróże takie odbywano nadzwyczajnie rzadko; naturaliści, żyjąc w obrębie swego kraju, uczyli się z dzieł tylko, a nie z żywej przyrody; ale też dawniej wyprawa w niedalekie nawet strony bardzo znaczne pociągała za sobą koszta i była niebezpieczną. Często wtedy napotkać było można bandy rozbójników, mające schronienie w obszernych lasach powierzchnią Europy pokrywających; możni więc tylko panowie, z całym poczem swych sług i domowników, mogli odbywać podróże, a że nauki, jak dzisiaj tak i poprzednio, zawsze mało między bogaczami znajdowały przyjaciół, z tego też powodu dokładne poznanie obcych części świata długo nastąpić nie mogło. Słabe tylko i często bajeczne wiadomości o tamtych stronach przywozili nam misjonarze, wysyłani przez duchowieństwo dla nauczania dzikich ludów pierwszych zasad religii, oraz handlu.

¹⁾ Przerobione podług dzieła „Reiseskizzen aus Nord-Ost-Afrika” przez Dra Brehm’a. Jena, 1855.

jący, którzy dla własnych materialnych korzyści z temi odległemi krainami zawiązywali stosunki. Od czasu przecież jak środki komunikacyjne znacznie ułatwionemi zostały, jak dobroczynne światło cywilizacyi rozlało swe ożywcze promienie na mieszkańców południowej i wschodniej półkuli świata, i ci lepiej zaczęli pojmować prawa gościnności, liczni podróżnicy rozbiegli się w rozmaite strony naszej stariej ziemi.

Starano się przejrzeć każdy niemal zakątek, poznać co było nieznanem, wyjaśnić co zostawało w ciemności. Massa odkryć zabłysła na horyzoncie nauk przyrodzonych, odkryć nadzwyczajnie ważnych, rzucających zupełnie nowe światło i zmieniających porządek dotychczasowych wiadomości. Wszystko to stało się powodem że podróżom przyznano ogólnie niezmierną wagę, a ich sumiennym opisom wartość źródłową. Ony to stały się dzisiaj konieczną potrzebą i jedyną namiętnością szczególnie młodych naturalistów, a liczne niebezpieczeństwa i nieprzewidywane prawie przeszkody na jakie ich wystawiają, zamiast ostudzać zapał, powiększają go tylko. Tym sposobem poznaliśmy życie i obyczaje naszych braci czerwonych, zaludniających niegdyś Amerykę przed jej odkryciem, a dziś prawie wyginionych i szukających schronienia w rozległych dziewiczych lasach; poznaliśmy rozmaite pokolenia murzynów i ziemie przez nich zamieszkane. We wnętrze tylko Afryki do dziś dnia wkroczyć nie zdołano; trudności bowiem są rzeczywiście nieprzełamane. Rozległe piaszczyste pustynie środek tej części świata okrążające, gdzie kropla wody nie odświeży spragnionych ust strudzonego wędrowca, nieznośny upał równikowego nieba dochodzący do 40 stopni, zawsze tamować będą wszelkie w tej mierze pokuszenia. Pomimo to jednakże poznanie środka Afryki stało się dziś zadaniem coraz więcej nabięrajacem wagi w świecie uczonym. Otaczające pustynie każą się domyślać że cząstka ta ziemi nie dla ludzi jest przeznaczoną; lecz właśnie przez to nastęrcza się pytanie, jakie stworzenia wyższe mogą w tym bezustannym upale?

Jakkolwiek ciekawą bez zaprzeczenia pod względem naukowym jest Afryka środkowa, jednakże daleko więcej przyjemności dozna wędrowiec w jej części północno-wschodniej, gdzie błogosławiony Nil toczy swe fale. Źródła jego mało są znane, a oba brzegi naprzemian to górzyste, to płaskie, pokryte gęstemi lasami, lub zbożem zasia-

ne, daleko piękniejsze przedstawiają widoki, aniżeli rozległe płaszczyny. Przymiennie przytęłkiem ciekawych stworzeń, które nieczęsto gdzieindziej napotkać można. Tę to więc część zwidzać będziemy, przechodząc kraje przez które najslawniejsza z rzek afrykańskich przepływa.

I.

Okolice górnego Nilu.

Dwoma potężnymi ramionami Nil toczy do morza swe fale, które w przebiegu stumilowej przestrzeni trwożyły i cieszyły naprzemian mieszkańców pobrażę strasznymi wylewami, niszczącemi ich mienie, lecz zarazem użyzniającemi pola. Urodzajny Egipt, ze swemi ruinami świątyni, pociąga nas mimowolnie ku sobie. Przychodzą nam na pamięć nauki któremi słynął przed laty, wystawiamy go sobie w całym blasku i potędze minionej chwili. Lecz olbrzymi krokodyl, wynurzający z pośrodku wód swą paszczę, sprowadza nas do rzeczywistości, do terażniejszości. Opuszczamy morskie brzegi, aby się udać w strony nad rzeką położone, przechodzimy koło wiosek z ich pozlepianymi chatami i zbliżamy się do gór wapiennych, zawierających mnóstwo skamieniałości, o których już nawet Herodot wspomina. Gdzieniedzie napotykamy skrzydlatych krajowych mieszkańców; tylko sławnego Ibis, tego błogosławionego posłańca Bóstwa, nigdzie znaleźć nie możemy.

Pospieszmy dalej na południe: Nubia przed nami. Jesteśmy w Battn-el-Hadzar, najbardziej pustej prowincyi całego kraju, w jednej z najsmutniejszych okolic świata. Wysokie, pionowo sterczące skały wznoszą swe nagie szczyty z pośrodku wód strumienia, przeszkadzając ich swobodnemu biegowi. Wężkie przesmyki pomiędzy niemi wiecznie zmuszać będą potok do przelęwania się powolnego. Dlatego też w czasie najwyższego stanu wody nilowej powierzchnia jej w tym miejscu wznosi się o 42 stóp nad poziom najniższy w kwietniu przypadający. Naprózno podczas burzy balwany z szumem i rykiem uderzają w twarde skał łono, starając się zawady te z drogi swojej usunąć: ony przecież stoją, i długo jeszcze takiej natarczywości opierać się będą. Skaliste masy cały kraj wyniosły i popiętrzyły, czyniąc go niezdatnym do uprawy i mało urodzajnym; lecz strumień w ciągłej znajduje się z niemi walce

Gdziekolwiek bowiem napotka kawałek płaskiego miejsca, zaraz osadza swój nieoceniony szlam, i pokrywając nagą powierzchnią najprzód urodzajną ziemią, a następnie roślinnością, nasion sam dostarcza. Dlatego też nierzadko zdarzy się napotkać w pośrodku rzeki wysepki, pokryte bujną zielonością. Są to miejsca najmilsze z całej okolicy, na nich bowiem jasno-zielone wierzby głęboko pozapuszczały swe korzenie w szczeliny skał; gałęzie ich, gęstym liściem porosłe, stanowią schronienie dla tysiąca rozmaitych owadów, a tém samym są miejscem stałego pobytu zawsze wesółych piewców, jedynych prawie mieszkańców szczęśliwych wyseppek. Tutaj to egipska gęś składa swe jaja i wysiaduje je bezpiecznie, wiedząc że nikt nie będzie napastował przyszłego jej potomstwa; tutaj zmęczony pelikan odpoczywa po łowach, i niezgrabnym dziobem poprawia swe piękne, jasno-różowe pióra; tutaj rodzą się wiecznie ruszające ogonem pliszki. Lecz błogi ten stan spokoju i szczęścia trwa dotąd tylko, dopóki nie nadejdzie pora deszczowa; wtedy bowiem okoliczności się zmieniają. Wyspy, pełne dotąd życia, stają się naraz pustymi, ponieważ wszystkie stworzenia na nich będące, przewidując ogólne zniszczenie, wcześniej szukają w ucieczce ocalenia. Wody powoli wznoszą się nad zwykły poziom i w szalonym swym pędzie unoszą wszystko, tak iż stare tylko i głęboko zakorzenione drzewa opierają się niekiedy ich niszczącemu wpływowi. Ale zato gdy Nil opadnie, nowa powstaje wegetacya, nowe i silniejsze jak przedtém rozwija się życie.

Lecz jeżeli żyzne są wyspy na rzece położone, to cała skalista gleba kraju zaledwo jest w stanie małe gatunki ptaków wyżywić; a przecież i tu są ludzie którzy ją ojczyzną zowią. Ludzie ci w miłowych odstępach budują sobie małe chaty, i byt swój wyłącznie zasadzają, można powiedzieć, na łasce strumienia. Z narażeniem życia dopływają do cichych wybrzeży, z gór prawie niedostępnych, i tam na szlamie niepokrytym wodą posiéwają trochę ziarna. Cała więc powierzchnia ich pola zdającego do uprawy zależy jedynie od poziomu wody, i jeżeli ten jest niski, to rośliny w górze będące dojrzały już owoc wydają, kiedy na dolnych zaczynają dopiero listki porastać. Ten niepewny plon lichego zasiewu stanowi całe bogactwo mieszkańców, którzy zresztą nic nie posiadają i są tak biedni że nawet rząd egipski uwolnił ich od wszelkiego podatku. Miejsca nie noszące na sobie

ogólnego piętna całej okolicy są prawdziwymi oazami na pustyni, nagięj do tego stopnia, że drzewo palmowe, krzew, albo chata napotykanie tu bywają z okrzykami największej radości. W kraju tak rzeczywiście biédnym długo zostawać nie możemy; wstąpiliśmy doń w celu przyjrzenia się dwóm pierwszym kataraktom nilowym, w chęci usłyszenia silnego ich odgłosu. Nie zatrzymując się więc dłużej, pospieszmy dalej ku źródłom rzeki.

Okolica zaczyna się poprawiać, pustynia ginie i daleko żywszy kraj przedstawia się oczom naszym. Palmy tworzą już na milę długie lasy po obu stronach strumienia, którego brzegi przedstawiają urodzajne pola; pierwsze zwrotnikowe ptaki zaczynają się już pokazywać. Na pięknych kwiatach trojeści (*Asclepias procera*) wiszą drogiemi kamieniami błyszczące kolibry, zapuszczając w kielichy swoje długie języczki, ażeby się nasycić ich wilgocią lub drobniutkie owady z nich wydostać; rzadkie jaskółki (*Hirundo filicaudata*) ze swoim długim widelkowatym ogonem migają światelkiem, skoro podczas lotu promienie słońca padną na ich połyskowną odzież; na najniższych drzewach gruchają żywe papugo-gołębie (*Oena capensis*), a na słomianych chatkach mieszkańców Dar el Mahhas śpiewa śliczny małeńki łuszczałak (*Fringilla mitens et F. minima*). Lecz im dalej na południe, tém fauna i flora coraz bogatszymi się stają. Od Dar el Dangola zaczynają się granice zwrotnikowych okolic; obraz pustyni ginie, a natomiast występują skały. Raz tylko przedstawia jeszcze potężny strumień tak nazwaną trzecią kataraktę, puste i nagie skały, jakich obraz widzieliśmy już w Battn el Hadzar. Lecz odtąd z każdym stopniem szerokości powierzchnia staje się bardziej równą, i można powiedzieć że teraz dopiero weszliśmy we właściwe zwrotnikowe okolice. Atbara, jedyna rzeka zasilająca Nil, toczy do niego swe wody; oba brzegi pokryte są lasami, w których chętnie przebywają małpy, szczególniej szaro-zielone koczodany i całe stada perlic. O parę stopni szerokości na południe zléwają swe fale dwa strumienie, Bar el Azrek i Bar el Abiad, z których połączenia powstaje Nil: droga więc nasza rozdziela się w tém miejscu na dwie gałęzie i wypada nam postanowić którądy mamy dalej postępować. Z samego początku podróży powiedzieliśmy sobie że Nil będzie nas prowadził, pytanie więc zachodzi, który mianowicie z obu strumieni za główny uważać należy. Jeżeli jednakowe znaczenie wyrazów

„Nil” i „Azrek” (oba bowiem znaczą *niebieski*) zdoła nas uwieść, wtedy strumień wytryskujący z gór Abissynii będzie źródłowym; lecz nowe badania uczą nas przeciwnie że Bar el Abiad jest właściwą rzeką, jój więc brzegami pójdziemy.

O parę mil na południe od Chartum, teraźniejszej stolicy wschodniego Sudanu, leżącej przy spływie obu strumieni, Bar el Abiad posiada szerokość przechodzącą 3,000 kroków. Brzegi po obu stronach ma płaskie, i dlatego podczas pory deszczowej szeroko rozléwa zmaczone swe wody, pokrywając ogromny obszar przyległych pól. Wtedy to bardziej podobny jest do jeziora aniżeli do strumienia. Ale zato gdy wody opadną, ujrzy podróżnik oba brzegi pokryte urodzajnym szlamem. a na nim w nieprzerwanym ciągu ogromne mnóstwo ptaków. Tysiące gęsi egipskich (*Chenalopex aegyptiacus*), czapli (*Ardea cinerea*, *alba*, *garcetta*, *Lindermayeri*, *Sturmii*, etc.), bocianów (*Ciconia alba*), żórawi (*Grus cinerea et virgo*), różnych ibisów (*Ibis religiosa*, *Hagedasch*, *falcinella*, *comata*), oraz wiele innych ptaków krąży nad wodą i brzegami, szukając pożywienia. Życie to, praca, krzyki i wrzawa, jakich nikt wyobrazić sobie nie zdoła. Zdumiony wędrowiec niema słów dla oddania tego co widzi. Jak tylko oko jego sięga, wszędzie rozciągają się lasy, z których do tego chaosu rozlicznych tonów przybiewają jeszcze pomieszane wrzaski małp i papug. Na płaskich szlamem pokrytych brzegach, lub małych wysepkach w środku strumienia, rozciąga krokodyl pancierzem okryte ciało, a od czasu do czasu wynurza z wody niezgrabną swą głowę koń milowy (*Hippopotam*) dla odetchnięcia powietrzem. Zresztą taka masa stworzeń napelnia te strony, że każdy dzień przedstawia nam coś dotąd niewidzianego, każdy sprowadza przed oczy nowe rośliny lub nowe zwierzęta. Życie tutejszych mieszkańców nosi także właściwy i można powiedzieć wyłączny charakter; wioski ukryte w lasach i po największej części mało widoczne, posiadają niezliczone trzody wielbłądów, bydła i owiec.

Nie zdaje się ażeby Nil Biały (tak bowiem zowie się strumień którego brzegiem postępujemy) ku południowi, jak niektórzy utrzymują, coraz płytszym się stawał. Przy Eleis, ostatniej prowincyi należącej do turecko-egipskich posiadłości, przybióra on nadzwyczajną szerokość, tak iż żeglarz środkiem płynący brzegów dojrzećby nie mógł, gdyby ich nie odgraniczały drzewa, nieprzerwa-

nym po obu stronach ciągnące się łańcuchem. Lasy te, złożone z drzew gęsto przy sobie rosnących, są miejscami wypoczynku pelikanów, czapli, ibisów, grzeczań (*Mycteria ephippiorhyncha*) i morskich orłów (*Haliaëtos vocifer*) oraz schronieniem hord Szilluk i Dinka Negrów.

Tu, na granicy krajów należących do egipskiego berła, zaczynają się puste lecz wspaniałe okolice Białej rzeki, która przedzierając się pomiędzy licznymi wyspami, powoli toczy spienione swe fale na północ. Brzegi i wyspy pokryte są odwiecznymi lasami, zawierającymi drzewa nadzwyczajnej wielkości; strumień, rozdzielony na mnóstwo drobnych i płytkich kanałów, zarasta w wielu miejscach wodnymi roślinami. Cisza panuje zupełna i tylko kiedy niekiedy przerywa ją pluskanie się w rzece nilowego konia albo krzyk jakiego ptaka wodnego.

Lecz obraz wkrótce się zmienia. Wyspy, zamiast starodrzewem, pokryte są tylko wiotką, bujnie na szlamie rosnącą trzcina. Brzegi płaskie, również trzcina tylko zarośnięte, nie zasłaniają już widoku, i w znacznej dopięro odległości podwójny rząd drzew odgranicza rzekę od stałego lądu. W wielu miejscach widzieć się dają ludne wioski pokolenia murzyńskiego Szilluk, które liczy do trzech milionów ludzi, zamieszkujących 7,000 wiosek i trudniących się wyłącznie uprawą roli oraz pasterstwem. Nigdzie też nie można napotkać świetniejszych i bujniejszych płodów rolnych jak tutaj, chociaż ziemia pod względem urodzajności ustępuje wielu okolicom nad brzegami strumienia położonym. Piękne i liczne trzody stanowią majątek tego spokojnego ludu, który jednakże przez nieprzyjaciół napadnięty natychmiast kij pasterski na lancę zamienia i odważnie stawia się do walki.

Prawie pod 10 stopniem szer. pół. wpada do rzeki Białej Sobat, najbardziej ku północy położony strumień zasilający jój wody. Tu oba brzegi porośnięte są wysoką trawą, w której przebywają całe stada słoni, żyraf i bawołów. Trawa ta pokrywa powierzchnię prawie trzech stopni szerokości geograficznej, i na pozór, szczególnież daleka, wydaje się miękka, lecz rzeczywiście jest grubą, najeżoną cienkimi, twardymi i ostremi kolcami.

Nasiona różnych ciekawych roślin, nieznanych prawie zupełnie botanikom, są w czasach niedostatku codziennym pokarmem okolicznych mieszkańców. Te lasy trawiaste zawierają nieznaną



świat zwierzęcy; rozliczne owady muchowate roją się tu w bajecznej obfitości, a o wielu z nich naturaliści wcale nie wspominają. Tutaj strumień podczas pory deszczowej tworzy już nie jezioro, ale morze, zaléwa bowiem rozległe naokoło płaszczyzny; w czasie zaś najniższego stanu wody przedstawia jakby archipelag tysiąca wysepek. Nieprzeliczone mnóstwo kanalików, któremi woda zaledwie widocznie przepływa, otacza te wyspy, tak iż żeglarz środkiem płynący bardzo często nie wie ku któremu ma swój statek skierować. Tutaj żyje pokolenie murzyńskie Nuer, którego rzadkie mieszkania stoją pojedynczo i daleko od siebie. W kraju do tego pokolenia należącym wpada do Białego Nilu Bar el Rasal, strumień trudny do zauważania, pomimo że wody jego są dość obfite.

Kraj Nuerów graniczy dalej z zamieszkanym przez pokolenie Kik, które zdaje się żyje głównie rybami, poławianymi tu w znacznej obfitości. Jedy-ném téż prawie zatrudnieniem tego narodu, mieszkającego w małych i nędznych chatach, jest rybołówstwo. Dotyka on na południe ziem należących do murzynów Heliab i Bor, z których pierwsi zamieszkują prawy, a drudzy lewy brzeg rzeki. Pod 6 stopniem północnej szerokości rozdziela się strumień na dwa główne ramiona, obejmujące mnóstwo wysp zamieszkanym przez rozmaite pokolenia. Mieszany las występuje znowu na obu brzegach, bujniejszy i bogatszy jak gdzieindziej, zielone palmy wznoszą swoje korony nad inne wspaniałe zwrotnikowe drzewa, a świat zwierzęcy zamieszkujący te lasy liściaste, trawiaste i trzcinowe jest tak różny i obfity, jak nigdzie dotąd. Zdaje się że natura, będąc tak hojną dla zwierząt, nie zapomniała i o człowieku, mieszkające tu bowiem pokolenie Zir tak pod względem fizycznym jakotéż i moralnym stoi daleko wyżej aniżeli inne ludy murzyńskie. Zajmuje się ono, podobnie jak inne, uprawą roli i chowem bydła, lecz doprowadziło te zatrudnienia do znakomitszego stopnia rozwoju.

W stronie południowo-zachodniej znajduje się dość wysoka góra, z której pochodzi wyborne żelazo, używane na broń przez wszystkie narody murzyńskie; leży ona w ziemiach pokolenia Bari, najszlachetniejszego z ludów nad tym strumieniem żyjących.

W miejscu poza wyspami położoném, gdzie oba ramiona razem jeszcze toczą swe fale, strumień przybiera znów milową szerokość, lecz zarazem

staje się tak płytkim, że lekka nawet łódź dnem swoim szlamu dotyka i tylko usilną pracą dalej przesuwana być może. Krokodyle i wodne ptaki występują znów w znacznej obfitości. Postępując dalej, zobaczymy że to prawie zupełnie płaskie koryto powoli rozszerza się jeszcze, ale wody zmuszone są z szumem przedziierać się przez wązkie ujścia, skały bowiem całe dno strumienia wyścielają i tworzą prawdziwą kataraktę, poza którą wody w kilka kanałów zebrane giną w górzystych okolicach.

Z tych to zbyt niedokładnie jeszcze poznanych okolic najciekawszej na świecie rzeki przywieziono do Anglii w roku 1849 szczególnego ptaka, którego Gould uważa za typ nowego rodzaju i stawia w ogólnym szeregu pomiędzy Rakojadem (Cancroma) i Kłusakiem (Dromas). Nowy ten rodzaj, nazwany *Balaeniceps*, cechy ma następujące: dziób dwa razy tak długi, nieco szerszy i prawie tak wysoki jak głowa; górna jego warga na wierzchołku prosta, po bokach sklepista, a w końcu mocno zwężona i hakowato na dół zagięta, dolna zaś przy nasadzie nieco zwężona, następnie rozszerza się i łukowato kończy. Język gruby, mięsisty, przy końcu twardy i rogowaty. Długie, wązkie, w bruzdach leżące nozdrza w części błoną zakryte. Szyja krótka i gruba, nogi długie i mocne; palce zakończone wydatnymi pazurami; skrzydła silne, sięgające do końca ogona, z dwunastu równych piór złożonego.

Jedyny gatunek, zwany przez naturalistów *Balaeniceps rex*, a u Arabów Abu-Markub, ma upierzenie na całym ciele popielato-szare, na grzbiecie tylko, szczycie głowy i piersiach ciemniejsze; na reszcie ciała każde piórko jest jaśniej obwiedzione; pod oczami znajduje się mała trójkątna łatka, bardzo krótkimi szarobiałymi piórkami pokryta. Na wierzchu głowy czubek z najciemniejszych piór złożony. Dziób u samców jest żółtawy, u samic różowawy. Tęcza w oku jasno-żółta niekiedy biała. Nogi pokryte łuską drobną i niewydłużoną, jak u większej części brodzących.

Wielkość całego ciała wynosi przeszło 4 stopy, długość ogona 10 cali, skrzydeł 2 stopy i 4 cale, dziobu 8½ cali, średniego palca bez pazura 5 cali 9 linii, a tylnego, również bez pazura, 3 cale. Wymiarami temi samice nie zdają się różnić od samców.

Baron Heuglin, któremu powyższy opis zawdzię-

czamy, podaje jeszcze o tym ciekawym ptaku następujące szczegóły:

„Gdy pierwsze egzemplarze naszego ptaka do Europy przybyły, dużo upłynęło czasu zanim doczekano się ich więcej. Dopiero w zimie 1853 r. jeden z moich znajomych, któremu do towarzysztwa dodałem strzelca znającego okolice, podróżując nad Białym Nilem, znalazł go znowu w kraju Kik, pomiędzy 7 i 8 stopniem szerokości północnej.

„Żyje on pojedynczo w niezamieszkałych miejscach, pomiędzy wysokimi trawiastymi lasami. Nad Białą rzeką napotyka się go prawie wyłącznie tylko w kraju murzynów Kik; obfitym jest w zachodniej stronie, nad strumieniami peryodycznie podczas pory deszczowej toczącemi swe wody, a szczególnie nad Niborem, płynącym równolegle od Białej rzeki.

„Jest on trwożliwy i w razie najmniejszego niebezpieczeństwa kryje się w swych lasach trawiastych; z postaci najbardziej zbliża się do Marabu, lot ma krótki i niski. Żywi się rybami, które łowi swoim szerokim dziobem, często po piersi stojąc w wodzie. Raniony siada i rozpaczliwie silnym dziobem broni się napastnikowi. W czerwcu buduje sobie gniazdo na dwie stopy wysokie, przez proste nagromadzenie na ziemię trawy, trzciny i różnych roślin.

„Dotychczas nie słyszano jego głosu, tylko od czasu do czasu krótko trwające klapanie, pochodzące jak się zdaje od szybkiego otwierania i zamknięcia dziobu.”

Rycina obok dołączona przedstawia wierny obraz tego ciekawego ptaka.

(Dokończenie w następnym zeszycie).

NAJWYŻSZA GÓRA NA ZIEMI.

Na jednym z ostatnich posiedzeń towarzystwa geograficznego w Bengalu, pan Thuillier doniósł zgromadzonym że pułkownik Waugh ukończył pomiar wysokości szczytów łańcucha Himalaja. Wypadkiem tej pracy jest pewnik że góra Kunchinjinga nie jest, jak dotychczas mniemano, najwyższym punktem naszego globu. Godność ta należy się górze położonej o 100 mil (franc.) dalej na zachód, między Kunchinjingą i Katmandu. Spostrzeżenia pułkownika Waugh dowiodły niezbitnie że wierz-

chołek tej góry podniesiony jest nad powierzchnię morza 29,002 stóp, gdy tymczasem wysokość Kunchinjinga wynosi tylko stóp 28,156, a Dawalagiri (przez wielu dotąd uważanej na najwysiolejszą) 26,826. Dla ust europejskich niepodobniństwem jest wymówić miejscowe miano nowozmierzonych góry; pan Waugh przeto nazwał ją *Mont Everest*, na cześć jednego z dawniejszych badaczy łańcucha Himalaja. Obecnie oczekiwane są w Europie bliższe o tej górze wiadomości.

ZWALISKA PALMIRY.

Pomiędzy Eufratem i wzgórzami Palestyny rozciąga się pustynia na parę set mil rozległa. Dosię-

ga ona na północ okolic miasta Alepu, na południe zaś granic Arabii. Pałacy piasek pokrywa ją

od wieków, a sztuka budownicza, która niegdyś miała tam obszerne miejsce popisu, przez pozostałe szczątki gruzów i kamieni przemawia o dawnym swém istnieniu. Zwiérzeta drapieżne, kilka rodzajów kóz dzikich i koczujące, chciwe łupu pokolenia Arabów, są jedynymi istotami organicznymi zamieszkującymi tameczne okolice.

W pośrodku téj pustyni, syryjską zwaną, o pięć dni drogi od Damaszku, napotykamy w smutnym i cichym ustroniu wspaniałe zwaliska Palmiry. Starożytność nie pozostawiła nam nic nad te ruiny godniejszego podziwu.

Wyobraźmy sobie przestrzeń pięć-milowego okręgu, pokrytą więcej jak trzema tysiącami słupów i kolumn ze śnieżno-białego marmuru, podzielonych na różnokształtne grupy, w wielu miejscach symetrycznie rzędem ułożonych i tworzących jakoby długie aleje, ginące w niezmiernych okiem obszarach pustyni. U wielu z tych słupów brak górnej części, większa ich jednak liczba doszła nieuszkodzona do naszych czasów, tworząc wysokie portyki i wspaniałe krużganki. Pomiedzy temi kolumnami-leżą kupy gruzów, przysypane piaskiem i złożone ze szczątków gzymsów, kapiteli, postumentów, płaskorzeźb i ozdób rozmaitego rodzaju, wyrobionych z kosztownego marmuru. Nagrobki najrozmaitszej postaci otaczają w dużym półkolu wyższe, właściwe zwaliska miasta.

Napróżnobyśmy szukali w historii nieprzerwanego szeregu wypadków tego siedliska olbrzymich bogactw sztuki i wiedzy, punktu zbiornego dla handlu całej półkuli ziemi. Thadmor zowie je biblia, miasto palm, zbudowane na pustyni przez Salomona, „*Salomo aedificavit Palmiram in deserto*”, mówi pismo święte. Po dziś dzień zowią je okoliczni Arabowie Tamar albo Thadmor, co Grecy i Rzymianie na Palmirę przekształcili. Salomon żył mniej więcej na lat tysiąc przed Chrystusem, przed dwudziestą więc i ośmią wiekami została Palmira zbudowana. W pół tysiąca lat po założeniu zniszczył ją i zburzył Nabuchodonozor. Ślady ówczesnego budownictwa w egipskim stylu napotykamy jeszcze wśród zwalisk Palmiry.

Po zburzeniu przez Assyryjczyków, miasto zostało odbudowane i zaludnione, prawdopodobnie przez osadników tyryjskich, którzy pojęli ważność położenia, jako punktu środkowego dla handlu z Indjami i krajami nad brzegiem Eufra-

tu położonemi. Przez przeciąg 450 lat historia zostawia w cieniu zupełnym dzieje Palmiry. Dopiero za czasów Rzymian, na sto lat przed Chrystusem, odczytujemy nazwisko Thadmor. Dowiadujemy się że Marek Aureliusz, wódz rzymski, zajął je i zrabował, za karę że użyczyło pomocy Partom, którzy wtedy wiedli wojnę z potężną rzesząpospolitą. Z powodu niezmiernych bogactw tego miasta, mówi jeden ze współczesnych pisarzy, żołnierz rzymski, chciwy łupu, szedł na oblężenie jak na jaką uroczystość, lecz oczekiwania jego zostały zawiedzione, gdyż przezorni mieszkańcy pouciekali ze swemi skarbami przez pustynię za Eufrat, a wchodzące wojsko zastało miasto pustym i ogołocionym.

Po téj drugiej katastrofie ciche milczenie pokrywa dzieje Palmiry, aż do trzechsetnego roku naszej ery. Wtedy ukazuje się nam znowu w pełni blasku i chwały, wraz ze swą bohaterską królową Zenobią, znakomite w dziejach za panowania Galliena i Aureliana zajmując miejsce. Tak wysokie było mniemanie w tém mieście o własnej sile, że gdy Rzym od niego hołdu poddaństwa zażądał, odmówiło mu i rozpoczęło walkę z olbrzymem świata na życie lub śmierć. W téj bohaterskiej walce, bogatszej od kartagińskiej w wielkie czyny, upadła Palmira po długich zapasach. Aurelian zdobył ją szturmem, wytepił jej obrońców, oddał miasto swym legiom na rabunek, a następnie spalił je i zrównał z ziemią. Wziętą do niewoli Zenobią przywiózł w tryumfie do Rzymu.

Palmira nie powstała już po tym upadku. Wprawdzie żałował cesarz wandalskiego zniszczenia najwspanialszego z miast w świecie i wydał edykt polecający jego odbudowanie i zaludnienie. Lecz łatwiejsza zagłada niż odbudowanie. Na miejscu dawnych wytepiionych mieszkańców, których miłość do pracy i uprawiania sztuk, przemysł i handel, a ztąd bogactwo, wysoko postawiły Thadmor, przyszła nowa czereda, złożona z rozmaitych narodów, szczególnie z wielu porozpędzanych Hebrajczyków, która zamiast odbudowania, jęła się sprzedaży innym miastom ozdób i kosztowności wynajdywanych pośród gruzów, uzupełniając tym sposobem rok rocznie dzieło zniszczenia. Do prędszego a zupełnego opustoszenia przyczynił się upadek rzymskiego panowania w tych stronach, który w owym czasie nastąpił.

Syria w téj epoce była widownią niszczących wojen, skutkiem których Palmira została w zupełności opuszczoną przez nowych swych mieszkańców. Piasek pustyni zasypał jęj bezludną przestrzeń, i... wszystko przebrzmiało. Przez tysiąc lat prawie zapomniano i o istnieniu starożytnego Thadmor; dopiero w 13tym wieku zjawia się jakiś podróżnik żydowski, wspominający o Palmirze. Powiada on że na miejscu starożytnego miasta znalazł kolonię swoich współwyznawców, którzy tam od lat wielu spokojne i biędne prowadzili życie. W sto pięćdziesiąt lat później wspomina ją na nowo geograf Albufedo, jako „Thadmor, miasto Salomona, białą różę pustyni, z liści ogłoconą.” Podczas tego bajeczne opowiadania o wspaniałości w pustyni ukrytych ruin krążyły w Europie, zaostarczając ciekawość do najwyższego stopnia. Roku Pańskiego 1678 przedsięwzięło kilku Anglików, mieszkańców Alepu, podróż wyłącznie dla odszukania zaginionych zwalisk Palmiry. Szczęśliwie osiągnęli cel swęj wędrówki i przez nich pierwsze wiarogodne wiadomości o tém ciekawém miejscu powzięto. Synowie Albionu znaleźli zwaliska prawie w tym samym stanie, w jakim do dnia dzisiejszego dotrwały, z wyjątkiem wielkiej świątyni słońca, którą basza Bagdadu zamienił na cytadellę i kilkaset Turkami obsadził, w celu powściągnięcia niepodległych plemion Beduinów, którzy często z tamtéj strony Eufratu robili wycieczki dla łupieztwa i rabunku. Lecz projekt utrzymywania w Thadmor stałej załogi niedługo widać przetrwał. Już najnowsi podróżnicy znaleźli fortyfikacye zniszczone i zburzone, i odtąd Palmira stała się pomieszkaniem dzikich zwierząt i koczowiskiem Beduinów.

Poszczególne przedstawienie zwalisk wymagałoby obszérnego opisu, mogącego stanowić przedmiot tomu całego i przechodzącego zakres tego artykułu. Lecz gdy wyobrazimy sobie że te skupione gruzy marmuru niegdyś stanowiły wspaniałe pałace, ten pyszny portyk, doszły do naszych

czasów z długim na 4,000 stóp rzędem kolumn, był wnijściem do olbrzymiej świątyni słońca; że te poobalane wspaniałe słupy były ozdobą placów publicznych, na których naród wolny, potężny i bogaty nad swoim bytem się naradzał, a mówcy zagrzewali do heroiczych czynów; gdy wspomniemy na te galerye w ziemię zapadłe, gdzie kupcy Wschodu zgromadzali się, by zamieniać purpur tyryjski, szale kaszemirskie, dywany lidyjskie, perły i korzenie arabskie, złoto z Ofir, na towary Zachodu, cynę Brytanii, bursztyn Bałtyku, stroje kartagińskie i zbroje rzymskie; jeżeli te zburzone ulice, po których dziś hyena się przechodzi, wyjąć ponuro, wystawimy sobie ożywione i zamieszkane przez liczny lud, którego twórcza czynność i siła wynalazków pozbięrała bogactwa i plody wszystkich stref ziemi, zamieniając straszliwą, nieurodzajną pustynię w kwitnące ogrody i zielone trawniki; gdy spojrzemy na zawalone dziś znakomitęj roboty studnie, podziemne kanały i liczne wodociągi, któremi ożywcza woda źródłana z dalekich wzgórz do Palmiry prowadzoną była; jeżeli zarazem wspomniemy że to nie żadne przedsiębiorstwo publiczne, lecz praca pojedynczych obywateli miasta, ożywionych jednym duchem, te cuda działała, wtedy spoglądając na liche te szczątki podziw i smutek napelnia serce. Czyż tak i wszystkie najwspanialsze dzieła człowieka upadać mają, a wraz z niemi i ludy co je tworzyły? Widziemy ciągle zgliszczach, zwaliska na zwaliskach, wiekuiste początki i końce. Lecz widziemy w tém także ciągłą myśl Bożą, która daje upaść materyi, ale duch ludzki obdarza życiem nieśmiertelném, dla doskonalenia się ciągłego. I twory człowiecze upadają, dając za natchnieniem Bożém początek innym, lepszym, doskonalszym, które znów z czasem upadną, gdyż jedno tylko wielkie prawo Najwyższego, prawo miłości i sprawiedliwości, wedle nieomylnęj przepowiedni naszego Boskiego Zbawcy i nauczyciela, wytrwa aż po skończenie świata.



P. Waster, sc

STRZELEC ALPEJSKI

STRZELEC ALPEJSKI.

PRZEZ

Dr. T. Tripplina.

U stóp dumnej piramidy Wacmanu błyszczy rozległe jezioro, w którym się przegląda niezmierny olbrzym śnieżny, przypatrując się sam sobie i podziwiając swą tytańską piękność. Rzeka Szenau otacza jego podnóże srebrną wstęgą i smaragdowym błoniem, a potem wije się aż do Berchtesgaden, okazałego zamku i klasztoru księcia opata, który piastuje w tej krainie najwyższą władzę duchowną.

W końcu ubiegłego stulecia, gdy jeszcze książe opat był razem świeckim i duchownym panem całej tej krainy, leśniczy Wessel mieszkał w zamczysku strzeleckim Bartola, którego stare granitowe mury kąpią się w głębokich otchłaniach jeziora Untersee.

Jednego wieczoru, we wrześniu, fale jeziora, wstrząśnięte silnym wiatrem północy, piętrząc się i tumaniąc, uderzały o mury zamczyska, a rozkiełznane wichry, świszcząc i wyjąc, dęły w jaskinie i lasy, któremi okolony jest ten pyszny wodozbiór. Ale w samym wnętrzu zamczyska wszystko było spokojne: czarnooka Rosi robiła pończochę, leśniczyna przędła, a leśniczy, paląc fajkę, wyziérał z okna na jezioro, na którym w tej chwili hulały żywioły.

Rodzice jednak widocznie przykre tłumili w sobie myśli, bo syn ich jedyny w tej chwili był w górach, które na przemiany pokrywały się tumaniami śniegu, to znów, owiane tchnieniem straszliwego wichru, odsłaniały swe czarne i skaliste boki.

Nikt nic nie mówił, tylko długie wahadło ściennego zegara odmierzało ciężkie chwile zmartwienia strapionym rodzicom.

Wtém z kąta izby ozwał się jakiś głos cichy i chrapliwy:

— Chu! chu! jak to zimno w tych lodach i śniegach!

I wyjrzała z poza pieca głowa blada, znędzniała, z włosiem białym, dziko najeżonym. Rosi wstała, i przybliżając się do tego upiorowego zjawiska, rzekła ze słodyczą:

— Uspokójcie się, wuju Andrzeju, napalę wam w piecu i ugotuję polówkę z piwa.

— Dobrze dziecko, odmruknął stary, tylko niech będzie gorąca i niech jej będzie dużo, bo Seppo będzie jadł z nami.

— A czy przychodzi, Andrzeju? czy go słyszycie? zapytała skwapliwie matka.

— Przychodzi, już się zbliża, rzekł stary Andrzej, i znów nieruchomie przykucnął w swym kąciku.

Coś w kwadrans potem ozwało się głośnie szczekanie, pośród jęku wichrów i huku fali.

— To Tyras, krzyknie Rosi, klaskając w ręce, i natychmiast też ozwała się Diana, leżąca za piecem razem z wujem Andrzejem.

* * *

Niezadługo wszedł do pokoju młodzieniec wysoki i silny, ze strzelbą, torbą i zwierzyną, przywitał wszystkich obecnych razem jednym ukłonem, zawiesił strzelbę w szafie i zabitego borsuka rzucił staremu Andrzejowi za piec, aby się nim bawił. Potem usiadł u jesionowego stołu i siostrze podał rękę.

— Ale gdzież tak długo przebywałeś? spyta ojciec po chwili milczenia.

— I przy tak okropnej niepogodzie! dorzuci matka.

— Ha! dziś się uganiałem z temi łotrami z Faleku, odburknie Seppo i doda: Nie moja w tym wina, jeżeli który z nich zginął.

— A jak to było? spyta ojciec.

— Za borem hochlowskim wpadłem na świeży trop. Ha! oczywiście trop kozy dzikiój. Pędzę za nią, spostrzegam ją, podchodzę, już mierzę. Wtém kula świsnęła mi koło ucha i strzał się rozlega, a koza jednym susem oddała się o kilkaset kroków. Patrząc kto strzelił do mnie? Aż oto w oddaleniu pięciuset kroków spostrzegam dwóch złodziejów leśnych, starego Bernda i młodego Oswalda z Faleku. Kogo tu zabić? pytam siebie samego. Młodego, odpowiedziała mi rozwaga. Więc mierzę w głowę, strzelam, i Oswald pada na ziemię. Ale natychmiast się zrywa, i schwyciwszy się za głowę,

ucieka, tylko coś zostawił na miejscu. Biegnę tam i znajduję skrwawiony jego kapelusz.

— Boże! o Boże! jęknęła matka, jak się to skończy? to przyjdzie do morderstwa. A Rosi zapłakała i rzuciła się w objęcia matki.

— A czemu do mnie strzelają? krzyknie Seppo. Jesteśmy w swoim prawie, działamy w duchu powołania i powinności, ścigając złodziejów wykradających naszemu panu, księciu opatowi, zwierzyinę. A najgorszy z tych wszystkich Oswald: nie będę spokojnym aż go zobaczę powieszzonego na szubienicy klasztoru w Berchtesgaden.

— A kto z nich strzelił do ciebie, stary czy młody? zapyta ojciec.

— Niewiem, ale zdaje mi się że stary. Młody byłby nie chybił.

— O bracie! Oswald byłby nie strzelał do ciebie za nic w świecie; on mnie kocha i ciebie także, pomimo wszystkiego co zaszło, rzecze Rosi z zapłakanymi oczyma, załamując ręce, a potem dodaje. A czemuś ty wybrał właśnie Oswalda za cel swojej kuli?

— Bo stary Bernd umarłby sam z siebie z żalu, gdybym mu zabił Oswalda, i tak uwolniłbym kraj od dwóch najszkodliwszych rabusiów, odpowie Seppo z nieubłaganą surowością, która dziwnie kontrastowała z młodą jego twarzą.

Matka i córka zadrżały, ojciec zaś, po długim przestanku, przerwał milczenie i rzekł:

— Seppo, zapomniałem ci powiedzieć że pisał do mnie ojciec Izydor, szafarz klasztoru. Księżę opat chce mieć na jutro wieczór tegiego jelenia, a zkad go dostaniemy?

— Chyba z pod skały Kauner, tam na drugim końcu jeziora, jeżeli ci złodzieje z Faleku nie spłoszyli nam zwierziny.

— Popłyniem jutro do Kauneru, rzecze ojciec, i powiedziawszy żonie i dzieciom dobranoc, wzdychając udał się na spoczynek.

Seppo pozostał z głową opartą na ręce, a brzemienne zmartwieniem. Przypomniało mu się że kiedyś Oswald, jeszcze przed trzema laty, był jego najlepszym przyjacielem, wychowanym od czternastoletniego chłopięcia pod strzechą jego rodziców. Oh! wtenczas kochali się dwaj młodzieńcy szczerze, jeden za drugiego byłby życie oddał, ani chwili się nie wahając, a postrachem byli dla

niedźwiedzi, jeleni, dzikich kóz i wilków całej krainy.

Oswald, o dwa lata starszy od Seppa, kochał się w Rosi, wówczas szesnastoletniej dziewczynie, a pięknej jak żadna w opactwie, tak iż sam księżę opat nazywał ją jego różą. Ale Oswald był tylko biednym strzelcem księcia opata i nie miał nadziei ożenienia się z piękną Rosi, dlatego właśnie że był ubogim.

Wtém nagle umiera pomocnik leśniczego; człowiek w najlepszym wieku, i księżę opat ogłasza że ten dostanie jego miejsce, kto umie doskonale czytać, pisać, rachować, do mszy służyć i przytém w strzelaniu na publicznym konkursie pokaże się najcelniejszym strzelcem.

Na dzień oznaczony zebrało się w dziedzińcu klasztoru kilkunastu spółubiegaczy o dość zyskowne miejsce pomocnika przy leśniczym. Już się przekonali wielebni ojcowie benedyktyni że każdy z konkurentów umie czytać, pisać, rachować i do mszy służyć, teraz sądzą kto najlepiej strzela.

Pomiędzy spółzawodnikami jawią się Oswald i Seppo, wówczas ledwo ośmnastoletni młodzian. Przykro Oswaldowi że przyjaciel jego staje do konkursu, lecz tak mu chciwy ojciec przykazał. Seppo musi spełnić wolę ojca, i raz stanąwszy na popisowej mecie, mierzy jak może najlepiej, zapomina że szczęście siostry zależy od zwycięstwa Oswalda.

Oswald jak powarzony strzela mniej dobrze niż zwykle. Już się skończyło wszystko: porachowano strzały i wymierzono odległość ich od środkowego punktu tarczy. Ha! najlepiej strzelali Oswald i Seppo, lecz trudno rozstrzygnąć kto z nich zwyciężył.

Stary leśniczy ugiął kolano przed księciem opatem, a ten mianował Seppa pomocnikiem.

Rozpacz ogarnęła Oswalda: rzucił przyjaciela i kochankę, przystał na złodzieja leśnego i połączył się ze sławnym na całej alpy starym Berndem, któremu z rozkazu księcia opata powieszono dwóch synów złapanych na gorącym uczynku kradzieży leśnej.

Stary Bernd był nieubłaganym wrogiem całej rodziny leśniczego i strzelał do niej gdzie ją tylko zdybał. Bratu leśniczynie zabił syna, i stary Andrzej, skutkiem zmartwienia, wpadł w obłąkanie.

Otóż taka była moralność w państwie księcia opata w końcu przeszłego stulecia. Od czasu jak stary Bernd z młodym Oswaldem pustoszyli lasy i

knieje leśnictwa Berchtesgaden, niewiele leśniczy i syn jego zdołali zabić zwierzyny. Wszystkie prawie niedźwiedzie, jelenie i dzikie kozły padały pod razami niezmordowanych złodziejów leśnych, którzy tak mieli rozgałęzione stosunki z życzliwymi sobie góralami i przemycarzami, że tę zwierzynę sprzedawać mogli łatwo po za obrębem udzielnego opactwa; a to najwięcej martwiło i upokorzało leśniczego i syna jego, że czasem księżę opat, nie mogąc dostać od nich zwierzyny, musiał kupować swe własne jelenie, kozy dzikie i sarny od agentów zbójcy Bernda i złodzieja Oswalda. O tém właśnie myślał Seppo i czuł się upokorzonym, więc milczał, ponuro spoglądając przed siebie.

— Ach bracie, ty myślisz o biédnym Oswaldzie; możeś go zabił i czujesz wyrzuty sumienia? spyta nadobna Rosi zafrasowanego brata.

— Ja nie myślę o Oswaldzie, rzecz Seppo z gorącością; ja myślę o jeleniu, którego nam kazał dostawić księżę opat. Od tego jelenia może zależą nasze posady.....

— Będzie jelen. Oswald przyśle wam jelenia, krzyknie z po za pieca obląkany wujaszek, o którym wszyscy mniemali że śpi lub leży w odrętwieniu.

Rozjaśniła się twarz zafrasowanej Rosi, bo ona wierzyła w jasnowidzenie obląkanego. Matka się przeżegnała trzy razy krzyżem świętym, Seppo ruszył ramionami i odszedł, pocałował matkę w kolano, a siostrę w czoło.

Zaledwie zabłysła zorza poranna na szczytach Wacmanu, gdy ojciec i syn zerwali się z łoża, a zbudziwszy szesnastoletniego strzelca Dodli, pobrawszy z sobą ogary, strzelby i torby, wsiedli do łodzi i puścili się ku drugiemu, o trzy mile oddalonemu końcowi jeziora. Straszliwe zimno przejmowało, wicher dał mocny, łódź tańczyła jak łupina orzechowa na grzbietach zapienionych fali i ciemna mgła zakrywała brzegi jeziora, staczając się grubemi kłębami z gór okolicznych.

Długo trwało milczenie, nareszcie ojciec rzekł do syna:

— Od tego jelenia zależy nasz byt; jeżeli go nie zdybiemy, to może jutro pójdziemy z torbami.

— Ależ ojcie, na miłość Boga, odpowie Seppo, od stu ośmdziesięciu lat rodzina nasza, z ojca na syna, utrzymuje się przy leśnictwie opactwa, a te-

raz miałaby stracić od razu swą posadę, i to dla jednego jelenia?

— Mój synu, wszystko pod słońcem trwa tak długo aż się urwie. Czemuż dawnymi czasy opaci nasi kazali przechowywać lasy i zwierzynę i sami polowali na niedźwiedzie z oszczepami w ręku? a czemuż nasz terażniejszy nigdy nie wyjedzie na łowy, tylko codziennie wydaje obiady i czyta bezbożne książki Woltera? Sądysz że się nie domyśla kogo kocha Rosi? Ja ci powiadam że ma do nas niechęć, lubo nam kiedyś bardzo sprzyjał, i że źle z nami będzie, jeśli mu nie dostawim tego jelenia.

Na to Seppo odpowiedział stłumioném bolesném westchnieniem, bo uznał że ojciec ma słuszość.

Seppo na przemiany z młodym strzelcem robili wiosłami; stary leśniczy siedział u rudla, kierował i spoglądając na północ, kędy ogromna ściana skalista wznosiła się po za borem, prosił Boga żeby tam były jelenie i żeby na strzał wpadły.

Wypogodziło się nareszcie i słońce weszło po nad zamglony od wschodu widnokrąg; burza ustawała, piana z fali znikać zaczęła i pierzchły mgły, ulatniając się w ciepłe promieni słonecznych. Tylko jeszcze od północy mgły zalegały i kryły w swych tumanach zbliżającą się ku borowi łódź. Dotychczas wszystko sprzyjało polowaniu, nawet wiatr się wykręcił, tak iż węch od łodzi, psów i prochu dolatywać nie mógł jeleni, jeśli tam przebywają w kniei.

Psy jakoś niespokojne przycupnęły i tylko cichém, płaczliwém skowyczeniem objawiają swój zapal myśliwski.

— Dobry znak, ojcie, już psy coś wietrzają, rzecz ucieszony Seppo.

— Dobry znak, ani słowa; błagałem Boga o pomoc, bo wiele zależy od tego dnia, odpowie ojciec.

Psy coraz ciszej, coraz tęskniej skowyczą, aż lży się leją z ich ślępiów. Ojciec obejrzał strzelby i synowi kazał pójść do rudla, mówiąc:

— Odpocznij sobie Seppo, twoja ręka pewniejsza od mojej, oko bystrzejsze, ja tymczasem zastąpię ciebie u wiosł.

Jeszcze z kilka tysięcy ubiegli kroków, gdy nagle doszedł ich jakiś głos dziwnie przenikliwy.

— To ryk parkoci ogromnego jelenia! rzeknie Seppo.

Na ten ryk drugie zwierzę odpowiada podobnym, i wkrótce potem jakiegoś trzasku odgłos dochodzi.

— Już się pojмали za rogi spóławodnicy, rzecze Seppo, a serce jego mocniej zabiło.

— Tam jest dwóch tęgich, wartych stołu apostołskiego cesarza, szepnie leśniczy i co może robi wiosłami.

Już są na dwieście kroków od brzegu; trzask rogów bitych o rogi zagłusza wszystkie inne odgłosy, i psy już wyskakiwać chcą z łodzi. Wtém wystrzał pada od północy.

Seppo zgrzytnął zębami i rudel wymyka mu się z dłoni. Ojciec opuścił rozpaczliwie głowę; psy wyskakują, dalej wplaw ku brzegowi, i biegną z tropu w trop; konary lasu trzaskają; jelen pędzi ku brzegowi. Dopadają go psy: ogromny król lasów rzuca się w odnogę jeziora, przepływają, a psy tuż, tuż za nim. Na samym brzegu z drugiej strony pada jelen; psy wyją z radości w stronę kędy dobiega łódź.

— Nasza zdobycz, rzecze uszczęśliwiony leśniczy.

— Ale nie z naszej ręki padła, odpowie z zamiępionem czołem Seppo.

— To dla Rosi, ozwie się jakiś głos z północnego brzegu.

Był to Oswald, złodziej leśny, który strzelił do jelenia i jednym strzałem odstawił go zabitego leśniczym.

Już się porywa do strzelby Seppo, lecz ojciec zatrzymuje mu rękę.

— Tyś nie zabity? krzyknie Seppo.

— Ani nawet ranny! odpowie Oswald, zdejmując kapelusz i ukazując zdrową, kędzierzawym włosem porośłą głowę.

— Więc do widzenia, Oswaldzie!

— Do widzenia Seppo! innym razem.

Oblakany wujaszek dobrze przepowiedział. Oswald darował dawnemu patronowi jelenia. A Rosi płakała gdy się o wszystkiem dowiedziała, i jeszcze lepiej kochała Oswalda.

* * *

Od téj chwili minęło ze sześć miesięcy, i żadne nie wydarzyło się spotkanie pomiędzy rodziną leśniczych i złodziejami leśnymi.

Rosi nie słyszy nic o Oswaldzie i płacze. Ale jeszcze gruby śnieg pokrywa góry, bo dopiero kwiecień; ledwie za dwa miesiące odsłonią się podhala, a tymczasem lawiny spadają z iglic alpej-

skich i rosnąc coraz więcej i więcej, przybywają w doliny ogromnemi massami.

W jezioro zmarzłe na kilkanaście stóp głębokości wpadają owe lawiny i przebijają je, tak jak kamień ciśnięty w szybę okna ją przebija.

Ale księżę opat potrzebuje koniecznie kozy dzikięj na obiad, który wydaje w klasztorze żonie falcgraфа Lichtensteinu. Więc młody Wessel wybiera się w labirynt śnieżnic, tak niebezpieczny w téj porze, bo śnieg już skruszał i pod nogami człowieka usuwa się, tworząc lawiny i przepaście.

Cała rodzina Wessłów bardzo niespokojna, że Seppo dla nędznego kozła dzikiego na oczywiste wystawić się musi niebezpieczeństwo. On sam ze zgrozą patrzy przez okno na góry zasłane śniegiem, gdy nagle odzywa się wuj Andrzej z za pieca:

— Hola! hola! będziemy mieli wesele w domu. Siostrzenica Rosi z Oswaldem pobiorą się, i księżę opat sam ich połączy!

Wszystkich rozradowały te słowa oblakanego wujaszka, chociaż, prócz Rosi, nikt w ich ziszczenie się nie wierzył. Ale ona uwierzyła i pogodną twarzą pożegnała brata, który sam jeden z psem tylko puścił się w góry.

* * *

Na podnóżu gór już się zielenią sosny i świeże milutkie listki brzozy wypuszczają. Mruczy tu strumyk, przeciąga bekas, a wabią się cietrzewie głośno i pilnie od samego rana. Lecz na podhalu jeszcze natura uspiona żadnego znaku życia nie daje, chyba że gdzieniegdzie między śniegami w szczelinie rozkwitnie róża alpejska. Wyżej wszystko jeszcze w pierwotnym chaosie: szklane iglice, ze cztery tysiące stóp wysokie, wyziérają ponad górami zasłanemi białym puchem, i wszystko się tumani, burzy i chmurzy, a wszystkoryczy odgłosami spadających lawin, lub milowych łańców śniegu, zawałających się gdzieś głęboko w przepaść niedojrzaną.

Orzeł, bujając w wysokościach, spogląda na te cuda natury i śledzi czy jakie kozłę dzikie nie odbiegło od doświadczonęj matki; a jeśli odbiegło, to król ptaków alpejskich uderza nań pierśią, zabija je i zabiéra z sobą szponami na szczyty owych iglic przeszywających obłoki.

Już Seppo, po niesłychanym znoju, wdrapał się nad obszary podhalskie, na te wysokości gdzie lu-

bią przebywać hyże, ostrożne kozy alpejskie; już zaczajony za skałą patrzy czy nie odkryje jakiego stada na szczytach niebotycznych.

Istotnie tam na skale prawie zupełnie z śniegu ogołoconej igra i pasie się mchem całe stadko kóz alpejskich, złożone najmniej z dwudziestu sztuk; ale wartownik, czujny jak argus, stoi na najwyższym miejscu i swą rogatą głową spogląda na wszystkie strony. A pyszny był ten wartownik, najpyszniejszy z całego stada, duży, gładki i tłusty.

Gdy się tak bawi na mchem poroślej skale stadko dzikich kóz, to i godzin kilka pozostanie na miejscu, dopóki nie spożyje całego mchu, lub dopóki widok człowieka go nie spłoszy. Ale z tej strony nie sposób tam podejść; trzeba iść chyłkiem naokoło, z daleka na czworakach, pokrywszy się białym prześciéradłem. Takie podchodzenie zabié ra ze dwie godzin czasu; lecz czémże jest znój największy w porównaniu z upragnionym tryumfem?

Już się czołga, już okrążył cały mniejszy Wacman, już zasłonięty skalami przybliża się do opoki, na której najwyższym szczycie inny teraz, mniej wielki wartownik zajął miejsce. Ale gdzie tamten, co tak okazały? Ha! bawi się teraz z drugimi i zdaje się że zapomniał o zwykłej ostrożności. Tego właśnie umyślił sprzątnąć Seppo, bo najpiękniejszy, nigdy piękniejszego w życiu swoim nie widział.

Już się przybliżył na tysiąc kroków, już na ośmset, już na sześćset: wiatr z tamtąd dmie, więc można podchodzić bliżej. Ostrożnie, ostrożnie czołga się; pies to samo, piszcząc ze wzruszenia, czołga się za strzelcem. Już tylko o trzydzieści kroków odległy, to dobra, wyborna meta, bliżej nie potrzeba. Seppo już mierzy; w tej samej chwili kozieł pada jak porażony, reszta stada umyka, i teraz dopiero tysięczno-piorunowém echem huk się rozlega.

Kto zabił kozła od jednego wystrzału? Oswald, który jednocześnie podchodził to stadko, nie wiedząc że je tropi Seppo.

Złodziej leśny, wstawszy z pokrywy śnieżnej, spieszy po zdobycz drgającą w śmiertelnych konwulsjach. Poznaje go Seppo, przykłada się i strzela. Oswald upada. Seppo wydaje okrzyk radości i spieszy na skałę po zwierzynę nie przez siebie zabita.

* * *

Inaczéj jednak chciał Pan Bóg. Seppo zapomniał wszelkiej przezorności; usuwa mu się śnieg pod nogami i wpada w otchłań, przynajmniej dwieście stóp głęboką. Tuż nad nim zawarły się śniegi, tak iż jasności słońca dojrzyć nie może.

Więc gotujże się na śmierć strzelcze, bo tu ratunku nie będzie dla ciebie; a zgon twój okropny, z głodu przyjdzie ci umierać, więcéj jak z zimna; zgon twój tém okropniejszy, że w ostatniej chwili wolności odebrałeś życie dawnemu najlepszemu przyjacielowi.

Czuje Seppo jak coraz bardziéj zimno go ogarnia; pokrzepia się wódką, którą mu siostra napelniła manierkę, płacze, a potém się modli, prosząc Boga o spieszny zgon w tym grobie.

Wolno się wleka chwile okropnej agonii: glucho i strasznie w około.

— Czy nie lepiéjby było żebym sobie skrócił życie kordelasem? spyta sam siebie Seppo. Czemu mam się wystawiać na tak okropne męczarnie, kiedy jedném pchnięciem skończyć wszystko mogę?

Tak walczył z sobą przez godzin kilka, nareszcie uczuł że już go ogarniają dreszcze śmiertelne i poddał się swemu przeznaczeniu.

Ale Bóg czuwał nad strzelcem księcia opata; jakiś szmer rozlega się ponad jego głową; kamień spuszczonej z góry na linie pada w otchłań. Seppo wszystko pojął, odwiązuje kamień, liną się przepasuje i targa za nią, obejmując ją wyżej głowy rękoma.

Jakaś siła ciągnie go w górę. Podróż ta trwa długo; nieraz śnieg się usuwa i Seppo znów pada głębiéj; zmarzłemi palcami ledwie się zdoła trzymać liny. Ale nareszcie zdaje mu się iż słyszy szczekanie psów, późniéj głosy ludzkie; widzi jak światło dzienne przebija skorupę śnieżną. Ha! staje pomiędzy ludźmi, bliźniemi swemi, i rozpoznaje kilku przemycarzów, a pomiędzy niemi Oswalda ze skrwawioną głową.

— Jak się masz, biédny Seppo? spyta ze współczuciem Oswald.

— Wiéć umarli z grobu wstają, odpowie Seppo.

— Nie, nie zabiłeś mnie, tylko mnie lekko drasnąłeś; upadłem aby cię zwieść i uniknąć powtórnego strzału. Widziałem potém jak sam się zapadłeś w otchłań. Bóg czuwał nad tobą. Przemyca-

rze przechodzili: wskazałem im miejsce, gdzie leżałeś pogrążony i prosiłem o pomoc, którą mi udzielono, mimo że was tu nie kochają ludzie.

Seppo zapłakał, a potem padłszy na kolana, podziękował Bogu za cudowny ratunek, nareszcie uściskał Oswalda i przemycarzów.

— A ty mnie wybaczasz, Oswaldzie?

— Wybaczam, jak ci wybaczył stary Bernd, któregoś zabił.

— Kiedy go zabiłem? ja nigdy doń nie strzelałem? krzyknie Oswald.

— Przypomnij sobie co ci się wydarzyło za borem hochlowskim w ostatniej jesieni, rzecz Oswald.

— Do ciebie mierzyłem i ciebie ranilem w głowę, zupełnie jak dzisiaj. Kapelusz twój uszkodzony kulą i skrwawiony pozostał na placu.

— Przypadkowo w moim kapeluszu i w mojej

burce chodził wówczas stary Bernd; wzięłeś go w oddaleniu za mnie i tak serdecznie w głowę postrzeliłeś, że jeszcze téj samej nocy, przywoławszy się do domu, umarł. Jam go pochował i w kilka godzin później zabiłem dla Rosi tęgiego jelenia. Dziwne się rzeczy dzieją, mój Seppo, ale ja chcę być koniecznie mężem twojej siostry.

— Będiesz nim i moje zajmiesz miejsce przy ojcu, odpowie Seppo, jeszcze raz sciskając Oswalda.

* * *

Istotnie wkrótce potem było wesele w zamczysku myśliwskim Bartola, i księżę opat, jak przepowiedział stary Andrzej, osobiście raczył dać ślub pięknej Rosi z Oswaldem, mianowanym pomocnikiem leśniczego w miejsce Seppa, który wstąpił do klasztoru.

CHARAKTER ANGLIKÓW

OCENIONY PRZEZ AMERYKANINA.

(Dokończenie).

Podobno za długo zatrzymaliśmy się nad tą ciemną stroną społeczeństwa angielskiego; wolimy teraz gdzieindziej poszukać dowodów bardziej, że tak się wyrazimy, ludzkich, dla dojścia do wniosku któryśmy sobie założyli. Emerson, z wrodzoną sobie przenikliwością, przytacza dwa z tych dowodów, nad którymi szkoda że dłużej się nie zatrzymał: piękność fizyczną i zamilowanie wsi. Piękność fizyczna Anglików winna jest wszystko pochodzeniu, a nie zgoła cywilizacji; od najdawniejszych bowiem czasów słynęli oni tym przymiotem. Papiież Grzegorz W. na początku siódmego wieku spotkał na ulicach Rzymu młodych niewolników angielskich tak nadzwyczajnej piękności, że powitał ich temi słowy: „*Non angli, sed angeli.*” Po zawojowaniu, ta piękność Saksonów zadziwiała samych nawet Normandów. W ósmym stuleciu żywy i dowcipny cesarz Fryderyk II z Hohenstauffów, opisując powabnym rymem rzeczy co go zachwycały, przytoczył między innymi ręce i pleć

Anglików. U niektórych narodów piękność rozwija się dopiero z cywilizacją; pokolenie angielskie zaś pięknem było po wszystkie czasy. Dlatego to wizerunki Francuzów, tak mężczyzn jako i kobiet, z wieku XVI uderzają swoją szpetnością, widoczną a niezgrabną chęcią poprawiania natury, i czynią wrażenie podobne temu, jakie sprawia widok poczwarki, co w połowie dopiero skruszyła swoją skorupkę i sili się zrzucić do reszty brzydką tę powłokę. Piękność francuzka sto lat jeszcze musiała czekać, zanim doszła do właściwego sobie wyrazu ¹⁾; piękność zaś angielska nie zależy od wpływu umysłowego, lecz jest własnością rodu. Emerson, mówiąc o wykształceniu umysłowym Anglików i o ich skłonności odnoszenia rzeczy naj-

¹⁾ Z narażeniem się na niezadowolenie fanatycznych wielbicieli wieku Ludwika XIV, powiemy że nie w XVII, lecz dopiero w XVIII wieku pojawiły się prawdziwe oznaki piękności francuzkiej, jakimi są: wdzięk, ruch i żywość. Piękność osób sławnych z niej za Ludwika XIV uderza raczej osobistym, aniżeli narodowym charakterem. W XVIII zaś wieku charakter już narodowy cechuje wszystkie niemal fizyognomie.

bardziej urojonych do najprostszych, powiada że są podobni do wieśniaków, zaczynających uczyć się czytać. Tak o ich piękności, jak o moralnym wykształceniu wyrzec można że są to rolnicy i mieszkańcy lasów, którzy dopiero co opuścili swoje chaty; powietrze miast nie zmieniło dotąd ich cery, bo w krwi i w ciele noszą jeszcze zasoby zbawionego wpływu lasów, gór i morza. Ta wiejska i dzika piękność posiada cały wdzięk i całą świeżość naturalną. Przysłowie że we Włoszech wszyscy rybacy i wieśniacy mają postać książąt pozbawionych krajów, przytaczanem jest za dowód starożytności ich cywilizacyi. Jak we Włoszech postawa arystokratyczna wspólną jest wszystkim klasom, tak w Anglii ta sielska i pospolita piękność napotyka się we wszystkich stopniach społeczeństwa. Siła muskularna Anglików, ich śmiały profil, blask cery, niepojęty spokój w spojrzeniu i rubasność ruchów nie unoszą myśli do czasów dawno ubiegłych; wpływ towarzyski nie zostawił żadnych śladów na tych twarzach. Piękność ich zajmuje sama przez się i nigdy nie obudza ciekawości. Wypadki życia, nie wpływają bynajmniej na jej kształcenie. Zdają się być stworzonymi do życia spokojnego, pełnego zdrowia, wśród pól i lasów, i takie też zwykle nad inne przekładają. Wieśniaczka jest ich piękność, wieśniaczka nałogi; to też gdy może, Anglik ucieka od miasta. Istniejące we Włoszech i Francyi przeciwstawienie życia ludności miejskiej, przeciw życiu mieszkańców wsi, które tyle smutnych spowodowało wypadków dziejowych, niema miejsca w Anglii. Najmilszemu dla Anglika mieszkaniem jest wieś; arystokracya przebywa tam przez rok cały; bogaci kupcy z City, skoro tylko pokończą dzienne swe zatrudnienia, udają się co wieczór do swych rodzin, mieszkających często o kilka mil od Londynu. Pomimo też ogromu handlu i rękodziel, życie sielskie i ludność rolnicza składają dotąd podstawę obyczajów i składu towarzyskiego Anglii.

Charakter ich patryotyzmu pod tym samym właśnie względem odróżnia się od innych narodów. Anglicy nie mają żadnego wyobrażenia ojczyzny, w łacińskim znaczeniu tego wyrazu *patria*. Dla Francuza ojczyzna, jest to ziemia sama, ziemia której z sobą zabrać nie może. Przywiązanie wieśniaka francuzkiego do ziemi rodzinnej jest więcej niż miłością, jest prawie jego religią. Mieszkańcy wioski francuzkich, gdyby się cudem jakim znaleźli zdala od swego kraju, uschliby z tę-

sknoty, chociażby nawet byli razem i mówili własnym językiem. Pomiędzy ziemią a człowiekiem istnieje tam związek moralny; ziemia nie jest głównym przedmiotem użytkowania, ale jest jakoby żyjącą istotą. Kodeks francuzki, łącząc własność w znaczeniu moralnym z jej posiadaczem, zrobił więcej niż określiło prawo, bo wyraził jedno z najżywszych uczuć serca francuzkiego. Ojczyznę Francuza jest więc ziemia rodzinna, a prócz niej wszystkie inne uczucia uważa on za czczy kosmopolityzm, lub wyobrażenia wspólne ludzkiej naturze. Całkiem różnym jest patryotyzm angielski. Anglik żywi miłość ku swojej ziemi w stosunku tylko tego co mu ona przynosi; ziemia nie jest dla niego niczem innem, tylko środkiem z bogacenia się i polem działania. Zajmuje ją feodalnie i niby prawem zdobyczy, lecz nie jest w niej przesadnie zakochanym. Patryotyzm Anglików polega na fanatyzmie dla pokolenia. Nie ziemia łączy ich z sobą, lecz wspólność rodu. Ojczyzny nie określają ściśle; jest więc dla nich wszędzie gdzie mówią po angielsku, gdzie są ludzie angielskiego pochodzenia. Tym sposobem da się wytłumaczyć ta łatwość z jaką odbywają długie podróże i opuszczają swój kraj na zawsze Anglicy wszelkiego stanu. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się że takie uczucie rodu powinno być mniej silnym, aniżeli to które wypływa z przywiązania do ziemi ojczystej; u nich jednakże dzieje się przeciwnie. Ta duma krwi wprowadza u Anglików coś nakszałt wolnego mularstwa, polegającego na wspólnym, ścisłym i mocnym zobowiązaniu się do jednej powinności. Wspierają się wzajemnie w wielkich i małych rzeczach, z poświęceniem trącącem nawet niekiedy niesprawiedliwością i przemocą. Szczególniej też w stosunkach z cudzoziemcami ten wspólny związek ukazuje się czasem w sposób trochę oburzający. Nie mają żadnej litości nad nieznaną obcością zwyczajów krajowych ze strony obcego, żadnej sprawiedliwości dla słusznych nawet jego żądań, i można powiedzieć że cudzoziemiec u nich wyjętym jest z pod prawa. Powszechną jest na stałym lądzie opinia, że proces rozpoczęty w Anglii kończy się zawsze ze szkodą cudzoziemca. „Wspierają się jak złodzieje na jarmarku” mówił z prostotą człowieka nieumiejącego określić swoich wrażeń pewien rzemieślnik wracający z Anglii. Lecz ten patryotyzm, tak materyalny i razem tak moralny, wspólnym jest wszystkim pokoleniom germańskim. Tylko duma rodowa posunęła się u Anglików wy-

zój i szérzej niż u wszystkich innych narodów, z wyjątkiem Żydów. Inne ludy, w miarę jak się cywilizują, tracą pamięć swego początku i łączą się węzłami bardziej giętkimi, a mniej materyalnemi; Francuz nie wie wcale że jest celtyckiego pochodzenia; ale najlichszy żebrak angielski wie i chelpi się tém, że jest Anglo-Saksonem. W tym patryotyzmie odkrywa się jeszcze duch barbarzyństwa ich przodków, ten duch rass, co niegdyś popychał Saksonów do ciemienia i wytepienia Celtów, nie zaś do łączenia się z niemi; któremu później tak dobrze powiodło się wyludnienie i podbicie Irlandyi; duch co trzyma ludy Indyj w takim oddaleniu od osadników angielskich, że niema obawy aby stosunki ich wywołać mogły utworzenie nowego narodu; ten sam nakoniec, co w sposób tak okrutny zmniejszył liczbę krajowców Ameryki i Australii. Mówiąc o tym patryotyzmie, powiemy nawiasem że duma narodowa Anglików jest często nieznośniejszą od próżności francuzkiej. Jeżeli patryotyzm francuzki drażni twoje nerwy, to angielski zawraca głowę jak migrena; a przytém wchodzi silna doza pedanteryi do sposobu jakim ten naród objawia swe zadowolenie z samego siebie. Próżność francuzka polega prawie zawsze na jego przeszłości historycznej; on przynajmniej wypowie bez ogródki wszystko złe jakie tylko istnieć może w terażniejszym stanie jego kraju, zgani nieproszony swoich współobywateli i swój rząd. Z Anglikami przeciwnie; częstują cię szumnemi pochwałami: „*swego* olbrzymiego handlu, *swój* potężnej marynarki, *swego* nieograniczonego kredytu publicznego”; Anglia śpięwa sobie codziennie pieśń pochwalną: „Jesteśmy wielkim narodem” którą obowiązkowo powtarzają jej dziennikarze i mówcy. Ten patryotyzm mógłby się bardzo słusznie nazwać niekiedy zuchwalstwem, gdyby nie wyrażał się z rozbrajającą prostotą. Emerson, mówiąc o tém, przytacza że pewna dama angielska, będąc nad Renem i słysząc Niemca mówiącego o swoich towarzyszach podróży jako o cudzoziemcach, zawołała: „Nie, nie jesteśmy cudzoziemcami; my Anglicy. To wy jesteście cudzoziemcami.” Wszystkie narody popisują się ze swojemi głupstwami; Rossya tylko sama stanowi wyjątek; ale odkąd zatopiła się w myślach o sobie, jak się wyraził jeden z jej ministrów, nie można jeszcze przewidzieć jaki skutek wydadzą te jej rozmyślenia.

„Nie jesteśmy cudzoziemcami, my Anglicy.”

Słowa te Angielki mogą nas rozśmieszyć; pomimo jednak swój śmieszności stanowią dowód że Anglicy są obywatelami całego świata, i dzięki temu szczególnemu patryotyzmowi, o którym mówiliśmy wyżej, nie mają innej ojczyzny oprócz wspólności rodu. Swedenborg utrzymuje że człowiek składa się z małych ludzi; każdy Anglik zaś jest małą Anglią. Unosi on w sobie całą wyspę z jej przesądami, obyczajami i instytucjami; misyonarz sprzedaje dzikim spodnie i perkal; handlarz rozdaje biblie i naucza prawdy. Francuz, będąc zdala od swego kraju, przedstawia tylko siebie samego; Anglik zaś cały swój ród wyobraża, nie uważa się za równego innym krajowcom i wmawia w siebie przekonanie o swój wyższości. Jeśli zapytacie jakim sposobem Anglia uniknęła burzących rewolucyj, które uzbierały gdzieindziej jednych przeciw drugim, pomyślcie tylko o tém ich niby wolnomularstwie, co łączy najbiędniejszych żebraków z najznakomitszemi lordami, tworząc jedność uczuć i jedność czynów, mocniejszą niż wszystkie centralizacye i maszynerye urzędowe. Duma pokolenia zacięra różnice stanów i tworzy nierozzerwane braterstwo, podobne do przymierza tych wojowników germańskich, którzy kazali wiązać się jeden do drugiego, ażeby zwyciężyć lub umrzeć spolem.

Jeśli są napastniczemi z natury i samowładnemi względem wszystkich co nie są niemi, nie kryją się przynajmniej i przyznają do tego otwarcie. Wielką ich cnotą jest prawda, ten szacowny przymiot barbarzyńskich Germanów. Z miłością prawdy łączą przytém zamiłowanie rzeczywistości, które także jest prawdą. Anglik nie umie kłamać ani przez egoizm, ani przez imaginacyą, ani dla polityki. Ludy poetyczne zrobiły sobie z urojeń zwyczaj, kłamią przez żart, przez potrzebę wyobraźni, przez nadmiar towarzyskości i upajają się własnem kłamstwem. Francuz kłamie także przez grzeszność, niekiedy przez wrodzoną dobroduszość, a najczęściej przez ducha sprzeczności. Kłamstwo jest jego bronią odporną, służącą do oddalenia i pozbycia się przeciwnika, tak, aby mu nie zostało możliwości szkodenia. Anglik zaś nie kłamie ani zaczepiając, ani się broniąc; milczenie jest jego jedynym środkiem utajenia prawdy. Jeśli spróbuje skłamać, czyni to tak niezgrabnie, że wykazuje zaraz iż kłamstwo jest bronią której używać nie umie. Może być okrutnym, niesprawiedliwym, samolubem, ale do występków jego nie należy najmniejszy nawet odcień zdrady. „Anglik, mówi

Emerson, nie jest z téj gliny z której wyrabiają się zabójcy polityczni, inkwizytorowie, spiskowi, członkowie towarzystw tajnych, ludzie zdolni do połączenia w sobie wszystkich żywiołów fałszu i piekielnej pogardy uczciwości. Jeśli musi wybierać pomiędzy grubiaństwem a kłamstwem, wybierze stanowczo pierwsze. Otwartość jego sięga nie raz tak daleko, że staje się napaścią; bluzga ci w oczy grube prawdy, wtenczas nawet, kiedy nie ma żadnego powodu ich wyjawiania. Ta miłość prawdy jest podstawą geniuszu wieluich znakomitości. Liczni mężowie Anglii dowiedli téj przestrogi moralnej, że można być wielkim, nie mając wiele geniuszu. Doktor Johnson i książę Wellington są pięknymi typami tych ludzi, co nie odebrawszy od natury hojnych darów, owszém z pospolitemi przymiotami, zdobyli sławę. Historia Anglii przedstawia mnóstwo dowodów otwartości przewyższającej wszystko co tylko znaleźć można w tym rodzaju w dziejach innych narodów. Mało jest piękniejszych przykładów odwagi moralnej, jak czyn biskupa Latimer, który w dniu urzędowego przyjęcia u króla wyższego duchowieństwa, przedstawił Henrykowi VIII kopią biblii, z zaznaczeniem tego ustępu: „Bóg będzie sądził fałszywych i wspierających pochlebstwo.” Ta to nieograniczona miłość prawdy i ta gruntowna szczerość ustaliły sławę handlu angielskiego i bezpieczeństwo kredytu publicznego. Anglia stoi prawdą i dobrą wiarą, a ta prawda jest dla niej tak potrzebną, że w dniu w którymby skłamała, runęłaby zarazem wspaniała jęj budowa.

Anglicy we wszystkiém lubią rzeczywistość, która jest formą zewnętrzną prawdy; nie uwodzą się pozorami ani wymysłami. Oskarżano ich o materyalizm; ale zważywszy wszystko, materyalizm ich jest tylko upewnianiem się człowieka nie lubiącego być oszukanym, ani żywić się dymem. Nie chcą oni, podług jędrnego wyrażenia apostoła, „pić z cymbałów, ani jadać z bębna.” Wierzą więcćj czynom niż słowom, nietylko względem drugich, ale i siebie samych. Nie mają bynajmniej dobrego o sobie rozumienia dopóty, dopóki czegoś nie spełnią, i stają się niepokonanemi wtenczas dopięro, kiedy są pewnemi siebie. Saksonowie mają przysłowie stwierdzone dziejami, że człowiek nie zna wcale prawdziwój swój siły, dopóki jęj nie spróbuje. Nie mają żadnych poznak delikatnego uczucia, ani zmysłu chytróści, ni szczególnych natchnień, aby odgadnąć ukrytą zasługę wprzód, za-

nim się sama odsłoni. Takie niewieście srodki oceniania nie przystoją temu męzkiemu pokoleniu. Nie mają oni innego sądu, tylko z czynów, z dzieł już spełnionych, a wtenczas dopięro wykazuje się wyższość ich zdania i wielkie uczucie sprawiedliwości. Wszystko tam jest cenione podług wartości, począwszy od talentu boksera, aż do korespondencyi dziennikarskiej. Umieją dokładnie zastosować nagrodę do wewnętrznej wartości dzieła; u nich jedna rzecz winna się opłacać pieniędzmi, inna szacunkiem, ta znów miłością powszechną, a inna parostwem. Nie podkupują i o nic się nie targują. Trudno téż uwodzić i oszukiwać długo naród tak zdrowego rozsądku, bo chce on wszędzie widzieć równowagę słów z czynami i ściśle zastosowanie srodków do celu. Nic nie poświęca dla pozoru i próżności, i ustępuje jedynie potrzebie. Budownictwo Anglików nie polega na zasadach geometryi, ani na prawidłach estetyki, lecz jest zastosowaniem do potrzeb życia. Dom buduje się dla przyszłego mieszkańca i stosownie do jego sposobu życia. Tak samo dzieje się ze wszystkiém. Ubiór ich czerpie elegancją w doskonałym zastosowaniu odzieży do użytku na jaki jest przeznaczoną. Podług nich, ubiór zawsze jest eleganckim, jeśli dopełnia warunków przyjemnego zaniechania, wygody, lub ciepła. To namiętne przywiązanie do rzeczywistości bardzo zręcznie zostało uchwyconém i oddaném przez Emersona: „Lubią oni rzeczywistość w bogactwie, władzy, gościnności, i z trudem przyuczają się do przestawiania na powierchowności. Nie mają wielkiego upodobania w ozdobach, lecz jeśli noszą klejnoty, to te muszą być prawdziwemi. Czytamy w starym Tuller'ze, że dama z czasów Elżbięty zarówno nie ścierpiałaby kłamstwa, jak i przywdziania fałszywych klejnotów, lub zausznic z naśladowanych pereł. Mają upodobanie, a nawet żądę, własności gruntowój, która, jak mówią, wspólną jest wszystkim szczepom germańskim. Wznoszą swe domy z kamienia; budowle publiczne i prywatne zarówno są ciężkie i trwałe. Ci co porównywają ich okręty, domy i budowle publiczne, z okrętami, domami i gmachami publicznemi Ameryki, utrzymują powszechnie że Anglicy wydają funt sterling tam, gdzie my wydajemy dollara. Prosta a bogata odzież, proste a bogate ekwipaże, nadzwyczajna prostota i zarazem ogromne bogactwo pomieszkań i umeblowania, świadczą o zamiłowaniu prawdy u Anglików.”

Jak wszystko na tym świecie, tak i ta miłość rzeczywistości ma swoją odwrotną stronę, i w tém uczuciu leży wielki grzech moralny Anglii: nadawanie bogactwu większego niż należy znaczenia. Biorąc rzeczy z materyalnego punktu widzenia, bogactwo jest w istocie najprawdziwszą rzeczywistością tego świata; jest prócz tego wygodnym sposobem ocenienia prawdziwej wartości człowieka i zmierzenia jego położenia towarzyskiego. Zależność w którą ubóstwo wtrąca człowieka jeszcze bardziej zwiększa w tym niepodległym narodzie poszanowanie bogactwa. Zdaje się że Anglicy są przekonania starożytnych ludów, że przez ubóstwo traci człowiek połowę swojej wartości; opiewają z Arystofanem przymioty Plutusa, a z Pindarem zasługi zwycięzcy z *turf*u, właściciela kosztownych ekwipażów i bogatych czar złotych. Z tego względu najbardziej są oni pogańskimi i przeciwnymi nauce chrystyanizmu. Nigdy podobno nie mieli oddalonego nawet pojęcia o szlachetnej niepodległości w ubóstwie, która nieraz bywała udziałem innych pokoleń. Emerson przytacza jedno wyrażenie Nelsona przejmujące oburzeniem: „Brak majątku jest występkiem, którego nie mogę wybaczyć.” „Ubóstwo jest w Anglii hańbą” wyrzekł Sidney Smith. Niech się to nie spodoba Nelsonowi i Sidney Smith'owi, ale powiemy że nie ubóstwo jest hańbą, lecz ta obrzydliwa cześć oddawana mamonie. Ten szacunek dla bogactwa więcej jest niż błędem, bo występkiem. Jest to straszliwa zgnilizna, którą Anglicy rzucili w świat i zarazili nią wszystkie narody. Bóg tylko jeden wie jaką zgotował karę za tę krzywdę praw ludzkości; ale to pewna, że Anglicy przypłacą swoje bałwochwaltwo tak, jak inne narody odpokutowały inne zgorszenia, z których dały przykład powszechny.

Duch konserwatystowski Anglii graniczy bardzo blisko z tém uczuciem rzeczywistości. Rozum Anglików jest w niezgodzie z teoryami; nie pojmują dobrze myśli, dopóki ta nie jest przyodziana ciałem. Czyn i wyobrażenie są dla nich jednością. Gdy istota materyalna zniknie, zostaje tylko próżnia. Ztąd pochodzi przywiązanie ich do swych urzędzeń, i ztąd także bojaźliwość z jaką kierują swoje napady przeciw przesądom, których wpływ szkodliwy oceniają. Anglik może nie lubić arystokracji, ale pyta: ktoby rządził, gdyby arystokracji nie było? Może nie mieć przywiązania do kościoła, lecz jakżeby się modlił, gdyby kościół upadł? Otóż tego to rodzaju jest obawa wstrzymu-

jąca rękę najśmielszego Anglika i miarkująca jego polityczne namiętności. Nadto zaprowadzone ustawy mają dla tak praktycznego narodu jak angielski korzyść nieoszacowaną, bo wskazują człowiekowi miarę obowiązku do spełnienia i środki potrzebne do jego wykonania. Weźmy za przykład kościół anglikański. Emerson zuchwale dotyka wszystkich ran religijnych Anglii; wykazuje trafnie nielogiczny charakter téj instytucyi anglikańskiej; przedstawia ją opuszczoną od wszystkich głów myślących, nadwątloną przez wpływ germanizmu. Nie dając się uwodzić frazeologii religijnej, oświadcza bez ogródki że religia Anglików klass wyższych jest tylko ustępstwem z dobrego wychowania pochodzącém. Prawda; a jednak iluż tam jest ludzi prawdziwie zacnych, tak po za obrębem kościoła, jako i w samym kościele, którzy znając te błędy równie dobrze jak Emerson, uporczywie przywiązują się do zasad wyznania anglikańskiego. Przyczyna tego prosta: ta budowa, jakkolwiek niedoskonała, przedstawia przynajmniej schronienie. Człowiek najpobożniejszy, najbardziej ożywiony uczuciami chrześcianina, ujrzy swój zapał nikiem, jeśli go nie wiążą pewne ustawy. Zostawiony tylko z uczuciem obowiązku, w niemalym znalazłby się kłopotcie, bo powinność ta, jako ogólna, nie będzie dla niego ani prostą, ani praktyczną. Jak zacząć i na czém skończyć? oto trudne zadanie dla wszystkich osamotnionych umysłów; narzędzi im brakuje, a choć mają przed sobą cel wzniosły, nie wydaje on się jednak prostym i przystępnym. Tego wszystkiego nie można obawiać się przy instytucyi biskupstw, bo obfitemi są tam środki do celu wiodące: missye, kazania, nabożeństwa, nauki; zostaje tylko sam wybór między niemi. Anglicy nie przeczą faktom, tak jak nie wahają się z ocenieniem wartości każdego czynu; a za tém idzie że ustawy, jakimikolwiekby ony były, są tam prawie niewzruszonemi; bo rzadką jest instytucya któraby obok złego nie zawierała w sobie pewnej ilości dobrego. Jak zastąpić to dobre ze złem pomieszane? oto odgłos rozumowań angielskich. Najwięcej obstający za interesem klass średnich nie myślą bynajmniej o usunięciu arystokracji z jój urzędowego stanowiska i wystawności zewnętrznej; chcą mieć dla siebie powagę rzeczywistą, to jest pieniężną, a arystokracji pozostawić powagę rodu i obyczajów, których jój nie myślą zaprzeczać. Wdzięk i słodycz obyczajów, ten niewątpliwy przymiot klass wyż-

szych, jest niezawodnie jednym z najważniejszych wpływów na masę narodu. Emerson robi wyborną uwagę w przedmiocie stosunków między rozmaitemi klassami Anglii. „Anglik, mówi on, nie okazuje żadnej względności dla niższych od siebie w społeczeństwie, i nawzajem, każde pobłażanie ze strony wyżej położonej osoby zadziwia go i osłabia w nim dobre o niej wyobrażenie.” Ten rys szczególny żywca został pochwycony z najskrytszych zakątków serca angielskiego. Tak samo i ustawy nie są u nich szanowane dla swój wartości pod względem filozoficznym, ale jako miara, metoda i sposób działania.

Uczucie rzeczywistości było także podstawą całej literatury angielskiej, która w swych dziwnych pomysłach nie rozłącza się z niem nigdy. Duchy i geniusze Shakespeare'a mają także wyobrażenia, gusta i uprzedzenia; nie są to nadnaturalne istoty, ale tylko niewidzialni mieszkańcy świata naturalnego. Allegoryczne osoby Johna Bungan'a nie są abstrakcyjnymi, lecz istotami złożonymi z ciała ikości, które jedzą, piją i śpią. W swych opisach podróży kapitan Gulliwer nie zapomina nigdy powiedzieć ile statek jego robi węzłów na godzinę, jakie były zboczenia igły magnesowej, jakie rośliny kwitły u Lilliputów albo Brobdignaków. Geniusz Foë'go, Richardson'a, Fielding'a, Godsmith'a i wszystkich innych tak różnorodnych pisarzy angielskich polega tylko na dokładności z jaką oddać umieją najdrobniejsze rysy każdej osobistości i przedstawiać fakta w rzeczywistej ich wartości. W poezji angielskiej przeważa nie marzenie cichej pogodne, ale wzruszenie żywe, surowe i wstrząsające. Emerson w ogólności jest bardzo surowym sędzią literatury angielskiej; zarzuca jej że nie dosyć jest duchową, platoniczną. Szczególna wymówka i poniekąd niezupełnie sprawiedliwa. Strona duchowa istnieje w literaturze angielskiej, ale pochodzi właściwie z zamiłowania rzeczywistości. Angliki przywiązują się do osobistości, to prawda, ale nie przestają na opisywaniu jej, owszem zgłębiają, przenikają dotąd, dopóki nie zbadają ostatecznie jej wewnętrznej istoty. Przywiązują się z zapalem do każdego przedmiotu, póki nie pojmą, nie uchwycą jego ducha i myśli która go ożywia. Dlatego duch czynów i rzeczy żyje w ich opisach, wychodzi z nich, jak w powieści arabskiej świetny geniusz z prostej szkatułki w której był więziony. Taki to jest ten szczególny spirytualizm, nie przechodzący

granic natury. Pisarze i poeci angielscy nie są hierofantami, ani braminami nieporuszonemi, nieprzystępnymi, zatopionemi w rozmyślaniach; są raczej cudownemi czarodziejami. Magiczna ich laska, od Shakespeare'a aż do Scotta i Byrona, umiała wywoływać duchy tysiące postaci namiętnych, ruchliwych, promieniem życia oświeconych, o których pamięć ludzka przechowała jasne wspomnienie, jak o osobach znanych i kochanych.

Najlepsze przymioty mają swój punkt słaby, przez który złe wcisnąć się może. Gdyby to silne uczucie rzeczywistości istniało bez przeciwwagi w duszy angielskiej, materializm pochłoniłby je wkrótce, i samolubna trwożliwość, utrzymująca chińskie *status quo*, stałaby się prawem Anglii. Szczęściem że dla utrzymania równowagi między dwoma przeciwnymi pędami, które zarówno ożywiają świat fizyczny i moralny, to jest ruchem i spoczynkiem, Bóg wlał w Anglika, obok poszanowania dla czynów zewnętrznych, siłę która przeciw nim bezustannie oddziaływa, a tą jest: nadzwyczajny duch niepodległości. Samolub stawia się zewnątrz cywilizacji i przywłaszcza sobie prawo jej sądenia. Mimo pozorniej uległości, bada wszystkie jej ustawy, podnosi maskę ze wszystkich nauk i wydaje wyrok mniej lub więcej sprawiedliwy, z którego robi dla siebie prawo osobiste i nigdy go nie odstępkuje. Każdy kto rozważy starannie tę siłę moralną, nazwaną niepodległością, łatwo postrzeże iż ona jest prostym, raczej instynktowym niż wyrozumowanym, zaprzeczaniem wszystkiemu co się sprzeciwia naszej naturze; gdy tymczasem uległość może być zarazem instynktowym sprzyjaniem rzeczom zgodnym z naszą naturą i mimowolnym przystawaniem na te co jej są przeciwnymi. Anglik, tak uległy faktom, gdy te znajdują zgodne w nim samym odbicie, zamyka nielitościwie oczy i uszy na wszystko co dla jego usposobień jest obcym. Trafem szczególnym jego prawa, ustawy i religia znalazły się w doskonałej zgodności z jego instynktami. I oto cała przyczyna, dla której tak mało skłonny jest do rewolucyj; lecz gdyby fatalnym wypadkiem, co był przekleństwem wszystkich prawie innych narodów, spróbowano wymagać po nim posłuszeństwa prawom obcym jego naturze, wówczas wybuchnęłyby nieskończone walki, tém gwałtowniejsze i trudniejsze, że potrzebaby było rozpocząć wojnę nie z wojskiem, które można rozproszyć w kilku godzinach, ale z każdym oddzielnym indywiduum.

Dlatego mniemam że niektórzy politycy mylą się niesłychanie, sądząc iż można narzucić Anglikom pewne ustawy, z taką łatwością, z jaką je dano innym narodom. Monarcha lub minister, któryby chciał zniewolić lud ten do posłuszeństwa wbrew jego instynktom, musiałby zrobić to, co się stało przy oblężeniu Saragossy: chociaż miasto było już wzięte, potrzeba jednak było zdobywać każdą ulicę, każdy dom i każde piętro z osobna.

Zasada mowy angielskiej inną jest wcale niż przypuszczał Beaumarchais; składa się ona z dwóch zgłosek: *tak* i *nie*. Skoro jedna lub druga zostanie wyrzeczona, Anglik z nieodmienną już zaciętością działa podług wyrzeczenia. Jeśli wymówionem słowem jest *tak*, wówczas ujrzenie rodzące się posłuszeństwo w każdej chwili, miłość uległa, poświęcenie nieograniczone; jeśli zaś tym słowem jest *nie*, będzie ono hasłem nienawiści zawziętej i niezmienną. Jest jedno wyrażenie biblijne, powtarzające się często w książkach ich i rozmowach, a dobrze malujące grunt ich charakteru: „Jego miłość i nienawiść twarde były jak grobowiec i silne jak śmierć.”

Anglik poddaje się więc faktom tylko stosunkowo, że tak rzec można, w miarę tego jak ony mniej lub więcej zgodnymi są z jego instynktami; ale jak wszystkie rzeczy powstałe wśród otaczającej nas atmosfery nie znajdują w nas nic coby im bezwzględnie było przeciwnym, tak i uległość Anglików bywa silniejszą niż opór, a niepodległość, zamiast mieć do czynienia z istotnymi nieprzyjaciółmi, uciéra się tylko ze szczegółami. Ztąd to pochodzą owe subtelne odcienie życia politycznego i religijnego w Anglii, tak trudne do uchwycenia oku obcemu i do barw jaskrawych nazwyczajnemu. Anglicy rozprawiają o rzeczach niedościgłych, a kwestye w których zdania ich rozdzielają się niekiedy są tak drobiazgowo, że u innych narodów stanowiłyby punkt jednozgodności. Przedmioty dotyczące sumienia, sprzeczki gospodarskie, drobne nieporozumienia domowe, oto ostatnia ucieczka dla tego ducha bezwzględnej niepodległości. To co na stałym lądzie nazywają ekscentrycznością angielską, nie z kąd inąd pochodzi, jak tylko z tej niepodległości, co nie znajdując w okół siebie dość silnej pobudki do protestacyj, przywykła spierać się o błahostki. Anglik stosuje się do zwyczajów powszechnych, a wyłącza się od nich chyba tylko w jakim nadzwyczajnym, niebywałym prawie wypadku. Im bardziej niepojętym jest to

odłączenie, tém dziwniejszą wydaje się ich ekscentryczność. Muszą być w niektórych razach odszepiećcami od ogółu, aby mieć choćby najszcuplejszy otwór, przez który dusza ich mogłaby odetchnąć. O dobroczynna naturo! do jakichże spokojnych zapasów rycerskich doprowadziłaś biegiem czasu tę bezrządną niepodległość, tę dziką wolność dawnych piratów skandynawskich i barbarzyńskich wojowników! Ta to zgodność ustaw krajowych z powszechnymi usposobieniami, przyniatając niepodległość, ale jej nie niszcząc, rodzi to, co nazywają u nas ekscentrycznością. Skrępowana, niby w pieluchy spowita, przez ulubione nałogi i prawie nieszczęśliwa zbytkiem szczęścia, osobistość człowieka objawia się w tym kraju w najosobliwszy sposób. Jest to kraina wyobrażeń stałych i zabawek dziecinnych. Człowiek trawi tam żywot na żądaniach zniesienia brudnych miasteczek, zaprowadzenia reform miejscowych, uchylenia jakiego rodzaju cła, lub t. p., i mniema że to jest zajęcie dostateczne dla jego istnienia. Postępuje ciągle za jedną tylko myślą, za jednym wyłącznie przedmiotem, ale nieustannie i do śmierci. Anglia tegoczesna jest krajem osobistości, krajem gdzie korzyści materialne rozciągają się na większą liczbę ludności. Bez wątpienia ta osobistość jest tam bardziej żywą niż potężną, tak iż do litości niemal pobudza nas porównanie dzisiejszych Anglików ze starożytnymi n. p. Włochami, których ogromna działalność miała za pole rozwoju najciaśniejsze jak tylko można granice. Siena, Lucca, Pisa, Florencya, miały takie osobistości, jakich nie wydało wcale rozległe państwo W. Brytanii; ale jeśli w tém ostatnim mniej są jak we Włoszech wzniosłymi, to niezawodnie są liczniejszemi. Trudno znaleźć Anglika bez własnej szczególnej myśli, którąby pragnął widzieć triumfującą, bez jakiego wynalazku do wprowadzenia, jakiegoś odkrycia do objawienia; a jeżeli nie są wznioślejszemi, to nie należy ztąd poniżać ich geniuszu, ani charakteru, jak to czynią niesłusznie inni, a nawet i sam Emerson. Można ich obwiniać o nietrafne porywanie się na przedmioty ogólne; lecz skryta osobistość ich jest tak silną, że pracuje bez wypoczynku, dręczy się, docieka, dopóki nie wynajdzie sposobu wydobywania się na wierzch i dania się poznać,

Przystępujemy nakoniec do ostatniej cechy charakteru angielskiego, do prawdziwego kamienia probierczego przymiotów duszy, do odwagi. Odwaga

angielska uderza najbardziej swemi dziwnemi i ekscentrycznemi objawami. Jest ona barbarzyńską i północną; można powiedzieć że jest odwagą ludzi co nigdy nie walczyli przeciw ludziom, lecz tylko przeciw siłom natury. Mówią że Gallowie w wycieczkach wojennych podnosili miecze swe do góry, za każdym razem gdy grzmiało, i mówili: „gdyby się niebo zapadało, podtrzymamy je naszym orężem.” Oto odwaga Francuzów w swym pierwiastku; odwaga ludzi którzy zawsze mierzyli się z ludźmi, a siły przyrodzenia uważali za nieprzyjaciół ludzkości. Wystawiamy sobie że starożytni Skandynawi podczas grzmotów nie urągali piorunom, ale starali się o pewne przed nimi schronienie; że nie powierzali mieczom swym walce z burzą, i że gdyby tylko mogli, chętnie wydarliby bożkowi Thor chociaż kilka młotów, aby go zwalczyć równą bronią. Anglicy tak samo obchodzą się z ludźmi, jak radziby obchodzić się z naturą, gdyby nie znali jej przeważającej wszystko potęgi.

Anglia więc przedstawia cywilizacją barbarzyńską. Wszędzie odrzucany i niezdolny wyrazić się pod pewną formą, źle równoważony i zbyt ulegający instynktom aby mógł nad nimi panować, duch germański znalazł w Anglii praktyczne zastosowanie i okazał do czego jest zdolnym, nie już w życiu spekulatywnem (na rozumowaniach opartem), lecz w życiu politycznym i czynnym. Podania, ustawy, język, zwyczaje, charakter, cnoty i występki, wszystko to w zasadzie swojej jest tam germańskim. Do tej cywilizacji wszedł i pierwiastek łaciński; prawda; ale to przymieszanie nastąpiło w tak drobnym stosunku, w jakim miedź wchodzi do monety srebrnej, i w tymże samym celu: posłużył tylko do nadania duchowi narodowemu więcej dźwięku i trwałości; był nitem do mocniejszego połączenia wszystkich części cywilizacji. Potrzeba było i nieco karności, aby zbyt uczynna niepodległość nie stała się bezrządem; nieco ukształcenia rzymskiego, aby duch dzikości wstydził się sam siebie i nie upierał się w swęj niewiedomości i pysze. Cywilizacja rzymska dostarczyła ze swęj strony tej części karności i ukształcenia. Mimo to wszystko Anglicy zostali zawsze tém, czém byli ich ojcowie, a tylko rozwinęli ku lepszemu ich przymioty i usposobienia. Ojcowie ich byli anarchistami, oni są wolnemi i

niepodległemi; przodkowie ich byli żeglarzami i rozbójnikami morskimi, oni są marynarzami i kupcami; przodkowie ich byli rolnikami, rybakami i myśliwymi, oni są także posiadaczami gruntów, rybakami i myśliwymi; przodkowie ich mniemali że świat ożywiony jest mnóstwem niewidzialnych pracowników, zwanych *trollo*, albo karłami, oni urzeczywistnili to marzenie i zrobili z Anglii państwo trollów czynne do zadziwienia. Ci barbarzyńscy Skandynawi, tak dzicy, tak okrutni pod szorstką powierzchnością, mieli serca przystępne najczystszyemu i najdelikatniejszemu uczuciom, mieli miłość siedziby domowej i poszanowanie rodziny. Anglicy tegocześni zachowali wszystkie te uczucia, a dodali do nich tyle delikatności, ile tylko cywilizacja dodać jej może. Czułość serca angielskiego, obok jego srogości, dziwna jest swoją słodyczą. Ów surowy Nelson, ugodzony śmiertelnie pod Trafalgar, znajduje łagodne słowa, nie zdające się pochodzić z ust tego człowieka pełnego nieubłaganej nienawiści. Zwraca się on do lorda Collingwood'a i mówi ze słodyczą dziecięcia: „Uściśnij mię Hardi;” a potem, dodaje Emerson, jak dziecię usnął snem wiekuistym. Najwybitniejsze rysy i najdelikatniejsze odcienie ich charakteru zawsze są prawdziwie germańskimi.

Prawdziwym charakterem narodowym Anglików jest owa jedność łącząca wszystkie ich sprzeczności. Charakter taki godzien opisów i rozważania, bo przedstawia cywilizacją skończoną i ustaloną na przyszłość. Niema w sobie nic niepewnego, nic coby potrzebowało kształtowania i wyrabiania. Czas może mu jeszcze dodać niejakie ozdoby, lecz zawsze on pozostanie takim, jakim jest w gruncie. Liczba narodów co doszły do doskonałego władania sobą i przedstawienia światu znaczenia swego bytu wewnętrznego nie jest wielką. Wiek terażniejszy liczy ich tylko dwa, Anglią i Francją. Te dwa jedynie narody mają wyraźne rysy dwóch przeciwnych charakterów, rozrzuconych po całej Europie: Anglia germańskiego, Francja celtyckiego i łacińskiego; i właśnie to jest przyczyną dla której dwa te narody, pomimo wszystkiego co mają w sobie nieprzyjaznego, przyciągane są i odpychane wzajem od siebie, stanowiąc dwa bieguny przeciwne jednego magnesu, którego imię *cywilizacja*.

GATUNKI JABŁEK RAMBOUR.

W układzie znanego pomologa Diel'a ten gatunek jabłek mieści się w trzeciej klasie, z kąd też i grupa cała nosi jego nazwisko.

Do cech rozeznawczych zewnętrznych jabłek tej grupy należy kształt tychże, zwykle bowiem są szersze aniżeli długie, a przytém jedna strona niższa od drugiej, tak iż mniej więcej zawsze bywają krzywe, do czego się jeszcze bardziej przyczyniają narośle i kanty idące przez cały owoc, począwszy od kielicha.

Właściwie do jabłek zwanych Rambour należą wszystkie wielkie owoce tego rodzaju. Kształty ich częstokroć są potworne, a mianowicie tak zwanych fantowych, których część mięsista jest miękka, grudkowata, a przytém w komórkach swój tkanki zawiera sok nader przyjemnego, do wina nieco zbliżonego smaku.

Wszystkie prawie gatunki tych jabłek wydają wielkie, silne i z czasem bardzo płodne drzewa, dość dobrze znoszące nawet mocne zimy. Późno kwitną, co je tém bardziej przeciw zimnu zabezpiecza. Wszakże pomimo tych wszystkich przymiotów we wzglądzie utilitarnym liczą się do ostatnich gatunków, i dlatego też owoce te nie ukazują się na stołach i zastawach deserowych, lecz natomiast bywają używane z wielką korzyścią po kuchniach. Większa część tego gatunku jabłek przechowuje się bardzo długo, (wyjąwszy później dojrzewających) a szczególnie zimowe; letnie gatunki w kilka tygodni już więdną, stają się niesmaczne, a z czasem przybierają kolor brunatny.

Nazwę swą otrzymały te jabłka od wsi Rambour w Pikardyi, odległej o dwie mile od Abbeville, z kąd pochodzą tak nazwane białe Ramboury (Rambour blanc), znane w wielu okolicach pod nazwą *białych prążkowanych* albo *lotaryngskich* jabłek, które pomimo swój niekształtności należą do najbardziej poszukiwanych gatunków. Kolor ich bywa zwykle jasno-żółty, a przy korzonku obwiedzione są szerokimi, żywego karmazynowego koloru paskami. Zapach tych owoców jest bardzo przyjemny, a smak przepysznie białego, połyskliwego wnętrza odpowiada powierzchni. Gatunek ten dojrzewa w początkach wrze-

śnia; nie przechowuje się jednakże dłużej przy zwykłych sposobach konserwowania jak do końca października, i nawet od tego czasu zaczyna być niesmaczny i cierpki. Najlepszym środkiem przechowywania tego rodzaju owoców jest zagrzebanie ich w zbożu, przynajmniej na stopę głęboko. W ten sposób zabezpieczone przechowują się do późnej zimy, nie ulegając zmarznięciu, chociaż temperatura miejsca gdzie są przechowane 15° do 18° R. niżej zera wskazuje.

Z tej grupy najmniej pięknym jest gatunek *letni Rambour* (R. rouge d'été), który, podobnie jak pierwszy, we wrześniu dojrzewa; ten jednak daje się jeść prosto z drzewa i utrzymuje się w pełni swego smaku przez 6 do 8 tygodni. Tło tego jabłka żółto-zielone, pomieszane od strony na działanie słońca wystawionej z żółto-karmazynowym odcieniem. Niekiedy, lubo bardzo rzadko, kolor ten rozszerza się i na odwrotną stronę w kształcie promieni, a z przebijającym się tłem tworzy rodzaj przepysznej mozaiki. Smak i zapach ma nadzwyczaj przyjemny, fijołkowy i winny; część mięsna służyć może do deserowego dania, jak również z pożytkiem może być użytą do potrzeb kuchennych. Samo drzewo jest piękne i silne, a spuściste jego konary przedstawiają widok malowniczy.

Oba te gatunki potrzebują ciepłego gruntu, tudzież dobrego zabezpieczenia od zbytniego działania wiatru, jeżeli owoce ich mają być piękne i smaczne. Pod nazwą jednak ciepłego gruntu nie należy rozumieć miejsca wystawionego na działanie słońca, lecz raczej ziemię nie zawierającą w sobie zawiłe wilgoci. Załączona obok rycina przedstawia zimowy gatunek tych jabłek, które wprawdzie aż w grudniu dojrzewają, ale zato do wiosny zdrowo się przechowują. Francuzi nazywają ten gatunek *jaune*, u niemieckich zaś ogrodników znany jest pod nazwiskiem *wielkiego zielonego* albo *kwaśnego zimowego Rambour*.

Hodowanie tego gatunku w ogrodnictwie przedstawia znakomite korzyści, jest bowiem zarówno zdalny do suszenia jak i do wyrabiania na jablecznik. Drzewa bardzo obficie pokrywają się kwiatem i owocem, co jeszcze prędzej następuje



jeżeli sadzone są około murów, w kształcie szpalerów. Z początku owoce są jasno-trawistego koloru, następnie przybierają pięknie żółtą barwę; od strony słońca zaś zwykle dostają wypukłe, krótkie, karmazynowe prążki, a bardzo często pokryte są kolorem czerwonym, z odcieniem zielonawym. Część wewnętrzna mięsista, pełna soku, cokolwiek grudkowata, posiada smak środkujący między cynamonem a winem, zapach zaś fijołkowy. Drzewo tego gatunku jabłek, wystawione będąc na ciągły przewiew powietrza, pokrywa się mchami, jak to pokazuje rycina; należy je więc od czasu do czasu z tych roślinnego królestwa pasożytów oczyszczać, jeżeli nie chcemy tamować ich wzrostu, a tém samém i płodności.

Pomiędzy wielą gatunkami tego rodzaju owoców odznaczają się także *białe zimowe* Ramboury, których owoce, z razu seledynowo-zielone, przechodzą później w odcień cytrynowo-żółty, a w październiku dojrzewają i kilka miesięcy zdrowo się przechowują. Należą do owoców podrzędniejszego gatunku, niemniej jednakże do potrzeb kuchennych są przydatne.

Wielki albo *olbrzymi* Rambour (Rambour gros) należy do największych gospodarskich jabłek. Dojrzewa w końcu listopada, ale przechowuje się aż do wiosny. Owoce, pięknej żółto-zielonej barwy, z czasem przybiera kolor ciemno-żółty, z czerwonoawym odcieniem i wielą kropkami jasno-buremi. Część mięsna jest soczysta i przyjemnego smaku winnego, ale mało korzenna, i dlatego też gatunek ten zalicza się do drugorzędnych owoców,

ze względu na użytek stołowy. Równie wielki, ale piękniejszej barwy od dopiero wspomnianego, jest tak nazwany *angielski pyszny Rambour* (Glory of the West), gatunek także zimowy, ale nie dający się tak długo przechowywać. Z kształtu zbliża się nieco do spłaszczonej kuli, zakończonej przy ogonku niewielkim czubkiem, co go czyni na oko większym aniżeli jest w istocie. Cecha ta jest widoczną przy wszystkich gatunkach owoców należących do tego oddziału. Wynikające z tej przyczyny wklęsnięcie tworzy cienkie fałdy, które przebiegając wypukło cały owoc, psują jego foremność. Cechą tego gatunku jest długi i mięsisty ogonek: barwa owocu słomiano, a następnie cytrynowo żółta, od strony słońca przeciągnięta miłym kolorem czerwono-ceglistym. Część mięsna biała, soczysta przyjemnego korzennego i winnego smaku, z mocnym, nader miłym i orzeźwiającym zapachem.

Na szczególną uwagę zasługuje ten gatunek z przyczyny niepomiernej objętości nasiennika napełnionego pestkami. Drzewo bardzo wczesnie rodzić poczyną; owoc dojrzewa w październiku, około zaś Wielkiej-Nocy cierpnie i traci smak. W niektórych okolicach uprawiają dwa inne jeszcze gatunki jabłek, których czas dojrzewania przypada w jesieni. Takim jest *Rambour orleański* (Rambour d'Orleans), dojrzewający na początku jesieni, to jest w końcu września, i *Rambour francuzki*, którego owoc wielki, spłaszczony, pomimo zalet smaku, mniej jest ceniony, gdyż zaledwie przez sześć tygodni daje się przechować.

RZECZPOSPOLITA BOERÓW

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

Szczególna ta społeczność, której między innymi, pośrednio przynajmniej, zawdzięczamy znajomość geograficzną Afryki południowej, przedstawia tyle rysów godnych uwagi i prawdziwie dramatycznych, że w chwili gdy był jéj samoistny od trzech lat przeszło formalnie przez Anglię został uznany, rzut oka wsteczny na kolejne jéj rozwijanie się nie będzie bez zajęcia.

Pierwotną ludność rolniczą i pasterską Afryki

południowej składali Europejczycy, którzy, dla prześladowań religijnych, osiedli tu pod opieką rządu holenderskiego, żyjąc w zupełnej prawie niezależności; Holendrom bowiem chodziło tylko o posiadanie miasta Kap, to jest o zapewnienie sobie dogodnej przystani spoczynkowej dla okrętów płynących do Indyj, a mało bardzo dbali o to co się działo w głębi kraju. Plemiona Namakwów czyli Hotentotów i Beczuanów na cyplu południo-

wym Afryki nie mogły i nie chciały tym obcym przybyszom żadnego stawiać oporu. Kolonizacja więc odbywała się najspokojniej, chociaż wzrastała bardzo powoli; w czasie bowiem gdy kolonia dostała się w ręce Anglików, liczone w niej nie więcej jak 90,000 dusz, z których 40,000 pochodzenia europejskiego. Ze Hotentoci wobec tej społeczności cywilizowanej zeszli wkrótce do stanu służebności, to było naturalnym wpływem ich ciemnoty; ale do walk istotnych z krajowcami przyszło wtedy dopiero, gdy Kafrowie z pustyni wewnętrznych ruszyli się ku brzegom wschodnim, i z tamąd coraz bliżej podsuwać się zaczęli ku posiadłościom kolonii. W przeciągu półtora wieku panowania holenderskiego na przyładku, dwie tylko wojny wybuchły z tuziemcami, podczas gdy Anglicy od lat pięćdziesięciu, z niezmierną stratą ludzi i pieniędzy, prowadzili ich siedm. Dawniej Boerowie radzili sobie wybornie, bo gdy sąsiedni Kafrowie zabrali im bydło, to natychmiast do osady podejrzanej o kradzież robiono zbrojną wyprawę, i taką samą ilość napowrót odbierano. Była to sprawiedliwość nieco barbarzyńska wprawdzie, lecz bardzo skuteczna i zrozumiała dla dzikich krajowców. Rząd holenderski nie mieszał się też wcale w takie sprawy, żądając tylko aby mu o nich później donoszono.

Tak stały rzeczy, gdy kolonia roku 1805 dostała się w ręce Anglików. Z początku zaraz środki ich administracyjne wzbudziły niezadowolenie Boerów, które jednak nie byłoby zapewne przybrało ważniejszego charakteru, gdyby go nie podjęły zabiegi tamecznych misjonarzy. Szkoła filozoficzno-filantropijna XVIII wieku oblekła się w Anglii w szatę duchowną, i odkąd Wilberforce prawdziwie dobroczynne swe zamiary zaczął wprowadzać w wykonanie, w kraju tym stało się modą wystawiać dzikich i murzynów jako niewinne dzieci natury, Europejczyków zaś jako krwi chciwych barbarzyńców i tyranów. Jednostronny ten sposób widzenia rzeczy owładnął w Anglii nawet sfery rządowe i w wielu miejscach, a szczególnie na przyładku, stał się powodem gwałtownych zamieszek.

Nie tutaj miejsce roztrząsać po czyjej stronie była słuszność w sporach wynikłych na przyładku pomiędzy misjonarzami angielskimi a Boerami; zadaniem naszym jest tylko przedstawić główne fazy tego starcia. W samej kolonii misjonarze ogólnie tylko potępiali system niewolnictwa;

ale w stacyach swych pogranicznych stawali się bezwzględni obrońcami czarnych, uniewinniając ich rozboje, lub zupełnie takowym zaprzeczając, Boerów zaś pomawiając o ciemność. Tym sposobem zagnieżdżała się wzajemna nienawiść: misjonarze intrygowali przeciw Boerom, ci zaś uważali tamtych za podstępnych obłudników, pragnących zawładnąć krajem, a zatem bardzo dla siebie niebezpiecznych. Nieszczęściem misjonarze mieli wielki wpływ w Anglii, gdy przeciwnie Boerowie oddawna byli tam okrzyczani za rasę niespokojną i burzliwą. Wynikło ztąd że Boerom zakazano samowolnie wymierzać sobie sprawiedliwość; oni zaś, bardzo logicznie, domagali się aby ich Anglia obroniła, jeśli im samym bronić się nie ma być wolno. Gubernatorowie jednak, dla braku wojska, nie mogli temu żądaniu zadosyć uczynić, a jeśli nawet który z nich posiadał potrzebne środki i zamierzał wdać się w tę sprawę, to niezawodnie misjonarze spowodowali jego odwołanie. Bezkarność ta ośmieliła Kafrów do coraz zuchwalszych napadów; aż wreszcie w Anglii przekonano się iż Boery nie byli sprawcami złego i rzeczywiście potrzebowali pomocy. Postanowiono więc zachęcać do emigracyi na przyładek, i wysyłać tam mianowicie rolników, odstawnych żołnierzy i marynarzów. Osiedleńcy ci mieli stanowić linię graniczną między Kaframami a Boerami, i dlatego przeznaczono im okrąg Albany, przytykający od północo-wschodu do wielkiej rzeki Rybię, gdzie założyli miasto Grahamstown.

Z powstaniem tej kolonii angielskiej rzeczy inna wkrótce przybrały postać, bo nowi przybysze mieli już głos nietylko u gubernatora, ale i w Anglii, a położenie ich tak dalece było zbliżone do położenia Boerów, że niezadługo między nimi zawiązała się wspólność interesów, bardzo dla obu stron zbawienna. Wszystko więc zapewne byłoby się ułożyło w sposób pożądanym, gdyby zarządzone w r. 1833 emancypacja niewolników nie pozabawiła właścicieli gruntowych rąk pracujących, i nie stworzyła zarazem licznej klasy włóczęgów żyjących cudzym kosztem; gdyby wreszcie nowa wojna z Kaframami nie rozjątrzyła pogranicznych Boerów. Wojna ta, która ciężko dotknęła i angielskich osiedleńców, tym razem, według uznania samych nawet misjonarzy, niczem nie wywołana, skłoniła nakoniec gubernatora, Sir Benjamin d'Urban, do czynnego wystąpienia. Odpędzono Kafrów daleko za rzekę Rybię, pozakładano tam

osady Hotentotów i Fingów, i postanowiono że przestrzeń między rzekami Bawolą i Kei na zawsze pozostać ma niezamieszkaną.

Przezorne to zarządzenie zdawało się ubezpieczać kolonię od dalszych napaści; ale i tu znów misjonarze stanęli na zawadzie. Skutkiem zabiegów ich ówczesny minister kolonij w Londynie kazał tę przestrzeń powrócić Kafram i ustanowił kommissyą dla rozpoznania zażaleń ich przeciw Boerom. Wtedy (1836) Boerowie zaczęli opuszczać swe siedziby i przenosić się za Gariep. Jeden z naczelników pokolenia Matabelis rozpoczął z niemi kroki zaczepne, zabrał im bydło i ubił kilku ludzi. Boerowie ruszyli się hurmem, napadli na obóz Kafrów, i rozbiwszy ich w puch, zawarli z kilką innemi plemionami przymierze, przyrzekając szanować ich prawa i płacić za wszystkie swe potrzeby.

Pozyskawszy tym sposobem zaufanie sąsiadów, wychodźcy, pod przewodem niejakiego Retief'a, zaczęli się organizować, i liczba ich, nie przynosząca początkowo 6,000 głów, urosła wkrótce do 50,000. Retief złożył radę z dwudziestu czterech członków, dla uchwalenia praw, a mianowicie dla ustalenia wzajemnych stosunków pomiędzy właścicielami a niewolnikami wyzwolonemi, z których wielu dobrowolnie towarzyszyło dawnym swoim panom; niczego słowem nie zaniedbano aby emigracyi nadać charakter stały i zniweczyć szkodliwe skutki potwarzy w Europie przeciw ruchowi temu rozsięwanym.

Retief pojmował bardzo dobrze iż osiedlanie się w głębi kraju, opodal od morza, nie odpowiadało interesowi jego ziomków, i dlatego zwrócił swą uwagę na port Natal, zajęty już przez kolonię angielską. Osadnicy ci, zagrożeni przez Zulu-Kafrów pod dowództwem Dingaan'a, wezwali Retief'a aby przekroczył góry Quatlamba i połączył się z niemi. Boery skwapliwie chwycili się téj myśli i weszli zaraz w układy z Dingaan'em o zakupienie przedzielającej ich od morza części kraju. Dingaan mniemał z razu że zjedna sobie w Boerach sprzymierzeńców przeciw Anglikom, i wtedy dopiero poznał się na błędzie, gdy Retief, po przejściu Quatlambów, pierwsze odwiedziny złożył nie jemu, lecz Anglikom w Port Natal. Pałając zemstą, zaprosił do siebie Retief'a, dla ostatecznego niby układu o odstąpienie terytorjum nadmorskiego. Boerowie lękali się zdrady; lecz nieustraszony Retief z 70 ochotnikami udał się na miejsce

szadzuki, zawarł ugodę z Dingaan'em, i już powracał do swoich, gdy skrytobójczo przez Kafrów napadnięty, zamordowany został ze wszystkimi towarzyszami. Zanim jeszcze wiadomość o téj katastrofie doszła do Boerów, Dingaan napadł na ich obóz, ale odparto go z wielką stratą.

Teraz Boery, w połączeniu z Anglikami, postanowili pomścić śmierć swego naczelnika, i 11 kwietnia 1838 r. w walnej bitwie z Zulu-Kafram położyli im kilka tysięcy trupów. Tegoż dnia 800 kolonistów z Port Natal uderzyło na inny oddział Zulus'ów, lecz nie posiadając dostatecznej ilości broni palnej, zostali pobici na głowę, i gdyby nie postrach rzucony przez Boerów, kolonia angielska prawdopodobnie uległaby wtedy przemocy.

Na przykładu wypadki te największe obudziły zajęcie, i ludność holenderska na wyścigi dosyłała Boerom pieniądze, odzież, broń i amunicyą. Wzmocnieni tém osiedleńcy gotowali nową wyprawę przeciw wiarołomnemu Dingaan'owi. Szesnastego grudnia 1838 r. Zulus'owie szturmowali kilkakrotnie obóz Boerów, broniony tylko przez 470 ludzi. Odparto ich po zaciętej walce, a w końcu Boery konno zrobili wycieczkę, i z taką gwałtownością natarli na nieprzyjaciela, że ten przeszło 3,000 trupów zostawił na placu. Dingaan raz jeszcze usiłował stawić czoło, ale powtórnie pobity, cofnąć się musiał ku stronie północnej i ustąpić władzy bratu, z którym następnie Boerowie zawarli przymierze.

Na odgłos tych powodzeń większa część wychodźców ruszyła za łańcuch gór Quatlamba, dla osiedlenia się na żyznym pobrzeżu, gdzie założyli miasto Pietermaritzburg i rzucili podstawy ekonomicznego i politycznego bytu swojego. Potrzeba było tylko uregulować stosunek nowój kolonii do rządu angielskiego i postawić się względem niego w jaknajwiększej niezawisłości; o zupełnym bowiem oderwaniu się nikt jeszcze wtedy, nie myślał. W Anglii kłopotano się niezmiernie co począć z owemi wychodźcami, stanowiącemi prawie trzecią część ogólnej ludności Boerów na przykładu. Misjonarze byli rozdrażnieni, Hollendrzy tryumfowali z powodzenia swych ziomków, a nawet rolnicza ludność angielska wyraźnie im sprzyjała. Rząd wahał się w wyborze środków: to wysyłał wojsko do Port Natal dla obsadzenia przystani, to znów je cofał bez widocznego powodu; zakazywał wywozu broni i amunicyi z kolonii, a jednocześnie oświadczał gotowość wejścia w układy z Bo-

erami, zostawienia im wewnętrznego zarządu i mianowania tylko z swego ramienia gubernatora.

Niepewność ta trwała aż do roku 1840, w którym Boerowie, sprzykrzywszy sobie nieustanne rokowania, ogłosili się niepodległymi, pod nazwą rzeczypospolitej Port Natalia. Powody do tego rzeczywiście były dostateczne, bo w końcu roku 1839, podczas trwających jeszcze zatargów z Zulusami, rząd angielski odwołał zupełnie swoje wojsko, zostawiając Boerów bez pomocy. Jednakże w Anglii źle bardzo przyjęto ten krok samowolny, i gubernator kolonij aktem z d. 10 czerwca 1841 r. ogłosił Boerów za buntowników, jeżeli nie poddadzą się natychmiast wszelkim jego rozporządzeniom, naznaczając im termin przekluzyjny do stycznia 1842 roku.

Oburzenie Boerów z tego powodu było niezmiernie; napróżno umiarkowańsi radzili nie dopuszczać rzeczy do ostateczności: nie atakowano wprawdzie Anglików, ale gdy ci rozpoczęli sami kroki zaczepne, odparto ich z wielką stratą do obozu, gdzie następnie blokowani, dla braku żywności już poddać się mieli, gdy w samą porę przybyła fregata angielska z posiłkami dla oblężenców, dowodzonemi tym razem przez oficera z krwi holenderskiej. W Anglii zmiarkowano nareszcie że z ludźmi tak energicznymi drażnić się nie można, a chwycić się raczej należy środków pojednawczych. Boerowie ze swój strony przekonali się także iż opór dalszy przeciw przemagającej sile Anglików byłby szaleństwem, zwłaszcza że i sąsiednie plemiona krajowców zaczęły się znów poruszać i ciągłemi napadami na ludzi i trzody kolonistów niepokoiły.

Boery oświadczyli chęć układania się, a przeciwnicy wcale też ciężkich nie kładli im warunków. Pułkownik Cloete, tak się nazywał ów dowódzca angielski z rodu holenderskiego, ogłosił powszechną amnestyą, z wyjątkiem pięciu tylko osób, które później także amnestyonowano; uznanie prawnie nabytej własności, opiekę przeciw Zulusom i niemięszanie się w sprawy wewnętrzne kolonii. Stronnictwo misyonarzy na przykładu silnie się agitowało przeciw tej łagodności; ale już się poznano dostatecznie na ich intrygach, i rząd zatwierdził układy, rozszerzając je nawet do tego stopnia, że Port Natal został odtąd niezawisłą prawie kolonią.

Jeżeli jednak misyonarze niezadowoleni byli z zawartej ugody, to większość Boerów podobnie

na nią sarkala. Mnóstwo z nich przeniosło się na powrót za łańcuch Quatlamba i osiadło w krainie na północ od Gariepu. I tu atoli misyonarze nie dali im spokoju. W roku 1848 została utworzoną nowa prowincya pod nazwą Orange River Sovereignty, między rzekami Orange i Waal, gdzie zamieszkała większa część przesiedlonych, obok niektórych pokoleń krajowców. Do tych pokoleń przybywali misyonarze, w celu niby nawracania, a w gruncie jako ajenci polityczni, zostający w tajemnych związkach z kommissarzami cywilnemi przyładka. Aby jednak nie obudzić podejrzenia, wybiérano misyonarzów wyznania holendersko-reformowanego, zapewniono Boerom własność terytoryalną i obiecano nie mieszać się w sprawy ich wewnętrzne. Nadaremnie; Boery pozostali niedowierzającymi. Dwadzieścia do trzydziestu tysięcy ludzi przeniosło się dalej jeszcze ku północy i założyło tak zwaną rzeczpospolitą transwaalską. Przesiedliny nie odbyły się bez zatargów; musiano wprzód stoczyć walkę z Anglikami, którzy na głowę dowódcy tego ruchu, Pretorius'a, nałożyli cenę. Około 12,000 Boerów pozostało na miejscu, a opuszczone siedziby pozajmowali Anglicy.

Od tego czasu mało słyszano o Boerach, zwłaszcza o tych co zamieszkali na północ od Waal'u; jedna tylko okoliczność stała się dowodem materyalnej ich potęgi i prawego sposobu myślenia, a nawet przyczyniła się później do uznania ich niepodległości. Podczas wojny z Kaframami, trwającej od 1846 – 1849, na którą Anglia wydała do 4,000,000 f. st., Port Natal zostało prawie bez obrony. Wtedy Pretorius, dowódzca Boerów, objawił pokoleńiom czarnych, że jeśli przedsięwzją kroki zaczepne przeciw miastu, on z całym swym wojskiem przeciw nim wyruszy. Energiczne to wystąpienie tém silniej podziało na Anglików, że w nowowybucłej z końcem roku 1850 wojnie z Kaframami przekonali się o niewierności nawróconych przez misyonarzów wojsk hotentockich, które po większej części przeszły do nieprzyjaciół, i gdyby nie wdanie się Boerów transwaalskich, kolonia tym razem bardziej jak kiedykolwiek byłaby zagrożoną.

Ostatnia wojna z Kaframami stanowi punkt zwrotny polityki angielskiej względem przyładka: przekonano się że dzicy rzeczywiście są dziećmi, ale dziećmi bardzo niesfornemi, i że pozorne ich nawrócenie i połowiczna nauka jaką odebrali od misyonarzów więcej ich tylko uzuchwalała. Roz-

tropne i szlachetne postępowanie Pretorius'a jeszcze roku 1848, w czasie założenia prowincyi Orange-River-Sovereignty, spowodowało oświadczenie ze strony rządu angielskiego, iż stosunek podległości Boerów względem metropolii jest tylko środkiem czasowym. Ogromne koszta i ofiary wszelkiego rodzaju w ostatniej wojnie z Kaframi przyczyniły się ostatecznie do ogłoszenia samobytności kolonii, mimo przeciwne zabiegi partyi misyonarskiej i sarkania dzienników angielskich. W parlamencie podobnie odzywały się głosy przeciw temu krokowi; ale w końcu sam nawet były minister kolonij za torysów, Sir J. Pakington, uznał jego konieczność.

Zetknięcie z cywilizacją europejską wydarło w części krajowców z ogłupienia i ciemnoty, a wyzwolenie ich stworzyło klasę bardzo niebezpieczną dla przyszłości kolonii. Dawniej Boerowie przymuszali ich do pracy; po zniesieniu zaś tego przymusu, Hotentoci, niezdolni podnieść się do godności ludzi wolnych, po większej części stali się włóczęgami. Wprawdzie rząd usiłował temu zapobiedz, wcielając ich w osobne oddziały wojska; ale w wojnie ostatniej oddziały te, jako tak wyćwiczone, złączyli się z Kaframi, i większe niż ci ostatni Anglikom wyrządzali szkody. Mniemani przyjaciele ludzkości utrzymują że czarni mieli słusność, bo sprzymierzali się z sobą ku odparciu obcych najeźdźców. Pięknie to brzmi w istocie; lecz z jednej strony rząd angielski nie mógł przecież dopuścić wymordowania znajdujących się już na przylądku swych poddanych; z drugiej, gdyby nawet — co było niepodobieństwem politycznym — chciano zupełnie opuścić kolonię, to niezawodnie plemiona krajowców byłyby między sobą przeciągnęły ohydny wojnę wyćpienia. Moralna tylko i fizyczna przewaga całej rasy osiadłych tam Europejczyków powściągnąć zdoła krwawe te zatargi. Wiedzano o tém w Anglii, i dlatego w roku 1852 przyjęto uroczyste tego samego Pretorius'a, za którego głowę cztery lata temu naznaczoną była nagroda.

Powodów podobnego rodzaju zwykle się nie roz-

głasza; naturalnie więc nieprzewidziane postanowienie rządu angielskiego wprawiło wszystkich w osłupienie. Z przylądka wysłano do Londynu delegowanych z protestacją; dzienniki się oburzały. Mimo to wszakże 23 lutego 1854 roku została podpisana ugoda zwalnająca mieszkańców byłej prowincyi Orange-River-Sovereignty od poddaństwa angielskiego, i uznająca zupełną jej niezawisłość. Charakterystyczne bardzo są warunki tego aktu, iż Boerom wolno zakupywać sobie w Kapie zapasy broni i amunicyi, a rząd angielski wyrzeka się wszelkich układów z krajowcami. Układy te aż dotąd bywały rozmyślnym nieraz środkiem zadziérania z Boerami; co się zaś tyczy nabywania zapasów wojennych, jest to środek zarówno polityczny jak filantropijny, bo zapewniający raz na zawsze Boerom przewagę nad hordami dzikich krajowców.

Dziesiątego kwietnia 1854 roku deputowani różnych okręgów uchwalili i podpisali w Bloemfontein konstytucyą nowąj rzeczypospolitej. We wszystkich stosunkach urzędowych używany jest język holenderski, a korespondencye i podania w innych językach powinny być obok przetłumaczone po holendersku. Obraża to wprawdzie miłość własną mieszkających w kraju Anglików; lecz Boerowie, czując się w swoim prawie, ani na włos ustąpić go nie myślą. W akcie uznania niepodległości jest mowa tylko o Boerach osiedlonych na południe rzeki Waal, a niema wzmianki o mieszkających dalej na północ, w tak zwanąj rzeczypospolitej transwaalskiej. Z tém wszystkiém niezawisłość jednych, *de facto* usamowalnia i drugich, a skoro tylko wewnętrzne sprawy rzeczypospolitej południowej zostaną ostatecznie uporządkowane, wtedy nieuniknioném następstwem pociągnie ona ku sobie północną, i połączenie obu utworzy w Afryce południowej bogate w przyszłość państwo białych, dość potężne na teraz by stawić czoło napaści czarnych, a jednak zbyt słabe jeszcze liczbą, ażeby nie pojęło konieczności ludzkiego i łagodnego obchodzenia się z krajowcami.

PAROWIEC GREAT-EASTERN.

Anglicy byli pierwszymi którzy w roku 1838 na statkach parowych *Sirius* i *Great-Western* przepłynęli Atlantyk. Angielska kompania w roku 1843 zbudowała pierwszy okręt z żelaza; okrętem tym był *Great-Britain*, o sile tysiąca koni. Angielskie także stowarzyszenie wzięło dziś inicjatywę w najkolosalniejszym przedsięwzięciu o jakim kiedykolwiek zasłyszano w dziejach marynarki. Stowarzyszenie to nosi miano „Kompania wschodnia żeglugi parowej” (*Eastern steam-navigation Company*). Celem jej jest przewożenie do Australii wychodźców i towarów, a odwożenie ztamtąd ludzi wzbogaconych i złota. Nie idzie już tu więc o taką drobnostkę jak żegluga transatlantycka, lecz o zaprowadzenie regularnej, szybkiej i na wielką skalę komunikacji między koloniami australijskimi a metropolią, słowem o przewożenie od razu jakich dziesięciu tysięcy osób, w przeciągu najwyższej pięciu tygodni, z Anglii do Nowej Hollandyi.

Z istniejących aż dotąd statków parowych żaden nie podobałby takiemu zadaniu. Potrzeba było wystawić okręt olbrzymich rozmiarów, któryby nie tylko przechodził wszystkie inne wielkością przynajmniej o połowę, lecz któryby nadto, z powodu właśnie swojego ogromu, zbudowany był według nowego zupełnie systemu.

Inżynier angielski Brunel podjął się urzeczywistnienia tego planu, i on to stworzył owego olbrzyma, o którym tu mówić zamierzamy, ochrzczonego najprzód symbolicznym imieniem *Leviathan*, a przezwanego później *Great-Eastern* (Wielki Wschodowiec).

Prace około tej budowy wykonywają się w Millwall niedaleko Londynu, na warstatach p. Scott-Russel. W chwili gdy to piszemy są one bliskie ukończenia; pudło zupełnie już gotowe, i wszystkie ważniejsze części składowe we wnętrzu jego ustawione. Nie jest to więc teoria wymarzona, ale najdotykalsza w świecie rzeczywistość.

Największym z istniejących dotąd był parowiec *Persia*, mający 112 metrów długości, na 13,70 szerokości. *Great-Eastern* jest blisko dwa razy dłuższy (209 metrów). Szerokość jego, stosunkowo mniejsza, wynosi 25 metrów, a głębokość 18 metrów.

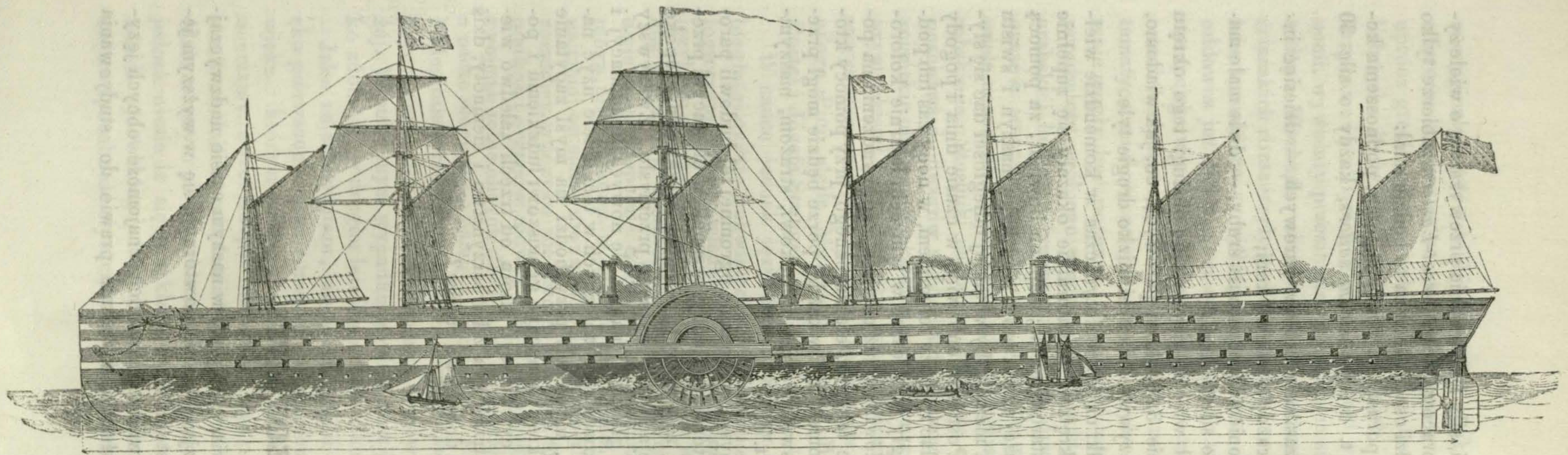
Konstrukcja tego olbrzyma odróżnia go nie tylko od okrętów drewnianych, lecz nawet od innych okrętów żelaznych. Dotychczas statki żelazne robiono z grubej blachy, przymocowanej do poprzecznic z kutego żelaza. System ten atoli w tak kolosalnej budowie nie byłby zapewnił potrzebnej trwałości; zastąpiono go więc innym, niezmiernie prostym i dowcipnym. Ściany złożone z płyt blaszanych, spojonych jak w kotłach parowych, są podwójne i w środku próżne. Przedział między nimi zapełniają krzyżujące się z sobą blaszane przegrody. Tym sposobem szkielet statku składa się z pewnej liczby komórek nie mających żadnej między sobą komunikacji, które w razie powstania zacieku zmniejszają jego szkodliwość, ograniczając go do jednego tylko miejsca, pudłu zaś okrętowemu nadają trwałość taką jak gdyby całe było z żelaza, obok lekkości właściwej statkom drewnianym.

Odległość między ścianami wynosi 75 centymetrów (około 5 ćwierci łokcia), grubość blach 25 milimetrów (przeszło cal jeden). Blachy te przykrojono ogromnymi nożycami, poruszanymi maszyną parową, a potem w stosownie urządzonej walcowni nadano im odpowiednią krzywiznę. Każdą z nich ponumerowano, jak kamienie do budowy sklepień, a następnie pozostawało już tylko przytwierdzić je w miejscu z góry oznaczonym.

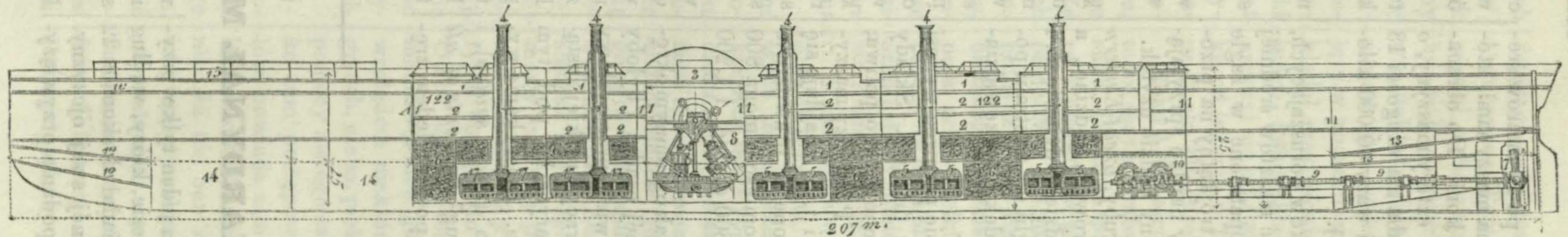
Wnętrze okrętu podzielone jest poprzecznie za pomocą ścian blaszanych, odległych od siebie po 18 metrów, na dziesięć głównych części. Działy te mają znów swe poddziały, stosownie do potrzeb ekonomicznych. Pokład górny jest podwójny i komórkowaty, podobnie jak ściany zewnętrzne; niższe pokłady są pojedyncze, i przecinają w poprzek wzmiankowane działy poprzeczne.

Widziemy że do składu pudła nie wchodzi ani odrobinka drzewa; okręt więc nie potrzebuje lekać się ognia. Co się tyczy wody, części jego, jak mówiliśmy, tak są powiązane, że w razie zacieku szczupła tylko przestrzeń może być od razu zalana; a gdyby nawet, skutkiem gwałtownego uderzenia, okręt na kilka rozleciał się kawałów, to i tak jeszcze każdy z nich pływałby osobno.

Przyrządy poruszające dwojakiego są rodzaju:



10 20 30 40 50 100 metres



Parowiec Great-Eastern w elewacji i przecięciu.

1, salony górne. — 2, salony główne. — 3, izba kapitana. — 4, kominy. — 5, piece do maszyny śrubowej. — 6, składy węgla. — 7, śruba z osią. — 8 maszyna kołowa. — 9, ramię śruby. — 10, maszyna śrubowa. — 11, przegrody ruchome. — 12, pomosty żelazne dla wzmocnienia przodu. — 13, pokłady żelazne dla wzmocnienia tyłu. — 14, składy towarów. — 15, izby oficerów. — 16, sypialnie osady. — 17, piece do maszyny kołowej. — 18, rury do wypuszczania pary.

Główne rozmiary:

Szerokość	25 ^m 30
Długość	209 metrów.
Wydrążenie	18 „
Długość głównych salonów	122 „
Pomosty	4 „
Średnica śruby	7 ^m , 30
Ładunek :	22,500 tonnów.
Zapasy węgla	10,000 „

Siła maszyny kołowej	1,400 koni.
„ „ śrubowej	1,700 „
Liczba cylindrów do maszyny kołowej.	4
Średnica cylindrów	74 c. ang.
Zanurzenie się z całym ładunkiem....	8 ^m , 50
„ „ bez ładunku	6 ^m , 50
Pasażerów 1 klasy	800
„ 2 klasy	1,800
Wojska z uzbrojeniem	10,000.

koła skrzydłowe i śruby. Koła, po 17 metrów średnicy, poruszane będą czterema maszynami, których siła ogólna wyniesie 1,400 koni. Do obracania śruby służyć będą również cztery maszyny, o sile zbiorowej 1,700 koni. Śruba ma długości 18 metrów, średnicy 4,20 metrów i waży 60,000 kilogramów (blisko 150,000 funtów).

Oprócz tych potężnych środków poruszających, *Great-Eastern* będzie miał sześć masztów średniej wysokości, z których dwa opatrzone w żagle czworoboczne, a nadto żagiel trójkątny na przodzie. W ogólności jednak przy bardzo sprzyjającym tylko wietrze z żagli robiony będzie użytek.

Przy pomocy samych kół i śruby, *Great-Eastern* osiągnie szybkość 29 kilometrów na godzinę, a drogę przez Atlantyk przebędzie w dziewięciu i pół dniach. Przeprawa z Anglii do Australii potrwa dni 38, jeżeli żaden wypadek nieprzewidziany czasu tego nie przedłuży.

Objem ogólny budującego się parowca wynosi 22,000 tonnów (tonn = 2,000 funtów). Składy węgla zawierać będą 10,000 tonnów tego paliwa; składy towarów 5,000 tonnów. Pomędzy maszynami, magazynami, kuchniami i t. p. znajdują się obszérne apartamenta, urządzone z prawdziwie angielskim komfortem, które pomieścić mogą 800 pasażerów pierwszej klasy, 1,800 drugiej i 1,200 trzeciej.

Zdawałoby się że kierowanie tak ogromnym okrętem wymaga nadzwyczaj licznej osady; i byłoby tak rzeczywiście, gdyby nasz wiek przemysłowy zawsze i wszędzie nie umiał pracy ludzkiej zastąpić działaniem maszyn. I marynarka pod tym względem nie pozostała w tyle. Amerykanie wynaleźli już „majtków parowych” (*steam sailors*), i „służących do wszelkich posług” (*servants of all works*), którzy, jak powiadają, pod względem zrę-

czności, siły i wytrwania przewyższają o wiele żywych pracowników. *Great-Eastern* zabierze tylko 500 ludzi osady, lecz za to będzie miał:

Do poruszania windy i pomp, podnoszenia kotwic i t. d. dwa *steam sailors*, każdy o sile 30 koni;

Do zasilania kotłów parowych, — dziesięć innych, każdy o sile 10 koni;

Nakoniec do obracania śruby, — dwie małe maszyny o sile 20 koni.

Ogół więc sił użytych do obsługi tego okrętu wyniesie 3,300 koni parowych, co, jak wiadomo, w rzeczywistości czyni blisko drugie tyle.

Środki używane dotychczas w komendzie wielkich okrętów, tu naturalnie okazały się zupełnie niewystarczającymi; kapitan bowiem, za pomocą najlepszej nawet tuby, śród huku maszyn i świstu wiatru, nie mógłby w takiej odległości dać się słyszeć. Postanowiono więc w czasie dnia i pogody przesyłać rozkazy telegrafem, w nocy zaś lub podczas mgły wywieszać w tym celu latarnie kolorowe. Mówiono już nawet o zaprowadzeniu na pokładzie telegrafu elektrycznego, przy pomocy którego komendant w każdej porze będzie mógł przesyłać swe zlecenia stérnikowi, strażom, maszynistom i t. p.

Pomysł i wykonanie ogromnej téj budowli parowej (której dokładny rysunek w elewacji i przecięciu załączamy), stanowi niezawodnie epokę w dziejach nowożytnego przemysłu. Zważywszy ile to głębokiej nauki, ile nowych kombinacyj i zastosowań mechanicznych w tém dziele użyć należało, mimowoli przychodzi na myśl zapytanie gdzie kres naznaczyć geniuszowi ludzkiemu i potędze cywilizacji, która od trzech zaledwo wieków otrząśnięta z barbarzyństwa i ciemnoty, dziś takich dokonywa cudów?

KARDYNAŁ MEZZOFANTI.

Starożytność przekazała nam jeden tylko przykład polyglotyzmu w Mitrydatesie, który, według świadectwa spółczesnych, posiadał doskonale 22 czy 25 narzeczy wieloplemiennéj swéj ojczyzny. Potomni jednak mało do tego podania przywiązy-

wali wiary, aż póki w naszym czasie nadzwyczajne to zjawisko nie powtórzyło się w wyższym jeszcze stopniu.

W wiekach średnich znajomość obcych języków służyła wyłącznie prawie do studyowania

woryginale tekstów biblijnych. Do znakomitych wówczas lingwistów należał św. Augustyn, który, oprócz greckiego i łacińskiego, znał dobrze język hebrajski, koftyjski i kilka wschodnich. Wojny krzyżowe i pod tym względem, jak pod wielą innymi, wywołały przesilenie. Zetknięcie się z narodami Wschodu, niewola wielu rycerzy chrześcijańskich rozszerzyły po Europie znajomość języków tureckiego, syryjskiego i perskiego. Arabski oddawna już był upowszechnionym; bo młodzież europejska w części pobierała nauki w uniwersytetach hiszpańskich Maurów, a zresztą nauki matematyczne i fizyczne tylko w tym języku gruntownie mogły być poznane. Alchemia i astrologia, przedmioty ogólnego wtedy zajęcia, w literaturze arabskiej liczyły najznakomitsze swe dzieła. Za czasów jeszcze Dante'go po miastach włoskich wielu uczonych zajmowało się tłumaczeniami z arabskiego. Stosunki nakoniec handlowe z Azyą, poselstwa do dworów wschodnich i misye chrześcijańskie obeznawały zwolna zachód z narzeczami azjatyckimi. Przy schyłku wieków średnich historia wymienia jako słynnych lingwistów Giovanni'ego Pico della Mirandola, jezuitę Wilhelma Postel i Józefa Scaliger.

W nauce jednak języków nie należy mieszać biegłości czysto lingwistycznej z poznaniem filologicznym. Zręczne władanie konwersacyjne obcym językiem z jednej, a gruntowne zbadanie jego ducha i skarbów literatury z drugiej strony, są to dwie rzeczy zupełnie odrębne, które spotkać się mogą przypadkowo w jednym człowieku, ale bynajmniej od siebie nie zależą. Do płynnej i łatwej rozmowy w języku nie swoim potrzeba fizycznej giętkości organów mowy, (dla dokładnego przyswojenia sobie obcych dźwięków, obcego akcentu), a nadto niezwyklej pamięci wyrazowej. Poznanie filologiczne przeciwnie całkiem jest niezawisłe od fizyczności, i dlatego duchowo stoi nierównie wyżej. W pierwszym wypadku wychodzi na jaw tylko zdolność, w drugim intelligencja naukowa.

Jako najznakomitsze, niepojęte prawie zjawisko pierwszego rodzaju uważać powinniśmy człowieka o którym tu nieco obszerniej pomówić zamierzamy. Józef Kacper Mezzofanti, syn prostego cieśli, urodził się w Bolonii 17 września 1774 roku. Mało wiemy o pierwszych latach jego życia; wieść jednak niesie iż się przykładał za młodu do rzemiosła ojcowskiego, i że pracując na dole, miał często sposobność słyszenia ojca Respighi, wykla-

dającego na piętrze przy otwartych oknach łacinę i greczyznę. Tym sposobem młody Mezzofanti korzystał cichaczem z owych lekcyj, i raz podobno ksiądz Respighi zeszedł go powtarzającego z dziwną dokładnością posłyszane frazesy greckie. Staraniem ojca duchownego młodzieniec został przyjęty w poczet uczniów seminaryum, gdzie się przykładał szczególnie do języków łacińskiego, greckiego, hebrajskiego i arabskiego; po francuzku nauczył się od starego księdza z Blois, po szwedzku od lekarza w Bolonii, po koftyjsku od uczonego opata Mingarelli.

Roku 1797 otrzymał święcenia kapłańskie i katedrę języka arabskiego przy uniwersytecie bolońskim. Po kilka razy tracił i odzyskiwał profesurę, z powodu że przywiązany szczerze do sprawy papieżstwa, nie mógł przywyknąć do stosunków politycznych owego czasu. W pierwszych latach bieżącego stulecia wzywany przez Murata do Neapolu, przez wielkiego księcia tokańskiego do Florencji, przez Piusa VII do Rzymu, przez Franciszka I do Wiednia, Mezzofanti z miłości dla miasta rodzinnego oparł się wszystkim tym pokusom.

W Bolonii łatwo wtedy było nauczyć się wielu obcych języków, zwłaszcza w szpitalach wojskowych. Italią przeciągały armie nietylko francuzkie, lecz także rossyjskie i austriackie, a w tych ostatnich liczne mieściły się narodowości. Mezzofanti'ego nazywano powszechnie „spowiednikiem cudzoziemców” (confessario dei forestieri) i ciągle go sprowadzano do łoża boleści lub śmierci obcych wojowników. Zdarzało się nieraz że Mezzofanti słuchał kogoś spowiedzi, nie znając całkiem jego mowy, a wtedy pierwsze początki językowe pochwycać musiał z ust samego cierpiącego. Ale gdy tylko doszedł do tego że chory zmówił na głos Ojcie nasz, Wierzę w Boga lub inną jaką znaną modlitwę, albo gdy się z nim zdołał porozumieć względem niektórych pojęć ogólnych, jak cnota, grzech, niebo, piekło, Bóg i t. p., wtedy już, przy pomocy małego zasobu zdobytych wyrazów, szybko sam postępował naprzód. Właściciele hotelów, powiada sam o sobie nasz polyglota, zachwalali mnie cudzoziemcom przybywającym do Bolonii. Ja też bez żadnych ceremonij odwiedzałem ich, wypytywałem i notowałem ważniejsze szczegóły, starając się poznać mianowicie sposób wymawiania i zwroty konwersacyjne obcych języków. Kilku uczonych jezuitów, kilku Hiszpanów, Portugalczyków i Meksykanów mieszkających

w Bolonii dzielną w tych usiłowaniach stało się dla mnie pomocą. Wziąłem sobie za zasadę nie pomijać żadnej grammatyki, żadnego słownika bez obznajmienia się z ich treścią, a pamięć ogromna i nadzwyczajna giętkość organów mowy wielce mi tę pracę ułatwiały.”

Publiczność europejska poznała Mezzofanti'ego roku 1819, gdy niejaki p. Stewart Rose w listach swych z podróży po północnych Włoszech wspominał o siniorze Mezzofanti, mającym lat około 36 i mówiącym dwudziestą językami. W tym także czasie przypada znajomość jego z lordem Byronem, który zapewnia że „cudzoziemiec ten jako tłumacz uniwersalny byłby mógł ważne wyświadczyć usługi przy babilońskim pomieszanu języków.” „Wypróbowałem go, dodaje Byron, we wszystkich językach w jakich znałem choćby jedno przekleństwo majtków, gondolierów, mulników, wielbłądników, pocztylionów i pocztarzów całego świata, i wyznać muszę że mnie przewyższył, nawet i w angielskim!”

Rozgłosną jednak sławę zjedną Mezzofanti'emu dopiero znany podróżnik baron Zach, który przebywając we Włoszech w celu obserwowania zamienienia słońca, wyraził się o nim w te słowa w swojej „korrespondencji astronomicznej” (luty 1820): „Piérwszą dla nas ciekawością było zamienienie obrączkowe, drugą signor Mezzofanti. Nadzwyczajny ten człowiek, istny współzawodnik Mitrydata, posiada doskonale trzydzieści dwa żyjących i martwych języków. Przemówił do mnie najprzód po węgiersku tak zręcznie wyrażonym komplementem i z tak wyborną wymową, że osłupiałem z podziwienia. Prowadził dalej rozmowę w języku niemieckim, z dosadnością zwrotów i czystością akcentu nie pozostawiającą nic do życzenia. Rozgadał się potem po rosyjsku i po polsku z księciem Wołkońskim, i to bez namysłu, bez żadnego zajknięcia się, jak gdyby mówił rodzinnym swym językiem. W czasie obiadu danego przez kardynała-legata della Spina, jego eminencya posadził mnie obok Mezzofanti'ego. Probowalem kilku obcych języków, ale we wszystkich polyglota silniejszym był odemnie. Nareszcie odezwałem się z frazesami wołoskimi, których zapamiętałem z czasu konsystencyi mego pułku w Siedmiogrodzie. Bynajmniej tém nie zakłopotany, Mezzofanti zdawał się nie spostrzegać nawet mojego wybiegu, i począł gawędzić po wołosku tak płynnie i tak szybko, że zmuszony byłem prze-

rwąć jego mowę: „Powoli, powoli, księżu dobrodzieju, nie mogę podążyć za tobą; znajomość moja języka wołoskiego nie sięga tak daleko.” Baron Zach dowiedział się później że Mezzofanti umie i po cygańsku. Podczas wojen włoskich polyglota nasz znalazł w jakimś pułku węgierskim Cygana, i od niego wyuczył się narzecza, będącego, jak się zdaje, gałęzią wielkiego szczepu języków indo-sanskryckich.

Natychmiast po wydrukowaniu tego sprawozdania, zgraja krytyków rzuciła się na barona, obwiniając go o mistyfikacyę. Uczony astronom odpowiedział stanowczo powtórzonym zapewnieniem iż signor Mezzofanti mówi biegle językami niemieckim, francuzkim, angielskim, rosyjskim, polskim, węgierskim, słowackim i wołoskim, o czém z własnego przekonał się doświadczenia. Przytoczył przytém następującą anegdotę, z zaręczeniem za jej prawdziwość. Niejaki baron Ulmenstein, pułkownik w służbie hanowerskiej, znajdował się z żoną w towarzystwie Mezzofanti'ego. Przez parę godzin prowadzono rozmowę po niemiecku, aż w końcu boronowa zapytała pocichu męża, jakim sposobem Niemiec rodowity dostał się na posadę profesora i bibliotekarza przy wołoskim uniwersytecie.

Tegoż roku (1820) pisała o Mezzofanti'm lady Morgan: „Zapytałam go czy to prawda że posiada czterdzieści języków. Odpowiedział iż co do liczby przeszedł już czterdziestkę, ale nie może się pochwalić żeby wszystkiemi władał doskonale.” Powszechność jednak pozostała niewierną. W następnym roku (1821) odwiedził słynnego lingwistę Duńczyk Molbech. Powiada on ze słyszenia iż Mezzofanti zna dobrze przeszło trzydzieści języków. Z nim samym rozmawiał po duńsku „nie tak biegle jak po niemiecku i po angielsku, ale zawsze bardzo poprawnie”. Roku 1825 filolog Jacobs potwierdził w zupełności zdanie „korrespondencyi astronomicznej” Zach'a, dodając że znalazł go bardzo biegłym w literaturze niemieckiej.

W tym czasie przypada przesiedlenie się Mezzofanti'ego do Rzymu. Z Bolonii bowiem pisywał on często w kwestyach filologicznych do księdza (później kardynała) Capellari, a ten wstępował teraz jako Grzegorz XVI na stolicę apostolską. Jego Świętobliwość pragnął usilnie ściągnąć znakomitego Bolończyka do Rzymu, a wkrótce téż dogodna ku temu nastęczyła się sposobność. Po uśmierzeniu powstania w państwie kościelnym, Mez-

zofanti wysłany został do papieża z deputacją od miasta rodzinnego. Potrzeba było jednak, jak się wyraził żartobliwie Grzegorz XVI, „formalnego obłączenia” aby go skłonić do przesiedlin. Gdy słynny Angelo Mai złożył bibliotekarstwo Watykanu i przeszedł na sekretarza Propagandy, Mezzofanti otrzymał opróżnioną po nim posadę, a później (r. 1840) razem z Mai'm mianowany został kardynałem.

W Rzymie dopiero Mezzofanti znajdował się we właściwej sobie sferze. Badania lingwistyczne stały się oddawna panującą jego namiętnością, a gdzież obszerniejsze ku temu znaleźć mógł pole jak w stolicy świata chrześcijańskiego? Podczas świąt wielkich zbierali się tu przedstawiciele, spływały języki wszystkich narodowości. Sama już Propaganda skupiała ogromną ich liczbę, a w przedpokojach Watykanu codziennie można było spotykać misyonarzy z najodleglejszych kończyn ziemi.

Sława Mezzofanti'ego dosięgła swego zenitu, i dlatego właśnie potrafić musiała o krytykę zawistną. Autor niemiecki Fleck w swojej „Podróży naukowej przez Włochy” pisze o nim między innymi: „Jest coś w tym człowieku co przypomina naturę papugi. Łatwo się przekonać o ubóstwie jego myśli; podziwiać jednak trzeba jego biegłość lingwistyczną, tém bardziej że Włochom w ogólności trudno obcego wyuczyć się języka.” Równie niekorzystnie wyraża się o Mezzofanti'm niejaka pani Paget, z domu Wesselenyj. „Na pierwszy rzut oka, powiada, postać kardynała nieprzyjemne robi wrażenie. Ma lat około 70, jest mały, wychudzony i mizerny, a wszystkie jego członki w nieustannym są ruchu. Po węgiersku mówi dość znośnie i z niezłym akcentem. Z jakimś księdzem przybyłym z Palestyny rozmawiał po turecku. Zapytałam go ile właściwie posiada języków. „Niewiele, odrzekł, bo tylko czterdzieści do pięćdziesięciu.” Pani Paget lubuje się potem w wykrzyknikach nad „bezmyślném powtarzaniem wyrazów, przypominającym raczej automat, niż rozumne stworzenie”, nad „dziecinną próżnością” kardynała. Oboje jednak, Niemiec i Węgierka, grubo się pomylili, gdyż Mezzofanti wolnym był od wszelkiej próżności, a jeśli szukał cudzoziemców, to nie dla popisu, tylko z wrodzonego zamiłowania.

Najważniejsze świadectwo wysokich zdolności kardynała, zostawił nam Guido Görres w swych

„Pismach historyczno-politycznych” (1842). „Mezzofanti, mówi on, włada wszystkimi językami europejskimi, a rozumiem przez to nietylko języki starożytne i pierwszorzędne żyjące, jak francuzki, angielski, niemiecki, włoski, hiszpański i portugalski, lecz nadto drugorzędne, jak holenderski, duński i szwedzki. Znajomość jego rozciąga się prócz tego do rodziny języków sławiańskich, jak rosyjski, polski, czeski i serbski, do węgierskiego i tureckiego, a nawet do języków trzeciego i czwartego rzędu, jak irlandzki, albański, wołoski, illyryjski, bułgarski i litewski. Nie obce mu także języki szczepu rumańskiego krain podalpejskich, a niedawno wyuczył się po lapońsku. Mistrzem jest w językach rodziny indo-germańskiej, w sanskryckim, perskim, kurdyjskim, armeńskim i georgijskim. Zna wszystkie niemal gałęzie szczepu semityckiego, języki hebrajski, arabski, syryjski, samarytański, chaldejski sabaicki. Po chińsku mówi i pisze dość biegle. Rozumie po koftyjsku, etiopsku, abissyńsku, ancharyjsku i anglo-saksońsku. Nie mogę zapewnić z własnego przekonania czy posiada pierwotne języki amerykańskie; mówiono mi jednak iż nauczył się niektórych jeszcze w Bolonii od jakiegoś ex-misyonarza.” Rzeczywiście w bibliotece kardynała znajdowały się książki meksykańskie, brazylijskie, peruwiańskie i chilijskie, a nawet w narzeczach północno-amerykańskich, na przykład w delawarskim.

Manawit, biograf kardynała, ¹⁾ przytacza jak pewnego razu Grzegorz XVI chciał wypróbować zniecka uczonego prałata. Obydwaj mężowie przechadzali się zwykle po obiedzie w ogrodach Watykanu. Otóż z rozkazu papieża ukryci za klombami uczniowie Propagandy zabiegli im nagle drogę, i przykleknawszy najprzód przed Jego Świątobliwością, opadli potem kardynała zapytaniami, każdy w ojczystym swym języku. Powstał ztąd hałas tak wielki, że trudno było wyróżnić, a tém bardziej zrozumieć, pojedyncze głosy. Lecz Mezzofanti, bynajmniej tém nie zmieszany, przywoływał chłopców po jednym i odpowiadał każdemu w jego mowie rodzinnej tak biegle i dowcipnie, że wprawił wszystkich w podziwienie.

Gdy Mezzofanti zamierzał nauczyć się jakiegoś języka w którym istniały dzieła drukowane, zaczynał zawsze od biblii, katechizmu i innych ksiąg

¹⁾ Esquisse historique sur le Cardinal Mezzofanti. Paris, 1853.

zek treści powszechnie znajomój, i tym sposobem porównawczo dochodził znaczenia wyrazów i całych zwrotów. Trudniejsza była sprawa z językami nie posiadającymi żadnych pomników drukowanych. W takim wypadku kardynał skłaniał uczniów z którymi porozumieć się pragnął do odmówienia na głos jakiej modlitwy, i starał się uchwycić najprzód to co nazywał „rytmem języka.” Potem usiłował odgadnąć przyrostki i końcówki, odróżnić rzeczowniki, przymiotniki i czasowniki, tudzież ważniejsze odmiany spadkowe i czasowe. Domacawszy się po trosze tego wszystkiego, postępował już szybko dalej, i za pomocą instynktowej zdolności uogólniania pojęć stawał się wkrótce panem swojego przedmiotu.

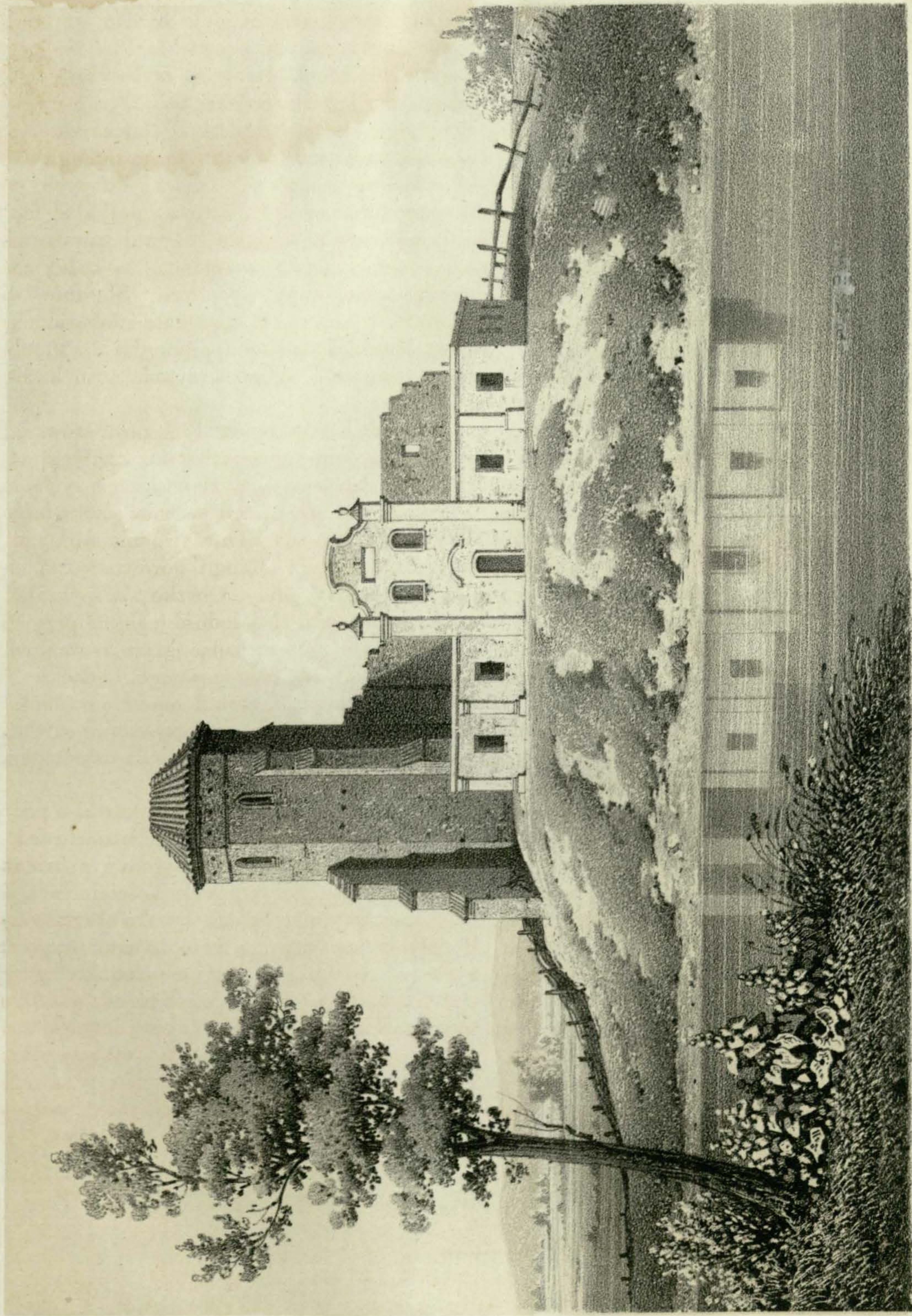
Mezzofanti umarł 15 marca 1849 roku, mając lat 75. Należał on do szczupłej liczby kardynałów którzy po schronieniu się papieża do Gaety pozostali w Rzymie; współczucie atoli dla Piusa IX i troska o losy kościoła wiele się przyczyniły do skrócenia jego życia. Na dowód jak powszechnie Mezzofanti szanowany był i kochany, przytaczamy że ówczesny minister spraw wewnętrznych zfanatyzowanej przeciw stronnikom papieżstwa rzeczypospolitej rzymskiej ofiarował się uczcić jego pamięć uroczystym na koszt rządu pogrzebem; rodzina jednak zmarłego propozycji tej nie przyjęła.

Nie wiadomo dotąd z pewnością ile Mezzofanti posiadał języków. Stewart Rose podaje 20; baron Zach powiększa tę liczbę do 32, a Molbech mu w tém przyświadcza. Do lady Morgan sam kardynał powiedział że zna przeszło 40 języków, ale nie wszystkie dokładnie; pani Paget oświadczyła że umie ich 40 — 50. Bezimiennemu turyście rosyjskiemu wypisał własnoręcznie imię Boga w 56 językach. Manavit mówi o 58, a jakieś czasopismo włoskie marzy nawet o 78. Najprawdopodobniej, jak się zdaje, przyjąć można iż w Bolonii zbadał już do 30 języków, a w Rzymie przed samą śmiercią doszedł do 50. Zresztą zależy tu wiele i od tego co kto uważa za język odrębny, a co za narzecze lub dialekt. Podobnież trudno jest oznaczyć w jakim stopniu Mezzofanti władał różnemi językami. Baronowa Ulmenstein uważa go za Niemca,

książę Wołkoński zapewnia że pragnąłby aby syn jego mówił tak dobrze po rosyjsku; Molbech duńszczyzną kardynała znajduje bardzo poprawną; baron Zach'a zadziwia jego biegłość w języku madziarskim; Fleck słyszy go rozmawiającego po nowogrecku i po hebrajsku; lord Byron uwielbia czysty jego akcent angielski. Najcharakterystyczniejszą atoli cechą talentu Mezzofanti'ego stanowi dokładna znajomość odcieni leżących poza obrębem grammatyki. Skoro na przykład mówił po łacinie z cudzoziemcem, używał zawsze narodowej jego wymowy, a wiadomo że każdy naród inaczej czyta język Cycerona. Słusznie więc w rzymskim polyglocie upatrzono zdolność muzyczną, i sam Mezzofanti potwierdza iż starał się zawsze najprzód uchwycić rytmiczność każdego języka.

Mimo cudownych wszakże rezultatów jakie osiągnął na polu mowoznawstwa, kardynał pozostał tylko zadziwiającem zjawiskiem psychologicznem. Gdyby Mezzofanti posiadał naukę takiego Rask'a lub Remusat'a, to niezawodnie olbrzymi jego talent byłby dla filologii porównawczej nieocenione przyniósł plony. Gorzko też się użalał do Guidona Görres'a, że młodość jego nie przypadła w czasie kiedy zaczęto badać języki ze stanowiska filozoficznego. Gdy razu pewnego, będąc w Neapolu, dostał gorączki, stracił zupełnie na dni kilka zdolność mówienia obcemi językami, co właśnie dowodzi iż cała jego wprawa była czysto pamięciową.

Mezzofanti, oprócz małej rozprawki o przyjacielu swym, księdzu profesorze Emanuelu da Ponte, (1819) nie zostawił żadnej pracy piśmiennej. Był jednak biegłym w prawie kościelnem i w ogólności jako teolog bardzo wysoko ukształconym. Przykładał się także gorliwie do nauk przyrodzonych. Bezstronni przyznają mu charakter przyjacielski i łagodny, wolny przytém od wszelkiego zarozumienia. Najlepszym zresztą dowodem wielkiej popularności kardynała jest żal powszechny jaki śmierć jego obudziła w Rzymie, w szeregach nawet mazzinistowskich republikanów, znających doskonale przywiązanie jego do papieżstwa.



Lit. J. Cegłński

Odbito w Lit. A. Peçy & C^o w Warsz. 492.

ZWALISKA ZAMKU W LIWIE.



LIW.

SZKIC HISTORYCZNY.

Ksiądz Jan Paweł Woronicz, arcybiskup warszawski i prymas królestwa, który około r. 1786 był proboszczem w Liwie, pisząc o przeszłości tego miasta, powiada: „Nic stałego na świecie niema, wszystko zmiennej nieszczęść kolei ulega; dowodzą tego kraj cały, miasto Liw i probostwo liwskie. Jak Zygmunt Stary nie poznałby Polski, tak proboszczowie liwscy, sadowieni i w dochody zaopatrywani od książąt i królów dziedzicznych, nie poznaliby swego siedliska, chyba postrumieniu rzeki Liwca.”

Liw leży w dzisiejszej gubernii lubelskiej, w powiecie siedleckim. Niegdyś był stolicą ziemi liwskiej do województwa mazowieckiego należącej, a dawniej jeszcze stanowił osobną dzielnicę książąt Mazowsza, dopóki Ziemowit starszy po braciach nie połączył wszystkich oddzielonych prowincyj. Lustracja z roku 1564 świadczy iż miasto Liw miało samych piwowarów 60, gorzelników 14, piekarzów 24, mieczników 2, złotnika 1. Podług lustracji z roku 1616 liczyło jeszcze 800 domów. Ślady bruków, które dotąd jeszcze widzieć się dają, dowodzą że całe miasto było brukowane, a nazwy ulic mają niejakie podobieństwo do warszawskich. Mała rzeczka Miedzianka rozdziela stare miasto od nowego. W starém mieście są ulice: Warszawska czyli Krakowska, Senatorska i Kozia, a w nowém Węgrowska, Naléwki i dwie małe uliczki.

Upadek miasta Liwa datuje się od czasów przyłączenia Mazowsza do Korony, a właściwie od założenia Węgrowa, o małe pół mili od Liwa położonego i rzemieślnikami cudzoziemskimi osiedlonego. Gdy zaprowadzona około roku 1570 przez Jana Kyszkę drukarnia sprowadziła do Węgrowa mnóstwo różnowierców, w miarę jak w Węgrowie domów przybywało, ubywało ich w Liwie, a klęski późniejsze dokonały upadku.

Rzecz na pozór dziwna, a jednakże w skutkach często powtarzająca się, że napływ cudzoziemców i osiedlanie się ich w pewnych okolicach wywiera zawsze niekorzystny wpływ na byt miast i wsi krajową ludnością osiedlonych. Zwolennicy rachunkowego postępu mówią że cudzoziemcy mają

uczyć krajowców gospodarstwa, rządności, moralności, a tymczasem ci nauczyciele zawsze prawie poszywają się kosztem uczących i godzą strony jak owa małpa w bajce Massalskiego, która wykładając prawa własności, sama sér zjadła. Kwestya to ważna i wymagająca oddzielnych studiów; nastęczyła się ona nam tu mimochodem, przy przeglądaniu dawnych lustracji, przekonywających o bogactwie i zamożności miasta Liwa, które dzięki uprzejmym sąsiadom wyuczyło się gospodarstwa i oszczędności, ale wtenczas kiedy nie było już czém gospodarować i co oszczędzać.

Jeszcze za rządów książąt mazowieckich, około roku 1446, miasto zupełnie zgorzało: ale odbudowało się rychło, mając i odpowiednie do tego środki, i pomoc książąt, którym niedbałości o byt miast i wsi im podległych zarzucić nie można. Lecz kiedy Szwedzi po dwa razy, to jest w r. 1657 i w roku 1703, zniszczyli i spalili miasto, po klęskach tych nie mogło już przyjść do siebie i nachyliło się do zupełnego upadku.

Wspaniała zamek liwski, zbudowany wśród bagien niedostępnych, służył nieraz książętom Mazowsza za bezpieczne schronienie. Podanie miejscowe niesie że na jednej z cegieł znaleziono wyryty rok 1112, mający znaczyć datę założenia tego zamku. Nie można jednak przypuścić aby podanie to miało jaką zasadę, gdyż budowa zamku nie wskazuje tak odległych czasów. Zdaje się że zamek liwski powstał w początkach XV wieku; lecz który z książąt Mazowsza wystawił go, nie można znaleźć pewnych śladów. Lud opowiada że przed kilką wiekami książę mazowiecki z jednej z wypraw na pogańską Litwę przywiózł sobie brankę precudnej urody; ale gdy starszy brat jego, najprzód prośbą a później gwałtem, chciał mu ją koniecznie odebrać, on wybudował zamek wśród niedostępnych błot, i tam swoją niewolnicę umieścił. Brat zebrał wojsko i uderzył na świeżo zbudowany zamek; lecz znalazł dzielny opór i cofnąć się musiał. Tymczasem zakochany książę otoczył swoją piękność najtroskliwszemi staraniami, sprowadził księży aby uczyli ją wiary świętej, zakupił

najpyszniejsze stroje, przeznaczył do jój usług najznakomitsze kobiety swego dworu; ale uparta Litwinka nie słuchała księży, pogardziła strojami i siedziała wciąż tylko w jedném z okien zamku, patrząc ku Litwie i płacząc. Książę leżał u nóg swój branki, a ona gardziła nim i bogactwami jakimi ją otaczał, żądając jednéj łaski, odesłania do stron rodzinnych. Książę mówili jój codzien o Bogu, o jasnych aniołach, a ona modliła się do perkuna; zrozpaczony kochanek znosił jój złotem tkane lamy, a ona wyrzucała je za okno, nie chcąc ani na chwilę zdjąć swego prostego litewskiego stroju. Do szaleństwa doprowadzony książę zapowiedział jój wreszcie że gwałtem zaprowadzi ją do kościoła, ochrzczi a potém weźmie za żonę. Ona, usłyszawszy tę groźbę, padła do nóg księciu, obléwała je łzami i prosiła aby zaniechał zamiaru; ale gdy nie dał się przebłagać, w oczach całego zebranego dworu rzuciła się przez otwarte okno z niezmiernéj wysokości. Przybiegli na ratunek dworzanie znaleźli ją już nieżywą. Książę z rozpaczy chorował rok cały, a potém wyrzekł się godności i dóbr ziemskich i został księdzem. Powiadają że chciał zburzyć zamek liwski, tak jak go zbudował, ale odwiedli go od tego bracia, zachęceni obronném położeniem zamku; przysiągł jednak iż noga jego w Litwie nie postanie, a gdy po wielu latach został biskupem, zapowiedział wszystkim dworzanom, że ktoby w jego obecności powążył się wymówić nazwisko tego miasta, popadnie w niełaskę. Zamek tymczasem, coraz więcej umacniany, stał się ważną obroną Mazowsza przeciwko napadom nieprzyjaciół i wewnętrznym zatargom, a nawet nieraz siedzibą książąt którym dostał się w dziale. W listopadzie roku 1579 Stefan Batory zajmował go czas jakiś, i tam zajechał mu drogę Wojciech Łaski wojewoda rawski, stronnik rakuski, przeprosił i wierność zaprzysiągł.

W roku 1657 Szwedzi, strzelając z gór jarnickich, zmusili zamek do poddania się, a w r. 1703, po długim oporze, okopali się w Grodzisku, ztamtąd zajęli miasto, a zatoczywszy działa na rynek, powtórnie zajęli warownie zamkowe, niemało uszkodzone. Odtąd zamek liwski powoli rozsypywał się w gruzy; pomimo tego jednak przed dwudziestą-pięcią laty jeszcze w jednéj z izb sklepionych mieściły się akta zaczynające się od r. 1445 i idące bez przerwy aż do r. 1652.

Spór o dziesięcinę, w roku 1768 między plebanami liwskim i czerwińskim powstały, rzucił zna-

komite światło na dzieje kościoła liwskiego. Przytaczamy tu dosłownie odpowiedź plebana liwskiego, przechowaną przez następcę jego, księdza Jana Pawła Woronicza.

„Anna, dziedziczna księżna mazowiecka, dla pomnożenia czci Bożéj przy kościele parafialnym liwskim fundowała siedmiu mansyonarzów, pod rządem plebana liwskiego mających zostawać, włożywszy na nich obowiązek śpiewania codzien *cursum de Beata* i wotywy. Na utrzymanie ich przystojne oddzieliła z swoich intrat cło ziemi nurskiéj lądowe i wodne, i takowe na wieczny fundusz zapisała.

„Gdy fundusz ten po śmierci księżnéj synowi jój Januszowi zdawał się być ciężarem i umniejszeniem skarbu książęcego, Mikołaj Żukowski, kanclerz księstwa mazowieckiego, proboszcz warszawski a zarazem natenczas pleban liwski, uczynił wspaniałą i przykłądną dla dobra publicznego ofiarę, ułożywszy się z pomienioném księżciem, że czyniąc ulgę skarbowi publicznemu, a dopełniając woli pobożnéj księżnéj, owych siedmiu mansyonarzów z własnych dochodów plebańskich utrzymywać będzie. Jakoż wyznaczeni na to od księcia kommissarze roku 1525 przemieniwszy dziesięcinę liwską i czerwińską, w ziarnie wtedy odbieraną, na snopową wyłączną z każdego nasienia, obie wiecznemi czasy plebanom liwskim zabezpieczyli na utrzymanie siedmiu mansyonarzów, podług umowy i pozwolenia na to Żukowskiego kanclerza i plebana liwskiego z księżciem Januszem; fundusz zaś początkowy na cło nurskiém znieśli i umorzyli. Potwierdzony ten wyrok został zjazdem sejmowym księstwa mazowieckiego w tymże roku, co potwierdzają obie tranzakcyje z metryk koronnych do ksiąg liwskich przeniesione. Po śmierci księcia Janusza nie wyszedł rok jak księstwo mazowieckie dostało się pod panowanie króla polskiego Zygmunta I, który natenczas, jako dziedziczny pan, nietylko dyspozycyą zmarłego księcia Janusza potwierdził, ale staroście natenczas liwskiemu, Janowi Narburtowi i jego następcom, pod utratą łaski królewskiéj, najściślej przykazał, by używszy nawet pomocy wojskowej, przymuszali zawsze mieszczan liwskich i kmieciów czerwińskich do oddawania wiernie dziesięciny kościołowi liwskiemu, z każdego ziarna, nawet i z konopnego. Trzeba pamiętać że wtedy Liw liczył przynajmniej kilka tysięcy mieszkańców, jak się z lustracyi okazuje. Tenże Zygmunt Stary zaszczycił nowym przywi-



lejem Macieja Jeżowskiego, archidyakona warszawskiego, pisarza skarbu królewskiego i plebana liwskiego, dając mu moc i pozwolenie urzędzenia na nowo mansyonarzów i utrzymywania ich z dochodów plebanii liwskiej, a następnie porucił to biskupowi miejscowemu poznańskiemu, aby w szczególności wydzielił pewny na mansyonarzów dochód, z tym jednak warunkiem żeby wspomniany pleban i następcy jego uczciwe i dostateczne mieli opatrzenie. Oryginał na pergaminie datowany w Radomiu, dnia 30 kwietnia 1540 r.”

Chociaż więc, jak widziemy, kościół liwski uszczuplił swe fundusze, zrzekając się ceł z ziemi nurskiej, jednakowoż dochody tego probostwa były bardzo znaczne, i dlatego zapewne Stanisław Au-

gust Poniatowski, gdy po zniesieniu jezuitów, Jan Paweł Woronicz dał mu się poznać z wielkich przymiotów rozumu i serca, mianował go infułatem i proboszczem liwskim. Zaszczyc to niemały dla parafii liwskiej że miała takiego pasterza, który w trzydzieści trzy lat później został arcybiskupem warszawskim, metropolitą i prymasem królestwa polskiego.

Dziś Liw należy do rzędu lichych miasteczek; tylko ruiny zamku świadczą o jego przeszłości i świadczyć będą dopóty, dopóki jaki zwolennik niemieckiego postępu nie zamieni ich na cukrownię albo na młyn parowy.

Ant. Wieniarski.

JANCZARY.

Na zwaliskach potęgi Arabów, Seldszuków i Mongołów, śmiały i szczęśliwy najezdnik, Osman czyli Ottman, w początku XIV stulecia założył posady państwa tureckiego w Azji Mniejszej. Syn jego Orkhan, wstępując w ślady ojca, coraz bardziej rozszerzał granice swego kraju: Nicea, warowne Bitynii miasto, dostała się w jego ręce, a wkrótce zdobył i Brusę, którą obrał za stolicę dość rozległego już państwa. Tenże sam Orkhan z lekkiej, nieregularnej jazdy, zwaną Akindzi, utworzył wojsko stałe, podzielone na oddziały po 10,000 i po 1,000 ludzi. Niepodobna jednak było rozpasane te tłumy ująć od razu w więzy karności; nadużycia owszem, którym zaradzić usiłowano, zaczęły coraz częściej wybuchać z łona właśnie tej milicyi krajowej. Dla uskromienia ich przeto jeden z doradców Orkhana, Kara Charil Tszendereli, powodowany przekonaniem że dzikość plemion turkomańskich może być powściągnioną tylko przez starcie się z przeciwnymi żywiołami, podał sułtanowi myśl utworzenia nowego wojska z dzieci chrześcijańskich, namową lub gwałtem nawróconych na islamizm. Około r. 1328 projekt ten został wykonany: co piąte z zabranych w jassy dzieci chrześcijańskich wychowywano w zasadach islamu, i w młodym tym pokoleniu, zaprawianem wczesnie do rzemiosła wojennego, gotowano nowe i groźniejsze niż kiedykolwiek narzędzie samowładztwa sułtanów. Dla większej u-

roczystości szejik Hadszi Begtasz, założyciel instytucji derwiszów, pobłogosławił zebrane tym sposobem rotę. Śród ceremonii szejik na głowę jednego z dowódców zarzucił rękaw swego płaszcza pilśniowego. Nowo uorganizowane wojsko otrzymało nazwę Janczarów (od *jeni* nowy i *czeri* hufliec); na pamiątkę zaś rękawa szejikowego dano mu długie, w tył głowy zwieszane czapki pilśniowe.

W późniejszym czasie janczarowie, skutkiem położonych zasług, zostali obdarzeni licznymi przywilejami, a ztąd i rodowici muzułmanie zaczęli się cisnąć w ich szeregi jako ochotnicy. Już po śmierci Murada I, zdobywcy Adrianopola (1389), korpus janczarów obejmował przeszło 100,000 ludzi, podzielonych na 196 *ort* czyli pułków, a później liczba ta trzykrotnie się jeszcze powiększyła. Według pułkownika francuzkiego Juchereau de St. Denis, który w latach 1807—1809 zostawał w służbie tureckiej jako inspektor inżynierii, janczarów zarejestrowanych było wtedy blisko 400,000, a z tych 60,000 tylko stały żołd pobięrało.

Ten przyrost nadzwyczajny zastępu janczarów. stał się powodem podziału ich na regularnych i nieregularnych czyli milicyantów. Pierwsi otrzymywali ze skarbu sułtańskiego płacę w stosunku do dawności służby, tak iż rekrut pobięrał dziennie 6 asprów (aspr równa się prawie jednej kopiejce srebrem), wysłużony zaś żołnierz w końcu 12—15 asprów. Oprócz tego każdy z nich dostawał

żywność i odzież, a przy zmianie panującego podarunek wynoszący około 15 r. sr. Milicyanci płatni byli tylko w czasie wojny, ale służyły im inne korzyści, a mianowicie uwolnienie od niektórych podatków.

Pojedyncze orty janczarów regularnych, z których każda miała oddzielne koszary, różniły się bardzo co do liczby, żadna jednak nie przechodziła 800 głów stałych. Najliczniejszą była orta trzydziesta pierwsza, bo registr jój, z ochotnikami, obejmował 10,000 ludzi. Przyczyna téj różności leżała częścią w większym lub mniejszym duchu wojowniczym zarekrutowanych prowincyj, częścią w znaczeniu i sławie jaką sobie pozyskać umiały pojedyncze orty.

Pierwszych pięciu ort używano zawsze do obsadzania fortec; 60, 61, 62 i 63 tworzyły straż przyboczną sultana i nosiły osobną nazwę *Solaki*. Bronią ich była lanca, której nigdy nie składały, podczas gdy inne w czasie pokoju miały tylko nieokute drzewce. Ortom 64, 68 i 72 powierzono nadzór nad psami i ptakami padyszacha. Siedmnasta orta posiadała przywilej rozpinania w wojnie swych namiotów tuż obok namiotu sultana lub wielkiego wezyra. Orta 67 służyła z junakieryi; do niej to należał ów janczar, który po złożeniu z tronu Osmana II śmiał podnieść rękę przeciw upadłemu władcy. Zazbrodnie tę Murad III, brat i następca Osmana, kazał wyrzucić całą ortę, zostawiając ją wszakże na liście pułków janczarskich, a ilekroć potem przy apelu czytano jój nazwisko, jeden z oficerów wymawiał uroczyście te słowa: „Niech głos jój umilknie na zawsze, a pamięć niech będzie potępioną!”

W koszarach pojedynczych ort, mimo stopniowego rozprzegania się janczarów w stosunkach zewnętrznych, karność surowo była przestrzegana. Dopuszczających się kradzieży lub wchodzących w związki małżeńskie z niewiastami podejrzanej moralności wypędzano, i na znak wykluczenia z orty zdzierano im kolnierze z wierzchniej sukni. Dawniej nawet bezwarunkowo janczarom zostającym w czynnej służbie nie wolno było żenić się ani zajmować rzemiosłami; dopiero po pokoju karłowickim dozwolono im jednego i drugiego, z zastrzeżeniem jednak aby żonaci mieszkali poza obrębem koszar.

Na czele każdej orty stał *aga*, mający pod swe mi rozkazami dwóch niższych oficerów, zwanych *orta baszi* i *szuur baszi*. Ważną także była posada kuchmistrza pułkowego, którego mundur paradny obwieszano srebrnymi łyżkami, nożami i. t. d.; ku-

chciki nawet i nosiwody mieli rangę podoficerów. Kocioł służący do warzenia stawy ceniony był na równi z chorągwią pułkową; utrata jego uważano za największą hańbę, a odwrócenie go dnem do góry oznaczało wybuch powstania.

Objaśniwszy już organizację ort pojedynczych, pozostaje nam jeszcze wymienić wyższych dostojników, piastujących władzę nad całym korpusem. Aż do czasów Selima dowódca straży przybocznej był zarazem głównym-komenderującym janczarami, z tytułem *segban baszi*. Selim naczelny zarząd korpusu powierzył adze, zwanemu *janiczeri-agassi*, dodając mu do pomocy czterech jenerałów. Nadto do sztabu głównego należeli: dowódzca *czauszów* czyli posłańców rządowych; *orta czausz*, wykonywający wyroki śmierci na janczarach; *mussir*, czyli agent wielkiego wezyra i *chosseki-aga*, dowódzca janczarów nieregularnych.

Takiem było w głównych zarysach urządzenie słynnej téj piechoty, której szalona zapalczywość w dawniejszych czasach niejedno wywalczyła zwycięstwo, w której szeregi znaczna część mieszkańców Konstantynopola wstępowała na członków honorowych, i która samych nawet panujących liczyła w swoim składzie, bo każdy sultan przy wstąpieniu na tron zapisywał się do jakiej orty, z żołdem prostego żołnierza. Skutkiem nabytego w ten sposób znaczenia i uzyskanych przywilejów, rozkrzewił się wkrótce pomiędzy janczarami ów duch oporu, cechujący niegdyś Pretoryan rzymskich. Ponawiane powstania wyuzdały ich do reszty i zamieniły w groźnych dla każdego rządu nieprzyjaciół; nie dziwnego więc że zaczęto przemyśliwać nad środkami ukrócenia swywolnej téj dziczy. Zważono przytém że ten niby wybór wojska tureckiego nie mógł już dziś stawić czoła żadnej armii europejskiej, wyćwiczonej na zasadach nowoczesnej taktyki. Zupełnie téż niepraktyczne było ich uzbrojenie, złożone z długiej i ciężkiej strzelby, z krótkiego pałasza i ogromnego noża z trzonkiem widelkowato zakończonym, na którym opierali fuzyą, dla pewności strzału. Każdy z nich nadto miał zatknięty w pasie pistolet i torbę skórzaną do przechowania ładunków. Sposób ich walczenia polegał na obcesowym napadzie, bez żadnego planu i porządku, ale z piekielnym hałasem. Raz wystrzeliwszy, nie nabijali już zwykle broni i białym tylko opędzali się orężem. Straszny był okrzyk ich wojenny: „Allah il Allah”, z którym zapamiętale rzucali się do boju; po trzykrotnym wszakże a bezskutecznym ataku wolno im już było, bez

nadwreżenia honoru rycerskiego, zachować się biernie, a nawet iść w rozsypkę.

Już Muhamed IV zamierzał zupełną reorganizacją janczarów, i tylko śmierć niespodziana nie dozwoliła mu skuteczniej tego planu. Mustafa II zaniechać musiał téjże samój myśli, z powodu niestannych za panowania jego wojen, Abdul Hamid z przyczyny powstania bejów egipskich. Selima III nakoniec niewczesne usiłowanie reformy janczarów pozbawiło tronu i życia. Dopiero Mahmudowi II przeznaczoném było spełnienie tego ważnego i niebezpiecznego razem dzieła. Pojmując że należało wszystko na jedną postawić kartę, przez długi czas czynił potajemne przygotowania. Założył kilka oddziałów kanonierów (topsi), bombardierów (gumbandzi) i pionierów (dżebedzi), doprowadzając zwolna ich liczbę do 12,000 ludzi. Konnicę umiał sobie zjednać hojnością, a nawet kilkunastu wyższych oficerów janczarskich pozyskał dla sprawy reformy. Hussein, basza Bosforu, a niegdyś agajanczarów, dokładnie obeznany z duchem i zwyczajami téj dziczy, radził nakłaniać ich drogą łagodności do poddania się zmianom koniecznym, i dopiero w ostateczności chwycić się środków przymusu. Drugiego czerwca 1826 roku na zebraniu prawników i duchownych uchwalono że odtąd musztra na sposób europejski niema być uważaną za przeciwną prawu. Bezpośrednio potem na radzie ministrów, w obecności znakomitszych ulemów i dowódców janczarskich, zapadło formalne postanowienie nakazujące ogólną reformę wojskową, któremu nikt nawet ze zgromadzonych otwartego nie stawiał oporu.

Zdawało się więc z razu iż janczary dobrowolnie się poddadzą woli sułtana; lecz tegoż dnia jeszcze na ogólném ich zebraniu postanowiono sprzeciwiać się wszelkim nowościom, i w razie potrzeby odpięrać je z bronią w ręku. Tymczasem ćwiczenia podług systemu europejskiego odbywały się już na placu El Mejdán, gdzie stały koszary janczarów; spiskowi jednak, dla braku kotłów (grających, jak wspomnieliśmy wyżej, tak ważną rolę w każdym powstaniu), nie mogli jeszcze stanowczych przedsięwziąć kroków. Dopiero w nocy 15 czerwca oddział sprzysiężonych wtargnął do pałacu naczelnego dowódcy janczarów, znanego z przychylności swój dla sułtana, i zrabowali go ze szczętem. Ze świtem na placu El Mejdán przewrócono kotły, na znak otwartego rokoszu, i kilka ort, obcych dotąd buntowi, przyłączyło się do po-

wstańców. Zdobyto szturmem i złupiono niektóre pałace, a nadzieja rabunku ściągała coraz więcej motłochu, gotowego zawsze brać udział w każdym rozruchu. Obwoływacze przechodzili ulicami, oznajmiając że każdy coby wystąpić śmiało przeciw janczarom ulegnie karze śmierci, a żony jego i dzieci zostaną sprzedane. Spokojna ludność stolicy drżała o mienie swe i życie.

Tymczasem wielkiego wezyra, który właśnie wtedy znajdował się w swém mieszkaniu letniém pod Konstantynopolem, uwiadomiono o wybuchu powstania. Pospieszył zaraz do seraju i zgromadził tam ministrów, szeika ul Islam, Husseina baszę, znakomitszych ulemów, słowem wszystkich obecnych w stolicy dostojników państwa. Do zbuntowanych posłano oficera, z zapytaniem o powód rokoszu; odpowiedziano mu że janczary nie chcą znać innych ćwiczeń prócz strzelania do tarczy i robienia pałaszem, a nadto domagają się głów wszystkich nowatorów, mianowicie zaś wielkiego wezyra, Husseina baszy, Mehmeda baszy i kilku innych wysokich urzędników.

Nadciągnął wkrótce do seraju sam sułtan z Mustafą Effendi'm i małym wiernych sług orszakiem. Zapytawszy zgromadzenia: czy zachowanie się janczarów nie stanowi zamachu przeciw osobie jego i religii? otrzymał jednozgodnie odpowiedź potakującą. Zaraz więc z rozkazu Mahmuda rozwinięto *sandżak szeref*, świętą chorągiew proroka; jednocześnie wydano firman do trzech mollah'ów czyli kadi'ch Konstantynopola, Skutari i Galaty, aby wszystkich mieszkańców wezwali na obronę wiary. Chorągiew proroka powiewająca z meczetu sułtana Achmeda zapalała fanatyzm moslemów; niezmierne tłumy spieszyły pod znaki padyszacha, a z nimi niezadługo połączyły się wojska pod wodzą Mehmeda i Husseina baszów.

Zbuntowani janczarowie strawili tymczasem bezczynnie porę najprzyjaźniejszą. Obsadzili wprawdzie ulice prowadzące do pałacu cesarskiego, ale że liczba obrońców tronu wzrastała coraz bardziej, zwolna więc ustępowali naciskowi, cofając się ku dzielnicom miasta otaczającym ich koszary. Przybyli téż wkrótce baszowie Mehmed i Hussein z wierném wojskiem; najszerszymi ulicami posuwały się pułki morskie i kanoniery; bombardiery i pionierzy z ochotnikami ciągnęli drogą od targu końskiego i wodociągów ku placowi El Mejdán. Wszędzie janczarów zmuszono do odwrotu. Zuchwały ich atak na prowadzone przodem armaty

zupelnie się nie powiódł, i powstańcom nie pozostało już teraz jak zatarasować się w koszarach. Kara Dżennem, pułkownik artylerji sultańskiej, raz jeszcze przed chwyceniem się ostatecznych środków usiłował namową wrócić ich na drogę powinności; lecz słowa jego zgłuszyły dzikie wy-
cia rozjuszonej tłuszczy. Wtedy obydwaj dowódcy, widząc że drogą pojednawczą nie wskórać nie-
podobna, kazali rozpocząć ogień. W godzinę bra-
my koszar i mury zewnętrzne zostały zburzone. Janczary z rozpaczliwą rezygnacją cofali się z za-
budowania w zabudowanie, lecz niezadługo granaty

zapaliły ostatecznie ich schronienie. Do ośmiu tysięcy znalazło śmierć w ogniu, a w dniach następnych do sześciu tysięcy jeszcze powywlekano z kryjó-
wek i uduszono za wyrokiem doraźnym. Firman cesarski z dnia 16 czerwca na zawsze zniósł janczarów, nakazał zniszczenie ich oznak wojennych, i pamięć ich dotknął klątwą. Kanoniery obsadzili tymczasowo posterunki zajmowane dawniej przez janczarów. W miejsce tych ostatnich powstał póź-
niej korpus wojska zwanego *Oskeri Muhamedze*, organizowany zupełnie na sposób europejski.

JADOWITY WĄŻ Z SUMATRY.

W przepysznym i urozmaiconym obrazie jaki twory ożywione przedstawiają oczom postrze-
gacza, widziemy w ogólności że natura drobnym ga-
tunkom dała więcej chciwości i zdrady niż wiel-
kim, których udziałem jest odwaga i siła. Jeżeli więc te ostatecznie mają chwile wspaniałomyślności, jeżeli w szlachetnej dumie gardzą zbyt słabym przeciwnikiem, nigdy nie pokazują tego drobne zwierzęta drapieżne, jakby mszcząc się za swe upośledzenie i nizezemność. Tak lew nie głodny spokojnie przechodzi około przestraszonej łani, podły wilk zaś, dostawszy się do owczarni, dusi więcej aniżeli unieść może.

W gromadzie węzów podobne spotykamy przy-
kłady; wielkie położy, ściśnięciem swych pierście-
ni gruchoczące kości najtęższemu bykowi, naje-
dzone spokojnie drzemią w swém ukryciu, niewiel-
kie zaś gatunki *Trigonocephalus*, *Crotalus* i nasza żmija (*Vipera*) opatrzone są potężnymi jadowitemi zębami, a ukąszenie ich, według wielkości i wię-
kszego lub mniejszego rozdrażnienia potworu, jest bardziej lub mniej niebezpiecznym, a nawet, jeżeli ukąszony pozostanie bez ratunku, śmiertelnym.

Trzy rodzaje wyżej wymienione składają właściwą familią jadowitych węzów, odróżniających się stale i na pierwszy rzut oka głową od szyi odsta-
jącą, budową ciała krępą, rozplaszczoną. Rodzaj *Trigonocephalus*, po polsku *Złostugą* przez p. Wa-
gę nazwany, po żmiji, jako wyłącznie krajowym ga-

dzie, najwięcej nas zajmuje. Liczy on kilka gatun-
ków, zamieszkujących większą część Azji i Ame-
ryki. Spotykamy go od Stanów Zjednoczonych do Patagonii, a w Azji od południowej Syberyi do podzwrotnikowych wysp Celebes, Borneo i Timor.

Ponieważ grzechotnik wyłączną jest własnością Ameryki, złostuga przeto jest jedynym jadowitym węzem na wyspach wschodnio-indyjskich.

Na obok załączonej tablicy podajemy z tego ro-
dzaju wizerunek nadzwyczaj jadowitego węza z wy-
sipy Sumatry. Systematycy nazywają go *Trigono-
cephalus formosus* Temm. Długi jest przeszło
trzy stopy, głowa gruba, przedłużona w kształcie serca, z wierzchu cokolwiek splaszczona i mocno od szyi odstająca. Pysk lekko zaokrąglony, duża łuską pokryty; oczy duże, czerwone. Łuska na grzbiecie odstająca, nabokach wydatna; kolor żywo-
zielony, a całe ciało nieregularnymi, czarniawymi pręgami upstrzone. Koniec ogona brunatno-czer-
wony. Ukąszenie tego węza jest nadzwyczaj nie-
bezpieczne, a nawet śmiertelne, jeżeli część zranio-
na jest krwistą, i jedynym wtedy ratunkiem natych-
miastowe wypalanie lub wyrznięcie rany. Miesz-
kańcy wyżej wspomnianych wysp indyjskich bar-
dzo często narażeni są na ukąszenie tego węza; lecz wolą udawać się do zażegnowań i innych za-
bobonnych środków, niż do sztuki lekarskiej a
zład też najczęściej padają ofiarą jadu.